

JEFFREY
ARCHER

P
ROSTO
JAK STRZELIŁ

Prószyński i S-ka

JEFFREY ARCHER

PROSTO JAK STRZELIŁ

TYTUŁ ORYGINAŁU ANGIELSKIEGO: AS THE CROW FLIES

PRZEŁOŻYLI MICHAŁ RONIKIER I TERESA SOŚNICKA

CZYTELNIK WARSZAWA 1993

Dla Franka i Kathy

CHARLIE 1900-1919

ROZDZIAŁ 1

- Nie chcę za nie od was po dwa pensy - krzyczał mój dziadek, trzymając w obu dłoniach główkę kapusty. - Nie chcę za nie po pensie ani nawet po pół. Nie, sprzedam je wam po ćwierć pensa!

Były to pierwsze słowa, jakie pamiętam. Zanim jeszcze nauczyłem się chodzić, moja starsza siostra sadzała mnie w skrzynce po pomarańczach na trotuarze, tuż obok straganu dziadka, żebym jak najwcześniej zaczął terminować w zawodzie.

- On potrafi upomnieć się o swoje - mówił dziadek klientom, wskazując siedzącego w drewnianej skrzynce wnuka. W istocie, pierwsze słowo, jakie wypowiedziałem, brzmiało "dziadek", drugie "ćwierćpensówka", a w dniu moich trzecich urodzin potrafiłem już wyklepać słowo w słowo wszystkie formułki, jakimi zachwalał swój towar. Nawiasem mówiąc, żaden z członków mojej rodziny nie był pewien, którego dnia przyszedłem na świat, ponieważ ojciec spędził tę noc w więzieniu, a matka umarła, zanim zaczerpnąłem pierwszy łyk powietrza. Dziadek przypuszczał, że była to sobota, miał wrażenie, że w styczniu, był przekonany, że w roku 1900, i wiedział, że było to za panowania królowej Wiktorii. Więc ustaliliśmy wspólnie, iż narodziłem się w sobotę, 20 stycznia 1900.

Nie znałem mojej matki, ponieważ, jak już wspomniałem, umarła w dniu mego przyjścia na świat "Przy porodzie" - mówił nasz miejscowy ksiądz, ale ja w gruncie rzeczy nie rozumiałem, co ma na myśli, i pojąłem to dopiero w dobrych kilka lat później, kiedy ponownie zetknąłem się z tym problemem. Ojciec OTMalley stale mi powtarzał, że jeśli kiedykolwiek widział świętą osobę, to była nią właśnie moja matka. Mój ojciec - którego nikt nie nazwałby świętym - pracował w dokach za dnia, wieczory spędzał w pubie, a nad ranem wracał do domu, ponieważ tylko tam mógł się spokojnie przespać.

Resztę rodziny stanowiły trzy siostry: Sal, najstarsza z nas, która miała pięć lat i znała datę swoich urodzin, ponieważ zdarzyło się to w nocy i ojciec musiał czuwać przy matce, trzyletnia Grace, która nie naraziła nikogo na utratę snu, i Kitty, która miała osiemnaście miesięcy i ani na chwilę nie przestawała wrzeszczeć.

Głową rodziny był dziadek Charlie, po którym odziedziczyłem imię. Sypiał w swym własnym pokoju na parterze naszego domu na Whitechapel Road, nie tylko dlatego, że był najstarszy, lecz ponieważ to on zawsze płacił czynsz. Reszta tłoczyła się we wspólnej sypialni, po drugiej stronie korytarza. Na parterze znajdowały się jeszcze dwa pomieszczenia: coś w rodzaju kuchni i coś, co większość ludzi uznałaby za duży kredens a co Grace ochrzciła salonikiem.

Toaleta mieściła się w pozbawionym trawy ogródku i dzieliliśmy ją z mieszkającą nad nami rodziną Irlandczyków. Miałem wrażenie, że chodzili do niej zawsze o trzeciej nad ranem.

Dziadek, który był z zawodu straganiarzem, sprzedawał swe towary na rogu Whitechapel Road. Gdy tylko zdołałem wyleźć ze skrzynki po pomarańczach i zacząłem się plątać wśród innych wózków, odkryłem natychmiast, że uważany jest przez tutejszych mieszkańców za najlepszego kupca w dzielnicy East End.

Mój ojciec, który jak już mówiłem, był z zawodu dokerem, nigdy nie przejawiał większego zainteresowania żadnym ze swych dzieci i choć zarabiał czasem aż funta tygodniowo, jego dochody zawsze zostawały "Pod Czarnym Bykiem", gdzie wydawał je na kolejne kufle piwa albo przegrywał w karty lub domino, w towarzystwie naszego najbliższego sąsiada, Berta Shorrocks, człowieka nie umiejącego chyba mówić i wydającego tylko głuche pomruki.

Prawdę mówiąc, gdyby nie dziadek, nie kazano by mi nawet chodzić do miejscowej szkoły podstawowej na Jubilee Street; celowo używam słowa "chodzić", gdyż kiedy już tam docierałem, zajmowałem się głównie trzaskaniem wiekiem pulpitu i pociąganiem od czasu do czasu za warkocz "Bogatej Porky", dziewczynki, która siedziała przede mną. Naprawdę nazywała się Rebeka Salmon i była córką Dana Salmona, właściciela piekarni na rogu Brick Lane. Bogata Porky wiedziała dokładnie, gdzie i kiedy się urodziła, i stale nam przypominała, że jest niemal o rok młodsza niż reszta dzieci z naszej klasy.

Nie mogłem się doczekać godziny czwartej po południu, kiedy lekcje dobiegały końca, a ja trzaskałem po raz ostatni wiekiem pulpitu i gnałem na Whitechapel Road, by pomagać na straganie.

W soboty dziadek robił mi wielką przyjemność i pozwalał towarzyszyć sobie wczesnym rankiem na Covent Garden, gdzie wybierał owoce i jarzyny sprzedawane przez nas później z jego wózka, stojącego dokładnie naprzeciw piekarni pana Salmona i sąsiadującego z nim sklepiku pana Dunkleya, który serwował na wynos smażoną rybę z frytkami.

Marzyłem o dniu, w którym porzucę wreszcie na zawsze szkołę i będę mógł zostać stałym współpracownikiem dziadka, ale on dbał o moją edukację i gdy tylko opuściłem choć godzinę nauki, nie zabierał mnie z sobą na mecz West Ham, naszej lokalnej drużyny piłkarskiej, albo co gorsza, nie pozwalał mi sprzedawać na straganie następnego ranka.

- Miałem nadzieję, że staniesz się z czasem bardziej podobny do Rebeki Salmon - mawiał często.
- Ta dziewczyna daleko zajdzie...

- Im dalej, tym lepiej - odpowiadałem, ale on nigdy się nie śmiał, tylko przypominał mi, że Rebeka ma zawsze najlepsze stopnie ze wszystkich przedmiotów.

- Z wyjątkiem matematyki - odszczekiwałem odważnie - bo w tej dziedzinie zawsze wychodzi przy mnie na głupią. - Potrafiłem dodawać w głowie wszystkie liczby, a Rebeka musiała spisywać je na kartce, co zawsze bardzo ją złościło.

W ciągu wszystkich lat mojej nauki ojciec nigdy nie odwiedził szkoły przy Jubilee Street, natomiast dziadek wstępował tam przynajmniej raz w ciągu semestru, by porozmawiać z moim nauczycielem, panem Cartwrightem. Pan Cartwright tłumaczył mi, że z moją głową do cyfr mogę w przyszłości zostać buchalterem lub urzędnikiem bankowym. Powiedział kiedyś nawet, że być może uda mu się "załatwić mi posadę w City". Co w gruncie rzeczy było jedynie stratą czasu, bo ja marzyłem tylko o tym, żeby wspólnie z dziadkiem handlować na straganie.

Miałem siedem lat, kiedy doszedłem do wniosku, że napis wymalowany na boku wózka - "Charlie Trumper, uczciwy kupiec, rok założenia firmy 1823" - mogłby się odnosić również do mnie. Tato miał na imię George i oznajmiał otwarcie przy wielu okazjach, że po wycofaniu się dziadka z interesów nie ma najmniejszego zamiaru przejmować po nim straganu, gdyż nie chce rozstawać się ze

swymi kolegami z doków.

Nic nie mogłoby mi sprawić większej przyjemności niż jego decyzja, więc powiedziałem dziadkowi, że kiedy w końcu przejmę jego wózek, nie będę musiał nawet zmieniać napisu.

Dziadek tylko jęknął z niechęcią i powiedział: - Młody człowieku, nie życzę sobie, żebyś wylądował na East Endzie. Jesteś zbyt bystry, by do końca życia handlować na straganie. - Jego stwierdzenie bardzo mnie zasmuciło; nie rozumiał najwyraźniej, że ja tylko o tym marzyłem.

Nauka w szkole wlokła się miesiąc po miesiącu, rok po roku, a Rebeka Salmon zawsze odbierała nagrody w dniu rozdania świadectw. Te doroczne uroczystości były tym trudniejsze do zniesienia, że zawsze musieliśmy słuchać, jak deklamuje nam Psalm 23, stojąc na podium w białej sukience, białych skarpetkach i czarnych butach. Jej długie czarne włosy nieodmiennie zdobiła biała kokarda.

- Podejrzewam, że codziennie wkłada nowe majtki - szepnęła mi kiedyś do ucha mała Kitty.

- A ja stawiam gwineę przeciw ćwierćpensówce, że nadal jest dziewicą - dodała Sal.

Wybuchnąłem śmiechem, bo tak zawsze reagowali na dźwięk tego słowa wszyscy straganiarze z Whitechapel Road, choć muszę przyznać, że w tym okresie nie miałem pojęcia, co ono oznacza.

Dziadek uciszył mnie syknięciem i nie uśmiechnął się, dopóki nie zostałem wywołany do odebrania nagrody za postępy w matematyce; pudełka kolorowych kredek, które nikomu na nic nie były potrzebne. Ale i tak wolałem je od książki.

Kiedy wracałem na swoje miejsce, dziadek klaskał w dłonie tak głośno, że niektóre matki odwróciły się w naszą stronę z uśmiechem, co jeszcze bardziej utwierdziło go w przekonaniu, że powinienem pozostać w szkole aż do ukończenia czternastego roku życia.

Kiedy miałem dziesięć lat, dziadek pozwolił mi co rano, przed pójściem do szkoły, układać towary na wózku. Ziemiaki na pierwszym planie, zielenina w środku, miękkie owoce w głębi; tak brzmiała jego niezłomna zasada.

- Nigdy nie pozwalaj im dotykać owoców, zanim nie wręczą ci pieniędzy - mawiał zawsze. - Trudno jest obić ziemniaka, ale jeszcze trudniej sprzedać kiść winogron, którą kilka razy podnoszono ze straganu i odrzucano z powrotem.

W wieku jedenastu lat odbierałem już pieniądze od kupujących i wydawałem im resztę. Wtedy właśnie odkryłem, do czego przydają się z ręczne palce. Niektóre klientki, po odebraniu należności, otwierały dłoń i stwierdzały, że brak w niej jednej monety, którą im przed chwilą wypłaciłem, więc musiałem wręczać im ją po raz drugi. Dziadek, stwierdziwszy, że pozbawiam go w ten sposób znacznej części tygodniowego zarobku, nauczył mnie mówić: - "Dwa pensy reszty, pani Smith" i trzymać monety w podniesionej ręce, żeby wszyscy je widzieli.

Mając dwanaście lat umiałem już targować się z hurtownikami z Covent Garden, zachowując kamienną twarz, a po powrocie na Whitechapel Road sprzedawać te same produkty naszym klientom, uśmiechając się od ucha do ucha. Odkryłem też, że dziadek regularnie zmienia dostawców, aby - jak mawiał - "żaden z nich nie poczuł się zbyt pewny siebie".

W wieku lat trzynastu stałem się jego oczami i uszami, jako że znałem już po nazwisku wszystkich liczących się hurtowników owoców i jarzyn z Covent Garden. Szybko zorientowałem się, którzy z nich przykrywają marne owoce dorodnymi okazami, którzy ukrywają poobijane jabłka, którzy zawsze próbują nie dowozić towaru.

Co najważniejsze, wiedziałem już, którzy z naszych klientów nie płacą długów, więc nie należy sprzedawać im niczego na kredyt i wpisywać ich nazwisk kredą na tabliczce.

Pamiętam, jak dumnie wyprężyłem klatkę piersiową, kiedy pani Smelley, właścicielka pensjonatu

na Commercial Road, powiedziała mi, że jestem godnym potomkiem swego dziadka i że jej zdaniem stanę się kiedyś równie dobrym kupcem jak on. Uczciłem ten wieczór zamawiając pierwszy w życiu kufel piwa i zapalając pierwszego papierosa. Nie dokończyłem ani jednego, ani drugiego.

Nigdy nie zapomnę pewnego sobotniego poranka, kiedy dziadek po raz pierwszy pozwolił mi samodzielnie poprowadzić stragan.

Przez pięć godzin ani razu nie otworzył ust, by udzielić mi rady czy wygłosić swą opinię. A kiedy pod koniec dnia podliczył obroty i stwierdził, że były one o dwa szylingi i pięć pensów niższe niż w inne soboty, wręczył mi mimo to sześciopensówkę, która stanowiła moje tygodniowe pobory.

Wiedziałem, że dziadek pragnie, abym pozostał w szkole i doskonalił się w czytaniu i pisaniu, ale kiedy w grudniu 1913 nadszedł ostatni piątek semestru, opuściłem bramy uczelni przy Jubilee Street, za zgodą ojca. Ojciec zawsze mawiał, że nauka to strata czasu i że nie widzi w niej żadnego sensu. Przyznawałem mu rację, choć Bogata Porcky dostała stypendium do jakiegoś gimnazjum Św.

Pawła, które mieściło się i tak o wiele mil od naszej dzielnicy, aż w Hammersmith. A któż chciałby przenosić się do szkoły w Hammersmith, skoro może mieszkać na East Endzie?

Pani Salmon najwyraźniej chciała tego dla swojej córki, gdyż opowiadała każdemu, kto tłoczył się w kolejce po chleb, o jej "zdolnościach intelektualnych" - cokolwiek to oznaczało.

- Nadęta snobka - szeptał mi do ucha dziadek. - To jedna z tych osób, które zawsze mają w domu paterę z owocami, choć nikt nie jest chory.

Moja opinia o Bogatej Porcky nie odbiegała zbyt od zdania dziadka o pani Salmon. Natomiast pana Salmona uważałem za porządnego człowieka. Musicie wiedzieć, że on sam, zanim jeszcze poślubił pannę Roach, córkę piekarza, był właścicielem straganu.

W każdą sobotę rano, kiedy ja przygotowywałem nasz wózek, pan Salmon udawał się do synagogi w Whitechapel, zostawiając sklep pod opieką żony. Kiedy go nie było, pani Salmon stale przypominała nam podniesionym głosem, że ona nie jest Żydówką.

Bogata Porcky wydawała się niezdecydowana, czy powinna chodzić ze swym starym do synagogi, czy też zostawać w sklepie, w którym siadała zawsze przy oknie i zaczynała pożerać bułeczki z kremem, gdy tylko jej ojciec zniknął z pola widzenia.

- Mieszane małżeństwa mają zawsze problemy - mawiał mój dziadek. Dopiero po latach zdałem sobie sprawę, że nie miał na myśli bułeczek z kremem.

W dniu, w którym porzuciłem szkołę, oznajmiłem dziadkowi, że może spokojnie pospać dłużej, bo sam pojedę do Covent Garden po towar, ale on nie chciał o tym nawet słyszeć. Kiedy dotarliśmy na rynek, po raz pierwszy pozwolił mi samodzielnie targować się z hurtownikami. Szybko znalazłem dostawcę, który zgodził się sprzedawać mi tuzin jabłek po trzy pensy, o ile zagwarantuję mu, że będę kupował u niego tę samą ilość towaru codziennie, aż do końca miesiąca. Ponieważ obaj z dziadkiem zjadaliśmy zawsze po jabłku na śniadanie, umowa ta pozwoliła nam zaspokoić nasze własne potrzeby, a przy okazji wypróbować owoce, które sprzedawaliśmy naszym klientom.

Odtąd każdy dzień stał się sobotą, a my, pracując razem, podnieśliśmy dochody ze straganu aż o czternaście szylingów tygodniowo.

Poczynając od tego momentu dostawałem tygodniową pensję w wysokości pięciu szylingów, co stanowiło prawdziwą fortunę. Chowałem cztery do blaszanej skarbonki, stojącej pod łóżkiem dziadka, dopóki nie zaoszczędziłem pierwszej gwinei. Człowiek, który był właścicielem gwinei, mógł cieszyć się poczuciem bezpieczeństwa; tak powiedział mi kiedyś pan Salmon, stojąc jak zwykle przed swym sklepem z palcami w kieszonkach kamizelki i demonstrując zwisający na dewizce

Isniący, złoty zegarek.

Wieczorami, kiedy dziadek wracał na kolację, a ojciec wychodził do pubu, siedziałem w domu i słuchałem relacji sióstr o tym, co wydarzyło im się w ciągu dnia, ale szybko mi się to nudziło, więc wstępowałem do istniejącego w Whitechapel klubu dla chłopców.

Ping-pong w poniedziałki, środy i piątki; boks we wtorki, czwartki i soboty. Nigdy nie nauczyłem się dobrze grać w ping-ponga, ale zostałem niezłym bokserem wagi koguciej i reprezentowałem nawet barwy naszego klubu przeciw drużynie z Bethnal Green.

W przeciwieństwie do mego ojca nie przepadałem za pubami, wyścigami psów i grą w karty, ale w sobotnie popołudnia nieodmiennie bywałem na meczach West Ham. Od czasu do czasu wypuszczałem się nawet wieczorem na West End, by zobaczyć gwiazdy music hallu.

Kiedy dziadek zapytał mnie, co chciałbym dostać z okazji piętnastych urodzin, odparłem bez chwili wahania: - Własny wózek - i dodałem, że uzbierałem już niemal tyle pieniędzy, by go kupić. On jednak roześmiał się tylko i stwierdził, że jego stary wózek jest wystarczająco solidny, bym mógł go przejąć, kiedy nadejdzie stosowna chwila. Dodał, że nasz stragan na kołach stanowi majątek trwały - jak mawiają ludzie obracający kapitałem - i ostrzegł mnie, bym nie robił niepotrzebnych inwestycji, zwłaszcza teraz, kiedy trwa wojna.

Choć pan Salmon poinformował mnie już niemal rok wcześniej, że wypowiedzieliśmy wojnę Niemcom - żaden z nas nie słyszał nawet o arcyksięciu Franciszku Ferdynandzie - zdałem sobie sprawę z powagi sytuacji dopiero wtedy, kiedy zauważyłem, że handlujący na naszym targu młodzi ludzie stopniowo znikają, idąc "na front", a ich miejsce zajmują młodszy bracia, a czasem nawet siostry. W sobotnie poranki widywało się na East Endzie więcej mężczyzn w mundurach niż cywilów.

Z tego okresu pozostało mi jeszcze jedno wspomnienie, dotyczące pana Schultza, wytwórcy wędlin, którymi zajadaliśmy się w sobotnie wieczory, zwłaszcza wtedy, kiedy z bezzębnym uśmiechem dorzucał nam za darmo jedną kiełbaskę. Przez pewien czas zastawał on co rano rozbitą szybę wystawową, a potem, pewnego dnia, okazało się, że witryna jego sklepu jest zabita deskami. Nigdy więcej nie ujrzeliśmy pana Schultza. - Został internowany - tajemniczym szeptem wyjawiał mi dziadek.

Mój ojciec przyłączał się do nas niekiedy w sobotnie poranki, ale tylko po to, by wyłudzić od dziadka trochę pieniędzy, a następnie pójść "Pod Czarnego Byka" i wydać je do ostatniego pensa w towarzystwie swego kumpla, Berta Shorrocksa.

Dziadek wysypywał co tydzień szylinga, a czasem nawet florena, choć obaj wiedzieliśmy, że go na to nie stać. Złościło mnie to, zwłaszcza że on sam nigdy nie pił i nie miał żyłki do hazardu. Co nie przeszkadzało mojemu ojcu chować pieniędzy do kieszeni, dotykać lekko swej czapki i pośpiesznie wyruszać w kierunku "Czarnego Byka".

Rytuał ten powtarzał się z tygodnia na tydzień i być może nigdy nie uległby zmianie, gdyby pewnego dnia jakaś kobieta z nosem jak kartofel, którą zauważyłem wcześniej, bo od kilku dni stała na naszym rogu w długiej czarnej sukni i z parasolem w ręce, nie podeszła do naszego straganu i nie wetknęła ojcu w klapę białego piórka.

Nigdy nie widziałem go tak wściekłego - znacznie bardziej niż w sobotnie wieczory, kiedy wracał do domu przegrawszy wszystkie pieniądze, tak pijany, że musieliśmy wszyscy chować się pod łóżko.

Uniósł w kierunku damy zaciśniętą pięść, ale ona nie tylko nie okazała cienia lęku, lecz w

dodatku zarzuciła mu w żywe oczy tchórzostwo. Zwymyślał ją słowami, które zachowywał zwykle dla inkasenta czynszu. Potem wyrwał jej wszystkie białe pióra, cisnął je do rynsztoka i energicznym krokiem ruszył w kierunku "Czarnego Byka". Co więcej, nie wrócił do domu na podany nam przez Sal obiad, złożony z pieczonej ryby z frytkami. Nie miałem powodu do narzekania, bo idąc tego popołudnia na mecz West Ham zabrałem z sobą jego porcję. Wieczorem, po powrocie, też nie zastałem go w domu, a budząc się rano stwierdziłem, że w łóżku ojca nikt nie spał.

Kiedy dziadek przyprowadził nas z południowej mszy, nadal nie było po nim ani śladu, więc po raz drugi z rzędu spałem sam w podwójnym łóżku.

- Pewnie znowu spędził noc w areszcie - orzekł w poniedziałek rano dziadek, kiedy pchałem nasz wózek środkiem jezdni, starając się unikać kup nawozu, pozostawionych przez konie, które ciągnęły omnibusy z City i do City, wzdłuż linii kolejki podziemnej Metropolitan.

Kiedy mijaliśmy dom pod numerem 110, dostrzegłem przyglądającą się nam z okna panią Shorrocks; jak zwykle miała podbite oko i sporo różnobarwnych sińców, które fundował jej zazwyczaj Bert w sobotni wieczór.

- Możesz pójść koło południa na policję i wykupić go - powiedział dziadek. - Do tej pory powinien wytrzeźwieć.

Zasepiłem się na myśl o konieczności zapłacenia grzywny w wysokości pół korony, czyli równowartości naszych dziennych zarobków.

Kilka minut po dwunastej zjawiłem się w komisariacie. Dyżurny sierżant oznajmił, że Bert Shorrocks nadal przebywa w celi, gdyż ma stanąć przed sądem dopiero po południu, a potem poinformował mnie, że policjanci nie widzieli mojego ojca przez cały weekend.

- Możesz być pewny, że się znajdzie jak zły szeląg - powiedział ze śmiechem dziadek.

Ale minął z górą miesiąc, zanim ojciec pojawił się na nowo.

Kiedy go ujrzałem, nie wierzyłem własnym oczom - był od stóp do głów ubrany w mundur koloru khaki. Wstąpił do drugiego batalionu Strzelców Królewskich. Powiedział nam, że spodziewa się przeniesienia na front w ciągu kilku najbliższych tygodni, ale z pewnością wróci na Boże Narodzenie. Jakiś oficer zapewnił go, że cholerne Szwaby zostaną do tej pory dawno wygnane z Francji.

Dziadek pokręcił głową i zmarszczył brwi, a ja byłem tak dumny z mego taty, że przez resztę dnia snułem się za nim po rynku. Nawet dama, która stała na rogu i rozdawała białe pióra, kiwnęła na jego widok z uznaniem głową. Zmierzyłem ją pogardliwym wzrokiem i obiecałem ojcu, że jeśli Niemcy nie zostaną wygnani do Bożego Narodzenia, porzucę pracę na targu i wstąpię do jego oddziału, by Pomóc mu ich wykończyć. Poszedłem z nim nawet tego wieczora "Pod Czarnego Byka", gotów wydać moje tygodniowe pobory na 2 - Prosto jak strzelił wszystko, czego zapragnie. Ale nikt nie pozwolił mu płacić za drinki, więc nie wydałem ani pół pensa. Nazajutrz ojciec wyjechał od nas do swego pułku bardzo wcześnie, zanim jeszcze obaj z dziadkiem wyruszyliśmy na targ.

Ojciec nie pisał do nas, ponieważ nie umiał pisać, ale wszyscy mieszkańcy East Endu wiedzieli, że dopóki rodzina wysłanego na front żołnierza nie otrzyma jednej z tych brązowych kopert, które zastaje się pod drzwiami mieszkania, można zakładać, iż dany uczestnik wojny nadal żyje.

Pan Salmon czytał mi czasem na głos poranną gazetę, ale ponieważ nigdy nie mógł w niej znaleźć żadnej wzmianki o Strzelcach Królewskich, nie miałem pojęcia, co porabia mój ojciec. Modliłem się tylko, żeby nie wysłano go do miejscowości o nazwie Ypres, gdzie jak donosił dziennik, armia nasza poniosła wielkie straty w ludziach.

Nasza rodzina spędziła tego roku bardzo spokojne Świąta, ponie waż mimo obietnic owego oficera ojciec nie powrócił z frontu.

Sal, która pracowała jako kelnerka w jakiejś kawiarni na Commercial Road, poszła do pracy w drugi dzień Bożego Narodzenia, a Grace podczas całych Świąt miała dyżur w London Hospital; po domu plątała się tylko Kitty, ale i ona, obejrzawszy prezenty otrzymane przez wszystkich członków rodziny, wróciła do łóżka. Kitty nigdy nie potrafiła wytrwać na posadzie dłużej niż tydzień, ale mimo to była jakimś cudem lepiej ubrana niż którekolwiek z nas. Pewnie dlatego, że jej kolejni adoratorzy gotowi byli wydać na nią przed pójściem na front wszystkie pieniądze do ostatniego pensa. Trudno mi było sobie wyobrazić, co im powie, jeśli wszyscy wrócą tego samego dnia.

Od czasu do czasu Kitty wyrażała gotowość przepracowania kilku godzin na naszym straganie, ale zniknęła szybko, gdy tylko udało jej się zgarnąć dzienne przychody. - Nie ma z niej żadnego pożytku - mawiał dziadek. Ale ja nie skarżyłem się. Skończyłem szesnaście lat, nie miałem żadnych zmartwień i myślałem tylko o tym, kiedy wreszcie zostanę właścicielem własnego wózka.

Pan Salmon powiedział mi, że najlepsze wózki można kupić na Old Kent Road, ponieważ liczni młodzi ludzie, w odpowiedzi na apele Kitchenera, szli walczyć za króla i ojczyznę. Był pewien, że jest to najlepsza okazja zrobienia - jak to nazywał - dobrego interesu. Podziękowałem mu i poprosiłem, by nie wspominał o planach dziadkowi, chciałem bowiem ubić ten "interes", zanim się o nim dowie.

W najbliższy sobotni ranek poprosiłem dziadka o kilka godzin wolnego.

- Znalazłeś sobie jakąś dziewczynę, co? Bo mam nadzieję że nie wybierasz się na pijaństwo?

- Ani jedno, ani drugie - odparłem z uśmiechem. - Ale będziesz pierwszym człowiekiem, który dowie się, o co chodzi. Obiecuję ci to. - Dotknąłem czapki i wyruszyłem pospiesznie w kierunku Old Kent Road.

Przeszedłem przez Tower Bridge na drugą stronę Tamizy i pomaszerowałem na południe tak daleko, jak jeszcze nigdy w życiu, a kiedy dotarłem do konkurencyjnego targu, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Nie widziałem jeszcze tak wielu wózków. Były ustawione w rzędy. Długie, krótkie i pękate wózki, we wszystkich kolorach tęczy. Na wielu spośród nich wypisane były nazwiska kupców, znane na East Endzie od kilku pokoleń. Spędziłem ponad godzinę oglądając przeznaczone na sprzedaż stragany, ale ciągle wracałem do tego, na którego bocznych ścianach wypisano błękitno-złotymi literami: "Największy wózek świata".

Kobieta sprzedająca ten wspaniały obiekt oznajmiła mi, że został on wykonany zaledwie przed miesiącem, że jej zabity niedawno przez Szwabów mąż zapłacił za niego trzy funty i że ona nie odda go ani o pensa taniej.

Wyjaśniłem jej, że cały mój majątek nie przekracza dwóch funtów, ale gotów jestem spłacić pozostałą należność w ciągu sześciu miesięcy.

- Za sześć miesięcy wszyscy możemy leżeć już w grobach - odparła potrząsając głową jak ktoś, kto dobrze zna wartość tego rodzaju zapewnień.

- Więc dam pani dwa funty sześć pensów i dołożę wózek mego dziadka - powiedziałem bez zastanowienia.

- A kto jest twoim dziadkiem?

- Charlie Trumper - oznajmiłem z dumą, choć prawdę powiedziawszy nie spodziewałem się, by mogła o nim słyszeć.

- Charlie Trumper jest twoim dziadkiem?

- I cóż z tego? - spytałem wyzywająco.

- W takim razie wystarczy, jeśli dasz mi na razie dwa funty i sześć pensów, młody człowieku - odparła kobieta. - I postaraj się spłacić resztę do Bożego Narodzenia.

Tak po raz pierwszy odkryłem znaczenie słowa "reputacja", Wręczyłem kobiecie moje życiowe oszczędności i obiecałem, że dopłacę pozostałe dziewiętnaście szylingów i sześć pensów przed końcem roku.<

Potwierdziłem umowę uściskiem dłoni, a potem chwyciłem za rączki i zacząłem pchać mój pierwszy własny wózek przez most wiodący ku Whitechapel Road. Kiedy Sal i Kitty ujrzały mój skarb, podskakiwały jak szalone z radości i pomogły mi nawet napisać na nim: "Charlie Trumper, uczciwy kupiec, rok założenia 1823". Ja zaś czułem pewność, że dziadek będzie ze mnie dumny.

Gdy tylko zakończyliśmy pracę, nie czekając na wyschnięcie farby, triumfalnie potoczyłem własny wózek w kierunku rynku.

Kiedy stragan dziadka znalazł się w polu mego widzenia, uśmiechałem się już od ucha do ucha..

Tłum zebrany wokół jego wózka wydał mi się niezwykle gęsty jak na sobotnie przedpołudnie i nie mogłem zrozumieć, dlaczego na mój widok wszyscy nagle ucichli.

- Przyszedł młody Charlie! - zawołał ktoś z obecnych, a ja zobaczyłem, że odwracają się ku mnie liczne twarze. Wyczuwając instynktownie jakieś nieszczęście puściłem rączki nowego wózka i wbiegłem w tłum. Ludzie rozstąpili się pospiesznie, robiąc przejście. Gdy tylko przedarłem się do przodu, zobaczyłem, że dziadek leży na trotuarze, z głową opartą o skrzynkę jabłek, a jego twarz jest blada jak papier.

Podbiegłem do niego i padłem na kolana. - To ja, Charlie, dziadku! to ja, jestem przy tobie! - zawołałem. - Co mogę dla ciebie zrobić?

Powiedz mi tylko, czego chcesz, a ja spełnię każde twoje życzenie.

Powoli zmrużył oczy, w których malowało się ogromne znużenie.

- Posłuchaj mnie uważnie, chłopcze - powiedział, z wysiłkiem chwytając oddech. - Wózek należy odtąd do ciebie, więc nigdy nie spuszczaaj z oczu swego straganu na dłużej niż kilka godzin.

- Ależ to twój wózek i twój stragan, dziadku! Jakże będziesz pracował bez wózka i bez straganu? - spytałem. Ale on już mnie nie słyszał.

Nigdy do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, że którykolwiek ze znanych mi ludzi może umrzeć.

ROZDZIAŁ 2

Nabożeństwo żałobne za dziadka odbyło się w bezchmurny poranek na początku lutego w kościele Najświętszej Marii Panny i Św. Michała na Jubilee Street. Gdy członkowie chóru zajęli swe krzesła, pozostały tylko miejsca stojące i nawet pan Salmon w długim czarnym płaszczu i czarnym kapeluszu z szerokim rondem stał wśród tych, którzy tłoczyli się w głębi głównej nawy.

Kiedy Charlie ustawił nazajutrz rano swój nowiutki wózek na miejscu zajmowanym dotąd przez dziadka, pan Dunkley wyszedł ze swego sklepu z rybami, by podziwiać nowy nabytek.

- Mogę na nim zmieścić niemal dwa razy więcej towaru niż na starym straganie mojego dziadka - oznajmił mu Charlie. - Co więcej, pozostało mi do spłacenia tylko dziewiętnaście szylingów i sześć pensów. - Ale pod koniec tygodnia stwierdził, że jego wózek nadal w połowie wypełniają nieświeże produkty, których nikt nie chciał kupować. Nawet Sal i Kitty kręciły nosami, kiedy oferował im w prezencie szerniałe banany i poobijane brzoskwinie. Dopiero po kilku tygodniach nowo upieczony kupiec zorientował się, jakie mniej więcej ilości produktów zaspokoją codzienne zapotrzebowanie klientów, a jeszcze dłużej trwało, nim odkrył, że zapotrzebowanie to zmienia się z dnia na dzień.

W pewien sobotni poranek, kiedy zaopatrzył się już w towar i wracał ze swym wózkiem do Whitechapel, usłyszał nagle czyjś ochryply krzyk.

- Armia brytyjska zdziesiątkowana nad Sommą! - darł się stojący na rogu Covent Garden gazeciarz, wymachując nad głową egzemplarzem jakiegoś dziennika.

Charlie odżałował półpensówkę na zakup "Daily Chronicle", a Potem usiadł na trotuarze i zaczął czytać, wybierając znane sobie wyrazy. Tak dowiedział się o śmierci tysięcy brytyjskich żołnierzy który brali wraz z Francuzami udział we wspólnych działaniach wymierzonych przeciw armii cesarza Wilhelma. Fatalny manewr skończył się katastrofą. Generał Haig zapowiadał, że jego żołnierze będą się posuwać naprzód o czterysta jardów dziennie, a tymczasem zostali oni zmuszeni do odwrotu. Okrzyk: - "Wrócimy do domu na Boże Narodzenie!" brzmiał teraz jak żalosna przechwałka.

Charlie wrzucił gazetę do rynsztoka. Był pewien, że żaden Niemiec nie zabije jego ojca, ale w ostatnim czasie zaczął odczuwać wyrzuty sumienia, że tak obojętnie traktuje wysiłek wojenny, zwłaszcza odkąd Grace zgłosiła się do ochotniczej służby w szpitalu polowym, położonym zaledwie o pół mili za linią frontu.

Ale choć pisywała do niego stamtąd co miesiąc, nie była w stanie podać mu żadnych informacji, dotyczących miejsca pobytu ojca.

„Jest tu pół miliona żołnierzy - donosiła - a ponieważ są zmoknięci, zmarznięci i głodni, wszyscy wyglądają tak samo”. Sal nadal była kelnerką na Commercial Road i spędzała wszystkie wolne chwile na poszukiwaniu męża, natomiast Kitty bez trudu znajdowała licznych mężczyzn, gotowych

zadbać o jej wszystkie potrzeby, prawdę mówiąc z trzech sióstr Charlie'ego jedynie Kitty miała podczas dnia dość wolnego czasu, by pomagać mu przy straganie, ale ponieważ nigdy nie wstawała przed wschodem słońca i wymykała się na długo przed jego zachodem, nadal nie było z niej jak powiedziałby dziadek - wielkiego pożytku.

Minęło kilka tygodni, nim młody Charlie przestał odwracać głowę, by spytać: - Ile, dziadku? Po czemu, dziadku? Czy można udzielić kredytu pani Ruggles, dziadku? - I dopiero kiedy spłacił należność za nowy wózek do ostatniego pensa i został niemal bez kapitału obrotowego, zaczął zdawać sobie sprawę, jak dobrym kupcem musiał być stary Charlie.

W ciągu pierwszych kilku miesięcy zarabiał zaledwie kilka pensów tygodniowo i Sal utwierdziła się w przekonaniu, że wylądują wszyscy w przytułku, gdyż nie będą w stanie regularnie płacić czynszu. Błagała Charlie'ego, by sprzedał stary wózek dziadka choćby za funta, ale on niezmiennie odpowiadał: - Nigdy! - a potem dodawał, że gotów jest raczej głodować i patrzeć, jak stara pamiątka próchnieje na podwórku, niż oddać ją w obce ręce.

Jesienią 1916 roku interesy zaczęły iść trochę lepiej, a największy wózek świata przyniósł wystarczający dochód, by Sal mogła sobie kupić używaną suknię, Kitty - parę butów, a Charlie stare ubranie z trzeciej ręki.

Choć nadal był szczupły - osiągnął dopiero wagę muszą - i wcale nie wyróżniał się wzrostem, zauważył, że stojące na rogu Whitechapel Road damy, które niestrudzenie wręczały białe piórka wszystkim mężczyznom, wyglądającym na więcej niż osiemnaście, a mniej niż czterdzieści lat, zaczynają przyglądać mu się jak niecierpliwe sępy.

Charlie nie bał się Niemców, ale nadal miał nadzieję, że wojna skończy się szybko, a jego ojciec wróci do Whitechapel i dalej będzie za dnia pracował w dokach, a wieczorami popijał "Pod Czarnym Bykiem". Ale ponieważ nie dostawał listów, a gazety zamieszczały bardzo skąpe informacje, nawet pan Salmon nie mógł mu wyjaśnić, co naprawdę dzieje się na froncie.

W miarę upływu miesięcy Charlie zaczął coraz lepiej orientować się w potrzebach swych klientów, a oni odkrywali stopniowo, że oferuje im na swym wózku lepszy towar za daną cenę niż którykolwiek z jego konkurentów. On sam poczuł, że sytuacja ulega poprawie, gdy pewnego ranka zjawiała się u niego uśmiechnięta pani Smelley i kupiła na potrzeby swego pensjonatu więcej ziemniaków, niż miał szansę sprzedać któremuś ze swych regularnych klientów w ciągu miesiąca.

- Wie pani co, mógłbym dostarczać pani zamówione towary - powiedział, uchylając czapkę. - Mogę przywozić je wprost do pensjonatu w każdy poniedziałek rano.

- Nie, dziękuję ci, Charlie - odparła pani Smelley. - Lubię zawsze oglądać to, co kupuję.

- Niech pani da mi szansę się sprawdzić, pani Smelley, a wtedy nie będzie pani musiała wychodzić z domu bez względu na pogodę, jeśli okaże się, że w pensjonacie jest więcej gości, niż pani się spodziewała.

Spojrzała na niego uważnie. - No dobrze, zawrę z tobą umowę na dwutygodniowy okres próbny - powiedziała. - Ale jeśli kiedykolwiek mnie zawiedziesz, Charlie...

- Zgadza się na pani warunki - powiedział z uśmiechem Charlie i od tej pory pani Smelley nigdy już osobiście nie kupowała na targu jarzyn ani owoców.

Po tym pierwszym sukcesie Charlie postanowił rozszerzyć dostawę towarów na innych klientów z East Endu. Miał nadzieję, że w ten sposób uda mu się zwiększyć swe dochody, a może nawet je podwoić. Następnego ranka wytoczył z podwórka stary wózek dziadka, oczyścił go z pajęczyn i pokrył cienką warstwą nowej farby, a potem kazał Kitty jeździć od domu do domu i zbierać

zamówienia. Sam zamierzał tymczasem handlować nadal na swoim stanowisku w Whitechapel.

W ciągu kilku dni stracił cały dochód osiągnięty na przestrzeni minionego roku i stwierdził nagle, że znów stoi na początku drogi.

Jak się okazało, Kitty nie miała głowy do cyfr, a co gorsza, wierzyła we wszystkie opowiadane jej smutne historyjki i często oddawała towar za darmo. Pod koniec tego miesiąca Charlie był niemal zrujnowany i ponownie nie miał na czynsz.

- I jakież wnioski wyciągnąłeś z tego nierozważnego kroku? - spytał Dan Salmon, stojąc na progu swego sklepu w zsuniętej na tył głowy jarmułce i trzymając kciuki w kieszonkach kamizelki, z której dumnie wystawał jego zegarek.

- Pomyśl dwa razy, zanim zatrudnisz kogoś z własnej rodziny i nigdy nie zakładaj, że ktokolwiek płaci swe długi.

- Doskonale - stwierdził pan Salmon. - Szybko się uczysz. Więc ile potrzebujesz, żeby zapłacić czynsz i przetrwać najbliższy miesiąc?

- O co panu chodzi? - spytał Charlie.

- Ile? - powtórzył pan Salmon.

- Pięć funtów - odparł Charlie, spuszczać głowę.

W piątek wieczorem, po zasunięciu żaluzji w swym sklepie, Dan Salmon wręczył Charlie'emu pięć suwerenów, dodając kilka płatków macy. - Oddasz mi, kiedy będziesz mógł, chłopcze, i nie mów o niczym mojej żonie, bo obaj znajdziemy się w opałach.

Charlie spłacał dług w tygodniowych ratach po pięć szylingów i zwrócił całą należność w ciągu dwudziestu tygodni. Zapamiętał na zawsze dzień spłaty ostatniej raty, bo tego właśnie dnia odbył się pierwszy wielki nalot na Londyn, więc spędził większą część wieczora ukryty pod łóżkiem ojca, tuląc do siebie obie przestraszone siostry.

Następnego ranka przeczytał w "Daily Chronicle" o bombardowaniu i dowiedział się, że stu londyńczyków zginęło podczas nalotu, a czterystu odniosło rany.

Pogryzając jak co dzień jabłko, które zastępowało mu śniadanie, dostarczył cotygodniowe zamówienie pani Smelley i wrócił na swoje stanowisko przy Whitechapel Road. W poniedziałki zawsze był spory ruch, bo wszyscy uzupełniali uszczuplone podczas weekendu zapasy, więc kiedy wpadł na podwieczorek do stojącego pod numerem 112 domu, był wyczerpany. Wbijał właśnie widelec w porcję wieprzowiny w cieście, kiedy usłyszał stukanie do drzwi.

- Kto to może być? - spytała Kitty, podczas gdy Sal nakładała bratu na talerz drugiego kartofla.

- Tylko w jeden sposób możesz się o tym przekonać, moja droga - odparł Charlie, nie ruszając się z miejsca.

Kitty niechętnie odeszła od stołu i wróciła w chwilę później z nadętą miną.

- To Becky Salmon. Mówi, że chce z tobą porozmawiać.

- Doprawdy? Więc poproś pannę Salmon do saloniku - z szerokim uśmiechem polecił jej Charlie.

Kitty, ociągając się, ponownie wyszła z kuchni, a Charlie wstał od stołu, dojadając po drodze resztkę potrawy. Przeszedł z nią do jedyne go pokoju, który nie był sypialnią. Usiadł na starym, obitym skórą krześle i czekał, kończąc przeżuwanie ciasta. W chwilę potem weszła Bogata Porky i stanęła na środku pokoju, tuż przed nim. Nie odzywała się. Był w pierwszej chwili lekko zaskoczony jej tuszą. Choć była o dwa lub trzy cale niższa niż on, musiała ważyć co najmniej o siedem kilo więcej i miała sylwetkę boksera wagi ciężkiej. Najwyraźniej nie przestała opychać się kremowymi bułeczkami swego ojca Charlie przyjrzał się jej śnieżnobiałej bluzce i granatowej plisowanej

spódnicze. Na kieszeni eleganckiego żakietu wyhaftowany był złoty orzeł, otoczony napisem, jakiego nie widział nigdy dotąd. W jej krótkich czarnych włosach tkwiła utrzymująca się z trudem czerwona kokarda, a Charlie zauważył, że czarne buty i białe skarpetki Becky są równie nieskazitelne jak dawniej.

Poprosiłby ją, żeby usiadła, ale nie mógł tego zrobić, bo zajmował jedyne stojące w pokoju krzesło. Poleciał Kitty, żeby zostawiła ich samych. Siostra patrzyła na niego przez chwilę wyzywająco, a potem bez słowa wyszła z pokoju.

- A więc czego sobie życzysz? - spytał Charlie, słysząc trzask zamykanych drzwi.

Rebeka Salmon zaczęła nerwowo dygotać, próbując wydobyć z siebie głos. - Przyszłam do ciebie w związku z tym, co stało się z moimi rodzicami. - Wymawiała poszczególne słowa wolno i starannie i ku oburzeniu Charlie'ego nie miała ani odrobiny lokalnego akcentu z East Endu.

- A co się stało z twoimi rodzicami? - spytał burkliwie, zastanawiając się, czy dziewczyna zauważy, że dopiero niedawno przeszedł mutację. Becky wybuchnęła płaczem. Charlie, nie wiedząc, jak się zachować, zaczął wyglądać przez okno; nic innego nie przyszło mu do głowy.

Becky, drżąc nadal, znów zmusiła się do otwarcia ust.

- Ubiegłej nocy tato zginął podczas nalotu, a mamę odwieziono do szpitala. - Zamilkła nagle, nie dodając żadnych wyjaśnień.

Charlie zerwał się z krzesła. - Nie wiedziałem o tym - oznajmił, zaczynając nerwowo chodzić po pokoju.

- Nie mogłeś o tym wiedzieć - odparła Becky. - Nie powiedziałam jeszcze nic nikomu, nawet naszym subiektom. Myślą, że tato jest chory i zrobił sobie wolny dzień.

- Czy chcesz, żebym ja im to powiedział? - spytał Charlie. - Czy po to tu przyszłaś?

- Nie - odparła, powoli podnosząc głowę, a potem zawiesiła na chwilę głos. - Chcę, żebyś przejął nasz sklep.

Charlie był tak oszołomiony tą propozycją, że choć przestał chodzić po pokoju, nie próbował nawet nic odpowiedzieć.

- Mój ojciec twierdził zawsze, że nie minie wiele czasu, a będziesz miał swój własny sklep, więc pomyślałam...

- Ależ ja nie mam pojęcia o pieczeniu chleba - wyjąkał Charlie, opadając z powrotem na krzesło.

- Dwaj pomocnicy taty wiedzą wszystko o piekarskim fachu, a ja podejrzewam, że ty będziesz wiedział jeszcze więcej przed upływem kilku miesięcy. W tej chwili nasz sklep potrzebuje dobrego sprzedawcy. Mój ojciec mówił zawsze, że jesteś równie dobry jak stary Charlie, a wszyscy wiedzą, że on był najlepszy.

- Ale co z moim wózkiem?

- Stoi tylko o kilka metrów od naszego sklepu, więc będziesz mógł mieć na oku jedno i drugie. - Zawahała się przez chwilę, a potem dodała: - Nie tak, jak w przypadku twego systemu dostaw do klientów.

- A więc wiesz o tym?

- Wiem nawet, że próbowałeś oddać ojcu ostatnie pięć szylingów w sobotę, kiedy wychodził do synagogi. Nie mieliśmy przed Sobą tajemnic.

- A więc jak sobie to wyobrażasz? - spytał Charlie, zaczynając czuć się tak, jakby dziewczyna stale wyprzedzała go o krok.

- Będziesz prowadził sklep i wózek, a dochodami podzielimy się po połowie.

- A co będziesz robić ty, żeby zapracować na udział w zyskach?

- Zamierzam co miesiąc sprawdzać księgi oraz dbać o to, żebyśmy w porę płacili podatki i nie naruszali przepisów rady miejskiej.

- Nigdy dotąd nie płaciłem żadnych podatków - wyznał Charlie.

- A poza tym, kto do diabła przejmuje się radą i jej bezsensownymi przepisami?

Becky po raz pierwszy skierowała na niego uważne spojrzenie ciemnych oczu. - Ludzie, którzy mają nadzieję, że pewnego dnia będą prowadzić poważną firmę, Charlie.

- Podział zysków na pół nie wydaje mi się sprawiedliwy - stwierdził Charlie, nadal usiłując zdobyć przewagę w negocjacjach.

- Mój sklep jest wart znacznie więcej niż twój wózek, a oprócz tego przynosi o wiele większy dochód.

- Przynosił, dopóki żył twój ojciec - odparł Charlie, ale natychmiast zaczął żałować swych słów.

Becky znów kiwnęła głową. - Więc zostajemy wspólnikami czy nie? - wymamrotała cicho.

- Sześćdziesiąt procent dla mnie, czterdzieści dla ciebie - zaproponował Charlie.

Wahała się przez długą chwilę, a potem nagle wyciągnęła do niego rękę. Charlie wstał z krzesła i energicznie uściśnął jej dłoń, potwierdzając w ten sposób, że umowa została zawarta.

Od pogrzebu Dana Salmona Charlie czytywał co rano "Daily Chronicle" w nadziei, że dowie się czegoś o czynaniach drugiego batalionu Strzelców Królewskich i o miejscu pobytu swego ojca.

Wczytał tam, że jego pułk walczy gdzieś we Francji, ale gazeta nie podawała dokładnych danych topograficznych, więc niewiele udało mu się ustalić.

Lektura codziennej gazety była jednak dla niego podwójnie fascynująca, gdyż zaczął interesować się prezentowanymi na każdej stronie ogłoszeniami. Nie mógł uwierzyć, że szlachetnie urodzeni mieszkańcy West Endu gotowi są płacić ciężkie pieniądze za produkty, które jemu wydawały się zbędne i zbyteczne. Mimo to miał ochotę skosztować coca-coli, najnowszego napoju z Ameryki, którego butelka kosztowała pensę, lub wypróbować - choć jeszcze się nie golił - nową maszynkę firmy Gillette, sprzedawaną po sześć pensów za oprawkę i dwa pensy za sześć żyłek. Był przekonany, że jego ojciec, który zawsze używał tylko brzytwy, uznałby golenie się taką maszynką za dowód zniewieściałości. Absurdalna wydawała mu się też cena gorsetu dla kobiet, który kosztował aż dwie gwiney. Był przekonany, że ani Sal, ani Kitty nigdy nie będą nosiły takiego gorsetu; mogła go potrzebować - i to niebawem - Bogata Porky, o ile dalej będzie tyła w takim tempie jak dotąd.

Był tak zafascynowany tą najwyraźniej nieograniczoną chłonnością rynku, że zaczął wyprawiać się w niedzielne poranki na West End, by obejrzeć na własne oczy te wszystkie luksusy. Jechał konnym tramwajem do Chelsea, a potem powoli wracał piechotą w stronę Mayfair, oglądając po drodze wszystkie towary prezentowane na wystawach sklepów. Obserwował też stroje mieszkańców tej dzielnicy i podziwiał mechaniczne pojazdy, które pędziły środkiem jezdni wypuszczając kłęby spalin, ale nie zostawiając odchodów. Zaczął się nawet zastanawiać, ile kosztowałoby wynajęcie sklepu w Chelsea.

W pierwszą niedzielę października 1917 roku zabrał ze sobą Sal, tłumacząc jej, że powinna zobaczyć, jak wygląda zachodnia część Londynu.

Oboje szli powoli od jednej wystawy do drugiej, a Charlie nie mógł ukryć podniecenia, jakie budziły w nim wszystkie nowe odkrycia.

Potrafił wpatrywać się przez długie minuty w odzież męską, kapelusze, buty, suknie, perfumy, bieliznę, a nawet ciastka i wypieki.

- Na miłość boską, wracajmy już do Whitechapel, gdzie czujemy się jak u siebie w domu - powiedziała w końcu Sal. - Bo jedno jest pewne: tutaj nigdy nie będę się tak czuła.

- Czy nie rozumiesz, że pewnego dnia zostanę właścicielem sklepu w Chelsea? - spytał Charlie.

- Przestań gadać głupstwa. Na coś takiego nie mógł by sobie pozwolić nawet Dan Salmon.

Charlie uznał, że nie warto nawet odpowiadać.

Becky trafnie oceniła czas, w jakim Charlie będzie w stanie nauczyć się tajników zawodu piekarza. W ciągu miesiąca wiedział niemal tyle o temperaturach pieców, aparaturze kontrolnej, wyrastaniu drożdży i właściwych proporcjach między wodą a mąką, ile dwaj pracownicy piekarni, a ponieważ obsługiwali oni tych samych klientów, którzy kupowali na wózku Charlie'ego, obroty obu firm spadły podczas pierwszego kwartału bardzo nieznacznie.

Becky dotrzymała słowa i utrzymywała rachunki w stanie idealnego porządku, a nawet objęła księgowością obroty wózka. Pod koniec pierwszych trzech miesięcy istnienia spółki przyniosła ona dochód w wysokości czterech funtów i jedenastu szylingów, mimo że w piekarni trzeba było zainstalować nowy gazowy piec, a Charlie pozwolił sobie na kupno pierwszego w życiu używanego ubrania.

Sal nadal pracowała jako kelnerka na Commercial Road, ale Charlie wiedział, że nie może doczekać się chwili, w której znajdzie się kandydat do jej ręki. Sama mówiła, że wyjdzie za każdego, bez względu na jego urodę, byleby mogła sypiać we własnym pokoju.

Grace nigdy nie zapomniała o wysłaniu listu do rodziny w pierwszym dniu każdego miesiąca i choć była otoczona przez śmierć, zachowywała najwyraźniej pogodę ducha. Ojciec O'Malley mówił swym parafianom, że dziewczyna wdała się w matkę. Kitty nadal robiła, co chciała, pożyczając pieniądze od obu siostr oraz brata i nigdy ich nie oddając. Proboszcz tłumaczył swym wiernym, że ta dziewczyna wdała się w ojca.

- Podoba mi się twoje nowe ubranie - powiedziała pani Smelley, kiedy Charlie dostarczył jej pewnego poniedziałkowego popołudnia cotygodniowe zamówienie. Zaczerwienił się, uchylił czapki i udając, że nie słyszał komplementu, pognął do piekarni.

Zanosilo się na to, że w drugim kwartale obie prowadzone przez Charlie'ego firmy powiększą swoje dochody, a on uprzedził Becky o swym zamiarze odkupienia sklepu rzeźnika, którego jedyny syn stracił życie pod Passchendaele. Becky ostrzegła go przed pochopnym inwestowaniem w kolejne przedsięwzięcie, zanim nie dowiedzą się, jakie zyski przynosi sklep, i nie porozmawiają z subiektami, którzy byli już w dość podeszłym wieku. - Ponieważ jedna rzecz jest pewna, Charlie - powiedziała mu, kiedy usiedli pewnego dnia w małym pokoiku za sklepem Salmonów, by sprawdzić miesięczny bilans - a mianowicie to, że nie masz pojęcia o prowadzeniu rzeźni.

Nadal podoba mi się napis: "Charlie Trumper, uczciwy kupiec, rok założenia 1823" - dodała - ale napis: "Trumper, głupi bankrut, rok likwidacji 1917" - nie budzi mego zachwyty.

Becky również dała mu do poznania, że dostrzega nowe ubranie, ale dopiero wtedy, kiedy skończyła sprawdzać długie kolumny liczb. Miał właśnie odwzajemnić jej komplement i stwierdzić, że chyba trochę schudła, kiedy sięgnęła po kolejne ciastko z owocami.

Przesunęła lepkim palcem po miesięcznym rozliczeniu, a potem porównała sumę z wypisanym ręcznie raportem bankowym, dotyczącym stanu konta. "Dochód: osiem funtów i czternaście szylingów" - napisała schludnie czarnym atramentem u dołu strony.

- W tym tempie zostaniemy milionerami, zanim dobieję czterdziestki - powiedział z uśmiechem Charlie.

- Czterdziestki, Charlie? - powtórzyła z naganą w głosie Becky.

- Nie bardzo ci się do tego spieszy, prawda?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Tylko to, że miałam nadzieję zostać milionerką znacznie wcześniej.

Charlie zaśmiał się głośno, by zatuszować niepewność, czy Becky żartuje, czy mówi serio. Potem zaczął przygotowywać się do zamknięcia piekarni, a dziewczyna sprawdziła, czy atrament wysechł, zamknęła księgi rachunkowe i odłożyła je do swojej torby. Kiedy wyszli na ulicę, Charlie pożegnał współpraczkę przesadnie niskim ukłonem.

Potem przekręcił klucz w zamku i ruszył w stronę domu. Popychając w kierunku zachodzącego słońca wózek z resztkami nie sprzedanych tego dnia towarów, gwizdał fałszywie melodię "Lambeth Walk". - Czy naprawdę mogę zostać milionerem przed ukończeniem czterdziestki - myślał - czy też Becky tylko żartowała sobie ze mnie?

Kiedy mijał dom Berta Shorroksa, zatrzymał się nagle. Przed domem opatrzonym numerem 112 stał w długiej czarnej sutannie i czarnym kapeluszu ojciec O'Malley, trzymając w ręku oprawioną na czarno Biblię.

ROZDZIAŁ 3

Charlie siedział w przedziale pociągu jadącego do Edynburga i rozmyślał o swych poczynaniach z okresu ostatnich czterech dni.

Becky nazwała jego postawę oślim uporem, a Sal - po prostu głupotą. Pani Smelley uważała, że nie ma obowiązku się zgłaszać, dopóki nie otrzyma karty powołania, zaś Grace nadal opatrywała rannych na Zachodnim Froncie, więc nie wiedziała nawet o tym, co robi jej brat. Jeśli idzie o Kitty, to zrobiła tylko nachmurzoną minę i zapytała go, jak ma przeżyć bez jego pomocy.

W liście poinformowano go, że szeregowiec George Trumper zginął śmiercią bohatera 2 listopada 1917, podczas ataku na linie nieprzyjacielskie pod Polygon Wood. Tego dnia zginęło ponad tysiąc żołnierzy, szturmujących dziesięćmilionowy odcinek frontu (od Mesyny do Passchendaele), nie było więc zaskakujące, że list sierżanta był krótki i zwięzły.

Po bezsennej nocy Charlie ustawił się następnego ranka jako pierwszy pod biurem werbunkowym na Great Scotland Yard. Wywieszony na ścianie plakat wzywał mężczyzn od osiemnastego do czterdziestego roku życia, by zgłosili się na ochotnika do służby w armii "Generała Haiga".

Charlie, który nie miał jeszcze osiemnastu lat, modlił się, by go nie odrzucono."

Kiedy dyżurny sierżant warknął: - Nazwisko? - Charlie wysunął naprzód klatkę piersiową i podniesionym głosem zawołał: - Trumper! - Potem czekał niecierpliwie na ciąg dalszy.

- Data urodzenia? - spytał jakiś mężczyzna z trzema paskami na ramieniu.

- Dwudziesty stycznia 1899 - odparł bez wahania Charlie, ale na jego policzkach pojawił się natychmiast nerwowy rumieniec.

Dyżurny sierżant spojrzał na niego i mrugnął porozumiewawczo.

Litery i cyfry wpisane zostały do arkusza ewidencyjnego bez komentarza. - Zdejmij czapkę, chłopcze, i zamelduj się u lekarza wojskowego.

Pielęgniarka zaprowadziła Charlie'ego do małego pokoiku, w którym jakiś starszy mężczyzna w długim białym kitlu kazał mu się rozebrać do pasa, zakaszleć, wysunąć język i głęboko oddychać, a potem zaczął go dotykać jakimś zimnym gumowym przedmiotem.

Później zajrzał mu w oczy i uszy, a następnie postukał go gumowym prętem po obu kolanach. Po zdjęciu spodni i kalesonów (po raz pierwszy rozbierał się w obecności kogoś, kto nie był członkiem jego rodziny) Charlie dowiedział się, że nie cierpi na żadną zakaźną chorobę - cokolwiek to znaczyło.

Spojrzał na siebie w lustrze, kiedy mierzono mu wzrost - Pięć stóp, dziewięć i jedna czwarta cala - powiedział adiutant.

- I nadal rosnę - chciał dodać Charlie, odgarniając znad oczu kędzior ciemnych włosów.

- Stan uzębienia: dobry, oczy: piwne - stwierdził lekarz. - Nic ci nie dolega - dodał. Potem nakreślił na prawym brzegu formularza szereg ptaszków i polecił mu zgłosić się ponownie do mężczyzny z trzema paskami na ramieniu.

Charlie musiał czekać w jeszcze jednej kolejce, zanim dopuszczono go znów przed oblicze sierżanta.

- W porządku, chłopcze. Podpisz się tutaj, to wystawimy ci nakaz wyjazdu.

Charlie nagryzmolił nazwisko we wskazanym mu palcem przez sierżanta miejscu. Mimo woli zauważył, że podoficer nie ma kciuka.

- Kompania Artylerii czy Królewscy Strzelcy? - spytał sierżant.

- Królewscy Strzelcy - odparł Charlie. - To był pułk mojego ojca.

- A więc będziesz służył w Królewskich Strzelcach - bez namysłu orzekł sierżant i postawił krzyżyk w kolejnej rubryce.

- Kiedy dostanę mundur?

- Dopiero po przyjeździe do Edynburga, chłopcze. Zgłoś się na dworcu King's Cross jutro rano o godzinie ósmej zero zero. Następnym.

Charlie powrócił na 112 Whitechapel Road, by spędzić kolejną bezsenność. Rozmyślał nerwowo o Sal, o Grace i o Kitty; o tym, jak dwie siostry poradzą sobie z życiem pod jego nieobecność.

Potem skupił się na Becky Salmon i na zawartej z nią umowie, ale jego myśli zawsze wracały w końcu do leżącego na zamorskim polu bitwy grobu ojca i do zemsty, jaką zamierzał dokonać na każdym Niemcu, który ośmielił się wejść mu w drogę. Roztrząsał w głowie wszystkie te kwestie, dopóki okien nie rozjaśniły pierwsze smugi brzasku.

Wtedy włożył nowe ubranie, to, które tak chwaliła pani Smelley, najlepszą koszulę, krawat ojca, kaszkiet i swą jedyną parę skórzanych butów. - Nikt nie pomyślałby, że wybieram się na wojnę z Niemcami, a nie na jakieś wesele - powiedział do siebie głośno, przejrząwszy się w wiszącym nad umywalką pękniętym lustrze.

Przy pomocy ojca O'Malleya napisał już wcześniej list do Becky, polecając jej, by sprzedała sklep oraz oba wózki - jeśli tylko będzie to możliwe - i przechowała należną mu część gotówki, aż do jego powrotu na Whitechapel Road. - Nikt już nie wspominał o Bożym Narodzeniu.

- A jeśli nie wrócisz? - spytał, pochylając lekko głowę, ojciec O'Malley. - Co należy wtedy zrobić z twoim udziałem?

- Podzielcie wszystko, co zostanie, na trzy równe części i oddajcie moim siostrom - odparł Charlie.

Ojciec O'Malley spisał polecenia swego byłego ucznia, a Charlie po raz drugi w ciągu minionych dwóch dni złożył podpis na oficjalnym dokumencie.

Kiedy skończył się ubierać, stwierdził, że przy drzwiach frontowych czekają na niego Sal i Kitty, ale mimo ich płaczących nalegań nie pozwolił im odprowadzić się na stację. Obie siostry ucałowały go - po raz pierwszy w życiu - a on musiał siłą wyrwać rękę z dłoni Kitty, zanim schylił się po zawiniętą w brązowy papier paczkę, zawierającą cały jego dobytek.

Samotnie pomaszerował na targ i wszedł po raz ostatni do piekarni. Dwaj subiekci poprzysięgli mu, że nic się nie zmieni do Jego powrotu. Kiedy opuszczał sklep, stwierdził, że jakiś inny chłopak, sądząc z wyglądu o rok młodszy niż on, sprzedaje już kasztany z ustawionego na jego dawnym miejscu wózka. Nie oglądając się poszedł wolno przez rynek w kierunku dworca King's Cross.

Dotarł na stację o pół godziny wcześniej, niż polecono, i natychmiast zameldował się u sierżanta, który poprzedniego dnia wydał mu nakaz wyjazdu. - W porządku, Trumper, weź sobie kubek 3-Prosto jak strzelił herbaty, a potem czekaj na peronie trzecim - powiedział podoficer.

Charlie nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni ktokolwiek wydawał mu polecenia, do których zamierzałby się zastosować. Z pewnością nie wydarzyło się to od śmierci dziadka.

Na peronie trzecim roilo się już od mężczyzn w mundurach i cywilnych ubraniach. Niektórzy z nich prowadzili hałaśliwe rozmowy, inni stali samotnie w milczeniu; jedni i drudzy objawiali na swój sposób poczucie zagubienia.

O jedenastej, w trzy godziny po terminie zbiórki, polecono im w końcu wsiadać do pociągu. Charlie zajął miejsce w rogu nie oświetlonego przedziału i przyglądał się przez brudnawe okno angielskiemu krajobrazowi wiejskiemu, którego nigdy dotąd nie widział.

Jeden ze stojących na korytarzu rekrutów wygrywał nieco fałszywie na harmonijce ustnej wszystkie popularne wówczas melodie. Kiedy mijali dworce różnych miast (o niektórych spośród nich - takich, jak Peterborough, Grantham, Newark, York - Charlie nigdy w życiu nie słyszał), tłumy gapiów machały rękami i wiwatowały na cześć bohaterów. W Durham lokomotywa zatrzymała się, by uzupełnić zapasy węgla i wody. Sierżant komisji poborowej kazał im wsiąść, rozprostować nogi i wypić jeszcze po kubku herbaty, dodając, że jeżeli będą mieli szczęście, mogą nawet dostać coś do jedzenia.

Charlie chodził po peronie z bułką w rękę, słuchając orkiestry wojskowej, która grała "Kraj nadziei i chwały". Wojna była wszędzie obecna. Kiedy znowu wsiedli do pociągu, machały im chusteczkami damy w ozdobionych szpilkami kapeluszach, kobiety, które miały do końca życia pozostać pannami.

Pociąg z sapaniem pędził na północ, oddalając się coraz bardziej od wroga, aż stanął w końcu na Waverly Station w Edynburgu. Kiedy wysiadali z wagonów, witał ich czekający na peronie tłum, składający się z jednego kapitana, trzech podoficerów i tysiąca kobiet.

Charlie usłyszał słowa: - Przejmijcie komendę, starszy sierżancie - a w chwilę później z grona witających wystąpił chyba dwumetrowy mężczyzna, którego potężna klatka piersiowa ozdobiona była baretkami licznych odznaczeń.

- W szeregu zbiórka! - krzyknął olbrzym, w charakterystyczny sposób akcentując słowa. Szybko - choć, o czym miał się niebawem przekonać Charlie, wolno jak na swoje wymagania - ustawił rekrutów w trzy rzędy, a potem złożył meldunek komuś, kto, jak domyślił się Charlie, musiał być oficerem. - Wszyscy obecni, sir! - krzyknął, a najbardziej nienagannie ubrany mężczyzna, jakiego Charlie w życiu widział, odpowiedział na jego raport, przykładając dłoń do czapki. Stojąc obok starszego sierżanta wydawał się niski, choć musiał mieć ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Bluzy od jego nieskazitelnego munduru nie zdobiły żadne odznaczenia, a kanty spodni były tak ostre, że Charlie zastanawiał się, czy właściciel ma je na sobie po raz pierwszy. Młody oficer trzymał w ręku krótką skórzaną trzcinkę i uderzał się nią od czasu do czasu po nodze, zupełnie jakby siedział na koniu. Charlie nie mógł oderwać oczu od jego wojskowego pasa i wysokich brązowych skórzanych butów.

Lśniły one tak jasno, że skojarzyły mu się z Rebeką Salmon.

- Nazywam się kapitan Trentham - poinformował oficer słuchającą go uważnie grupę rekrutów, mówiąc z akcentem, który zdaniem Charlie'ego brzmiałby bardziej naturalnie w dzielnicy Mayfair niż na szkockim dworcu kolejowym. - Jestem zastępcą dowódcy batalionu - ciągnął dalej, kołysząc się z nogi na nogę - i będę odpowiedzialny za was przez cały okres waszego zakwaterowania w

Edynburgu. Najpierw pomaszerujemy do obozu, gdzie otrzymacie przydział niezbędnego sprzętu, żebyście mogli się rozlokować.

Kolacja zostanie podana o osiemnastej zero zero; gaszenie świateł o dwudziestej pierwszej zero zero. Jutro rano, o piątej zero zero, odegrana zostanie pobudka, po czym wstaniecie i zjecie śniadanie, a o szóstej zero zero rozpocznie się podstawowe szkolenie. Ten harmonogram obowiązywać będzie w ciągu najbliższych dwunastu tygodni. I mogę was zapewnić, że przeżyjecie dwanaście tygodni piekła - dodał takim tonem, jakby myśl ta budziła w nim pewne rozbawienie. - Dowódcą waszej jednostki będzie starszy sierżant Philpott. Sierżant walczył nad Sommą, gdzie otrzymał medal, więc wie dokładnie, czego możecie się spodziewać, kiedy w końcu wylądujemy we Francji i będziemy musieli stanąć oko w oko z nieprzyjacielem. Słuchajcie uważnie każdego jego słowa, ponieważ może to kiedyś ocalić wam życie. Przejmijcie komendę, sierżancie.

- Dziękuję, sir - warknął sierżant Philpott.

Zbieranina rekrutów spojrzała z szacunkiem na podoficera, mającego być panem ich życia w ciągu trzech najbliższych miesięcy. Bądź co bądź mieli przed sobą człowieka, który widział wroga na własne oczy i żywy wrócił do kraju.

- No dobrze, ruszajmy - powiedział i poprowadził ulicami Edynburga swych rekrutów, dźwigających najróżniejsze bagaże, od poobijanych walizek po paczki zawinięte w papier pakowy. Szedł bardzo szybko, aby mieszkańcy miasta nie zorientowali się, jak niezdyscyplinowana jest ta zbieranina nowicjuszy. Mimo ich niezbyt wojskowego wyglądu przechodnie zatrzymywali się, wznosząc okrzyki i klaszcząc w dłonie. Charlie zauważył kątem oka, że jeden z nich miał tylko jedną rękę i jedną nogę. W jakieś dwadzieścia minut później, po zapierającej dech w piersiach wspinacze na najwyższe wzgórze, jakie Charlie w życiu widział, wkroczyli do koszar Edinburgh Castle.

Tego wieczora Charlie ze zdumieniem otwierał usta, słuchając różnych dialektów, jakimi mówili otaczający go żołnierze. Po kolacji złożonej z grochówki (- Po jednym ziarnku grochu na osobę - zażartował dyżurny kapral) i konserwowej wołowiny, został zakwaterowany - z każdą chwilą ucząc się nowych słów - w wielkiej sali gimnastycznej, mieszczącej tymczasowo czterysta prycz, szerokich zaledwie na dwie stopy i ustawionych w odległości stopy od siebie.

Na cienkim materacu z końskiego włosia leżało jedno prześcieradło, jedna poduszka i jeden koc. Takie były przepisy.

Po raz pierwszy w życiu pomyślał, że warunki panujące na 112

Whitechapel Road mogą uchodzić za luksusowe. Wyczerpany padł na nie zasłane łóżko i zasnął, ale mimo to obudził się następnego ranka o czwartej trzydzieści. Tym razem jednak nie mógł iść na żaden rynek ani zastanawiać się, czy zjeść na śniadanie jabłko odmiany Koks czy Granny Smith.

O piątej donośny dźwięk trąbki obudził z głębokiego snu jego towarzyszy. Charlie był już na nogach, umyty i ubrany, kiedy do sali wkroczył jakiś mężczyzna z dwoma paskami na rękawie. Głośno zatrzasnął za sobą drzwi i zaczął krzyżeć: - Wstawać, wstawać, wstawać! - kopiąc w krawędź każdej pryczy, na której jeszcze ktoś leżał. Nie wyszkoleni rekruci zrywali się pospiesznie, tworząc kolejkę do miednic wypełnionych w połowie lodowatą wodą, którą zmieniano po umyciu się trzech kolejnych żołnierzy. Niektórzy z nich kierowali się następnie do umieszczonych za budynkiem latryn, które zdaniem Charlie'ego śmierdziały gorzej niż targ przy Whitechapel Road w upalne letnie popołudnie.

Śniadanie składało się z chochli gotowanej owsianki, pół kubka mleka i suchara, ale nikt nie narzekał. Dochodzący z jadalni radosny gwar utwierdziłby każdego Niemca w przekonaniu, że

wszyscy ci rekruci są zjednoczeni przeciw wspólnemu wrogowi.

O szóstej, po pościeleniu i przeglądzie prycz, wszyscy wyszli w ciemności na zimne powietrze i pomaszerowali na plac apelowy, pokryty cienką warstwą śniegu.

- Jeśli to jest uroczą Szkocja, to ja jestem cholernym Holendrem - oznajmił któryś z rekrutów londyńskim akcentem. Charlie roześmiał się po raz pierwszy od wyjazdu z Whitechapel i podszedł do niższego od siebie młodego człowieka, który chował dłonie między uda i zacierał je energicznie, by się choć trochę rozgrzać.

- Skąd jesteś? - spytał.

- Z Poplar, kolego. A ty?

- Whitechapel.

- Czyli jesteś cholernym cudzoziemcem.

Charlie przyjrzał się uważnie nowo poznanemu towarzyszowi broni. Chudy chłopak miał nie więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu, ciemne kędzierzawe włosy i błyszczące czujne oczy, których spojrzenie przez cały czas lustrowało pole widzenia, jakby w oczekiwaniu niebezpieczeństwa. Jego wyświecone, połatane na łokciach ubranie wisiało na nim jak na wieszaku.

- Nazywam się Charlie Trumper.

- A ja Tommy Prescott - odpowiedział chłopak. Przestał się gimnastykować i wyciągnął rozgrzaną dłoń. Charlie uściskał ją energicznie.

- Cisza w szeregu! - wrzasnął starszy sierżant. - A teraz ustawimy was trójkami. Najwyżsi na prawo, najniżsi na lewo. Biegiem marsz!

Charlie i jego rozmówca zostali rozdzieleni.

W ciągu najbliższych dwóch godzin ćwiczyli coś, co starszy sierżant nazwał "musztrą". Śnieg nieustannie padał z zasnutego chmurami nieba, ale sierżant starał się usilnie, by na placu apelowym nie pozostał ani jeden jego płatek. Maszerowali w grupach po dziesięć trójek, które, jak dowiedział się później Charlie, nazywano drużynami, unosząc ręce do wysokości pasa, trzymając głowy w górze, w tempie stu dwudziestu kroków na minutę. - Energicznie, chłopcy! - i: - Równaj krok! - krzyczał stale sierżant. - Szwaby też gdzieś tam maszerują i nie mogą się doczekać spotkania z wami - zapewniał ich, stojąc nieruchomo w gęstym śniegu.

Gdyby działo się to w Whitechapel, Charlie chętnie biegałby po rynku od piątej rano do siódmej wieczorem i nawet przeboksowawszy potem w klubie kilka rund i wypiwszy ze dwa kufle piwa byłby w stanie bez zmrużenia oka powtórzyć nazajutrz ten sam program dnia. Ale kiedy o dziewiątej sierżant ogłosił dziesięciminutową przerwę i pozwolił im napić się gorącego kakao, padł wyczerpany na trawiaste obrzeże placu. Podnosząc wzrok ujrzał pochylonego nad sobą Tommy'ego Prescottta.

- Papierosa?

- Nie, dziękuję - odparł Charlie. - Nie palę.

- Czym się zajmujesz? - spytał Tommy, zapalając zapałkę.

- Mam piekarnię na rogu Whitechapel Road - odparł Charlie - a poza tym...

- Opowiadaj te głupstwa komu innemu - przerwał mu Tommy. - Zaraz zaczniesz mi wmawiać, że twój ojciec jest burmistrzem Londynu.

Charlie zaśmiał się głośno. - No, niezupełnie. A co ty robisz?

- Pracuję w browarze Whitbread and Company na Chiswell Street. Ładuję beczki na platformy, a potem rozwożę je po całym East Endzie. Zarobki są kiepskie, ale co wieczór, przed powrotem do

domu, można się urząnąć za darmo.

- Więc dlaczego wstąpiłeś do wojska?

- To długa historia - odparł Tommy. - Widzisz, zaczyna się od tego...

- No dobra, wracać na plac apelowy! - krzyknął sierżant Philpott i w ciągu następnych dwóch godzin żaden z nich nie był w stanie wykrztusić ani słowa, po prostu z braku tchu w piersiach.

Maszerowali w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, a Charlie miał wrażenie, że kiedy się w końcu zatrzymają, chyba odpadną mu nogi.

Lunch składał się z chleba i sera, których Charlie nigdy nie ośmieliłby się sprzedać pani Smelley. Żując pospiesznie dowiedział się, że Tommy, w wieku dziewiętnastu lat, miał do wyboru dwuletni pobyt na utrzymaniu Jego Królewskiej Mości lub ochotniczą służbę w wojsku. Rzucił monetę i wypadła mu reszka, czyli podobizna monarchy.

- Dwa lata? - spytał Charlie. - Ale za co?

- Od czasu do czasu napoczywałem na własną rękę jakąś beczkę, a do tego miałem własne układy z co sprytniejszymi właścicielami barów. Robiłem to bezkarnie przez długi czas. Sto lat temu powiesiliby mnie na miejscu lub zesłali do Australii, więc nie mam prawa narzekać. W końcu tak zostałem wychowany, no nie?

- Jak to? - spytał Charlie.

- Mój ojciec był zawodowym kieszonkowcem. A przed nim jego ojciec. Powinieneś zobaczyć minę kapitana Trenthama, kiedy dowiedział się, że wolałem służbę w pułku Strzelców Królewskich niż powrót do kryminału.

Przerwa na lunch trwała dwadzieścia minut, a resztę popołudnia zajęło wydawanie mundurów. Charlie, który jak się okazało, miał typowe wymiary, został wyposażony dość szybko, ale minęła niemal godzina, zanim udało się znaleźć cokolwiek, w czym Tommy nie wyglądałby jak człowiek przygotowujący się do wyścigów w workach.

Gdy tylko wrócili na kwaterę, Charlie złożył swe najlepsze ubranie i umieścił je pod łóżkiem sąsiadującym z pryczą Tommy'ego, a potem zaczął maszerować po sali w swym nowym mundurze.

- To odzież nieboszczyka - ostrzegł go Tommy, przyjrząwszy się jego mundurowej kurtce.

- Co to znaczy?

- Została odesłana z frontu. Jest wyprana i pozszywana - odparł Tommy, pokazując pięciocentymetrową cerę, znajdującą się tuż nad sercem Charlie'ego. - Dziura musiała być chyba na tyle szeroka, że zmieściło się w niej ostrze bagnetu.

Po kolejnych dwugodzinnych zajęciach na lodowatym o tej porze placu apelowym poborowych zwolniono na kolację.

- Znów ten cholerny stary chleb i ser - posępnie stwierdził Tommy, ale Charlie był zbyt głodny, by narzekać i śliniąc palec pozbierał nawet okruchy. Potem po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch dni padł jak kłoda na łóżko.

- Czy podobał się wam pierwszy dzień służby królowi i ojczyźnie? - spytał powierzonych swej opiece rekrutów dyżurny kapral, gasząc punktualnie o dwudziestej pierwszej zero zero gazowe lampy w sypialni.

- Tak jest, dziękujemy panie kapralu - krzyknął ktoś z ironią.

- To dobrze - odparł kapral - bo pierwszego dnia zawsze traktujemy was łagodnie.

Charlie był pewien, że jęk, który rozległ się w odpowiedzi na tę zapowiedź, musiał zostać usłyszany w centrum Edynburga. Ponad nerwowymi szeptami, jakie rozległy się po wyjściu kaprala,

dotarł do jego uszu ostatni sygnał na zmianę warty, grany na trąbce z murów obronnych zamku. Zaraz potem zasnął.

Kiedy obudził się następnego ranka, natychmiast wyskoczył z łóżka, był więc umyty i ubrany, zanim którykolwiek z jego kolegów otworzył oczy. Złożył pościel oraz koce i właśnie czyścił buty, kiedy rozległa się pobudka.

- Widzę, że jesteś rannym ptaszkiem - stwierdził Tommy, odwracając się na drugi bok. - Ale po co się tak spieszyć, pytam sam siebie, skoro i tak na śniadanie dostaniesz tylko robaka?

- Jeśli będę pierwszy w kolejce, dostanę przynajmniej ciepłego robaka - odparł Charlie. - Zresztą, tak czy owak...

- Wstawać! Wstawać! - wrzasnął kapral, który wszedł już do sypialni i uderzał kolejno trzcinką w obudowę wszystkich łóżek.

- Oczywiście - stwierdził Tommy, tłumiąc ziewanie - taki przedsiębiorca jak ty musi wstawać wcześniej rano, by upewnić się, że wszyscy pracownicy stoją już w szyku i nie obijają się.

- Hej, wy dwaj, nie gadać i przestać ziewać! - upomniał ich kapral. - I ubierajcie się szybko, bo inaczej traficie do karnej kompanii!

- Jestem już ubrany, kapralu - zaproponował Charlie.

- Nie spieraj się ze mną, chłopcze, i nie mów do mnie "kapralu", tylko "panie kapralu", chyba że chcesz spędzić dzień na czyszczeniu latryn. - Ta groźba skłoniła nawet Tommy'ego do postawienia stóp na podłodze.

Drugi poranek upłynął znów pod znakiem musztry, której towarzyszył tym razem nieustannie padający śnieg. Już kiedy wchodzili na plac apelowy, był on głęboki co najmniej na pięć centymetrów.

Na lunch znów dostali chleb z serem. Popołudnie przeznaczone było jednak tego dnia "Grom i rekreacji". Musieli więc zmienić ubiór, a potem pobiec "w nogę" do sali gimnastycznej, w której po serii ćwiczeń wstępnych rozpoczął się trening bokerski.

Charlie, który w tym czasie miał już wagę lekkośrednią, nie mógł doczekać się wejścia na ring, Tommy zdołał natomiast uniknąć jakimś sposobem walki. Obaj jednak z niepokojem odnotowali obecność kapitana Trenthama, który bezustannie uderzał trzcinką w cholewę swego buta. Stale mieli wrażenie, że kręci się po sali i bacznie ich obserwuje. Uśmiechał się tego popołudnia jedynie wtedy, gdy kogoś znokautowano. A za każdym razem, kiedy na drodze stanął mu Tommy, groźnie marszczył brwi.

- Należę do urodzonych pechowców - oznajmił Charlie'emu Tommy, kiedy skończyły się zajęcia sportowe. - Słyszałeś niewątpliwie powiedzenie "pechowcy rzucają się w oczy". Tak właśnie jest ze mną - tłumaczył przyjacielowi, który leżał już na łóżku, wpatrując się w sufit.

- Czy żołnierzom wolno czasem opuszczać obóz, panie kapralu? - spytał Charlie, kiedy dyżurny podoficer wkroczył do sypialni na kilka minut przed zgaszeniem świateł. - Na przykład za dobre sprawowanie albo coś w tym rodzaju?

- Macie prawo do przepustki w sobotę wieczorem - odparł kapral. - Trzy godziny ograniczonego czasu wolnego, od szóstej do dziewiątej, podczas których możecie robić, co wam się podoba. Nie wolno wam jednak oddalać się od koszar na więcej niż dwie mile, macie zachowywać się w sposób godny Królewskich Strzelców i musicie zameldować się na wartowni, trzeźwi jak niemowlęta, na minutę przed dziewiątą. Śpijcie dobrze, moje chłopaczki. - Skończywszy tę przemowę, zaczął obchodzić koszary, gasząc po drodze wszystkie światła.

Kiedy nadszedł w końcu sobotni wieczór, dwaj obolali, poobijani żołnierze starali się obejść na spuchniętych nogach jak największy obszar miasta, a ponieważ mieli do wydania tylko po pięć szylingów na głowę, wybór barów nie wymagał od nich dłuższych dyskusji.

Charlie stwierdził ze zdumieniem, że Tommy potrafi skłonić wszystkich barmanów do nalewania mu za niewielkie pieniądze nadspodziewanie obfitych porcji piwa, choć na skutek różnicy akcentów nie rozumiał, co do niego mówią, ani sam nie był przez nich rozumiany. Gdy dotarli do ostatniej przystani, baru "Pod Ochotnikiem", Tommy zniknął na chwilę w towarzystwie wyszczekanej, pulchnej barmanki imieniem Rose. W dziesięć minut później był już z powrotem.

- Co tam robiliście? - spytał Charlie.

- A jak myślisz, idioto?

- Ale przecież nie było was tylko przez dziesięć minut.

- To zupełnie wystarczy - stwierdził Tommy. - Tylko oficerowie potrzebują więcej niż dziesięć minut na to, czym się tam zajmowałem.

Podczas następnego tygodnia odbyli pierwsze szkolenie z zakresu obsługi karabinu, kurs walki na bagnety, a nawet lekcję czytania map. Charlie bardzo szybko opanował sztukę posługiwania się mapami, natomiast Tommy w ciągu jednego dnia zgłębił tajemnice konstrukcji karabinu. Już podczas trzeciej lekcji potrafił rozebrać broń i złożyć ją na powrót szybciej niż instruktor.

Podczas tego drugiego tygodnia, w środę rano, kapitan Trentham wygłosił pierwszy wykład, dotyczący dziejów formacji Królewskich Strzelców. Charlie byłby z niego zadowolony, gdyby Trentham nie sugerował stale, że żaden z poborowych nie jest godzien służyć w tym samym pułku co on.

- Ci spośród nas, którzy wybrali Królewskich Strzelców ze względu na historyczne związki swych rodzin z tym pułkiem, mogą uważać, że dopuszczenie kryminalistów do naszych szeregów, tylko ze względu na toczącą się wojnę, bynajmniej nie wpłynie dodatnio na prestiż naszej formacji - stwierdził Trentham, posyłając znaczące spojrzenie w kierunku Tommy'ego.

- Nadęty snob - mruknął Tommy, na tyle głośno, żeby usłyszeli go wszyscy obecni w sali wykładowej, z wyjątkiem kapitana. Wywołany tą uwagą stłumiony wybuch śmiechu skłonił Trenthama do gniewnego zmarszczenia brwi.

W czwartek po południu kapitan Trentham ponownie zjawił się w sali gimnastycznej, tym razem jednak nie uderzał się trzcinką po cholewie buta. Miał na sobie niebieską koszulkę gimnastyczną, granatowe szorty i gruby biały sweter; ten nowy strój był równie schludny i czysty jak jego mundur. Chodził po sali, obserwując prowadzących zajęcia instruktorów, a podczas ostatniej wizyty zdawał się szczególnie interesować przebiegiem toczonych na ringu walk. Dobrane według wagi pary rekrutów przez godzinę uczono podstawowych zasad obrony i ataku. - Trzymaj gardę, chłopcze - rozlegała się ostra komenda, gdy tylko któryś z początkujących adeptów boksu został trafiony w podbródek.

Kiedy przyszła kolej na Charlie'ego i Tommy'ego, ten ostatni wyraźnie dał do zrozumienia przyjacielowi, że zadowolą go trzy minuty walki z cieniem.

- Przestańcie markować walkę, wy dwaj! - krzyknął Trentham, ale Charlie, choć zaczął wyprowadzać ciosy na korpus, nie chciał zadać Tommy'emu większego bólu.

- Jeśli nie weźmiecie się na serio do walki, będziecie kolejno boksować ze mną - wrzasnął Trentham.

- Założę się, że nie znokautowałby nawet muchy - mruknął Tommy, ale tym razem jego głos dotarł

do uszu Trenthama, który ku zgorszeniu instruktora natychmiast wskoczył na ring i oznajmił: - Zaraz się o tym przekonamy. - Potem kazał przynieść sobie parę rękawic.

- Będę walczył z każdym z was przez trzy rundy - oznajmił Trentham, gdy instruktor, z wyraźną niechęcią, zawiązywał mu rękawice. Wszyscy obecni na sali przerwali zajęcia, by obserwować przebieg wydarzeń.

- Ty pierwszy. Jak się nazywasz? - spytał kapitan, wskazując Tommy'ego.

- Prescott, sir - odparł Tommy z uśmiechem.

- Ach, nasz kryminalista - mruknął Trentham i już w ciągu pierwszej minuty zmiótł uśmiech z twarzy Tommy'ego, który musiał tańczyć wokół niego, unikając silnych ciosów. W drugiej rundzie Trentham kilkakrotnie go trafił, ale nie na tyle mocno, by zwalić go z nóg. Zachował to upokorzenie na trzecią rundę, w której znokautował go ciosem podbródkowym, jakiego chłopak z Poplar nigdy dotąd nawet nie widział. Tommy'ego zniesiono z ringu, a Charlie'emu zawiązano rękawice.

- Twoja kolej, rekrucie - oznajmił Trentham. - Jak się nazywasz?

- Trumper, sir.

- No dobrze, bierzmy się do roboty, Trumper - powiedział kapitan, ruszając w jego stronę.

Charlie bronił się skutecznie przez dwie minuty; trzymając się lin i narożników ringu, robił uniki i stosował wszystkie sztuczki, jakich nauczo go w "Klubie Chłopców" w Whitechapel. Czuł, że mógłby skuteczniej stawić czoła swemu przeciwnikowi, gdyby kapitan nie górował nad nim zdecydowanie wagą i wzrostem.

W trzeciej minucie Charlie nabrał pewności siebie i ku zachwytowi widzów zadał nawet przeciwnikowi jeden czy dwa ciosy. Pod koniec rundy czuł, że spisał się zupełnie dobrze. Kiedy rozległ się gong, opuścił rękawice i ruszył w stronę swego narożnika. W sekundę później zaciśnięta pięść kapitana trafiła go w nasadę nosa.

Charlie osunął się na liny. Wszyscy obecni na sali słyszeli gong ogłaszający przerwę, ale nikt nie odważył się pisnąć ani słowa, a kapitan rozsznurował swe rękawice i zszedł z ringu. - Nigdy nie opuszczajcie gardy - poinstruował zebranych.

Kiedy tego wieczora Tommy przyjrzał się twarzy leżącego na łóżku przyjaciela, powiedział tylko: - Przepraszam, kolego, to była moja wina. Ten cholerny drań jest sadystą. Ale nie martw się; jeśli Niemcy nie załatwią tego sukinsyna, zrobię to ja.

Charlie'ego stać było tylko na niepewny uśmiech.

Do soboty obaj wydobrzel na tyle, że mogli stanąć wraz z resztą kompanii do wypłaty żołdu i tłoczyli się w długiej kolejce, by otrzymać po pięć szylingów od płatnika pułkowego. Tym razem podczas ich pobytu w mieście pensy kurczyły się szybciej niż kolejka, ale Tommy nadal potrafił zdobyć za swój żołd więcej piwa niż jakikolwiek inny rekrut.

Na początku trzeciego tygodnia Charlie z najwyższym trudem mieścił opuchnięte nogi w przydzielonych mu butach, ale patrząc na rząd stóp widocznych co rano na podłodze koszar mógł stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że żaden z jego kolegów nie czuje się lepiej.

- Możesz być pewny, że czeka cię kompania karna - wrzasnął kapral. Charlie zerknął na niego i przekonał się, że słowa te były skierowane do siedzącego na sąsiedniej pryczy Tommy'ego.

- Za co, panie kapralu? - spytał Tommy.

- Za stan twojej pościeli. Spójrz tylko na nią. Wygląda tak, jakby spały z tobą tej nocy trzy kobiety.

- Tylko dwie, daję słowo, panie kapralu.

- Nie pyskuj, Prescott, i zgłoś się w latrynie zaraz po śniadaniu.

- Byłem w niej już dziś rano, panie kapralu, dziękuję bardzo.

- Zamknij się, Tommy - przerwał mu Charlie. - Pogarszasz tylko swoją sytuację.

- Zdaje się, że zaczynasz rozumieć mój problem - szepnął Tommy. - Ta armia jest gorsza niż ci cholerni Niemcy.

- Dla twojego dobra mam nadzieję, że się nie mylisz, chłopcze - stwierdził kapral. - Bo to jedyna szansa, żebyś wyszedł z tego wszystkiego z życiem. A teraz do latryny; biegiem marsz!”

Tommy zniknął i wrócił w godzinę później śmierzając jak kupa nawozu.

- Mógłbyś wykończyć całą armię niemiecką, zanim którykolwiek z nas oddałby choć jeden strzał - powiedział Charlie. - Musiałbyś tylko stanąć przed ich liniami, i wczekać na moment, w którym wiatr wiał będzie we właściwym kierunku.

Podczas piątego tygodnia służby - Boże Narodzenie i Nowy Rok minęły bez większego echa - Charlie'emu zlecono sporządzenie harmonogramu służby dla całej drużyny.

- Jeśli tak dalej pójdzie, to jeszcze przed końcem szkolenia zostaniesz cholernym pułkownikiem - stwierdził Tommy.

- Nie bądź głupi - odparł Charlie. - Podczas tych dwunastu tygodni każdy prędzej czy później będzie miał okazję dowodzić drużyną.

- Nie sądzę, żeby pozwolili sobie na takie ryzyko w przypadku mojej osoby - mruknął Tommy. - Kazałbym skierować lufy strzelb w stronę oficerów, a pierwszą kulę posłałbym w kierunku tego drania Trenthama.

Charlie odkrył, że odpowiedzialność związana z dowodzeniem przez siedem dni drużyną sprawia mu wielką przyjemność i żałował, kiedy tydzień dobiegł końca, a on musiał przekazać komendę komu innemu.

Pod koniec szóstego tygodnia Charlie potrafił rozebrać i wyczyścić karabin niemal tak szybko jak Tommy, natomiast jego przyjaciel okazał się świetnym strzelcem i umiał trafić z odległości dwustu jardów w każdy ruchomy cel. Nawet sierżant patrzył na niego z uznaniem.

- Być może przyczyniły się do tego te wszystkie godziny, jakie spędziłem na strzelnicach w wesołych miasteczkach - przyznał Tommy. - Ale chciałbym wiedzieć, kiedy będę miał okazję strzelania do Szkopów.

- Prędzej, niż sądzisz, chłopcze - odparł kapral.

- Musimy przejść dwunastotygodniowe szkolenie - stwierdził Charlie. - Taki jest regulamin. Nie będziemy więc mieli takiej okazji jeszcze przez miesiąc.

- Niech diabli wezmą regulamin - odparł Tommy. - Podobno ta wojna może się skończyć, zanim uda mi się choćby raz do nich wystrzelić.

- Bardzo w to wątpię - oznajmił kapral, a Charlie załadował karabin i zaczął mierzyć do celu.

- Trumper! - zawołał ktoś ostrym tonem.

Tak jest, sir - odkrzyknął Charlie i stwierdził ze zdziwieniem, że obok niego stoi dyżurny sierżant.

- Wzywa cię zastępca dowódcy pułku. Idź za mną.

- Ale ja nic nie zrobiłem, panie sierżancie...

- Nie dyskutuj, chłopcze. Ruszaj za mną.

- Na pewno zostaniesz rozstrzelany - pocieszył go Tommy. - Za to, że sikasz do łóżka. Powiedz im, że gotów jestem zgłosić się na ochotnika do plutonu egzekucyjnego. W ten sposób będziesz miał

pewność, że wszystko szybko się skończy.

Charlie rozładował karabin, odłożył go na stojak i pognał za sierżantem.

- Pamiętaj, że masz prawo domagać się zawiązania oczu. Szkoda, że nie palisz - zawołał Tommy, zanim Charlie zniknął, biegnąc przez plac apelowy.

Sierżant zatrzymał się przed barakiem zastępcy dowódcy pułku, a zdyszany Charlie dogonił go właśnie w chwili, w której drzwi otworzył inny sierżant i rozkazał Charlie'emu: - Stój na baczność, chłopcze, trzymaj się jeden krok za mną i nie otwieraj ust, dopóki nie zostaniesz o coś zapytany.

- Tak jest, panie sierżancie.

Charlie przeszedł w ślad za sierżantem przez poczekalnię i dotarł do następnych drzwi, na których widniał napis: "Kapitan Trentham, Zastępca Dowódcy Pułku". Czuł, jak bije mu serce, kiedy sierżant cicho zapukał do drzwi.

- Wejść - rozległ się znudzony głos i obaj wmaszerowali na cztery kroki do pokoju, a potem zatrzymali się przed kapitanem.

Sierżant zasalutował.

- Szeregowy Trumper, numer ewidencyjny 7312087, melduje się na rozkaz, sir - zameldował podniesionym głosem, choć żaden z nich nie stał dalej niż o jard od Trenthama.

Zastępca dowódcy pułku spojrzał na nich zza biurka.

- Ach tak, Trumper. Przypominam sobie... ty jesteś tym pomocnikiem piekarza z Whitechapel. - Charlie miał właśnie sprostować to stwierdzenie, kiedy Trentham odwrócił się do okna, najwyraźniej nie oczekując odpowiedzi. - Sierżant ma na ciebie oko już od kilku tygodni - ciągnął kapitan. - Jego zdaniem można cię awansować na kaprala. Muszę wyznać, że ja osobiście żywię pewne wątpliwości. Zgadza się jednak, że od czasu do czasu trzeba awansować jakiegoś szeregowca, by podnieść morale pozostałych. Przypuszczam, że podejmiesz się odpowiedzialności związanej z tym stopniem, Trumper? - dodał, nadal nie zadając sobie tyle trudu, by chociaż spojrzeć w kierunku Charlie'ego.

Charlie nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Tak jest, sir. Dziękuję, sir - wyręczył go sierżant, a potem wrzasnął: - W tył zwrot, odmaszerować, lewa, prawa, lewa, prawa.

W dziesięć sekund później kapral pułku Królewskich Strzelców Charlie Trumper znalazł się z powrotem na placu apelowym.

- Kapral Trumper... - powiedział z niedowierzaniem Tommy, gdy usłyszał tę wiadomość. - Czy to znaczy że muszę do ciebie mówić: "sir"?

- Nie bądź głupi, Tommy. Wystarczy: "panie kapralu" - odparł z uśmiechem Charlie, siadając na brzegu łóżka, by przyszyć do naramiennika munduru jedną belkę.

Następnego dnia cała dziesiątka rekrutów wchodzących w skład drużyny Charlie'ego zaczęła żałować, że w ciągu ostatnich czternastu lat musiał on o świcie odwiedzać rynek. Ich musztra, czystość ich butów, ich wygląd zewnętrzny i stan wyszkolenia stały się wzorcem jakości dla całej kompanii, a Charlie zmuszał swych podkomendnych do coraz większego wysiłku. Najbardziej uroczysty dla niego moment nastąpił jednak w jedenastym tygodniu, kiedy opuścili koszary i pojechali do Glasgow. Tommy zdobył tam Królewską Nagrodę w zawodach strzeleckich, pozostawiając w pobitym polu wszystkich oficerów i żołnierzy z siedmiu innych pułków.

- Jesteś geniuszem - stwierdził Charlie, kiedy pułkownik wręczał jego przyjacielowi srebrny puchar.

- Ciekawe, czy uda nam się znaleźć w Glasgow jakiś dobry lombard. - To było wszystko, co miał w tej sprawie do powiedzenia Tommy.

Pożegnalna defilada odbyła się w sobotę, 23 lutego 1918. Drużyna Charlie'ego maszerowała pod jego komendą w tę i z powrotem po placu apelowym, w takt muzyki granej przez pułkową orkiestrę, a on sam po raz pierwszy w życiu czuł się jak żołnierz, mimo że Tommy nadal przypominał worek kartofli.

Kiedy parada dobiegła wreszcie końca, sierżant Philpott pogratulował wszystkim jej uczestnikom i zanim pozwolił im się rozejść, oznajmił, że mogą zrobić sobie wolne do końca dnia, ale przed północą muszą stawić się z powrotem w koszarach i leżeć już w łóżkach.

Cała kompania wybrała się więc po raz ostatni do miasta. Tommy ponownie objął komendę, a żołnierze 11 plutonu włączyli się od pubu do pubu, coraz bardziej pijani, i wylądowali w końcu w swym ulubionym lokalu, barze "Pod Ochotnikiem" na Leith Walk.

Dziesiątka rozweselonych żołnierzy stała wokół fortepianu, sącząc kufel za kuflem i śpiewając pieśń "Spakuj kłopoty do starego tornistra" oraz inne utwory ze swego skromnego repertuaru. Akompaniujący im na harmonijce Tommy zauważył, że Charlie nie może oderwać oczu od barmanki imieniem Rosę, która choć przekroczyła już trzydziestkę, stale flirtowała z młodymi rekrutami. Oderwał się więc od grupy śpiewaków i poszedł do siedzącego przy barze przyjaciela.

- Podoba ci się kolego, co? - spytał.

- Owszem, ale to twoja dziewczyna - odparł Charlie, nadal przyglądając się długowłosej blondynce, która udawała, że nie dostrzega ich spojrzeń. Zauważył, że ma rozpięty jeden guzik od bluzki więcej niż zwykle.

- Nie powiedziałbym tego - stwierdził Tommy. - Zresztą jestem ci winien rewanż za złamany nos.

Charlie roześmiał się głośno, a Tommy dodał: - Zaraz zobaczę, co uda mi się w tej sprawie zrobić. - Potem mrugnął na Rosę i porzuciwszy Charlie'ego poszedł na drugi koniec baru, przy którym właśnie stała.

Charlie nie chciał im się zbyt natrętnie przyglądać, ale zerknąwszy na ich odbicie w wiszącym za barem lustrze stwierdził, że są pogrążeni w rozmowie. Rosę odwróciła się kilka razy, by spojrzeć w jego kierunku. W chwilę później wrócił Tommy.

- Wszystko załatwione, Charlie - oznajmił.

- Co to znaczy "załatwione"?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Musisz tylko pójść do stojącego za pubem baraku, w którym składują puste skrzynki, a Rosę zaraz się tam zjawi.

Charlie siedział nieruchomo, jakby był przyklejony do stołka.

- No, zbieraj się - popędził go Tommy - bo inaczej ta głupia baba zmieni zdanie.

Charlie zsunął się ze stołka i wyszedł bocznymi drzwiami, nie odwracając głowy. Mając nadzieję, że nikt go nie obserwuje, niemal przebiegł przez nie oświetlony korytarz, prowadzący do tylnego wejścia. Stał samotnie w kącie podwórka, tupiąc nogami, by się rozgrzać, i czując się dosyć głupio. W pewnym momencie, kiedy przeszedł go dreszcz, zaczął żałować, że opuścił ciepły bar. W kilka minut później ponownie zadrżał z zimna, kichnął i doszedł do wniosku, że pora wrócić do kolegów i zapomnieć o całej sprawie.

Szedł już w kierunku drzwi, kiedy wybiegła z nich Rose.

- Cześć, jestem Rosę. Przepraszam, że trwało to tak długo, ale kiedy wyszedłeś, zjawił się nowy klient. - Spojrzał na nią w skompym świetle, sączącym się przez umieszczone nad drzwiami okienko.

Rozpięła już następny guzik, odsłaniając górną krawędź czarnego biustonosza.

- Charlie Trumper - przedstawił się, podając jej rękę.

- Wiem - zachichotała wesoło. - Tommy wszystko mi o tobie opowiedział. Twierdzi, że jesteś najbardziej stuprocentowym mężczyzną w całym plutonie.

- Myślę, że trochę przesadził - mruknął Charlie, czerwieniąc się gwałtownie, a Rosę wyciągnęła rękę i wzięła go w ramiona. Pocałowała go najpierw w szyję, potem w policzek, wreszcie w usta.

Rozchyliła wprawnie jego wargi i wsunęła mu język do ust.

Na początku Charlie nie był pewien, co się dzieje, ale doznanie okazało się tak przyjemne, że nadal trzymał ją w objęciach, a po chwili zaczął nawet przyciskać język do jej języka. Rosę pierwsza oderwała się od niego.

- Nie tak mocno, Charlie. Odpręż się. Nagrody dostają najwytrwalsi, nie najsilniejsi. Charlie zaczął całować ją ponownie, tym razem bardziej delikatnie, a w pewnym momencie poczuł, że narożnik skrzynki od piwa wpija się mu w pośladki. Nieśmiało położył dłoń na jej lewej piersi i pozostawił ją tam, nie bardzo wiedząc, co robić dalej. Na wszelki wypadek spróbował zająć bardziej wygodną pozycję. Nie miało to najwyraźniej większego znaczenia, bo Rosę wiedziała dokładnie, czego od niej oczekuje, więc szybko rozpięła pozostałe guziki bluzki, odkrywając obfity biust. Oparła nogę na stosie starych 4-Prosto jak strzelił skrzynkę po piwie, odsłaniając przed Charlie'em spory fragment swego różowego uda. Bojaźliwie położył dłoń na miękkim ciele.

Miał ochotę przesunąć palce jak najwyżej, ale zastygł w bezruchu niczym zatrzymana klatka czarno-białego filmu.

Rosę raz jeszcze przejęła inicjatywę i cofnąwszy ramię, którym obejmowała szyję Charlie'ego, zaczęła rozpinać guziki jego spodni.

W chwilę później wsunęła dłoń pod jego bieliznę i zaczęła go głaskać. Charlie nie mógł uwierzyć w to, co przeżywa, ale czuł, że jest to nader hojna rekompensata za złamany nos.

Rosę głaskała go coraz szybciej, a potem zaczęła wolną ręką zdejmować majtki. Charlie tracił kontrolę nad sytuacją. Rosę znieruchomiła nagle na chwilę, a później odsunęła się od niego, obejrzała przód swojej sukni i powiedziała ze złością: - Jeśli ty jesteś najbardziej stuprocentowym mężczyzną, jakim może poszczycić się twój pluton, to mam nadzieję, że Niemcy wygrają tę cholerną wojnę.

Następnego ranka na tablicy ogłoszeń, znajdującej się w pokoju oficera dyżurnego, wywieszono rozkaz dzienny dla całej jednostki.

Nowy batalion strzelców, posiadający pełną zdolność bojową, miał niebawem przyłączyć się do walczącej na Zachodnim Froncie armii. Charlie zastanawiał się, czy poczucie solidarności, które zintegrowało na przestrzeni ubiegłych trzech miesięcy tę przypadkową zbieraninę rekrutów, okaże się wystarczająco silne, by ułatwić im stawienie czoła doborowym jednostkom niemieckiej armii.

Na stacjach, które mijał ich zmierzający na południe pociąg, ponownie wznoszono okrzyki na cześć dzielnych żołnierzy, a Charlie miał wrażenie, że teraz bardziej zasługują na szacunek dam w kapeluszach. Wieczorem lokomotywa dotarła do Maidstone, gdzie wszyscy wysiedli i spędzili noc w koszarach Zachodniej Jednostki Królewskich Wojsk Hrabstwa Kent.

Następnego ranka, o szóstej zero zero, kapitan Trentham przeprowadził wyczerpującą odprawę: dowiedzieli się, że mają popłynąć okrętem do Boulogne, a później, po dziesięciodniowym przeszkoleniu, pomaszerować do Etaples i dołączyć tam do swego pułku, dowodzonego przez podpułkownika Danversa Hamiltona, który - jak ich zapewniono - przygotowuje się do zmasowanej

ofensywy na niemieckie pozycje obronne. Spędzili resztę przedpołudnia na przeglądaniu ekwipunku, później zaś wkroczyli po trapie na pokład transportowca.

Gdy zabrzmiała sześciokrotnie syrena okrętowa, odbili od wybrzeży Dover. Tysiąc żołnierzy stłoczonych na HMS "Resolution" zaczęło śpiewać pieśń "Daleka droga do Tipperary".

- Czy byłeś już kiedyś za granicą, Charlie? - spytał Tommy.

- Nie, chyba że uznasz Szkocję za zagranicę - odparł Charlie.

- Ja też nie - mruknął nerwowo Tommy. Po kilku dalszych minutach wymamrotał: - Boisz się?

- Nie, oczywiście że nie - odpowiedział Charlie. - Po prostu jestem cholernie przerażony.

- Ja też - wyznał Tommy.

- "Żegnaj, Piccadilly, do zobaczenia Leicester Square. Daleka, daleka jest droga do..." - śpiewali żołnierze.

ROZDZIAŁ 4

Charlie poczuł objawy choroby morskiej już w kilka minut po zniknięciu wybrzeży Anglii z pola widzenia. - Nigdy jeszcze nie byłem na pokładzie okrętu - wyznał Tommy'emu - jeśli nie liczyć starego parowca, który zwiedzałem w Brighton. - Przeszło połowie otaczających go kolegów podróż przez kanał upłynęła na zwracaniu skąpych racji żywności, jakie zjedli na śniadanie.

- Nie widziałem, żeby któryś z oficerów rzygał - stwierdził Tommy.
- Być może są przyzwyczajeni do podróży morskich.
- Albo robią to w swoich kabinach.

Kiedy wreszcie ukazało się wybrzeże Francji, wszyscy obecni na pokładzie żołnierze wzniesli radosny okrzyk. W tym momencie marzyli już tylko o tym, aby postawić stopę na stałym i suchym lądzie. I istotnie byłby on suchy, gdyby po dobieciu statku do portu i wyjściu żołnierzy na ląd, nie nastąpiło oberwanie chmury. Gdy wszyscy już stali na nadbrzeżu, sierżant przestrzegł ich, by przygotowali się do piętnastomilowego przemarszu.

Charlie poprowadził swoją drużynę po błotnistej drodze, każąc żołnierzom śpiewać przy akompaniamencie harmonijki Tommy'ego wodewilowe piosenki. Kiedy dotarli do Etaples i rozbili obóz na noc, doszedł do wniosku, że sala gimnastyczna w Edynburgu była mimo wszystko luksusem.

Gdy odegrano capstrzyk, wszyscy zamknęli oczy, usiłując po raz pierwszy zasnąć pod namiotem. Każdy pluton wystawił dwóch wartowników, których miano zmieniać co dwie godziny, aby każdy mógł choć trochę odpocząć. Charlie i Tommy wylosowali wartę rozpoczynającą się o czwartej nad ranem.

Po niespokojnej nocy, w ciągu której rzucał się nerwowo na rozmięklej od deszczu francuskiej ziemi, został obudzony o czwartej. Szturchnął Tommy'ego, który po prostu odwrócił się na drugi bok i natychmiast zasnął na nowo. W kilka minut później Charlie stał już przed namiotem, dopinając kurtkę i zabijając ramionami, by się rozgrzać. Gdy jego wzrok przyzwyczaił się do półmroku, ujrzał szeregi brązowych namiotów, ciągnące się aż do horyzontu.

- Dzień dobry, panie kapralu - powitał go Tommy, pojawiając się w dwadzieścia minut po czwartej. - Czy nie masz przypadkiem zapalek sztormowych?
- Nie, nie mam. Mam natomiast ochotę na kakao lub coś ciepłego do picia.
- Według rozkazu, panie kapralu.

Tommy powlókł się do namiotu kuchennego i wrócił w pół godziny później, niosąc dwa kubki gorącego kakao i kilka sucharów.

- Niestety, nie ma cukru - oznajmił Charlie'emu. - Przysługuje tylko od stopnia sierżanta w górę. Powiedziałem, że jesteś występującym incognito generałem, ale oni stwierdzili, że wszyscy

generałowie są w Londynie i spokojnie śpią we własnych łóżkach.

Charlie z uśmiechem objął skostniałymi palcami gorący kubek i sączył wolno napój, by przedłużyć chwilę przyjemności.

Tommy spojrział na szarzące niebo. - No i gdzie są ci cholerni Niemcy, o których nam tyle mówiono?

- Bóg raczy wiedzieć - odparł Charlie. - Ale możesz być pewien, że gdzieś tam siedzą, zapewne pytając się nawzajem, gdzie jesteśmy my.

O szóstej Charlie obudził resztę drużyny. Do szóstej trzydzieści zwinęli już i złożyli namiot i byli gotowi do przeglądu.

Odegrany na trąbce sygnał wezwał ich na śniadanie, więc zajęli miejsca w kolejce, której widok ucieszyłby serce każdego właściciela ruchomego straganu z Whitechapel Road.

Kiedy Charlie dotarł w końcu do początku kolejki i wysunął menażkę, otrzymał porcję bryjowatej owsianki i kawałek starego chleba. Tommy mrugnął do młodego człowieka, ubranego w długi biały kitel i niebieskie, kraciaste spodnie.

- I pomyśleć, że od tylu lat czekałem, by spróbować francuskiej kuchni - powiedział ze śmiechem.

- Jedzenie będzie tym gorsze, im bardziej zbliżycie się do linii frontu - obiecał mu kucharz.

W ciągu następnych dziesięciu dni biwakowali w Etaples, rankami maszerując po wydmach i spędzając popołudnia na wykładach poświęconych gazom bojowym, a wieczorami słuchając wywodów kapitana Trenthama, który prezentował im różne warianty zagrażającej żołnierzom frontowym śmierci.

Jedenastego dnia zebrali dobytek i spakowali namioty, a potem poszczególne kompanie ustawiono w szyku, ponieważ miał do nich przemówić dowódca pułku.

Wszyscy żołnierze - a było ich ponad tysiąc - stojący w czworoboku na błotnistej ziemi francuskiej, zastanawiali się, czy dwanaście tygodni szkolenia i dziesięć dni "aklimatyzacji" mogło przygotować ich w wystarczającym stopniu do stawienia czoła potężde sił niemieckich.

Punktualnie o dziewiątej zero zero podpułkownik sir Danvers Hamilton, kawaler Orderu Za Zaszczytną Służbę, nadszedł na kruczoczarnej klaczy i zatrzymał swego wierzchowca dokładnie na środku utworzonego przez stojących ludzi czworoboku. Zaczął przemawiać do żołnierzy. Charlie'emu najbardziej utkwił w pamięci fakt, że jego koń przez piętnaście minut nawet nie drgnął.

- Witajcie we Francji - zaczął pułkownik, wkładając do lewego oka monokl. - Wolałbym, żebyście bawili tu z jednodniową wycieczką. - W szeregach rozległ się stłumiony chichot. - Ale obawiam się, że nie będziemy mieli zbyt wiele wolnego czasu na zwiedzanie, dopóki nie odeślemy Szwabów tam, skąd przyszli, i to z podwiniętym ogonem. - Tym razem żołnierze zaczęli wznosić entuzjastyczne okrzyki. - Nigdy nie zapominajcie, że jest to mecz wyjazdowy, a nam nie sprzyjają warunki atmosferyczne. Co gorzej, Niemcy nie rozumieją zasad krykieta! - Znów rozległy się śmiechy, choć Charlie podejrzewał, że pułkownik mówi zupełnie poważnie.

- Dziś - ciągnął dowódca - pomaszerujemy w stronę Ypres, gdzie rozbijemy obóz przed nowym, i mam nadzieję ostatnim, atakiem na pozycje Niemców. Jestem przekonany, że tym razem przełamiemy ich linie obronne, że dla słynnych Królewskich Strzelców będzie to dzień triumfu i chwały. Niech wam sprzyja szczęście. Boże, zachowaj Króla.

Nastąpiły dalsze wiwaty, a orkiestra pułkowa zaczęła grać hymn narodowy. Żołnierze podjęli gorliwie melodię, wkładając w śpiew cały swój zapal.

Dopiero po pięciu kolejnych dniach marszu, kiedy usłyszeli pierwsze odgłosy ognia

artyleryjskiego i poczuli smród okopów, zorientowali się, że muszą być blisko linii frontu. W ciągu następnego dnia mijali wielkie zielone namioty Czerwonego Krzyża.

Tegoż ranka, tuż przed jedenastą, Charlie ujrzał po raz pierwszy w życiu zabitego żołnierza, porucznika pułku z Yorkshire.

- Niech mnie diabli wezmą - stwierdził Tommy. - Kule nie potrafią odróżnić oficerów od poborowych.

Na przestrzeni następnej mili zobaczyli tak wiele noszy, tak wiele ciał i tak wiele oderwanych kończyn, że wszyscy stracili ochotę do żartów. Nie ulegało wątpliwości, że batalion dotarł do obszaru, który gazety nazywały "Zachodnim Frontem". Żaden korespondent wojenny nie potrafiłby jednak opisać atmosfery przygnębienia ani wyrazu beznadziejności, który malował się na twarzy każdego, kto przebywał tam dłużej niż kilka dni.

Charlie patrzył na otwartą przestrzeń, która musiała być kiedyś urodzajną ziemią uprawną. Teraz pozostał tam tylko jakiś wypalony budynek gospodarczy, będący jedynym dowodem, że istniała tu kiedyś cywilizacja. Nadal nie było ani śladu nieprzyjaciela. Charlie próbował utrwalić sobie w pamięci otaczający go krajobraz, który miał w ciągu najbliższych miesięcy stać się jego domem - o ile uda mu się pozostać tak długo przy życiu. Każdy żołnierz wiedział, że średnia długość życia liczona od przybycia na front nie przekracza siedemnastu dni.

Charlie pozostawił swych ludzi w namiotach, aby trochę odpoczęli, i wyruszył na samotną wycieczkę krajoznawczą. Najpierw dotarł do okopów rezerwy, położonych o kilkaset jardów od połowych lazaretów. Zwano je "obszarem hotelowym", gdyż leżały o ćwierć mili od linii frontu; każdy żołnierz służył na wysuniętym odcinku bez przerwy przez cztery dni, a potem odpoczywał przez następne cztery w okopach rezerwy. Charlie chodził po linii frontowej jak zwiedzający te tereny turysta, wcale nie biorący udziału w wojnie. Słuchał opowieści nielicznych żołnierzy, którzy przeżyli dłużej niż kilka tygodni; wspominali oni z rozrzewnieniem rodzinny kraj i marzyli o "dogodnej" ranie, po odniesieniu której zostaliby przeniesieni do najbliższego lazaretu, a potem - jeśli dopisze im szczęście - odesłani do Anglii.

Słyszac gwiżdżące nad "ziemią niczyją" zbłąkane kule, opadł na kolana i odczołgał się z powrotem do okopów rezerwy, aby powiedzieć kolegom z plutonu, czego mogą się spodziewać, kiedy zostaną przesunięci o sto jardów do przodu.

Okopy - oznajmił swoim ludziom - ciągną się od horyzontu do horyzontu i mogą pomieścić dziesięć tysięcy żołnierzy. Przed nimi, w odległości około dwudziestu jardów, wznoszą się wysokie na metr zasieki z drutu kolczastego. Według informacji pewnego starego kaprała, przy ich wznoszeniu zginęło ponad tysiąc żołnierzy. Za nim leży pas ziemi niczyjej; pięćset akrów, należących niegdyś do pewnej rodziny, która bez własnej winy znalazła się w centrum prowadzonej przez innych ludzi wojny. Za tym pasem znajdują się niemieckie zasieki z drutu kolczastego, a jeszcze dalej wojska nieprzyjaciela, oczekujące na nich w swych okopach.

Obie armie ukrywały się od wielu dni, a niekiedy miesięcy, w rozmokłych, zamieszkałych przez szczury rowach strzeleckich, czekając na posunięcie strony przeciwnej. Obie linie obronne odległe były od siebie o niecałą milę. Gdy ktoś wychylał głowę, by dokonać obserwacji terenu, narażał się na kulę wroga. Gdyby wydano rozkaz natarcia, szansę żołnierzy na przebycie dwudziestu jardów były tak małe, że żadnemu bukmacherowi nie opłacałoby się nawet zapisać ich na swej tabliczce. Ten, kto dotarłby do zasieków, mógł umrzeć na dwa sposoby; na tych, którzy zdołaliby dobiec do okopów niemieckich, czekał tuzin różnych rodzajów śmierci.

Pozostając na miejscu, można było umrzeć na cholera lub tyfus, zatruć się śmiertelnie gazem bojowym lub stracić życie z powodu odmrożonych stóp; niektórzy żołnierze nakłuwali je bagnietami, by uśmierzyć dotkliwy ból. Pewien stary sierżant powiedział Charlie'emu, że liczba tych, którzy umierają w okopach, dorównuje liczbie poległych podczas ataków, a świadomość, że oddaleni zaledwie o kilkaset jardów Niemcy mają te same problemy, nikomu nie poprawia humoru.

Charlie usiłował narzucić swej drużynie regularny program dnia. Podlegli mu żołnierze wypełniali codzienne obowiązki, wybierali wodę z okopów, czyścili sprzęt, a nawet grywali w piłkę nożną, by wypełnić godziny nudy i beczynności. Charlie zbierał sprzeczne plotki, dotyczące czekającego ich losu. Podejrzewał jednak, że tylko pułkownik, który przebywał w znajdującej się o milę za liniami obronnymi kwaterze głównej, ma jako takie pojęcie o przebiegu wydarzeń.

Kiedy żołnierzy Charlie'ego kierowano na cztery dni do okopów rezerwy, niemal cały wolny czas wypełniało im wylewanie za pomocą menażek hektolitrów spadającej codziennie z nieba wody.

Niekiedy sięgała ona Charlie'emu aż do kolan.

- Nie wstąpiłem do marynarki tylko dlatego, że nie umiem pływać - narzekał Tommy. - I nikt mnie nie uprzedził, że równie łatwo mogę utonąć służąc w piechocie.

Ale choć przemoczeni, zmarznięci i głodni, zachowywali jakimś cudem pogodę ducha. Drużyna Charlie'ego znosiła te warunki przez siedem tygodni, czekając na nowe rozkazy, które pozwoliłyby żołnierzom ruszyć do natarcia. Ale jedynym atakiem, o jakim słyszeli w tym czasie, była szarża von Ludendorffa. Niemiecki generał zmusił siły angielskie do cofnięcia się o jakieś czterdzieści mil, ale stracił czterysta tysięcy żołnierzy, a dalsze osiemdziesiąt tysięcy jego podkomendnych dostało się do niewoli. Wieści tego rodzaju przynosił im zwykle kapitan Trentham, a Charlie'ego jeszcze bardziej irytowało to, że kapitan nadal wygląda czysto i schludnie, a co gorsza, wydaje się dobrze odżywiony i bynajmniej nie przemarznięty.

Dwaj członkowie jego drużyny stracili życie nie ujrawszy nawet nieprzyjaciela. Większość żołnierzy chętnie wyszłaby z okopów, nie wierząc w szansę przeżycia tej ciągnącej się bez końca wojny. Nudę zakłócało tylko polowanie na szczury, podczas którego posługiwano się bagnietami, czerpanie wody i przymusowe słuchanie tych samych melodii, wygrywanych przez Tommy'ego na rdzewiejącej już harmonijce ustnej.

Kiedy po dziewięciu tygodniach nadeszły wreszcie rozkazy, wezwano ich za linię frontu i ponownie kazano utworzyć czworobok.

Pułkownik, z monoklem w oku, raz jeszcze przemówił do nich z grzbietu swego nieruchomego konia. Oznajmił, że Królewscy Strzelcy otrzymali rozkaz przełamania północnej flanki wojsk nieprzyjacielskich, mają więc następnego ranka ruszyć do szturm na niemieckie okopy. Gwardia Irlandzka udzieli im wsparcia z prawego skrzydła, a Walijszczyki ruszą do przodu na skrzydle lewym.

- Jutro nastąpi dzień chwały Strzelców - zapewnił ich pułkownik. - Teraz musicie odpocząć, jako że bitwa zacznie się o świcie.

W drodze powrotnej do okopów Charlie stwierdził ze zdziwieniem, że perspektywa udziału w prawdziwej walce poprawiła nastroje jego żołnierzy. Wszystkie karabiny zostały rozebrane, oczyszczone, naoliwione i poddane dwukrotnemu przeglądowi, wszystkie kule starannie umieszczono w magazynkach. Potem naoliwiono i poddano dwukrotnej kontroli lekkie działa, a pod koniec dnia wszyscy żołnierze, mający nazajutrz stanąć twarzą w twarz z wrogiem, dokładnie się ogolili. Pierwszemu kontaktowi Charlie'ego z brzytwą towarzyszyła lodowato zimna woda.

Charlie wiedział już od kolegów, że nikomu nie jest łatwo zasnąć przed bitwą. Część żołnierzy

spędziła ten czas na pisaniu długich listów do swych pozostałych w kraju bliskich; niektórzy mieli nawet tyle odwagi, by sporządzić testament. Charlie, sam nie wiedząc dlaczego, napisał do Bogatej Porky, prosząc ją, by w razie jego śmierci zajęła się Sal, Grace i Kitty. Tommy nie pisał do nikogo po prostu dlatego, że nie umiał pisać. O północy Charlie zebrał wszystkie listy żołnierzy i wręczył cały ich plik oficerowi dyżurnemu.

Starannie naostrzono bagnety i zamocowano je na lufach karabinów; serca oczekujących na rozkaz natarcia zaczęły bić coraz szybciej.

Obserwując kapitana Trenthama, który obchodził kolejne plutony i przeprowadzał ostatnią odprawę, Charlie czuł zmieszane z lękiem podniecenie. Jednym łykiem połknął porcję rumu, którą częstowano tuż przed bitwą wszystkich stojących w okopach żołnierzy.

Podporucznik Makepeace, oficer, z którym Charlie nigdy dotąd się nie zetknął, zajął pozycję za ich okopem. Miał świeżą cerę i wyglądał jak uczeń, a kiedy przedstawiał się Charlie'emu, można było odnieść wrażenie, że wita się z dalekim znajomym, spotkanym na jakimś cocktailu. Kazał zebrać drużynę o kilka metrów za linią obronną, oznajmiając, że chce przemówić do żołnierzy. Przemarznięci, wystraszeni ludzie wyleźli z okopu i słuchali młodego oficera w cynicznym milczeniu. Dowództwo wybrało na atak właśnie ten dzień, ponieważ meteorologowie zapewniali, że słońce wzejdzie o piątej pięćdziesiąt trzy i że nie będzie padać deszcz. Ich prognoza dotycząca słońca była trafna, ale mimo to okazali się omylni, gdyż o czwartej jedenaście zaczęła się silna mżawka. - Niemiecki kapuśniaczek - oznajmił Charlie kolegom. - Chciałbym wiedzieć, po czyjej stronie jest Pan Bóg.

Podporucznik Makepeace uśmiechnął się blado. Jak drużyna piłkarska przed gwizdkiem sędziego, czekali na wystrzelenie rakiety, mającej stanowić sygnał do rozpoczęcia walki.

- I nie zapomnijcie, że hasło brzmi: "Bułki i puree" - powiedział podporucznik Makepeace. - Przekażcie je wzdłuż linii okopów.

O piątej trzydzieści trzy, gdy zza linii horyzontu wyrzało krwawe słońce, usłyszeli strzał z raketnicy, a Charlie, obejrzwawszy się, dostrzegł na niebie jaskrawą łunę.

Podporucznik Makepeace wyskoczył z okopu i krzyknął: - Za mną, żołnierze!

Charlie wygramolił się w ślad za nim i krzycząc na cały głos - bardziej ze strachu niż z zapału do walki - ruszył w kierunku wroga.

Podporucznik nie przebiegł jeszcze piętnastu metrów, kiedy trafiła go pierwsza kula, ale wysiłkiem woli brnął dalej i dotarł do zasieków. Charlie z przerażeniem patrzył, jak podporucznik pada na druty kolczaste, a jego nieruchomym ciałem wstrząsają następne kule nieprzyjaciela. Dwaj odważni żołnierze zmienili kierunek biegu, by przyjść mu z pomocą, ale żaden z nich nie dotarł do celu.

Charlie, który znajdował się o metr za nimi, miał właśnie przemknąć przez lukę w zasiekach, kiedy wyprzedził go Tommy. Charlie odwrócił głowę, uśmiechnął się, i to było wszystko, co zapamiętał z bitwy pod Lys.

Odzyskał przytomność po dwóch dniach, w lazarecie, oddalonym o jakieś trzysta metrów od linii frontu, i stwierdził, że pochyla się nad nim jakaś młoda dziewczyna w granatowym mundurze z królewskimi insygniami na piersi. Zorientował się, że coś do niego mówi, ponieważ poruszała ustami, ale nie słyszał ani słowa. Dzięki Bogu - pomyślał. - Nadal żyję, a w tej sytuacji niechybnie wrócę do Anglii. - Żołnierz uznany przez lekarzy za głuchego był zawsze odsyłany do kraju. Tak nakazywał regulamin Wojsk Królewskich.

Ale po tygodniu odzyskał w pełni słuch i uśmiechnął się po raz pierwszy, gdy zobaczył, że stojącą obok łóżka i nalewającą mu kubek herbaty pielęgniarką jest jego siostra Grace. Kiedy dowiedziała się, że z pola bitwy przyniesiono nieprzytomnego żołnierza nazwiskiem Trumper, postarała się o przeniesienie do tego namiotu. Oznajmiła bratu, że należy do szczęśliwców, gdyż wbiegł na minę, ale stracił tylko palec u nogi, w dodatku mały palec. Charlie czuł się zawiedziony tą wiadomością, gdyż utrata dużego palca również oznaczała powrót do kraju.

- Poza tym masz tylko kilka sińców i zadrapań. Nic poważnego, nic, co zagrażałoby życiu. Powinieneś już za kilka dni wrócić na front - dodała ze smutkiem.

Charlie zasnął. Potem obudził się. Zaczął się zastanawiać, czy Tommy przeżył bitwę.

- Czy są jakieś wieści na temat szeregowego Prescottta? - spytał obchodzącego szpital oficera.

Porucznik zajrzał do notatnika i zmarszczył brwi. - Został aresztowany. Wygląda na to, że czeka go sąd wojenny.

- Co? Dlaczego?

- Nie mam pojęcia - odparł młody porucznik i ruszył w kierunku następnego łóżka.

Nazajutrz Charlie'emu udało się przełknąć kilka kęsów jedzenia, w dwa dni później zrobił mimo bólu kilka chwiejnych kroków, a po tygodniu mógł już biegać. Został odesłany na front zaledwie w trzy tygodnie od dnia, w którym porucznik Makepeace wyskoczył z okopu, wołając: - Za mną!

Po powrocie do okopów rezerwy odkrył, że z jego dziesięcioosobowej drużyny atak przeżyli tylko trzech żołnierze. Nigdzie nie było śladu Tommy'ego. Tegoż ranka przyjechał z Anglii nowy oddział poborowych, którzy mieli zastąpić poległych i od razu rozpoczęli czterodniowe okresy służby w okopach. Traktowali Charlie'ego jak doświadczonego weterana.

W zaledwie kilka godzin po jego powrocie do kompanii dotarł rozkaz dzienny, zawierający wiadomość, że kapral Trumper ma się stawić następnego dnia o godzinie jedenastej zero zero u pułkownika Hamiltona.

- Czego może chcieć ode mnie dowódca pułku? - spytał dyżurnego sierżanta Charlie.

- Zazwyczaj oznacza to sąd wojenny lub odznaczenie: szef nie ma czasu na nic innego. I pamiętaj, że łatwo mu się narazić, więc trzymaj w jego obecności język za zębami. Zapewniam cię, że jest bardzo porywczy.

Punktualnie o dziesiątej pięćdziesiąt pięć roztrzęsiony kapral Trumper stanął przed namiotem pułkownika. Dowódca budził w nim niemal taki sam lęk, jak perspektywa opuszczenia okopów. W kilka minut później z namiotu wyszedł sierżant-szef kompanii i wezwał go do środka.

- Stań na baczność, zaszalutuj, podaj swoje nazwisko, stopień i numer ewidencyjny - warknął Philpott. - I pamiętaj, że nie wolno ci się odzywać, dopóki nie zostaniesz o coś zapytany - dodał ostrym tonem.

Charlie wkroczył do namiotu i zatrzymał się przed biurkiem pułkownika. Zaszalutował i oznajmił: - Kapral Trumper, 7312087, melduje się na rozkaz, sir. - Po raz pierwszy widział pułkownika siedzącego na krześle, a nie na koniu.

- Ach, Trumper - powiedział pułkownik, podnosząc wzrok. - To dobrze, że już wróciłeś. Cieszę się twoją szybką rekonwalescencją.

- Dziękuję, sir - odparł Charlie, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że pułkownik porusza tylko jednym okiem.

- Powstał jednak problem z jednym z żołnierzy twojej drużyny i mam nadzieję, że będziesz w stanie rzucić na tę sprawę nieco światła.

- Zrobię, co będę mógł, sir.

- To dobrze - powiedział pułkownik, umieszczając w lewym oku monokl - ponieważ wydaje się, że ten Prescott - zajrzał do leżącego przed nim formularza - tak, szeregowy Prescott, zranił się w rękę, by uniknąć kontaktu z nieprzyjacielem. Według raportu kapitana Trenthama, znaleziono go w błocie, o kilka metrów od własnego okopu, z pojedynczą raną od kuli, która utkwiała w jego dłoni.

Wygląda to na zwykle tchórzostwo w obliczu wroga. Nie chciałem jednak powoływać sądu wojennego, dopóki nie usłyszę twojej wersji wydarzeń. Bądź co bądź, byłeś dowódcą jego drużyny. Spodziewam się więc, że możesz uzupełnić raport kapitana Trenthama o jakieś istotne szczegóły.

- Tak jest, sir - stwierdził Charlie. Próbował skupić myśli i przypomnieć sobie szczegóły wydarzeń, od których upłynął już niemal miesiąc. - Kiedy wystrzelono rakietę, podporucznik Makepeace poprowadził atak, a ja wybiegłem z okopu w ślad za nim, na czele mojej drużyny. Podporucznik pierwszy dotarł do zasieków, ale natychmiast został trafiony kilkoma kulami. W tym momencie tylko dwaj żołnierze biegli przede mną. Odważnie-ruszyli mu na pomoc, ale padli, zanim zdążyli dobiec. Kiedy dotarłem do zasieków, znalazłem lukę i przeszedłem na drugą stronę, wyprzedził mnie biegnący w kierunku linii nieprzyjacielskich szeregowy Prescott. Wtedy właśnie straciłem przytomność na skutek wybuchu miny, która musiała ogłuszyć również szeregowca Prescottta.

- Czy jesteś pewien, że żołnierzem, który cię wyprzedził, był właśnie szeregowy Prescott? - spytał wyraźnie zdezorientowany pułkownik.

- W ogniu bitwy trudno jest wszystko dokładnie zapamiętać, ale nigdy nie zapomnę chwili, w której Prescott mnie wyprzedzał.

- Dlaczego? - zainteresował się pułkownik.

- Ponieważ jest moim kolegą i byłem wtedy wściekły, że wysunął się przede mnie.

Charlie miał wrażenie, że dostrzega na twarzy pułkownika blady cień uśmiechu.

- Czy Prescott jest twoim bliskim przyjacielem? - dociekał pułkownik, patrząc na niego uważnie przez monokl.

- Tak, sir, ale to nie ma wpływu na moją opinię i nikt nie ma prawa tego sugerować.

- Czy zdajesz sobie sprawę, do kogo mówisz? - wrzasnął sierżant-szef.

- Tak jest, panie sierżancie - odparł Charlie. - Do człowieka, który chce poznać prawdę i wymierzyć sprawiedliwość. Nie jestem wykształcony, sir, ale jestem uczciwy.

- Kapralu, zgłoscie się do raportu... - zaczął sierżant-szef.

- Dziękuję, sierżancie, to by było wszystko - przerwał mu pułkownik. - Dziękuję wam, kapralu Trumper, za wasze jasne i zwięzłe zeznania. Nie potrzebuję zadawać wam dalszych pytań. Możecie wrócić do swego plutonu.

- Dziękuję, sir - odmeldował się Charlie. Cofnął się o krok, zasalutował, wykonał zwrot w tył i wymaszerował z namiotu.

- Czy życzy pan sobie, żebym załatwił tę sprawę na własną rękę? - spytał sierżant-szef.

- Owszem - odpowiedział pułkownik Hamilton. - Awansujcie Trumpera na starszego kaprala i natychmiast zwolnijcie Prescottta z aresztu.

Tommy wrócił do plutonu jeszcze tego popołudnia. Jedna z jego dłoni była owinięta bandażem.

- Uratowałeś mi życie, Charlie.

Po prostu powiedziałem prawdę.

- Wiem, ja też mówiłem prawdę. Ale różnica polega na tym, że tobie uwierzyli.

Leżąc tej nocy w swym namiocie Charlie zastanawiał się, dlaczego kapitan Trentham tak uparcie chciał pozbyć się Tommy'ego.

Czyżby wierzył, że ma prawo posłać drugiego człowieka na śmierć tylko dlatego, iż człowiek ten siedział kiedyś w więzieniu?

Spędzili następny miesiąc na swych codziennych zajęciach, a potem dowiedzieli się z rozkazu dziennego, że mają pomaszerować na wschód, aż do Marny, i wziąć udział w przygotowywanym tam kontrataku na siły generała von Ludendorffa. Przeczytawszy rozkaz Charlie poczuł przygnębienie; wiedział, że nikomu prawie nie udało się przeżyć dwóch ataków. Od czasu do czasu spędzał godzinę w towarzystwie Grace; wyznała mu, że zakochała się w walijskim kapralu, który nadepnął na minę i stracił jedno oko.

Miłość od pierwszego wejrzenia - pomyślał Charlie.

W środę, 17 lipca 1918, nad obszarem ziemi niczyjej zapadła o północy złowroga cisza. Charlie pozwolił spać tym żołnierzom, którzy potrafili zasnąć, i nie budził nikogo przed trzecią rano. Był już teraz sierżantem, więc miał podczas bitwy dowodzić plutonem złożonym z czterdziestu ludzi. Jego jednostka nadal podlegała kapitanowi Trenthamowi, który nie pokazywał się wcale od czasu zwolnienia Tommy'ego.

O trzeciej trzydziści, kiedy byli już w pełni gotowi do bitwy, miejsce za ich okopem zajęł porucznik Harvey. Okazało się, że przybył on na front poprzedniego dnia.

- To szaleńcza wojna - stwierdził Charlie, kiedy zostali sobie przedstawieni.

- Och, nie jestem pewien - nonszalanckim tonem stwierdził Harvey. - Ja osobiście nie mogę się doczekać starcia ze Szwabami.

- Niemcy nie mają cienia szansy, dopóki będą wśród nas tacy wariaci jak on - szepnął Tommy.

- Przy okazji, sir, jakie jest tym razem hasło? - spytał Charlie.

- Och, przepraszam, zupełnie o tym zapomniałem. "Czerwony Kapturek" - odparł porucznik.

Wszyscy czekali. O czwartej zero zero umocowali bagnety, a o czwartej dwadzieścia jeden wystrzelono z raketnicy i niebo zrobiło się czerwone, a ciszę poranka zmałyły liczne gwizdki.

- Naprzód! - zawołał porucznik Harvey. Wystrzelił w powietrze z pistoletu i wyskoczył z okopu, jakby ścigał zabląkanego lisa.

Charlie i tym razem wygrzebał się z rowu i biegł o kilka kroków za dowódcą. Jego żołnierze posuwali się z trudem po grząskim błocie, pokrywającym nagi pas ziemi, na którym nie osłaniało ich ani jedno drzewo. Charlie widział przed sobą, z prawej strony, inny nacierający pluton. Rozpoznał na jego tyłach charakterystyczną sylwetkę wymuskanego jak zawsze kapitana Trenthama. Porucznik Harvey, nadal biegnący na czele, zręcznie przeskoczył zasieki i wbiegł na obszar ziemi niczyjej. Charlie, obserwując go, zaczął wierzyć, że los sprzyja głupcom. Harvey nadal pędził naprzód, jakby był niezniszczalny lub zaczarowany. Charlie, który starał się padać co kilka kroków, ze zdumieniem dostrzegł, że porucznik potraktował niemieckie zasieki jako kolejny płotek, a potem rzucił się w kierunku linii nieprzyjaciela z takim zapałem, jakby znajdowała się tam meta wyścigu, organizowanego dla uczniów ekskluzywnej szkoły. Na dwadzieścia metrów przed taśmą porucznika powalił w końcu grad nieprzyjacielskich kul. Charlie, który znalazł się teraz na czele, zaczął strzelać do wychylających się z rowu głów niemieckich żołnierzy.

Nigdy nie słyszał o kimś, komu udałoby się dotrzeć do okopów wroga, więc nie bardzo wiedział, co ma dalej począć, zwłaszcza że mimo długiego szkolenia nadal nie bardzo potrafił strzelać w biegu. Kiedy z rowu wychylili się równocześnie czterej mierzący do niego Niemcy, był pewien, że

nigdy już się tego nie dowie. Strzelił do pierwszego z nich i zobaczył, że jego ofiara wpada do okopu, ale potem mógł się jedynie przyglądać trzem pozostałym, którzy spokojnie brali go na cel. Nagle usłyszał za sobą kanonadę i zobaczył, że trzej przeciwnicy padają w tył, jak blaszane kaczki na strzelnicy.

Zdał sobie wtedy sprawę, że zdobywca Królewskiej Nagrody nadal biegnie za nim.

Nagle znalazł się w okopie nieprzyjaciela i spojrzał w oczy jakiegoś jeszcze młodszego niż on, wyraźnie przerażonego niemieckiego żołnierza. Zawahał się tylko przez chwilę, a potem pchnął go bagnetem prosto w usta. Wyciągnął ostrze i wbił je ponownie, tym razem w serce chłopca, a potem pobiegł dalej. Trzej jego ludzie pędzili teraz przed nim, goniąc uciekającego nieprzyjaciela. W tym momencie zobaczył Tommy'ego, który ścigał dwóch gnających ku wierzchołkowi wzgórza Niemców. Tommy zniknął w kępie drzew, a Charlie, mimo zgiełku bitwy, usłyszał nagle pojedynczy strzał.

Zmienił kierunek i pobiegł w stronę zagajnika, by uratować przyjaciela, ale przekonał się po chwili, że jeden z Niemców leży już na ziemi, a Tommy nadal posuwa się po stoku w górę. Kiedy w końcu zatrzymał się za jakimś drzewem, zdyszany Charlie z trudem go dogonił.

- Tommy, do cholery, byłeś wspaniały - wysapał, padając na ziemię obok niego.

- Nie byłem nawet w połowie tak dobry jak ten oficer, jak mu tam było?

- Harvey, porucznik Harvey.

- Jego pistolet uratował nam obu życie - stwierdził Tommy, pokazując koledze broń. - Szkoda, że ten drań Trentham nie spisał się tak dzielnie jak on.

- Jak to?

- Czmychnął z niemieckich okopów, widziałem to na własne oczy. Pobiegł w stronę lasu. Dwaj Niemcy dostrzegli tego tchórza i ruszyli za nim. Więc ja pogałem za nimi. Wykończyłem jednego z nich, prawda?

- Więc gdzie jest teraz Trentham?

- Gdzieś tam, w górze - odparł Tommy, wyciągając rękę w stronę szczytu wzniesienia. - Na pewno schował się przed tym Niemcem.

Charlie bez słowa patrzył w przestrzeń.

- Co robimy dalej, kapralu?

- Musimy ruszyć w ślad za tym Niemcem i zabić go, zanim dogoni kapitana.

- A może po prostu wracajmy do domu, licząc na to, że znajdzie kapitana, zanim zrobię to ja? - spytał Tommy.

Ale Charlie wstał już z ziemi i ruszył w kierunku szczytu.

Powoli brnęli pod górę, kryjąc się za drzewami, obserwując teren i nad słuchując, dopóki nie wyszli w końcu na płaski grzbiet wzniesienia.

- Ani śladu żadnego z nich - szepnął Charlie.

- Zgadza się. Więc wracajmy lepiej za nasze linie, bo jeśli wpadniemy w ręce Niemców, to nie zaproszą nas chyba na herbatę i ciasteczka.

Charlie rozejrzał się po okolicy. Dostrzegł przed sobą niewielki 5-Prosto jak strzelił kościółek, nieco podobny do tych, które mijali podczas marszu z Etaples na front.

- Może zajrzyjmy najpierw do tego kościoła - powiedział. Tommy zaczął ładować pistolet porucznika Harveya. - Ale nie narażajmy się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo.

- Do cholery, a cóż innego robimy od godziny? - spytał Tommy.

Cał po calu, stopa po stopie, szli przez otwarty teren, dopóki nie dotarli do drzwi zakrystii.

Charlie otworzył je powoli, spodziewając się gradu kul, ale najgłośniejszym dźwiękiem, jaki usłyszeli, było skrzypienie zawiasów. Po wejściu do wnętrza, Charlie przeżegnał się, jak zawsze robił jego dziadek odwiedzając kościół Najświętszej Marii Panny i Św. Michała na Jubilee Street. Tommy zapalił papierosa.

Nie ruszając się z miejsca zaczęli badać rozkład małego kościoła. Stracił on już dach, który padł ofiarą niemieckiego lub angielskiego pocisku, ale reszta nawy głównej i przedsionek pozostały nietknięte.

Charlie'ego zachwyciły mozaikowe wzory, zdobiące wewnętrzne ściany świątyni; z małych kwadracików wyłaniały się naturalnej wielkości portrety. Powoli obszedł nawę główną, patrząc na siedmiu uczniów Chrystusa, którzy przeżyli tę nieludzką wojnę.

Kiedy dotarł do ołtarza, upadł na kolana i pochylił głowę, przypominając sobie nauki ojca O'Malleya. W tym momencie przeleciała obok niego kula, trafiając w mosiężny krucyfik, który z trzaskiem spadł na podłogę. Chroniąc się pospiesznie za ołtarzem usłyszał drugi wystrzał. Wyjrzał ostrożnie i zobaczył niemieckiego oficera, który, trafiony w głowę, wypadł zza firanki konfesjonału i runął na kamienną posadzkę. Musiał umrzeć na miejscu.

- Mam nadzieję, że przynajmniej zdążył się wypowiedzieć - powiedział Tommy.

Charlie wyszedł zza ołtarza.

- Na miłość boską, nie bądź durniem i nie ruszaj się z miejsca, bo w tym kościele jest ktoś jeszcze, a ja mam przecucie, że nie jest to Wszechmogący Bóg. - Obaj usłyszeli jakiś szmer od strony znajdującej się nad nimi ambony, więc Charlie szybko wrócił za ołtarz.

- To ja. - Natychmiast rozpoznali znajomy głos.

- Jaki ja? - spytał Tommy, tłumiąc śmiech.

- Kapitan Trentham. Nie strzelajcie.

- Niech pan się pokaże i zejdzie na dół z rękami nad głową, żebyśmy mogli się upewnić, kim pan jest - rozkazał Tommy, bawiąc się znakomicie upokorzeniem swego prześladowcy.

Trentham wyprostował się powoli nad amboną i zaczął schodzić po kamiennych stopniach, trzymając ręce wysoko nad głową. Minał roztrzaskany u stóp ołtarza krucyfik i zabitego niemieckiego oficera, a potem zatrzymał się przed Tommym, który nadal mierzył z pistoletu prosto w jego serce.

- Przepraszam, sir - powiedział Tommy, opuszczając lufę. - Musiałem się upewnić, że nie jest pan Niemcem.

- Mówiącym wyszukaną angielszczyzną - z ironią dodał Trentham.

- Ostrzegaliśmy pan przed tego rodzaju podstępem w jednym ze swoich wykładów - przypomniał mu Tommy.

- Nie bądź taki wyszczekany. I skąd wzięłeś oficerski pistolet?

- Należał do porucznika Harveya - wtrącił się Charlie - a on go upuścił, kiedy...

- ... kiedy pan zwiewał do lasu - dokończył Tommy, nie spuszcżając Trenthama z oka.

- Goniłem dwóch Niemców, którzy próbowali uciec.

- Mnie wydawało się, że jest odwrotnie - oznajmił Tommy. - A kiedy wrócimy, będę o tym opowiadał wszystkim, którzy zechcą mnie słuchać.

- Przekonamy się, czy uwierzą tobie, czy mnie - odparł Trentham. - Tak czy owak, obaj Niemcy już nie żyją.

- Tylko dzięki mnie. I proszę nie zapominać, że obecny tu kapral był świadkiem całego

wydarzenia.

- A zatem wiesz, że moja wersja jest ścisła - oświadczył Trentham, odwracając się do Charlie'ego.

- Wiem tylko tyle, że powinniśmy teraz siedzieć na wieży i zastanawiać się nad sposobem powrotu na nasze pozycje, a nie tracić czasu na spory.

Kapitan wyraził zgodę kiwnięciem głowy, odwrócił się i pobiegł w głąb kościoła, w kierunku prowadzących na wieżę schodów.

Charlie szybko ruszył za nim. Zajęli pozycje obserwacyjne po przeciwnych stronach dachu. Choć nadal dochodziły do nich odgłosy bitwy, Charlie nie mógł zorientować się, która strona zyskuje przewagę, gdyż bój toczył się po drugiej stronie lasu.

Gdzie jest Prescott? - spytał po chwili kapitan.

- Nie wiem, sir - odparł Charlie. - Myślałem, że idzie za mną. - Ale Tommy pojawił się dopiero po kilku minutach, mając na głowie spiczasty hełm zabitego Niemca.

- Gdzie byłeś? - spytał podejrzliwie Trentham.

- Przeszukałem ten kościół od góry do dołu, w nadziei, że jest tu coś do żarcia, ale nie znalazłem nawet mszalnego wina.

- Zajmij pozycję tam - powiedział kapitan, wskazując jakąś niszę pod sklepieniem - i obserwuj teren. Pozostaniemy tu, dopóki nie zrobi się całkiem ciemno. Ja tymczasem zastanowię się, jak doprowadzić was bezpiecznie do naszych pozycji.

Wszyscy obserwowali francuski krajobraz, dopóki nie zrobiło się najpierw szaro, potem mrocznie, wreszcie kompletnie czarno.

- Czy nie powinniśmy niebawem wyruszyć, panie kapitanie? - spytał Charlie, kiedy przesiedzieli w ciemności już przeszło godzinę.

- Pójdziemy, kiedy uznam, że jesteśmy gotowi - oznajmił Trentham. - Ani chwili wcześniej.

- Tak jest, sir - odpowiedział Charlie i drżąc z zimna siedział w ciemnościach przez następne czterdzieści minut.

- No dobrze, chodźcie za mną - powiedział nagle Trentham.

Wstał i ruszył przodem po kamiennych schodach, a potem zatrzymał się przy drzwiach zakrystii. Powoli je otworzył. Skrzypienie zawiasów przypominało Charlie'emu odgłos ładowania karabinu maszynowego. Wszyscy trzej wpatrywali się w ciemność, a Charlie zastanawiał się, czy nie kryje ona kolejnego Niemca, czekającego na nich z odbezpieczonym karabinem w ręku. Kapitan zerknął na swój kompas.

- Najpierw musimy dotrzeć do tych drzew na grzbiecie przełęczy - wyszeptał Trentham. - Potem wyznaczę trasę, która doprowadzi nas do naszych linii.

Charlie, którego wzrok przyzwyczaił się już do ciemności, zaczął obserwować księżyc i co ważniejsze, kierunek ruchu chmur.

- Idąc w stronę tych drzew znajdziemy się na otwartej przestrzeni, więc nie będziemy ryzykować i poczekamy, aż księżyc zniknie za jakąś zasłoną. Potem kolejno pobiegniemy w tamtą stronę. Ty ruszysz pierwszy, Prescott, kiedy wydam ci rozkaz.

- Ja? - spytał Tommy.

Tak, ty, Prescott. Kiedy dotrzesz do drzew, pobiegnie za tobą kapral Trumper.

- A pan, jak się domyślam, będzie zabezpieczał tyły, o ile oczywiście uda nam się przeżyć.

- Nie bądź arogancki - upomniął go kapitan - bo tym razem staniesz przed sądem wojennym i

wylądujesz na swoim miejscu, to znaczy w areszcie.

- Nie zostanę skazany bez świadka - odparł Tommy - Na tyle znam już regulamin Królewskich Wojsk.

- Zamknij się, Tommy - mruknął Charlie.

Czekali w ciemności za drzwiami zakrystii, dopóki wielka smuga cienia nie przesunęła się powoli nad drogą i nie pokryła obszaru dzielącego kościół od kępy drzew - Naprzód! - rozkazał kapitan, klepiąc Prescottta po ramieniu.

Tommy pomknął jak spuszczonego ze smyczy chart przez otwartą przestrzeń i w ciągu jakichś dwudziestu sekund dotarł bezpiecznie do drzew.

W chwilę potem Charlie poczuł, że Trentham klepie go w ramię, więc ruszył naprzód i biegł szybciej niż kiedykolwiek przedtem, choć w ręku miał karabin, a na plecach ciężki tornister.

Dopiero kiedy znalazł się obok Tommy'ego, uśmiechnął się z zadowoleniem.

Obaj odwrócili się, by spojrzeć w stronę kapitana.

- Pewnie chce się przekonać, czy nas zabijają - odparł Tommy i w tym samym momencie księżyc wyszedł zza chmur.

Obaj czekali w milczeniu, dopóki świetlista kula nie schowała się za następną chmurą i nie nadbiegł wreszcie kapitan.

Stał obok nich, oparł się o drzewo i odpoczywał, próbując złapać oddech.

- Dobrze! - wyszeptał w końcu. - Pójdziemy powoli przez las, zatrzymując się co kilka metrów. Będziemy nadśłuchiwać, czy nie nadchodzi nieprzyjaciel, i kryć się za drzewami. Pamiętajcie, że nie wolno wam się poruszyć, dopóki księżyc nie schowa się za chmurami, ani otwierać ust, chyba że was o coś zapytam.

Wszyscy trzej ruszyli ostrożnie w dół zbocza, przeskakując od drzewa do drzewa i pokonując za każdym razem tylko po kilka metrów. Charlie nie zdawał sobie sprawy, że człowiek może być tak wyczulony na wszelkie nieznane odgłosy. Dopiero po godzinie dotarli do podnóża wzniesienia i zatrzymali się. Przed nimi rozciągał się ogromny obszar nagiego, otwartego terenu.

- Ziemia niczyja - wyszeptał Trentham. - To znaczy, że resztę drogi musimy przebyć na brzuchu. - Natychmiast padł w błoto. - Ja was poprowadzę - dodał. - Ty, Trumper, czołgaj się za mną, a Prescott będzie tworzyć straż tylną.

- To dowodzi przynajmniej, że wie, dokąd zmierza - mruknął Tommy. - Chyba zorientował się, skąd mogą nadlatywać kule i kto może pierwszy oberwać.

Powoli, cal po calu, brnęli przez półmilowy pas ziemi niczyjej, który dzielił ich od linii alianckich, przyciskając twarze do ziemi, gdy tylko zza niepewnej zasłony chmur wyłaniał się księżyc.

Charlie przez cały czas widział przed sobą Trenthama, ale Tommy poruszał się tak cicho, że musiał co chwila oglądać się za siebie, by sprawdzić, czy przyjaciel nadal jest za nim. W ciemności dostrzegał tylko jego wyszczerzone w uśmiechu białe zęby.

Podczas pierwszej godziny przebyli tylko sto metrów. Charlie żałował, że noc nie jest bardziej pochmurna. Latające nad głowami zbłąkane kule, wystrzeliwane z obu okopów, zmuszały ich do trzymania się jak najbliżej ziemi. Charlie nieustannie wypluwał błoto, a w pewnym momencie dostrzegł tuż przed sobą nieruchomą twarz jakiegoś zabitego Niemca.

Jeszcze jeden cal, jeszcze jedna stopa, jeszcze jeden metr... Nadal czołgali się po mokrej i zimnej ziemi niczyjej. Charlie usłyszał nagle za sobą głośny pisk. Obejrzał się z gniewem, by zbesztać

Tommy'ego, i stwierdził, że między jego nogami leży szczur, wielkości sporego królika. Tommy przebił mu brzuch bagnetem.

- Chyba mu się spodobałeś, kapralu - wyszeptał. - Jeśli wierzyć opowieściom Rose, chyba nie chodziło mu o sprawy seksu, więc pewnie chciał cię zjeść na kolację.

Charlie zatkał dłonią usta, by Niemcy nie usłyszeli jego śmiechu.

Księżyc ponownie wysunął się zza chmur i oświetlił otwartą przestrzeń. Wszyscy trzej znów zaryli się w błocie i czekali na następną chmurę, która pozwoli im posunąć się o kilka metrów do przodu. Minęły dwie godziny, zanim dotarli do zasieków z drutu kolczastego, które miały powstrzymać ataki Niemców.

Gdy dobrnęli do tej kolczastej zapory, Trentham zmienił kierunek i zaczął pełznąć wzdłuż niej. Ponieważ nadal znajdowali się po stronie niemieckiej, szukał luki, która umożliwiłaby im przebycie trudnej przeszkody. Od własnych okopów, w których mogliby poczuć się bezpiecznie, dzieliło ich już tylko pięćdziesiąt metrów.

Charlie stwierdził ze zdziwieniem, że kapitan zwalnia i pozwala mu się wyprzedzić.

- Cholera - mruknął Charlie cicho, gdy ponownie pojawił się księżyc, zmuszając ich do zastygnięcia w bezruchu, choć bezpieczne schronienie było już niemal w zasięgu ręki. Gdy tylko zrobiło się ciemno, zaczął powoli, cal po calu, pełznąć naprzód, bojąc się teraz bardziej zabłąkanej kuli od strony własnych okopów niż ognia nieprzyjaciela. W końcu usłyszał głosy; ktoś rozmawiał po angielsku. Nigdy dotąd nie przypuszczał, że widok tych okopów może kiedykolwiek napełnić go radością.

- Udało się! - krzyknął Tommy, tak donośnie, że jego głos mogli chyba usłyszeć nawet Niemcy. Charlie ponownie ukrył twarz w błocie.

- Kto idzie? - spytał ktoś w ciemności. Charlie usłyszał szcęk odbezpieczanych karabinów; siedzący w okopach żołnierze szybko budzili się z drzemki.

- Kapitan Trentham, kapral Trumper i szeregowiec Prescott z pułku Królewskich Strzelców - zawołał donośnie Charlie.

- Hasło?

- Och, Boże, jakie jest nas...?

- Czerwony Kapturek - krzyknął z za ich pleców Trentham.

- Podejdźcie bliżej i pokażcie się.

- Idź pierwszy, Prescott - rozkazał Trentham, a Tommy uniósł się na czworaki i zaczął powoli iść w kierunku własnych linii.

Charlie usłyszał gwizd nadlatującej z tyłu kuli i zauważył z przerażeniem, że Tommy pada na brzuch, a potem zastyga nieruchomo w błocie.

Obejrzał się szybko na majaczącego w półmroku Trenthama, który powiedział: - Przeklęte Szwabasy. Trzymaj się jak najbliżej ziemi, bo może cię spotkać to samo.

Charlie zignorował rozkaz i podczołgał się szybko do nieruchomego ciała przyjaciela. Padł obok niego i objął go ramieniem. - Pozostało nam już tylko dwadzieścia metrów - wyszeptał cicho, a potem spojrzał w stronę okopów i oznajmił cichym głosem: - Mamy rannego!

Prescott, nie ruszaj się, dopóki nie zajdzie księżyc - rozkazał z za ich pleców kapitan.

- Jak się czujesz, kolego? - spytał Charlie, przyglądając się badawczo twarzy przyjaciela.

- Szczerze mówiąc, czułem się już w życiu lepiej.

- Cicho tam, wy dwaj! - odezwał się Trentham.

- To nie była niemiecka kula - wykrztusił Tommy, z którego ust zaczęła wyciekać strużka krwi. - Więc dopadnij tego drania, jeśli ja nie będę miał szansy zrobić tego osobiście.

- Nic ci nie będzie - pocieszył go Charlie. - Nikt i nic nie jest w stanie zabić Tommy'ego Prescottta.

Gdy księżyc przysłoniła duża, czarna chmura, grupa żołnierzy wyskoczyła z okopów i ruszyła biegiem w ich stronę. Dwaj sanitariusze postawili nosze obok Tommy'ego, ułożyli go na nich i pognali z powrotem w kierunku okopów. Od strony pozycji niemieckiej nadleciał kolejny grad kul.

Gdy tylko bezpiecznie dotarli do wykopu, sanitariusze postawili nosze na ziemi. - Zanieście go do lazaretu! - wrzasnął na nich Charlie. - Na miłość boską, szybciej, szybciej!

- Nie ma po co, panie kapralu - odparł jeden z sanitariuszy. - On nie żyje.

ROZDZIAŁ 5

- Dowództwo nadal czeka na wasz meldunek, kapralu Trumper.

- Wiem, panie sierżancie, wiem o tym.

- Czy masz jakieś problemy, chłopcze? - spytał sierżant, a Charlie zorientował się, że jego przełożony nie jest pewien, czy umie pisać.

- Nie, nie mam żadnych problemów, panie sierżancie.

W ciągu następnej godziny powoli przelał na papier swoje myśli, a potem przepisał na czysto cały meldunek, zawierający zwięzły opis wydarzeń, do jakich doszło 18 lipca 1918, podczas drugiej bitwy nad Marną.

Przeczytał kilka razy swoją zdawkową relację, zdając sobie sprawę, że choć podkreślił w niej odwagę, jaką podczas bitwy wykazał się Tommy, nie wspomniał o ucieczce kapitana Trenthama przed nieprzyjacielem. W gruncie rzeczy nie widział na własne oczy tego, co działo się za jego plecami. Mógł wyrazić swoje przypuszczenia, ale wiedział, że kiedy dojdzie do przesłuchań przed sądem wojskowym, wersja ta okaże się nie dość przekonująca. Jeśli idzie o śmierć Tommy'ego, to nie miał żadnego dowodu na to, iż akurat ta zabłąkana kula wystrzelona została z pistoletu kapitana.

Nawet gdyby założył, że podejrzenia Tommy'ego były słuszne i wyraził taką opinię, dowództwo - z pewnością dałoby wiarę nie jemu, a kapitanowi, który był oficerem i gentlemanem.

Mógł jedynie sformułować relację w taki sposób, by nie zawierała ona pochwały walecznych czynów kapitana na polu bitwy. Czując się jak zdrajca, nagryzmolił podpis u dołu drugiej strony i przekazał meldunek dyżurnemu oficerowi.

Tego popołudnia, zwolniony na godzinę z obowiązków przez pełniącego służbę sierżanta, wziął udział w kopaniu grobu, w którym miano pochować szeregowca Prescottta. Klęcząc obok niego, przeklinał odpowiedzialnych za tę wojnę przywódców obu walczących stron.

Kapelan wojskowy odmówił modlitwę za zmarłych, po czym odegrano po raz kolejny ostatnie honory. Później oddział pogrzebowy zrobił krok w prawo i zaczął kopać grób następnego nie znanego żołnierza. W bitwie nad Marną zginęło sto tysięcy ludzi. Charlie uważał, że zwycięstwo nie jest warte takiej ceny.

Siedział obok grobu, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu i strugał bagnetem drewniany krzyż. W końcu wstał i umieścił go u szczytu mogiły. W jego centralnym punkcie wyrył słowa: "Szeregowiec Tommy Prescott".

Księżyc oblał tej nocy chłodnym światłem tysiąc świeżo wykopanych grobów, a Charlie poprzysiągł wszystkim bogom, jacy chcieli go słuchać, że nie zapomni swego ojca ani Tommy'ego i nie puści w niepamięć tego, co zrobił kapitan Trentham.

Zasnął wśród poległych kolegów. O pierwszym brzasku, kiedy rozległa się pobudka, wrócił do swego plutonu, gdzie powiedziano mu że, dowódca pułku ma przemówić do żołnierzy o dziewiątej zero zero.

W godzinę później stał na baczność w uszczuplonym czworoboku, utworzonym przez tych, którzy przeżyli bitwę. Pułkownik Hamilton poinformował swych podkomendnych, że premier nazwał bitwę nad Marną największym zwycięstwem w historii wojen.

Charlie nie był w stanie dołączyć do chóru wznoszących radosne okrzyki kolegów.

- Był to dzień sławy i chwały Królewskich Strzelców - ciągnął dowódca pułku, jak zwykle z monoklem w oku. Żołnierze tego pułku zostali uhonorowani szesnastoma odznaczeniami. Charlie patrzył obojętnie na wywoływanych kolejno do dekoracji kolegów, dopóki nie usłyszał nazwiska porucznika Harveya. - Porucznik Artur Harvey - oznajmił pułkownik - biegł podczas szturm na czele jedenastego plutonu aż do okopów niemieckich, zachęcając swych podwładnych do ataku i przełamania nieprzyjacielskiej linii obrony. Otrzymał za to pośmiertnie Krzyż Wojenny.

W chwilę później pułkownik wymienił nazwisko kapitana Guya Trenthama. - Ten dzielny oficer - zapewnił zebranych - nie dbając o własne bezpieczeństwo kontynuował atak po śmierci porucznika Harveya, zabijając wielu Niemców jeszcze przed dotarciem do okopu, w którym samodzielnie zlikwidował całą jednostkę wrogich wojsk. Przekroczywszy linie nieprzyjacielskie, pognął za dwoma Niemcami do pobliskiego lasu. Zabił ich obu i uwolnił z rąk niemieckich dwóch wziętych do niewoli strzelców, a potem doprowadził ich bezpiecznie do alianckich okopów. Za ten akt najwyższej odwagi również odznaczony został Krzyżem Wojskowym.

Trentham wystąpił z szeregu, a pułkownik, przy wtórze aplauzu zebranych żołnierzy, wyjął ze skórzanego pokrowca srebrny krzyż i przypiął mu go do piersi.

Następnie odczytano nazwiska jednego sierżanta, dwóch kaprali i czterech szeregowców, omawiając szczegółowo akty heroizmu, za które otrzymali odznaczenia. Ale tylko jeden z nich wystąpił z szeregu, by odebrać przyznany mu medal.

- Wśród tych, którzy nie mogą stanąć dziś wśród nas - ciągnął pułkownik - jest pewien młody szeregowiec. Biegł on tuż za porucznikiem Harveyem, wskoczył do okopu nieprzyjaciela i zabił czterech, a może nawet pięciu Niemców, potem dogonił i zlikwidował jeszcze jednego, a w końcu zastrzelił niemieckiego oficera, ale niestety zginął tragicznie od zabłąkanej kuli zaledwie o kilka jardów od swych własnych linii obronnych. - Zebrani raz jeszcze wzniesli okrzyk na cześć bohatera.

W chwilę później uroczystość dobiegła końca, ale podczas gdy inni rozeszli się do swych namiotów, Charlie powolnym krokiem wrócił za linie obronne i dotarł do polowego cmentarza.

Wyjął zwisający u jego pasa nóż i obok słów: "Tommy Prescott" wrył słowa: "Odznaczony Krzyżem Walecznych".

W dwa tygodnie później tysiąc żołnierzy, którzy mieli w sumie tysiąc nóg, tysiąc rąk i tysiąc oczu, otrzymał rozkaz powrotu do kraju. Sierżant Charles Trumper z pułku Królewskich Strzelców został odesłany wraz z nimi, chyba dlatego że był jedynym człowiekiem, któremu udało się przeżyć trzy ataki na pozycje nieprzyjaciela.

Powracający ranni byli pogodni i zadowoleni, że udało im się ujść z życiem, co zwiększało jeszcze bardziej jego poczucie winy.

On, bądź co bądź, stracił tylko palec u nogi. Podczas podróży po lądzie, morzu i ponownie lądzie, pomagał kolegom ubierać się i myć, karmił ich i bez skargi znosił wszystkie docinki.

Na przystani w Dover powitały ich wiwatujące na cześć powracających bohaterów tłumy.

Specjalnie podstawione pociągi rozwoziły ich po całym kraju, mogli więc do końca życia wspominać nieliczne chwile uznania, a nawet chwały. Charlie'ego czekał inny los. Jego dokument podróżny zobowiązywał go do stawienia się w Edynburgu, gdzie miał brać udział w szkoleniu następnej grupy rekrutów, przygotowywanych do wyprawy na Zachodni Front.

11 listopada 1918, o godzinie jedenastej zero zero działania wojenne zostały przerwane, a wdzięczny naród uczcił trzyminutowym milczeniem podpisanie zawieszenia broni, do którego doszło w wagonie kolejowym pod Compiègne. Wieści o zwycięstwie dotarły do Charlie'ego na strzelnicy w Edynburgu, kiedy prowadził zajęcia z niedawno wcielonymi do wojska rekrutami. Niektórzy z nich nie umieli ukryć rozczarowania, uważali bowiem, że pozbawiono ich szansy zmierzenia się z wrogiem.

Wojna była skończona, a Imperium Brytyjskie zwyciężyło; tak przynajmniej przedstawiali politycy rezultat zmagania angielsko - niemieckich.

„Ponad dziewięć milionów ludzi oddało życie za kraj, a niektórzy z nich nie dożyli nawet dorosłości - pisał Charlie w liście do swej siostry Sal. - I co osiągnęła którakolwiek ze stron za cenę takiej masakry?”

Sal odpisała niebawem, by poinformować go, jak bardzo się cieszy, że przeżył wojnę, i donieść o swych zaręczynach z jakimś kanadyjskim pilotem. „Zamierzamy pobrać się w ciągu kilku najbliższych tygodni i zamieszkać z jego rodzicami w Toronto. Następny list, jaki ode mnie dostaniesz, będzie wysłany z drugiego końca świata.

Grace nadal jest we Francji, ale ma nadzieję wrócić do Londyńskiego Szpitala po Nowym Roku. Została siostrą oddziałową. Wiesz chyba, że jej walijski kapral dostał zapalenia płuc. Umarł na kilka dni przed zawarciem pokoju.

Kitty zniknęła z powierzchni ziemi, a potem bez uprzedzenia zjawiła się w Whitechapel z jakimś mężczyzną prowadzącym samochód. Mam wrażenie, że ani jeden, ani drugi nie należeli do niej, ale wydawała się bardzo zadowolona z życia”.

Charlie nie zrozumiał dopisku siostry: „Gdzie będziesz mieszkał, kiedy wrócisz na East End?”

Sierżant Charles Trumper został zwolniony ze służby czynnej 20 lutego 1919 jako jeden z pierwszych uczestników wojny; przyczynił się do tego utracony palec u nogi. Złożył schludnie swój mundur, położył na nim hełm, wziął pod pachę buty, przemaszerował przez plac apelowy i wręczył cały sprzęt kwatermistrzowi.

- Z trudem was poznałem, sierżancie, w tym starym ubraniu i cywilnej czapce. Nie pasują już na was, co? Musieliście podrosnąć podczas służby w Strzelcach.

Charlie spojrzał w dół i sprawdził długość swoich spodni; nogawki sięgały mu teraz zaledwie do kostek.

- Musiałem podrosnąć podczas służby w Strzelcach - powtórzył z namysłem.

- Założę się, że wasza rodzina będzie szczęśliwa, kiedy wrócicie do cywila.

- Niewiele z niej zostało - odparł Charlie, odwracając się w stronę wyjścia. Musiał jeszcze, przed pożegnaniem się ze służbą, odebrać ostatni żołd i powrotny bilet kolejowy.

- Trumper, oficer dyżurny chciałby z tobą porozmawiać - oznajmił mu starszy sierżant, kiedy dopełnił swych ostatnich obowiązków.

Moimi oficerami dyżurnymi zawsze będą porucznik Makepeace i porucznik Harvey - myślał Charlie, ponownie idąc przez plac apelowy w kierunku sztabu kompanii. Ich miejsce odważył się teraz zająć jakiś goło wąs, który nigdy nie wachał prochu.

Charlie chciał zaszalutować porucznikowi, ale przypomniał sobie w porę, że nie ma już munduru, więc ograniczył się do zdjęcia czapki.

- Wzywał mnie pan, sir?

- Tak, Trumper, mam do was pewną osobistą sprawę. - Młody oficer dotknął dużej skrzynki, która stała na jego biurku. Charlie nie widział, co znajduje się w jej wnętrzu.

- Okazuje się, Trumper, że wasz przyjaciel Prescott sporządził testament, w którym wszystko zapisał wam.

Charlie, nie mogąc ukryć zdziwienia, zajrzał do skrzynki, którą podsunął mu porucznik.

- Bądźcie uprzejmi sprawdzić zawartość i pokwitować odbiór.

Porucznik położył na biurku jakiś formularz. Zawierał on tylko jeden wyraźnie wykaligrafowany akapit. Pod nim, nad wpisanym drukowanymi literami nazwiskiem szeregowca Prescottta, znajdował się znak "X" i podpis starszego sierżanta Philpotta, który potwierdził autentyczność dokumentu.

Charlie zaczął kolejno wyjmować ze skrzynki wszystkie znajdujące się w niej przedmioty. Zardzewiała, rozpadająca się harmonijka Tommy'ego, siedem funtów jedenaście szylingów i sześć pensów zaległego żołdu, hełm niemieckiego oficera. Potem otworzył skórzane pudełeczko i ujrzał Krzyż Walecznych Tommy'ego z wyrytym na odwrocie napisem: "Za odwagę na polu walki". Wyjął odznaczenie i trzymał je przez chwilę w dłoni.

- Ten Prescott musiał być piekielnie odważnym facetem - zauważył porucznik. - Solą ziemi, i tak dalej.

- I tak dalej - przyznał Charlie.

- Czy był również człowiekiem religijnym?

- Nie, tego nie mogę powiedzieć - stwierdził z uśmiechem Charlie. - Dlaczego pan pyta?

- Z powodu tego malowidła - odparł porucznik, wskazując wnętrze skrzynki. Charlie pochylił się i spojrzał z niedowierzaniem na obraz, przedstawiający Maryję z Dzieciątkiem. Miał on rozmiary osiem na osiem cali i był oprawiony w czarną, drewnianą ramę.

Charlie wyjął portret ze skrzynki i trzymał go w wyciągniętych rękach.

Przyglądając się centralnej postaci obrazu, w której dominowała głęboka czerwień, purpura i błękit, poczuł pewność, że widział już gdzieś ten wizerunek Madonny. Po chwili odłożył małe olejne malowidło do skrzynki, wraz z innymi przedmiotami, stanowiącymi dobytek Tommy'ego.

Potem odwrócił się i ruszył do wyjścia, niosąc w jednej ręce skrzynkę, w drugiej opakowane w szary papier zawiniątko, a w kieszeni od marynarki bilet powrotny do Londynu.

Gdy wychodził z koszar, by skierować się w stronę stacji - był ciekaw, ile czasu upłynie, zanim nauczy się chodzić normalnym krokiem - zatrzymał się obok wartowni i po raz ostatni spojrzał na plac apelowy. Maszerowała po nim gromada nowo powołanych rekrutów, dowodzonych przez nowego instruktora musztry, który podobnie jak niegdyś sierżant Philpott pokrzykiwał na nich energicznie, zmuszając ich do wyczerpującego wysiłku.

Charlie odwrócił się i rozpoczął podróż do Londynu. Nadal miał zaledwie dziewiętnaście lat i w gruncie rzeczy dopiero od niedawna był w wieku poborowym, ale podczas służby urósł o dwa cale, zaczął się golić i niemal stracił dziewictwo.

Spełnił swój obowiązek i skłonny był podzielać opinię, wygłoszoną przez brytyjskiego premiera, który stwierdził, że ta wojna położy kres wszystkim wojnom.

Wagon nocnego pociągu z Edynburga pełny był umundurowanych żołnierzy, którzy nieufnie przyglądali się ubranemu w cywilny strój Charlie'emu, podejrzewając, że nie służył jeszcze krajowi

lub, co gorsza, jest pacyfistą.

- Na pewno niedługo go powołają - wyszeptał głośno jakiś siedzący po przeciwległej stronie przedziału kapral do swego kolegi. Charlie uśmiechnął się, ale nie skomentował tej wypowiedzi.

Budząc się co chwila, zdał sobie z rozbawieniem sprawę, że łatwiej mu było wypoczywać w wilgotnym, błotnistym okopie, wśród szczurów i karaluchów. Kiedy następnego ranka pociąg wtoczył się na stację King's Cross, miał sztywny kark i odczuwał ból w krzyżu. Przeciągnął się, a potem zdjął z półki swoją paczkę i skrzynkę z dobytkiem Tommy'ego.

Zjadł na stacji kanapkę i wypił filiżankę herbaty. Był zaskoczony, kiedy kelnerka zażądała od niego trzech pensów. - Dwa pensy płacą tylko ci, którzy mają na sobie mundur - oznajmiła z nie ukrywaną pogardą. Charlie jednym łykiem dopił herbatę i bez słowa opuścił stację.

Na ulicach panował większy ruch i zgiełk niż w czasach, które pamiętał, ale bez wahania wskoczył do tramwaju z napisem "City".

Siedział samotnie na ławce z drewnianych listew, zastanawiając się, jakie zmiany zastanie po powrocie na East End. Czy jego sklep prosperuje, czy też z trudem wiąże koniec z końcem? A może zbankrutował i został sprzedany? I co się stało z największym wózkiem świata?

Wyskoczył z wagonu w Poultry, postanowiwszy przebyć ostatnią milę piechotą. Przyspieszał kroku w miarę, jak zmieniała się uliczna sceneria; miejsce pracujących w City bankierów, noszących czarne surduty i meloniki, zajęli urzędnicy w ciemnych ubraniach i filcowych kapeluszach, a potem prości ludzie w workowatych Strojach i czapkach. W końcu dotarł do East Endu, gdzie mężczyźni przed trzydziestką z reguły nie nosili żadnego nakrycia głowy.

Niedaleko Whitechapel Road Charlie zatrzymał się, by spojrzeć na otaczający go ze wszystkich stron gorączkowy ruch. Wszędzie widział przenoszone i przewożone połcie mięsa, wózki z jarzynami, tace z ciastkami i wielkie puszki z herbatą.

Co się stało z piekarnią i straganem dziadka? Czy zastanie je na miejscu? Nasunął czapkę na czoło i wmieszał się w tłum handlujących na targu ludzi.

Kiedy dotarł do rogu Whitechapel Road, nie był pewien, czy nie zabłądził. Miejsce piekarni zajęł jakiś krawiec, który nazywał się Jacob Cohen. Charlie przycisnął nos do szyby wystawowej i przekonał się, że nie zna żadnego ze znajdujących się w warsztacie pracowników. Spojrzał szybko w kierunku miejsca, zajmowanego od niemal stu lat przez wózek z napisem "Charlie Trumper, uczciwy kupiec", ale zobaczył tylko gromadę młokosów, stojących wokół opalanego węglem drzewnym piecyka i kupujących po pensie torebki z gorącymi kasztanami. Charlie odżałował pensa i kupił porcję kasztanów, ale nikt nawet na niego nie spojrział. Zapewne Becky sprzedała wszystko, zgodnie z moim poleceniem - myślał opuszczając rynek i idąc dalej wzdłuż Whitechapel Road, w nadziei, że zastawszy w domu przynajmniej jedną z sióstr, będzie mógł wypocząć i zebrać myśli.

Kiedy znalazł się przed domem z numerem 112, stwierdził z zadowoleniem, że drzwi frontowe zostały odmalowane. Niech Bóg błogosławi Sal. Pchnął je, wszedł prosto do saloniku i stanął twarzą w twarz z jakimś tęgim, do połowy ogolonym mężczyzną w kamizelce i spodniach, trzymającym w ręku otwartą brzytwę.

- Czego sobie życzysz? - spytał obcy, zdecydowanym ruchem podnosząc brzytwę.

- Ja tutaj mieszkam - odparł Charlie.

- Bzdury. Przejąłem tę budę przed sześciu miesiącami.

- Ale...

Żadnych ale - przerwał mu mężczyzna i bez ostrzeżenia położył mu dłoń na klatce piersiowej, a

potem wypchnął go na ulicę.

Drzwi zatrzasnęły się, a w zamku zazgrzytał klucz. Charlie, nie mając pojęcia, co robić, zaczął żałować, że w ogóle wrócił do domu.

- Cześć, Charlie - usłyszał za plecami czyjś głos. - Jesteś, Charlie, prawda? A więc jednak nie zostałeś zabity.

Obejrzał się pospiesznie i zobaczył stojącą w drzwiach swego domku panią Shorrocks.

- Zabity?

- Tak - odparła pani Shorrocks. - Kitty powiedziała nam, że zginąłeś na Froncie Zachodnim, więc musi sprzedać wasz dom. To było przed kilku miesiącami i od tej pory jej nie widziałam. Czy nikt cię o tym nie zawiadomił?

- Nie, nikt mnie nie zawiadomił - oznajmił Charlie, ciesząc się, że spotkał kogoś, kto przynajmniej go poznaje. Patrzył na swoją sąsiadkę, zastanawiając się, dlaczego wygląda ona zupełnie inaczej niż dawniej.

- Co powiedziałbyś na lunch, mój mały? Wyglądasz, jak człowiek zagłodzony.

- Dziękuję, pani Shorrocks.

- Kupiłam właśnie u Dunkleya porcję smażonej ryby z frytkami.

Chyba nie zapomniałeś, jakie są dobre. Za trzy pensy można kupić spory kawałek polanego octem winnym dorsza i pełną torebkę frytek Charlie wszedł w ślad za panią Shorrocks do domku z numerem 110, a potem do kuchni i usiadł ciężko na drewnianym krześle.

- Czy nie wie pani czasem, co stało się z moim wózkiem i ze sklepem Dana Salmona?

- Młoda panna Rebeka sprzedała cały interes. Musiało to być co najmniej przed dziewięcioma miesiącami, chyba wkrótce po twoim wyjeździe na front. - Pani Shorrocks położyła na środku stołu opakowaną w papier rybę i torebkę z frytkami. - Prawdę mówiąc, Kitty oznajmiła nam, że znalazła twoje nazwisko na liście poległych nad Marną, więc zanim ktokolwiek odkrył prawdę, było już zbyt późno.

- Może powinienem żałować, że tak się nie stało - mruknął Charlie. - Bo widzę, że nie mam, dokąd wracać.

- Och, nie wiem - powiedziała pani Shorrocks, otwierając butelkę - Prosto jak strzelił kę piwa, wypijając z niej spory łyk i podsuwając ją Charlie'emu. - Słyszałam, że teraz można kupić mnóstwo straganów i to po okazjnych cenach.

- Cieszę się, że mi pani to mówi - stwierdził Charlie. - Ale najpierw muszę odnaleźć Bogatą Porky, bo nie zostało mi wiele własnego kapitału. - Przerwał, by wziąć do ust pierwszy kęs ryby. - Czy nie wie pani, gdzie ona się podziewa?

- Nie widziałam jej ostatnio w tych stronach, Charlie. Zawsze była jak na nasz gust trochę zbyt wyniosła, ale ktoś mi mówił, że Kitty odwiedzała ją na Uniwersytecie Londyńskim.

- Na Uniwersytecie Londyńskim? No cóż, być może, jest teraz jeszcze bardziej wyniosła, ale przekona się, że Charlie Trumper bynajmniej nie umarł. I mam nadzieję, że wyjaśni mi, co zrobiła z moją częścią pieniędzy. - Wstał od stołu i zebrał swoje rzeczy, zostawiając dwie ostatnie frytki dla pani Shorrocks.

- Czy mam otworzyć następną butelkę, Charlie?

- Nie mogę teraz zostać dłużej, pani Shorrocks. Ale dziękuję za poczęstunek... i proszę pozdrowić ode mnie męża.

- Berta? Nic nie słyszałeś? Umarł biedak na atak serca, już przeszło pół roku temu. Bardzo mi go

brak. - Teraz dopiero Charlie zdał sobie sprawę, dlaczego jego sąsiadka wygląda inaczej niż dawniej; nie miała podbitego oka ani żadnych sińców.

Opuścił jej dom i ruszył w kierunku Uniwersytetu Londyńskiego, by podjąć próbę odnalezienia Rebeki Salmon. Nie wiedział, czy zastosowała się do jego poleceń, ale przecież sam ją prosił, aby w przypadku umieszczenia jego nazwiska na liście poległych podzieliła należny mu udział między trzy siostry: Sal, która była teraz w Kanadzie, Grace, która nadal przebywała gdzieś we Francji, i Kitty, która Bóg wie gdzie się podziewała. Wiedział, że jeśli to zrobiła, nie będzie miał dość kapitału, by zacząć od nowa, gdyż oprócz zaległego żołądu odziedziczonego po Tommym pozostało mu tylko kilka zaoszczędzonych funtów. Spytał pierwszego napotkanego policjanta, jak dojść do uniwersytetu, i stosując się do jego wskazówek ruszył w kierunku Strandu. Po przebyciu pół mili zobaczył bramę, w której kamiennym łuku wryty był napis: "King's College". Minął ją, zapukał do drzwi z tabliczką "Informacja", wszedł do środka i zapytał dyżurującego za kontuarem mężczyznę, czy na liście studentów figuruje Rebeka Salmon. Urzędnik zajrzał do wykazu i potrząsnął głową. - Tutaj nie ma takiej osoby - powiedział - ale niech pan spróbuje spytać w sekretariacie uniwersytetu, na Malet Street.

Wydawszy następnego pensa na tramwaj Charlie wsiadł do wagonu i zaczął się zastanawiać, gdzie spędzi noc.

- Rebeka Salmon? - spytał stojący za ladą sekretariatu mężczyzna w mundurze kaprala. - Nie przypominam sobie. - Zaczął szukać jej nazwiska w grubym wykazie, który wyciągnął spod lady. - Och, tak, istotnie. Bedford College, historia sztuki - powiedział wyraźnie lekceważącym tonem.

- Czy nie ma pan jej adresu, kapralu?

- Będiesz mógł mówić do mnie "kapralu", kiedy odbędziesz służbę wojskową, chłopcze. Prawdę mówiąc, dobrze zrobiłbyś zaciągając się jak najprędzej.

Charlie doszedł do wniosku, że jak na jeden dzień przeżył już dość upokorzeń i nagle przestał panować nad nerwami. - Sierżant Trumper, numer 7312087. Ja będę do was mówił "kapralu", a wy do mnie "sierżancie". Czy wyrażam się jasno?

- Tak jest, panie sierżancie - oznajmił kapral, stając na baczność.

- No więc, jaki jest jej adres?

- Wynajmuje mieszkanie na Chelsea Terrace, pod numerem 97, panie sierżancie.

- Dziękuję - odparł Charlie i czując na plecach wzrok zaskoczonego weterana służby wyszedł z budynku, by wyruszyć w kolejną podróż po Londynie.

Było już po czwartej, kiedy zmęczony Charlie wysiadł z tramwaju na rogu Chelsea Terrace. Był ciekaw, czy Becky jest w domu, a raczej w swoim wynajętym mieszkaniu.

Szedł wolno dobrze sobie znaną ulicą, podziwiając sklepy, o których posiadaniu marzył już we wczesnej młodości. Numer 131 - antyki; mahoniowe meble, pięknie politurowane stoły i krzesła.

Numer 133 - suknie i pończochy z Paryża; Charlie nie był pewien, czy mężczyzna powinien oglądać te prezentowane na wystawie części garderoby. Numer 135 - widoczne w głębi sklepu półce mięsa i zwisające z haków sztuki drobiu wyglądały tak smakowicie, że Charlie niemal zapomniał o panującym w kraju niedoborze żywności. Potem dostrzegł otwartą pod numerem 139 restaurację o nazwie "Mr Scallini". Był ciekaw, czy włoska kuchnia kiedykolwiek przyjmie się w Londynie.

Numer 141 - stara, zakurzona, pełna pajęczyn księgarnia, w której nie było ani jednego klienta.

Numer 143 - warsztat krawiecki. Ubrania, kamizelki, kołnierzyki i koszule, przeznaczone - jak głosił

napis na szybie - dla obdarzonych dobrym gustem gentlemanów. Numer 145 - świeżo pieczony chleb, którego sam zapach mógł każdego zwabić do wnętrza. Charlie z niedowierzaniem przyglądał się ulicy, po której chodziły elegancko ubrane kobiety, tak beztrąsko załatwiając swe codzienne sprawy, jakby wojna światowa w ogóle się nie rozpoczęła. Nikt chyba nie powiedział im o kuponach żywnościowych.

Charlie zatrzymał się pod numerem 147. Z zachwytem wciągnął oddech, widząc półki ze świeżymi owocami i warzywami, które sam z dumą gotów byłby sprzedawać. Dwie zgrabne panienki w zielonych fartuszkach, z pomocą jeszcze bardziej eleganckiego młodego człowieka, obsługiwały klienta, który wybierał właśnie kiść winogron.

Charlie cofnął się o krok, podniósł głowę i spojrzał na umieszczony nad sklepem szyld. Widniał na nim namalowany złotymi i niebieskimi literami napis: "Charlie Trumper, uczciwy kupiec, rok założenia 1823".

BECKY 1918-1920

ROZDZIAŁ 6

- Od 1480 do 1532 - powiedział.

Zajrzałam do notatek, by się upewnić, czy zapisałam poprawne daty, zdając sobie sprawę, że mam kłopoty z koncentracją. Był to ostatni wykład tego dnia, a ja myślałam tylko o tym, żeby jak najszybciej wrócić na Chelsea Terrace.

Tematem tego popołudniowego wykładu był Bernardino Luini.

Postanowiłam już wcześniej, że będę pisać pracę dyplomową o tym nie docenionym malarzu z Mediolanu. Mediolan... to jeszcze jeden powód do zadowolenia, że wojna wreszcie się skończyła. Teraz mogłam planować wyprawy do Rzymu, Florencji, Wenecji i właśnie Mediolanu, po to, by na własne oczy zobaczyć dzieła Luiniego.

Michał Anioł, Leonardo da Vinci, Bellini, Caravaggio, Bernini: połowa światowych arcydzieł znajdowała się w jednym kraju, a mnie nie udało się dotychczas dotrzeć dalej niż do bram muzeum Wiktorii i Alberta.

O czwartej trzydzieści rozległ się dzwonek, oznaczający koniec zajęć na ten dzień. Złożyłam książki i patrzyłam na profesora Tilseya, który powoli zmierzał w stronę drzwi. Było mi staruszka trochę żal. Został odwołany z emerytury, ponieważ liczni młodzi wykładowcy musieli opuścić uniwersytet, by walczyć na Froncie Zachodnim. Śmierć Matthew Makepeace'a, człowieka, który powinien był tego popołudnia prowadzić wykład - "jednego z najbardziej obiecujących uczonych swego pokolenia", jak zwykł mawiać stary profesor - była "nieodżałowaną stratą dla katedry i całego uniwersytetu". Musiałam przyznać mu rację: Makepeace był jednym z niewielu ludzi w Anglii uważanych za znawców Luiniego.

Wysłuchałam jedynie trzech jego wykładów, zanim zaciągnął się do wojska i wyjechał do Francji... Uważałam za ironię losu, że właśnie taki człowiek poległ gdzieś w środkowej Francji, a jego ciało podziurawione niemieckimi kulami zawisło na zasiekach z drutu kolczastego.

Byłam na pierwszym roku studiów w Bedford. Miałam wrażenie, że ciągle brakuje mi czasu na odrobienie zaległości, więc bardzo chciałam, aby Charlie wrócił i zdjął z moich barków ciężar prowadzenia sklepu. Napisałam do niego do Edynburga, kiedy był już w Belgii, do Belgii kiedy był we Francji, a do Francji dokładnie w chwili, kiedy wrócił do Edynburga. Poczta Królewska jakoś nie mogła go dogonić, a teraz nie chciałam, by Charlie dowiedział się o moich poczynaniach, dopóki nie będę miała okazji zobaczyć jego reakcji na własne oczy.

Jacob Cohen obiecał skierować Charlie'ego do Chelsea, kiedy tylko pojawi się on znów na Whitechapel Road. Nie mogłam się tego doczekać.

Zebrałam książki i wcisnęłam je do starej szkolnej teczki, którą podarował mi mój ojciec - Tata -

kiedy wygrałam konkurs zapewniający stypendium w St. Paul's. Inicjały "RS", które z taką dumą wytłoczył na jej przodzie, już wyblakły, a skórzany rzemień prawie się przetaił, więc w ostatnim okresie nosiłam teczkę pod pachą.

Tacie nigdy nie przyszłoby do głowy, by kupić mi nową, dopóki stara mogła przetrwać choćby jeszcze jeden dzień.

Tata zawsze był dla mnie bardzo surowy; dwukrotnie nawet zbił mnie pasem, raz za kradzież "babeczek", które matka nazywała słodkimi bułeczkami z rodzynkami - pozwalał mi brać ze sklepu, co chciałam, pod warunkiem, że o to poprosiłam - a raz za użycie słowa "cholera", kiedy obierając jabłko skaleczyłam się w palec.

Choć nie byłam wychowywana w wierze żydowskiej - matka nie chciała o tym nawet słyszeć - ciągle przekazywał mi wszelkie zasady, stanowiące część jego własnego wychowania i nigdy nie tolerował postępowania, które uważał za "niestosowne".

Dopiero w wiele lat później dowiedziałam się o warunkach, na jakie zgodził się Tata, kiedy zaproponował małżeństwo mojej matce, kobiecie wyznania rzymskokatolickiego. Uwielbiał ją i nigdy w mojej obecności nie skarżył się na to, że zawsze sam uczestniczył w shul. W dzisiejszych czasach "mieszane małżeństwo" wydaje się określeniem przestarzałym, ale na przełomie wieków z pewnością wymagało ono od nich obojga wielu ofiar.

Pokochałam St. Paul's od dnia, w którym przekroczyłam po raz pierwszy bramy tej szkoły, prawdopodobnie po części dlatego, że nikt nie ganił mnie za zbyt ciężką pracę. Nie podobało mi się tylko to, że nazywano mnie "Porcky". Pewna dziewczyna z wyższej klasy, Daphne Harcourt-Browne, wyjaśniła mi później dwuznaczność tego określenia. Daphne, znana jako "Snooty", była blondynką o kręconych włosach i choć różniłyśmy się pod wieloma względami, zbliżyło nas upodobanie dla kremowych babeczek - zwłaszcza kiedy odkryła, że jestem źródłem nigdy nie kończących się ich dostaw. Daphne chętnie płaciłaby za nie, ale nie godziłam się na to, bo chciałam w oczach koleżanek z klasy uchodzić za jej przyjaciółkę. Zaprosiła mnie kiedyś nawet do swego domu w Chelsea, ale odmówiłam, ponieważ wiedziałam, że jeśli tam pójde, będę musiała zrewanżować się zaproszeniem jej do mojego mieszkania w Whitechapel.

To właśnie Daphne, w rewanżu za kilka śmietankowych wafelków, podarowała mi moją pierwszą książkę o sztuce, Skarby Włoch i od tego dnia wiedziałam, że natrafiłam na dziedzinę, którą chciałam studiować przez resztę życia. Wciąż intrygowało mnie, dlaczego z książki wyrwano jedną z pierwszych stron, ale nigdy nie spytałam o to ofiarodawczynie.

Daphne pochodziła z jednej z najlepszych londyńskich rodzin należących w moim mniemaniu do wyższych sfer, więc kiedy opuściłam St. Paul's, byłam przekonana, że nasze drogi nie skrzyżują się więcej. Bądź co bądź Lowndes Square nie był moim naturalnym środowiskiem. Choć, prawdę mówiąc, nie był nim również i East End, dopóki mieszkali tam tacy ludzie jak Trumperowie czy Shorrockowie.

Ale kiedy rozmowa schodziła na rodzinę Trumperów, mogłam jedynie podzielać opinię mego ojca. Według niego Mary Trumper bez wątplenia była świętą kobietą. George Trumper był człowiekiem zachowującym się w sposób gorszący i nie reprezentował klasy swego ojca, którego Tata zwykł określać mianem "mensch".

Młody Charlie - który według mnie zawsze knuł coś złego - uważany był przez Tatę za człowieka z "przyszłością". Tata twierdził, że musiał on przejąć wszystkie zalety swego dziadka.

- Jak na goja nie jest złym chłopcem - mawiał Tata. - Uwierz mi, że pewnego dnia będzie

prowadził własny sklep, być może nawet więcej niż jeden. - Nie poświęciłam wiele uwagi temu spostrzeżeniu i dopiero śmierć mojego ojca uświadomiła mi, że Charlie jest jedyną osobą, do której mogę się zwrócić.

Tata dość często narzekał, że nie może zostawić sklepu pod opieką swych dwóch pomocników dłużej niż na godzinę, żeby nie wydarzyło się coś złego. - No saychel - uskarżał się na ich brak odpowiedzialności. - Nie chcę myśleć, co stałoby się ze sklepem, gdybym wziął jeden dzień wolnego.

Ostatnie słowa, które rabin Glikstein odczytał podczas levoyah ojca, długo dźwięczały mi w uszach. Moja matka nadal leżała nieprzytomna w szpitalu, a lekarze nie byli w stanie powiedzieć mi, kiedy i czy w ogóle wyzdrowieje. Miałam zamieszkać na jakiś czas u mojej niechętnie nastawionej do tego pomysłu ciotki Harriet, którą widywałam dotąd jedynie na rodzinnych spotkaniach. Okazało się, że mieszka ona w jakiejś miejscowości o nazwie Romford, a ponieważ miała zabrać mnie tam nazajutrz po pogrzebie, na podjęcie decyzji pozostało mi zaledwie kilka godzin. Próbowałam wyobrazić sobie, jak w takiej sytuacji postąpiłby mój ojciec, i doszłam do wniosku, że zrobiłby on, jak to często określał, "śmiały krok".

Zanim wstałam następnego ranka, byłam już zdecydowana sprzedać piekarnię osobie oferującej najwyższą cenę, o ile Charlie Trumper nie zechce wziąć na siebie odpowiedzialności za sklep. Z pewnością miałam wtedy wątpliwości, czy Charlie będzie w stanie poprowadzić interes, w końcu jednak przeważała pochlebna opinia, jaką miał o nim Tata.

Tego dnia rano, podczas lekcji, przygotowałam plan działania.

Natychmiast po szkole pojechałam pociągiem z Hammersmith do Whitechapel i przebyłam piechotą resztę drogi do mieszkania Charlie'ego.

Kiedy znalazłam się pod numerem 112, uderzyłam w drzwi otwartą dłonią i czekałam - pamiętam, jak byłam zdziwiona, że Trumperowie nie mają kołatki. W końcu otworzyła mi jedna z tych okropnych sióstr Charlie'ego, ale nie byłam całkiem pewna, z którą mam do czynienia.

Powiedziałam jej, że muszę porozmawiać z Charlie'm, i nie byłam zaskoczona, że kazała mi czekać na progu, a sama zniknęła w głębi domu. Wróciła po kilku minutach i ociągając się zaprowadziła mnie do niewielkiego pokoju na tyłach mieszkania.

Wychodząc stamtąd w dwadzieścia minut później czułam, że nasza umowa jest bardziej korzystna dla Charlie'ego niż dla mnie, ale przyszedł mi do głowy kolejny aforyzm mojego ojca: "Shnorrers nie mają wyboru".

Następnego dnia zapisałam się na kurs księgowości, stanowiący w naszej szkole "przedmiot nadobowiązkowy". Lekcje odbywały się wieczorami tuż po zakończeniu moich regularnych zajęć. Początkowo zajęcia wydawały mi się nieco nużące, ale z upływem tygodni zafascynował mnie fakt, że skrupulatne zapisywanie każdej transakcji może aż do tego stopnia okazać się korzystne nawet dla naszego małego przedsiębiorstwa. Nie miałam pojęcia, że można zaoszczędzić tak dużo pieniędzy po prostu znając się na zestawieniach bilansowych, spłatach długów i pisaniu odwołań w sprawach dotyczących podatków. Miałam tylko jedno zmartwienie: podejrzewałam, że Charlie nigdy nie zawracał sobie głowy płaceniem jakichkolwiek podatków.

Polubiłam nawet cotygodniowe wizyty w Whitechapel, gdzie miałam okazję popisywać się swą biegłością w tej nowo odkrytej dziedzinie. Choć trwałam w przekonaniu, że spółka z Charlie'm zakończy się, gdy tylko dostanę się na uniwersytet, nadal uważałam, iż połączenie jego energii i przedsiębiorczości z moim rozważnym podejściem do wszelkich spraw finansowych, wywarłoby

korzystne wrażenie na moim ojcu, a być może nawet na dziadku Charlie'ego.

Kiedy nadszedł moment, w którym musiałam skoncentrować się na przygotowaniach do matury, postanowiłam zaproponować Charlie'emu wykup mojego udziału w spółce, i znalazłam nawet kompetentną księgową, która miała przejąć na siebie moje obowiązki i poprowadzić buchalterię firmy. Ale Niemcy znowu pokrzyżowali moje znakomite plany.

Tym razem zabili ojca Charlie'ego, co było głupim błędem, ponieważ skłoniło jedynie młodego durnia do wstąpienia do armii i rozpoczęcia walki z Niemcami na własną rękę. W typowy dla siebie sposób nie uważał nawet za stosowne zasięgnąć czyjejś rady.

Wyruszył na Great Scotland Yard w swoim okropnym dwurzędowym ubraniu, idiotycznym kaszkiecie i jaskrawo zielonym krawacie, dźwigając na swych barkach wszystkie troski Imperium i zostawiając na mojej głowie cały interes. Nic więc dziwnego, że w ciągu następnego roku tak bardzo schudłam, co moja matka uważała za skromną rekompensatę wynagradzającą mi przymus zadawania się z kimś takim jak Charlie Trumper.

Na domiar złego, w kilka tygodni po wyjeździe Charlie'ego do Edynburga przyznano mi miejsce na Uniwersytecie Londyńskim.

Charlie postawił mnie przed alternatywą: mogłam sama prowadzić piekarnię i porzucić wszelkie nadzieje na uzyskanie dyplomu lub sprzedać ją osobie oferującej najwyższą cenę. W dniu wyjazdu Charlie napisał do mnie kilka słów doradzając sprzedaż, więc posłuchałam jego rady, ale mimo wielu godzin spędzonych na włóczeniu się po całym East Endzie znalazłam tylko jednego potencjalnego nabywcę: pan Cohen od kilku lat prowadzący nad sklepem mojego ojca zakład krawiecki chciał go powiększyć. Zaoferował mi przyzwoitą jak na te warunki cenę, a ja wyciągnęłam od jednego z ulicznych kupców jeszcze dwa funty za ogromny wózek Charlie'ego; ale choć usilnie się starałam, nie znalazłam nabywcy na okropny, zniszczony, dziewiętnastowieczny zabytek dziadka Charlie'ego.

Wszystkie zebrane pieniądze bezzwłocznie zdeponowałam na okres jednego roku na cztery procent w mieszczącym się na Cheapside 102 Bow Building Society. Nie miałam najmniejszego zamiaru ich naruszać, dopóki Charlie Trumper był na wojnie, aż do wizyty Kitty Trumper, którą złożyła mi w Romford w jakieś pięć miesięcy później. Wybuchnęła płaczem i powiedziała, że Charlie został zabity na Froncie Zachodnim. Dodała, że nie wie, co stanie się z rodziną teraz, kiedy zabrakło jej brata, który się nią opiekował.

Natychmiast wyjaśniłam Kitty, na czym polegała moja umowa z Charlie'm, co przynajmniej wywołało uśmiech na jej twarzy. Zgodziła się towarzyszyć mi następnego dnia do banku, abyśmy mogły wycofać należną Charlie'emu część pieniędzy.

Zamierzałam spełnić życzenia Charlie'ego i dopilnować, aby jego udział został równo rozdzielony między trzy siostry. Dyrektor banku wyjaśnił nam jednak w uprzejmych słowach, że przed upływem pełnego roku nie mogę podjąć z depozytu ani pensa. Przedłożył nawet podpisany przeze mnie odnośny dokument, zwracając moją uwagę na odpowiednią klauzulę. Usłyszawszy to Kitty natychmiast zerwała się z miejsca, wyrzuciła z siebie potok nieprzyzwoitych słów, na których dźwięk zastępca dyrektora spłoszował, a potem wybiegła jak oparzona.

Później miałam powody, żeby być wdzięczną za tę klauzulę.

Mogłam z łatwością rozdzielić sześćdziesiąt procent udziału Charlie'ego między Sal, Grace i tę okropną Kitty, która okłamała mnie w żywe oczy, opowiadając o śmierci swego brata. Poznałam prawdę dopiero, kiedy w lipcu Grace napisała z frontu zawiadamiając mnie, że Charlie został

odesłany do Edynburga po drugiej bitwie nad Marną. Z miejsca przyrzekłam sobie, że zwrócę mu jego część pieniędzy, gdy tylko zjawi się w Anglii; chciałam raz na zawsze uwolnić się od tych wszystkich Trumperów i ich kłopotliwych problemów.

Żałuję, że Tata nie dożył chwili, w której podjęłam studia w Bedford College. Opowiadałby bez końca mieszkańcom Whitechapel, że jego córka jest na Uniwersytecie Londyńskim. Uniemożliwił to jednak niemiecki zeppelin, omal nie zabijając przy tym mojej matki. Ale ona przeżyła i mogła z radością podkreślać w rozmowach ze wszystkimi przyjaciółkami, że jestem jedną z pierwszych kobiet z East Endu wciągniętych na listę studentów.

Po wysłaniu potwierdzenia do Bedford zaczęłam rozglądać się za pokojem bliżej uniwersytetu: byłam zdecydowana udowodnić swą niezależność. Moja matka, której serce nigdy w pełni nie wyzdrowiało po szoku wywołanym stratą Taty, przeniosła się na przedmieście do domu ciotki Harriet w Romford. Zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego muszę mieszkać w Londynie, i nalegała, aby wybrane przeze mnie lokum było zaakceptowane przez władze uniwersytetu. Z naciskiem podkreślała, że mogę dzielić mieszkanie jedynie z osobą, którą Tata uważałby za "odpowiednią". Ciągle mi powtarzała, że nie podobają jej się swobodne obyczaje, tak rozpowszechnione od chwili wybuchu wojny.

Choć utrzymywałam kontakty z kilkoma szkolnymi koleżankami z St. Paul's, znałam tylko jedną, która mogła mieć na tyle duże mieszkanie w Londynie, by odstąpić mi pokój, i uznałam, że może ona okazać się moją jedyną nadzieją na to, bym nie spędziła reszty życia w pociągu gdzieś między Romford a Regens Park. Następnego dnia napisałam do Daphne Harcourt-Browne.

Odpisała zapraszając mnie na podwieczorek do swego małego mieszkania w Chelsea. Kiedy ponownie ją ujrzałam, stwierdziłam z zaskoczeniem, że jestem teraz nieco wyższa niż Daphne i że straciła ona na wadze prawie tyle co ja. Nie tylko powitała mnie z otwartymi ramionami, ale ku mojemu zdziwieniu z radością oddała mi jeden ze swoich wolnych pokoi. Uparłam się, że będę jej płacić czynsz w wysokości pięciu szylingów tygodniowo, i spytałam dość nieśmiało, czy zechce przyjechać do mojej matki do Romford na podwieczorek. Daphne wydawała się rozbawiona tą propozycją i w następny wtorek pojechała ze mną do Essex.

Przez całe popołudnie moja matka i ciotka nie powiedziały chyba ani słowa. Bale myśliwskie, polowania konno z psami, gra w polo i haniebny zanik dobrych manier wśród oficerów gwardii, będące centralnymi motywami monologu Daphne, z pewnością nie należały do tematów, na które często zasięgano ich opinii. Kiedy ciotka Harriet podała następną porcję ciepłych bułeczek, nie byłam wcale zdziwiona widząc, jak moja matka z zadowoleniem kiwa głową na znak aprobaty.

W istocie jedyny żenujący moment w ciągu całego popołudnia nastąpił wtedy, kiedy Daphne zaniósła tacę do kuchni - co, jak podejrzewałam, robiła do tej pory bardzo rzadko - i dostrzegła moje świadectwo ukończenia szkoły przypięte do drzwi spiżarni.

Matka uśmiechnęła się i pogłębiła moje upokorzenie czytając na głos treść opinii: "Panna Salmon wykazuje nieprzeciętną zdolność do intensywnej pracy, co w połączeniu z dociekliwym umysłem i intuicją dobrze wróży jej przyszłości w Bedford College. Podpisano: panna Potter, dyrektorka szkoły".

- Moja mama z pewnością nie zadała sobie tyle trudu, aby gdziekolwiek wystawić na pokaz moje świadectwo ukończenia szkoły - to było wszystko, co Daphne miała do powiedzenia na ten temat.

Kiedy wprowadziłam się na Chelsea Terrace, nasze życie szybko nabrało ustalonego rytmu. Daphne pędziła z przyjęcia na przyjęcie, a ja nieco przyspieszonym krokiem wędrowałam od jednej

sali wykładowej do drugiej, więc nasze drogi rzadko się krzyżowały.

Mimo moich obaw, Daphne okazała się wspaniałą współlokatorką. Choć niezbyt interesowało ją moje życie akademickie - jej energię pochłaniały gonitwy za lisem i oficerowie gwardii - w rozmowie na każdy temat wykazywała mnóstwo zdrowego rozsądku, nie wspominając już o tym, że utrzymywała kontakty z całym szeregiem kawalerów, którzy ściągali jak nie kończący się konwój pod drzwi frontowe na Chelsea Terrace 97.

Daphne, która traktowała ich wszystkich z równym lekceważeniem, zwierzyła mi się, że jedyny mężczyzna, którego naprawdę kocha, nadal służy na Froncie Zachodnim - ale ani razu nie wymieniła jego nazwiska w mojej obecności.

Gdy tylko mogłam oderwać się od książek, zawsze potrafiła znaleźć wolnego młodego oficera, który zabierał mnie na koncert, do teatru, a od czasu do czasu nawet na pułkowy bal. Choć nigdy nie interesowała się tym, jak sobie radzę na uniwersytecie, często wypytywała mnie o East End i wydawała się zafascynowana moimi opowieściami o Charlie'm Trumperze i jego wózku.

Taka sytuacja mogła trwać bez końca, gdyby nie wpadł mi w ręce egzemplarz "Kensington News", gazety, którą Daphne zaprenumerowała, by orientować się, jakie filmy są wyświetlane w lokalnym kinie.

Kiedy któregoś piątkowego wieczora przerzucalam strony gazety, zwróciłam uwagę na pewne ogłoszenie. Przystudiowałam dokładnie jego treść, aby się upewnić, że sklep jest dokładnie tam, gdzie mi się wydawało, złożyłam gazetę i wyszłam z mieszkania.

Chciałam wszystko sprawdzić osobiście. Powędrowałam w dół Chelsea Terrace i znalazłam wywieszkę w oknie wystawowym lokalnego sklepu owocowo-warzywnego. Przez kilka dni musiałam przechodzić obok niej nie zauważając napisu: "Na sprzedaż. Zgłoszenia, John D. Wood, 6 Mount Street, London W1".

Pamiętałam, że Charlie zawsze chciał wiedzieć, jak mają się do siebie ceny w Chelsea i w Whitechapel, więc postanowiłam dowiedzieć się tego w jego imieniu.

Następnego ranka, zadawszy kilka podstawowych pytań naszemu lokalnemu sprzedawcy gazet - pan Bales zawsze dokładnie wiedział, co słyhać na Terrace, i był niezmiernie szczęśliwy mogąc podzielić się swą wiedzą z każdym, kto zechciał z nim przez chwilę pogawędzić - zgłosiłam się do biura Johna D. Wooda na Mount Street. Przez pewien czas stałam za ladą, ale w końcu podszedł do mnie jeden z czterech urzędników, przedstawił się jako pan Palmer i spytał, co może dla mnie zrobić.

Po bliższym przyjrzeniu się temu młodzieńcowi zwątpiłam, aby mógł zrobić coś dla kogokolwiek. Miał około siedemnastu lat i był tak blady i chudy, że wyglądał jak człowiek, którego unieść może każdy podmuch wiatru.

- Chciałabym poznać nieco więcej szczegółów dotyczących Chelsea Terrace numer 147 - powiedziałam.

Wydał mi się równocześnie zmieszany i zaskoczony.

- Chelsea Terrace numer 147?

- Chelsea Terrace numer 147.

- Zechciałaby pani chwilę poczekać? - oznajmił i poszedł w kierunku szafy z aktami. Mijając jednego ze swych kolegów ostentacyjnie wzruszył ramionami. Widziałam, jak przerzucił kilka dokumentów, następnie wrócił do kontuaru trzymając w ręku pojedynczą kartkę papieru; nie zadał sobie nawet tyle trudu, by zaprosić mnie do środka lub zaproponować, bym usiadła.

Położył kartkę na ladzie i zaczął ją dokładnie studiować.

- Sklep owocowo-warzywny - powiedział.

- Tak.

- Od frontu - znużonym głosem zaczął wyjaśniać młodzieniec - sklep ma dwadzieścia dwie stopy.

Powierzchnia całego sklepu wynosi niemal tysiąc stóp kwadratowych, wliczając w to mieszczące się na pierwszym piętrze małe mieszkanie z widokiem na park.

- Jaki park? - spytałam, nie będąc pewna, czy rozmawiamy o tej samej nieruchomości.

- Princess Gardens, proszę pani - odparł.

- To skrawek trawy wielkości kilku stóp na kilka stóp - poinformowałam go, zdając sobie nagle sprawę, że pan Palmer nigdy w życiu nie był na Chelsea Terrace.

- Nabywca lokalu otrzyma wieczystą dzierżawę - ciągnął, nie reagując na moją uwagę, ale przynajmniej nie opierając się już o ladę. - I właściciel udostępni go w ciągu trzydziestu dni od podpisania umowy.

- Jakiej ceny żąda właściciel za ten lokal? - spytałam. Byłam coraz bardziej zirytowana wyraźnie protekcyjnym sposobem, w jaki mnie traktował.

- Nasza klientka, pani Chapman... - ciągnął urzędnik.

- Żona dzielnego marynarza Chapmana, który służył ostatnio na statku HMS "Boxer" - poinformowałam go. - Poległ na polu chwały 8 lutego 1918, pozostawiając siedmioletnią córkę i pięcioletniego syna.

Pan Palmer zdobył się na tyle przyzwoitości, by zblednąć.

- Wiem również, że pani Chapman ma artretyzm, który niemal zupełnie uniemożliwia jej wchodzenie po tych prowadzących do małego mieszkania schodach - dodałam, żeby go dobić.

Wyglądał teraz na człowieka wyraźnie osłupiałego. - Tak - powiedział. - No cóż, owszem.

- Więc ile pani Chapman spodziewa się uzyskać za tę nieruchomość? - nalegałam. Trzej koledzy pana Palmera przerwali swe zajęcia, aby śledzić naszą rozmowę.

- Żąda stu pięćdziesięciu gwinei za wieczystą dzierżawę - oświadczył urzędnik wpatrując się w ostatnią linijkę oferty sprzedaży.

- Sto pięćdziesiąt gwinei - powtórzyłam z udawanym niedowierzaniem, nie mając pojęcia, ile faktycznie jest warta ta nieruchomość. - Zapewne buja w obłokach. Czyż zapomniała, że toczy się wojna? Panie Palmer, proszę zaoferować jej sto i nie zawracać mi znowu głowy, jeśli spodziewa się dostać choć pensa więcej.

- Gwinei? - spytał z nadzieją w głosie.

- Funtów - odparłam zapisując swoje nazwisko i adres na odwrocie oferty i zostawiając ją na ladzie. Wydawało się, że panu Palmerowi odjęło mowę; kiedy odwróciłam się i wyszłam z biura, nadal stał z szeroko otwartymi ustami.

Wracając do Chelsea aż nadto dobrze zdawałam sobie sprawę, że bynajmniej nie zamierzam kupować sklepu na Terrace. Tak czy owak nie posiadałam stu funtów ani nawet zbliżonej do tego sumy.

Miałam w banku zaledwie nieco ponad czterdzieści funtów i nikłe perspektywy zdobycia choć pensa więcej, ale rozżłościła mnie głupia postawa tego człowieka. Doszłam jednak do wniosku, że nie ma większych obaw, aby pani Chapman zaakceptowała tak obraźliwą propozycję.

Pani Chapman przyjęła moją ofertę następnego dnia rano. Naiwnie nie zdając sobie sprawy, że nie mam żadnego obowiązku podpisywać jakiejkolwiek umowy, jeszcze tego samego dnia po południu wpłaciłam zadatek w wysokości dziesięciu funtów. Pan Palmer wyjaśnił mi, że suma ta nie

podlega zwrotowi, jeśli nie uda mi się sfinalizować transakcji w ciągu trzydziestu dni.

- Z tym nie będzie problemu - powiedziałam buńczucznie, choć nie miałam pojęcia jak zdobędę resztę pieniędzy.

- Prosto jak strzelił Przez następne dwadzieścia siedem dni zwracałam się do wszystkich znajomych, od Bow Building Society do dalekich ciotek, a nawet do kolegów z uczelni, ale nikt nie wykazał najmniejszego zainteresowania wejściem w spółkę z młodą studentką i wyłożeniem sześćdziesięciu funtów po to, aby mogła ona kupić sklep owocowo-warzywny - Ależ to jest wspaniała inwestycja - starałam się tłumaczyć każdemu, kto zechciał słuchać. - Co więcej, do interesu wchodzi Charlie Trumper, najlepszy sprzedawca owoców i warzyw, jakiego kiedykolwiek widział East End. - Kiedy dochodziłam do tego punktu mojej agitacyjnej przemowy, wyraz niedowierzania zamieniał się zwykle w uprzejmy brak zainteresowania.

Po upływie pierwszego tygodnia doszłam do bolesnego wniosku, że Charlie Trumper nie będzie zadowolony; iż poświęciłam dziesięć funtów z naszych wspólnych pieniędzy - sześć jego i cztery moje - tylko po to, by zaspokoić kobiecą próżność. Postanowiłam wziąć na siebie stratę sześciu funtów i nie przyznawać się mu, że zrobiłam z siebie taką idiotkę.

- Dlaczego nie przedyskutowałaś tej kwestii ze swoją matką lub ciotką, zanim zdecydowałaś się na tak drastyczny krok? - spytała Daphne dwudziestego szóstego dnia. - W końcu obie wydały mi się bardzo rozsądne.

- Po to, żeby mnie zabiły? Nie, dziękuję - odpowiedziałam ostrym tonem. - Poza tym, nie jestem taka pewna, czy obie razem mają sześćdziesiąt funtów. A nawet gdyby miały, nie sądzę, by zechciały zainwestować choćby pensa w Charlie'ego Trumpera.

Pod koniec miesiąca powlekłam się znów do biura Johna D.

Wooda, aby oświadczyć, że suma dziewięćdziesięciu funtów nie wpłynie i że upoważniam ich do ponownego wystawienia nieruchomości na sprzedaż. Przeraziła mnie wizja drwiącego uśmiechu równoznacznego z oświadczeniem: "Spodziewałem się tego", który pojawi się na twarzy pana Palmera, kiedy usłyszy tę wiadomość.

- Ależ pani przedstawicielka dopełniła wczoraj warunków transakcji - zapewnił mnie pan Palmer, z wyrazem twarzy człowieka, który nie rozumie motywów mojego postępowania.

- Moja przedstawicielka? - spytałam.

Urzędnik zajrzał do akt. - Tak, niejaka panna Daphne Harcourt-Browne zamieszkała...

Ale dlaczego? - spytałam.

- Nie jestem osobą, która mogłaby odpowiedzieć na to pytanie - oświadczył pan Palmer - ponieważ po raz pierwszy widziałem tę panią na oczy właśnie wczoraj.

- To całkiem proste - odparła Daphne, kiedy wieczorem zadałam jej to samo pytanie. - Jeśli Charlie Trumper jest w połowie tak dobry, jak twierdzisz, to znaczy, że zrobiłam bardzo rozsądną inwestycję.

- Inwestycję?

- Owszem. Otóż, wymagam, aby mój kapitał wraz z czteroprocentowymi odsetkami został zwrócony w ciągu trzech lat.

- Cztery procent?

- Zgadza się. Ostatecznie tyle właśnie przynoszą mi obligacje pożyczki wojennej. Natomiast, jeśli nie uda wam się zwrócić mi w całości tej sumy, zażądaj dziesięciu procent od zysków przez następne cztery lata.

- Ale może nie być żadnych zysków.

- W takim przypadku automatycznie przejmę sześćdziesiąt procent aktywów. Charlie będzie wówczas właścicielem dwudziestu czterech procent, a ty szesnastu. Wszystkie niezbędne informacje są zawarte w tym dokumencie. - Wręczyła mi kilka gęsto zapisanych kartek, z których ostatnia miała u góry cyfrę siedem. - Teraz potrzebny jest tylko twój podpis w ostatniej linii.

Powoli przeczytałam dokument, a Daphne tymczasem nalała sobie kieliszek sherry. Wyglądało na to, że ona lub jej doradcy rozważyli wszelkie ewentualności.

- Istnieje tylko jedna różnica między tobą a Charlie'm Trumperem - powiedziałam, składając swój podpis pomiędzy dwoma narysowanymi ołówkiem krzyżykami.

- Jaka?

- Ty urodziłaś się w łóżku z baldachimem.

Ponieważ zupełnie nie byłam w stanie sama zarządzać sklepem kontynuując jednocześnie studia, szybko doszłam do wniosku, że będę musiała zaangażować tymczasowego kierownika. Fakt, że trzy dziewczyny zatrudnione już pod numerem 147 po prostu chichotały, ilekroć wydawałam jakieś polecenie, przyspieszył tylko realizację mojego postanowienia.

W następną sobotę rozpoczęłam wędrowkę po Chelsea, Fulham i Kensington, zaglądając przez wystawy sklepów we wszystkich trzech dzielnicach i obserwując pracujących tam młodych ludzi w nadziei, że w końcu znajdę człowieka, który będzie umiał poprowadzić firmę Trumper.

Po bacznych przyjrzeniu się kilku potencjalnym kandydatom, wybrałam ostatecznie młodego ekspedienta ze sklepu z owocami w Kensington. Pewnego listopadowego wieczora zaczekałam, aż skończy pracę. Gdy wyruszył w drogę powrotną do domu, poszłam za nim.

Kiedy rudowłosy chłopak podążył w stronę najbliższego przystanku autobusowego, udało mi się go dogonić.

- Dobry wieczór, panie Makins - zagadnęłam.

- Słucham? - Obejrzał się zaskoczony i był z pewnością zdziwiony, kiedy stwierdził, że jakaś nieznajoma młoda kobieta zna jego nazwisko. Nie zatrzymał się.

- Jestem właścicielką sklepu owocowo-warzywnego na Chelsea Terrace... - oznajmiłam, idąc obok niego, kiedy nadal zmierzał w kierunku przystanku. Okazał jeszcze większe zdziwienie, ale nie odezwał się, tylko przyspieszył kroku. - I szukam nowego kierownika.

Ta wiadomość sprawiła, że Makins po raz pierwszy zwolnił i uważniej mi się przyjrzał.

- Sklep Chapmana - powiedział. - Czy to pani go kupiła?

- Tak, ale teraz jest to sklep Trumpera - wyjaśniłam. - I proponuję panu posadę kierownika za funta tygodniowo więcej niż wynosi pańska obecna pensja. - Nie znaczyło to, że miałam jakiegokolwiek pojęcie, ile wynosiły jego pobory.

Dopiero po kilku milach jazdy autobusem i wielu pytaniach, na które odpowiadałam jeszcze przed frontowymi drzwiami jego domu, zaprosił mnie do środka, by przedstawić mnie swojej matce. W dwa tygodnie później Bob Makins objął u nas posadę kierownika sklepu.

Mimo tego mistrzowskiego posunięcia byłam rozczarowana, kiedy na koniec pierwszego miesiąca stwierdziłam, że sklep przyniósł straty w wysokości ponad trzech funtów, co oznaczało, że nie będę w stanie zwrócić Daphne ani jednego pensa.

- Nie zniechęcaj się - powiedziała Daphne. - Po prostu rób swoje, bo może nadal istnieje niewielka szansa, że klauzula o karach umownych nie wejdzie w życie, zwłaszcza jeśli po powrocie pana Trumpera okaże się on w połowie tak dobry, jak twierdzisz.

W ciągu sześciu minionych miesięcy mogłam baczniej śledzić miejsca pobytu nieuchwytnego Charlie'ego dzięki pomocy zatrudnionego w Ministerstwie Wojny młodego oficera, którego przedstawiła mi Daphne. Zawsze zdawał się wiedzieć dokładnie, gdzie, o każdej porze dnia i nocy, może przebywać sierżant Charlie Trumper z Królewskich Strzelców. Nadal jednak miałam zamiar, by doprowadzić do sprawnego funkcjonowania sklepu i uzyskać dochód na długo przed pojawieniem się w nim Charlie'ego.

Dowiedziałam się jednak od przyjaciela Daphne, że mój nieuchwytny współnik ma zostać zwolniony z wojska 20 lutego 1919.

Nie miałam więc wiele czasu na osiągnięcie dodatniego bilansu.

Co gorsza, niedawno byliśmy zmuszeni zastąpić dwie spośród z trzech chichoczących dziewcząt, ponieważ padły one ofiarą epidemii grypy hiszpanki, a trzecią zwolnić za brak kompetencji.

Próbowałam przypomnieć sobie wszystkie nauki, jakie wpajał mi Tata, kiedy byłam dzieckiem. Jeśli kolejka jest długa, trzeba obsługiwać klientów szybko, ale jeśli jest krótka nie wolno się spieszyć: w ten sposób sklep nigdy nie będzie pusty. Ludzie nie lubią wchodzić do pustych sklepów, tłumaczył; to wywołuje w nich uczucie niepewności.

- Na markizie - twierdził z uporem - powinny być wypisane tłustymi literami słowa: "Dan Salmon, świeżo pieczony chleb, rok założenia 1879". Powtarzaj nazwisko i datę przy każdej okazji; tacy ludzie jak mieszkańcy East Endu lubią wiedzieć, że jesteś tu zasiedziały. Kolejki i historia: Anglicy zawsze doceniali ich znaczenie.

Próbowałam wprowadzić w życie tę filozofię, ponieważ podejrzewałam, że Chelsea, niewiele różni się od East Endu. W naszym wypadku jednak napis na niebieskiej markizie brzmiał: "Charlie Trumper, uczciwy kupiec, rok założenia 1823". Przez kilka dni rozważałam nawet możliwość nazwania sklepu "Trumper i Salmon", ale porzuciłam ten pomysł, kiedy uświadomiłam sobie, że to związałoby mnie z Charlie'm na całe życie.

Jedną z istotnych odkrytych przeze mnie różnic między East Endem a West Endem polegała na tym, że w Whitechapel nazwiska dłużników zapisywano na tabliczce, natomiast w Chelsea otwierano im rachunki. Ku memu zdziwieniu nieściągalne długi były bardziej powszechne w Chelsea niż w Whitechapel. Ale po upływie następnego miesiąca nadal nie byłam w stanie zwrócić Daphne ani pensa. Z dnia na dzień coraz bardziej oczywisty stawał się fakt, że moją jedyną nadzieją jest teraz Charlie.

W dniu, w którym miał wrócić, jadłam lunch z dwiema koleżankami z roku w uczelnianej stołówce. Gryzłam zawzięcie jabłko i dziobałam widelcem ser próbując skoncentrować uwagę na ich poglądach dotyczących Karola Marksa. Kiedy już wysączyłam do ostatniej kropli mleko ze szklanki, wzięłam książki i wróciłam do sali wykładowej. Mimo iż normalnie hipnotyzowały mnie wykłady na temat artystów okresu wczesnego renesansu, tym razem byłam zadowolona widząc, jak profesor zbiera swe papiery na kilka minut przed planowym końcem zajęć.

Wydawało mi się, że jazda tramwajem do Chelsea trwa wiecznie, ale w końcu zatrzymał się on na przystanku na rogu Chelsea Terrace.

Zawsze lubiłam przechadzać się po tej uliczce, aby zobaczyć, co słyhać w mieszczących się na niej innych sklepach. Najpierw przechodziłam obok antykwariatu, w którym rezydował pan Rutherford. Na mój widok niezmiennie uchylał kapelusza. Dalej, pod numerem 133, znajdował się sklep z konfekcją damską z wystawionymi w oknie sukniami, na które - jak sądziłam - nigdy nie będzie mnie stać. Potem mijałam rzeźnika nazwiskiem Kendrick, u którego Daphne miała rachunek;

dalej, o kilka domów za nim mieściła się włoska restauracja, w której stały nakryte obrusami puste stoliki. Wiedziałam, że właściciel jest bliski bankructwa, ponieważ już nie mogliśmy sobie pozwolić na udzielanie mu kredytu. W końcu dotarłam do księgarni, której właściciel, drogi pan Sneddles, próbował z trudem wiązać koniec z końcem. Choć nie sprzedał żadnej książki od tygodni, siadywał zwykle beztrosko za ladą pogrążony w lekturze swego ukochanego Williama Blake'a, dopóki nie nadeszła pora, aby obrócić wywieszkę na drzwiach frontowych z "Otwarte" na "Zamknięte". Przechodząc obok uśmiechnęłam się, ale mnie nie zauważył.

Obliczyłam, że jeżeli pociąg przyjechał tego ranka punktualnie na King's Cross, Charlie powinien był już dotrzeć do Chelsea, nawet jeśli całą drogę musiał pokonać na piechotę.

Kiedy byłam blisko sklepu, zawahałam się chwilę, potem weszłam do środka. Ku memu rozczarowaniu Charlie'ego tam nie było. Natychmiast spytałam Boba Makinsa, czy nikt się o mnie nie dowiadywał.

- Nie, panno Becky - potwierdził Bob. - Proszę się nie niepokoić, wszyscy dokładnie pamiętamy, co mamy zrobić, jeśli zjawi się pan Trumper. - Dwie nowe ekspedientki, Patsy i Gladys, potakująco kiwnęły głowami.

Spojrzałam na zegarek - było kilka minut po piątej - i uznałam, że jeśli Charlie nie przyszedł do tej pory, to prawdopodobnie nie pojawi się już tego dnia. Zmarszczyłam brwi i powiedziałam Bobowi, że może przystąpić do zamykania sklepu. Kiedy wiszący nad drzwiami zegar wybił szóstą, niechętnie poprosiłam go, aby zasunął kotarę i zamknął drzwi na klucz, sama zaś zabrałam się do obliczania dziennego utargu.

- To dziwne - powiedział Bob, przechodząc obok mnie w kierunku frontowych drzwi sklepu z kluczami w ręku.

- Dziwne?

- Owszem. Ten mężczyzna po drugiej stronie. Od godziny siedzi na ławce i nawet na chwilę nie oderwał wzroku od sklepu. Mam nadzieję, że nic biedakowi nie jest.

Spojrzałam na drugą stronę ulicy. Charlie siedział z założonymi rękami patrząc wprost na mnie. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały> wyprostował ręce, wstał i wolno ruszył mi na spotkanie.

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało, aż w końcu spytał: - Co się tu właściwie dzieje?

ROZDZIAŁ 7

- Witamy, panie Trumper. Miło mi pana poznać - powiedział Bob Makins, wycierając dłoń w zielony fartuch, a potem uściśnął wyciągniętą rękę swego nowego szefa.

Gladys i Patsy zrobiły krok naprzód i dygnęły przed Charlie'm, co wywołało uśmiech na twarzy Becky.

- Dajcie sobie z tym spokój - powiedział Charlie. - Jestem z Whitechapel i na przyszłość będziecie się kłaniać i schylać tylko przed klientami.

- Tak jest, sir - odparły zgodnym chórem dziewczęta, co odebrało Charlie'emu mowę.

- Bob, czy mógłbyś zanieść rzeczy pana Trumpera na górę do jego pokoju? - spytała Becky. - Ja tymczasem oprowadzę go po sklepie.

- Oczywiście, proszę pani - powiedział Bob, spoglądając na paczkę w brązowym papierze i pudełko, które Charlie położył na podłodze. - Czy to wszystko, panie Trumper? - spytał z niedowierzaniem.

Charlie skinął głową.

Przyglądał się dwóm ekspedientkom w eleganckich białych bluzkach i zielonych fartuszkach. Stały za ladą i wyglądały, jakby nie były całkiem pewne, co dalej robić.

- Możecie już obie iść - powiedziała Becky. - Ale pamiętajcie, aby przyjść jutro z samego rana. Pan Trumper pedantycznie przestrzega punktualności.

Dziewczęta wzięły filcowe torebki i wybiegły ze sklepu, a Charlie usiadł na stołku obok skrzynki ze śliwkami.

- Teraz, kiedy jesteśmy już sami - oświadczył - możesz mi opowiedzieć, jak do tego wszystkiego doszło.

- No, cóż - odparła Becky - zaczęło się od głupiej pychy, ale...

Zanim skończyła swą opowieść, Charlie oznajmił: - Jesteś cudowna, Becky Salmon, naprawdę cudowna.

Opowiedziała Charlie'emu o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu minionego roku, a Charlie zmarszczył brwi dopiero wtedy, kiedy dotarła do szczegółów inwestycji Daphne.

- Mam więc około dwóch i pół roku na spłacenie całej sumy sześćdziesięciu funtów wraz z odsetkami?

- Oraz straty powstałe w ciągu pierwszych sześciu miesięcy - nieśmiało dodała Becky.

- Powtarzam ci, Rebeko Salmon, jesteś cudowna. Jeśli nie zdołam dokonać czegoś równie prostego, nie zasługuję na miano twojego wspólnika.

Becky uśmiechnęła się z ulgą.

- Czy ty też tutaj mieszkasz? - spytał Charlie, patrząc w górę schodów.

- Oczywiście, że nie. Mieszkam u mojej dawnej szkolnej przyjaciółki, Daphne Harcourt-Browne.

Na tej samej ulicy pod numerem 97.

- U dziewczyny, od której dostałaś pieniądze?

Becky kiwnęła głową.

- Musi być dobrą przyjaciółką - stwierdził Charlie.

Bob zszedł ze schodów.

- Umieściłem rzeczy pana Trumpera w sypialni i rozejrzałem się po mieszkaniu. Wszystko wydaje się być w porządku.

- Dziękuję, Bob - powiedziała Becky. - Ponieważ nie masz już dziś nic do roboty, zobaczymy się jutro rano.

- Czy pan Trumper przyjdzie na targ, proszę pani?

- Wątpię - odparła Becky. - Dlaczego nie miałbyś jutro, jak zwykle, dokonać zakupów? Pan Trumper z pewnością dołączy do ciebie któregoś dnia w tym tygodniu.

- Covent Garden? - spytał Charlie.

- Tak jest, sir - powiedział Bob.

- A zatem skoro go nie przeniesiono, spotkamy się tam jutro rano o czwartej trzydzieści.

Becky zauważyła, jak Bob blednie. - Nie sądzę, aby pan Trumper spodziewał się, że będziesz tam każdego ranka o czwartej trzydzieści. - Roześmiała się. - Tylko dopóki nie przypomni sobie, jak funkcjonuje rynek. Dobranoc, Bob.

Dobranoc pani, dobranoc, sir - powiedział Bob, wychodząc ze sklepu z zafrasowaną miną.

- Co to za bzdury z tym "sir" i "pani"? - spytał Charlie. - Jestem chyba tylko o rok od niego starszy.

- Tak samo jak wielu oficerów na Froncie Zachodnim, do których zwracałeś się "sir".

- O to właśnie chodzi. Ja nie jestem oficerem.

- To prawda, ale jesteś szefem. Co więcej, Charlie, nie jesteś już w Whitechapel. Chodź, pora, abyś obejrzał swoje mieszkanie.

- Mieszkanie? - powiedział Charlie. - Nigdy w życiu nie miałem "mieszkania". W ostatnich czasach były to okopy, namioty i sale gimnastyczne.

- Cóż, teraz je masz. - Becky zaprowadziła swego współnika po drewnianych schodach na pierwsze piętro i zaczęła go oprowadzać po mieszkaniu. - Kuchnia - powiedziała. - Mała, ale powinna wystarczyć na twoje potrzeby. Nawiasem mówiąc, zadbałam o to, aby było tu dość noży, widelców i porcelany dla trzech osób. Powiedziałam też Gladys, że jest odpowiedzialna za utrzymanie mieszkania w czystości i porządku. Salonik - oznajmiła, otwierając drzwi - jeśli ktoś ma czelność nazwać coś równie małego salonikiem.

Charlie gapił się na kanapę i trzy krzesła, najwyraźniej całkiem nowe. - Co się stało ze wszystkimi moimi starymi rzeczami?

- Większość z nich spłonęła w dniu zawieszenia broni - przyznała Becky. - Ale udało mi się dostać szylinga za krzesło z końskiego włosia, do którego dorzuciłam łóżko.

- A co z wózkiem mojego dziadka? Chyba nie spaliliście go również?

- Oczywiście, że nie. Próbowałam go sprzedać, ale nikt nie chciał dać mi więcej niż pięć szylingów, więc Bob każdego ranka przywozi na nim produkty z targu.

- To dobrze - powiedział Charlie z wyrazem ulgi na twarzy.

Becky odwróciła się i ruszyła w stronę łazienki.

- Przykro mi z powodu zacieku pod kranem do zimnej wody - powiedziała. - Mimo wszelkich starań nie udało nam się nic z tym zrobić. I muszę cię uprzedzić, że nie zawsze udaje się spuścić wodę w toalecie.

- Nigdy dotąd nie miałem toalety w domu - powiedział Charlie.

- To bardzo eleganckie.

Potem Becky zaprowadziła go do sypialni.

Charlie próbował obejrzeć wszystko naraz, ale jego wzrok padł na kolorowy obrazek, który należał niegdyś do jego matki i wisiał nad jego łóżkiem w domu na Whitechapel Road. Wydał mu się dziwnie znajomy. Spojrzał na komodę, dwa krzesła i łóżko, których nigdy przedtem nie widział. Rozpaczliwie chciał zademonstrować Becky, jak bardzo docenia jej wysiłki, więc usiadł na brzegu łóżka i zaczął na nim podskakiwać.

- Jeszcze jedna nowość - powiedział.

- Nowość?

- Tak, zasłony. Jak wiesz, dziadek nie pozwalał ich wieszać.

Zawsze mówił...

- Tak, pamiętam - odparła Becky. - Pozwalają dłużej spać rano i zakłócają rytm dnia pracy.

- No, coś w tym rodzaju, choć nie jestem pewien, czy mój dziadek znał znaczenie słowa "zakłócają" - powiedział Charlie, rozpakowując niewielką skrzynkę Tommy'ego. Wzrok Becky padł na obrazek przedstawiający Madonnę z Dzieciątkiem, gdy tylko Charlie położył go na łóżku. Podniosła olejny obrazek i zaczęła dokładniej mu się przyglądać.

- Skąd go masz, Charlie? Jest niezwykle.

- Pozostawił mi go mój przyjaciel, który zginął na froncie - odparł rzeczowo - Twój przyjaciel miał dobry gust. - Becky nadal trzymała obrazek w rękach. - Czy wiesz, kto go namalował?

- Nie. - Charlie spojrzał na należącą niegdyś do jego matki oprawioną reprodukcję, którą Becky powiesiła na ścianie. - O rany - powiedział - jest dokładnie taki sam.

- Niezupełnie - odparła Becky, przyglądając się wyciętej z czasopisma reprodukcji wiszącej nad łóżkiem. - Widzisz, obrazek twojej matki jest reprodukcją arcydzieła, które namalował Bronzino, natomiast obrazek twojego przyjaciela, choć wygląda podobnie, jest w istocie piekielnie dobrą kopią oryginału. - Spojrzała na zegarek. - Muszę już iść - powiedziała niespodziewanie. - Obiecałam, że będę w Queen's Hall o ósmej. Mozart.

- Mozart. Czy go znam?

- W najbliższej przyszłości postaram się was zapoznać.

- A więc nie zostaniesz, by przyrzadzić mi pierwszą kolację? - spytał Charlie. - Nadal mam tak wiele pytań, na które potrzebuję odpowiedzi. Tak wiele spraw, o których chcę wiedzieć. Zaczynając od...

- Przepraszam, Charlie. Nie mogę się spóźnić. A więc do zobaczenia rano... Obiecuję, że wtedy odpowiem na wszystkie twoje pytania.

- Z samego rana?

- Tak, ale nie według twoich norm - zaśmiała się Becky. - Myślę, że około ósmej.

- Czy lubisz tego faceta nazwiskiem Mozart? - spytał Charlie, a Becky poczuła na sobie jego badawczy wzrok.

- Cóż, prawdę mówiąc, nie wiem o nim zbyt wiele, ale Guy go lubi.

- Guy? - powiedział Charlie.

- Tak, Guy. On jest tym młodym człowiekiem, który zabiera mnie na koncert, a nie znam go na tyle długo, by się spóźnić. Opowiem ci więcej o nich obu jutro. Cześć, Charlie.

Wracając piechotą do mieszkania Daphne, Becky mimo woli czuła się trochę winna, że opuściła Charlie'ego podczas jego pierwszego wieczora spędzonego w domu, i zaczęła się zastanawiać, czy być może nie postąpiła samolubnie, przyjmując zaproszenie Guya na koncert Ale batalion nie dawał mu zbyt wielu wolnych wieczorów w ciągu tygodnia, i jeśli nie spotkała się z nim wtedy, kiedy miał czas, często upływało kilka dni, zanim znów mogli razem spędzić wieczór.

Otwierając frontowe drzwi pod numerem 97, Becky usłyszała odgłosy pluskającej się w wannie Daphne.

- Czy on się zmienił? - krzyknęła jej przyjaciółka, słysząc trzask zamykanych drzwi.

- Kto? - spytała Becky, idąc w stronę sypialni.

- Charlie, oczywiście - powiedziała Daphne, uchylając drzwi łazienki. Stała owinięta ręcznikiem opierając się o wyłożoną kafelkami ścianę. Spowijały ją kłęby pary.

Becky przez chwilę rozważała pytanie. - Owszem, zmienił się; w istocie bardzo się zmienił, z wyjątkiem ubrania i głosu.

- Co masz na myśli?

- Cóż, głos jest ten sam - rozpoznałabym go wszędzie. Ubranie jest to samo - rozpoznałabym je wszędzie. Ale on nie jest ten sam.

- 108

Jak mam to wszystko rozumieć? - spytała Daphne energicznie wycierając włosy.

- Jak sam zwrócił mi uwagę, Bob Makins jest zaledwie o rok młodszy niż on, ale Charlie wydaje się o jakieś dziesięć lat starszy niż ty czy ja. To musi być coś, co staje się z mężczyznami, którzy służyli na Froncie Zachodnim.

- Nie powinno cię to dziwić, ale ja chcę się dowiedzieć, czy sklep był dla niego niespodzianką?

- Tak, sądzę, że naprawdę był. - Becky zdjęła pospiesznie suknię. - Czy masz przypadkiem jakąś parę pończoch, które mogłabym pożyczyć?

- Trzecia szuflada od góry - powiedziała Daphne. - Ale w zamian ja chciałabym pożyczyć twoje nogi.

Becky roześmiała się.

- Jak on wygląda? - ciągnęła Daphne, rzucając wilgotny ręcznik na posadzkę łazienki.

Becky zastanowiła się nad odpowiedzią. - Jakiś cal, może dwa poniżej sześciu stóp, tak samo potężny jak jego ojciec, ale w jego wypadku to są mięśnie, a nie tłuszcz. Nie jest sobowtórem Douglasa Fairbanka, ale niektórzy mogą uważać go za przystojnego.

- Zaczynam odnosić wrażenie, że jest w moim typie - oznajmiła Daphne, przetrząsając swe stroje w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego.

- Chyba nie, moja droga - powiedziała Becky. - Nie wyobrażam sobie brygadiera Harcourt-Browne'a podejmującego Charlie'ego Trumpera porannym kieliszkiem sherry przed polowaniem w Cottenham.

- Jesteś straszną snobką, Rebeko Salmon - stwierdziła Daphne ze śmiechem. - Możemy mieszkać pod jednym dachem, ale nie zaponinaj, że ty i Charlie pochodzicie z tej samej stajni. Przypomnij sobie, że poznałaś Guya wyłącznie dzięki mnie.

- To prawda - odparła Becky - ale z pewnością zyskałam trochę punktów za St Paul's i

Uniwersytet Londyński?

- W mojej sferze to się nie liczy - powiedziała Daphne, wpatrując się w swoje paznokcie. - Nie mam teraz czasu na pogawędki z klasą robotniczą, moja droga - ciągnęła. - Muszę pędzić. Henry Bromsgrove zabiera mnie na potańcówkę w Chelsea. Mimo że nasz Henry jest wymoczkim, z przyjemnością spędzam każdy sierpień w jego wiejskiej posiadłości. Pa, pa!

Przygotowując sobie kąpiel, Becky rozmyślała nad słowami Daphne które, choć wypowiedziane z humorem i sympatią, uwypuklały problemy, z jakimi się stykała, kiedy na więcej niż kilka chwil próbowała przekroczyć ustalone bariery towarzyskie.

Istotnie poznała Guya dzięki Daphne, która namówiła ją kilka tygodni wcześniej na wspólną wyprawę do Covent Garden na Cyganerię. Becky nadal miała żywo w pamięci to pierwsze spotkanie. Kiedy pili razem drinka w Crush Bar, usilnie starała się go nie polubić, tym bardziej że Daphne uprzedziła ją o jego reputacji.

Starła się nie przyglądać zbyt jawnie stojącemu przed nią szczupłemu młodemu mężczyźnie. Jego gęste, jasne włosy, ciemnoniebieskie oczy i wrodzony wdzięk prawdopodobnie podbiły tego wieczora serca wielu kobiet, ale ponieważ Becky założyła, że zaleca on się dokładnie tak samo do wszystkich młodych dziewcząt, pozostała obojętna na jego pochlebstwa. Zaczęła żałować, że potraktowała go tak nonszalancko, gdy tylko wrócił do swojej łoży, a podczas drugiego aktu mimo woli wpatrywała się w niego, kierując szybko wzrok z powrotem na scenę, kiedy ich spojrzenia się spotkały.

Następnego wieczora Daphne spytała ją, co sądzi o młodym oficerze, którego poznała w operze.”

- Przypomnij mi jego nazwisko - poprosiła Becky.

- Aha, rozumiem - odparła Daphne. - Więc zrobił na tobie aż takie wrażenie?

- Tak - przyznała. - Ale cóż z tego? Czy możesz sobie wyobrazić, żeby młody mężczyzna o takim pochodzeniu zainteresował się dziewczyną z Whitechapel?

- Owszem, mogę, choć podejrzewam, że chodzi mu tylko o jedno.

- Więc lepiej uprzedź go, że nie jestem tego rodzaju dziewczyną - powiedziała Becky.

- Nie sądzę, by zniechęciło go to kiedykolwiek w przeszłości - odparła Daphne. - Ale tymczasem pytał, czy miałabyś ochotę pójść z nim do teatru, dokąd wybiera się wraz z kilkoma kolegami z pułku. Co ty na to?

- Pójdę z przyjemnością.

- Tak sądziłam - stwierdziła Daphne. - Powiedziałam mu więc ”tak”, nie pytając cię o zdanie.

Becky roześmiała się, ale musiała poczekać jeszcze pięć dni na kolejne spotkanie z młodym oficerem. Przyszedł po nią do mieszkania, potem dołączyli do grupy młodszych oficerów i wkraczających w życie towarzyskie dziewcząt w Haymarket Theatre, aby obejrzeć sztukę modnego dramaturga, George'a Bernarda Shawa, Pigmalion. Becky podobało się przedstawienie, choć dziewczyna imieniem Amanda chichotała podczas całego pierwszego aktu, a potem, w antrakcie, nie chciała z nią rozmawiać.

W czasie kolacji w Cafe Royal siedziała obok Guya i opowiedziała mu o sobie wszystko, od dnia swych narodzin w Whitechapel aż do ubiegłego roku, kiedy została przyjęta do Bedford College.

Kiedy pożegnali się z resztą towarzystwa, Guy odwiózł ją do Chelsea i mówiąc: ”Dobranoc, panno Salmon”, uściśnął jej dłoń.

Becky była pewna, że nie zobaczy już więcej młodego oficera.

Nazajutrz jednak dostała od niego list z zaproszeniem na przyjęcie w kasynie. W następnym

tygodniu zabrał ją na kolację, potem na bal, a później nastąpiły regularne spotkania, których punktem kulminacyjnym było zaproszenie na weekend do jego rodziców mieszkających w Berkshire.

Daphne zrobiła, co mogła, by opisać jej wyczerpująco rodzinę Guya. Zapewniła ją, że major, jego ojciec, jest bardzo sympatycznym człowiekiem, hoduje krowy na siedmiuset akrach w Berkshire i jest głównym łowczym Buckhurst Hunt.

Daphne zadała sobie wiele trudu, by wyjaśnić jej, co w istocie oznacza "polowanie konno z psami", choć musiała przyznać, że nawet Elizie Doolittle trudno byłoby zrozumieć, po co właściwie ludzie zajmują się tego rodzaju sprawami.

- Matka Guya natomiast nie została obdarzona takimi szlachetnymi cechami jak major - ostrzegła Daphne. - Jest snobką pierwszej klasy. - Becky poczuła, że jej szansę maleją. - Jest drugą córką baroneta, który otrzymał tytuł od Lloyd George'a za produkcję tych urządzeń, które przyczepiają do czołgów. Podejrzewam, że wspierał również hojnie partię liberalną. Oczywiście, drugie pokolenie. Tacy zawsze są najgorsi. - Daphne sprawdziła szwy na swoich pończochach. - Genealogia mojej rodziny sięga siedemnastu pokoleń, więc uważamy, że nie musimy niczego udowadniać.

Dobrze zdajemy sobie sprawę, że nie mamy zbyt wiele rozumu, ale nasza rodzina jest stara jak Matuzalem i bogata jak Krezus. Obawiam się jednak, że nie można tego powiedzieć o kapitanie Guyu Trenthamie.

ROZDZIAŁ 8

Becky obudziła się następnego ranka, zanim zadzwonił budzik, wstała, ubrała się i wyszła z mieszkania, kiedy Daphne jeszcze głęboko spała. Nie mogła się doczekać chwili, w której przekona się, jak Charlie radzi sobie w pierwszym dniu pracy. Kiedy zbliżała się do numeru 147, zauważyła, że sklep jest już otwarty, a Charlie całą swą uwagę skupia na samotnym kliencie.

- Dzień dobry, współpracowniczko! - krzyknął Charlie zza lady, kiedy Becky weszła do sklepu.

- Dzień dobry - odparła Becky. - Widzę, że postanowiłeś spędzić swój pierwszy dzień rozpierając się na krześle i obserwując, jak wszystko funkcjonuje.

Odkryła, że Charlie zaczął obsługiwać klientów przed pojawieniem się Gladys i Patsy, a biedny Bob Makins wyglądał tak, jakby miał już za sobą cały dzień pracy.

- Nie mam w tej chwili czasu gawędzić z przedstawicielami klasy próżnującej - powiedział Charlie, a jego cockneyowski akcent wydał jej się silniejszy niż przedtem. - Czy jest jakaś nadzieja na spotkanie z tobą dziś wieczorem?

- Oczywiście - odparła Becky.

Spojrzała na zegarek, pomachała mu na pożegnanie i wyruszyła na swój pierwszy poranny wykład. Z trudem koncentrowała się na historii renesansu i nawet wyświetlane z rzutnika na białe prześcieradło przezrocza przedstawiające dzieła Rafaela nie mogły w pełni wzbudzić jej zainteresowania. Jej umysł pochłaniały na przemian dwa niepokojące problemy: perspektywa spędzenia weekendu z rodzicami Guya i dochody, jakie będzie musiał osiągnąć Charlie, by spłacić dług Daphne. Przyznała w duchu, że ta druga kwestia napawa ją mniejszym lękiem. Odczuła ulgę, kiedy czarna wskazówka zegara minęła czwartą trzydzieści. Po raz kolejny pobiegła, by złapać tramwaj na rogu Portland Place, i kontynuowała swój bieg, kiedy wysiadła z ociążałego pojazdu na Chelsea Terrace.

W sklepie Trumpera utworzyła się niewielka kolejka, a Becky usłyszała tak dobrze jej znaną paplaninę Charlie'ego, zanim jeszcze dotarła do frontowych drzwi.

- Pół funta tych wspaniałych King Edward's, soczysty grapefruit z Południowej Afryki, a może dorzucę pani do równego rachunku śliczne jabłuszko Cox orange, wszystko za szylinga, kochana? - Dostojne panie, damy dworu i niańki, z których każda byłaby oburzona, gdyby ktokolwiek inny nazwał ją "kochana", zdawały się mięknąć, kiedy Charlie wypowiadał to słowo. Dopiero po wyjściu ostatniego klienta, Becky mogła należycie ocenić zmiany, jakich Charlie dokonał już w sklepie.

- Byłem na nogach całą noc, wiesz? - oznajmił jej. - Uprzątnąłem do połowy opróżnione skrzynki i nie nadające się do sprzedaży artykuły. Na koniec umieściłem z tyłu wszystkie kolorowe, miękkie warzywa: pomidory, zieleninę, groszek, a wszystkie twarde, nieatrakcyjne produkty wysunąłem do

przodu. Kartofle, rzodkwie i rzepy. To złota zasada.

- Dziadek Charlie... - zaczęła Becky z uśmiechem, ale powstrzymała się w samą porę.

Zacząła się bacznie przyglądać nowemu rozmieszczeniu lad i musiała przyznać, że układ, przy którym obstawał Charlie, okazał się znacznie bardziej praktyczny. A najważniejszym argumentem były uśmiechy na twarzach klientów.

W ciągu miesiąca kolejka sięgająca chodnika stała się w jarzyniarni Charlie'ego regułą, a po dwóch miesiącach jej właściciel wspomniał Becky o zamiarze poszerzenia powierzchni sklepu.

- Ale o co? - spytała. - O twoją sypialnię?

- Nie ma tam miejsca na jarzyny - odparł uśmiechając się szeroko. - Ale przed sklepem Trumpera stoją dłuższe kolejki niż przed teatrem, w którym grają Pigmaliona. Co więcej, my będziemy grali naszą sztukę do końca świata.

Becky sprawdziła dwukrotnie wpływy kasowe za kwartał i nie mogła uwierzyć, że mieli tak wysokie obroty; uznała, że może nadszedł czas na małą uroczystość.

- Dlaczego nie mielibyśmy zjeść wszyscy razem kolacji w tej włoskiej restauracji? - zaproponowała Daphne po otrzymaniu czeku za ostatnie trzy miesiące na sumę znacznie przekraczającą jej oczekiwania.

Becky uważała ten pomysł za wspaniały, ale zaskoczyła ją niechęć, z jaką Guy przystał na jej projekt, a także ogromny trud, jaki zadała sobie Daphne strojąc się na to spotkanie.

- Nie zamierzamy wydać całych dochodów w jeden wieczór - zapewniła ją Becky.

- Tym gorzej - powiedziała Daphne. - Ponieważ zaczyna wyglądać na to, że dałoby mi to jedyną szansę wykorzystania klauzuli o karach umownych. Ale nie narzekam. Zresztą Charlie będzie miłą odmianą od tych wszystkich rachitycznych synów pastorów i krótkonogich chłopców stajennych, których muszę znosić przez większość weekendów.

- Uważaj, żeby w końcu nie zjadł cię na deser.

Becky uprzedziła Charlie'ego, że stół został zarezerwowany na godzinę ósmą, i kazała mu obiecać, że włoży swoje najlepsze ubranie. - Moje jedyne ubranie - poprawił ją.

Guy zabrał obie dziewczyny z domu pod numerem 97 punktualnie o ósmej, ale wydawał się wyjątkowo ponury w drodze do restauracji, do której dotarli w kilka minut po ustalonej godzinie. Zastali Charlie'ego siedzącego samotnie w kącie sali. Kręcił się nerwowo i wyglądał tak jakby po raz pierwszy w życiu był w restauracji.

Becky przedstawiła Charlie'ego najpierw Daphne, a potem Guyowi. Obaj mężczyźni stali przez chwilę i wpatrywali się w siebie jak bokserzy przed walką.

- Oczywiście, byliście w tym samym pułku - powiedziała Daphne.

- Ale nie sądzę, abyście kiedykolwiek się spotkali - dodała, patrząc na Charlie'ego. Żaden z mężczyzn nie skomentował tej uwagi.

Wieczór rozpoczął się fatalnie, ale dalszy ciąg był jeszcze gorszy, ponieważ wszyscy czworo nie potrafili znaleźć żadnego wspólnego tematu. Charlie, który rozmawiając z klientami w sklepie był dowcipny i bystry, stał się ponury i niekomunikatywny. Gdyby Becky mogła dosięgnąć jego kostki, dałaby mu kopniaka, i to nie tylko za to, że jadł groszek nożem.

Posępna małomówność, tak nietypowa dla Guya, również nie poprawiała nastroju, choć Daphne, jak zawsze pogodna, kwitowała śmiechem każdą wypowiedzianą kwestię. Kiedy w końcu podano rachunek, Becky powitała z ulgą zbliżający się koniec wieczoru.

Musiała nawet dyskretnie zostawić napiwek, ponieważ Charlie najwyraźniej nie zdawał sobie

sprawy, że kelner się go spodziewa.

Wyszła z restauracji u boku Guya i ruszyli w stronę numeru 97, nie oglądając się na Daphne i Charlie'ego. Sądziła, że idą oni o kilka kroków za nimi, ale przestała o nich myśleć, kiedy Guy wziął ją w ramiona, delikatnie pocałował i powiedział: - Dobranoc, kochanie. I nie zapomnij, że jedziemy na weekend do Ashurst. - Jak mogłaby zapomnieć? Guy zerknął dyskretnie w kierunku, z którego nadejść mieli Daphne i Charlie, ale potem bez słowa zatrzymał dorożkę i kazał woźnicy zawieźć się do koszar Strzelców w Hounslow.

Becky otworzyła frontowe drzwi i usiadła na kanapie, by zastanowić się, czy nie powinna wrócić pod numer 147 i powiedzieć Charlie'emu, co o nim myśli. W kilka minut później Daphne wpadła do mieszkania.

- Przepraszam za ten wieczór - powiedziała Becky, zanim jej przyjaciółka zdołała cokolwiek na ten temat powiedzieć. - Charlie jest zazwyczaj nieco bardziej towarzyski. Nie mogę zrozumieć, co mu się stało.

- Podejrzewam, że niełatwo mu było jeść kolację z oficerem ze swego dawnego pułku - powiedziała Daphne.

- Z pewnością masz rację - odparła Becky. - Ale w końcu się zaprzyjaźnią. Jestem o tym przekonana.

Daphne spojrzała na nią z zadumą.

W następną sobotę rano, po zmianie warty, Guy przyjechał po Becky na Chelsea Terrace 97, by zabrać ją do Ashurst. Gdy ujrzał ją ubraną w jedną z eleganckich czerwonych sukien Daphne, powiedział, że pięknie wygląda. W drodze do Berkshire był tak pogodny i rozmowny, że Becky zaczęła się uspokajać. Przyjechali do Ashurst tuż przed trzecią, a kiedy skręcili w prowadzącą do odległego o milę dworu aleję, Guy odwrócił się do niej i mrugnął porozumiewawczo.

Becky nie spodziewała się, że dom będzie aż tak wielki.

Kamerdyner, lokaj i dwaj służący czekali u szczytu schodów, by ich powitać. Guy zatrzymał samochód na zwirowanym podjeździe, a kamerdyner zrobił krok naprzód i wyjął z bagażnika dwa niewielkie nesesery Becky, a następnie wręczył je lokajowi, który zniknął z nimi w głębi domu. Następnie kamerdyner statecznym krokiem poprowadził kapitana Guya i Becky po kamiennych stopniach do głównego hallu i dalej po szerokich drewnianych schodach do mieszczącej się na pierwszym piętrze sypialni.

- Pokój Wellingtona, proszę pani - powiedział śpiewnie, otwierając przed nią drzwi.

- Podobno kiedyś spędził tu noc - wyjaśnił Guy, idąc obok niej. - Nawiasem mówiąc, nie musisz czuć się osamotniona. Zajmuję sąsiedni pokój i jestem znacznie bardziej żywy niż świętej pamięci generał.

Becky weszła do obszernego, przestronnego pokoju, w którym młoda dziewczyna w długiej czarnej sukni z białym kołnierzykiem i mankietami rozpakowywała jej torby. Dziewczyna odwróciła się, dygnęła i oznajmiła: - Jestem Nellie, pani pokojówka. Proszę dać mi znać, jeśli będzie pani czegoś potrzebowała.

Becky podziękowała jej, podeszła do półokrągłej wnęki okiennej i wyjrzała na zielone trawniki, rozciągające się tak daleko, jak mogła sięgnąć wzrokiem. Usłyszała pukanie do drzwi. Odwróciwszy się stwierdziła, że Guy wchodzi do pokoju, choć nie zdążyła jeszcze powiedzieć "proszę".

- Pokój w porządku, kochanie?

- Jest wspaniały - odpowiedziała Becky, a pokojówka dygnęła ponownie. Kiedy Guy szedł przez

pokój, Becky wydawało się, że dostrzega w oczach młodej dziewczyny wyraz lęku.

- Czy jesteś gotowa na spotkanie Papy? - spytał.

- Na tyle gotowa, na ile mogę być - przyznała Becky i poszła za Guyem do znajdującego się na dole salonu, w którym przed płonącym kominkiem czekał na nich pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna.

- Witam w Ashurst Hall - powiedział major Trentham.

- Dziękuję - odparła Becky, uśmiechając się do gospodarza.

Major był nieco niższy niż jego syn, ale miał tę samą szczupłą budowę ciała i jasne włosy przyprószone na skroniach pasemkami siwizny. Na tym jednak kończyło się podobieństwo. Guy miał cerę świeżą i bladą, natomiast major Trentham czerstwą twarz człowieka, który spędził większą część życia pod gołym niebem, a kiedy uścisnęła jego dłoń, zdała sobie sprawę, że musi własnymi rękami pracować na roli.

- Te wytworne londyńskie buty nie na wiele - się przydadzą podczas spaceru, na jaki zamierzam was zabrać - oświadczył major.

- Będzie pani musiała włożyć buty do konnej jazdy mojej żony albo kalosze Nigela.

- Nigela? - spytała Becky.

- Młodszy Trentham. Czy Guy nie mówił pani o nim? Jest na ostatnim roku w Harrow i ma nadzieję wstąpić do Sandhurst... podobno po to, by przyćmić swego brata.

- Nie wiedziałam, że masz...

- Nie warto wspominać o tym smarkaczu - przerwał jej Guy, lekko się uśmiechając. Jego ojciec poprowadził ich z powrotem przez hall do umieszczonej pod schodami szafy. Becky spojrzała na rząd skórzanych butów do konnej jazdy, które lśniły bardziej niż jej pantofle.

- Wybieraj, moja droga - powiedział major Trentham.

Po kilku przymiarkach Becky znalazła doskonale pasującą parę, a potem w ślad za Guyem i jego ojcem wyszła do ogrodu. Orowadzenie młodego gościa po siedmusetakrowej posiadłości zajęło majorowi Trenthamowi większą część popołudnia, a kiedy wrócili, Becky z wielką ochotą napiła się gorącego ponczu, który czekał na nich w dużej srebrnej wazie w salonie.

Kamerdyner poinformował ich, że telefonowała pani Trentham z wiadomością, iż została zatrzymana na plebanii i nie będzie mogła uczestniczyć we wspólnym podwieczorku.

Pani Trentham nie pojawiła się aż do chwili, kiedy Becky wczesnym wieczorem wróciła do swego pokoju, by się wykąpać i przebrać do kolacji.

Daphne pożyczyła Becky na tę okazję dwie suknie, a nawet wspaniałą, półkolistą brylantową broszkę, którą Becky przypięła z lekkim niepokojem. Kiedy jednak przejrzała się w lustrze, zapomniała o wszystkich obawach.

Usłyszawszy liczne, rozstawione w całym domu zegary zgodnie wybijające godzinę ósmą, wróciła do salonu. Suknia i broszka wywarły na obu mężczyznach dostrzegalne i natychmiastowe wrażenie. Nadal nie było ani śladu matki Guya.

- Cóż za zachwycająca suknia, panno Salmon - powiedział major.

- Dziękuję, majorze Trentham - odparła Becky, rozgrzewając sobie ręce nad ogniem i rozglądając się po pokoju.

- Moja żona niebawem do nas dołączy - zapewnił major, kiedy kamerdyner podawał jej na srebrnej tacy kieliszek sherry.

Z przyjemnością zwiedziłam posiadłość.

- Właściwie nie zasługuje ona na tę nazwę - odparł major, uśmiechając się serdecznie. - Ale rad

jestem, że spacer sprawił pani przyjemność - dodał, zwracając wzrok ku znajdującym się za jej plecami drzwiom.

Becky odwróciła się i zobaczyła, że do pokoju wchodzi wysoka, elegancka dama, ubrana od stóp do głów na czarno. Szła w ich kierunku wolnym, statecznym krokiem.

- Mamo - powiedział Guy, całując ją w policzek - chciałbym, byś poznała Becky Salmon.

- Dobry wieczór - powiedziała Becky.

- Czy wolno mi spytać, kto wyjął z szafy w hallu moje najlepsze buty do konnej jazdy? - spytała pani Trentham, nie zwracając uwagi na wyciągniętą rękę Becky. - A potem uznał za stosowne odłożyć je na miejsce, choć całe są pobrudzone błotem?

- Ja - powiedział major. - W przeciwnym razie panna Salmon musiałyby spacerować po gospodarstwie w pantofelkach na wysokich obcasach. Co w tych warunkach dowiodłoby braku rozsądku.

- Panna Salmon dowiodłaby większego rozsądku przywożąc ze sobą odpowiednie obuwie.

- Bardzo przepraszam... - zaczęła Becky.

- Gdzie byłaś przez cały dzień, mamó? - spytał Guy, zmieniając temat. - Spodziewaliśmy się ciebie wcześniej.

- Próbowałam uporządkować pewne problemy, z którymi nasz nowy pastor najwyraźniej nie może sobie poradzić - odparła pani Trentham. - Nie ma pojęcia, jak zabrać się do organizacji dożynek.

Nie mogę pojąć, czego uczą ich teraz w Oksfordzie.

- Może teologii - zasugerował major Trentham.

Kamerdyner odchrząknął. - Podano do stołu, proszę jaśnie pani.

Pani Trentham bez słowa odwróciła się i żwawym krokiem poprowadziła ich do jadalni. Posadziła Becky naprzeciwko siebie, po prawej ręce majora. Z wielkiego, prostokątnego stołu połyskiwały w kierunku Becky trzy noże, cztery widelce i dwie łyżki. Bez wahania zdecydowała, co wybrać na początek, ponieważ pierwszym daniem była zupa, ale wiedziała, że od tej pory będzie musiała iść za przykładem pani Trentham.

Pani domu nie odezwała się do Becky ani słowem, dopóki nie podano głównego dania. Rozmawiała natomiast ze swym mężem o osiągnięciach Nigela w Harrow - niezbyt imponujących; o nowym pastorze - niemal równie krytycznie; oraz o lady Lavinii Malim - owdowiałej żonie sędziego, która niedawno zamieszkała w miasteczku i przysparza więcej kłopotów niż dotąd.

Becky miała pełne usta bażanta, kiedy pani Trentham nieoczekiwanie spytała: - A z jakim zawodem związany jest pani ojciec, panno Salmon?

- Nie żyje - wybełkotała Becky.

- Och, bardzo mi przykro - powiedziała obojętnie. - Czy mam z tego wnosić, że zginął na froncie, służąc w swoim pułku?

- Nie.

- Och, więc cóż robił podczas wojny?

- Prowadził piekarnię. W Whitechapel - dodała Becky, pomna przestrogi swego ojca: Jeśli kiedykolwiek spróbujesz ukryć swe pochodzenie, gorzko tego pożałujesz.

- Whitechapel? - dociekała pani Trentham. - Jeśli się nie mylę, jest to rozkoszne małe miasteczko tuż pod Worcester?

- Nie, pani Trentham, Whitechapel leży w sercu londyńskiego East Endu - odparła Becky w

nadziei, że Guy przyjdzie jej z odsieczą, ale on zdawał się bardziej pochłonięty sączeniem ze swego kieliszka czerwonego Bordeaux.

- Och - powiedziała pani Trentham, prawie nie otwierając ust - Pamiętam, że odwiedziłam kiedyś żonę biskupa Worcester w miejscowości o nazwie Whitechapel, ale przyznaję, że nigdy nie byłam zmuszona zapuścić się aż na East End. Nie sądzę, żeby mieli tam biskupa. - Odłożyła nóż i widelec. - Jednakowoż - ciągnęła - mój ojciec, sir Raymond Hardcastle... być może słyszała pani o nim, panno Salmon...

- Nie, nie słyszałam - odparła szczerze Becky.

Na twarzy pani Trentham znów pojawił się wyraz lekceważenia, choć nie powstrzymało to potoku jej wymowy. - Któremu nadano tytuł baroneta za usługi oddane królowi Jerzemu V...

- A jakie były te usługi? - spytała niewinnie Becky, co sprawiło, że pani Trentham zawahała się przez chwilę, zanim wyjaśniła: - Odegrał pewną rolę w wysiłkach Jego Królewskiej Mości na rzecz obrony naszego kraju przed Niemcami.

- Handlował bronią - mruknął cicho major Trentham.

Jeśli pani Trentham usłyszała tę uwagę, wolała ją zignorować.

- Czy wystąpiła pani w tym roku jako debiutantka na jakimś balu, panno Salmon? - spytała chłodno.

- Nie - odparła Becky. - Wstąpiłam natomiast na uniwersytet.

- Osobiście nie pochwalam takiego postępowania. Wykształcenie kobiet nie powinno wykraczać poza umiejętność czytania, pisania i rachowania; powinny też umieć zarządzać służbą i wiedzieć, jak nie umrzeć z nudów oglądając mecz krykieta.

- A jeśli ktoś nie ma służby... - zaczęła Becky i mówiłaby dalej, gdyby pani Trentham nie potrząsnęła srebrnym dzwonkiem stojącym obok jej prawej ręki.

Kiedy znów zjawił się kamerdyner, powiedziała krótko: - Kawę wypijemy w salonie, Gibson. - Na twarzy kamerdynera ukazał się cień zdziwienia, a pani Trentham wstała, wyprowadziła wszystkich z jadalni i powiodła ich przez długi korytarz z powrotem do salonu, w którym ogień już trochę przygasł.

- Czy ma pani ochotę na kieliszek porto lub koniaku, panno Salmon? - spytał major Trentham, kiedy Gibson nalewał kawę.

- Nie, dziękuję - odparła cicho Becky.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała pani Trentham, wstając z krzesła, na którym przed chwilą usiadła. - Dostałam lekkiego bólu głowy, więc darujcie mi, że udam się do swojego pokoju.

- Ależ naturalnie, moja droga - powiedział bezbarwnym głosem major.

Gdy tylko opuściła salon, Guy szybko podszedł do Becky, usiadł i wziął ją za rękę. - Będzie w lepszym nastroju rano, kiedy minie jej migrena, sama zobaczysz.

- Wątpię - odparła Becky i zwracając się do majora Trenthama powiedziała: - Ja również proszę o wybaczenie. Miałam długi dzień, a zresztą jestem pewna, że panowie macie sobie wiele do opowiedzenia.

Obaj mężczyźni wstali, a Becky wyszła z pokoju i wspięła się po długich schodach do swej sypialni. Pospiesznie się rozebrała i umywszy się w miednicy niemal lodowatej wody, przebiegła przez nie ogrzany pokój i wślizgnęła się do zimnej pościeli.

Już zasypiała, kiedy usłyszała odgłos przekręcanej gałki u drzwi.

Mrugnęła kilkakrotnie oczami i próbowała skupić wzrok na przeciwległej stronie pokoju. Drzwi

powoli otworzyły się, ale zobaczyła tylko sylwetkę wchodzącego do pokoju mężczyzny, który cicho zamknął je za sobą.

- Kto to? - spytała donośnym szeptem.

- To tylko ja - mruknął Guy. - Wpadłem na pomysł, żeby zajrzeć i zobaczyć, jak się miewasz.

Becky podciągnęła pościel aż pod brodę. - Dobranoc, Guy - powiedziała ostro.

- To niezbyt przyjazny ton - stwierdził Guy, który przeszedł już przez pokój i zasiadł na brzegu łóżka. - Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Mam wrażenie, że dziś wieczorem przeżyłaś dość ciężkie chwile.

- Dziękuję, czuję się świetnie - powiedziała chłodno Becky.

Kiedy pochylił się, by ją pocałować, odsunęła się od niego, więc zdołał tylko musnąć jej lewe ucho.

- Może nie jest to odpowiednia pora?

- Ani miejsce - dodała Becky, odsuwając się tak daleko, że o mało nie spadła z łóżka.

- Chciałem tylko pocałować cię na dobranoc.

Becky niechętnie pozwoliła mu się objąć i pocałować w usta, ale trwało to znacznie dłużej, niż przewidziała, więc w końcu musiała go odepchnąć.

- Dobranoc, Guy - powiedziała stanowczo.

Z początku Guy nie ruszył się z miejsca, ale potem wolno wstał i powiedział: - Może innym razem. - W chwilę później usłyszała odgłos zamykających się za nim drzwi.

Becky odczekała kilka sekund; potem wstała z łóżka. Podeszła do drzwi, przekręciła klucz w zamku, wyjęła go z dziurki i wróciła do łóżka. Dopiero po jakimś czasie udało jej się zasnąć.

Kiedy następnego ranka zeszła na śniadanie, major Trentham poinformował ją natychmiast, że bezsenna noc nie wpłynęła kojąco na migrenę żony, która postanowiła pozostać w łóżku, dopóki ból całkiem nie ustąpi.

Później, kiedy major i Guy udali się do kościoła, a Becky została w salonie, by przeczytać poranne gazety, zauważyła, że służący szepczą coś między sobą i zerkają w jej stronę.

Pani Trentham zjawiła się na lunchu, ale nie próbowała uczestniczyć w toczącej się przy drugim końcu stołu rozmowie. Niespodziewanie, w chwili gdy polewano sosem pudding z owocami, spytała:

- Jaki był dzisiaj temat kazania pastora?

- Czyńcie ludziom tak, jak byście chcieli, aby oni wam czynili - odparł major z lekką irytacją w głosie.

- A jak się pani podobało nabożeństwo w naszym lokalnym kościele, panno Salmon? - spytała pani Trentham, po raz pierwszy zwracając się do Becky.

- Nie byłam... - zaczęła Becky.

- Ach tak, oczywiście, pani należy do narodu wybranego.

- Nie, jeśli o to chodzi, jestem wyznania rzymskokatolickiego - oznajmiła Becky.

- Och - powiedziała pani Trentham, udając zdziwienie - sądziłam, że nosząc nazwisko Salmon...

Tak czy owak nie podobałby się pani kościół Św. Michała. Jest bardzo skromny.

Becky zastanawiała się, czy pani Trentham przeciwiczyła zawczasu każdą swą kwestię i każdy gest.

Kiedy sprzątnięto po lunchu, pani Trentham ponownie zniknęła, a Guy zaproponował Becky spacer. Becky poszła do swego pokoju i włożyła swoje najstarsze buty, była bowiem zbyt zastraszona, by poprosić o pożyczanie kaloszy pani Trentham.

- Wszystko, byle tylko wyjść z tego domu - powiedziała Becky po powrocie na dół i nie odezwała się więcej ani słowem, dopóki nie była pewna, że pani Trentham jest poza zasięgiem jej głosu. - Czego ona ode mnie oczekuje? - spytała w końcu.

- Och, nie jest aż tak źle - stwierdził Guy, biorąc ją za rękę. - Przesadzasz. Papa jest przekonany, że ona z czasem pogodzi się z rzeczywistością. Zresztą gdybym miał wybierać między tobą a nią, to dokładnie wiem, która z was jest dla mnie ważniejsza.

Becky uściśniła jego dłoń. - Dziękuję, kochanie, ale nie mam pewności, czy zniosłabym jeszcze jeden taki wieczór jak wczorajszy.

- Możemy zawsze wyjechać wcześniej i spędzić resztę dnia u ciebie - powiedział. Becky odwróciła się i spojrzała na niego, niepewna, co ma na myśli. Dodał szybko: - Lepiej wracajmy do domu, bo będzie utyskiwać, że zostawiliśmy ją samą na całe popołudnie. - Oboje przyspieszyli kroku.

W kilka minut później wchodzili po kamiennych stopniach prowadzących do głównego wejścia. Becky włożyła ponownie domowe pantofle i poprawiła fryzurę w stojącym w hallu lustrze, potem wróciła do salonu, by dołączyć do Guya. Była zaskoczona, stwierdziwszy, że nakryto tam już do obfitego podwieczorku. Spojrzała na zegarek: była dopiero trzecia piętnaście.

- Przykro mi, że uznałeś za stosowne zmusić wszystkich do czekania, Guy - brzmiały pierwsze słowa, które usłyszała Becky wchodząc do pokoju.

- Nigdy dotąd nie jadaliśmy podwieczorku tak wcześnie - zauważył major, stojący po drugiej stronie kominka.

- Czy napije się pani herbaty, panno Salmon? - spytała pani Trentham, której nawet jej nazwisko udało się wymówić w taki sposób, że brzmiało obraźliwie.

- Tak, dziękuję - odparła Becky.

- Może mogłabyś zwracać się do Becky po imieniu - zaproponował Guy.

Pani Trentham spojrzała na syna. - Nie znoszę tego dzisiejszego zwyczaju zwracania się do wszystkich po imieniu, zwłaszcza do osób, które dopiero co zostały mi przedstawione. Darjeeling, Lapsang czy Earl Grey, panno Salmon? - spytała, zanim ktokolwiek zdołał zareagować. Patrzyła na Becky, oczekując odpowiedzi, ale Becky nie udzieliła jej od razu, bo nadal starała się wrócić do siebie po poprzedniej złości. - Najwyraźniej w Whitechapel nie ma pani aż takiego wyboru - dodała pani Trentham.

Becky zastanawiała się, czy nie wziąć dzbanka i nie wylać jego zawartości na panią domu, ale jakoś zdołała zapanować nad sobą.

Wiedziała dobrze, że pani Trentham chodzi tylko o to, by wyprowadzić ją z równowagi.

Po chwili milczenia pani Trentham spytała: - Czy ma pani rodzeństwo, panno Salmon?

- Nie, jestem jedynaczką - odparła Becky.

- To naprawdę zadziwiające.

- Dlaczego? - spytała niewinnie Becky.

- Zawsze sądziłam, że niższe klasy mnożą się jak króliki - powiedziała pani Trentham, wrzucając kolejną kostkę cukru do swojej herbaty.

- Mamo, naprawdę... - zaczął Guy.

To tylko drobny żart - powiedziała pospiesznie, - Guy traktuje mnie niekiedy zbyt poważnie, panno Salmon. Niemniej jednak dobrze pamiętam, jak mój ojciec, sir Raymond, powiedział kiedyś...

- Znowu to samo - jęknął major.

- ... że klasy społeczne są jak woda i wino. W żadnym wypadku nie należy ich mieszać.

- A ja myślałam, że to właśnie Chrystus zdołał przemienić wodę w wino - zauważyła Becky.

Pani Trentham postanowiła zignorować tę uwagę. - Właśnie dlatego ludzie dzielą się na oficerów i niższe szarżę; ponieważ Bóg tak to zaplanował.

- A czy sądzi pani, że Bóg zaplanował również wojny po to, by właśnie ci oficerowie i niższe szarże mogli się nawzajem bezlitośnie wyrzynać? - spytała Becky.

- Doprawdy nie wiem, panno Salmon - odparła pani Trentham.

- Otóż widzi pani, ja nie mam zaszczytu być intelektualistką tak jak pani. Jestem tylko prostą, nie wykształconą kobietą, która mówi otwarcie, co myśli. Ale wiem, że wszyscy ponieśliśmy ofiary podczas wojny.

- A jakie pani poniosła ofiary, pani Trentham? - spytała Becky.

- Liczne, młoda damo - odparła pani Trentham, wyprostowując się na całą wysokość. - Po pierwsze, musiałam obchodzić się bez wielu rzeczy absolutnie niezbędnych dla egzystencji.

- Takich jak ręka lub noga? - powiedziała Becky i natychmiast pożałowała swych słów, gdyż zdała sobie sprawę, że wpadła w sidła zastawione przez panią Trentham.

Matka Guya wstała z krzesła, powoli podeszła do kominka i szarpnęła gwałtownie za sznur dzwonek na służbę. - Nie życzę sobie, by obrażano mnie w moim własnym domu - powiedziała.

Kiedy wszedł Gibson, odwróciła się do niego i dodała: - Dopilnuj, aby Alfred zabrał rzeczy panny Salmon z jej pokoju. Wraca do Londynu wcześniej, niż zamierzała.

Becky w milczeniu siedziała przy kominku, nie bardzo wiedząc, co powinna teraz zrobić. Pani Trentham stała, wpatrując się w nią chłodnym wzrokiem. W końcu Becky podeszła do majora, uściśniła jego dłoń i powiedziała: - Muszę pana pożegnać, majorze Trentham. Mam wrażenie, że już się nie zobaczymy.

- Moja strata, panno Salmon - odparł uprzejmie i pocałował ją w rękę. Becky odwróciła się i nawet nie spojrzawszy na panią Trentham wolnym krokiem wyszła z salonu. Guy podążył za nią do hallu.

Podczas podróży powrotnej do Londynu Guy na wszelkie możliwe sposoby starał się usprawiedliwić zachowanie swej matki, ale Becky wiedziała, że w istocie sam nie wierzy własnym słowom.

Kiedy zatrzymali się pod numerem 97, Guy wyskoczył z samochodu i otworzył drzwi od strony pasażera.

- Czy mogę wejść na górę? - spytał. - Mam ci jeszcze coś do powiedzenia.

- Nie dzisiaj - odparła Becky. - Muszę trochę pomyśleć i wolałabym być sama.

Guy westchnął. - Chciałem ci tylko powiedzieć, jak bardzo cię kocham, i porozmawiać o naszych planach na przyszłość.

- O planach obejmujących twoją matkę?

- Do diabła z moją matką - odparł. - Czy nie rozumiesz, jak bardzo cię kocham?

Becky zawahała się.

- Jak najszybciej ogłoszmy w "The Times" nasze zaręczyny i do diabła z tym, co ona sobie pomyśli. Co ty na to?

Becky odwróciła się i zarzuciła mu ręce na szyję. - Och, Guy, ja też cię bardzo kocham, ale lepiej zrobisz nie wchodząc dziś na górę. Zwłaszcza że lada chwila ma wrócić Daphne. Może innym razem.

Na twarzy Guya pojawił się wyraz rozczarowania. Pocałował ją na pożegnanie. Becky otworzyła

frontowe drzwi i wbiegła po schodach na górę.

Przekręciła klucz w zamku i stwierdziła, że Daphne nie wróciła jeszcze ze wsi. Usiadła na kanapie, a kiedy zrobiło się ciemno, nie zapaliła nawet lampy. Upłynęły następne dwie godziny, zanim do mieszkania wpadła Daphne.

- Jak poszło? - brzmiały jej pierwsze słowa, kiedy weszła do salonu i stwierdziła z zaskoczeniem, że jej przyjaciółka siedzi w ciemności.

- Katastrofa.

- A więc wszystko skończone?

- Nie, niezupełnie - powiedziała Becky. - W istocie mam wrażenie, że Guy mi się oświadczył.

Ale czy się zgodziłaś? - spytała Daphne.

- Chyba tak.

- A co zamierzacie zrobić w sprawie Indii?

Nazajutrz rano rozpakowując swój neseser Becky odkryła z przerażeniem, że nie ma w nim pięknej broszki, którą Daphne pożyczyła jej na weekend. Doszła do wniosku, że musiała zostawić ją w Ashurst Hall.

Ponieważ nie chciała ponownie kontaktować się z panią Trentham, wysłała na adres pułkowego kasyna Guya list, w którym poinformowała go o swym kłopotcie. Odpisał następnego dnia zapewniając ją, że sprawdzi to w niedzielę, kiedy będzie na lunchu u rodziców w Ashurst.

Przez następne pięć dni Becky niepokoiła się, czy Guy zdoła odnaleźć zaginiony klejnot; na szczęście Daphne zdawała się nie dostrzegać jego braku. Becky miała nadzieję, że odzyska broszkę, zanim jej przyjaciółka zechce ją znów włożyć.

Guy napisał w poniedziałek donosząc, że mimo dokładnych poszukiwań w gościnnej sypialni nie znalazł zaginionej broszki, a Nellie pamięta dobrze, że spakowała całą biżuterię Becky.

Ta wiadomość zastanowiła Becky, ponieważ pamiętała, że sama pakowała neseser, kiedy dano jej obcesowo do zrozumienia, że ma wyjechać z Ashurst Hall. Bardzo zaniepokojona czuwała do późna w nocy, czekając na powrót Daphne z długiego weekendu na wsi, by wyjaśnić swej przyjaciółce, co się wydarzyło. Obawiała się, że upłyną miesiące, a nawet lata, zanim zdoła odłożyć sumę pieniędzy pozwalającą na odkupienie tej rodzinnej pamiątki.

Wypiła kilka filiżanek czarnej kawy i omal nie zapaliła jednego z papierosów Daphne, zanim parę minut po północy jej współlokatorka pojawiła się w mieszkaniu.

- Jeszcze nie śpisz, moja droga? - powiedziała od progu. - Czy egzaminy są już tak blisko?

- Nie - odparła Becky, a potem drżącym głosem opowiedziała historię zaginionej broszki. W końcu spytała Daphne, ile czasu według niej może upłynąć, zanim ją spłaci.

- Sądzę, że około tygodnia - odparła Daphne.

- Tygodnia? - spytała Becky z zaskoczeniem.

- Owszem. Sztuczna biżuteria jest ostatnim krzykiem mody. Jeśli dobrze pamiętam, kosztowała mnie dokładnie trzy szylingi.

We wtorek, podczas kolacji, Becky z ulgą powiedziała Guyowi, dlaczego odnalezienie zaginionego klejnotu nie ma już większego znaczenia.

W następny poniedziałek Guy przyniósł broszkę na Chelsea Terrace informując, że Nellie znalazła ją pod łóżkiem w pokoju Wellingtona.

ROZDZIAŁ 9

Becky zaczęła dostrzegać niewielkie zmiany w sposobie zachowania się Charlie'ego, z początku ledwo uchwytne, a z czasem bardziej rzucające się w oczy.

Daphne nie usiłowała ukryć swego wpływu na - jak to określała - "towarzyskie odkrycie dziesięciolecia, mojego własnego Charlie'ego Doolittle". - Wiesz co, zabrałam go na ostatni weekend do Harcourt Hall i zrobił tam furorę. Nawet mama uznała, że jest fantastyczny.

- Twoja matka aprobeje Charlie'ego Trumpera? - spytała z niedowierzaniem Becky.
- O tak, moja droga, ale widzisz, mama zdaje sobie sprawę, że nie zamierzam za niego wyjść za mąż.

- Uważaj, ja też nie zamierzałam wyjść za Guya.
- Moja droga, nie zapominaj, że pochodzisz z klasy romantyków, natomiast ja ze sfer bardziej praktycznych i dlatego właśnie arystokracja tak długo przetrwała. Nie, skończy się na tym, że wyjdę za niejakiego Percy'ego Wiltshire'a i nie ma to nic wspólnego z przeznaczeniem czy gwiazdami; będzie to przejaw dobrego, staroświeckiego zdrowego rozsądku.

- Ale czy pan Wiltshire wie o twoich planach dotyczących jego przyszłości?
- Oczywiście że markiz Wiltshire nie ma o nich pojęcia. Nawet jego matka jeszcze mu o tym nie powiedziała.

- A co będzie, jeśli Charlie się w tobie zakocha?
- Nie ma obawy. Widzisz, w jego życiu jest inna kobieta.
- Mój Boże - powiedziała Becky. - I pomyśleć, że nigdy jej nie spotkałam.

Zyski sklepu w drugim i trzecim kwartale były znacznie wyższe niż w pierwszym, co Daphne odczuła na własnej skórze, kiedy otrzymała następną ratę pożyczki. Powiedziała Becky, że przy takim tempie spłat nie może spodziewać się żadnych długofalowych dochodów z tytułu udzielonej pożyczki. Jeśli idzie o Becky, to w miarę zbliżania się terminu wyjazdu Guya do Indii spędzała coraz mniej czasu na rozmyślaniu o Daphne, Charlie'm i sklepie.

Indie... Kiedy dowiedziała się o służbowym przeniesieniu Guya na okres trzech lat, nie zmrużyła oka przez całą noc. Z pewnością wolałaby usłyszeć o tym fakcie, który mógł tak zakłócić ich przyszłe plany, od samego Guya, a nie od Daphne. Do tej pory bez zastrzeżeń godziła się z tym, że obowiązki Guya związane ze służbą w pułku uniemożliwiają im regularne spotkania, ale w miarę zbliżania się terminu jego wyjazdu zaczęła nienawidzić wart, nocnych ćwiczeń, a przede wszystkim zajęć weekendowych, w których uczestniczyć musieli Królewscy Strzelcy.

Obawiała się, że po jej nieudanej wizycie w Ashurst Hall, nie będzie już tak gorliwie okazywał jej swych uczuć, ale on stał się chyba jeszcze bardziej wylewny i powtarzał stale, że wszystko się

zmieni, kiedy tylko wezmą ślub.

Tymczasem dzielące ich od rozstania miesiące zamieniły się w tygodnie, a tygodnie w dni, aż w końcu obrysowana kółkiem przez Becky na znajdującym się obok jej łóżka kalendarzu przerażająca data, 3 lutego 1920, zawisała bezpośrednio nad nimi.

- Zjedźmy kolację w Cafe Royal. Tam spędziliśmy nasz pierwszy wspólny wieczór - zaproponował Guy w poniedziałek poprzedzający dzień jego wyjazdu.

- Nie - powiedziała Becky. - Nie chcę podczas naszego ostatniego wieczora dzielić się tobą z setką obcych ludzi. - Po krótkim wahaniu dodała: - Jeśli zdołasz znieść myśl o mojej kuchni, wolę wydać dla ciebie kolację w domu. W ten sposób będziemy przynajmniej sami.

Guy uśmiechnął się.

Kiedy już okazało się, że sklep funkcjonuje sprawnie, Becky nie wpadała tam codziennie, ale ilekroć przechodziła obok numeru 147, nie mogła oprzeć się pokusie zajrzenia przez okno wystawowe.

O ósmej rano tego poniedziałku ze zdziwieniem stwierdziła, że Charlie nie stoi za ladą.

- Jestem tutaj - usłyszała i odwróciwszy się dostrzegła Charlie'ego siedzącego naprzeciwko sklepu na tej samej ławce, na której zobaczyła go po raz pierwszy w dniu jego powrotu do Londynu.

Przeszła przez ulicę i usiadła obok niego.

- Cóż to, czyżbyś przeszedł na przedwczesną emeryturę przed spłaceniem naszej pożyczki?

- Ależ skąd. Właśnie pracuję.

- Pracujesz? Panie Trumper, proszę mi wytłumaczyć, jak można nazwać pracą wylegiwanie się na ławce w poniedziałkowy poranek?

- Henry Ford nauczył nas, że "każda minuta działania wymaga godziny namysłu" - powiedział Charlie z nieznacznym nalotem swego dawnego cockneyowskiego akcentu; Becky mimowolnie zwróciła uwagę na sposób, w jaki wymówił imię "Henry".

- A dokąd w tym konkretnym momencie zawiódł cię ten fordowski namysł? - spytała.

- Do tego ciągu sklepów po drugiej stronie.

- Wszystkich? - Becky zerknęła na ten odcinek ulicy. - A czy możesz mi powiedzieć, do jakiego wniosku doszedłby pan Ford, gdyby siedział na tej ławce?

- Że reprezentują one trzydzieści sześć różnych sposobów zarabiania pieniędzy.

- Nigdy ich nie policzyłam, ale wierzę ci na słowo.

- Co jeszcze widzisz, patrząc na drugą stronę ulicy?

Becky ponownie skierowała wzrok na Chelsea Terrace. - Ludzi spacerujących w tę i z powrotem po chodniku; kobiety z parasolkami, niańki pchające wózki, a od czasu do czasu jakieś dziecko ze skakanką lub kółkiem. - Zawahała się. - No, a co ty widzisz?

- Dwa napisy "Na sprzedaż"

- Przyznaję, że ich nie zauważyłam. - Ponownie spojrzała na drugą stronę ulicy.

- To dlatego, że patrzysz innymi oczami - wyjaśnił Charlie.

- Pierwszy na sklepie mięsnym Kendricka. No cóż, wszystko o nim wiemy, prawda? Miał atak serca i lekarz poradził mu, by wycofał się z interesu, bo w przeciwnym wypadku nie pożyje długo.

- A drugim jest pan Rutherford - powiedziała Becky, dostrzegając kolejny napis "Na sprzedaż".

Antykwariusz. Tak, drogi Julian chce sprzedać cały interes i pojechać do swego przyjaciela w Nowym Jorku, gdzie społeczeństwo jest nieco bardziej tolerancyjne wobec jego szczególnych inklinacji... jak ci się podoba to słowo?

- Jak dowiedziałeś się...?

- Wywiad - powiedział Charlie, dotykając swego nosa. - Podstawa każdego interesu.

- Czy to kolejna zasada Forda?

- Nie, kogoś ze znacznie bliższego otoczenia - przyznał Charlie.

- Daphne Harcourt-Browne.

Becky uśmiechnęła się. - Co zamierzasz w tej sprawie przedsięwziąć?

- Muszę zdobyć oba te sklepy, rozumiesz?

- A jak chcesz tego dokonać?

- Dzięki mojemu sprytowi i twojej pracowitości.

- Czy mówisz poważnie, Charlie?

- Jak nigdy dotąd. - Charlie ponownie odwrócił się do niej. - Ostatecznie, czym Chelsea Terrace miałoby różnić się od Whitechapel?

- Może po prostu jednym zerem - podsunęła Becky.

- Więc usuńmy to zero, panno Salmon. Nadeszła bowiem pora, byś przestała być cichym współnikiem i zaczęła wypełniać swoje obowiązki.

- A co z moimi egzaminami?

- Wykorzystaj wolny czas, jaki będziesz miała po wyjeździe twojego adoratora do Indii.

- On wyjeżdża dopiero jutro.

- Daję ci wobec tego przepustkę na jeszcze jeden dzień. Czy tak oficerowie określają dzień wolny od pracy? Jutro jednak chcę, abyś poszła do agencji Johna D. Wooda i spotkała się z tym przyszczytym młodym urzędnikiem... jak on się nazywa?

- Palmer - odparła Becky.

- Ach tak, Palmer - powiedział Charlie. - Poleć mu, aby zaczął w naszym imieniu pertraktować na temat ceny obu tych sklepów i uprzedź go, że interesują nas również wszystkie inne lokale, które zostaną wystawione na sprzedaż na Chelsea Terrace.

- Wszystkie inne na Chelsea Terrace? - zdziwiła się Becky, która zaczęła już robić notatki na okładce swego podręcznika.

Owszem, a ponieważ musimy też zdobyć pieniądze na zakup tych nieruchomości, odwiedź kilka banków i dopilnuj, żebyśmy uzyskali dobre warunki kredytu. Nie bierz pod uwagę żadnej oferty powyżej czterech procent.

- Żadnej oferty powyżej czterech procent - powtórzyła Becky.

Podnosząc wzrok dodała: - Ale Charlie, trzydzieści sześć sklepów?

- Wiem, że to może potrwać cholernie długo.

Siedząc w bibliotece Bedford College, Becky usiłowała odsunąć na bok marzenia Charlie'ego o zostaniu następnym panem Selfridge i dokończyć esej o wpływie Berniniego na siedemnastowieczną rzeźbę.

Ale jej myśli przeskakiwały z Berniniego na Charlie'ego, a potem wracały do Guya. Nie mogąc uporać się z terażniejszością, uznała, że jeszcze gorzej idzie jej ze starożytnością, postanowiła więc odłożyć swój esej do chwili, kiedy znajdzie więcej czasu, by skoncentrować się na przeszłości.

Podczas przerwy na lunch usiadła na ceglanym murku przed biblioteką i jedząc jabłko pograżyła się w myślach. Ugryzła ostatni kęs, wrzuciła ogryzek do pobliskiego kosza na śmieci, zebrała wszystkie swoje rzeczy do teczki i wyruszyła w drogę do Chelsea.

Kiedy dotarła do Terrace, wstąpiła najpierw do sklepu mięsnego, gdzie wybrała udziec barani i

powiedziała pani Kendrick, jak bardzo zmartwiła się na wiadomość o jej mężu. Płacąc rachunek zauważyła, że ekspedienci, choć dobrze wyszkoleni, nie wykazują większej inicjatywy. Klienci wychodzili tylko z tym, po co przyszli, na co nigdy nie pozwoliliby im Charlie. Potem stanęła w kolejce za ladą sklepu Trumpera, a Charlie podszedł, by ją obsłużyć.

- Coś specjalnego, proszę pani?

- Dwa funty kartofli, funt świeżych grzybów, główka kapusty i melon.

- Ma pani szczęście, proszę pani. Melon powinien zostać zjedzony jeszcze tego wieczora - powiedział, lekko naciskając jego czubek. - Czy coś jeszcze? Kilka pomarańcz, a może grapefruit?

- Nie, dziękuję, mój dobry człowieku.

- Razem trzy szylingi i cztery pensy, proszę pani.

- Nie dorzuci mi pan jabłka tak jak wszystkim innym dziewczętom?

Niestety nie, proszę pani, ten przywilej jest zastrzeżony jedynie dla naszych stałych klientów.

Dałbym się może przekonać, gdyby zaprosiła mnie pani dziś wieczorem na kawałek tego melona.

Miałbym wtedy okazję szczegółowo przedstawić pani mój mistrzowski plan dotyczący Chelsea Terrace, Londynu, świata...

- Dziś wieczorem nie mogę, Charlie. Guy jutro rano wyjeżdża do Indii.

- Ach tak, jaki ze mnie głupiec, przepraszam. Zapomniałem. - Wydał jej się niecodziennie speszony. - Może jutro?

- Dobrze, dlaczego nie?

- Wobec tego w dowód szczególnego szacunku zabiorę cię na kolację do miasta. Wpadnę po ciebie o ósmej.

- Zgoda, współniku - powiedziała Becky z nadzieją, że mówi jak Mae West.

Uwagę Charlie'ego przykuła nagle tęga kobieta, która znalazła się na początku kolejki.

- Och, pani Nourse - powiedział Charlie wracając do swego cockneyowskiego akcentu - jak zwykle rzodkwie i rzepy, czy też będziemy dziś nieco bardziej pomysłowi, panienko?

Becky obejrzała się i dostrzegła, że pani Nourse, która miała co najmniej sześćdziesiątkę, spłonęła rumieńcem, a jej obfity biust faluje z zadowolenia.

Po powrocie do mieszkania, Becky sprawdziła szybko, czy w salonie panuje czystość i porządek. Pokojówka dokładnie posprzątała pokój, a ponieważ Daphne nie wróciła jeszcze z jednego ze swych długich weekendów w Harcourt Hall, Becky musiała tylko poprawić kilka poduszek i zaciągnąć zasłony.

Postanowiła poczynić większość przygotowań do wieczornego posiłku jeszcze przed kąpielą. Żałowała już, że odrzuciła propozycję Daphne, która chciała sprowadzić jej do pomocy kucharkę i dwie pokojówki z Lowndes Square. Była jednak zdecydowana mieć Guya tym razem tylko dla siebie, choć wiedziała, że jej matka nie pochwalałaby przyjmowania gościa płci męskiej pod nieobecność Daphne lub jakiejś innej przyzwoitki.

Melon, następnie udziec barani z ziemniakami, kapustą i świeżymi grzybami: takie menu z pewnością spotkałoby się z uznaniem jej matki. Podejrzewała jednak, że uznanie to nie objęłoby trwonienia ciężko zapracowanych pieniędzy na butelkę Nuits St George, którą kupiła w sklepie pana Cuthberta pod numerem 101. Obrała ziemniaki, polała tłuszczem mięso i upewniwszy się, że ma w domu miętę, usunęła głąb z kapusty.

Odkorkowując wino postanowiła, że w przyszłości wszystkie zakupy będzie robić w miejscowych sklepach, by być równie dobrze poinformowana jak Charlie o tym, co dzieje się na

Terrace.

Zanim się rozebrała, sprawdziła, czy w butelce, którą dostała w prezencie na Boże Narodzenie, zostało jeszcze trochę koniaku.

Przez dłuższą chwilę leżała w gorącej kąpieli zastanawiając się, do jakich banków pójść i, co ważniejsze, jak przedstawić całą sprawę. Szczegółowe obliczenia dotyczące zarówno dochodów sklepu Trumpera, jak i harmonogramu spłat jakiegokolwiek pożyczki... Potem wróciła myślami do Charlie'ego oraz Guya i zaczęła się zastanawiać, dlaczego żaden z nich nigdy nie mówi o drugim.

Kiedy usłyszała, że zegar w sypialni wybija wpół do ósmej, wyskoczyła w popłochu z wanny, nagle sobie uświadamiając, jak wiele czasu zabrały jej te rozważania, wiedziała bowiem, że Guy z pewnością zjawi się na progu dokładnie o ósmej. Daphne uprzedziła ją, że mając do czynienia z żołnierzem, można być pewnym tylko tego, iż zawsze będzie punktualny.

Opróżniając połowę szafy Daphne i swoją własną w poszukiwaniu czegoś, w co mogłaby się ubrać, rozrzuciła części garderoby na podłodze obu sypialni. Wybrała w końcu suknię, w której Daphne była na balu Strzelców i od tej pory nigdy już jej nie włożyła. Kiedy zdołała zapiąć ostatni guzik, przejrzała się w lustrze. Była pewna, że pomyślnie przejdzie "przeгляд umundurowania". Gdy stojący na gzymsie kominka zegar wybił ósmą, rozległ się dźwięk dzwonka.

Guy, w dwurzędowej marynarce z herbem pułku na kieszonce i w kawaleryjskich spodniach, wszedł do pokoju niosąc butelkę czerwonego wina oraz tuzin czerwonych róż. Położył oba prezenty na stole i wziął Becky w ramiona.

- Cóż za piękna suknia - powiedział. - Chyba nigdy jej dotąd nie widziałem.

- Nie, mam ją na sobie po raz pierwszy - odparła Becky, czując się winna, że nie spytała Daphne, czy może ją od niej pożyczyć.

- Nie masz nikogo do pomocy? - spytał Guy, rozglądając się wkoło.

- Prawdę mówiąc, Daphne zaproponowała, że wystąpi w roli przyzwoitki, ale nie zgodziłam się, ponieważ nie chciałam podczas naszego ostatniego wspólnego wieczora dzielić się tobą z kimkolwiek.

Guy uśmiechnął się. - Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Owszem, możesz odkorkować wino, a ja tymczasem nastawię ziemniaki.

- Ziemniaki od Trumpera?

- Oczywiście - odparła Becky idąc do kuchni, gdzie wrzuciła kapustę do garnka z wrzącą wodą.

Zawahała się przez chwilę, następnie zawołała: - Nie lubisz Charlie'ego, prawda?

Guy nalał wino do dwóch kieliszków, ale albo nie słyszał, o co spytała, albo nie chciał odpowiedzieć.

- Jak upłynął ci dzień? - spytała Becky, kiedy wróciła do salonu i wzięła podany jej kieliszek.

- Na pakowaniu nieskończonej ilości kufrów przed jutrzejszą podróżą - odparł. - W tym cholernym kraju trzeba mieć po cztery sztuki wszystkiego.

- Wszystkiego? - Becky wypła łyk wina. - Hm, dobre.

- Wszystkiego. A ty, co robiłaś?

- Rozmawiałam z Charlie'm o jego planach podbicia Londynu bez wypowiedzenia wojny, uznałam, że Caravaggio jest drugorzędnym artystą, i wybrałam trochę świeżych grzybów, nie wspominając już o codziennych sprawach firmy Trumper. - Kiedy skończyła mówić, postawiła talerz z połówką melona przed nim, a drugi przed sobą. On tymczasem ponownie napełnił kieliszki.

Podczas trwającej dość długo kolacji Becky coraz bardziej uświadamiała sobie, że jest to

zapewne ich ostatni wspólny wieczór na przestrzeni najbliższych trzech lat. Rozmawiali o teatrze, pułku, zamieszkach w Irlandii, o Daphne, a nawet o cenie melonów, ale nawet słowem nie wspomnieli o Indiach.

- W każdej chwili możesz przyjechać mnie odwiedzić - powiedział w końcu Guy, poruszając zakazany dotąd temat i nalał jej następny kieliszek wina, niemal opróżniając butelkę.

- Z jednodniową wycieczką, co? - spytała, sprzątając ze stołu talerze i odnosząc je do kuchni.

- Wydaje mi się, że nawet to będzie kiedyś możliwe.

Guy ponownie napełnił swój kieliszek, po czym otworzył przyniesioną przez siebie butelkę.

Co masz na myśli?

- Podróż samolotem. W końcu Alcock i Brown przelecieli Atlantyk bez lądowania, więc Indie muszą być następnym celem jakiegoś ambitnego pioniera.

- Być może usiądę na skrzydle - powiedziała Becky wróciwszy z kuchni.

Guy wybuchnął śmiechem. - Nie martw się. Jestem pewny, że te trzy lata przelecą jak błyskawica, a po moim powrocie zaraz się pobierzemy. - Podniósł swój kieliszek i obserwował, jak Becky wypija następny łyk wina. Przez pewien czas żadne z nich się nie odzywało.

Becky wstała od stołu i poczuła lekki zawrót głowy. - Nastawię wodę - powiedziała.

Kiedy wróciła, nie zauważyła, że jej kieliszek został znów napełniony. - Dziękuję za cudowny wieczór - powiedział Guy, a ona zaniepokoiła się, że już zamierza wyjść.

- Obawiam się, że nadszedł czas, by pozmywać, jako że najwyraźniej nie masz dziś służby, a ja odesłałem swego ordynansa do koszar.

- Nie, nie zwracajmy sobie tym głowy - powiedziała Becky nie mogąc powstrzymać czkawki. - W końcu mogę poświęcić rok na zmywanie naczyń, następny rok na ich wycieranie, a i tak zostanie mi jeszcze jeden na odstawianie ich na miejsce.

Śmiech Guya przerwał donośny gwizd czajnika.

- Zaraz wracam. Nalej sobie koniaku - dodała Becky znikając w kuchni. Wybrała dwie nie wyszczerbione filiżanki. Kiedy wróciła niosąc dwie mocne gorące kawy, miała przez chwilę wrażenie, że ktoś przykręcił gaz w lampie. Postawiła obie filiżanki na stole obok kanapy. - Kawa jest tak gorąca, że upłynie parę minut, zanim będziemy mogli ją wypić - ostrzegła.

Guy podał jej do połowy wypełniony koniakiem kieliszek. Uniósł swój i czekał. Becky zawahała się, wypila łyk i usiadła obok niego.

Przez chwilę żadne z nich nie mówiło ani słowa, a potem Guy odstawił kieliszek, objął ją i zaczął namiętnie całować, najpierw w usta, później w szyję, a następnie w obnażone ramiona. Becky zaczęła stawiać opór dopiero wtedy, kiedy poczuła, że jego ręka przesunęła się z jej pleców na pierś.

Guy odsunął się gwałtownie i powiedział: - Mam dla ciebie nadzwyczajną niespodziankę, kochanie, którą zachowałem na dzisiejszy wieczór.

- Jaka?

- Anons o naszych zaręczynach ukaże się w jutrzejszym "The Times".

Przez chwilę Becky była tak oszołomiona, że patrzyła na niego bez słowa. - Och, kochany, to cudowne. - Objęła go ponownie i tym razem nie stawiała oporu, kiedy jego dłoń powróciła na jej pierś.

Potem wyrwała mu się znowu. - Ale jak zareaguje na to twoja matka?

- Nic mnie to nie obchodzi - powiedział Guy i ponownie zaczął całować ją w szyję. Przesunął rękę na jej drugą pierś, a Becky rozchyliła usta i ich języki zetknęły się.

Poczuła, że Guy rozpina guziki z tyłu jej sukni, z początku powoli, później śmieiej. Potem znowu wypuścił ją z objęć. Zarumieniała się, gdy zdejmował marynarkę i krawat, a potem rzucił je na oparcie kanapy. Nie była pewna, czy nie powinna dać mu do zrozumienia, że posunęli się już zbyt daleko.

Kiedy Guy zaczął rozpinać koszulę, wpadła na chwilę w panikę: wydarzenia wymykały się spod jej kontroli.

Guy pochylił się ku niej i zsunął z jej ramion górną część sukni.

Potem znów ją pocałował i poczuła, że próbuje rozpiąć jej stanik.

Pomyślała z nadzieją, że być może nie dojdzie do najgorszego, gdyż żadne z nich nie wie, gdzie są zatraski. Stało się jednak aż nadto jasne, że Guy już wcześniej przewycięzał takie trudności, gdyż zręcznie rozpiął odporne haftki i po krótkim wahaniu skupił swą uwagę na jej nogach. Dotknąwszy górnego brzeżka pończoch, zastygł na chwilę w bezruchu i patrząc jej w oczy powiedział cicho:

- Do tej pory jedynie sobie to wyobrażałem, ale nie miałem pojęcia, że jesteś aż tak piękna.

- Dziękuję - powiedziała Becky i usiadła prosto. Guy podał jej kieliszek, a ona wypija łyk koniaku zastanawiając się, czy nie postąpiłaby rozsądniej wspominając o stygnącej kawie i wymykając się pod tym pretekstem do kuchni, by zaparzyć następną porcję.

- Tym niemniej dziś wieczorem spotkał mnie zawód - dodał, nadal trzymając rękę na jej udzie.

- Zawód? - Becky odstawiła kieliszek. Poczuła, że kręci jej się w głowie.

Tak - powiedział Guy. - Twój pierścionek zaręczynowy.

- Mój pierścionek zaręczynowy?

- Zamówiłem go w firmie Garrard ponad miesiąc temu i zapewniono mnie, że będzie gotowy dziś wieczorem. Po południu jednak poinformowano mnie, że mogę odebrać go dopiero jutro rano.

- Nic nie szkodzi - powiedziała Becky.

- Szkodzi - odparł Guy. - Chciałem włożyć ci go na palec dzisiejszego wieczora, ale w tej sytuacji mam nadzieję, że będziesz mogła przyjść na stację nieco wcześniej, niż zaplanowaliśmy. Zamierzam przyklęknąć na jedno kolano i uroczyście ci go wręczyć.

Becky z uśmiechem podniosła się z kanapy, a Guy szybko wstał i wziął ją w ramiona. - Zawsze będę cię kochał, wiesz o tym, prawda?

- Suknia Daphne zsunęła się na podłogę. Guy wziął Becky za rękę i poprowadził ją do sypialni.

Odsunął pospiesznie nakrycie, wskoczył do łóżka i wyciągnął ramiona. Gdy położyła się obok niego, szybko rozebrał ją do naga i zaczął całować po całym ciele. Potem posiadł ją z wprawą, którą, jak podejrzewała, mógł zdobyć jedynie dzięki sporemu doświadczeniu.

Choć sam akt był bolesny, Becky zaskoczyło, że wymarzony moment minął tak szybko, i przyłgnęła do Guya na długą chwilę, która wydawała jej się wiecznością. Guy nieustannie powtarzał, jak bardzo ją kocha, co złagodziło nieco jej wyrzuty sumienia - bądź co bądź byli zaręczeni.

Zasypiała już, kiedy wydało jej się, że słyszy trzask zamykanych drzwi, i przewróciła się na drugi bok przekonana, że odgłos ten dochodzi z mieszkania nad nimi. Guy nawet nie drgnął. Nagle drzwi sypialni gwałtownie się otworzyły i stanęła nad nimi Daphne.

- Bardzo przepraszam, nie wiedziałam - wyszeptała i cicho zamknęła za sobą drzwi. Becky z lękiem spojrzała na swego ukochanego.

Uśmiechnął się i wziął ją w ramiona. - Nie musisz się przejmować Daphne. Ona nikomu nie powie. - Wyciągnął rękę i przytulił ją do siebie.

Kiedy Becky dotarła na peron pierwszy, na stacji Waterloo tłoczył się już tłum umundurowanych mężczyzn. Była parę minut spóźniona, więc zdziwiła się nieco, że nigdzie nie widzi Guya.

Potem przypomniała sobie, że miał wstąpić na Albemarle Street, by odebrać pierścienek. Rzuciła okiem na tablicę i dostrzegła wypisane kredą, dużymi literami słowa: "Pociąg do Southampton z przesiadką na statek do Indii, odjazd godzina 11.30". Nadal rozglądała się niespokojnie po peronie; potem jej wzrok przyciągnęła grupa bezradnych dziewcząt. Stłoczone pod dworcowym zegarem mówiły równocześnie przenikliwymi, podnieconymi głosami o balach myśliwskich, grze w polo i debiutantkach tego sezonu. Zdawały sobie sprawę, że muszą pożegnać swych ukochanych na stacji, ponieważ nie było w zwyczaju, by dziewczyna towarzyszyła oficerowi w drodze do Southampton, o ile nie była jego żoną lub oficjalną narzeczoną. Becky pomyślała, że poranny "The Times" potwierdzi jej zaręczyny z Guyem, więc być może narzeczonego pozwoli jej pojechać z sobą aż na wybrzeże...

Ponownie zerknęła na zegarek: była jedenasta dwadzieścia jeden. Zaczęła odczuwać lekki niepokój. Potem nagle zobaczyła, że Guy idzie po peronie w jej kierunku w towarzystwie żołnierza taszczącego dwie skrzynie i tragarza wiozącego na wózku resztę bagażu.

Guy przeprosił ją za spóźnienie, ale nie wyjaśnił jego przyczyn; kazał jedynie ordynansowi umieścić kufry w pociągu i czekać.

Przez następne kilka minut prowadzili zdawkową rozmowę, a Becky wyczuła w jego zachowaniu pewien dystans, ale zdawała sobie sprawę, że na peronie znajdują się liczni koledzy Guya również żegnający się z kobietami, a niektórzy nawet z żonami.

Rozległ się gwizdek i Becky zauważyła, że konduktor patrzy na zegarek. Guy pochylił się ku niej, musnął ustami jej policzek, a potem nagle odszedł. Patrzyła, jak wsiada do pociągu nie obejrzawszy się ani razu za siebie. Przez cały czas myślała o chwili, w której leżeli razem w ciasnym łóżku, i słyszała jego słowa: "Zawsze będę cię kochał. Wiesz o tym, prawda?"

Rozległ się ostatni gwizdek, a zawiadowca machnął zieloną chorągiewką. Becky została sama. Zadrżała od gwałtownego podmuchu wywołanego przez pociąg, który wijąc się jak wąż po torach wyruszał w drogę do Southampton. Chichoczące dziewczęta także odeszły, ale w innym kierunku, w stronę swych dorożek i samochodów z szoferami.

Becky poszła do kiosku stojącego w narożniku peronu siódmego, kupiła za dwa pensy egzemplarz "Timesa" i przejrzała, najpierw szybko, a potem powoli anonsy o zapowiadanych ślubach.

Lista zaczynała się od nazwiska Arbuthnot, a kończyła na nazwisku Yelland, ale nie było na niej żadnej wzmianki o panu Trenthamie ani o panie Salmon.

ROZDZIAŁ 10

Zanim podano pierwsze danie, Becky pożałowała, że przyjęła zaproszenie Charlie'ego na kolację do jedynej restauracji, jaką znał, a której właścicielem był pan Scallini. Charlie usilnie się starał zachowywać taktownie, co pogłębiało tylko jej poczucie winy.

- Podoba mi się twój strój - powiedział, podziwiając pastelową suknię, którą pożyczyła od Daphne.

- Dziękuję.

Nastało długie milczenie.

- Przepraszam. Powinienem być dobrze się zastanowić, zanim zaprosiłem cię do miasta dokładnie w dniu wyjazdu kapitana Trenthama do Indii.

- Anons o naszych zaręczynach ukaże się jutro w "The Times" - oznajmiła, nie podnosząc wzroku znad talerza z nie tkniętą zupą.

- Moje gratulacje - powiedział bez przekonania.

- Nie lubisz Guya, prawda?

- Nigdy nie byłem w zbyt dobrych układach z oficerami.

- Ale wasze drogi skrzyżowały się podczas wojny. W istocie poznałeś go wcześniej niż ja, prawda? - spytała niespodziewanie Becky. Charlie milczał, więc dodała: - Wyczułam to już podczas naszej pierwszej kolacji.

- Stwierdzenie, że "znałem go", byłoby przesadą - zauważył Charlie. - Służyliśmy w tym samym pułku, ale aż do tamtego wieczora nigdy nie jedliśmy przy jednym stole.

- Walczyliście jednak na tej samej wojnie.

- Wraz z czterema tysiącami innych żołnierzy z naszego pułku - odparł Charlie nie dając się wciągnąć w pułapkę.

- Czy Guy był odważnym i szanowanym oficerem?

Kelner bez uprzedzenia zjawił się przy ich stole.

Co będziecie państwo pili do ryby, sir?

- Szampana - odparł Charlie. - Ostatecznie mamy coś do uczczenia.

- Doprawdy? - zdziwiła się Becky, nie podejrzewając, że uciekł się do tego wybiegu tylko po to, by zmienić temat - Wyniki pierwszego roku naszej działalności. Czy zapomniałaś, że spłaciliśmy już Daphne ponad połowę pożyczki?

Becky zdobyła się na uśmiech; zdawała sobie bowiem sprawę, że kiedy ona zadreczęła się wyjazdem Guya do Indii, Charlie skupiał uwagę na rozwiązaniu innego problemu. Ale mimo tych wiadomości, dalszy ciąg wieczoru upływał w milczeniu, z rzadka przerywanym wypowiedziami

Charlie'ego, na które nie zawsze uzyskiwał odpowiedź. Becky sęczyła szampana, dziobała widelcem rybę, nie zamówiła deseru i z trudem ukryła uczucie ulgi, kiedy w końcu podano rachunek.

Charlie zapłacił kelnerowi i zostawił hojny napiwek.

Daphne byłaby z niego dumna - pomyślała Becky.

Kiedy wstała z krzesła, poczuła, że sala zaczyna wirować w kółko.

- Nic ci nie jest? - spytał Charlie, otaczając ją ramieniem.

- Nie, czuję się świetnie - odparła Becky. - Nie jestem przyzwyczajona do picia tak dużych ilości wina przez dwa wieczory z rzędu.

- Niewiele też zjadłaś na kolację - stwierdził Charlie, wyprowadzając ją z restauracji na chłodne wieczorne powietrze.

Szli pod rękę wzdłuż Chelsea Terrace i Becky nie mogła oprzeć się myśli, że każdy przypadkowy przechodzień mógł wziąć ich za parę zakochanych. Kiedy dotarli pod bramę domu Daphne, Charlie poszperał w torebce Becky, by znaleźć jej klucze. Jakimś cudem zdołał otworzyć drzwi, podtrzymując równocześnie opartą o ścianę Becky. Potem ugięły się pod nią nogi, więc musiał przytrzymać ją mocno, by nie upadła. Wziął dziewczynę na ręce i zaniósł na pierwsze piętro. Kiedy dotarł do mieszkania, dokazał akrobatycznej sztuki, aby otworzyć drzwi nie upuszczając jej na podłogę. W końcu wszedł chwiejnym krokiem do salonu i położył Becky na kanapie. Wyprostował się i zaczął rozważać sytuację, nie wiedząc, czy zostawić ją na kanapie, czy poszukać sypialni.

Miał właśnie wyjść, kiedy Becky zsunęła się na podłogę, mamrocząc niewyraźnie coś, z czego zrozumiał tylko jedno słowo: "zaręczona".

Ponownie zbliżył się do niej i tym razem przerzucił ją zdecydowanym ruchem przez ramię. Podszedł do drzwi, otworzył je i stwierdził, że prowadzą do sypialni. Położył Becky delikatnie na łóżku. Kiedy ruszył na palcach w stronę wyjścia, przewróciła się z boku na bok, więc musiał pospieszenie wrócić i przesunąć ją na środek łóżka, aby nie spadła. Po chwili wahania pochylił się nad nią, dźwignął ją do pozycji siedzącej i wolną ręką zaczął rozpinać z tyłu jej suknię. Kiedy dosięgnął ostatniego guzika, opuścił Becky na łóżko, uniósł jej nogi wysoko w górę, a drugą ręką, cał po calu, ściągnął z niej suknię. Odszedł tylko na chwilę, by starannie rozwiesić suknię na oparciu krzesła.

- Charlie - powiedział szeptem, patrząc na Becky - jesteś ślepcem i byłeś ślepy już od dawna.

Odciągnął koc i ułożył Becky w pościeli w taki sposób, w jaki robiły to pielęgniarki z rannymi żołnierzami na Froncie Zachodnim.

Podwinął koc pod materac, aby upewnić się, że tym razem nie zagraża jej wypadnięcie z łóżka. W końcu pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Jesteś nie tylko ślepcem, Charlie, jesteś głupcem - powiedział do siebie, zamykając frontowe drzwi.

- Zaraz przyjdę - obiecał Charlie czekającej cierpliwie w kącie sklepu Becky, wrzucając na wagę kilka kartofli.

- Coś jeszcze, proszę pani? - spytał klientkę stojącą na przedzie kolejki. - Może kilka mandarynek? Albo jabłek? Mam też śliczne grapefruity prosto z południowej Afryki, które zostały dostarczone na targ dziś rano.

- Nie, dziękuję, panie Trumper, to na dziś wszystko.

- Zatem należy się dwa szylingi i pięć pensów, pani Symonds.

Bob, czy możesz obsłużyć następnego klienta, bo ja muszę porozmawiać z panną Salmon?

- Sierzancie Trumper.

- Sir - odpowiedział instynktownie Charlie, słysząc donośny głos. Odwrócił się i zobaczył stojącego przed sobą wysokiego, wyprostowanego jak struna mężczyznę, który miał na sobie tweedową marynarkę i bryczesy, a w ręku trzymał brązowy filcowy kapelusz.

Nigdy nie zapominał twarzy - oznajmił mężczyzna, choć Charlie nie zorientowałby się, kim jest ten człowiek, gdyby nie jego monokl.

- Dobry Boże - powiedział, stając na baczność.

- No, wystarczy mówić do mnie "pułkowniku" - odparł mężczyzna ze śmiechem. - Zresztą, po co to zawracanie głowy. Te czasy już minęły. Nie widzieliśmy się od dawna, Trumper.

- Od niemal dwóch lat, sir.

- Wydawało mi się, że dłużej - powiedział pułkownik z zadumą.

- Okazało się, że miałeś rację w sprawie Prescottta, co? Byłeś jego dobrym przyjacielem.

- On był moim dobrym przyjacielem.

- I pierwszorzędnym żołnierzem. Zasłużył na Krzyż Walecznych.

- Całkowicie się z panem zgadzam, sir.

- I ty byś go dostał, Trumper, ale po odznaczeniu Prescottta skończył się ich zapas. Obawiam się, że zostałeś jedynie "wymieniony w rozkazie dziennym".

- Krzyż dostał właściwy człowiek.

- Tak czy owak, to straszna śmierć. Myśl o niej nadal mnie prześladowuje - powiedział pułkownik - Zaledwie kilka jardów od celu.

- To nie była pańska wina, sir. Jeśli ktoś zawinił, to raczej ja.

- Jeśli ktokolwiek zawinił, to z pewnością nie ty - powiedział pułkownik. - Wydaje mi się, że najlepiej o tym zapomnieć - dodał bez dalszych wyjaśnień.

- Co słyhać w pułku? - spytał Charlie. - Radzi sobie beze mnie?

- I beze mnie, niestety - powiedział pułkownik, wkładając kilka jabłek do torby na zakupy. - Wyjechali do Indii, ale przedtem wygnali obecnego tu starego konia na zieloną trawkę.

- Z przykrością się o tym dowiaduję, sir. Pułk był całym pańskim życiem.

- To prawda, choć nawet Strzelcy muszą położyć głowę pod topór Geddesa. Mówiąc szczerze, jestem żołnierzem piechoty, zawsze nim byłem i nigdy nie miałem zaufania do tych nowo wynalezionych czołgów.

- Gdybyśmy je mieli parę lat wcześniej, sir, mogłyby uratować życie wielu żołnierzy.

- Muszę przyznać, że spełniły swoje zadanie. - Pułkownik kiwnął głową. - Lubię myśleć, że ja również spełniłem swoje. - Poprawił węzeł krawata w paski. - Czy zobaczymy cię na kolacji pułkowej, Trumper?

- Nawet nie wiedziałem, że takie się odbywają, sir - Dwa razy w roku. Pierwsza w styczniu wyłącznie dla mężczyzn, druga w maju z udziałem pań i z tańcami. Dają starym towarzyszom broni okazję do spotkania się i pogadania o dawnych czasach.

Byłoby miło, gdybyś się zjawił, Trumper. Jestem w tym roku przewodniczącym komitetu organizacyjnego tego balu i zależy mi na dużej frekwencji.

- Proszę zatem wciągnąć mnie na listę, sir.

- Porządny z ciebie chłop. Dopilnuję, żeby biuro natychmiast się z tobą skontaktowało, wszystkie drinki wliczone są w cenę biletu, a ten kosztuje dziesięć szylingów, co z pewnością nie będzie dla ciebie zbyt dużym wydatkiem - dodał pułkownik, rozglądając się po zatłoczonym sklepie.

- A czy mogę panu coś podać, sir? - spytał Charlie, nagle zdając sobie sprawę, że za pułkownikiem ustawiała się długa kolejka.

- Nie, nie, twój sprawny ekspedient doskonale się mną zajął i, jak widzisz, wypełniłem dokładnie pisemne polecenia mojej żony.

- Pokazał listę zakupów, na której wszystkie pozycje były już odfajkowane.

- A zatem do zobaczenia na balu, sir - pożegnał go Charlie.

Pułkownik kiwnął głową i bez słowa wyszedł ze sklepu.

Becky podeszła do współnika, który najwyraźniej zapomniał o tym, że chciała z nim porozmawiać i nadal czeka w kącie sklepu.

- Nadal stoisz na baczność, Charlie - stwierdziła z przekąsem.

- To był mój dowódca, pułkownik sir Danvers Hamilton - oznajmił Charlie nieco pompatycznie. - Dowodził nami na froncie, jest gentlemanem i zapamiętał moje nazwisko.

- Charlie, gdybyś tylko usłyszał siebie samego. Może jest gentlemanem, ale stracił pracę, a ty prowadzisz dobrze prosperujący interes. Wiem, na czym miejscu wolałabym być.

- Ale on jest dowódcą. Nie rozumiesz?

- Był - powiedziała Becky. - I jak sam od razu przyznał, pułk wyjechał do Indii bez niego.

- To niczego nie zmienia.

- Zapamiętaj moje słowa, Charlie, skończy się na tym, że ten człowiek będzie mówił do ciebie "sir".

10 - Prosto jak strzelił Guya nie było od tygodnia, a Becky udawało się niekiedy o nim nie myśleć przez całą godzinę.

Choć przesiedziała prawie całą noc pisząc do niego list, kiedy następnego dnia szła na poranny wykład, nie zбочyła z drogi do skrzynki pocztowej. Zdołała przekonać samą siebie, że całą winę za nie dokończenie listu należy przypisać panu Palmerowi.

Była rozczarowana, gdy nie znalazła nazajutrz w "Timesie" anonsu o ich zaręczynach, a już całkiem wpadła w rozpacz, kiedy nie ukazał się on aż do końca tygodnia. Gdy w następny poniedziałek zatelefonowała w desperacji do firmy Garrard, poinformowano ją, że nic im nie wiadomo o pierścionku zamówionym na nazwisko kapitana Trenthama z Królewskich Strzelców. Becky postanowiła poczekać jeszcze tydzień, zanim napisze do Guya. Czuła, że musi istnieć jakieś proste wyjaśnienie całej sprawy.

Nadal myślała o Guyu wchodząc do biura Johna D. Wooda na Mount Street. Nacisnęła umieszczony na ladzie dzwonek i spytała urzędnika, czy może rozmawiać z panem Palmerem.

- Z panem Palmerem? Pan Palmer już u nas nie pracuje - usłyszała w odpowiedzi. - Został powołany do wojska niemal rok temu, proszę pani. Czy mogę pani w czymś pomóc?

Becky uchwyciła mocno krawędź lady.

- Więc dobrze, chciałabym rozmawiać z jednym ze współników firmy - powiedziała stanowczo.

- Czy mogę wiedzieć, czego dotyczy pani sprawa? - spytał urzędnik - Owszem - odparła Becky. - Przyszłam, by omówić warunki sprzedaży nieruchomości na Chelsea Terrace pod numerami 131 i 135.

- Aha, a czy mogę spytać o pani godność?

- Rebeka Salmon.

- Jedną chwileczkę - powiedział młodzieniec, ale nie wracał przez kilka minut. W końcu zjawił się w towarzystwie znacznie starszego od siebie mężczyzny w czarnym surducie i okularach w

rogowej oprawie.

Z kieszeni jego kamizelki zwisał srebrny łańcuszek.

- Dzień dobry, panno Salmon - powiedział starszy mężczyzna. - Nazywam się Crowther. Czy zechce pani pójść za mną? - Podniósł ruchomą część lady i poprosił, by weszła. Becky ruszyła za nim.

- Piękna pogoda jak na tę porę roku, nie sądzi pani?

Becky wyjrzała przez okno i zobaczyła przesuające się za nim parasole, ale postanowiła nie komentować meteorologicznego odkrycia pana Crowthera.

Kiedy już dotarli do znajdującego się na tyłach budynku ciasnego pokoiku, pan Crowther oznajmił z wyraźną dumą: - To jest mój gabinet Proszę usiąść, panno Salmon. - Wskazał jej stojące naprzeciwko biurka niskie krzesło. Potem usiadł w swym fotelu. - Jestem współnikiem firmy - wyjaśnił - ale muszę wyznać, że młodszym współnikiem. - Roześmiał się z własnego żartu. - A teraz, co mogę dla pani zrobić?

- Mój współnik i ja chcemy nabyć sklepy na Chelsea Terrace pod numerami 131 i 135 - odparła.

- Aha - powiedział pan Crowther, zerkając na leżące przed nim akta. - A czy tym razem panna Daphne Harcourt-Browne będzie...

- Panna Harcourt-Browne nie będzie zaangażowana w tę transakcję, ale jeśli z tego powodu nie zechce pan pertraktować z panem Trumperem lub ze mną, chętnie zwrócimy się bezpośrednio do sprzedających. - Becky wstrzymała oddech.

- Och, proszę mnie źle nie rozumieć, panno Salmon. Z pewnością nie będzie żadnych trudności z przeprowadzeniem i tej transakcji.

- Dziękuję.

- A więc zacznijmy od numeru 135 - powiedział pan Crowther, poprawiając na nosie okulary i przerzucając kartki leżących przed nim akt. - Ach tak, drogi pan Kendrick, pierwszorzędny rzeźnik, jak pani wie. Niestety, zamierza przedwcześnie wycofać się z interesu.

Becky westchnęła, a pan Crowther zerknął na nią znad okularów.

- Lekarz zapewnił go, że nie ma żadnego wyboru, jeśli chce przeżyć więcej niż kilka miesięcy - powiedziała.

- Istotnie - przyznał pan Crowther, powracając do akt. - A więc wygląda na to, że jego wywoławcza cena wynosi sto pięćdziesiąt funtów za nieruchomość, plus sto funtów za dobrą reputację firmy.

- A na ile się zgodzi?

- Nie jestem całkiem pewien, czy rozumiem, do czego pani zmierza. - Młodszy współnik uniósł brwi.

- Panie Crowther, zanim zmarnujemy jeszcze choćby minutę naszego czasu, uważam za stosowne poinformować pana w zaufaniu, że zamierzamy nabyć, o ile cena będzie odpowiednia, wszystkie sklepy, które będą wystawione na sprzedaż na Chelsea Terrace, zgodnie z naszym długofalowym planem przejęcia na własność całego odcinka ulicy, nawet gdyby osiągnięcie tego celu zajęło nam całe życie. Nie zamierzam regularnie odwiedzać pańskiego biura przez następne dwadzieścia lat jedynie po to, by toczyć walkę z cieniem. Podejrzewam, że do tego czasu zostanie pan już starszym współnikiem firmy i każde z nas będzie miało coś lepszego do roboty. Czy wyrażam się jasno?

- Jak najbardziej - odparł pan Crowther, spoglądając na notatkę, którą dołączył Palmer do aktu sprzedaży nieruchomości pod numerem 147: chłopak nie przesadził w ocenie swej klientki.

Poprawił na nosie okulary.

- Przypuszczam, że pan Kendrick będzie skłonny zaakceptować cenę stu dwudziestu pięciu funtów, o ile zgodzicie się państwo płacić mu dywidendę w wysokości dwudziestu pięciu funtów rocznie aż do jego śmierci.

- Ale on może żyć wiecznie.

- Pozwolę sobie przypomnieć, że to właśnie pani, a nie ja wspomniała o obecnym stanie zdrowia pana Kendricka. - Po raz pierwszy odchylił się do tyłu w swym fotelu.

- Nie zamierzam okradać pana Kendricka z jego renty - odparła Becky. - Proszę zaproponować mu sto funtów za nieruchomość i dwadzieścia pięć funtów rocznie przez okres ośmiu lat tytułem renty.

Gotowa jestem negocjować w sprawie drugiego punktu transakcji, ale nie pierwszego. Czy rozumiemy się dobrze, panie Crowther?

- Oczywiście, proszę pani.

- A skoro mam płacić panu Kendrickowi rentę, oczekuję też, że w razie potrzeby będzie gotów od czasu do czasu udzielać nam rad.

- Rozumiem - powiedział pan Crowther, zapisując jej postulat na marginesie oferty.

- A co może mi pan powiedzieć o numerze 131?

- No cóż, to zawity problem - odparł pan Crowther, otwierając drugą teczkę. - Nie wiem, czy zna pani dobrze okoliczności tej sprawy, ale...

Becky postanowiła, że tym razem nie będzie mu pomagać.

Uśmiechnęła się zyczliwie.

Otóż - ciągnął młodszy wspólnik - pan Rutherford wyruszył z przyjacielem do Nowego Jorku, by otworzyć galerię antyków gdzieś w Village. - Zawahał się.

- Wiem, że ich spółka ma poniekąd niecodzienny charakter - podpowiedziała Becky po dłuższym milczeniu. - I zapewne woli spędzić resztę swych dni w nowojorskim mieszkaniu niż w celi więzienia w Brixton?

- Istotnie - zgodził się pan Crowther, na którego czole pojawiła się kropelka potu. - W związku z tą szczególną sytuacją, wspomniany gentleman pragnie całkowicie opróżnić sklep, ponieważ uważa że, znajdujące się w nim obiekty mogą osiągnąć wyższą cenę na Manhattanie. A zatem wystawia na sprzedaż jedynie nieruchomość.

- Czy wobec tego mogę przyjąć, że w tym przypadku renta nie wchodzi w rachubę?

- Sądzę, że możemy śmiało przyjąć takie założenie.

- A czy ze względu na jego przymusową sytuację, możemy się spodziewać, że cena będzie nieco bardziej umiarkowana?

- Nie przypuszczam - odparł pan Crowther - jako że powierzchnia sklepu, o którym mowa, znacznie przekracza metraż większości lokali handlowych położonych na terenie Chelsea...

- Ma dokładnie tysiąc czterysta dwadzieścia dwie stopy kwadratowe - powiedziała Becky - w porównaniu z tysiącem stóp kwadratowych sklepu pod numerem 147, który nabyliśmy za...

- Za bardzo umiarkowaną cenę, jak na tamte czasy, pozwolę sobie zauważyć, panno Salmon.

- Jednakże...

- Istotnie - powiedział pan Crowther. Na jego czole pojawiła się kolejna kropelka potu.

- Skoro więc ustaliliśmy, że nie będzie żądał renty, pragnę spytać, ile ma nadzieję otrzymać za lokal?

- Jego cena wywoławcza - oznajmił pan Crowther, spoglądając ponownie w akta - wynosi dwieście funtów. Podejrzewam jednak - dodał, zanim Becky zdążyła zaprotestować - że jeśli zdołacie państwo szybko sfinalizować transakcję, może ją obniżyć do stu siedemdziesięciu pięciu funtów. - Uniósł brwi. - Dano mi do zrozumienia, że pragnie dołączyć do swego przyjaciela możliwie jak najprędzej.

Skoro tak bardzo pragnie dołączyć do swego przyjaciela, to przypuszczam, że będzie skłonny opuścić cenę do stu pięćdziesięciu funtów, jeśli transakcja zostanie szybko zawarta. I że zgodzi się na sto sześćdziesiąt, jeśli formalności potrwać o kilka dni dłużej.

- Istotnie. - Pan Crowther wyjął chusteczkę z kieszonki surduta i otarł nią czoło. Becky kątem oka zauważyła, że na dworze wciąż pada. - Czy mogę pani służyć czymś jeszcze? - spytał, wkładając chusteczkę z powrotem do kieszonki.

- Owszem, panie Crowther - odparła Becky. - Chciałabym, aby miał pan na oku wszystkie nieruchomości na Chelsea Terrace i kontaktował się z panem Trumperem lub ze mną, gdy tylko usłyszy pan, że któraś z nich może zostać wystawiona na sprzedaż.

- Byłoby może wskazane, żebym przygotował szczegółową analizę wartości wszystkich nieruchomości na tym odcinku ulicy, a następnie przekazał pani i panu Trumperowi wyczerpujący pisemny raport?

- Taki raport byłby bardzo przydatny - przyznała Becky, ukrywając zdziwienie jego niespodziewanym przejawem inicjatywy.

Wstała z krzesła dając wyraźnie do zrozumienia, że uważa spotkanie za zakończone.

Odprawiając ją do recepcji, pan Crowther powiedział: - Słyszałem, że numer 147 cieszy się największym powodzeniem wśród mieszkańców Chelsea.

- A od kogo pan to słyszał? - spytał Becky, ponownie zaskoczona.

- Moja żona - wyjaśnił pan Crowther - nie chce kupować owoców i jarzyn w żadnym innym sklepie, mimo że mieszkamy w Fulham.

- Pańska żona jest rozsądną kobietą - stwierdziła Becky.

- Istotnie - odparł pan Crowther.

Becky spodziewała się, że banki zareagują na jej propozycję z podobnym entuzjazmem, jaki okazał pośrednik handlu nieruchomościami. Jednakże, po wybraniu ośmiu potencjalnych kredytodawców, szybko odkryła, że występowanie w roli ubiegającego się o kredyt jest znacznie bardziej upokarzające niż prowadzenie pertraktacji z pozycji nabywcy. Za każdym razem, gdy przedstawiała swoje plany - niskim rangą urzędnikom, którzy zapewne nie mieli prawa podejmowania samodzielnych decyzji - zbywano ją przeczącym potrząśnięciem głowy. Spotkało ją to również w banku, w którym firma Trumper miała już swe konto.

- W gruncie rzeczy - opowiadała Daphne tego wieczora - jeden z młodszych urzędników w Penny Bank ośmielił się powiedzieć, że jeśli kiedyś zostanę mężatką, z największą przyjemnością będą prowadzić interesy z moim mężem.

- Po raz pierwszy zderzyłaś się ze światem mężczyzn, prawda? - spytała Daphne, upuszczając czasopismo na podłogę. - Ich kliki, ich kluby? Miejsce kobiety jest w kuchni, a jeśli jesteś choć trochę atrakcyjna, być może od czasu do czasu w sypialni.

Becky posępnie kiwnęła głową, umieszczając czasopismo z powrotem na stoliku.

- Muszę wyznać, że nigdy nie miałam nic przeciwko takiej postawie - oświadczyła Daphne, wkładając modne pantofle ze spiczastymi noskami. - Ale ja nie jestem od urodzenia przesadnie

ambitna tak jak ty, moja droga. Być może, nadszedł już jednak czas, by rzucić ci kolejne koło ratunkowe.

- Koło ratunkowe?

- Tak. Widzisz, wszystkie twoje problemy rozwiązać może krawat starej szkoły.

- Czy nie wyglądałabym w nim trochę głupio?

- Myślę, że raczej dość pociągająco, ale nie o to chodzi. Wydaje się, że przyczyną twoich trudności jest twoja płć - nie wspominając już o akcencie Charlie'ego, choć udało mi się niemal całkowicie uwolnić naszego przyjaciela od tego problemu. Jedno jednak jest pewne: nie znaleziono jeszcze sposobu na zmianę płci.

- Do czego zmierzasz? - spytała naiwnie Becky.

- Jesteś taka niecierpliwa, moja droga. Zupełnie jak Charlie.

Musisz dać nam, zwykłym śmiertelnikom, nieco więcej czasu na wytłumaczenie, o co nam chodzi.

Becky usiadła w rogu kanapy i położyła ręce na kolanach.

- Po pierwsze, musisz zdać sobie sprawę, że wszyscy bankierzy są okropnymi snobami - ciągnęła Daphne. - W przeciwnym przypadku prowadziliby, podobnie jak wy, swoje własne firmy. Chcąc zatem, by jedli z waszej ręki, musicie znaleźć reprezentacyjnego figuranta.

- Figuranta?

- Tak. Kogoś, kto będzie ci towarzyszył w twoich wyprawach do banków, kiedy tylko zajdzie taka konieczność. - Daphne wstała i przejrzała się w lustrze, a potem mówiła dalej. - Taki człowiek nie musi być obdarzony twoim rozumem, ale nie może też być obciążony twoją płcią ani akcentem Charlie'ego. Musi natomiast posiadać krawat starej szkoły i, jeśli to możliwe, również odpowiedni tytuł.

Bankierom imponują baroneci, ale wasza największa trudność polega na znalezieniu kogoś, kto stanowczo potrzebuje gotówki. W zamian za oddane usługi, rozumiesz.

- Czy tacy ludzie istnieją? - spytała Becky z niedowierzaniem.

- Z całą pewnością. W gruncie rzeczy jest ich znacznie więcej niż takich, którzy gotowi są uczciwie pracować. - Daphne uśmiechnęła się zachęcająco. - Daj mi tydzień lub dwa, a z pewnością zdołam przedstawić ci trzech kandydatów. Przekonasz się.

- Jesteś cudowna - powiedziała Becky.

- W zamian oczekuję od ciebie drobnej przysługi.

- Co tylko zechcesz.

- Nigdy nie używaj tych słów, kiedy masz do czynienia z taką modliszką jak ja, moja droga. Tym razem jednak moja prośba jest bardzo prosta i łatwo ci będzie ją spełnić. Jeśli Charlie zaprosi cię na tę swoją pułkową kolację z tańcami, masz się zgodzić.

- Dlaczego?

- Dlatego, że Reggie Arbuthnot był na tyle głupi, by zaprosić mnie na to piekielne nudziarstwo, a ja nie mogę mu odmówić, jeśli chcę pojechać w listopadzie do jego posiadłości w Szkocji. - Becky zaśmiała się, a Daphne dodała: - Gotowa jestem pójść na bal z Reggie, ale niepokoi mnie perspektywa wychodzenia stamtąd w jego towarzystwie. Jeśli więc osiągnęliśmy porozumienie, to dostarczę wam niezbędnego wymoczkowatego baroneta, a ty powiesz "tak", kiedy Charlie zaprosi cię na bal.

- Tak.

Charlie nie był zdziwiony, kiedy Becky bez wahania zgodziła się pójść z nim na bal pułkowy.

Bądź co bądź Daphne wtajemniczyła go już wcześniej w szczegóły ich umowy. Był jednak zaskoczony, że kiedy Becky zajęła miejsce przy stole, siedzący przy nim inni sierzanci nie mogli oderwać od niej oczu.

Kolacja odbywała się w ogromnej sali gimnastycznej, co skłoniło kolegów Charlie'ego do opowiadania niezliczonych anegdot o początkach szkolenia, które przechodzili w Edynburgu. Na tym jednak porównania się kończyły, ponieważ jedzenie było znacznie lepsze, niż zapamiętane przez Charlie'ego posiłki, które podawano im w Szkocji.

- Gdzie jest Daphne? - spytała Becky, kiedy postawiono przed nią kawałek obficie polanej waniliowym sosem szarlotki.

- Tam, przy głównym stole, z całym lepszym towarzystwem - powiedział Charlie, wskazując kciukiem za siebie. - Nie może pozwolić sobie na to, by widziano ją z takimi ludźmi jak my, prawda? - dodał z uśmiechem.

Po kolacji nastąpiła seria toastów; Becky wydawało się, że pito zdrowie wszystkich z wyjątkiem króla. Charlie wyjaśnił jej, iż pułk został zwolniony z obowiązku wznoszenia wiernopoddańczego toastu przez króla Wilhelma IV w 1835 roku, ponieważ lojalność jego żołnierzy wobec Korony nie ulegała wątpliwości. Wypito zdrowie całej armii, wszystkich batalionów po kolei i w końcu pułku oraz jego byłego dowódcy, a każdemu toastowi towarzyszyły burzliwe oklaski. Becky obserwowała reakcje siedzących przy tym samym stole mężczyzn i po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak wielu przedstawicieli tego pokolenia uważa, że dopisało im szczęście, ponieważ udało im się przeżyć.

Dawny dowódca pułku, baronet, sir Danvers Hamilton, odznaczony medalem za zaszczytną służbę i Orderem Imperium Brytyjskiego, z monoklem w oku, wygłosił wzruszającą mowę o wszystkich towarzyszach broni, którzy z różnych powodów nie mogli być tego wieczora obecni. Becky zauważyła, że Charlie wyraźnie zeszytniał na wzmiankę o swoim przyjacielu nazwiskiem Tommy Prescott. W końcu wszyscy wstali i wzniesli toast za nieobecnych kolegów.

Becky poczuła się niespodziewanie poruszona.

Kiedy pułkownik zajął swoje miejsce, zsunięto stoły na bok i rozpoczęły się tańce. Gdy tylko pułkowa orkiestra zagrała pierwsze takty, z drugiego końca sali nadeszła Daphne.

- Chodź, Charlie. Nie mam czasu czekać, aż trafisz do głównego stołu.

- Z wielką przyjemnością, proszę pani - powiedział Charlie, wstając z miejsca - ale co się stało z Reggie jak-mu-tam?

- Arbuthnot - odparła. - Zostawiłam tego głupca przyklejonego do jakiejś debiutującej w towarzystwie dziewczyny z Chelmsford.

Mogę cię zapewnić, że jest naprawdę okropna.

- A co jest w niej takiego "okropnego"? - spytał przedrzeźniając ją Charlie.

- Nigdy nie przypuszczałam, że nadejdzie dzień - powiedziała Daphne - w którym Jego Królewska Mość dopuści do tego, by ktokolwiek z hrabstwa Essex został przedstawiony na dworze. Ale jeszcze gorszy jest jej wiek.

- Dlaczego? Ile ona ma lat? - spytał Charlie, pewnie prowadząc Daphne w walcu dokoła parkietu.

- Nie jestem całkiem pewna, ale miała czelność przedstawić mi swojego owdowiałego ojca.

Charlie wybuchnął śmiechem.

- Nie powinieneś uważać tego za śmieszne, Charlie, powinieneś okazać nieco współczucia. Musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Becky obserwowała, jak Charlie wprawnie krąży po parkiecie.

- Ta Daphne jest niezła - zauważył siedzący obok niej mężczyzna, który przedstawił się jako sierżant Mikę Parker. Okazało się, że jest rzeźnikiem z Camberwell i że walczył wraz z Charlie'm nad Marną. Becky przyjęła jego uwagę bez komentarza, a kiedy później uklonił się i poprosił ją o następny taniec, niechętnie się zgodziła.

Prowadził ją w tańcu po całej sali balowej, jakby była udźcem baranem niesionym do chłodni. Jediną rzeczą, którą potrafił wykonywać w takt muzyki, było deptanie jej po palcach. W końcu odprowadził ją w stosunkowo bezpieczne miejsce, to jest do zalanego piwem stołu. Becky siedziała w milczeniu, obserwując bawiących się ludzi i mając nadzieję, że nikt nie poprosi jej już do tańca.

Wróciła myślami do Guya i do wizyty, która okaże się nieunikniona, jeśli w ciągu najbliższych dwóch tygodni...

- Czy mogę panią prosić?

Wszyscy siedzący przy stole mężczyźni pospiesznie stanęli na baczność, a dowódca pułku poprowadził Becky na parkiet.

Stwierdziła, że pułkownik Hamilton jest doskonałym tancerzem i zabawnym rozmówcą, nie przejawiającym - w przeciwieństwie do kilku dyrektorów banków, z którymi miała ostatnio do czynienia - skłonności do traktowania jej w sposób protekcyjny. Kiedy skończyli tańczyć, zaprosił ją do głównego stołu i przedstawił swojej żonie.

- Muszę cię ostrzec - powiedziała Daphne do Charlie'ego, spoglądając przez ramię w stronę pułkownika i pani Hamilton. - Będzie ci trudno dotrzymać kroku naszej ambitnej pannie Salmon.

Jeśli jednak będziesz mnie słuchał i zachowasz czujność, potrafimy sobie z nią poradzić.

Po kilku następnych tańcach Daphne oznajmiła Becky, że wypełniła z nawiązką swój obowiązek, więc mogą już wszyscy wracać do domu. Becky ze swej strony była zadowolona, że przestanie być centrum zainteresowania wielu młodych oficerów, którzy widzieli, jak tańczy z pułkownikiem.

- Mam dla was dobrą wiadomość - powiedziała Daphne w dorożce toczącej się po King's Road w kierunku Chelsea Terrace.

Charlie nadal popijał ze swej w połowie opróżnionej butelki szampana.

- O co chodzi, moja kochana? - spytał, nie mogąc powstrzymać czkawki.

- Nie jestem twoją kochaną - zaprotestowała Daphne. - Mogę inwestować w niższe sfery, panie Trumper, ale nigdy nie zapominaj, że zostałam starannie wychowana.

- Jaka jest ta wiadomość? - spytała Becky ze śmiechem.

- Ty wywiązałaś się ze swojej części umowy, więc ja muszę wywiązać się z mojej.

- Co masz na myśli? - spytał Charlie, niemal zasypiając.

- Mogę już teraz przedstawić trzech potencjalnych kandydatów na waszego figuranta i w ten sposób, mam nadzieję, rozwiązać wasz problem bankowy.

Charlie natychmiast wytrzeźwiał.

- Moja pierwsza propozycja to drugi syn lorda - zaczęła Daphne.

- Bez pieniędzy, ale z dobrą prezencją. Następnym jest baronet, który podejmie się tego zadania za ustalone honorarium, ale moim piece de resistance jest wicehrabia, którego zawiodło szczęście przy stołach w Deauville, więc musi teraz zniżyć się do podejmowania od czasu do czasu dorywczych zajęć.

- Kiedy możemy się z nimi spotkać? - spytał Charlie, starając się wyraźnie wymawiać słowa.

- Kiedy tylko sobie życzycie - zapewniła Daphne. - Jutro...

- To nie będzie konieczne - powiedziała spokojnie Becky.

- Dlaczego? - spytała zaskoczona Daphne.

Ponieważ wybrałam już mężczyznę, który będzie nas reprezentował.

- Kogo masz na myśli, moja droga? Księcia Walii?

- Nie. Pułkownika, baroneta, sir Danversa Hamiltona, odznaczonego medalem za zaszczytną służbę i Orderem Imperium Brytyjskiego.

- Ależ on, do diabła, jest dowódcą pułku - oburzył się Charlie, upuszczając butelkę na podłogę dorożki. - To niemożliwe, on się nigdy nie zgodzi.

- Zapewniam was, że się zgodzi.

- Skąd ta pewność? - spytała Daphne.

- Ponieważ jesteśmy z nim umówieni jutro o jedenastej rano.

ROZDZIAŁ 11

Daphne machnęła parasolką na zbliżającą się dorożkę. Woźnica zatrzymał pojazd i uchylił kapelusza. - Dokąd, panienko?

- Na Harley Street numer 172 - poleciała, a potem obie wsiadły.

Woźnica ponownie uklonił się i lekko trzasnąwszy batem skierował konia w stronę Hyde Park Corner.

- Czy powiedziałaś już Charlie'emu? - spytała Becky.

- Nie, stchórzyłam - przyznała się Daphne.

Siedziały w milczeniu, podczas gdy dorożkarz prowadził konia ku Marble Arch.

- Może nie będziesz musiała nic mu mówić.

- Miejmy nadzieję - powiedziała Becky.

Znów milczały dłuższą chwilę, dopóki koń nie skręcił w Oxford Street.

- Czy ten twój lekarz jest człowiekiem tolerancyjnym?

- W przeszłości zawsze taki był.

- Mój Boże, strasznie się boję.

- Nie przejmuj się. Wkrótce będzie po wszystkim i wtedy przynajmniej będziesz znała prawdę.

Dorożka zatrzymała się na Harley Street pod numerem 172 i obie kobiety wysiadły. Becky pogłaskała konia po grzywie, a Daphne zapłaciła woźnicy sześć pensów. Kiedy Becky usłyszała stukot mosiężnej kołatki, odwróciła się, weszła po trzech stopniach i stanęła obok przyjaciółki. Drzwi otworzyła pielęgniarka w wykrochmalonym niebieskim fartuchu z białym kołnierzykiem i w białym czepku, a potem poprosiła, by poszły za nią. Zaprowadziła je przez oświetlony tylko jedną lampą gazową mroczny korytarz do pustej poczekalni. Na stojącym pośrodku pokoju stole rozłożone były egzemplarze "Puncha" i "Tatlera". Wokół niskiego stołu ustawiono wygodne, aczkolwiek nie pasujące do siebie krzesła. Obie usiadły, ale żadna z nich nie odezwała się ponownie, dopóki pielęgniarka nie wyszła z poczekalni.

- Ja." - zaczęła Daphne.

- Jeśli... - powiedziała równocześnie Becky.

Roześmiały się, a ich śmiech odbił się głośnym echem w wysokim pokoju.

- Nie, ty pierwsza - powiedziała Becky.

- Chciałam tylko dowiedzieć się, jak wam poszło z pułkownikiem?

- Podczas odprawy zachował się jak żołnierz - odparła Becky. - Idziemy jutro na nasze pierwsze oficjalne spotkanie. Do Child and Company na Fleet Street. Powiedziałam mu aby potraktował całą tę sprawę jako próbę generalną, ponieważ bank, z którym wiążę prawdziwą nadzieję, zostawiłam na

koniec tygodnia.

- ACharlie?

- To wszystko przekracza trochę jego siły. Nie może przestać myśleć o pułkowniku jako o swoim dowódcy.

- Tak samo byłoby z tobą, gdyby Charlie zaproponował, aby twój nauczyciel księgowości wpadał pod numer 147 i sprawdzał tygodniowe obroty sklepu.

- Jemu właśnie staram się chwilowo schodzić z drogi - powiedziała Becky. - Wkładam w studia tylko tyle wysiłku, by uniknąć nagany; w ostatnich czasach moje stopnie obniżyły się z bardzo dobrych na dobre, a z dobrych na dostateczne. Jeśli po tym wszystkim nie zdołam uzyskać dyplomu, winę za to ponosić będzie tylko jedna osoba.

- Zostaniesz jedną z nielicznych kobiet z tytułem magistra sztuki. Może powinnaś zażądać, aby zmieniono ten tytuł na PMS.

- PMS?

- Pani magister sztuki.

Choć obie wiedziały, że dowcip nie jest najlepszy, roześmiały się, chcąc odsunąć od siebie prawdziwy powód, dla którego znalazły się w tej poczekalni. Drzwi otworzyły się nagle, więc podniosły wzrok i zobaczyły wchodzącą pielęgniarkę.

- Doktor prosi panią do siebie.

- Czy mogę pójść z nią?

- Tak, jestem pewna, że nie będzie miał nic przeciw temu.

Obie wstały i idąc za pielęgniarką tym samym korytarzem dotarły do białych drzwi, na których umieszczona była mała, mosiężna, wytarta od polerowania tabliczka z napisem: "Dr med. Fergus Gould". W odpowiedzi na delikatne pukanie pielęgniarki usłyszały "proszę" i weszły do gabinetu.

- Dzień dobry, dzień dobry - powiedział pogodnie lekarz z miękkim szkockim akcentem, ściskając im kolejno dłonie. - Czy zechcą panie usiąść? Testy zostały zakończone i mam dla pani doskonałą wiadomość. - Usiadł z powrotem za biurkiem i otworzył leżącą przed nim teczkę. Uśmiechnęły się, a Becky po raz pierwszy od wielu dni poczuła ulgę.

- Miło mi panią poinformować, że cieszy się pani doskonałym zdrowiem, ale ponieważ jest to pani pierwsze dziecko - spostrzegł, że obie poblady - będzie pani musiała w ciągu najbliższych miesięcy dbać o siebie. Jeśli zastosuje się pani do moich wskazówek, nie widzę żadnego powodu, by przy porodzie miały nastąpić jakieś powikłania. Czy mogę jako pierwszy złożyć pani gratulacje?

- O Boże, nie - powiedziała Becky niemal mdlejąc. - Mówił pan przecież, że wieści są pomyślne.

- Ależ są - odparł doktor Gould. - Sądziłem, że będzie pani zachwycona.

- Widzi pan, doktorze - wtrąciła Daphne - istnieje pewien problem. Ona nie jest zamężna.

- Ach tak, rozumiem - powiedział doktor, natychmiast zmieniając ton głosu. - Przepraszam, nie wiedziałem. Być może, gdyby, powiedziała mi to pani podczas pierwszej wizyty...

- To moja wina, panie doktorze. Miałam po prostu nadzieję...

- Nie, to ja jestem winny. Zachowałem się bardzo nietaktownie.

- Doktor Gould przerwał i pogrążył się w myślach. - Choć w naszym kraju jest to nadal nielegalne, zapewniono mnie, że w Szwecji są doskonali lekarze, którzy...

- To nie wchodzi w rachubę - powiedziała Becky. - Byłoby to sprzeczne ze wszystkimi zasadami postępowania, jakie wpoili mi moi rodzice.

- Dzień dobry, panie Hadlow - powiedział pułkownik, wkraczając do banku i wręczając

dyrektorowi swój płaszcz, kapelusz oraz laskę.

- Dzień dobry, sir Daiwers - odpowiedział dyrektor, przekazując kapelusz, płaszcz i laskę swemu asystentowi. - Jesteśmy zaszczytzeni, iż uznał pan naszą skromną firmę za godną swej uwagi.

Becky nie mogła powstrzymać się od myśli, że kiedy zaledwie kilka tygodni wcześniej odwiedziła inny bank o podobnej reputacji, została powitana zupełnie inaczej.

- Czy zechciałby pan przejść do mojego gabinetu? - mówił dalej dyrektor, wyciągając rękę jak policjant kierujący ruchem ulicznym.

- Oczywiście, ale najpierw chciałbym przedstawić pana Trumpera i pannę Salmon, którzy są moimi współnikami w tym przedsięwzięciu.

- Niezmiernie mi miło - powiedział dyrektor, poprawiając okulary na nosie, a potem podając rękę kolejno Charlie'emu i Becky.

Becky zauważyła, że Charlie jest wyjątkowo milczący i nieustannie szarpie za kołnierzyk koszuli, jakby był o pół cala zbyt ciasny. Ale po spędzeniu w ubiegłym tygodniu całego przedpołudnia na Savile Row, gdzie zmierzono go od stóp do głów przed uszyciem nowego ubrania, nie chciał czekać ani chwili dłużej, choć Daphne zaproponowała, by zmierzono również obwód jego szyi. Musiała więc w końcu wybrać dla niego koszulę zgadując numer kołnierzyka.

- Czy można podać państwu kawę? - spytał dyrektor, gdy już zasiedli wszyscy w jego gabinecie.

- Nie, dziękuję - odparł pułkownik.

Becky miała ochotę na filiżankę kawy, ale zdała sobie sprawę, że dyrektor przyjął odpowiedź sir Danversa za odmowę w imieniu całej trójki. Zagryzła wargi.

- A teraz, czym mogę panu służyć, sir Danvers? - Dyrektor nerwowo poprawił węzeł krawata.

- Moi współnicy i ja jesteśmy aktualnie właścicielami nieruchomości na Chelsea Terrace pod numerem 147. Choć firma nasza jest jeszcze niewielka, rozwija się w sposób zadowalający. - Dyrektor nadal się uśmiechał. - Nabyliśmy wspomniany lokal przed mniej więcej półtora rokiem za sumę stu funtów, a inwestycja ta przyniosła w tym roku dochód przekraczający czterdzieści trzy funty.

- To rzeczywiście bardzo zadowalające - powiedział dyrektor. - Oczywiście, przeczytałem pański list oraz zestawienie wyników finansowych, które był pan uprzejmy dostarczyć mi przez posłańca.

Charlie'ego kusiło, by powiedzieć mu, kto był tym posłańcem.

Doszliśmy jednak do wniosku, że nadszedł czas, by rozszerzyć naszą działalność - ciągnął pułkownik. - I aby tego dokonać, potrzebujemy banku, który wykaże nieco więcej inicjatywy niż firma, z którą obecnie mamy do czynienia; banku, który potrafi patrzeć w przyszłość. Niekiedy odnoszę wrażenie, że nasi bankierzy nadal żyją w dziewiętnastym wieku. Szczerze mówiąc, są jedynie strażnikami depozytów, a my potrzebujemy usług banku z prawdziwego zdarzenia.

- Rozumiem.

- Nie daje mi spokoju... - powiedział pułkownik, urywając w pół zdania i umieszczając swój monokl w lewym oku.

- Co nie daje panu spokoju? - Pan Hadlow nerwowo wychylił się do przodu.

- Pański krawat.

- Mój krawat? - Dyrektor ponownie dotknął węzła krawata.

- Owszem, pański krawat. To chyba... pułk z East Kent?

- Zgadza się, sir Danvers.

- Czy był pan na froncie, panie Hadlow?

- No cóż, niezupełnie, sir Danvers. Rozumie pan, mój wzrok. - Pan Hadlow zaczął bawić się okularami.

- To pech, przyjacielu - powiedział pułkownik, wypuszczając z oka monokl. - A zatem, wracając do tematu. Zamierzamy rozszerzyć naszą działalność, ale jako człowiek honoru czuję się w obowiązku poinformować pana, że mamy spotkanie w konkurencyjnej firmie w czwartek po południu.

- W czwartek po południu - powtórzył dyrektor, zanurzając gęsie pióro w kałamarzu i dopisując tę informację do swych notatek.

- Doceni pan jednak chyba - ciągnął pułkownik - że postanowiliśmy spotkać się z panem w pierwszej kolejności.

- Niezwykle mi to pochlebia - przyznał pan Hadlow. - A jakie warunki spodziewa się pan uzyskać od nas, sir Danvers? Rozumiem, że chodzi o warunki, które dla pańskiego banku okazały się nie do przyjęcia.

Pułkownik milczał przez chwilę, a Becky spojrzała z niepokojem w jego stronę, nie mogąc sobie przypomnieć, czy poinformowała go szczegółowo, czego ma zażądać. Żadne z nich nie spodziewało się, że pierwsza rozmowa osiągnie tak zaawansowaną fazę.

11 - Prosto jak strzelił Pułkownik odchrząknął - Licząc na długofalową współpracę, spodziewamy się naturalnie, że zaproponuje nam pan konkurencyjne warunki, jeśli mamy przenieść nasze interesy do waszego banku.

Odpowiedź ta najwyraźniej wywarła wrażenie na panu Hadlow.

Zajrzał do leżących przed nim notatek i oświadczył: - No cóż, jak widzę, występujecie państwo o pożyczkę w wysokości dwustu pięćdziesięciu funtów na zakup nieruchomości na Chelsea Terrace, numer 131 i 135, co biorąc pod uwagę obecne państwa zasoby, wymagałoby zgody na przekroczenie stanu konta... - przerwał i przez chwilę obliczał coś w myślach - co najmniej o sto siedemdziesiąt funtów.

- Zgadza się, panie Hadlow. Widzę, że znakomicie pojmuje pan naszą obecną sytuację.

Dyrektor pozwolił sobie na uśmiech. - Zważywszy na okoliczności, sir Danvers, uważam, że w istocie możemy udzielić takiej pożyczki, o ile zaakceptujecie państwo czteroprocentową stopę kredytową w skali rocznej.

Pułkownik znów wahał się chwilę, dopóki nie dostrzegł cienia uśmiechu na twarzy Becky.

- Jak pan z pewnością wie, nasz bank pobiera od nas trzy i pół procenta - stwierdził pułkownik.

- Ale nie podejmuje żadnego ryzyka - zaznaczył pan Hadlow. - I nie zgadza się na przekroczenie stanu konta o więcej niż pięćdziesiąt funtów. Jednakże - dodał, zanim pułkownik zdążył odpowiedzieć - uważam, że w tym szczególnym przypadku możemy także zaproponować trzy i pół procenta. Co pan o tym sądzi?

Pułkownik nie odpowiedział, dopóki nie spojrzał badawczo na twarz Becky. Tym razem uśmiechnęła się szeroko.

- A zatem wypowiadając się również w imieniu moich współników oświadczam panu, że pańska propozycja wydaje nam się możliwa do przyjęcia.

Becky i Charlie kiwnęli głowami na znak aprobaty.

- W takim razie zacznę przygotowywać wszystkie dokumenty. To może, naturalnie, potrwać kilka dni.

- Oczywiście - zgodził się pułkownik. - I powiem panu, panie Hadlow, że spodziewamy się długiej i korzystnej współpracy z waszym bankiem.

Dyrektor jednocześnie wstał i uklonił się, a Becky pomyślała, że nawet tak wybitnemu aktorowi jak sir Henry Irving trudno byłoby dokonać takiej sztuki. Potem odprowadził pułkownika i jego młodych współników do sali recepcyjnej.

- Czy stary Chubby Duckworth nadal z wami współpracuje? - spytał pułkownik.

- Lord Duckworth jest w istocie naszym prezesem - mruknął pan Hadlow z szacunkiem.

- Porządny człowiek... służyliśmy razem w Afryce Południowej.

Królewscy Strzelcy. Jeśli pan pozwoli, wspomnę mu o naszym spotkaniu, kiedy zobaczę go w klubie.

- To bardzo miło z pańskiej strony, sir Danvers.

Kiedy dotarli do drzwi, dyrektor osobiście pomógł pułkownikowi włożyć płaszcz, potem podał mu kapelusz i laskę, a następnie pożegnał swych nowych klientów. - Proszę nie krępować się i kontaktować ze mną o każdej porze - brzmiały jego ostatnie słowa.

Uklonił się i stał na progu, dopóki cała trójka nie zniknęła mu z oczu.

Kiedy znaleźli się z powrotem na ulicy, pułkownik szybko skręcił za róg i zatrzymał się za najbliższym drzewem. Becky i Charlie podbiegli do niego, nie wiedząc, co mu się stało.

- Czy dobrze się pan czuje, sir? - spytał Charlie.

- Czuję się świetnie, Trumper - odparł pułkownik. - Naprawdę świetnie. Ale przyznam, że wolałbym stawić czoła bandzie afgańskich rabusiów niż przejść przez to jeszcze raz. No dobrze, jak wypadłem?

- Był pan wspaniały - powiedziała Becky. - Daję słowo, że gdyby zdjął pan buty i kazał panu Hadlow je wyczyścić, wyjąłby swoją chusteczkę do nosa i natychmiast zaczął je polerować.

Pułkownik uśmiechnął się. - To świetnie. Więc sądzisz, że wszystko poszło dobrze, tak?

- Doskonale - odparła Becky. - Nie mógł pan załatwić tego lepiej. Pójdę jeszcze dziś po południu do Johna D. Wooda i wpłacę zaliczkę na oba sklepy.

- Dzięki Bogu za twoje instrukcje - powiedział pułkownik, wyprostowując się. - Wiesz co? Byłabyś cholernie dobrym oficerem sztabowym.

Becky uśmiechnęła się. - To dla mnie wielki komplement, pułkowniku.

Czy zgadzasz się, Trumper? Znalazłeś sobie nie byle jakiego współnika - dodał.

- Tak jest, sir - zgodził się Charlie, a pułkownik wymachując parasolem ruszył naprzód. - Czy mogę jednak spytać pana o coś, co nie daje mi spokoju?

- Oczywiście, Trumper, strzelaj.

- Skoro przyjaźni się pan z prezesem banku - powiedział Charlie, usiłując dotrzymać mu kroku - to dlaczego nie poszliśmy od razu wprost do niego?

Pułkownik zatrzymał się nagle. - Mój drogi chłopcze - wyjaśnił - nie idzie się do prezesa banku po to, by prosić o pożyczkę w wysokości zaledwie dwustu pięćdziesięciu funtów. Niemniej jestem głęboko przekonany, że już niebawem będziemy musieli się do niego zwrócić. Jednakże w tej chwili inne potrzeby wydają mi się bardziej naglące.

- Inne potrzeby? - spytał Charlie.

- Owszem, Trumper. Chcę napić się whisky, rozumiesz? - powiedział pułkownik, spoglądając na szyld wywieszony nad znajdującym się po przeciwnej stronie ulicy barem. - A skoro już o tym mowa, niech będzie podwójna.

- Który to miesiąc? - spytał Charlie, kiedy następnego dnia Becky zdobyła się w końcu na to, by przekazać mu nowinę.

- Chyba czwarty. - Starala się nie patrzeć mu w oczy.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? - Charlie wyraźnie urażony odwrócił wywieszkę z napisem "otwarte" na stronę z napisem "zamknięte", a potem pomaszerował po schodach na górę.

- Miałam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby - odparła Becky idąc za nim do mieszkania.

- Oczywiście napisałaś o tym do Trenthama?

- Nie. Mam taki zamiar, ale jeszcze tego nie zrobiłam. - Zaczęła sprzątać pokój, chcąc uniknąć jego wzroku.

- Masz taki zamiar? - powiedział Charlie. - Powinnaś była zawiadomić tego drania już dawno. On pierwszy powinien był się o tym dowiedzieć. Ostatecznie to właśnie on jest odpowiedzialny za to cholerne zamieszanie, jeśli wybaczysz mi to określenie.

- To nie jest takie proste, Charlie.

Dlaczego, na miłość boską?

- Oznaczałoby to koniec jego kariery, a życiem Guya jest pułk.

Jest podobny do twojego pułkownika: nieuczciwie byłoby wymagać od niego, by porzucił służbę wojskową w wieku dwudziestu trzech lat.

- W niczym nie przypomina pułkownika - powiedział Charlie. - Tak czy owak, jest jeszcze na tyle młody, by się ustatkować i pracować na życie jak wszyscy inni.

- Poślubił armię, nie mnie, Charlie. Po co więc rujnować życie nam obojgu?

- Ale przecież powinno się go zawiadomić o tym, co się wydarzyło, i dać mu przynajmniej szansę wyboru.

- Nie miałby żadnego wyboru, jak z pewnością wiesz. Przyplłynąłby z powrotem najbliższym statkiem i ożenił się ze mną. Jest człowiekiem honoru.

- Człowiekiem honoru, tak? - warknął Charlie. - No dobrze, jeśli jest tak honorowy, to możesz obiecać mi jedno.

- Co takiego?

- Że napiszesz do niego jeszcze dziś wieczorem i wyznasz mu całą prawdę.

- Dobrze, zrobię to - przyrzekła Becky po krótkim wahaniu.

- Dziś wieczorem?

- Tak, dziś wieczorem.

- Powinnaś też przy okazji zawiadomić jego rodziców.

- Nie, tego nie możesz ode mnie wymagać, Charlie - odparła, po raz pierwszy patrząc mu śmiało w oczy.

- A jaki tym razem jest powód? Czy obawiasz się, że zrujnujesz im kariery?

- Nie, ale jeśli to zrobię, jego ojciec będzie nalegał, by Guy wrócił i ożenił się ze mną.

- A cóż w tym widzisz złego?

- Jego matka twierdziłaby wtedy, że podstępnie wplątałam jej syna w tę aferę albo, co gorsza...

- Co gorsza?

- ...że to nawet nie jego dziecko.

- I któż by jej uwierzył?

- Wszyscy, dla których byłoby to wygodne.

- Ale to niesprawiedliwe - powiedział Charlie.

To życie nie jest sprawiedliwe, by zacytować mojego ojca.

Kiedyś musiałam wydorosnąć, Charlie. Dla ciebie to był Zachodni Front.

- Więc co teraz zrobimy?
- My? - spytała Becky.
- Tak, my. Przecież nadal jesteśmy współnikami. A może już o tym zapomniałaś?
- Przede wszystkim muszę znaleźć jakieś mieszkanie; to nie byłoby z mojej strony uczciwe wobec Daphne...

- Okazała się prawdziwą przyjaciółką - powiedział Charlie.

- Dla nas obojga - stwierdziła Becky, a Charlie wstał, wsadził ręce do kieszeni i zaczął krążyć po małym pokoju. Przypomniało to Becky czasy, w których razem chodzili do szkoły.

- Nie sądzę... - zawahał się Charlie. Tym razem on nie był w stanie spojrzeć jej w oczy.

- Nie sądzisz? Czego nie sądzisz?

- Nie sądzę... - zaczął ponownie.

- Tak?

- Byś wzięła pod uwagę możliwość wyjścia za mnie za mąż?

Minęła długa chwila ciszy, zanim zaskoczona Becky zdobyła się na odpowiedź. - Ale co z Daphne? - spytała w końcu.

- Z Daphne? Chyba nie przypuszczałaś, że łączy nas związek tego rodzaju? To prawda, że udzielała mi lekcji po nocach, ale nie takich, jak myślisz. Tak czy owak, w życiu Daphne zawsze był tylko jeden mężczyzna i z pewnością nie jest nim Charlie Trumper, z tego prostego powodu, że przez cały czas wiedziała, iż w moim życiu liczy się tylko jedna kobieta.

- Ależ...

- Kocham cię już od tak dawna, Becky.

- O mój Boże - szepnęła Becky, chwytając się za głowę.

- Przepraszam - wyjąkał Charlie. - Sądziłem, że wiesz o tym.

Daphne powiedziała mi, że kobiety zawsze wiedzą takie rzeczy.

- Nie miałam pojęcia, Charlie. Byłam ślepa, a w dodatku głupia.

- Nie spojrzałem na żadną inną kobietę od dnia powrotu z Edynburga. Miałem chyba nadzieję, że może choć trochę mnie kochasz - powiedział.

- Zawsze będę cię trochę kochać, Charlie, ale niestety jestem zakochana w Guyu.

- Szczęściarz. I pomyśleć, że ja poznałem cię wcześniej. Wiesz, twój ojciec wygnał mnie kiedyś ze sklepu, gdy usłyszał, że nazwałem cię za twoimi plecami "Bogatą Porky". - Becky uśmiechnęła się. - Wiesz, zawsze potrafiłem zdobyć wszystko, czego naprawdę w życiu pragnąłem, więc jak mogłem wypuścić cię z rąk?

Becky nie była w stanie na niego spojrzeć.

- On oczywiście jest oficerem, a ja nie. To wiele tłumaczy. - Charlie przestał krążyć po pokoju i zatrzymał się przed nią.

- Jesteś generałem, Charlie.

- To jednak nie to samo, prawda?

ROZDZIAŁ 12

Chelsea Terrace

Londyn SW3

20 maja 1920

Mój kochany Guy!

Jest to najtrudniejszy list, jaki kiedykolwiek w życiu musiałam napisać. W gruncie rzeczy nie jestem pewna, od czego zacząć. Minęły przeszło trzy miesiące od Twojego wyjazdu do Indii i wydarzyło się coś, oczym, moim zdaniem, chciałbyś natychmiast się dowiedzieć. Byłam właśnie u lekarza z Harley Street, którego poleciła mi Daphne, i Becky odłożyła pióro, przeczytała uważnie kilka przed chwilą napisanych zdań, jęknęła, zmięła kartkę papieru i wrzuciła ją do stojącego u jej stóp kosza na śmieci. Potem wstała, przeciągnęła się i zaczęła chodzić po pokoju w nadziei, że przyjdzie jej do głowy jakiś nowy pretekst, umożliwiający odłożenie listu na później. Była już dwunasta trzydzieści, mogła więc położyć się do łóżka, udając przed sobą, że jest zbyt zmęczona, by pisać dalej - ale wiedziała, że nie zaśnie, dopóki list nie będzie skończony. Wróciła do biurka i próbowała się ponownie skupić przed wymyśleniem nowego nagłówka. Wzięła do ręki pióro.

97 Chelsea Terrace Londyn SW3

20 maja 1920

Mój drogi Guy!

Obawiam się, że ten list może być dla Ciebie niespodzianką, zwłaszcza że jeszcze przed miesiącem donosiłam Ci tylko o mało istotnych drobiazgach. Odkładałam pisanie o sprawach ważnych, gdyż miałam nadzieję, że moje obawy okażą się bezpodstawne. Niestety, tak się nie stało, więc jestem do tego zmuszona przez okoliczności. Po naszej wspólnie spędzonej cudownej nocy tuż przed Twoim wyjazdem do Indii, nie miałam w następnym miesiącu okresu, ale nie chciałam od razu Cię niepokoić, w nadziei że Och, nie - pomyślała Becky i podarła nową wersję listu, ponownie wrzucając strzępki papieru do kosza. Podreptała do kuchni, by zaparzyć dzbanek herbaty. Po drugiej filiżance znów niechętnie zasiadła za biurkiem.

97 Chelsea Terrace Londyn SW3

20 maja 1920

Drogi Guy!

Mam nadzieję, że w Indiach wszystko układa się dla Ciebie pomyślnie i że nie zmuszają Cię do zbyt ciężkiej pracy. Tęsknię za Tobą bardziej, niż potrafię to wyrazić, ale ponieważ grożą mi egzaminy, a Charlie uważa się za następnego pana Seljridge'a, te trzy miesiące od Twojego wyjazdu minęły, zanim się obejrzałam. Z pewnością zainteresuje Cię wiadomość, że Twój były dowódca,

pułkownik sir Danvers Hamilton, został - A nawiasem mówiąc jestem w ciąży - powiedziała na głos Becky i podarła trzecią wersję listu. Zakręciła pióro, dochodząc do wniosku, że czas na spacer. Zdjęła z haczyka na korytarzu płaszcz, zbiegła po schodach i otworzyła bramę. Chodziła bez celu w tę i z powrotem po opustoszałej ulicy, pozornie nie zdając sobie sprawy z upływu czasu.

Stwierdziła z przyjemnością, że wywieszki "Na sprzedaż" pojawiły się na wystawach sklepów pod numerami 131 i 135. Zatrzymała się na chwilę przed antykwariatem, osłoniła dłońmi oczy i zajrzała do środka. Z przerażeniem stwierdziła, że pan Rutheford usunął z niego absolutnie wszystko, nawet przewody gazowe i obudowę kominka, która, jak sądziła, była przytwierdzona na stałe do ściany. To mnie nauczy czytać dokładniej oferty sprzedaży - pomyślała. Nadal patrzyła na opustoszały lokal i dostrzegła przebiegającą po podłodze mysz.

- Może powinniśmy otworzyć sklep zoologiczny - powiedziała na głos.

- Słucham, panienko?

Becky obejrzała się i zobaczyła policjanta, który szarpał za klamkę numeru 133, by sprawdzić, czy drzwi są zaryglowane.

- Och, dobry wieczór, panie posterunkowy - powiedziała niepewnie.

- Jest niemal druga w nocy, panienko. Dlaczego mówi mi pani "dobry wieczór"?

- Naprawdę? - powiedziała Becky, zerkając na zegarek. - Ach tak, istotnie. To głupio z mojej strony. Widzi pan, ja mieszkam pod 97. - Czując, że potrzebne jest jakieś wyjaśnienie, dodała: - Nie mogłam spać, więc postanowiłam się przejść.

- W takim razie niech pani wstąpi do policji. Chętnie pozwolą pani spacerować przez całą noc.

Becky roześmiała się. - Nie, dziękuję, panie posterunkowy.

Chyba pójdę już do domu i spróbuję się trochę przespać. Dobranoc.

- Dobranoc, panienko - odparł policjant i dotknął swego hełmu, jakby jej salutując, a potem zaczął sprawdzać, czy antykwariat jest również bezpiecznie zaryglowany.

Becky odwróciła się, przeszła zdecydowanym krokiem przez Chelsea Terrace, otworzyła bramę numeru 97, wspięła się po schodach do mieszkania, zdjęła płaszcz i natychmiast powróciła do biurka. Po chwili namysłu wzięła do ręki pióro i zaczęła pisać.

Tym razem słowa płynęły bez wysiłku, gdyż wiedziała dokładnie, co należy napisać.

97 Chelsea Terrace Londyn SW3

20 maja 1920

Drogi Guy!

Próbowałam wymyślić sto różnych sposobów poinformowania Cię o tym, co się wydarzyło po Twoim wyjeździe do Indii, i doszłam w końcu do wniosku, że zatajanie prawdy nie ma żadnego sensu.

Od mniej więcej czternastu tygodni jestem w ciąży i spodziewam się Twojego dziecka, co napawa mnie wielką radością, ale - przyznaję - również sporym niepokojem. Radością - ponieważ jesteś jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek kochałam, niepokojem zaś, ponieważ zdaję sobie sprawę z tego, że ta wiadomość może mieć wpływ na Twoją karierę wojskową.

Muszę Cię zapewnić, że nie mam zamiaru utrudniać Ci tej kariery, zmuszając Cię do małżeństwa. Związek oparty jedynie na poczuciu winy, która skłoniłaby Cię do stwarzania pozorów, tylko ze względu na coś, do czego raz między nami doszło, nie byłby do przyjęcia ani dla Ciebie, ani dla mnie.

Ze swojej strony nie taję całkowitego oddania wobec Ciebie, ale jeśli uczucia moje nie są

odwzajemnione, nie chcę przyczyniać się do poświęcenia tak obiecującej kariery na ołtarzu hipokryzji. Wiedz jednak, Najdroższy, że bardzo Cię kocham, a Twoja przyszłość i Twoje szczęście tak dalece leżą mi na sercu, iż gotowa jestem zaprzeczyć wszystkiemu, jeśli tego ode mnie zażadasz.

Guy, zawsze będę Cię uwielbiać. Bądź pewien mojej całkowitej lojalności, bez względu na to, jaką podejmiesz decyzję.

Pozdrawiam Cię najczulej. Becky. Czytając list po raz drugi, nie mogła powstrzymać łez. Kiedy składała kartkę papieru, drzwi sypialni otworzyły się gwałtownie i stanęła przed nią zasnana Daphne.

- Dobrze się czujesz, moja droga?

- Oczywiście. Po prostu poczułam lekkie mdłości. Uznałam, że przyda mi się odrobina świeżego powietrza. - Zręcznie wsunęła list do czystej koperty.

- Teraz, skoro już wstałam, czy masz ochotę na filiżankę herbaty? - spytała Daphne.

- Nie, dziękuję, wypiłam już dwie.

- W takim razie ja się napiję. - Daphne zniknęła w kuchni.

Becky natychmiast wzięła do ręki pióro i napisała na kopercie:

Kapitan Guy Trentham 2-gi Batalion Królewskich Strzelców Koszary Wellingtona Puna INDIE
POCZTA MORSKA Wyszła z mieszkania, wrzuciła list do stojącej na rogu Chelsea Terrace skrzynki i wróciła pod numer 97, zanim jeszcze zagotowała się woda.

Charlie dostawał od czasu do czasu listy od mieszkającej w Kanadzie Sal, która donosiła mu o przyjeździe na świat ostatniego siostrzeńca lub siostrzenicy. Grace odwiedzała go czasem, gdy tylko udało jej się oderwać od szpitalnych zajęć. Natomiast wizyty Kitty, które były dość rzadkie, miały zawsze tylko jeden cel.

- Potrzebuję tylko dwóch funtów, Charlie, żeby jakoś przetrwać - powiedziała tym razem niemal natychmiast po wejściu do pokoju, zasiadając na jedynym wygodnym fotelu.

Charlie spojrzął na siostrę. Choć była tylko o osiemnaście miesięcy starsza niż on, wyglądała już na kobietę, która dawno przekroczyła trzydziestkę. Pod bezkształtną, workowatą suknią z dzianiny nie było ani śladu figury, która niegdyś przyciągała oko każdego mieszkańca East Endu, a nie umalowaną twarz pokrywały zmarszczki i plamy.

- Ostatnim razem prosiłaś tylko o funta - przypomniał jej Charlie. - I nie było to tak dawno temu.

- Ale od tej pory odszedł ode mnie mój chłop, Charlie. Znowu jestem zdana na własne siły i nie mam nawet dachu nad głową. Nie odmawiaj mi tej przysługi.

Nadal jej się przyglądał, dziękując Bogu, że Becky nie wróciła jeszcze z popołudniowego wykładu. Choć skądinąd podejrzewał, iż Kitty przychodzi tylko wtedy, kiedy ma pewność, że w kasie są pieniądze, a Becky nie stanie jej na drodze.

- Zaraz wracam - powiedział po dłuższym milczeniu. Zamknął za sobą drzwi pokoju i zszedł po schodach do sklepu. Upewniwszy się, że nie widzi go żadna z ekspedientek, wyjął z kasy dwa funty i dziesięć szylingów. Pełnym rezygnacji krokiem wrócił do mieszkania.

Kitty czekała już przy drzwiach. Charlie wręczył jej cztery banknoty. Łapczywie chwyciła pieniądze, ukryła je w rękawiczce i wyszła bez słowa.

Charlie zszedł za nią po schodach i widział, jak zdejmuje brzoskwinę z ustawionej w rogu piramidy, nadgryza ją, a potem wychodzi ze sklepu i szybkim krokiem rusza w dół ulicy.

Charlie postanowił osobiście sprawdzić tego wieczora stan kasy; nie chciał, by ktokolwiek wiedział, ile jej dał.

- Będziesz musiał w końcu kupić tę ławkę, Charlie - powiedziała Becky, siadając obok niego.

- Dopiero wtedy, kiedy będę właścicielem wszystkich sklepów na Chelsea Terrace, moja kochana - odparł, odwracając się do niej.

- Ale co u ciebie? Kiedy spodziewasz się dziecka?

- Lekarz twierdzi, że za jakieś pięć tygodni.

- Czy będziecie mieli gdzie mieszkać?

- Tak, dzięki Daphne, która pozwoliła mi u siebie zostać.

- Brak mi jej - powiedział Charlie.

- Mnie też, choć odkąd Percy został zwolniony z pułku Szkockich Gwardzistów, jest tak szczęśliwa jak nigdy dotąd.

- Idę o zakład, że niedługo się zaręczą.

- Miejmy nadzieję, że nie - odparła Becky, patrząc na drugą stronę ulicy.

Widziała stąd wyraźnie trzy szyldy Trumpera, wszystkie wypisane złotymi literami na niebieskim tle. Sklep owocowo-warzywny nadal toczył się siłą rozpędu, a Bob MaMns, po odbyciu służby wojskowej, wyraźnie wydorósł. Sklep mięsny stracił trochę klientów po przejściu pana Kendricka na emeryturę, ale zaczynał ich odzyskiwać, odkąd Charlie zatrudnił na jego miejsce Mike'a Parkera.

- Miejmy nadzieję, że jest lepszym rzeźnikiem niż tancerzem - westchnęła Becky, kiedy Charlie powiedział jej o nowej posadzie sierżanta Parkera.

Jeśli idzie o sklep spożywczy, który był nową dumą i radością Charlie'ego, to prosperował on znakomicie od pierwszego dnia.

Cały personel był jednak przekonany, że szef firmy przebywa równocześnie we wszystkich trzech sklepach.

- To był przebłysk geniuszu - powiedział Charlie. - Zamiana tego starego antykwariatu na sklep spożywczy.

- A więc teraz uważasz się za kupca branży spożywczej?

-,Ależ skąd. Jestem i zawsze będę zwykłym handlarzem owocami i jarzynami.

- Ciekawa jestem, czy to samo będziesz mówił dziewczętom, kiedy staniesz się właścicielem całego odcinka ulicy.

To może jeszcze trochę potrwać. A więc, jak kształtuje się bilans nowych sklepów?

- Według naszej kalkulacji oba mają przynieść straty w ciągu pierwszego roku.

- Ale przecież mogą jeszcze przynieść zysk, a w każdym razie wyjść na swoje - zaprotestował Charlie podniesionym głosem. - Przecież ten sklep spożywczy musi...

- Nie tak głośno. Chcę, żeby pan Hadlow i jego koledzy z banku doszli do wniosku, że poszło nam o wiele lepiej, niż przewidywaliśmy.

- Jesteś przewrotną kobietą, Rebeko Salmon, co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

- Nie będziesz tak mówił, Charlie Trumper, kiedy zechcesz, żebym poszła zebrać o następną pożyczkę na twoje inwestycje.

- Skoro jesteś taka mądra, to wytłumacz mi, dlaczego nie mogę zdobyć tej księgarni - powiedział Charlie, pokazując sklep pod numerem 141, w którym oświetlone okno było jedynym dowodem, że budynek jest zamieszkały. - Od tygodni nie widziałem tam ani jednego klienta, a jeśli już ktoś wchodził do środka, to tylko po to, by spytać o drogę na Brompton Road.

- Nie mam pojęcia - odparła ze śmiechem Becky. - Odbyłam już długą rozmowę z panem Sneddlesem i spytałam, czy nie zechciałby sprzedać lokalu, ale jego to po prostu nie interesuje.

Widzisz, odkąd umarła jego żona, jedynie prowadzenie tego sklepu trzyma go przy życiu.

- Ale przy jakim życiu? - spytał Charlie. - Czy życie polega na odkurzaniu starych książek i gromadzeniu starodruków?

- Czuje się szczęśliwy siedząc w fotelu i czytając Williama Blake'a oraz swych ulubionych poetów wojennych. Dopóki sprzedaje choć dwie książki miesięcznie, nie ma zamiaru zamykać sklepu. Daphne stale mi przypomina, że nie każdy chce zostać milionerem.

- Być może. Więc może zaproponowalibyśmy panu Sneddlesowi sto pięćdziesiąt gwinei za wieczystą dzierżawę, a potem brali od niego czynsz w wysokości, powiedzmy, dziesięciu funtów rocznie?

W ten sposób lokal automatycznie wpadłby w nasze ręce po jego śmierci.

Jesteś człowiekiem, którego trudno zadowolić, panie Trumper, ale skoro tego chcesz, spróbuję z nim pogadać.

- Owszem, tego właśnie chcę, Rebeko Salmon, więc przystąp do działania.

- Zrobię, co w mojej mocy, choć nie wiem, czy zauważyłeś, że mam lada chwila urodzić dziecko, a równocześnie usiłuję pisać pracę dyplomową.

- Ta kombinacja wcale mnie nie zachwyca. Ale być może będę cię prosił o pomoc w jeszcze jednej mistrzowskiej rozgrywce.

- Co masz na myśli?

- Fothergilla.

- Narożny lokal.

- Ni mniej, ni więcej - potaknął Charlie. - A wiesz, jaki jest mój stosunek do narożnych lokali, panno Salmon.

- Oczywiście, panie Trumper. Zdaję sobie również sprawę, że nie zna się pan na rynku antyków, nie wspominając już o prowadzeniu domu aukcyjnego.

- Nie mam o tym większego pojęcia - przyznał Charlie. - Ale po kilku wizytach na Bond Street, gdzie przyglądałem się, jak zarabiają na życie w firmie Sotheby's, i po krótkim spacerze po St James's, który odbyłem, by poznać metody działania ich jedyne go prawdziwego rywala, firmy Christie's, doszedłem do wniosku, że chyba moglibyśmy kiedyś zrobić jakiś praktyczny użytek z twojego dyplomu historyka sztuki.

Becky uniosła brwi. - Umieram z ciekawości, jak zaplanowałaś resztę mojego życia.

- Gdy tylko zrobisz ten dyplom - ciągnął Charlie, ignorując jej uwagę - chcę, żebyś postarała się o posadę w firmie Sotheby's lub Christie's i spędziła tam trzy do pięciu lat, ucząc się wszystkich tajników zawodu. Gdy tylko uznasz, że jesteś już na tyle dobra, by stamtąd odejść, możesz zabrać im każdego pracownika zasługującego na zatrudnienie u nas, wrócić na Chelsea Terrace pod numer pierwszy i otworzyć dom aukcyjny, mogący rywalizować z obiema tamtymi firmami.

- Nadal uważnie słucham, panie Trumper.

- Widzisz, Rebeko Salmon, odziedzyczyłaś po ojcu talent do interesów; Mam nadzieję, że podoba ci się to słowo. Jeśli połączysz go z jedyną dziedziną, którą zawsze kochałaś i do której masz wrodzone zdolności, musisz wygrać.

- Dziękuję ci za ten komplement, ale skoro już jesteśmy przy tym temacie, to chciałabym spytać, jak pasuje do tego mistrzowskiego planu pan Fothergill?

- Wcale nie pasuje.

- Co masz na myśli?

- Od trzech lat jego firma przynosi spory deficyt - odparł Charlie. - W tej chwili wartość nieruchomości i najlepszych dzieł, jakie ma na składzie, przewyższa nieznacznie jego zadłużenie, ale ten stan rzeczy nie może trwać wiecznie. Więc wiesz już teraz, czego od ciebie oczekuję...

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, panie Trumper.

Kiedy nadszedł i minął wrzesień, nawet Becky zaczęła zdawać sobie sprawę, że Guy nie zamierza odpowiedzieć na jej list.

Daphne doniosła jej jeszcze w sierpniu, że wpadła przypadkowo na panią Trentham w Goodwood. Matka Guya stwierdziła, że jej syn nie tylko zachwycony jest służbą w Indiach, lecz ma wszelkie powody, by spodziewać się rychłego awansu na majora. Daphne z trudem dotrzymała obietnicy i nie wspomniała o stanie Becky.

Gdy zbliżał się termin rozwiązania, Charlie zadbał o to, by Becky nie traciła czasu na zakupy i oddelegował nawet jedną z ekspedientek spod numeru 147 do sprzątania jej mieszkania. Becky, otoczona taką opieką, zaczęła oskarżać ich oboje o nadmierną troskliwość.

W dziewiątym miesiącu Becky nie zadawała sobie nawet trudu, by sprawdzać poranną pocztę, a dawno wyrobiona opinia Daphne o kapitanie Trenthamie zaczęła zyskiwać w jej oczach coraz większą wiarygodność. Sama była zdziwiona, jak szybko zaciera się w jej pamięci człowiek, którego dziecko ma niebawem urodzić.

Ku jej zażenowaniu większość znajomych zakładała, że ojcem dziecka jest Charlie, który pogarszał jeszcze sprawę, bynajmniej temu nie zaprzeczając.

Charlie miał na oku dwa sklepy, których właściciele dojrzeli jego zdaniem do ich sprzedaży, ale Daphne nie chciała słyszeć o żadnych nowych interesach, dopóki dziecko nie przyjdzie na świat - Nie chcę, żebyś wciągał Becky w swoje podejrzone interesy, dopóki nie urodzi dziecka i nie zrobi dyplomu. Czy wyrażam się jasno?

- Tak, proszę pani - odparł Charlie, stukając obcasami. Nie wspomniał jej o tym, że zaledwie przed tygodniem Becky zawarła z panem Sneddlesem umowę, mocą której po jego śmierci księgarnia miała przejść w ich ręce. Była w niej tylko jedna klauzula, która napawała Charlie'ego niepokojem, bo nie miał pojęcia, jak będzie w stanie się pozbyć takiej ilości książek.

- Telefonowała właśnie panna Becky - wyszeptał Bob pewnego popołudnia do ucha swego stojącego za ladą szefa. - Prosi, żeby pan zaraz przyszedł. Wydaje jej się, że dziecko jest w drodze.

- Ale przecież spodziewała się go dopiero za dwa tygodnie - powiedział Charlie, zdejmując fartuch.

- Nic na ten temat nie wiem, panie Trumper, ale prosiła, żeby się pan pospieszył.

- Czy posłała po akuszerkę? - spytał Charlie, przerywając w połowie obsługiwanie klienta i chwytając marynarkę.

- Nie mam pojęcia, sir.

- No dobrze, więc przejmij sklep, bo nie wiem, czy jeszcze dziś wrócę. - Charlie zostawił kolejkę uśmiechniętych klientów, pognął pod numer 97, wbiegł po schodach, otworzył drzwi i wpadł prosto do sypialni Becky.

Usiadł obok niej na łóżku i chwycił ją za rękę. Przez chwilę oboje milczeli.

Czy posłałaś po akuszerkę?

- Oczywiście - odezwała się za jego plecami wchodząca do pokoju kobieta. Miała na sobie brązowy, przyciasny płaszcz, a w ręku trzymała czarną skórzaną walizeczkę. Jej falujący biust dowodził, że z trudem pokonała schody. - Nazywam się Westlake i jestem akuszerką ze Szpitala Św.

Stefana - oznajmiła. - Mam nadzieję, że zdążyłam na czas. - Becky kiwnęła głową, a akuszerka przeniosła uwagę na Charlie'ego. - Teraz niech pan pójdzie zagotować wody, i to szybko. - Miała głos osoby nieprzywykłej do tego, 12-Prosto jak strzeliłby ktoś kwestionował jej polecenia. Charlie poderwał się z łóżka i wyszedł z pokoju.

Pani Westlake postawiła swą walizeczkę na podłodze i zaczęła od zmierzenia tętna Becky.

- Jak często następują skurcze? - spytała rzeczowo.

- Teraz już co dwadzieścia minut - odparła Becky.

- Wspaniale. W takim razie nie będziemy musieli długo czekać.

W drzwiach stanął Charlie, niosąc miskę z gorącą wodą. - Czy mogę zrobić coś jeszcze?

- Jasne. Potrzebne mi będą wszystkie czyste ręczniki, jakie uda się panu znaleźć, i nie miałabym nic przeciwko filiżance herbaty.

Charlie ponownie wybiegł z pokoju.

- Mężowie są zawsze zawadą w takich sytuacjach - stwierdziła pani Westlake. - Trzeba im stale znajdować jakieś zajęcie.

Becky miała zamiar wyjaśnić jej, kim jest Charlie, ale chwycił ją następny paroksyzm bólu.

- Oddychaj głęboko i powoli, kochana - mówiła łagodniejszym już głosem pani Westlake, kiedy Charlie wrócił z trzema ręcznikami i czajnikiem pełnym gorącej wody.

Pani Westlake, nie odwracając się w jego stronę, zaczęła wydawać dalsze polecenia. - Proszę położyć ręczniki na komodzie, przelać wodę do największej miski, jaką tu macie, a potem postawić ponownie czajnik na ogniu, żebym miała gorącą wodę, kiedy tylko będzie mi potrzebna.

Charlie ponownie zniknął bez słowa.

- Chciałabym, żeby mnie tak słuchał - z podziwem westchnęła Becky.

- Och, nie przejmuj się, kochana, mój własny mąż nie słucha mnie wcale, a mamy siedmioro dzieci.

W kilka minut później Charlie otworzył drzwi nogą i postawił obok łóżka następną miednicę z parującą wodą.

- Na komodzie - poleciła pani Westlake, wskazując palcem. - I niech pan stara się nie zapomnieć o mojej herbacie. Potem będę potrzebowała jeszcze kilku ręczników.

Becky jęknęła głośno.

- Trzymaj mnie za rękę i głęboko oddychaj - poleciła akuszerka.

Charlie pojawił się niebawem, niosąc ponownie czajnik, a pani Westlake natychmiast kazała mu opróżnić miskę i napełnić ją świeżo zagotowaną wodą. Kiedy wykonał to polecenie, powiedziała:

- Teraz może pan czekać na zewnątrz, dopóki pana nie zawołam.

Charlie wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Wydawało mu się, że w nieskończoność robi herbatę i nosi w tę i z powrotem czajniki z wodą, zawsze zjawiając się w niewłaściwym momencie z nieodpowiednim naczyniem w ręku. W końcu wyproszono go z sypialni, więc zaczął chodzić nerwowo po kuchni, spodziewając się najgorszego. Potem usłyszał cichy, słaby płacz.

Becky patrzyła z łóżka na akuszerkę, która podniosła dziecko za jedną nóżkę i dała mu lekkiego klapsa w pupę. - Zawsze cieszy mnie ten moment - powiedziała pani Westlake. - Człowiek lubi mieć poczucie, że sprowadził na świat kogoś nowego. - Owinęła dziecko w ręcznik i podała zawiniątko matce.

- Czy to...?

- Niestety, chłopiec - odparła pielęgniarka. - Wjść nie zanosi się na to, by świat stał się choćby odrobinę lepszy. Następnym razem musisz urodzić córkę - powiedziała z szerokim uśmiechem. - Oczywiście, o ile on się jeszcze do czegoś nadaje. - Wskazała kciukiem zamknięte drzwi.

- Ale on...

- Wiem, nie ma z niego żadnego pożytku. Jak z większości mężczyzn. - Pani Westlake otworzyła drzwi sypialni, by poszukać Charlie'ego. - Już po wszystkim, panie Salmon. Może pan przestać się wiercić i przyjść obejrzeć swego syna.

Charlie wszedł do sypialni tak szybko, że o mało nie przewrócił akuszerki. Stał w nogach łóżka i patrzył na małą istotkę, którą Becky trzymała w ramionach.

- Strasznie brzydki, prawda? - spytał Charlie.

- No cóż, wiemy, czyja to wina - powiedziała akuszerka. - Miejmy nadzieję, że ten nie będzie miał przynajmniej złamanego nosa. Tak czy owak, jak już tłumaczyłam pańskiej żonie, teraz musicie postarać się o córkę. A nawiasem mówiąc, jak nazwiecie tego chłopca?

- Daniel George - bez wahania odparła Becky. - Po moim ojcu - wyjaśniła, patrząc na Charlie'ego.

- I moim - dodał Charlie, podchodząc bliżej i otaczając Becky ramieniem.

- No cóż, na mnie już czas, pani Salmon. Ale wrócę tu z samego rana.

W gruncie rzeczy nazywam się Trumper - oznajmiła cicho Becky. - Salmon to moje nazwisko panińskie.

- Och - zawołała akuszerka, po raz pierwszy wydając się speszona. - Musieli pomylić nazwiska na mojej liście zgłoszeń. No cóż, do zobaczenia jutro, pani Trumper - powiedziała, zamykając za sobą drzwi.

- Pani Trumper? - powiedział Charlie.

- Czy nie uważa pan, panie Trumper, że upłynęło strasznie dużo czasu, zanim w końcu zmądrzałam?

DAPHNE 1918-1921

ROZDZIAŁ 13

Przyznam szczerze, że kiedy otworzyłam list, nie od razu zorientowałam się, kto to jest Becky Salmon. Potem jednak przypomniałam sobie, że w St. Paul była niezwykle bystra, pulchna uczennica o tym nazwisku, która zdawała się posiadać dostęp do nieskończonej ilości kremowych ciasteczek. O ile pamiętam, jedyną rzeczą, jaką dałam jej w zamian, była książka o sztuce, którą ja z kolei otrzymałam w prezencie gwiazdkowym od jakiejś ciotki z Cumberland.

Prawdę mówiąc, zanim dotarłam do starszej szóstej klasy, ta uzdolniona dziewczyna chodziła już do szóstej młodszej, choć byłam od niej o dwa lata starsza.

Przeczytawszy po raz drugi jej list, nadal nie miałam pojęcia, dlaczego chce się ze mną zobaczyć, i doszłam do wniosku, że najlepszym sposobem odkrycia prawdy będzie zaproszenie jej na podwieczorek do mojego małego mieszkania w Chelsea.

Kiedy ponownie ujrzałam Becky, z trudem ją poznałam. Nie tylko schudła o kilkanaście kilo, ale wyglądała tak, że mogłaby z powodzeniem występować w rozlepianych na wszystkich tramwajach reklamach "Pepsodentu", na których dziewczyny o świeżej cerze ukazują dwa rzędy śnieżnobiałych zębów. Muszę przyznać, że poczułam ukłucie zazdrości.

Becky wytłumaczyła mi, że chce na czas swych studiów wynająć w Londynie jakiś pokój. Byłam zadowolona, że mogę jej pomóc.

Moja matka przy wielu okazjach wyraźnie dawała do poznania, jak bardzo jest niezadowolona, że mieszkam sama, i nie potrafi pojąć przyczyn, dla których nie chcę pozostać na Lowndes Square 26, w naszej rodzinnej rezydencji. Nie mogłam się doczekać chwili, w której obwieszczę rodzicom, iż zastosowałam się do ich często powtarzanych życzeń i znalazłam odpowiednią współlokatorkę.

Ale kim jest ta dziewczyna? - spytała moja matka, kiedy przyjechałam na weekend do Harcourt Hall. - Kimś, kogo znamy?

- Nie sądzę, mamusi - odparłam. - To dawna koleżanka z St.

Paul. Typ naukowiec.

- Chcesz powiedzieć, że jest moim kolegą? - wtrącił się do rozmowy mój ojciec.

- Owszem, widzę, że wiesz, co mam na myśli, papo. Dostała się na uczelnię o nazwie Bedford College i studiuje historię renesansu czy coś w tym rodzaju.

- Nie wiedziałem, że dziewczęta mogą otrzymywać dyplomy wyższych uczelni - powiedział mój ojciec. - Z pewnością jest to jeden z pomysłów tego cholernego małego Walijszczyka, który chce stworzyć nową Wielką Brytanię.

- Przestań nazywać w ten sposób Lloyd George'a - ofuknęła go mama. - Bądź co bądź jest naszym premierem.

- Być może jest twoim premierem, kochanie, ale z pewnością nie moim. Według mnie, to wszystko wina tych sufrażystek - dodał ojciec, prezentując typową dla niego skłonność do zadziwiająco nielogicznych przeskoków myślowych.

- Mój drogi, zwalasz na sufrażystki winę za wiele rzeczy, nawet za zesłoroczny nieurodzaj - przypomniała mu matka. - Ale, wracając do tej dziewczyny, muszę wyznać, że wygląda mi ona na osobę, która może mieć na ciebie bardzo korzystny wpływ, Daphne. Zapomniałam, co mówiłaś o jej rodzicach.

- Nie mówiłam nic - odparłam. - Ale wydaje mi się, że jej ojciec był biznesmenem gdzieś na Wschodzie, a ja jestem zaproszona na podwieczorek do jej matki w przyszłym tygodniu.

- Może w Singapurze? - spytał papa. - Wielu ludzi robi tam interesy; handlują kauczukiem i innymi tego rodzaju produktami.

- Nie, nie wydaje mi się, żeby on handlował kauczukiem, papo.

- Tak czy owak, przyprowadź ją kiedyś na podwieczorek - zażądała mama. - Albo nawet przywieź ją tutaj na weekend. Czy ona poluje?

- Nie, nie sądzę, mamó, ale z pewnością zaproszę ją niebawem na podwieczorek i wtedy oboje będziecie mogli się jej przyjrzeć.

Muszę przyznać, że w równym stopniu rozbawiło mnie zaproszenie na podwieczorek do matki Becky, która najwyraźniej chciała się przekonać, czy jestem odpowiednią koleżanką dla jej córki.

Osobiście wydawało mi się to dość wątpliwe. Nie przypominałam sobie, bym kiedykolwiek znalazła się na wschód od Aldwych, więc wyprawa do Essex była dla mnie bardziej podniecająca niż podróż za granicę.

Na szczęście droga do Romford upłynęła bez żadnych niespodzianek, głównie dlatego, że Hoskins, szofer mojego ojca, dobrze znał drogę. Okazało się, że pochodzi on z jakiejś miejscowości o nazwie Dagenham, która - jak mnie poinformował - leżała jeszcze głębiej w dżungli hrabstwa Essex.

Do tej pory nie miałam pojęcia o istnieniu tego rodzaju ludzi.

Nie można było ich zaliczyć ani do służby, ani do przedstawicieli wolnych zawodów, ani do szlachty, a ja nie mogę powiedzieć, żebym zakochała się w Romford od pierwszego wejrzenia. Ale zarówno pani Salmon, jak i jej siostra, panna Roach, przyjęły mnie niezwykle gościnnie. Matka Becky okazała się praktyczną, rozsądną, pobożną kobietą, a ponieważ umiała również przygotować znakomity podwieczorek, moja podróż nie była całkowicie nieudana.

Becky wprowadziła się do mnie w następnym tygodniu, a ja byłam przerażona, kiedy odkryłam, jak ciężko ta dziewczyna pracuje. Spędzała w tym Bedford niemal cały dzień, po powrocie do domu przęłykała pospiesznie kanapkę, popijając ją szklanką mleka, a potem znów zasiadała do nauki i kładła się spać znacznie później niż ja.

Nigdy nie mogłam pojąć, do czego to wszystko miało zmierzać.

Dopiero po jej bezsensownej wizycie u Johna D. Wooda dowiedziałam się o istnieniu Charlie'ego Trumpera i o jego ambitnych planach. Tyle pretensji, tylko dlatego że sprzedała bez jego wiedzy stary wózek. Uważałam za swój obowiązek poinformować ją, że dwaj moi przodkowie zostali ścięci za próbę zagarnięcia hrabstw, a jeden osadzony w Tower za zdradę; mówiąc o tym uświadomiłam sobie, że przynajmniej jeden z moich protoplastów spędził swe ostatnie dni w okolicy East Endu.

Becky jak zwykle była przekonana, że ma rację. - Ale przecież chodzi tylko o sto funtów -

powtarzała z uporem.

- Których nie masz.

- Mam czterdzieści, a ponieważ jestem przekonana; że to znakomita inwestycja, powinnam bez trudu zdobyć brakujące sześćdziesiąt funtów. W końcu Charlie potrafiłby nawet nakłonić Eskimosów do kupowania lodu w bryłach.

A jak zamierzasz prowadzić sklep pod jego nieobecność? - spytałam. - Może między wykładami?

- Och, nie kpij sobie ze mnie, Daphne. Charlie zajmie się sklepem, gdy tylko wróci z wojny. Bądź co bądź to nie może już potrwać długo.

- Wojna skończyła się przed kilku tygodniami - przypomniałam jej. - A po twoim Charlie'em ani śladu.

- To nie jest mój Charlie - odparła i nie powiedziała nic więcej.

Obserwowałam uważnie poczynania Becky w ciągu następnych trzydziestu dni i już po krótkim czasie nie miałam wątpliwości, < że nie zbierze wymaganej sumy. Była jednak zbyt dumna, by mi się do tego przyznać. Doszłam więc do wniosku, że nadszedł czas na złożenie kolejnej wizyty w Romford.

- To dla mnie miła niespodzianka, panno Harcourt-Browne - zapewniła mnie matka Becky, kiedy pojawiłam się niespodziewanie w ich małym domku przy Belle Vue Road. Powinnam dodać na swoją obronę, że chętnie uprzedziłabym panią Salmon o mojej wizycie, gdyby tylko miała telefon. Ponieważ potrzebowałam informacji, których tylko ona mogła mi dostarczyć przed upływem trzydziestu dni - informacji, które miały przyczynić się do ocalenia nie tylko twarzy jej córki, lecz również jej pieniędzy - nie mogłam zaufać solidności poczty.

- Mam nadzieję, że Becky nie wpadła w jakieś kłopoty? - spytała pani Salmon, gdy tylko ujrzała mnie w progu.

- Bynajmniej - zapewniłam ją. - Nigdy nie widziałam jej w lepszej formie.

- Muszę przyznać, że od śmierci jej ojca trochę się o nią niepokoję - wyjaśniła pani Salmon. Utykając lekko zaprowadziła mnie do saloniku, który był tak samo nieskazitelny jak podczas mojej pierwszej wizyty na podwieczorku. Na stole, stanowiącym centralny punkt pokoju, stała patera z owocami. Zaczęłam się modlić, by pani Salmon nie wpadła kiedyś do mnie z wizytą, nie uprzedzając mnie o swych planach co najmniej na rok z góry.

- Czym mogę pani służyć? - spytała pani Salmon, wysławszy pannę Roach do kuchni, by zaparzyła nam herbatę.

- Zamierzam zainwestować niewielką sumę w sklep warzywny w Chelsea - poinformowałam ją. - John D. Wood zapewnił mnie, że jest to rozsądne posunięcie, mimo obecnych niedoborów żywności i problemów ze związkami zawodowymi - pod warunkiem, że zatrudnię pierwszorzędного kierownika.

Uśmiech pani Salmon zamienił się w wyraz zdziwienia.

- Becky piała hymny pochwalne na cześć niejakiego Charlie'ego Trumpera, więc chciałabym poznać pani opinię na temat tego gentlemana.

- Z pewnością nie jest on gentlemanem - oznajmiła bez wahania pani Salmon. - Nazwałabym go raczej nie wykształconym prostakiem.

- Och, czuję się bardzo zawiedziona - powiedziałam z żalem. - Szczególnie że według zapewnień Becky, pani mąż był o nim jak najlepszego zdania.

- Z pewnością cenił go jako specjalistę od handlu warzywami i owocami. Mój mąż uważał

nawet, że Charlie może zostać pewnego dnia równie dobrym kupcem jak jego dziadek.

- To znaczy, jak dobrym?

- Choć, jak pani rozumie, nie zadawałam się z ludźmi tego pokroju, dowiedziałam się, oczywiście z drugiej ręki, że był on najlepszym kupcem, jakiego kiedykolwiek widziała dzielnica Whitechapel.

- To dobrze - stwierdziłam. - Ale czy jest również uczciwy?

- Nigdy nie słyszałam, żeby było inaczej - oznajmiła pani Salmon. - Poza tym Bóg mi świadkiem, że gotów jest pracować przez okrągłą dobę. Ale moim zdaniem nie jest on człowiekiem, którego towarzystwo mogłoby pani odpowiadać, panno Harcourt-Browne.

- Zamierzam zatrudnić go jako sprzedawcę, pani Salmon, nie zaś proponować mu, by zasiadał ze mną w honorowej łoży podczas wyścigów w Ascot. - W tym momencie pojawiła się panna Roach z tacą, na której ustawiony był podwieczorek: ciastka z owocami i kremowe eklery. Okazały się tak wyśmienite, że zostałam dłużej, niż zamierzałam.

Następnego ranka odwiedziłam Johna D. Wooda i wręczyłam mu czek na brakujące dziewięćdziesiąt funtów. Potem poszłam do mojego adwokata i poleciłam mu sporządzić umowę, ale kiedy była już gotowa, nie zrozumiałam z niej ani słowa.

Kiedy Becky odkryła moje zamiary, zaczęłam się z nią twardo targować, bo wiedziałam, że będzie dotknięta moją ingerencją w swoje sprawy, o ile nie przekonam jej, iż zawieram ten kontrakt we własnym interesie.

Gdy w to uwierzyła, wręczyła mi trzydzieści funtów, aby zmniejszyć wysokość zadłużenia. Przekonałam się, że traktuje swą nową działalność bardzo poważnie, gdyż w ciągu kilku tygodni ściągnęła z pewnego sklepu w Kensington jakiegoś młodego człowieka, który miał prowadzić firmę do powrotu Charlie'ego. I nadal pracowała w godzinach, o których istnieniu ja nawet nie wiedziałam. Nigdy nie chciała mi wyjaśnić, w jakim właściwie celu wstaje przed wschodem słońca.

Kiedy Becky wciągnęła się w nowy tryb życia, zaczęłam ją pewnego dnia namawiać, by poszła ze mną i dwoma moimi przyjaciółmi do opery na Cyganerię. Dotychczas nie wykazywała chęci uczestniczenia w moich towarzyskich eskapadach, zwłaszcza w obliczu nowych obowiązków, związanych z prowadzeniem sklepu.

Ale tym razem uparłam się, gdyż moja koleżanka odwołała swój udział w ostatniej chwili i brakowało nam jednej młodej damy.

- Ależ ja nie mam co na siebie włożyć - wyznała bezradnie Becky.

- Wybierz sobie coś z mojej szafy - zaproponowałam, prowadząc ją do swej sypialni.

Zauważyłam, że moja propozycja wydała się jej niezwykle kusząca. W godzinę później pojawiła się w długiej turkusowej sukni, która wyglądała na niej tak samo, jak na prezentującej ją niegdyś modelce.

- Kto idzie z nami? - spytała Becky.

- Algernon Fitzpatrick. To najbliższy przyjaciel Percy'ego Wiltshire'a. Jak zapewne pamiętasz, jest to ten chłopak, który nie ma jeszcze pojęcia, że zamierzam za niego wyjść.

- A kto będzie czwarty?

- Guy Trentham. Jest kapitanem Królewskich Strzelców, czyli dość szacownego pułku - odparłam. - Wrócił niedawno z Zachodniego Frontu, na którym podobno dość dzielnie sobie poczynał.

Krzyż Wojenny i tak dalej. Pochodzimy z tej samej wioski w Berkshire i dorastaliśmy razem,

choć muszę przyznać, że niewiele mamy z sobą wspólnego. Bardzo przystojny, ale ma opinię uwodziciela, więc bądź ostrożna.

Moim zdaniem Cyganeria wypadła wspaniale. Guy gapił się na Becky przez cały drugi akt, choć ona nie okazywała najmniejszego zainteresowania jego osobą.

Gdy tylko jednak wróciliśmy do domu, zaczęła bez przerwy o nim mówić; ku mojemu zaskoczeniu podziwiała jego urodę, inteligencję i wdzięk, nie wspominając jednak - co wydało mi się znamienne - o jego charakterze. Dopiero kiedy zapewniłam ją w sposób przekonujący, że jej uczucia z pewnością spotkały się z wzajemnością, udało mi się w końcu położyć spać.

W istocie stałam się mimowolnie posłanką Amora, piastunką rozkwitającego romansu. Następnego dnia, na prośbę Guya, spytałam Becky, czy wybierze się z nim na jakąś graną na West Endzie sztukę. Ona oczywiście przyjęła zaproszenie, co zresztą z góry mi zapowiedziałam.

Od dnia ich wspólnej wyprawy do Haymarket dziwnym trafem nieustannie spotykałam ich razem i zaczęło napawać mnie to pewnym niepokojem. Wiedziałam bowiem, że jeśli ten związek zajdzie zbyt daleko, może skończyć się to jedynie - jak mawiała moja niania - potokami łez. Zaczęłam nawet żałować, że ich sobie przedstawiłam; nie było wątpliwości - by posłużyć się modnym powiedzeniem - że Becky jest zakochana po uszy.

Mimo to do mieszkania pod numerem 97 wróciła na kilka tygodni równowaga - a potem Charlie'ego zdemobilizowano.

Został mi oficjalnie przedstawiony w jakiś czas po swoim powrocie i musiałam przyznać, że różni się znacznie od znanych mi mieszkańców Berkshire. Nastąpiło to podczas wspólnej kolacji w tej okropnej włoskiej restauracyjce niedaleko mojego mieszkania.

Szczerze mówiąc, nie był to szczególnie udany wieczór, po części z winy Guya, który nie starał się być towarzyski, ale głównie dlatego, że Becky w ogóle nie dopuszczała Charlie'ego do głosu. W tej sytuacji byłam skazana na zadawanie większości pytań i odpowiadanie na nie, jeśli zaś idzie o Charlie'ego, to wydał mi się na pierwszy rzut oka dość gburowaty.

Kiedy po skończonej kolacji szliśmy wszyscy w stronę naszego mieszkania, zasugerowałam mu, że powinniśmy uwolnić Becky i Guya od naszego towarzystwa. Zaprowadził mnie więc do swojego sklepu i nie mógł się oprzeć pokusie opowiedzenia mi o wszystkich zmianach, jakie wprowadził od chwili objęcia go w posiadanie.

Jego entuzjazm przekonałby nawet najbardziej podejrzliwego inwestora, ale na mnie największe wrażenie zrobiła znajomość branży, nad której tajnikami nigdy dotąd się nie zastanawiałam. Właśnie wtedy postanowiłam pomóc mu w rozwiązaniu obu jego problemów.

Nie byłam bynajmniej zaskoczona odkrywszy jego uczucia wobec Becky, ją natomiast do tego stopnia oczarował Guy, że na Charlie'ego wcale nie zwracała uwagi. Właśnie podczas jednego z jego nie kończących się monologów, w których wychwalał zalety swej współpracownicy, zaczęłam układać dla niego plany na przyszłość.

Doszłam do przekonania, że musi zdobyć wykształcenie, może nie wykształcenie uniwersyteckie, o jakie ubiegała się Becky, lecz zasób wiedzy, który okaże się przydatny w wybranej przez niego dziedzinie działalności.

Zapewniłam go, że Guy już niedługo będzie miał dosyć Becky, gdyż taki był nieodmiennie los dziewcząt, które w przeszłości miały pecha się z nim zetknąć. Dodałam, że musi uzbroić się w cierpliwość, a jabłko w końcu samo spadnie w jego ręce. Przy okazji wyjaśniłam mu również, kim był Newton.

Kiedy Becky została zaproszona na weekend do Ashurst, czyli do domu rodziców Guya, doszłam do wniosku, że już niedługo zaczną płynąć potoki łez, o których mówiła moja niania. Postarałam się o to, by państwo Trentham zaprosili mnie na niedzielny podwieczorek, chciałam bowiem w razie potrzeby udzielić Becky duchowego wsparcia.

Przyjechałam tam około trzeciej czterdzieści, czyli w porze, którą uznawałam zawsze za porę podwieczorku, ale przy zastawionym srebrem i porcelaną stole zastałam tylko panią Trentham.

- Gdzie są szczęśliwi zakochani? - spytałam, wchodząc do salonu.

- Jeśli z typową dla siebie nonszalancją określasz w ten sposób mego syna i pannę Salmon, Daphne, to wyjechali już do Londynu.

- Razem, jak sądzę? - dociekałam dalej.

- Owszem, choć za nic na świecie nie potrafiłabym sobie wyobrazić, co ten chłopak w niej widzi.

- Pani Trentham naleła mi filiżankę herbaty. - Jeśli chcesz usłyszeć moje zdanie, to wydaje mi się ona bardzo pospolita.

- Być może oczarowała go jej inteligencja i uroda - stwierdziłam nieśmiało, widząc, że do pokoju wchodzi właśnie major Trentham.

Uśmiechnęłam się do niego, gdyż znałam go od dziecka i traktowałam jak własnego wuja. Wiedziałam o nim wszystko, ale nigdy nie potrafiłam zgłębić jednej tajemnicy: jak mógł zakochać się w takiej osobie jak Ethel Hardcastle.

- Czy Guy również wyjechał? - spytał.

- Owszem, odwiózł pannę Salmon do Londynu - po raz drugi oznajmiła pani Trentham.

- To naprawdę wielka szkoda. Moim zdaniem to wspaniała dziewczyna.

- Może wspaniała, ale w dość prowincjonalny sposób - dodała pani Trentham.

- Mam wrażenie, że Guy za nią przepada - dorzuciłam, chcąc zobaczyć jej reakcję.

- Boże, zachowaj! - zawołała pani Trentham.

- Wątpię, czy Bóg będzie miał z tym wiele wspólnego - odparłam, coraz bardziej zapalając się do dyskusji.

- W takim razie, ja o to zadbam - oświadczyła. - Nie pozwolę na to, by mój syn poślubił córkę kupca z East Endu.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego - wtrącił major. - Bądź co bądź, czyż twój ojciec nie zajmował się właśnie handlem?

- Geraldzie, przestań. Mój ojciec założył i rozbudował doskonale prosperującą firmę w Yorkshire, a nie na East Endzie.

- W takim razie uważam, że różnica dotyczy jedynie lokalizacji - stwierdził major. - Pamiętam dobrze, jak twój ojciec mówił mi, i to z wielką dumą, że jego stary założył firmę Hardcastle w jakimś baraczkunie opodal Huddersfield.

- Geraldzie... jestem pewna, że przesadzał.

- Nigdy nie wydawał mi się człowiekiem skłonny do przesady - odparł stanowczo major. - Wręcz przeciwnie, jest facetem cholernie rzeczowym. Za to go zawsze ceniłem.

- W takim razie musiało to być już dawno temu - oświadczyła pani Trentham.

- Co więcej, przypuszczam, że dożyjemy czasów, w których dzieci Rebeki Salmon będą sobie radzić cholernie dobrze, o wiele lepiej niż tacy jak my - dodał major.

- Wolałabym, żebyś nie używał tak często słowa "cholernie", Geraldzie. Wszyscy ulegamy wpływowi tego socjalistycznego dramaturga, pana Shaw, i jego okropnego Pigmaliona, który wydaje

się niczym innym jak sztuką o pannie Salmon.

- Bynajmniej - zaproponowałam. - Bądź co bądź Becky opuści Uniwersytet Londyński z dyplomem magistra historii sztuki, co nie udało się żadnemu z członków mojej rodziny na przestrzeni ostatnich jedenastu stuleci.

- Może i tak - zgodziła się pani Trentham - ale nie są to kwalifikacje, które przyczyniłyby się do przyspieszenia kariery wojskowej mego syna, zwłaszcza że jego pułk ma teraz zostać przeniesiony na jakiś czas do Indii.

Ta informacja była dla mnie gromem z jasnego nieba. Nie miałam wątpliwości, że Becky również nic o tym nie wie.

- A kiedy wróci w te strony - ciągnęła pani Trentham - poszukam dziewczyny, która będzie mieć dobre pochodzenie, sporo pieniędzy i może nawet dość inteligencji, by zostać jego towarzyszką życia. Geraldowi nie udało się zostać dowódcą swego pułku, gdyż padł ofiarą małostkowych intryg, ale zapewniam was, że nie pozwolę na to, by ten sam los spotkał Guya.

- Ja po prostu nie nadawałem się na to stanowisko - stwierdził burkliwym głosem major. - Sir Danvers posiadał znacznie wyższe kwalifikacje, a poza tym jedyną osobą, która kiedykolwiek chciała, żebym został pułkownikiem, byłaś ty.

- Tak czy owak, uważam, że oceny, z jakimi Guy ukończył szkołę w Sandhurst...

- Udało mu się uplasować wśród pierwszej połowy absolwentów swego rocznika - przypomniał jej mąż. - Trudno doprawdy nazwać to zaszczytnym wyróżnieniem.

- Ale za postawę na polu bitwy otrzymał Krzyż Wojenny i pochwalną wzmiankę w rozkazie dziennym...

Major mruknął coś, z czego wynikało, że wyraził już niejednokrotnie swą opinię na powyższy temat.

- A więc jak widzicie - ciągnęła pani Trentham - jestem głęboko przekonana, że Guy zostanie dowódcą swego pułku, i nieskrywam przed wami, iż mam już na myśli kogoś, kto dopomoże mu w tych staraniach. Bądź co bądź, Daphne, żona może ułatwić mężowi karierę, ale może też ją złamać.

- Przynajmniej w tej sprawie w pełni się z tobą zgadzam, moja droga - mruknął major.

Wracałam do Londynu z poczuciem ulgi, wynikającym z przekonania, że po takim spotkaniu związek między Becky a Guyem musi ulec rozkładowi. Im częściej widywałam tego cholernego faceta, tym większą budził we mnie nieufność.

Kiedy weszłam wieczorem do mieszkania, Becky, zapłakana i roztrzęsiona, siedziała na kanapie.

- Ona mnie nienawidzi - brzmiały jej pierwsze słowa.

- Jeszcze cię nie doceniła. - Tak, o ile pamiętam, sformułowałam swoją odpowiedź. - Ale mogę ci powiedzieć, że major uważa cię za wspaniałą dziewczynę.

- To bardzo miłe z jego strony - ucieszyła się Becky. - Oprowadził mnie po całym majątku.

- Moja droga, nie nazywa się majątkiem siedmiuset akrów. Może jest to posiadłość ziemska, ale z pewnością nie majątek.

- Czy myślisz, że Guy przestanie się ze mną widywać po tym, co zaszło w Ashurst?

Chciałam powiedzieć, że mam taką nadzieję, ale udało mi się powściągnąć język. - Nie przestanie, jeśli ma choć odrobinę charakteru - odparłam dyplomatycznie.

Guy w istocie spotkał się z nią w następnym tygodniu i o ile wiem, nigdy więcej nie wspomniał jej o swojej matce ani o owym niefortunnym weekendzie.

Ja jednak nadal uważałam, że mój długofalowy plan, dotyczący Becky i Charlie'ego, ma wszelkie

szansę powodzenia, dopóki, wróciwszy kiedyś do domu po długim weekendzie, nie znalazłam na podłodze w salonie jednej z moich ulubionych sukien. Idąc tropem znaczonej przez części garderoby, dotarłam do drzwi sypialni Becky i otworzywszy je ostrożnie przekonałam się z przerażeniem, że obok łóżka leży również ubranie Guya. Miałam dotąd nadzieję, że Becky przejrzy tego łobuza na wylot, zanim pozwoli na to, by ich znajomość osiągnęła ten nieodwracalny etap.

Nazajutrz Guy wyruszył w podróż do Indii i gdy tylko zniknął, Becky zaczęła opowiadać wszystkim, którzy zechcieli jej słuchać, że jest z tym typem zaręczona, choć nie potwierdzała tego ani pierścionem na jej palcu, ani anons w jakiegokolwiek gazecie. - Słowo Guya całkowicie mi wystarcza - zapewniła mnie, a ja w obliczu tego stwierdzenia po prostu oniemiałam ze zdumienia.

Kiedy wróciłam tego wieczora do domu, zastałam ją śpiącą w 13 - Prosto jak strzelił moim łóżku. Nazajutrz przy śniadaniu wytłumaczyła mi, że położył ją w nim Charlie, ale nie udzieliła żadnych dodatkowych wyjaśnień.

W następną niedzielę znów wprosiłam się do państwa Trentham, a matka Guya oznajmiła mi przy podwieczorku, że syn zapewnił ją, iż nie kontaktował się z panną Salmon od dnia jej przedwczesnego wyjazdu z Ashurst, czyli od przeszło sześciu miesięcy.

- Ależ to nie jest... - zaczęłam, ale urwałam w pół zdania, przypomniawszy sobie daną Becky obietnicę; przyrzekłam jej, że zachowam w sekrecie przed jego matką wszystkie ich dalsze spotkania.

W kilka tygodni później Becky oznajmiła mi, że nie miała okresu.

Przysięgam, że nie zdradzę jej tajemnicy, ale bez wahania poinformowałam o tym Charlie'ego, i to jeszcze tego samego dnia. Niemal oszalał usłyszawszy tę wiadomość. Sytuację pogarszało to, że widując się z Becky, musiał udawać całkowitą nieświadomość.

- Przysięgam, że gdyby ten drań Trentham znalazł się z powrotem w Anglii, zabiłbym go - powtarzał stale Charlie, jak zwykle krążąc nerwowo po salonie.

- Znam co najmniej trzy dziewczyny, których ojcowie chętnie wykonaliby tę robotę za ciebie, gdyby Trentham był w Anglii - odparłam.

- Więc co mogę w tej sprawie zrobić? - spytał Charlie.

- Niewiele - przyznałam. - Myślę, że twoimi wielkimi sprzymierzeńcami okażą się czas i osiem tysięcy mil, jakie dzielą nas od Indii.

Pułkownik również należał do ludzi, którzy chętnie zastrzeliliby Trenthama przy najmniejszej okazji, choć w jego przypadku chodziło raczej o honor pułku i tak dalej. Zagroził nawet, że pójdzie do majora Trenthama i wygarnie mu prawdę prosto w oczy. Mogłam mu powiedzieć, że głównym problemem bynajmniej nie jest major.

Nie byłam jednak pewna, czy pułkownik, choć tak zaprawiony w bojach z różnymi rodzajami wrogów, natrafił kiedykolwiek na tak potężnego przeciwnika jak pani Trentham.

Chyba mniej więcej w tym okresie Percy Wiltshire został w końcu zwolniony ze służby w Gwardii Szkockiej. W ostatnich czasach przestałam się nawet niepokoić telefonami od jego matki.

Podczas tych okropnych lat 1916 - 1919 zawsze byłam pewna, że dzwoni po to, by mnie poinformować, iż Percy zginął na Zachodnim Froncie, podobnie jak jego ojciec i starszy brat. Dopiero po latach wyznałam owdowiałej markizie, jak bardzo byłam przerażona słysząc w słuchawce jej głos.

Potem, całkiem niespodziewanie, Percy poprosił, żebym za niego wyszła. Od tej chwili byłam tak zaabsorbowana myślami o naszej wspólnej przyszłości i koniecznością odwiedzenia licznych członków jego rodziny, że zaniedbałam całkowicie moje obowiązki wobec Becky. Zanim zdążyłam

się obejrzeć, wydała ona na świat małego Daniela. Miałam nadzieję, że wystarczy jej sił, by nosić z godnością nieuniknione piętno.

W kilka miesięcy po chrzcinach dziecka, wracając z weekendu, który spędzałam w wiejskiej posiadłości mojej przyszłej teściowej, postanowiłam złożyć swej przyjaciółce niespodziewaną wizytę.

- Jak miło cię zobaczyć! - zawołała Becky, zrywając się z miejsca. - Nie widziałyśmy się od lat. Zrobię ci herbatę.

- Dziękuję - odparłam. - Wpadłam tylko po to, by się upewnić, że masz czas w... - Przerwałam nagle, bo mój wzrok padł na mały olejny obraz, który wisiał nad obudową kominka.

- Cóż za piękna Madonna - powiedziałam z zachwytem.

- Ależ musiałaś ją już widzieć wiele razy - stwierdziła Becky. - Przecież wisiała u Charlie'ego...

- Nie, nigdy dotąd jej nie widziałam - odparłam, nie mając pojęcia, do czego zmierza.

ROZDZIAŁ 14

W dniu, w którym doręczono Daphne ozdobny kartonik ze złotą obwódką, umieściła go na obudowie kominka między zaproszeniem do Królewskiej Łoży w Ascot zawiadomieniem o garden party w Pałacu Buckingham. Podejrzewała jednak, że ta pamiątka będzie stała na widoku publicznym, kiedy druki z Ascot i z Pałacu dawno już zostaną wrzucone do kosza na śmieci.

Daphne spędziła tydzień w Paryżu, wybierając trzy toalety na trzy różne okazje, ale przeznaczyła najbardziej wytworną z nich na uroczystość wręczenia dyplomu Becky, którą w rozmowach z Percym nazywała "wielkim wydarzeniem".

Jej narzeczony - choć nie przyzwyczała się jeszcze do nazywania go w ten sposób - również przyznał, że nigdy dotąd nie brał udziału w tego rodzaju ceremonii.

Brygadier Harcourt-Browne zaproponował, by Hoskins zawiózł jego córkę do gmachu uniwersytetu Rolls-Royce'em, stwierdzając przy okazji, że jest nieco zazdrosny, ponieważ zaproszenie nie obejmuje jego osoby.

Kiedy nadszedł uroczysty dzień, Percy zaprosił Daphne na lunch do Ritza. Przejrzawszy po raz nie wiadomo który listę gości i wykaz pieśni, jakie miały zostać odśpiewane podczas nabożeństwa, zaczęli omawiać szczegóły popołudniowej eskapady.

- Mam nadzieję, że nie będą nam zadawać kłopotliwych pytań - powiedziała Daphne. - Bo nie ulega wątpliwości, że na żadne nie będę w stanie odpowiedzieć.

- Och, jestem pewien, że nam to nie grozi, staruszko - odparł Percy. - Choć dotąd nie brałem udziału w takich fetach. My, Wilshire'owie, nigdy nie naraziliśmy władz żadnej uczelni na tego rodzaju kłopoty - dodał, wybuchając śmiechem, który jak zwykle przypominał atak kaszlu.

- Musisz się pozbyć tego zwyczaju, Percy. Kiedy chcesz się śmiać - śmieć się. Kiedy chcesz kaszleć - kaszleć.

- Jak sobie życzysz, staruszko.

- I przestań nazywać mnie "staruszką". Mam zaledwie dwadzieścia trzy lata, a moi rodzice nadali mi zupełnie przyzwoite chrześcijańskie imię.

- Jak sobie życzysz, staruszko - powtórzył Percy.

- Nie słyszałaś ani słowa z tego, co mówiłam. - Daphne zerknęła na zegarek. - Wydaje mi się, że powinniśmy już ruszać. Tym razem nie chciałabym się spóźnić.

- I bardzo słusznie - przyznał Percy i poprosił kelnera o rachunek.

- Czy wiesz, jak można tam dojechać, Hoskins? - spytała Daphne, kiedy szofer otworzył przed nią drzwi Rolls-Royce'a.

- Owszem, proszę jaśnie pani, pozwoliłem sobie przejechać tę trasę w ubiegłym tygodniu, kiedy

jego lordowska mość bawił w Szkocji.

- Doskonały pomysł, Hoskins - stwierdził Percy. - Inaczej moglibyśmy jeździć w kółko przez całe popołudnie.

Kiedy Hoskins włączył silnik, Daphne spojrzała na ukochanego mężczyznę i po raz kolejny doszła do wniosku, że dokonała szczęśliwego wyboru. W gruncie rzeczy wybrała go już w wieku szesnastu lat i nigdy nie zachwiała się w przekonaniu, że jest dla niej właściwym partnerem - mimo że on wcale nie zdawał sobie z tego sprawy. Zawsze uważała, że Percy jest wspaniałym mężczyzną; był życzliwy, uprzejmy, miły i choć nie można by nazwać go przystojnym, z pewnością wyglądał dystyngowanie. Co wieczór dziękowała Bogu, że wyszedł z tej okropnej wojny bez szwanku. Od chwili, w której Percy oznajmił jej, iż wstąpił do Gwardii Szkockiej i wyjeżdża do Francji, rozpoczęły się trzy najbardziej nieszczęśliwe lata jej życia. Każdy list, każda wiadomość, każdy telefon wydawał jej się nieodmiennie zwiastunem jego śmierci. Podczas jego nieobecności próbowali zalecać się do niej inni młodzi ludzie, ale nie odnieśli sukcesu, gdyż Daphne jak Penelopa czekała na powrót swego wybranego partnera. Uwierzyła, że żyje, dopiero wtedy, kiedy zobaczyła, jak schodzi po trapie w Dover. Dotąd wspominała ze wzruszeniem jego pierwsze słowa.

- Skąd się tu wzięłaś, staruszek? Cóż za przedziwny zbieg okoliczności, nie uważasz?

Percy nigdy nie twierdził, że wstąpił do wojska za przykładem swego ojca, choć "The Times" poświęcił pół strony na wspomnienie o poległym markizie. Opisano w nim jego udział w bitwie nad Marną, podczas której samotnie unieszkodliwił całą niemiecką baterię i zdobył "najbardziej chyba zasłużony Krzyż Wiktorii w dziejach tej wojny". Kiedy w miesiąc później brat Percy'ego zginął pod Ypres, Daphne uświadomiła sobie, jak wiele rodzin przeżywa tego rodzaju dramaty. Teraz Percy odziedziczył tytuł i został dwunastym markizem Wilshire. Od dziesiątego do dwunastego w ciągu kilku zaledwie tygodni.

- Czy jesteś pewien, że jedziemy we właściwym kierunku? - spytała Daphne, gdy dotarli do Shaftesbury Avenue.

- Tak, proszę jaśnie pani - odparł Hoskins, który najwyraźniej postanowił ją tytułować, choć nie była jeszcze żoną Percy'ego.

- On po prostu pomaga ci się do tego przyzwyczaić, staruszek - stwierdził Percy, a potem znów zaczął kaszleć.

Daphne była zachwycona, kiedy Percy oznajmił jej, że zamierza zrezygnować ze służby w Gwardii Szkockiej i przejąć zarząd nad rodzinnymi majątkami. Choć podziwiała go w granatowym mundurze z czterema równo rozmieszczonymi mosiężnymi guzikami, butach z ostrogami i zabawnej czapce w czerwono-biało-czarną kratę, chciała wyjść za farmera, a nie za żołnierza. Perspektywa życia w Indiach, Afryce czy innych koloniach bynajmniej nie wydawała jej się atrakcyjna.

Kiedy skręcili w Malet Street, dostrzegli tłum ludzi, którzy wchodzili po kamiennych stopniach do monumentalnego budynku.

- To właśnie musi być główny gmach uniwersytetu - zawołała Daphne, jakby odkryła jakąś nie znaną dotąd piramidę.

- Tak, proszę jaśnie pani - odparł Hoskins.

- I pamiętaj, Percy... - zaczęła Daphne.

- Tak, staruszek?

- ...że nie wolno ci się odzywać, dopóki ktoś nie przemówi do ciebie pierwszy. Tym razem nie jesteśmy na swoim terenie i nie chcę, by którekolwiek z nas wyszło na durnia. Czy nie zapomniałeś

zabrać zaproszeń i tych specjalnych biletów, na których są wpisane nasze miejsca?

Wiem, że je gdzieś schowałem. - Percy zaczął przeszukiwać kieszenie.

- Są w lewej wewnętrznej kieszeni pańskiej marynarki, panie markizie - oznajmił Hoskins, zatrzymując samochód.

- Tak, oczywiście, właśnie tam je włożyłem - powiedział Percy.

- Dziękuję, Hoskins.

- Nie ma za co, panie markizie.

- Idź po prostu za tym tłumem - poleciła narzeczonemu Daphne.

- I staraj się wyglądać tak, jakbyś co tydzień brał udział w tego rodzaju uroczystościach.

Minęli szereg umundurowanych portierów i woźnych, a potem odzwierny sprawdził ich bilety i poprowadził ich do rzędu M.

- Nigdy jeszcze nie siedziałam tak daleko na sali teatralnej - powiedziała Daphne.

- Ja tylko raz starałem się trzymać w tej odległości od sceny - przyznał Percy. - Ale było to wtedy, kiedy jej centrum zajmowali Niemcy. - Znów zaczął kaszleć.

Siedzieli w milczeniu, patrząc przed siebie i czekając na rozwój wydarzeń. Na podium stało tylko czternaście foteli, z których dwa, ustawione na samym środku, bardziej przypominały trony.

O drugiej pięćdziesiąt dwie na podium weszło powolnym krokiem dziesięciu mężczyzn i dwie kobiety; wszyscy mieli na sobie długie czarne togi, które wydały się Daphne bardzo podobne do szlafroków, i purpurowe szaliki. Kiedy zajęli wyznaczone im fotele, wolne pozostały tylko oba trony. Z wybiciem godziny trzeciej uwagę Daphne przyciągnęła galeria minstreli, z której rozległy się fanfary, oznajmiające przybycie gości. Obecni na sali powstali z miejsc na wejście króla i królowej, którzy zasiedli na centralnie ustawionych tronach. Wszyscy z wyjątkiem pary królewskiej wysłuchali na stojąco hymnu narodowego.

- Bertie wygląda bardzo dobrze jak na swój wiek - oznajmił Percy, zasiadając ponownie na krześle.

- Bądź cicho - upomniała go Daphne. - Nikt poza tobą nie zna go osobiście.

Starszy mężczyzna w długiej todze, jedyny człowiek na sali, który nie usiadł, poczekał, aż wszyscy zajmą swoje miejsca, a potem zrobił krok do przodu, uklonił się parze królewskiej i przemówił do zgromadzonych.

Wicekanclerz uniwersytetu, sir Russell Russell-Wells, mówił już przez dłuższą chwilę, kiedy Percy zwrócił się do swej narzeczonej z pytaniem: - Jak może zrozumieć te wszystkie brednie człowiek, który zrezygnował z nauki łaciny już po trzecim semestrze?

- Ja wytrzymałam ją tylko przez rok.

- Więc niewiele możesz mi pomóc, staruszko - wyszeptał Percy.

Jakiś siedzący przed nimi mężczyzna odwrócił się i spojrzał na nich z oburzeniem.

Daphne i Percy starali się zachować milczenie aż do końca ceremonii, choć Daphne musiała od czasu do czasu kłaść dłoń na kolanach narzeczonego, który wiercił się na niewygodnym drewnianym krześle.

- Król może to znieść bez trudu - wyszeptał Percy - bo siedzi na cholernie dużej miękkiej poduszce.

W końcu nadszedł moment, na który oboje czekali.

Wicekanclerz, który odczytywał nazwiska z honorowej listy, dotarł w końcu do litery T. Wtedy oznajmił: - Magisterium historii sztuki, pani Rebeka Trumper z Bedford College. - Oklaski niemal

dwukrotnie przybrały na sile, jak zawsze, kiedy osobą odbierającą dyplom z rąk honorowego gościa była kobieta. Becky dygnęła przed królem, który przyczepił do jej togi wymieniony w programie uroczystości "purpurowy kaptur" i wręczył jej rulon pergaminu.

Dygnęła ponownie, cofnęła się o dwa kroki, a potem powróciła na swoje miejsce.

- Sam nie zrobiłbym tego lepiej - powiedział Percy, również bijąc brawo. - I nie muszę zgadywać, kto przygotował ją do tego krótkiego występu.

Daphne zarumieniła się lekko. Oboje pozostali na miejscach jeszcze przez jakiś czas, obserwując wręczanie dyplomów studentom, których nazwiska zaczynały się na literę U, V, W i Y, a potem wraz z innymi uciekli do ogrodu, w którym podawano herbatę.

- Nigdzie ich nie widzę - stwierdził Percy, stojąc na środku trawnika i obracając się powoli wkoło.

- Ja też nie - odparła Daphne. - Ale rozglądaj się dalej. Muszą być gdzieś niedaleko.

- Dzień dobry, panno Harcourt-Browne.

Daphne odwróciła się na pięcie. - Och, dzień dobry pani Salmon, miło mi panią widzieć. Cóż za czarujący kapelusz... ach, a oto panna Roach... Percy, to jest matka Becky, pani Salmon, i jej ciotka, panna Roach. Mój narzeczony...

- Miło mi pana poznać, panie markizie - powiedziała pani Salmon, zastanawiając się, czy któraś z przyjaciółek z Rumford uwierzy jej, kiedy będzie opowiadać o tym spotkaniu.

- Musi pani być bardzo dumna z córki - stwierdził Percy.

- Owszem jestem, panie markizie - odparła pani Salmon.

Panna Roach stała jak posąg, nie odzywając się.

- A gdzie jest nasza mała uczona? - zapytała Daphne.

- Jestem tutaj - odpowiedziała Becky, wyłaniając się z grupy świeżo upieczonych absolwentów. -

Ale gdzie byliście wy?

- Szukaliśmy ciebie.

Obie dziewczyny uściśniły się serdecznie.

- Czy widziałaś gdzieś moją matkę?

- Była tu przed chwilą - odparła Daphne, rozglądając się.

- Chyba poszła zjeść kanapkę - odezwała się panna Roach.

- To typowe dla mamy - stwierdziła ze śmiechem Becky.

- Cześć, Percy - powitał gościa Charlie. - Co słysząc?

- Wszystko w porządku - stwierdził Percy, wybuchając atakiem kaszlu. - Widzę, że dobrze pani poszło - dodał na widok pani Salmon, która wróciła z dużym talerzem kanapek.

- Gdyby Becky odziedziczyła zdrowy rozsądek po matce - powiedziała Daphne, wybierając dla narzeczonego kanapkę z ogórkiem - zasłaby w życiu daleko, bo podejrzewam, że za kwadrans nie zostanie tu już nic do jedzenia. - Wzięła sobie kanapkę z wędzonym łososiem. - Czy byłaś bardzo zdenerwowana wchodząc na tę scenę? - spytała, ponownie koncentrując uwagę na Becky.

- Oczywiście. A kiedy król założył mi kaptur na głowę, o mało nie ugięły się pode mną nogi. Potem stało się coś jeszcze gorszego: kiedy wróciłam na miejsce, zobaczyłam, że Charlie płacze.

- To nieprawda - zaoponował jej mąż.

Becky w milczeniu wzięła go pod rękę.

- Dostyc mi się podoba ten czerwony kapturek - oznajmił Percy.

- Myślę, że dobrze wyglądałbym w czymś takim na przyszłorocznym balu myśliwskim. Co o tym

myślisz, staruszeko?

- Musiałbyś zdobyć się na ciężką pracę, by uzyskać prawo do chodzenia w takim kapturze, Percy. Wszyscy odwrócili głowy, by zobaczyć, kto wygłosił to zdanie.

Percy skłonił się lekko. - Wasza królewska mość jak zwykle ma rację. Chciałbym dodać, sir, że biorąc pod uwagę moje dotychczasowe wyniki w nauce, wątpię, by spotkał mnie kiedykolwiek taki zaszczyt.

Król uśmiechnął się i dodał: - Muszę stwierdzić, Percy, że zabłąkałeś się dość daleko od swego normalnego otoczenia.

- Jedną z absolwentek jest przyjaciółka Daphne - wyjaśnił Percy.

- Daphne, kochanie, jak miło cię zobaczyć - powiedział król. - Nie miałem jeszcze sposobności pogratulować ci z okazji zaręczyn.

- Dostałam wczoraj miły list od królowej, wasza królewska mość. Czujemy się zaszczytzeni, że oboje będziecie mogli przybyć na ślub.

- Tak, to po prostu wspaniale - dodał Percy. - Czy mogę przedstawić panią Trumper, która otrzymała przed chwilą dyplom? - Becky po raz drugi uściśnęła dłoń króla. - To jest jej mąż, pan Charles Trumper, a to matka pani Trumper, pani Salmon i jej ciotka, panna Roach.

Król podał ręce wszystkim czworgu, a potem stwierdził: - Brawo, pani Trumper. Mam nadzieję, że z pożytkiem wykorzysta pani swój dyplom.

- W przyszłym tygodniu rozpoczynam pracę w firmie Sotheby's, wasza królewska mość. Jako praktykantka w dziale malarstwa.

- Znakomicie. W takim razie pozostaje mi tylko życzyć pani dalszych sukcesów. Do zobaczenia na weselu, jeśli nie wcześniej, Percy. - Król skłonił się im lekko i podszedł do kolejnej grupy gości.

- Porządny facet - mruknął Percy. - To miło z jego strony, że do nas podszedł.

- Nie miałam pojęcia, że go znasz... - zaczęła Becky.

- Prawdę mówiąc mój pra-pra-pra-pradziadek próbował zamordować jego pra-pra-pra-pradziadka, i gdyby mu się to udało, nasze role mogłyby zostać odwrócone. Mimo to zawsze traktował całą aferę z wielkim zrozumieniem.

- A co się stało z twoim pra-pra-pra-pradziadkiem? - spytał Charlie.

- Został wygnany - odparł Percy. - I muszę przyznać, że zupełnie słusznie. W przeciwnym wypadku mógłby podjąć następną próbę.

- Mój Boże! - zawołała ze śmiechem Becky.

O co chodzi? - spytał Charlie.

- Właśnie zdałam sobie sprawę, kim był pra-pra-pra-pradziadek Percy'ego.

Daphne nie miała okazji zobaczyć się z Becky aż do dnia swego ślubu, gdyż ostatnie tygodnie przed ceremonią upłynęły jej na gorączkowych przygotowaniach. Miała jednak okazję dowiedzieć się, co słyhać na Chelsea Terrace, bo podczas przyjęcia u lady Denham na Onslow Square natknęła się na pułkownika i jego żonę.

Pułkownik oznajmił jej sotto voce, że Charlie ma dość znaczny dług w banku, "ale spłacił wszystkich pozostałych ważniejszych wierzycieli". Daphne uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, że ostatnia rata jej należności została w typowy dla Charlie'ego sposób spłacona na kilka miesięcy przed terminem. - I dowiedziałem się właśnie, że ma na oku następny sklep - dodał pułkownik.

- Który tym razem?

- Piekarnię - numer 145.

- To branża ojca Becky - przypomniała sobie Daphne. - Czy mają nadzieję, że uda im się ją zdobyć?
- Tak, chyba tak, choć obawiam się, że tym razem Charlie będzie musiał zapłacić nieco powyżej ceny rynkowej.
- Dlaczego?
- Piekarnia sąsiaduje ze sklepem owocowo-warzywnym, więc pan Reynolds doskonale zdaje sobie sprawę, jak bardzo Charlie'emu zależy na jej kupieniu. Ale Charlie złożył mu kuszącą propozycję. Obiecał Reynoldsowi stanowisko kierownika i udział w zyskach.
- Hmm. Jak długo pańskim zdaniem potrwa ten układ?
- Dopóki Charlie nie pozna na nowo tajników prowadzenia piekarni.
- A co słysząc u Becky?
- Wylądowała na posadzie w firmie Sotheby's. Pracuje jako ekspedientka.
- Ekspedientka? - podniesionym głosem spytała Daphne. - Więc zadawała sobie cały ten trud i zdobywała dyplom, by skończyć jako ekspedientka?
- Podobno w firmie Sotheby's wszyscy zaczynają od tego stanowiska, niezależnie od swoich kwalifikacji. Tak tłumaczyła mi Becky - odparł pułkownik. - Można być synem dyrektora naczelnego, mieć za sobą kilka lat pracy w ważnej galerii na West Endzie, posiadać dyplom lub w ogóle nie mieć kwalifikacji, ale i tak zaczyna się za ladą. Kiedy przekonają się o czyjejś wartości, przenoszą go do któregoś z wyspecjalizowanych działów. W gruncie rzeczy, podobnie jak w armii.
- W jakim dziale chciałaby znaleźć się Becky?
- Podobno chce pracować u jakiegoś staruszka nazwiskiem Pemberton, który jest cenionym ekspertem w dziedzinie sztuki renesansu.
- Założę się - powiedziała Daphne - że nie będzie stała za ladą dłużej niż kilka tygodni.
- Charlie ma o niej lepszą opinię - oznajmił pułkownik.
- Ach, więc jak długo jego zdaniem będzie ekspedientką?
- Najwyżej przez dziesięć dni - z uśmiechem odpowiedział pułkownik.

ROZDZIAŁ 15

Kiedy na Lowndes Square przynoszono poranną pocztę, lokaj nazwiskiem Wentworth układał listy na srebrnej tacy i zanosił je do gabinetu brygadiera, a jego pan wybierał przesyłki adresowane do siebie i zwracał mu resztę. Później Wentworth doręczał pozostałe koperty mieszkającym w rezydencji damom.

Ale po ogłoszeniu anonsu o zaręczynach córki w "Timesie" i rozesłaniu pięciuset zaproszeń na zbliżające się wesele, pułkownik miał dość sortowania nadchodzących listów i kazał Wentworthowi odbywać zwykłą drogę w odwrotnym kierunku, tak że do jego rąk docierały tylko przesyłki adresowane do niego.

W poniedziałkowy czwercowy poranek 1921 roku Wentworth zapukał do drzwi panny Daphne, a kiedy pozwolono mu wejść, wręczył jej gruby plik listów. Daphne oddzieliła przesyłki adresowane do niej i do matki, a potem nieliczne pozostałe koperty oddała lokajowi, który skłonił się lekko i podjął swą wędrowkę po domu.

Gdy tylko Wentworth zamknął za sobą drzwi, Daphne wstała z łóżka, umieściła plik listów na toalecie i powlokła się do łazienki.

Niedługo po dziesiątej trzydzięci, czując się gotowa do podjęcia codziennych obowiązków, podeszła ponownie do toaletki i zaczęła otwierać koperty. Musiała układać na osobnych stosach potwierdzenia i odmowy, a następnie podkreślać lub przekreślać poszczególne nazwiska widniejące na liście zaproszonych, aby jej matka mogła ustalić dokładnie liczbę gości i odpowiednio rozsadzić ich przy stołach. Tego ranka otworzyła trzydzięci jeden kopert, w których znalazła dwadzieścia jeden potwierdzeń; wśród ich nadawców była jedna księżniczka, jeden wicehrabia, dwaj lordowie, jeden ambasador, a także pułkownik Hamilton i jego żona. Cztery uprzejme odmowy nadeszły od dwóch par małżeńskich przebywających poza krajem, od starego wuja cierpiącego na zaawansowaną cukrzycę i innego wuja, którego córka była na tyle niemądra, by wybrać sobie ten sam termin ślubu. Daphne skreśliła i podkreśliła odpowiednie nazwiska na wykazie zaproszonych, a potem skupiła swą uwagę na pięciu pozostałych listach.

Nadawczynią jednego z nich była jej osiemdziesięciosiedmioletnia, mieszkająca w Cumberland, ciotka Agata, która zapowiadała już od dawna, że nie weźmie udziału w ceremonii ślubnej, gdyż podróż do Londynu może się okazać ponad jej siły. Donosiła jednak, że chce poznać męża Daphne i proponowała, by młoda para złożyła jej wizytę tuż po powrocie z podróży poślubnej.

- Mowy nie ma - powiedziała głośno Daphne. - Gdy wrócę do Anglii, będę miała ważniejsze zajęcia niż wizyty u starych ciotek. - Potem przeczytała dopisek, opatrzony literami PS:

Kiedy przyjedziesz do Cumberland, kochanie, będę miała okazję zasięgnąć Twojej rady w

sprawie mojego testamentu, bo nie wiem, komu zapisać które obrazy; chodzi mi szczególnie o Canaletta, który moim zdaniem zasługuje na to, by trafić w dobre ręce.

Przebiegła stara dama - pomyślała Daphne, wiedząc dobrze, że ciotka Agata opatruje identycznym dopiskiem listy pisane do wszystkich krewnych, nawet najdalszych, zapewniając sobie w ten sposób towarzystwo podczas weekendów.

Druga koperta, opatrzona nagłówkiem specjalizującej się w organizowaniu przyjęć firmy Michael Fishlock and Company, zawierała wstępny kosztorys podwieczorku na pięćset osób, który miał zostać wydany na Vincent Square tuż przed ślubem. Suma trzystu gwinei wydała się Daphne absurdalnie wysoka, ale bez wahania odłożyła kosztorys na bok, wiedząc, że sprawę tę załatwi później jej ojciec. Dwa następne listy, adresowane do matki Daphne, pochodzące od jej przyjaciółek i nie mające związku z weselem, również zostały odłożone na bok.

Piąty list zostawiła na sam koniec, ponieważ jego koperta, opatrzona niezwykle kolorowymi znaczkami, ozdobiona była ponadto w prawym rogu owalną pieczęcią z koroną i wydrukowanym pod nią napisem: "Dziesięć annas".

Bez pośpiechu rozcięła kopertę i wyjęła z niej kilka arkuszy papieru listowego; pierwszy z nich opatrzony był pieczęcią i godłem Królewskich Strzelców.

List zaczynał się od słów: "Droga Daphne". Szybko zajrzała na ostatnią stronę, by zobaczyć podpis, który brzmiał: "Twój przyjaciel, jak zawsze, Guy".

Powróciwszy na pierwszą stronę, zerknęła na adres nadawcy, a potem, z niepokojem, zaczęła czytać.

Kasyno oficerskie 2-ego Batalionu Królewskich Strzelców Koszary Wellington Puna Indie 15 maja 1921

Droga Daphne!

Mam nadzieję, że wybaczysz mi, jeśli powołam się na długą przyjaźń, łączącą nasze rodziny, ale wyłonił się pewien problem, o którym zresztą dobrze wiesz, a ja niestety doszedłem do wniosku, że muszę zwrócić się do Ciebie z prośbą o pomoc i radę.

Jakiś czas temu otrzymałem list od Twojej przyjaciółki, Rebeki Salmon, Daphne odłożyła nie przeczytane strony na toaletkę, żalując, że list nie nadszedł o kilka dni później, już po jej wyjeździe w podróż poślubną. Przez chwilę przeglądała listę gości, ale zdała sobie sprawę, że w końcu i tak będzie musiała przekonać się, czego chce od niej Guy. Powróciła więc do jego listu, w którym poinformowała mnie, że jest w ciąży i że ja jestem ojcem jej dziecka.

Chcę Cię od razu zapewnić, że twierdzenie to jest jak najdalej od prawdy, gdyż podczas jedynej nocy, jaką spędziłem w Twoim mieszkaniu, między mną a Rebeką nie doszło do żadnych zbliżeń fizycznych. Pragnę też dla porządku zaznaczyć, że to ona nalegała, abyśmy zjedli tego wieczora kolację na Chelsea Terrace, mimo iż ja zamówiłem już dla nas stół u Ritza.

W miarę upływu czasu stało się dla mnie oczywiste, że Rebeka usiłuje mnie upić, i w istocie muszę przyznać, że kiedy chciałem wyjść, poczułem lekki zawrót głowy i nie byłem pewien, czy będę w stanie bezpiecznie wrócić do koszar.

-207

Rebeka natychmiast zaproponowała, żebym został na noc i "odespał to pijaństwo". Cytuję dokładnie jej słowa. Oczywiście odmówiłem, ona jednak poinformowała mnie, że mogę spać w Twoim pokoju, ponieważ masz wrócić ze wsi dopiero następnego dnia po południu - co zresztą sama później potwierdziłaś.

Skorzystałem więc z uprzejmej propozycji Rebeki i po położeniu się do łóżka natychmiast zapadłem w głęboki sen, z którego wyrwało mnie trzaśnięcie drzwi. Z przerażeniem stwierdziłem, że weszłaś do pokoju i stoisz tuż nade mną. Jeszcze większym szokiem było dla mnie odkrycie, że Rebeka, całkowicie bez mojej wiedzy, wśliznęła się do łóżka i leży obok mnie.

Byłaś naturalnie speszona i natychmiast wyszłaś. Ja bez słowa wstałem, ubrałem się i wróciłem do koszar, do których dotarłem najpóźniej o pierwszej piętnaście w nocy.

Przybywszy nieco później tego poranka na stację Waterloo, by wyruszyć w podróż do Indii, stwierdziłem z niejakim zdumieniem, że Rebeka stoi na peronie. Spędziłem w jej towarzystwie tylko kilka chwil, ale niedwuznacznie dałem jej do zrozumienia, co myślę o podstępie, jakim posłużyła się wobec mnie poprzedniego wieczora. Potem uścisnąłem jej dłoń i wsiałem do pociągu do Southampton, nie spodziewając się bynajmniej, że kiedykolwiek więcej o niej usłyszę. Następnym sygnałem od panny Salmon był ów nieoczekiwany, absurdalny list, i dlatego właśnie zwracam się teraz do Ciebie z prośbą o pomoc.

Daphne odwróciła stronę i przerwała lekturę, by spojrzeć na swe odbicie w lustrze. Nie miała bynajmniej ochoty się dowiedzieć, czego oczekuje od niej Guy. Zapomniał nawet, w którym pokoju go zastała. Ale po kilku sekundach skierowała wzrok na następną kartkę i znów zaczęła czytać.

Nie musiałbym podejmować w tej sprawie żadnych kroków, gdyby nie fakt, że pułkownik sir Danvers Hamilton z własnej inicjatywy napisał list do mojego nowego dowódcy, pułkownika Forbesa, prezentując mu w nim wersję wydarzeń przedstawioną przez pannę Salmon, w wyniku czego zostałem wezwany przed specjalną komisję śledczą, złożoną z moich kolegów-oficerów.

Opowiedziałem im oczywiście dokładnie, co wydarzyło się owej nocy, ponieważ jednak pułkownik Hamilton nadal posiada w pułku znaczne wpływy, niektórzy z nich nie zechcieli zaakceptować mojej wersji wydarzeń. Na szczęście moja matka napisała w kilka tygodni później do pułkownika Forbesa, donosząc mu, że panna Salmon wyszła za mąż za swego dawnego kochanka, Charlie'ego Trumpera, który nie wypiera się ojcostwa dziecka. Gdyby pułkownik nie uwierzył w prawdziwość jej słów, mógłbym być zmuszony do natychmiastowej rezygnacji z mego stanowiska, ale na szczęście udało mi się uniknąć tak niesprawiedliwego losu. Moja matka donosi mi jednak, że zamierzasz odwiedzić Indie podczas podróży poślubnej (a propos: przesyłam najszczerze gratulacje). Niemal na pewno zetkniesz się wówczas z pułkownikiem Forbesem, a ja przypuszczam, że może on w rozmowie z Tobą nawiązać do tej sprawy, gdyż skojarzy z nią Twoje nazwisko.

Błagam Cię więc, byś nie mówiła mu nic, co mogłoby zaszkodzić mojej karierze. Gdybyś w istocie zechciała potwierdzić moją wersję, cała ta nieprzyjemna sprawa mogłaby zostać w końcu odłożona ad acta.

Twój przyjaciel, jak zawsze, Guy.

Daphne odłożyła list na toaletkę i zaczęła szcztokować włosy, zastanawiając się równocześnie, co ma teraz zrobić. Nie chciała omawiać tej sprawy z rodzicami i nie miała najmniejszej ochoty wciągać w nią swego narzeczonego. Była też pewna, że nie powinna informować Rebeki o liście Guya, dopóki sama nie obmyśli dokładnie planu działania. Była zdumiona, że Guy, który najwyraźniej świadomie odciął się od rzeczywistości, podejrzewa ją o tak krótką pamięć.

Odłożyła szcztokę i przejrzała się w lustrze, a potem powróciła do listu i przeczytała go drugi, a następnie trzeci raz. W końcu wsadziła go do koperty i usiłowała o nim zapomnieć, ale choć próbowała na różne sposoby zająć się czymś innym, słowa Guya nadal rozbrzmiewały w jej myślach. Najbardziej dotknęło ją to, że uważał ją za osobę aż tak łatwowierną.

Nagle zdała sobie sprawę, do kogo powinna zwrócić się o radę.

Podniosła słuchawkę i poprosiwszy telefonistkę o połączenie jej z pewnym numerem w dzielnicy Chelsea, z zadowoleniem stwierdziła, że pułkownik jest jeszcze w domu.

- Wychodziłem właśnie do mojego klubu, Daphne - poinformował ją. - Ale powiedz mi, proszę, co mogę dla ciebie zrobić.

14 - Prosto jak strzelił - Muszę z panem pilnie porozmawiać, ale nie jest to sprawa, którą można by załatwić przez telefon.

- Rozumiem - odparł pułkownik i po chwili namysłu dodał: - Jeśli masz czas, to może zjadłabyś ze mną lunch w klubie "In and Out"? Zamówię stolik w sali, do której wolno zapraszać kobiety.

Daphne z wdzięcznością przystała na jego propozycję i poprawiwszy makijaż kazała Hoskinsowi zawieźć się na Piccadilly, dzięki czemu przybyła do klubu kilka minut po pierwszej.

Pułkownik czekał na nią w hallu. - Cóż za miła niespodzianka - powiedział na powitanie. - Nie codziennie widują mnie na lunchu z piękną młodą kobietą. Moja reputacja w klubie niepomrotnie wzrosła. Będę odtąd pozdrawiał machnięciem ręki wszystkich generałów i brygadierów, jakich spotkam.

Zauważywszy, że Daphne nie roześmiała się z jego żartu, natychmiast zmienił sposób bycia. Wziął delikatnie pod ramię swego gościa i poprowadził do jadalni dla kobiet. Gdy tylko wypisał zamówienie i podał je kelnerce, Daphne wyjęła z torebki list Guya i wręczyła mu go bez słowa komentarza.

Pułkownik umieścił w zdrowym oku monokl i zaczął czytać, zerkając od czasu do czasu na Daphne, która nie tykała postawionego przed nią talerza z zupą Brown Windsor.

- To paskudna sprawa - powiedział, umieszczając list w kopercie i zwracając go Daphne.

- Owszem, ale co pańskim zdaniem powinnam zrobić?

- Jedno jest pewne, moja droga: nie możesz omawiać treści tego listu z Charlie'm ani z Becky. Nie wiem też, jak możesz uniknąć zawiadomienia Trenthama, że jeśli ktoś kiedykolwiek spyta cię wprost, kto jest ojcem dziecka, będziesz czuła się zobowiązana powiedzieć prawdę. - Przerwał i przełknął łyżkę zupy. - Przysięgam, że do końca życia nie odezwę się ani słowem do pani Trentham - dodał bez żadnych wyjaśnień.

Becky była zaskoczona jego uwagą; do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że pułkownik kiedykolwiek zetknął się z tą kobietą.

- Być może połączymy nasze siły i sformułujemy stosowną odpowiedź, moja droga? - zaproponował pułkownik po chwili namysłu. Potem przerwał, bo kelnerka podawała im akurat dwa serwowane tego dnia dania klubowe.

- Gdyby czuł się pan na siłach mi pomóc, byłabym dozgonnie wdzięczna - odparła nerwowo Daphne. - Ale najpierw powinnam chyba panu powiedzieć coś, o czym wiem.

Pułkownik kiwnął głową.

- Zdaje pan sobie niewątpliwie sprawę, że ponoszę część winy, bo to ja doprowadziłam do ich pierwszego spotkania...

Kiedy Daphne skończyła swą opowieść, talerz pułkownika był pusty.

- Wiedziałem już niemal o wszystkim - przyznał, wycierając usta serwetką. - Ale udało ci się wypełnić kilka ważnych luk. Szczerze mówiąc, nie zdawałem sobie sprawy, że Trentham jest aż takim draniem. Patrząc wstecz, muszę przyznać, że powiniennem być domagać się dodatkowych dowodów, zanim przedstawiłem go do odznaczenia Krzyżem Wojennym. - Wstał. - A teraz, jeśli

zechcesz łaskawie posiedzieć chwilę w kawiarni, zabijając czas lekturą jakiegoś czasopisma, spróbuję napisać pierwszą wersję tego listu.

- Przykro mi, że sprawiam panu tyle kłopotu.

- Nie bądź niemądra. Pochlebia mi, że uważasz mnie za godnego zaufania. - Pułkownik wstał i pomaszerował w kierunku gabinetu.

Wrócił dopiero po godzinie, która upłynęła Daphne na czytaniu ogłoszeń dotyczących nianiek w czasopiśmie "Lady".

Szybko odłożyła magazyn i wyprostowała się na krześle. Pułkownik wręczył jej tekst, będący rezultatem jego wysiłków, ona zaś przez kilka minut studiowała go w milczeniu.

- Bóg wie, co zrobiłby Guy, gdybym napisała do niego taki list - powiedziała w końcu.

- Po prostu zrezygnowałby ze swego stanowiska, moja droga. Co zresztą, moim zdaniem, powinien był zrobić już dawno. - Pułkownik zmarszczył brwi. - Najwyższy czas, by uświadomić Trenthamowi konsekwencje jego nikczemności, choćby ze względu na zobowiązania, jakie nadal ma wobec Becky i dziecka.

- Ale teraz, kiedy Becky została szczęśliwą mężatką, byłoby to nieuczciwe wobec Charlie'ego - zaoponowała Daphne.

- Czy widziałas ostatnio Daniela? - spytał pułkownik, zniżając głos.

- Przed kilku miesiącami. Dlaczego pan o to pyta?

- Więc może przyjrzyj mu się ponownie, ponieważ w rodzinach Trumperów i Salmonów nie ma wielu chłopców, którzy mieliby jasne włosy, rzymskie nosy i ciemnoniebieskie oczy. Podejrzewam, że prędzej można by znaleźć takie okazy w Ashurst, w hrabstwie Berkshire. Tak czy owak, Becky i Charlie będą w końcu musieli wyznać dziecku prawdę, w przeciwnym bowiem razie narażą się na jeszcze większe kłopoty w przyszłości. Wyślij ten list - powiedział, bębniąc palcami po stoliku. - Oto moja rada.

Po powrocie na Lowndes Square Daphne poszła prosto do swego pokoju. Zasiadła przy biurku i po chwili przygotowań zaczęła przepisywać list pułkownika.

Kiedy skończyła, przeczytała jedyny opuszczony przez siebie akapit i poprosiła Boga, by zawarta w nim złowieszcza prognoza nie okazała się trafna.

Gdy list był gotowy, podarła brudnopis pułkownika i zadzwoniła na Wentwortha.

- Mam do wysłania tylko ten jeden list - oznajmiła mu.

Przygotowania do ślubu weszły w tak gorączkową fazę, że Daphne, wręczywszy Wentworthowi list, całkowicie zapomniała o problemach związanych z Guyem Trenthamem. Musiała przecież wybrać drużny, nie obrażając połowy swoich krewnych, znosić liczne, a nie kończące się nigdy w porę miary sukien, studiować plan rozsądzenia gości, by mieć pewność, że nie rozmawiający z sobą od lat członkowie rodziny nie zostaną ulokowani przy tym samym stole (czy w tej samej kościelnej ławce), a ponieważ miała przy tym stale do czynienia ze swą przyszłą teściową, owdowiałą markizą, która wydawszy już za mąż trzy córki wygłaszała zawsze trzy różne zdania na każdy temat, czuła się całkowicie wyczerpana.

Kiedy do dnia ślubu pozostał już tylko tydzień, oznajmiła narzeczonemu, że powinni udać się do najbliższego urzędu stanu cywilnego i załatwić całą sprawę jak najszybciej, najlepiej nie wtajemniczając w swój plan nikogo innego.

- Jak sobie życzysz, staruszek - powiedział Percy, który już od dawna przestał słuchać czyichkolwiek rad dotyczących małżeństwa.

16 lipca 1921 Daphne otworzyła oczy o piątej czterdzieści trzy i czuła się dość znużona, ale kiedy o pierwszej czterdzieści pięć wyszła na zalany słońcem plac Lowndes Square, była już wypoczęta i z radością oczekiwała na nadchodzącą uroczystość.

Ojciec pomógł jej wejść po stopniach do otwartego powozu, który wioził kiedyś do ślubu jej matkę i babkę. Niewielka grupa, złożona ze służby i przyjaciół, wznosiła okrzyki na cześć panny młodej, a kiedy Daphne wyruszyła w kierunku Westminster, gapie pozdrawiali ją machaniem rąk. Oficerowie salutowali, eleganccy mężczyźni posyłali jej pocałunki, a przechodzące panny wzdychały z zazdrością.

Kiedy Big Ben wybił godzinę drugą, Daphne, wsparta na ramieniu ojca, wkroczyła do kościoła, a potem, przy dźwiękach "Marsza weselnego" Mendelssohna, powoli przeszła wzdłuż głównej nawy.

Zatrzymała się tylko na chwilę, by złożyć ukłon królowi i jego małżonce, którzy siedzieli w specjalnej ławce obok ołtarza. Po tylu miesiącach wyczekiwania miała wrażenie, że wszystko odbyło się w ciągu paru chwil. Kiedy organy zaczęły wygrywać radosny hymn, a nowożeńców poproszono do zakrystii, gdzie mieli podpisać akt ślubu, Daphne żałowała, że nie można odbyć całej ceremonii po raz drugi.

Choć potajemnie ćwiczyła podpis w domu na papierze listowym, zawahała się przez chwilę, zanim wykaliografowała słowa: "Daphne Wiltshire".

Mąż i żona wyszli z kościoła przy dźwiękach dzwonów i ruszyli w promieniach jasnego, popołudniowego słońca uliczkami dzielnicy Westminster. Kiedy dotarli do wielkiego namiotu, wzniesionego na Vincent Square, zaczęli witać swych gości.

Daphne, która próbowała zamienić z każdym choć słowo, ledwie zdążyła skosztować weselnego tortu, gdy tylko zaś włożyła jego kawałek do ust, podeszła do niej markiza, by wyrazić opinię, że jeśli nie rozpoczną mów, mogą pożegnać się z nadzieją odbicia od brzegu na falach ostatniego odpływu.

Algernon Fitzpatrick pochwalił druhny i wznosił toast za parę młodą. Percy wygłosił zaskakująco dowcipną i dobrze przyjętą replikę. Potem Daphne poszła do domu dalekiego wuja na Vincent Square 45, by przebrać się w strój podróżny.

Tłumy ponownie wyległy na chodnik, obsypując młodą parę ryżem i płatkami róż, a Hoskins, który miał zawieźć nowożeńców do Southampton, czekał w samochodzie.

W pół godziny później Hoskins jechał już spokojnie szosą A 30, mijając Kew Gardens, a pozostali na miejscu goście kontynuowali uroczystość pod nieobecność młodej pary.

- No, teraz już utknąłeś przy mnie na całe życie, Percy Wiltshire - powiedziała Daphne do męża.
- Podejrzewam, że zostało to ukartowane przez nasze matki, zanim jeszcze się poznaliśmy - odparł Percy. - W gruncie rzeczy trochę mi głupio.

- Głupio?

- No tak. Mogłem powstrzymać je od wszystkich tych intryg już dawno temu, mówiąc im po prostu, że i tak nie zamierzam żenić się z nikim innym.

Daphne po raz pierwszy pomyślała poważnie o swej podróży poślubnej, kiedy Hoskins zatrzymał Rollsa w porcie, na dwie godziny przed terminem uruchomienia silników "Mauretanii". Potem przy pomocy kilku tragarzy wytaszczył z bagażnika samochodu dwa kufry - czternaście innych załadowano już poprzedniego dnia - a Daphne i Percy ruszyli w kierunku trapu, przy którym oczekiwał ich ochmistrz statku.

Kiedy oficer zrobił krok naprzód, by powitać markiza i jego żonę, w tłumie rozległ się głośny

okrzyk: - Wszystkiego dobrego, czcigodni państwo! I chcę powiedzieć w imieniu żony i własnym, że pani markiza wygląda zupełnie nieźle!

Odwrócili się i oboje wybuchnęli śmiechem na widok Charlie'ego i Becky, którzy, nadal w eleganckich strojach, stali wśród tłumu gapiów.

Ochmistrz wprowadził wszystkich czworo po trapie i zaprosił do saloniku, w którym czekała na otwarcie jeszcze jedna butelka szampana.

- W jaki sposób dotarliście tu przed nami? - spytała Daphne.

- No cóż - odparł Charlie, parodiując swój własny przedmiejski akcent - być może nie mamy Rolls-Royce'a, proszę jaśnie pani, ale udało nam się wyprzedzić Hoskinsa naszym małym dwuosobowym samochodziem, zanim jeszcze minęliście Winchester.

Roześmiali się wszyscy z wyjątkiem Becky, która nie mogła oderwać oczu od małej diamentowej broszki, błyszczącej w klapie kostiumu Daphne.

Rozległy się trzy dźwięki syreny okrętowej i ochmistrz poinformował Trumperów, że powinni opuścić statek, o ile nie chcą towarzyszyć państwu Wiltshire aż do Nowego Jorku.

- Do zobaczenia za jakiś rok! - krzyknął Charlie, odwracając się, by pomachać im z trapu.

- Za rok będziemy już mieli za sobą naszą podróż dookoła świata - stwierdził Percy.

- Tak, i Bóg raczy wiedzieć, do czego posuną się ci dwoje pod naszą nieobecność - odparła Daphne, machając im na pożegnanie.

PULKOWNIK HAMILTON 1920-1922

ROZDZIAŁ 16

Mam dobrą pamięć do twarzy, więc gdy tylko zobaczyłem tego ważącego ziemniaki mężczyznę, od razu wiedziałem, że go znam.

Potem przypomniałem sobie szyld, wiszący nad drzwiami sklepu.

Oczywiście, Trumper, kapral, Charles. Nie, zakończył służbę jako starszy sierżant. A jak nazywał się jego przyjaciel, ten który otrzymał Krzyż Walecznych? Ach tak, Prescott, szeregowy, Thomas. Nie wyjaśniono w sposób przekonujący okoliczności jego śmierci. To zabawne, że umysł ludzki uznaje takie szczegóły za godne zapamiętania.

Wróciwszy do domu na lunch oznajmiłem żonie, że spotkałem sierżanta Trumpera, ale ona nie okazała większego zainteresowania, dopóki nie wręczyłem jej owoców i warzyw. Wtedy spytała mnie, gdzie je kupiłem. - U Trumpera - odparłem. Ona zaś kiwnęła głową i zapamiętała tę informację.

Następnego dnia poleciłem sekretarzowi pułku, by wysłał Trumperowi dwa bilety na doroczne przyjęcie z tańcami, i nie myślałem więcej o swym byłym podkomendnym, dopóki nie dostrzegłem ich obojga na balu, przy stole przeznaczonym dla sierżantów. Piszę: „obojga”, ponieważ Trumperowi towarzyszyła jakaś niezwykle atrakcyjna dziewczyna. On jednak ignorował ją najwyraźniej przez większą część wieczoru, interesując się natomiast jakąś panią, której nazwiska nie dosłyszałem, a która siedziała przy głównym stole, o kilka miejsc ode mnie. Kiedy adiutant poprosił Elizabeth do tańca, skorzystałem z okazji. Przeszedłem przez parkiet, zdając sobie sprawę, że obserwuje mnie połowa pułku, ukloniłem się wspomnianej damie i zapytałem, czy zechce ze mną zatańczyć. Jak się dowiedziałem, nosiła ona nazwisko Salmon i tańczyła jak żona oficera. Była też bardzo bystra i pogodna. Nie miałem pojęcia, dlaczego Trumper traktuje ją w taki sposób i gdyby była to moja sprawa, nie omieszkałbym mu tego powiedzieć.

Gdy skończyliśmy tańczyć, doprowadziłem pannę Salmon do naszego stołu i przedstawiłem ją Elizabeth, która była nią równie oczarowana jak ja. Później oznajmiła mi, że ta dziewczyna jest podobno zaręczona z kapitanem Trenthamem, odbywającym obecnie służbę w Indiach. Trentham, Trentham... pamiętałem, że był niegdyś w pułku młody oficer o tym nazwisku... zdobył Krzyż Wojenny nad Marną... ale kojarzyło mi się z nim coś jeszcze, coś, czego nie mogłem sobie w danej chwili przypomnieć. Biedna dziewczyna - pomyślałem - ponieważ naraziłem Elizabeth na taki sam smutny los, kiedy posłano mnie do Afganistanu w 1882. Przez tych cholernych Afgańczyków straciłem oko i omal nie utraciłem jedynej kobiety, jaką kiedykolwiek kochałem. Ale nadal uważam, że nie wypada się żenić przed otrzymaniem stopnia kapitana - ani po awansowaniu na majora.

W drodze do domu Elizabeth poinformowała mnie, że Trumper i panna Salmon, korzystając z jej

zaproszenia, mają odwiedzić nas następnego ranka w naszym domu przy Gilston Road.

- Po co? - spytałem.

- Wygląda na to, że chcą ci złożyć pewną propozycję.

Zjawili się u nas, zanim stary zegar skończył bić jedenastą, a ja, wprowadziwszy ich do saloniku, spytałem Trumpera: - Więc o co chodzi, sierżancie? - Nie próbował nawet mi odpowiedzieć - okazało się, że rzecznikiem ich obojga jest panna Salmon. Bez jednego zbędnego słowa przedstawiła przekonująco korzyści, jakie może przynieść mi udział w ich przedsięwzięciu; miałem być czymś w rodzaju konsultanta firmy i otrzymywać pensję w wysokości stu funtów rocznie. Choć uważałem, iż tego typu działalność przekracza moje kwalifikacje, byłem ujęty ich zaufaniem i przyrzekłem, że zastanowię się poważnie nad tą propozycją. Obiecałem nawet, że w najbliższej przyszłości poinformuję ich na piśmie, jaką podjąłem decyzję.

Elizabeth całkowicie podzielała moje zdanie, ale uważała, że zanim zdecyduję się odmówić, powinienem przynajmniej przeprowadzić na własną rękę drobny rekonesans.

W ciągu następnego tygodnia odwiedzałem we wszystkie dni robocze okolice domu przy 147 Chelsea Terrace. Często siadałem na stojącej naprzeciwko sklepu ławce, z której niespostrzeżenie obserwowałem jego działalność. Wybierałem z oczywistych powodów różne pory dnia. Czasem zjawiałem się tam z samego rana, kiedy indziej w godzinach największego ruchu albo późnym popołudniem. Raz byłem tam nawet pod wieczór, by przekonać się, że sierżant Trumper nie przestrzega ustalonych godzin pracy; sklep pod numerem 147 zamknął swe drzwi przed klientami jako ostatni na całym odcinku ulicy. Muszę wyznać, że zarówno Trumper, jak i panna Salmon wywarli na mnie jak najbardziej korzystne wrażenie. To niezwykła para - powiedziałem Elizabeth po mojej ostatniej wizycie.

Pozostawałem od kilku tygodni w kontakcie z kuratorem Imperialnego Muzeum Wojny, który wspominał o możliwości powołania mnie do rady nadzorczej tej instytucji, ale szczerze mówiąc oferta Trumpera była jedyną konkretną propozycją, jaką złożono mi, odkąd zawiesiłem na haku swe ostrogi, czyli od roku. Ponieważ kurator nie napomknął ani słowem o wynagrodzeniu, doszedłem do wniosku, że jest to funkcja honorowa, a z protokołów posiedzeń rady, które przysłano mi do przejrzenia, wynikało, że praca w niej nie pochłonie mi więcej niż godzinę w ciągu tygodnia.

Po głębokim namyśle, rozmowie z panną Harcourt-Browne oraz wysłuchaniu słów zachęty Elizabeth, która nie chciała bynajmniej, żebym kręcił się jej po domu przez cały dzień, wysłałem do panny Salmon krótki list, donosząc jej, że przyjmuję ich ofertę.

Odkryłem, w co się wdaję już następnego ranka, kiedy wspomniana dama odwiedziła mnie ponownie, by zlecić mi pierwsze zadanie. Muszę przyznać, że okazała się bardzo bystra i równie precyzyjna jak najlepsi oficerowie sztabowi, jakimi kiedykolwiek dowodziłem.

Becky - zażądała, żebym przestał nazywać ją "panną Salmon", bo jesteśmy przecież współnikami - oznajmiła, że powinienem potraktować naszą pierwszą wizytę w banku Child's na Fleet Street jako "próbę generalną", gdyż ryba, na której złowieniu naprawdę jej zależy, pojawi się dopiero w następnym tygodniu. Wtedy właśnie mieliśmy dokonać "wielkiego skoku". Przez cały czas posługiwała się terminologią, której nie potrafiłem rozszyfrować.

Muszę wyznać, że przed wizytą w pierwszym banku byłem spocony jak mysz i prawdę mówiąc omal nie wycofałem się z linii frontu, zanim jeszcze nadszedł rozkaz rozpoczęcia ataku. Gdyby nie nadzieja malująca się na twarzach dwojga oczekujących na mnie przed bankiem młodych ludzi, przysięgam, że wycofałbym się chyba z całej kampanii.

Ale mimo moich obaw wyszliśmy z banku w niecałą godzinę później z powodzeniem dokonawszy pierwszego wypadu i mogę chyba uczciwie powiedzieć, że nie zawiodłem mojej drużyny. Nie, że bym był wysokiego mniemania o panu Hadlow, który wydał mi się dość dziwnym jegomościem, ale jego pułk nigdy przecież nie był pierwszorzędną jednostką. Bardziej istotne wydawało mi się to, że ten cholerny facet nie patrzył nigdy nikomu w oczy, co według mnie zawsze świadczy o charakterze danego człowieka.

Od tej chwili bacznie śledziłem poczynania firmy Trumper, domagając się cotygodniowych zebrań w sklepie, które umożliwiały mi nadążanie za rozwojem wydarzeń. Od czasu do czasu byłem nawet w stanie udzielić im jakiejś rady czy dodać odwagi. Człowiek nie lubi inkasować pensji, nie dając z siebie nic w zamian.

Na początku wszystko zdawało się iść jak najlepiej. Potem, pod koniec czerwca 1920, Trumper poprosił mnie o spotkanie w cztery oczy. Wiedziałem, że ma na widoku inny lokal przy Chelsea Terrace, a nasze konto bankowe nie jest zbyt zasobne, więc byłem przekonany, że chce ze mną rozmawiać właśnie o tej sprawie.

Zgodziłem się odwiedzić go w mieszkaniu, bo ani w moim klubie, ani w domu nigdy nie czułem się całkowicie swobodnie. Kiedy zjawiłem się tam, zastałem go w stanie wielkiego podniecenia, więc byłem przekonany, iż jeden z naszych trzech sklepów musi przysparzać mu kłopotów, ale on zapewnił mnie, że chodzi o coś innego.

- Więc powiedz, o co, Trumper? - zażądałem stanowczo.

- Przyznam, że niełatwo mi o tym mówić, sir - odparł niepewnie, a ja czekałem w milczeniu, mając nadzieję, że w ten sposób pomogę mu się uspokoić i zrzucić z piersi nekający go ciężar.

- Chodzi o Becky, sir - wykrztusił w końcu.

- To pierwszorzędna dziewczyna - zapewniłem go z przekonaniem.

- Owszem, sir, zgadzam się. Ale obawiam się, że jest w ciąży.

Wyznam szczerze, że wiedziałem o tym już od pewnego czasu, bo Becky sama mi to oznajmiła. Ponieważ jednak obiecałem jej zachować to w tajemnicy nawet przed Charlie'm, udałem zaskoczenie.

Rozumiem, że czasy się zmieniają, ale wiedziałem również, iż Becky została wychowana w domu, w którym panowały surowe obyczaje, a poza tym nigdy nie wydawała mi się dziewczyną "tego rodzaju", jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

- Oczywiście chciałby pan wiedzieć, kto jest ojcem - dodał Charlie.

- Skłonny jestem założyć... - zacząłem, ale on natychmiast potrząsnął głową.

- Nie, to nie ja - oznajmił. - Żałuję, że tak nie jest. Wtedy mógłbym się z nią ożenić i nie musiałbym zwracać panu tym problemem głowy.

- Któż więc jest winowajcą? - spytałem.

- Guy Trentham, sir - odparł po chwili wahania.

- Kapitan Trentham? Ale przecież, jeśli dobrze pamiętam, on jest w Indiach.

- Zgadza się, sir. A ja nie mogę, mimo usilnych starań, namówić Becky, by napisała do niego i doniosła mu o tym. Twierdzi, że złamałoby mu to karierę.

- Ale przecież jeśli go o tym nie poinformuje, zrujnuje swoje własne życie - stwierdziłem z irytacją. Mogłem sobie wyobrazić piętno, jakie nosiłaby jako niezamężna matka, nie mówiąc już o trudnościach związanych z wychowaniem nieślubnego dziecka. - Tak czy owak, wiesz przecież, że Trentham będzie musiał w końcu poznać prawdę.

- Być może nigdy nie dowie się jej od Becky, a ja z pewnością nie mam na niego dość wpływu, by skłonić go do postąpienia w sposób uczciwy.

- Czy wiesz o Trenthamie coś, o czym i ja powinienem się dowiedzieć, Trumper?

- Nie, sir.

Trumper odpowiedział na moje pytanie trochę zbyt szybko, by przekonać mnie, że mówi prawdę.

- W takim razie musisz pozostawić problem Trenthama mnie - oznajmiłem stanowczo. - Wy zajmijcie się tymczasem prowadzeniem sklepów. Ale koniecznie dajcie mi znać, kiedy sprawa wyjdzie na jaw, żebym nie zachowywał się jak człowiek, który o niczym nie wie. - Wstałem, zamierzając wyjść.

- I tak wszyscy niedługo się o tym dowiedzą - stwierdził Trumper.

Powiedziałem "zostaw problem Trenthama mnie" nie mając zielonego pojęcia, co mogę w tej sprawie zrobić, ale tego wieczora, po powrocie do domu, omówiłem całą sprawę z Elizabeth. Poradziła mi, żebym porozmawiał z Daphne, która jej zdaniem musiała wiedzieć o całej aferze znacznie więcej niż Charlie. Byłem skłonny przyznać jej rację.

W kilka dni później zaprosiliśmy więc Daphne na podwieczorek do naszego domu. Potwierdziła wszystko, co powiedział mi Charlie, i wypełniła kilka luk w całej tej łamigłówce.

Daphne utrzymywała, że znajomość z Trenthamem była pierwszym poważnym romanssem Becky i że według niej Becky nie spała przed jego poznaniem z żadnym innym mężczyzną, a z nim samym tylko jeden raz. Zapewniła nas równocześnie, że kapitan Trentham nie mógłby się pochwalić równie nienaganną reputacją.

Reszta jej informacji nie wróżyła szybkiego i łatwego rozwiązania problemu, wynikało z nich bowiem, że nie można liczyć na to, by matka Guya nakłaniała go do uczciwego postępowania wobec Becky. Wręcz przeciwnie; według Daphne kobieta ta poczyniła już pewne kroki, zmierzające do przekonania wszystkich zainteresowanych, że Guy nie jest za nic odpowiedzialny.

- A co na to ojciec Trenthama? - spytałem. - Czy sądzisz, że powinienem z nim porozmawiać? Choć służyliśmy, jak wiesz, w tym samym pułku, nigdy nie byliśmy w tym samym batalionie.

- To jedyny członek tej rodziny, którego naprawdę lubię - przyznała Daphne. - Jest posłem do parlamentu z okręgu Berkshire West, przedstawicielem partii liberalnej.

- A zatem rozpocznę natarcie od niego - odparłem. - Nie podzielam jego poglądów politycznych, ale nie uniemożliwiają mu one chyba odróżniania dobra od zła.

Wkrótce po wysłaniu następnego listu, napisanego na klubowym papierze, otrzymałem od majora odpowiedź, w której prosił mnie o przybycie w najbliższy poniedziałek na drinka na Chester Square.

Dotarłem tam punktualnie o szóstej i zostałem wprowadzony do salonu, w którym powitała mnie jakaś czarująca dama. Przedstawiła się jako pani Trentham. Bynajmniej nie przypominała osoby, którą spodziewałem się ujrzeć po wysłuchaniu opinii Daphne; była w istocie kobietą bardzo przystojną. Od razu zaczęła mnie wymownie przeproszać; okazało się, że jej mąż otrzymał trzykrotnie podkreślone wezwanie do Izby Gmin, zobowiązujące go - o czym nawet ja wiedziałem - do pozostania w Pałacu Westminsterskim bez względu na okoliczności. Uważając, że cała sprawa nie może czekać ani chwili dłużej, natychmiast podjąłem decyzję - jak się potem okazało, całkowicie błędną - i postanowiłem przekazać majorowi swoje stanowisko za pośrednictwem jego żony.

- Sprawa jest dość kłopotliwa - zacząłem niepewnie.

- Niech pan rozmawia ze mną całkiem otwarcie, panie pułkowniku. Mogę pana zapewnić, że mąż darzy mnie pełnym zaufaniem.

Nie mamy przed sobą tajemnic.

- No cóż, mówiąc całkiem szczerze, sprawa, którą chcę poruszyć, dotyczy pani syna, Guya.

- Rozumiem - odparła.

- I jego narzeczonej, panny Salmon.

- Ona nie jest i nigdy nie była jego narzeczoną - oznajmiła pani Trentham z nagłą irytacją w głosie.

- Ale dano mi do zrozumienia...

- Że mój syn składał jakieś obietnice pannie Salmon? Mogę pana zapewnić, pułkowniku, że nic nie jest dalsze od prawdy.

Zaskoczony takim przebiegiem rozmowy, nie wiedziałem, jak w dyplomatyczny sposób poinformować tę kobietę, dlaczego w gruncie rzeczy chciałem się zobaczyć z jej mężem. Więc powiedziałem po prostu: - Bez względu na to, czy zostały złożone jakieś obietnice, czy też nie, powinni się państwo, moim zdaniem, dowiedzieć, że panna Salmon oczekuje dziecka.

- A cóż to ma wspólnego ze mną? - Pani Trentham spojrzała na mnie obojętnym wzrokiem, w którym nie było ani śladu lęku.

- Tylko to, że pani syn jest niewątpliwie jego ojcem.

- Mamy na to jedynie słowo panny Salmon, panie pułkowniku.

- Ta wypowiedź była niegodna pani - oznajmiłem. - Wiem, że panna Salmon jest nienagannie przyzwoitą i uczciwą dziewczyną. A poza tym, jeśli ojcem nie jest pani syn, to któż inny mógłby nim być?

- Bóg raczy wiedzieć - odparła pani Trentham. - Ale sądząc po jej reputacji, w rachubę wchodzić może wielu mężczyzn. W końcu jej ojciec był emigrantem.

- Podobnie jak ojciec króla, szanowna pani - przypomniałem jej. - Ale nawet on wiedziałby, jak należy postąpić, gdyby znalazł się w takiej sytuacji.

- Nie wiem doprawdy, co pan ma na myśli, pułkowniku.

15-Prosto jak strzelił - Mam na myśli to, szanowna pani, że pani syn powinien ożenić się z panną Salmon albo zrezygnować ze służby w pułku i zadbać odpowiednio o byt tego dziecka.

- Chyba muszę raz jeszcze powtórzyć, panie pułkowniku, że ten, niefortunny stan rzeczy nie wynika bynajmniej z winy mojego syna.

Mogę pana zapewnić, że Guy przestał widywać się z tą dziewczyną już na kilka miesięcy przed swym wyjazdem do Indii.

- Wiem, że prawda wygląda inaczej, droga pani, ponieważ...

- Wie pan o tym, pułkowniku? W takim razie muszę pana spytać, co właściwie ma pan wspólnego z całą tą sprawą?

- Tylko tyle, że panna Salmon i pan Trumper są moimi przyjaciółmi.

- Rozumiem - stwierdziła pani Trentham. - W takim razie podejrzewam, że nie musi pan daleko szukać, by odkryć, kto naprawdę jest ojcem tego dziecka.

- Szanowna pani, ta wypowiedź również była niestosowna.

Charlie Trumper nie jest...

- Uważam, że kontynuowanie tej rozmowy jest bezcelowe, panie pułkowniku - oznajmiła pani Trentham, wstając z krzesła. Potem ruszyła ku drzwiom, nie oglądając się nawet w moją stronę. - Muszę pana ostrzec, pułkowniku, że jeśli usłyszę, że ktoś kolportuje to oszczerstwo na forum publicznym czy prywatnym, bez wahania! wynajmę adwokatów, którzy podejmą niezbędne kroki,

mające na celu ochronę dobrego imienia mojego syna.

Mimo przeżytego wstrząsu poszedłem za nią do hallu, zdecydowany nie dopuścić do takiego zakończenia sprawy. Czuję, że jedyną moją nadzieją jest teraz major Trentham. Kiedy jego żona otworzyła mi drzwi, spytałem stanowczym tonem: - Czy mogę zakładać, szanowna pani, że wiernie zrelacjonuje pani mężowi przebieg naszej rozmowy?

- Nie może pan niczego zakładać, pułkowniku - powiedziała na pożegnanie, zatrzymując mi drzwi przed nosem. Ostatni raz zostałem tak potraktowany przez damę w Rangunie i muszę przyznać, że owa dziewczyna miała znacznie więcej powodów do oburzenia.

Kiedy powtórzyłem przebieg rozmowy Elizabeth - tak dokładnie, jak na to pozwalała moja pamięć - powiedziała mi jak zwykle jasno i zwięźle, że mam do wyboru trzy drogi postępowania. - Po pierwsze: możesz napisać bezpośrednio do kapitana Trenthama i zażądać od niego uczciwego wywiązania się z obowiązków; po drugie: poinformować jego dowódcę o wszystkim, co wiemy.

- A po trzecie?

- Nigdy więcej nie wspominać o całej sprawie.

Rozważyłem starannie jej słowa i wybrałem drugą możliwość; napisałem do Ralpha Forbesa, pierwszorzędnego oficera, który zastąpił mnie na stanowisku dowódcy pułku, i przedstawiłem mu wszystkie znane mi fakty. Rozważnie doбираłem słowa, obawiając się, że jeśli pani Trentham spełni swą groźbę, podjęte przez nią kroki prawne mogą narazić na szwank dobre imię pułku, a nawet okryć go śmiesznością. Równocześnie bacznie śledziłem postępowanie Becky, która prowadziła teraz ofensywę na dwóch, a nawet na trzech frontach. Bądź co bądź, próbowała przygotować się do egzaminów, pracując równocześnie jako bezpłatna sekretarka i księgowa w dobrze prosperującej małej firmie, choć każdy, kto widział ją na ulicy, musiał zdawać sobie sprawę, że od rozwiązania dzieli ją już tylko kilka tygodni.

W miarę mijania tych tygodni coraz bardziej niepokoił mnie zastój na froncie walki z Trenthamem, choć otrzymałem odpowiedź od Forbesa, który donosił mi, że ustanowił specjalną komisję śledczą. Usiłowałem dowiedzieć się czegoś od Daphne i Charlie'ego, ale żadne z nich nie było lepiej poinformowane niż ja.

Daniel George urodził się w połowie października tegoż roku, a ja byłem wzruszony, kiedy Becky poprosiła mnie, żebym został jego ojcem chrzestnym, razem z Bobem Makinsem i Daphne. Jeszcze bardziej ucieszyła mnie wiadomość, że Becky i Charlie mają się pobrać w następnym tygodniu po chrzcinach. Oczywiście nie mogło to powstrzymać od plotek ludzi o długich językach, ale pocieszałem się myślą, że mały Daniel będzie w świetle prawa dzieckiem zrodzonym z legalnego związku.

Na skromnym ślubie, który odbył się w urzędzie stanu cywilnego dzielnicy Chelsea, obecni byli oprócz mnie i Elizabeth tylko Percy, Daphne, pani Salmon, panna Roach i Bob Makins. Huczne przyjęcie odbyło się w położonym nad sklepem mieszkaniu Charlie'ego.

Już zacząłem myśleć, że wszystko ułożyło się jak najlepiej, kiedy w kilka miesięcy później zatelefonowała do mnie Daphne, prosząc o natychmiastowe spotkanie. Podczas lunchu, na który zaprosiłem ją do klubu, pokazała mi list, otrzymany tego ranka od kapitana Trenthama. Czytając jego wywody, zdałem sobie z przykrością sprawę, że pani Trentham musiała dowiedzieć się o moim liście do Forbesa, w którym ostrzegałem go przed konsekwencjami procesu o niedotrzymanie obietnicy małżeńskiej, i natychmiast wzięła sprawę w swoje ręce. Uznałem, że nadszedł czas, aby jej syn dowiedział się, iż cała sprawa nie ujdzie mu bezkarnie.

Pozostawiwszy swego gościa przy kawie poszedłem do gabinetu i wzmocniwszy się kieliszkiem koniaku zacząłem pisać naprawdę stanowczy list. Po jego ukończeniu uznałem, że obejmuje on wszystkie najważniejsze aspekty sprawy, a równocześnie jest na tyle dyplomatyczny i realistyczny, na ile pozwalają okoliczności. Daphne podziękowała mi, obiecując, że wyśle go do Trenthama w niezminionej formie.

Nie miałem okazji z nią rozmawiać aż do dnia jej ślubu, który odbył się w miesiąc później, ale nie była to odpowiednia chwila, by zawracać jej głowę kapitanem Trenthamem.

Po zakończeniu ceremonii poszedłem piechotą na Vincent Square, gdzie odbywało się przyjęcie. Rozglądałem się bacznie, nie chcąc natknąć się na panią Trentham, gdyż podejrzewałem, że ona również została na nie zaproszona. Nie miałem najmniejszej ochoty na następną rozmowę z tą kobietą.

Byłem natomiast zachwycony spotkawszy w wielkim, specjalnie wzniesionym na tę okazję namiocie, Charlie'ego i Becky. Nigdy nie widziałem dziewczyny, która wyglądałaby bardziej promiennie, a Charlie, w żakiecie, szarym krawacie i cylindrze, mógł uchodzić niemal za wykwintnego eleganta. Poinformował mnie, że zwisająca z kieszeni jego kamizelki piękna dewizka od zegarka jest prezentem ślubnym od Becky, natomiast reszta stroju musi zostać zwrócona następnego ranka do wypożyczalni firmy Moss Bros.

- Czy nie nadszedł już czas, żebyś sprawił sobie własny żakiet? - spytałem. - Bądź co bądź, będziesz miał w przyszłości znacznie więcej okazji do wkładania wytwornego stroju.

- Mowy nie ma - odparł. - Byłaby to tylko strata pieniędzy.

- Czy mogę spytać dlaczego? Przecież koszt żakietu...

- Ponieważ zamierzam nabyć sklep z ubraniami męskimi - przerwał mi Charlie. - Od dłuższego czasu mam na oku lokal pod numerem 143 i słyszałem od pana Crowthera, że może on zostać lada chwila wystawiony na sprzedaż.

Nie mogłem zakwestionować logiki takiego rozumowania, natomiast jego następne pytanie całkowicie mnie zaskoczyło.

- Czy słyszał pan kiedykolwiek, czym zajmuje się Marshall Field, pułkowniku?

- Czy był on żołnierzem naszego pułku? - zapytałem, wysilając pamięć.

- Nie - odparł z uśmiechem Charlie. - Marshall Field to założony niedawno w Chicago dom towarowy, w którym można kupić wszystko, co może być człowiekowi potrzebne do końca życia. Co więcej, mają oni pod jednym dachem dwa miliony stóp kwadratowych powierzchni sklepowej.

Nie mogłem wyobrazić sobie czegoś bardziej przerażającego, ale nie chciałem odbierać chłopcu entuzjazmu. - Budynek zajmuje cały odcinek ulicy - ciągnął Charlie. - Czy może pan sobie wyobrazić sklep z dwudziestoma wejściami? Jeśli wierzyć ogłoszeniom, nie ma rzeczy, której nie można by tam kupić, od samochodu do jabłka, w dwudziestu różnych gatunkach. Właściciele tego pierwszego sklepu, zapewniającego pełną obsługę kredytową, zrewolucjonizowali handel detaliczny w Stanach. Gwarantują również, że są w stanie sprowadzić w ciągu tygodnia każdy towar, którego aktualnie nie mają na składzie. Motto firmy Marshall Field brzmi: „Dajmy kobiecie to, czego ona pragnie”.

- Czy sugerujesz, że powinniśmy kupić ten dom towarowy, dając im w zamian sklep pod numerem 147 na Chelsea Terrace? - spytałem żartobliwie.

- Nie od razu, panie pułkowniku. Ale jeśli uda mi się z czasem przejąć wszystkie lokale na Chelsea Terrace, będziemy mogli otworzyć taką samą firmę w Londynie, a może nawet zmusić ich do rezygnacji z zarozumiałego nagłówka, który zdobi ich najnowsze ogłoszenia.

Wiedziałem, czego ode mnie oczekuje, więc spytałem go, jak brzmi ten nagłówek - Największy sklep na świecie - odparł Charlie.

- A co ty o tym wszystkim myślisz? - zwróciłem się do Becky.

- W przypadku Charlie'ego - odparła - będzie to musiał być największy stragan na świecie.

ROZDZIAŁ 17

Pierwsze doroczne walne zgromadzenie wspólników firmy Trumper odbyło się nad sklepem owocowo-warzywnym, w salonie mieszkania przy 147 Chelsea Terrace. Charlie i Becky siedzieli przy małym drewnianym stole, nie bardzo wiedząc, od czego zacząć, dopóki pułkownik nie otworzył posiedzenia.

- Wiem, że jest nas tylko troje, ale uważam, iż wszystkie nasze przyszłe spotkania powinny być prowadzone w sposób zawodowy.

- Charlie uniósł brwi, ale nie próbował przerwać potoku wymowy pułkownika. - Pozwoliłem więc sobie ustalić porządek dzienny. W przeciwnym razie moglibyśmy łatwo zapomnieć o ważnych punktach programu. - Pułkownik podał im kartkę papieru, zapisaną jego równym pismem. - W związku z tym pierwszy punkt wymagający dyskusji nosi tytuł: "Sprawozdanie finansowe", a zatem proszę Becky, aby na początek poinformowała nas, jak wygląda aktualna sytuacja materialna firmy.

Becky kupiła przed miesiącem w sklepie papierniczym pod numerem 137 dwie duże, oprawne w niebieską i czerwoną skórę księgi, a od dwóch tygodni wstawiała zaraz po wyjeździe Charlie'ego do Covent Garden, by starannie napisać sprawozdanie i przygotować odpowiedzi na wszelkie pytania, jakie mogą paść podczas tego zebrania. Otworzyła więc teraz czerwoną księgę i zaczęła powoli czytać, zaglądając niekiedy do księgi niebieskiej, która była równie gruba i robiła równie poważne wrażenie. Na jej okładce wypisane było dużymi, złotymi literami słowo: "Księgowość".

- W ciągu roku, kończącego się 31 grudnia 1921, obroty siedmiu sklepów osiągnęły wysokość tysiąca trzystu dwunastu funtów i czterech szylingów. Uzyskaliśmy dochód w wysokości dwustu dziewiętnastu funtów jedenastu szylingów, czyli około siedemnastu procent od obrotu. Nasze zadłużenie w banku wynosi obecnie siedemset siedemdziesiąt funtów i obejmuje kwotę przewidzianą na podatki za ubiegły rok, ale wartość tych siedmiu sklepów oceniana jest według naszych ksiąg na tysiąc dwieście dziewięćdziesiąt funtów, czyli dokładnie na tyle, ile za nie zapłaciliśmy. Nie odzwierciedla to oczywiście ich aktualnej wartości rynkowej.

Sporządziłam dla większej jasności wykaz dochodów i obrotów z rozbiciem na poszczególne sklepy - dodała Becky, wręczając kopie swych sprawozdań Charlie'emu i pułkownikowi, którzy przez kilka minut w milczeniu uważnie je studiowali.

- Widzę, że największe dochody przynosi nam nadal sklep spożywczy - powiedział pułkownik, wodząc monoklem po kolumnie strat i zysków" - Sklep metalowy z trudem wychodzi na swoje, a pracownia krawiecka obniża naszą dochodowość.

- Owszem - przyznał Charlie. - Kupując tę firmę padłem ofiarą łgarza.

- Łgarza? - spytał ze zdziwieniem pułkownik.

- Klamecy - wyjaśniła mu Becky, nie podnosząc wzroku znad swej księgi.

- Obawiam się, że postąpiłem naiwnie - oznajmił Charlie. - Widzicie, zapłaciłem sporo za dzierżawę i zbyt dużo za zapas towarów, a odziedziczyłem kiepski personel, który nie posiada odpowiednich kwalifikacji. Ale sprawy przybrały lepszy obrót, odkąd kierownictwo tej firmy przejął major Arnold.

Pułkownik skwitował uśmiechem informację, z której wynikało, że zatrudnienie jednego z jego dawnych oficerów sztabowych tak szybko przyniosło poprawę. Tom Arnold wrócił po wojnie na Savile Row, ale przekonał się, że jego dawną posadę zastępcy kierownika w firmie Hawkes objął ktoś, kto został zdemobilizowany o kilka miesięcy wcześniej niż on, jemu zaś zaproponowano stanowisko starszego sprzedawcy. Nie przyjął go. Kiedy pułkownik oznajmił mu, że może się dla niego znaleźć miejsce w firmie Trumper, major chętnie skorzystał z okazji.

- Muszę powiedzieć - oznajmiła Becky, studiując wykazy danych - że klienci najwyraźniej traktują swe zobowiązania wobec krawców zupełnie inaczej niż zobowiązania wobec innych rzemieślników. Popatrzcie tylko na spis dłużników.

- Zgoda - przyznał Charlie. - I obawiam się, że nie odnotujemy większej poprawy, dopóki major Arnold nie znajdzie zastępców na miejsca co najmniej trzech członków dotychczasowego personelu.

Nie spodziewam się, by osiągnął dochód w ciągu najbliższych sześciu miesięcy, ale mam nadzieję, że pod koniec trzeciego kwartału firma przestanie być deficytowa.

- To dobrze - stwierdził pułkownik. - A co ze sklepem żelaznym?

Widzę, że w ubiegłym roku miał on spore dochody, więc dlaczego wskaźniki aż tak się pogorszyły? W porównaniu z rokiem 1920 zyski spadły aż o sześćdziesiąt funtów, a sklep po raz pierwszy przyniósł straty.

- Podejrzewam, że istnieje bardzo proste wytłumaczenie - odparła Becky. - Te pieniądze zostały ukradzione.

- Ukradzione?

- Obawiam się, że tak - stwierdził Charlie. - Becky zauważyła jeszcze w październiku ubiegłego roku, że cotygodniowe wpływy maleją, na początku tylko nieznacznie, ale potem coraz wyraźniej, w miarę, jak rozwijał się ten proceder.

- Czy odkryliśmy, kto ponosi winę?

- Tak, to było dość proste. Gdy jeden ze sprzedawców poszedł na urlop, przenieśliśmy tam ze sklepu owocowo-warzywnego Boba Makinsa, a on od razu wytropił kanciarza.

- Przestań, Charlie - upomniała go Becky. - Przepraszam, panie pułkowniku. On ma na myśli złodzieja.

- Okazało się, że kierownik, Reg Larkins, jest hazardzistą - ciągnął Charlie. - Przeznaczał nasze pieniądze na pokrycie swych długów. Im bardziej rosły te długi, tym więcej musiał kraść.

- Więc oczywiście zwolniłeś Larkinsa? - spytał pułkownik.

- Tego samego dnia - odparł Charlie. - Okazał się dość agresywny i zaprzeczał, jakoby kiedykolwiek ukradł choć pensa. Ale nie słyszeliśmy o nim od tej pory, a w ciągu ostatnich trzech tygodni sklep znów zaczął przynosić niewielki dochód. Nadal jednak szukam nowego kierownika, który powinien jak najprędzej przejąć obowiązki. Mam na oku pewnego młodego człowieka, pracującego w firmie Cudson's, tuż obok Charing Cross Road.

- No dobrze - powiedział pułkownik. - To wyczerpuje problemy dotyczące ubiegłego roku, Charlie, a teraz możesz wystraszyć nas planami na przyszłość.

Charlie otworzył elegancką skórzaną teczkę, którą Becky dała mu 20 stycznia, i wyjął z niej ostatnie sprawozdanie firmy John D.

Wood. Odchrząknął teatralnie, a Becky musiała zatkać usta dłonią, by stłumić wybuch śmiechu.

- Pan Crowther - zaczął Charlie - przygotował dla nas wyczerpujące studium, dotyczące wszystkich nieruchomości na Chelsea Terrace.

- Za które, nawiasem mówiąc, wziął dziesięć gwinei - dodała Becky, zaglądając do księgi rachunkowej.

- Nie mam nic przeciwko temu, o ile okaże się to dobrą inwestycją - stwierdził pułkownik.

- Już się okazało - oznajmił Charlie. Wręczył współnikom kopie sprawozdania Crowthera. - Jak oboje wiecie, na Chelsea Terrace jest trzydzieści sześć sklepów, z których aktualnie siedem należy do nas. Zdaniem Crowthera w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy na rynku może się znaleźć pięć następnych. Jednakże, jak podkreśla, wszyscy sklepikarze z Chelsea Terrace zdają sobie już zbyt dobrze sprawę, że jestem chętnym nabywcą, co nie przyczynia się bynajmniej do obniżenia ceny.

- Przypuszczam, że musiało do tego prędzej czy później dojść.

- Zgadzam się, pułkowniku - przyznał Charlie - ale miałem nadzieję, że nastąpi to trochę później. Prawdę mówiąc, Syd Wrexall, przewodniczący Stowarzyszenia Właścicieli Sklepów, zaczyna się nas trochę obawiać.

- Dlaczego właśnie pan Wrexall? - spytał pułkownik.

- Jest właścicielem pubu "Muszkietier", mieszczącego się na przeciwległym rogu Chelsea Terrace. Zaczyna wmawiać swym klientom, że zamierzam wykupić wszystkie sklepy na tym odcinku ulicy i wyprzeć stąd drobnych kupców.

- Ma trochę racji - powiedziała Becky.

- Być może, ale nie spodziewałem się, że założą spółdzielnię, której jedynym celem będzie powstrzymanie mnie od kupna nowych lokali. Miałem nadzieję, że w swoim czasie uda mi się nabyć "Muszkietera", ale kiedy tylko poruszam ten temat, on mówi: "Po moim trupie".

- To dla nas poważny cios - stwierdził pułkownik.

- Bynajmniej - zaoponował Charlie. - Nikt nie powinien oczekiwać, że przejdzie przez życie nie natrafiając na trudności. Tajemnica polega na tym, by zorientować się, kiedy zaczniesz je przeżywać Wrexall, i szybko przystąpić do działania. Ale oznacza to, że na razie będę musiał płacić powyżej ceny rynkowej każdemu właścicielowi sklepu, który zechce wystawić go na sprzedaż.

- Podejrzewam, że nie mamy na to żadnej rady - stwierdził pułkownik.

- Możemy tylko od czasu do czasu przekonać się, czy blefują - odparł Charlie.

- Sprawdzić, czy blefują? Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli?

- W ostatnim okresie zwrócili się do mnie właściciele dwóch sklepów, gotowi odstąpić mi dzierżawę, a ja z miejsca odrzuciłem ich propozycje.

- Dlaczego?

- Po prostu dlatego, że ustalili absurdalnie wysokie ceny, a Becky i tak utyskuje z powodu deficytu, jaki mamy obecnie w banku.

- Czy zmienili swe stanowisko?

- Tak i nie - przyznał Charlie. - Jeden z nich nawiązał już ze mną kontakt, stawiając o wiele bardziej rozsądne warunki, drugi zaś nadal trzyma się pierwotnej ceny.

- Kto to jest?

- Cuthbert spod numeru 101, właściciel sklepu z winami i spirytualiami. Ale na razie nie ma

potrzeby wykonywać w tej sprawie żadnych ruchów, bo Crowther poinformował mnie, że pan Cuthbert interesuje się aktualnie kilkoma lokalami na terenie Pimlico, i obiecał trzymać rękę na pulsie wydarzeń. Będziemy więc mogli złożyć konkretną ofertę, kiedy pan Cuthbert poważnie się zaangażuje w kupno.

- Brawo, Crowther! - zawołał pułkownik. - Nawiasem mówiąc, skąd ty bierzesz te wszystkie informacje?

- Od pana Balesa, właściciela kiosku z gazetami i od Syda Wrexalla.

- Ale mówiłeś przecież, że Wrexall nam nie sprzyja.

- Istotnie nam nie sprzyja - przyznał Charlie - ale zawsze gotów jest wygłosić swą opinię na jakikolwiek temat, gdy ktoś postawi mu kufel piwa, więc Bob Makins został jego regularnym klientem i nauczył się nigdy nie uskarżać, kiedy nie nalewa mu do pełna.

Dostaję nawet egzemplarz raportu Stowarzyszenia Właścicieli Sklepów o kilka minut wcześniej niż adresaci.

Pułkownik zaśmiał się głośno. - A co z domem aukcyjnym pod numerem pierwszym? Czy nadal mamy ochotę na ten lokal?

Oczywiście, panie pułkowniku. Pan Fothergill, jego właściciel, coraz bardziej pogrąża się w długach, gdyż przeżył kolejny kiepski rok. Jakimś cudem udaje mu się utrzymać na powierzchni, ale myślę, że zacznie tonąć w ciągu przyszłego roku, najpóźniej zaś w roku następnym, a my będziemy stali na nabrzeżu, gotowi rzucić im koło ratunkowe. Szczególnie jeśli Becky uzna do tej pory, że może już porzucić firmę Sotheby's.

- Nadal wiele się tam uczę - wyznała Becky. - Wolalabym zostać u nich jak najdłużej. Skończyłam rok stażu w dziale Starych Mistrzów i próbuję uzyskać przeniesienie do Sztuki Nowoczesnej, czyli do Impresjonistów, jak zaczęto nazywać ten dział. Zrozumcie, że chcę zdobyć jak najwięcej doświadczenia, zanim moi pracodawcy zorientują się, do czego zmierzam. Chodzę w miarę możliwości na wszystkie aukcje, od sreber do starych książek, ale byłabym o wiele szczęśliwsza, gdybyście zostawili numer pierwszy na sam koniec.

- Ale jeśli Fothergill poniesie straty przez trzeci rok z rzędu, ty będziesz naszą szalupą ratunkową, Becky. Co zrobimy, jeśli sklep nagle zostanie wystawiony na sprzedaż?

- Przypuszczam, że będę w stanie go poprowadzić. Mam już na oku człowieka, który powinien zostać jego naczelnym dyrektorem.

Nazywa się Simon Matthews. Pracuje w firmie Sotheby's od dwunastu lat i jest rozczarowany, bo zbyt często pomijano go w awansach. Znam też bystrego stażystę, który pracuje tam chyba od trzech lat i jest moim zdaniem najwybitniejszym przedstawicielem młodego pokolenia licytatorów. Jest tylko o dwa lata młodszy niż syn dyrektora, więc chyba chętnie przejdzie do nas, jeśli złożymy mu atrakcyjną propozycję.

- Z drugiej strony byłoby może dla nas korzystne, gdyby Becky pozostała w firmie jak najdłużej - powiedział Charlie. - Ponieważ pan Crowther zwrócił mi uwagę na kolejny problem, przed którym niedługo staniemy.

- A mianowicie? - spytał pułkownik.

- Na dziewiątej stronie swego studium informuje nas, że numery od 25 do 99, czyli znajdujący się w samym środku tego odcinka ulicy budynek czynszowy, mieszczący trzydzieści osiem mieszkań - z których jedno do niedawna zajmowały Daphne i Becky - może w niedługiej przyszłości zostać wystawiony na sprzedaż. Ich właścicielem jest obecnie pewna instytucja charytatywna, niezbyt

zadowolona z dochodów, jakie przynosi ta inwestycja, a Crowther twierdzi, że jej szefowie zastanawiają się nad sprzedażą budynku. Mając na uwadze nasze długofalowe plany, uważam, że mądrze byłoby nabyć tę mieszkanie jak najszybciej, a nie ryzykować wieloletniego oczekiwania, po którym musielibyśmy oczywiście zapłacić o wiele wyższą cenę, albo, co gorsza, przekonać się, że nie możemy ich kupić.

- Trzydzieści osiem mieszkań - powtórzył pułkownik - Hmmm, jakiej mniej więcej ceny spodziewa się Crowther?

- Przypuszcza, że będzie to suma rzędu dwóch tysięcy funtów; obecnie przynoszą one tylko dwieście dziesięć funtów rocznie, a biorąc pod uwagę remonty i koszty utrzymania, zapewne w ogóle nie są dochodowe. Jeśli te mieszkania znajdą się na rynku, a nas stać będzie na ich kupno, Crowther radzi, żebyśmy w przyszłości wynajmowali je tylko na dziesięć lat i starali się zapełnić puste lokale pracownikami ambasad i gośćmi z zagranicy, którzy nigdy nie mają pretensji, kiedy wypowiada im się umowę najmu z dnia na dzień.

- A więc trzeba będzie przeznaczyć dochód ze sklepów na kupno mieszkań? - spytała Becky.

- Obawiam się, że tak - odparł Charlie. - Ale przy odrobinie szczęścia uda mi się uzyskać z nich dochód już po dwóch, najwyżej trzech latach. Pamiętajcie, że ponieważ mamy do czynienia z instytucją charytatywną, samo załatwienie wszystkich formalności może potrwać bardzo długo.

- Tak czy owak, biorąc pod uwagę nasz obecny limit zadłużenia w banku, zdobycie odpowiednich środków może wymagać zjedzenia kolejnego lunchu z Hadlowem - wtrącił pułkownik. - Ale widzę jasno, że skoro powinniśmy zdobyć te mieszkania, nie mam wielkiego wyboru. Może zaczepię przy okazji w klubie Chubby'ego Duckwortha i szepnę mu coś na ten temat. - Przerwał na chwilę, a po namyśle dodał: - Trzeba uczciwie przyznać, że Hadlow wpadł na dwa dobre pomysły, które moim zdaniem godne są rozważenia, dlatego też umieściłem je w następnym punkcie porządku obrad.

Becky przestała pisać i podniosła wzrok.

- Hadlow jest bardzo zadowolony z naszych wyników finansowych za okres pierwszych dwóch lat, ale uważa, że ze względu na nasz dług w banku i na sprawy podatkowe powinniśmy zreorganizować naszą dotychczasową strukturę i przekształcić się w spółkę.

Dlaczego? - spytał Charlie. - Jakie mogłoby to przynieść korzyści?

- Izba Gmin uchwaliła właśnie nową ustawę podatkową - wyjaśniła Becky. - Moglibyśmy wykorzystać tę zmianę z pożytkiem dla siebie, gdyż w tej chwili prowadzimy interesy w siedmiu różnych sklepach, z których każdy płaci oddzielnie podatki, gdybyśmy natomiast połączyli je w spółkę, moglibyśmy odjąć straty pracowni krawieckiej czy sklepu żelaznego od zysków sklepu warzywnego czy mięsnego i w ten sposób zmniejszyć podstawę opodatkowania.

Mogłoby to być szczególnie korzystne w kiepskim roku.

- Odnoszę wrażenie, że Hadlow ma rację - przyznał Charlie. - Więc zrobmy tak, jak nam radzi.

- Nie jest to takie proste - oznajmił pułkownik, umieszczając monokl w oku. - Pan Hadlow uważa, że gdybyśmy chcieli założyć spółkę, powinniśmy mianować kilku nowych dyrektorów, zlecając im zajęcie się dziedzinami, w których my nie mamy jeszcze dużego doświadczenia lub wręcz nie mamy go wcale.

- Dlaczego od nas tego wymaga? - spytał ostrym tonem Charlie.

- Przecież nigdy dotąd nie potrzebowaliśmy nikogo, kto wtrącałby się do naszych interesów.

- Dlatego, że rozwijamy się tak dynamicznie, Charlie. Możemy w przyszłości potrzebować fachowców, dysponujących wiedzą, której my po prostu obecnie nie posiadamy. Zakup tych mieszkań

jest dobrym tego przykładem.

- Ale od tego mamy pana Crowthera.

- Który być może czułby się wobec nas bardziej zobowiązany, gdyby zasiadał w radzie nadzorczej. - Charlie zmarszczył brwi. - Dobrze wiem, co myślisz - ciągnął pułkownik - To twoja firma i uważasz, że nie potrzebujesz ludzi z zewnątrz, którzy mówiliby ci, jak ją prowadzić. Ale jeśli założymy spółkę, firma nadal będzie twoja, ponieważ cały pakiet akcji należeć będzie do ciebie i do Becky, a więc wszystkie aktywa pozostaną w waszych rękach.

Będziesz miał jednak dodatkową korzyść w postaci nieetatowych dyrektorów, gotowych służyć ci radą.

- Oraz wydawać nasze pieniądze i zmieniać nasze decyzje - wtrącił Charlie. - Nie pozwolę na to, żeby pouczali mnie obcy ludzie.

- Spółka wcale nie musi funkcjonować na takiej zasadzie - stwierdziła Becky.

Nie jestem przekonany, czy w ogóle może funkcjonować.

- Charlie, powinieneś czasem posłuchać tego, co mówisz. Zaczynasz przemawiać jak luddysta.

- Może powinniśmy przeprowadzić głosowanie - zaproponował pułkownik, pragnąc obniżyć temperaturę dyskusji. - Żeby przekonać się, jakie są nasze stanowiska.

- Głosowanie? W jakiej sprawie? Dlaczego? przecież sklepy należą do mnie.

Becky podniosła wzrok. - Do nas obojga, Charlie, a pan pułkownik z pewnością zasłużył na to, by wysłuchać jego opinii.

- Przepraszam, pułkowniku, nie chciałem przecież...

- Wiem, że nie chciałeś, Charlie, ale Becky ma rację. Jeśli zamierzasz zrealizować swoje długofalowe plany, będziesz niewątpliwie potrzebował pomocy z zewnątrz. Nie można urzeczywistnić takich wizjonerskich zamierzeń całkowicie o własnych siłach.

- A czy można je urzeczywistnić w oparciu o wtrącających się intruzów?

- Myśl o nich jako o swoich pomocnikach.

- Więc nad czym właściwie głosujemy? - spytał z rozdrażnieniem Charlie.

- No więc - zaczęła Becky - ktoś powinien złożyć wniosek dotyczący przekształcenia naszej firmy w spółkę. Jeśli wniosek przejdzie, możemy zaproponować stanowisko prezesa rady nadzorczej panu pułkownikowi, który z kolei mianuje cię naczelnym dyrektorem, a mnie sekretarzem spółki. Myślę, że do rady powinien zostać dokooptowany również pan Crowther i jakiś przedstawiciel banku.

- Widzę, że dokładnie to przemyślałeś - stwierdził Charlie.

- To wchodzi w zakres moich obowiązków, jeśli przypomina pan sobie dokładnie treść naszej umowy, panie Trumper - odparła Becky.

- Ale przecież nie jesteśmy firmą Marshall Field's.

- Jeszcze nie - odparł pułkownik z uśmiechem. - Ale pamiętaj, Charlie, że to ty nauczyłeś nas myśleć w taki sposób.

- Wiedziałem, że w końcu zrzucicie całą winę na mnie.

- A zatem składam wniosek, byśmy przekształcili się w spółkę - oznajmiła Becky. - Kto jest za?

Becky i pułkownik podnieśli ręce, a Charlie, choć niechętnie, zrobił to samo w kilka sekund później, pytając: - I co teraz?

- Teraz proponuję - oświadczyła Becky - by pułkownik sir Danvers Hamilton został naszym pierwszym prezesem rady nadzorczej.

Tym razem Charlie natychmiast podniósł rękę.

- Dziękuję wam - powiedział pułkownik. - Moim pierwszym posunięciem na tym stanowisku jest mianowanie pana Trumpera dyrektorem naczelnym, a panią Trumper sekretarzem spółki. Zamierzam też, za waszym pozwoleniem, porozmawiać z panem Crowtherem i chyba z panem Hadlow, proponując im wejście w skład rady nadzorczej.

- Zgoda - mruknęła Becky, gorączkowo notując przebieg zebrania w protokole i starając się nadążyć za tokiem wydarzeń.

- Czy są jeszcze jakieś sprawy? - spytał pułkownik.

- Chciałabym zaproponować, panie prezesie - zaczęła Becky, wywołując mimowolny uśmiech na twarzy pułkownika - abyśmy ustalili datę naszego pierwszego comiesięcznego spotkania całej rady nadzorczej.

- Odpowiada mi każdy termin - oznajmił Charlie. - Ponieważ jedno jest pewne: że nie uda nam się zebrać wszystkich na raz przy tym stole, chyba że postanowicie odbywać zebrania o czwartej trzydzieści rano. W ten sposób moglibyśmy przekonać się przynajmniej, kto naprawdę gotów jest ciężko pracować.

Pułkownik roześmiał się głośno. - No cóż, w ten sposób miałbyś pewność, że przeforsujesz wszystkie swoje warunki, a my nawet się o tym nie dowiemy. Ale muszę cię ostrzec, że jedna osoba nie będzie już stanowić quorum.

- Quorum?

- Minimalna ilość uczestników zebrania, niezbędna do przyjęcia wniosku - wyjaśniła mu Becky.

- Do tej pory byłem to po prostu ja sam - z zadumą stwierdził Charlie.

- I tak było zapewne z panem Marksem, dopóki nie poznał pana Spencera - odparł pułkownik. - Ustalmy więc, że nasze następne zebranie odbędzie się za miesiąc od dnia dzisiejszego.

Becky i Charlie kiwnęli głowami.

- W takim razie, o ile nie ma żadnych innych wniosków, ogłaszam koniec zebrania.

- Jest jeszcze jedna sprawa - stwierdziła Becky - ale nie sądzę, by tego rodzaju informacje należało protokołować.

- Oddaję ci głos - oznajmił zaskoczony prezes.

Becky pochyliła się nad stołem i wzięła Charlie'ego za rękę. - Tę pozycję należałoby odnotować w rubryce "różne wydatki bieżące" - powiedziała. - Widzisz, spodziewam się następnego dziecka.

Charlie choć raz nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. To pułkownik spytał w końcu, czy nie ma gdzieś pod ręką butelki szampana.

- Obawiam się, że nie - odparła Becky. - Charlie nie pozwala mi nic kupować w sklepie z winem i spirytualiami, dopóki nie przejdzie on w nasze ręce.

- To całkiem zrozumiałe - przyznał pułkownik. - W takim razie będziemy po prostu musieli pójść do mnie - dodał, wstając od stołu i biorąc swój parasol. - Dzięki temu Elizabeth weźmie udział w uroczystości. Ogłaszam, że zebranie jest zakończone.

W kilka chwil później, kiedy wszyscy troje wychodzili na Chelsea Terrace, pod sklepem pojawił się listonosz. Ujrzawszy Becky, wręczył jej jakiś list.

- Przesyłka z taką ilością znaczków może pochodzić tylko od Daphne - powiedziała, rozrywając kopertę i zabierając się do czytania.

- Co u niej słychać? - spytał Charlie, gdy wszyscy troje ruszyli w kierunku domu pułkownika.

- Objechała już Amerykę i Chiny, a z tego, co pisze wynika, że teraz wybiera się do Indii. Przybrała też cztery kilo na wadze i poznała pana Calvina Coolidge'a, kimkolwiek ten człowiek jest.

- Wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych - wyjaśnił Charlie.

- Naprawdę? Mają nadzieję wrócić do domu przed sierpniem, więc już niedługo będziemy mogli dowiedzieć się wszystkiego z pierwszej ręki. - Becky podniosła wzrok znad listu i zobaczyła, że obok niej idzie już tylko pułkownik. - Gdzie jest Charlie? - Oboje odwrócili głowy i stwierdzili, że ogląda mały domek, na którego frontowej ścianie wisi wywieszka z napisem: "Do sprzedania".

Zawrócili i podeszli do niego bliżej. - I co o tym myślisz? - spytał, nadal oglądając nieruchomość.

- O czym, Charlie?

- Podejrzewam, moja droga, że Charlie chce poznać twoją opinię na temat tego domu.

Becky spojrzała na dwupiętrowy domek, którego fasadę zdobił pnący bluszcz.

- Jest piękny, naprawdę piękny.

- Jest więcej niż piękny - oznajmił Charlie, wkładając kciuki do kieszeni kamizelki. - Jest nasz, i jest idealną rezydencją dla kogoś, kto ma żonę z trojgiem dzieci, a poza tym pełni funkcję naczelnego dyrektora rozwijającej się firmy na terenie Chelsea.

- Ale ja nie mam jeszcze drugiego dziecka, nie wspominając już o trzecim.

- Trzeba planować perspektywicznie - stwierdził Charlie. - Sama mnie tego nauczyłaś.

- Ale czy stać nas na taki dom?

- Oczywiście, że nie - odparł. - Ale jestem przekonany, że wartość nieruchomości w tej dzielnicy wkrótce zacznie wzrastać, bo ludzie zdadzą sobie sprawę, że mają w bliskim zasięgu swój własny dom towarowy. Tak czy owak jest już za późno, bo dziś rano wpłaciłem zaliczkę. - Włożył rękę do kieszeni marynarki i wyjął klucz.

- Ale dlaczego nie naradziłeś się ze mną wcześniej? - spytała Becky.

- Bo oznajmiłabyś mi, że nas na to nie stać, podobnie jak było w przypadku drugiego, trzeciego, czwartego, piątego i każdego następnego sklepu.

Ruszył w kierunku drzwi frontowych, a Becky szła o metr za nim.

- Ale...

- Zostawiam was samych, żebyście sobie wszystko wyjaśnili - powiedział pułkownik. - Kiedy skończycie oglądać swój nowy dom, wpadnijcie do mnie na kieliszek szampana.

Potem, zadowolony z siebie i ze świata, ruszył wzdłuż zalanej porannym słońcem Tregunter Road, pogodnie wymachując parasolem i zjawił się w domu w porze, w której wypijał zwykle swą pierwszą whisky w ciągu dnia.

Przekazał wszystkie informacje Elizabeth, którą bardziej interesowały szczegóły dotyczące dziecka i domu, niż stan finansów firmy i wybór jej męża na stanowisko prezesa. Wywiązawszy się z tego zadania najlepiej jak umiał, polecił lokajowi umieścić butelkę szampana w kubelku z lodem. Potem udał się do gabinetu, by przed nadejściem Trumperów przejrzeć poranną pocztę.

16-Prosto jak strzelił Na jego biurku leżały trzy nie otwarte koperty: rachunek od krawca (który przypominał mu o krytycznym stosunku Becky do tego rodzaju wydatków), zaproszenie do Bisley na doroczne spotkanie pewnego stowarzyszenia charytatywnego oraz list od Daphne, zawierający - jak się domyślał - te same informacje, które już przekazała mu Becky.

Stemple pocztowe pochodziły z Delhi. Pułkownik rozciął kopertę. Daphne donosiła, że jest zachwycona podróżą, ale nie wspominała o swych problemach z wagą. Potem stwierdziła, że musi mu przekazać pewne niepokojące wieści, dotyczące Guya Trenthama.

Kiedy bawili w Punie, jej mąż spotkał go pewnego wieczora w klubie oficerskim. Guy miał na

sobie cywilne ubranie i był tak wychudzony, że Percy z trudem go poznał. Oznajmił mu, że został zmuszony do rezygnacji ze swej funkcji i że winę za jego upadek ponosi tylko jeden człowiek: pewien sierżant, który już kiedyś złożył przeciwko niemu kłamliwe zeznania i który zadaje się ze znanymi przestępcami. Stwierdził też, że przyłapał kiedyś tego człowieka na kradzieży i że po powrocie do Anglii zamierza...

Rozległ się dzwonek u drzwi frontowych.

- Czy możesz otworzyć, Danyers? - spytała Elizabeth, wychylając się nad barierką klatki schodowej. - Jestem na górze i układam kwiaty.

Otwierając drzwi stojącym na progu gościom, pułkownik nadal kipiał z gniewu. Musiał wydać się zaskoczony ich widokiem, bo Becky spytała: - Przyszliśmy na szampana, panie prezesie. A może zapomniał pan już o moim poważnym stanie?

- Ach tak, przepraszam was. Moje myśli były daleko stąd. - Pułkownik wsunął list od Daphne do kieszeni marynarki. - Szampan powinien już mieć idealną temperaturę - dodał, wprowadzając ich do salonu.

- Państwo Trumper w sile dwóch i ćwierci osoby są już na miejscu - zawołał w kierunku pierwszego piętra, by powiadomić żonę o ich przybyciu.

ROZDZIAŁ 18

Pułkownik zawsze przyglądał się z rozbawieniem, jak Charlie biega przez cały dzień od sklepu do sklepu, usiłując mieć na oku wszystkich swoich pracowników, a równocześnie koncentrując energię na tych firmach, które nie przynosiły odpowiednio wysokich dochodów. Zauważył jednak, że mając do czynienia z tyloma problemami, nie potrafi on oprzeć się pokusie obsługiwanie klientów w sklepie z owocami i warzywami, który był jego chlubą i dumą.

Bob Matóns wpuszczał go za ladę na godzinę w ciągu dnia; Charlie zdejmował wtedy marynarkę, zakasywał rękawy, zaczynał mówić cockneyem i udawał, że jest z powrotem na Whitechapel Road i sprzedaje towar ze straganu swego dziadka.

- Pół funta pomidorów, trochę fasoli i jak zwykle funt marchewki, jeśli dobrze pamiętam, prawda, pani Symonds?

- Bardzo dziękuję, panie Trumper. A jak się miewa pańska żona?

- Nigdy nie czuła się lepiej.

- Kiedy spodziewacie się państwo dziecka?

- Lekarz twierdzi, że za jakieś trzy miesiące.

- Nie widuję już pana teraz za ladą tak często jak kiedyś.

- Staję za nią tylko wtedy, kiedy zjawiają się ważni klienci, kochana - odpowiedział Charlie. - W końcu była pani jedną z pierwszych osób odwiedzających mój sklep.

- Istotnie. Czy podpisał pan już umowę na kupno tych mieszkań, panie Trumper?

Charlie, nie potrafiąc ukryć zdumienia, spojrzał uważnie na panią Symonds, wydając jej równocześnie resztę. - Mieszkań?

- Owszem, wie pan przecież, o czym mówię, numery od 25 do 99.

- Dlaczego pani o to pyta, pani Symonds?

- Bo nie jest pan jedyną osobą, która się nimi interesuje.

A skąd pani to wie?

- Stałam, że widziałam pod tym budynkiem jakiegoś młodego człowieka z pękiem kluczy, czekającego w ubiegłą niedzielę rano na klienta.

Charlie przypomniał sobie, że państwo Symonds mieszkają na końcu Chelsea Terrace, dokładnie naprzeciw głównego wejścia do budynku.

- A czy rozpoznała pani tego klienta?

- Nie. Widziałam, jak podjeżdża jakiś samochód, ale mój mąż uważał, że jego śniadanie jest ważniejsze niż moja ciekawość, więc nie zauważyłam, kto z niego wysiadł.

Charlie nadal patrzył w zamyśleniu na panią Symonds, która wzięła swoją torbę z lady, pogodnie

pomachała mu na pożegnanie i wyszła ze sklepu.

Mimo rewelacji pani Symonds i wysiłków Syda Wrexalla, starającego się rzucać mu kłody pod nogi, Charlie planował już następny zakup. Dzięki pracowitości majora Arnolda, informacjom pana Crowthera i pożyczkom pana Hadlowa zdobył pod koniec lipca dwa następne sklepy na Chelsea Terrace: numer 133, ubiory damskie, i numer 101, wina i spirytualia. Podczas sierpniowego posiedzenia rady nadzorczej Becky zaproponowała awansowanie majora Arnolda do rangi zastępcy naczelnego dyrektora spółki; miał on obserwować bacznie wszystko, co dzieje się na Chelsea Terrace.

Charlie już od pewnego czasu bardzo potrzebował dodatkowej pary oczu i uszu, a ponieważ Becky nadal pracowała całymi dniami w firmie Sotheby, major Arnold idealnie nadawał się do tej funkcji. Pułkownik z zadowoleniem poprosił Becky o wpisanie do protokołu decyzji o nominacji majora. Dalsza część posiedzenia potoczyła się bardzo gładko, dopóki pułkownik nie spytał: - Czy są jeszcze jakieś inne sprawy?

- Owszem - odparł Charlie. - Co słyhać na temat tych mieszkań?

- Zgodnie z poleceniem zaproponowałem za nie dwa tysiące funtów - oznajmił Crowther. - Agent obiecał, że będzie doradzał swemu klientowi przyjęcie mojej oferty, ale nie udało mi się dotąd sfinalizować tej transakcji.

- Dlaczego? - spytał Charlie.

Ponieważ przedstawiciele firmy Savill zawiadomili mnie dziś rano telefonicznie, że otrzymali inną ofertę, a proponowana cena znacznie przekracza sumę, jaką spodziewali się dostać za tę nieruchomość. Uważali, że powinienem poinformować radę nadzorczą o aktualnym stanie rzeczy.

- I mieli rację - stwierdził Charlie. - Ale na ile opiewa ta oferta?

Tego najbardziej chciałbym się dowiedzieć.

- Na dwa tysiące pięćset funtów - odparł Crowther.

Wszyscy zebrani zamilkli na długą chwilę, by zastanowić się, zanim wyrażą swą opinię.

- Na miłość boską, czy ktokolwiek może się spodziewać, że taka inwestycja przyniesie mu dochód? - spytał w końcu Hadlow.

- W żadnym wypadku - odparł Crowther.

- Proszę im zaproponować trzy tysiące funtów.

- Co powiedziałeś? - spytał prezes, odwracając się do Charlie'ego.

- Proszę im zaproponować trzy tysiące funtów - powtórzył Charlie.

- Ależ, Charlie, zgodziliśmy się przecież, zaledwie przed kilku tygodniami, że dwa tysiące to i tak wygórowana cena - przypomniała mu Becky. - Jak te mieszkania mogły nagle aż tak zyskać na wartości?

- Są warte tyle, ile ktoś gotów jest za nie zapłacić - odpowiedział Charlie. - Nie mamy więc wyboru.

- Ależ panie Trumper... - zaczął Hadlow.

- Jeśli zdobędziemy w końcu wszystkie sklepy na tej ulicy, ale nie uda nam się kupić tych mieszkań, cały mój wysiłek pójdzie na marne. Nie chcę tego ryzykować dla trzech tysięcy funtów, czy też raczej, jak ja to widzę, dla pięciuset.

- Owszem, ale czy możemy pozwolić sobie w tej chwili na tak duży wydatek?

- Pięć z naszych sklepów przynosi obecnie zyski - powiedziała Becky, zaglądając do swego wykazu. - Dwa wychodzą na swoje, a tylko jeden stale jest deficytowy.

- Musimy mieć dość odwagi, by iść do przodu - oznajmił Charlie.

- Jeśli kupimy tę kamienicę czynszową, możemy ją zburzyć i zbudować na jej miejscu z pół tuzina sklepów. Zaczną przynosić nam dochód już w najbliższej przyszłości.

Crowther dał wszystkim chwilę czasu na przemyślenie strategii Charlie'ego, a potem spytał: - Więc jakie są zalecenia rady?

Proponuję, abyśmy zaoferowali im trzy tysiące funtów - oświadczył pułkownik. - Jak stwierdził dyrektor naczelny, musimy myśleć długofalowo, ale tylko pod warunkiem, że bank zechce pójść nam na rękę. Co pan na to, panie Hadlow?

- W tej chwili możecie pozwolić sobie, choć z trudem, na wydanie trzech tysięcy funtów - powiedział dyrektor banku, sprawdzając kolumny cyfr. - Ale wyczerpie to całkowicie waszą zdolność zaciągania kredytów. Oznacza to również, że nie będziecie mogli w najbliższej przyszłości nawet myśleć o kupowaniu następnych sklepów.

- Nie mamy wyboru - oświadczył Charlie, patrząc Crowtherowi w oczy. - O te mieszkania ubiega się ktoś inny, a my nie możemy w tym stanie rzeczy pozwolić jakiemuś rywalowi na ich zdobycie.

- No dobrze, skoro takie są zalecenia rady, to spróbuję jeszcze dziś po południu podpisać umowę na trzy tysiące funtów.

- Myślę, że tego właśnie oczekuje od pana rada - stwierdził prezes, rozglądając się po zebranych. - No cóż, jeśli nie ma innych spraw, ogłaszam koniec posiedzenia.

Gdy tylko wszyscy wstali od stołu, pułkownik wziął Crowthera i Hadlowa na stronę. - Nie podoba mi się ta sprawa z mieszkaniami - wyznał. - Taka oferta, spadająca jak grom z jasnego nieba, daje sporo do myślenia.

- Zgadzam się - przyznał Crowther. - Mój instynkt mówi mi, że Syd Wrexall i jego koledzy ze Stowarzyszenia Właścicieli Sklepów próbują uniemożliwić Charlie'emu przechwycenie całego odcinka ulicy, zanim będzie na to zbyt późno.

- Nie - oświadczył Charlie, podchodząc do nich bliżej. - To nie może być Syd, bo on nie ma samochodu - dodał tajemniczo. - Tak czy owak, Wrexall i jego wspólnicy nie byliby w stanie zapłacić dwóch i pół tysiąca funtów.

- Więc myśli pan, że jest to jakiś nie znany nam przedsiębiorca, który ma własne plany przebudowy Chelsea Terrace? - spytał Hadlow."

- Chyba raczej jakiś inwestor, który opracował długofalowy plan i gotów jest czekać, dopóki nie będziemy mieli wyboru i zapłacimy mu za te mieszkania astronomiczną sumę - oświadczył Crowther.

- Nie wiem, kto to jest i jaką firmę reprezentuje - przyznał Charlie. - Ale jestem pewien, że postąpiliśmy słusznie postanawiając go przelicytować.

Zgoda - wtrącił pułkownik. - Panie Crowther, proszę mnie powiadomić, gdy tylko sfinalizuje pan tę umowę. A teraz, niestety, muszę już iść. Zaprosiłem na lunch do mojego klubu pewną niezwykłą damę.

- Czy jest to ktoś, kogo znamy? - spytał Charlie.

- Daphne Wiltshire.

- Niech ją pan ode mnie pozdrowi - poprosiła Becky. - I powie jej, że oboje cieszymy się na kolację, którą mamy z nimi zjeść w przyszłą środę.

Pułkownik uchylił kapelusza przed Becky i wyszedł, a pozostali członkowie rady kontynuowali dyskusję, która polegała na wygłaszaniu najróżniejszych teorii, dotyczących zainteresowanego kupnem mieszkań konkurenta.

Posiedzenie rady skończyło się nieco później, niż przewidywał pułkownik, zdążył więc wypić tylko jedną whisky, zanim pojawiła się Daphne, i przeszli do jadalni, do której wolno było zapraszać kobiety. Istotnie przybyło jej kilka funtów, ale jego zdaniem wcale nie wyglądała przez to mniej atrakcyjnie.

Zamówił gin z tonikiem dla swej towarzyszki, która z ożywieniem zaczęła rozprawiać o urokach Ameryki i gorącym klimacie Afryki, on jednak przypuszczał, że chce z nim pomówić o zupełnie innym kontynencie.

- A jak było w Indiach? - spytał w końcu.

- Niestety, nie najlepiej - odparła Daphne, wypijając łyk ginu z tonikiem. - W gruncie rzeczy, okropnie.

- To zabawne; zawsze uważałem, że tubylcy są tam dość przyjaźni - powiedział pułkownik.

- To nie tubylcy okazali się problemem - oznajmiła Daphne.

- Trentham?

- Niestety, właśnie on.

- Czy nie dostał twojego listu?

- Och, tak, ale wypadki potoczyły się o wiele dalej, panie pułkowniku. Teraz żałuję tylko, że nie posłuchałam pańskiej rady i nie przepisałam dosłownie pańskiego listu. Powinnam była go ostrzec, iż jeśli ktokolwiek spyta mnie o to wprost, odpowiem, że to on jest ojcem Daniela.

- Dlaczego? Co spowodowało taką zmianę zdania?

Daphne jednym haustem wychyliła zawartość swej szklanki. - Przepraszam, pułkowniku, ale potrzebowałam tego drinka. Kiedy Percy i ja zjawiliśmy się w Punie, Ralph Forbes, dowódca pułku, oznajmił nam natychmiast, że Trentham zrezygnował ze swego stanowiska.

- Owszem, wspominałaś o tym w swoim liście. - Pułkownik odłożył nóż i widelec. - Ale chciałbym wiedzieć, dlaczego.

- Percy odkrył później, że chodziło o jakąś aferę dotyczącą żony adiutanta, ale nikt nie chciał wchodzić w szczegóły. Najwyraźniej jest to temat tabu i nie rozmawia się o nim w kasynie oficerskim.

- Co za skończony łobuz. Gdybym tylko...

- Całkowicie się z panem zgadzam, pułkowniku, ale muszę pana ostrzec, że najgorsze jeszcze przed nami.

Zanim Daphne zaczęła mówić dalej, pułkownik zaordynował następny gin z tonikiem dla swego gościa oraz whisky dla siebie.

- Kiedy podczas ostatniego weekendu odwiedziłam Ashurst, major Trentham pokazał mi list, który Guy napisał do swej matki, przedstawiając w nim powody swej rezygnacji ze służby w Królewskich Strzelcach. Za główną przyczynę uznał pański list do pułkownika Forbesa, w którym informował go pan, iż Guy jest odpowiedzialny za "ciążę pewnej prostytutki z Whitechapel". Widziałam na własne oczy to zdanie i jest ono właśnie tak sformułowane.

Policzki pułkownika poczerwieniały z gniewu.

- "...Podczas gdy okazało się z czasem, że ojcem dziecka jest Trumper" - dokończyła Daphne. - Tak czy owak, taką wersję lansuje Trentham.

- Czy ten człowiek nie ma ani cienia przyzwoitości?

- Chyba nie - odparła Daphne. - Widzi pan, on sugeruje w dalszym ciągu listu, że Charlie Trumper zatrudnił pana tylko po to by się upewnić, że będzie pan trzymał język za zębami. -

”Trzydzieści srebrników” - oto określenie, którym się posłużył w tym kontekście.

- Zasługuje na to, żeby obić go szpicrutą.

- Chyba zgodziłby się z tym nawet major Trentham. Ale ja najbardziej obawiam się nie o pana i nawet nie o Becky, ale o samego Charlie’ego.

- Co masz na myśli?

- Zanim opuściliśmy Indie, Trentham spotkał mojego męża w Klubie Podróżników i ostrzegł go, że Charlie będzie tego żałował do końca życia.

Ale dlaczego ma pretensje do Charlie’ego?

- Percy zadał mu to samo pytanie, a Trentham wyraził głębokie przekonanie, że to właśnie Trumper skłonił pana do wystąpienia w tej sprawie, chcąc wyrównać z nim stare porachunki.

- Ależ to nieprawda!

- Percy też mu to tłumaczył, ale on nie chciał słuchać.

- A poza tym, co miał na myśli mówiąc o ”starych porachunkach”?

- Nie mam pojęcia, wiem tylko, że tego samego dnia wieczorem Guy pytał mnie o obraz, przedstawiający Madonnę z Dzieciątkiem.

- Chyba nie o ten, który wisi w saloniku u Charlie’ego?

- Właśnie o ten, a kiedy w końcu przyznałam, że go widziałam, natychmiast zmienił temat.

- Ten człowiek musiał postradać zmysły.

- Mnie wydawał się całkiem normalny - oświadczyła Daphne.

- No cóż, dziękujemy Bogu, że przynajmniej siedzi w Indiach, więc mamy trochę czasu, żeby się zastanowić nad dalszymi krokami, jakie powinniśmy w tej sprawie przedsięwziąć.

- Obawiam się, że niewiele czasu - powiedziała Daphne.

- Dlaczego?

- Major Trentham poinformował mnie, że Guy ma wrócić do kraju już w przyszłym miesiącu.

Po lunchu z Daphne pułkownik wrócił do domu. Kiedy lokaj otwierał mu drzwi, nadal kipiał z gniewu, ale nie był jeszcze pewien, co powinien w tej sprawie zrobić. Lokaj oznajmił mu, że w gabinecie czeka na niego pan Crowther.

- Crowther? Czego on może chcieć? - wymamrotał do siebie pułkownik, poprawiając sztych przedstawiający Wyspę Skye, który wisiał w hallu, obok drzwi gabinetu.!

- Kłaniam się, panie prezesie - powitał go Crowther, wstając z fotela. - Poleciał mi pan złożyć meldunek, gdy tylko dowiem się czegoś o tych mieszkaniach.

- Ach tak, istotnie o to prosiłem. Czy sfinalizował pan tę transakcję?

- Nie, sir. Zgodnie z otrzymanym poleceniem złożyłem firmie SavilFs ofertę, opiewającą na trzy tysiące funtów, ale w mniej więcej godzinę później poinformowano mnie telefonicznie, że strona przeciwna podwyższyła swą stawkę do czterech tysięcy.

- Do czterech tysięcy... - powtórzył z niedowierzaniem pułkownik - Ale kto...

- Oświadczyłem, że nie możemy przebić takiej sumy, i spytałem dyskretnie, kto jest ich klientem. Oznajmili mi, że nie jest to wcale tajemnicą. Uznałem więc, iż powinienem natychmiast się z panem porozumieć, panie prezesie, gdyż nie mam pojęcia, kim może być pani Geraldowa Trentham.

CHARLIE 1919-1926

ROZDZIAŁ 19

Kiedy siedziałem samotnie na ławce przy Chelsea Terrace, patrząc na znajdujący się naprzeciwko sklep, na którego markizie widniał napis: "Trumper", przez głowę przebiegały mi tysiące pytań. Potem dostrzegłem Bogatą Porky, a raczej, żeby ująć to ściśle, chyba ona dostrzegła mnie, ponieważ podczas mojej nieobecności zamieniła się w kobietę. Gdzie się podziała ta płaska klatka piersiowa, te pająkowate nogi, nie wspominając już o usianej pryszczami twarzy? Gdyby nie jej błyszczące piwne oczy, mógłbym mieć wątpliwości, czy to naprawdę ona.

Weszła prosto do sklepu i zaczęła rozmawiać z jakimś mężczyzną, który zachowywał się tak, jakby był jego kierownikiem. Widziałem, jak potrząsa przecząco głową; Becky zwróciła się z kolei do dwóch stojących za ladą panienek, które zareagowały w ten sam sposób. Wtedy wzruszyła ramionami, podeszła do kasy, wyciągnęła szufladę z pieniędzmi i zaczęła obliczać dzienny utarg.

Obserwowałem tego kierownika przez dobrą godzinę przed nadejściem Becky i muszę przyznać, że wywiązywał się ze swych obowiązków zupełnie dobrze, choć dostrzegłem już kilka zmian, których należałoby dokonać, by zwiększyć obroty - takich jak przeniesienie lady w głąb sklepu i wystawienie skrzynek z niektórymi produktami na trotuar, żeby zachęcić przechodniów do ich kupowania. - "Należy reklamować swoje towary, a nie poprzestawać na nadziei, że klienci sami je dostrzegą" - mawiał mój dziadek. Siedziałem jednak cierpliwie na ławce, dopóki personel nie zaczął opróżniać półek, przygotowując się najwyraźniej do zamknięcia sklepu.

W kilka minut później Becky znów wyszła na zewnątrz i spojrzała w górę, a potem w dół ulicy, jakby na kogoś czekała. Potem młody człowiek, trzymający teraz w ręku kłódkę z kluczem, podszedł do niej i kiwnął głową w moim kierunku. Becky po raz pierwszy spojrzała w stronę ławki.

Kiedy mnie dostrzegła, zerwałem się z miejsca i przeszedłem przez ulicę. Przez chwilę żadne z nas nie odzywało się ani słowem.

Miałem ochotę ją uściskać, ale w końcu podaliśmy sobie dość sztywno ręce, a ja spytałem: - Co się właściwie dzieje?

- Nie mogłam znaleźć nikogo innego, kto dostarczałby mi za darmo kremowe bułeczki - odparła Becky, a potem zaczęła mi tłumaczyć, dlaczego musiała sprzedać piekarnię i jak weszła w posiadanie sklepu pod numerem 147 na Chelsea Terrace. Kiedy pracownicy poszli do domów, oprowadziła mnie po mieszkaniu, a ja nie wierzyłem własnym oczom: łazienka z toaletą, kuchnia z porcelaną i sztućcami, salonik wyposażony w krzesła i stół oraz sypialnia - nie wspominając już o łóżku, które wyglądało tak, jakby miało się zawalić, gdy tylko ktoś na nim usiadzie.

Ponownie miałem ochotę ją uściskać, ale spytałem tylko, czy może zostać u mnie na kolacji, gdyż miałem jeszcze setkę pytań, które wymagały odpowiedzi.

- Przykro mi, ale nie dziś - odparła, kiedy otworzyłem walizkę i zacząłem się rozpakowywać. - Idę na koncert z pewnym gentlemanem. - Potem zrobiła jakąś uwagę na temat obrazka Tommy'ego, uśmiechnęła się i wyszła. Nagle znów zostałem sam.

Zdjąłem marynarkę, zakasałem rękawy, szedłem do sklepu, i przez kilka godzin przestawiałem sprzęty, dopóki wszystko nie znalazło się dokładnie tam, gdzie chciałem. Kiedy rozpakowałem ostatnie pudło, byłem tak zmęczony, że z trudem powstrzymałem się od padnięcia na łóżko i zaśnięcia w ubraniu. Nie zasunąłem kotar, by mieć pewność, że obudzę się o czwartej.

Następnego dnia ubrałem się pospiesznie, podniecony perspektywą powrotu na rynek, którego nie widziałem od niemal dwóch lat. Przybyłem tam na kilka minut przed Bobem Makinsem, który, jak się przekonałem, znał dobrze Covent Garden, choć nie był jeszcze fachowcem. Pogodziłem się z myślą, że będę musiał poświęcić kilka dni na zbadanie, którzy dostawcy współpracują z najbardziej sumiennymi farmerami, którzy mają dobre kontakty w dokach i portach, którzy ustalają danego dnia najbardziej sensowne ceny, i co najważniejsze, którzy zadbają o mnie, kiedy naprawdę będzie brakować jakiegoś towaru. Żaden z tych problemów najwyraźniej nie niepokoił Boba, który chodził po prostu po rynku najkrótszą drogą, gromadząc potrzebne mu towary.

Pokochałem ten sklep od chwili, kiedy otwarliśmy go pierwszego ranka, mojego pierwszego ranka. Minęło trochę czasu, zanim przyzwyczałem się do tego, że Bob i dziewczęta mówią do mnie "sir", ale oni z kolei też nie od razu nawykli do miejsca, w którym ulokowałem ladę oraz do konieczności wystawiania skrzynek na chodnik, nim jeszcze obudzą się pierwsi klienci. Nawet Becky zgodziła się jednak, że eksponowanie naszych towarów tuż pod nosem potencjalnych nabywców jest przebłyskiem geniuszu, choć nie była pewna, jak na to zareagują lokalne władze.

- Czyżby w Chelsea nie słyszano nigdy o handlu na świeżym powietrzu? - spytałem ją.

W ciągu miesiąca poznałem nazwiska wszystkich regularnych klientów, a w ciągu dwóch - ich zamięłowania, awersje, humory a nawet fanaberie, które oczywiście każdy z nich uważał za nietypowe. Kiedy personel zaczynał pakować towary pod koniec każdego dnia, przechodziłem często na drugą stronę ulicy, siadałem na mojej ławce i obserwowałem życie codzienne Chelsea Terrace.

Niebawem zdałem sobie sprawę, że pewne prawa obowiązują wszędzie, a zrozumienie potrzeb klientów jest tak samo niezbędne na Chelsea Terrace jak w Whitechapel; chyba właśnie od tego momentu zacząłem myśleć o zdobyciu drugiego sklepu. Dlaczego nie? Jarzyniarnia Trumpera nie była jedynym sklepem na tym odcinku ulicy, w którym stale ustawiała się kolejka, wychodząca aż na chodnik.

Becky kontynuowała tymczasem studia na Uniwersytecie Londyńskim i nadal podejmowała próby przedstawienia mnie swemu młodemu gentlemanowi. Prawdę mówiąc, robiłem co mogłem, by w ogóle nie spotkać się z Trenthamem, gdyż nie chciałem widywać człowieka, który w moim przekonaniu był zabójcą Tommy'ego.

W końcu zabrakło mi pretekstów, więc zgodziłem się zjeść z nimi kolację.

Kiedy Becky weszła do restauracji z Daphne i Trenthamem, zacząłem żałować, że zdecydowałem się z nimi spotkać. Moje uczucia musiały być odwzajemnione, gdyż na twarzy Trenthama odbiła się taka sama niechęć, jaką ja czułem wobec niego, natomiast przyjaciółka Becky, Daphne, usiłowała traktować mnie przyjaźnie. Była ładną dziewczyną i nie zaskoczyłoby mnie odkrycie, że liczni mężczyźni zachwycają się jej wesołym śmiechem. Ale niebieskookie blondynki o kręconych włosach nigdy nie były w moim typie. Chcąc zachować formy towarzyskie, udawałem, że Trentham i ja widzimy się po raz pierwszy.

Spędziłem jeden z najbardziej nieudanych wieczorów w życiu, walcząc z pokusą opowiedzenia Becky wszystkiego, co wiem, o tym draniu, ale widząc ich razem uświadomiłem sobie, że moje rewelacje nie będą miały na nią najmniejszego wpływu. Poczulem się jeszcze gorzej, kiedy Becky zaczęła bez żadnego powodu rzucać mi gniewne spojrzenia, ale opuściłem tylko głowę i zgarnąłem z talerza jeszcze trochę groszku.

Współlokatorka Becky, Daphne Harcourt-Browne, nadal robiła, co mogła, ale nawet Charlie Chaplin nie zdołałby skłonić naszej trójki do uśmiechu.

Tuż po jedenastej poprosiłem o rachunek i w kilka minut później wszyscy wyszliśmy z restauracji. Puściłem Becky i Trenthama przodem, w nadziei, że będę miał okazję zniknąć, ale ku mojemu zdumieniu uczepiła się mnie ta uparta Daphne, twierdząc, że chce zobaczyć, jakich zmian dokonałem w sklepie.

Już pierwsze pytanie, które zadała, gdy tylko otworzyłem drzwi, przekonało mnie, że niewiele uchodzi jej uwagi.

- Jest pan zakochany w Becky, prawda? - spytała całkowicie rzeczowym tonem.

- Owszem - odparłem szczerze i zacząłem mówić o swych uczuciach zupełnie otwarcie, choć nie ujawniłbym ich przed nikim innym.

Jej drugie pytanie zaskoczyło mnie jeszcze bardziej.

- A od jak dawna zna pan Guya Trenthama?

Prowadząc ją po schodach do mojego małego mieszkania, oznajmiłem jej, że służyliśmy razem na Froncie Zachodnim, ale ze względu na różnicę rang nasze ścieżki rzadko się krzyżowały.

- Więc dlaczego tak bardzo go pan nie lubi? - spytała, siadając naprzeciwko mnie.

Znów przeżyłem chwilę wahania, ale czując nagły przyływ niepowstrzymanego gniewu opowiedziałem jej o tym, co zdarzyło się mnie i Tommy'emu, kiedy usiłowaliśmy dotrzeć bezpiecznie do naszych okopów, i wyjaśniłem, dlaczego jestem przekonany, że to Guy Trentham zastrzelił mego najbliższego przyjaciela.

Kiedy skończyłem, oboje siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu.

Potem dodałem: - Proszę nigdy nie powtarzać tego wszystkiego Becky, zwłaszcza że nie mam niezbitego dowodu.

Kiwnęła potakująco głową i zaczęła mi opowiadać o jedynym mężczyźnie swego życia, jakby ta wymiana sekretów miała scementować naszą przyjaźń. Jej uczucia wobec tego człowieka były tak wyraźnie widoczne, że mimo woli poczułem się wzruszony. A kiedy pożegnaliśmy się około północy, Daphne obiecała mi, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by przyspieszyć kompromitację Guya Trenthama. Pamiętam, że użyła słowa "kompromitacja", bo musiałem ją spytać, co ono oznacza. Wyjaśniła mi to i w ten sposób otrzymałem moją pierwszą lekcję - wraz z ostrzeżeniem, że Becky ma nade mną przewagę, gdyż nie zmarnowała ostatnich dziesięciu lat. Podczas drugiej lekcji zrozumiałem, dlaczego Becky tak często rzucała mi podczas kolacji gniewne spojrzenia. Miałem zamiar wypomnieć jej tę arogancję, ale teraz pojąłem, że miała rację.

W ciągu następnych kilku miesięcy często widywałem się z Daphne w tajemnicy przed Becky, która nie wiedziała o łączącej nas przyjaźni. Daphne nauczyła mnie wiele o świecie, w jakim żyją moi nowi klienci; zabierała mnie też do sklepów z odzieżą, do kin i do działających na West Endzie teatrów; podobały mi się nawet sztuki, w których nie występowały tancerki. Zaprotestowałem stanowczo dopiero wtedy, kiedy próbowała mnie powstrzymać od oglądania w sobotnie popołudnia meczów West Ham, twierdząc, że powinienem chodzić na spotkania miejscowej drużyny rugby,

zwanej Quins. Ale też właśnie Daphne zawdzięcza pierwszą wizytę w

Galerii Narodowej i obejrzenie pięciu tysięcy obrazów. Wizyta ta zapoczątkowała aferę miłosną, która miała okazać się dla mnie równie kosztowna, jak uczucie do najbardziej wymagającej kobiety. Już po kilku miesiącach zabierałem ją z sobą na najnowsze wystawy takich malarzy, jak Renoir, Manet i młody Hiszpan nazwiskiem Picasso, który zaczynał właśnie zwracać uwagę wytwornego londyńskiego towarzystwa. Miałem nadzieję, że Becky dostrzeże zachodzące we mnie zmiany, ale ona nie odrywała oczu od kapitana Trenthama.

17-Prosto jak strzelił Za namową Daphne zacząłem również czytać dwie codzienne gazety. Wybrała dla mnie "Daily Express" i "News Chronicle", a od czasu do czasu zapraszała mnie na Lowndes Square, gdzie przeglądałem jedno z czytanych przez nią czasopism "Punch" lub "Strand". Powoli odkrywałem, kto jest kim, kto czym się zajmuje i z kim się zadaje. Poszedłem nawet po raz pierwszy na aukcję w firmie Sotheby's, gdzie widziałem, jak wczesne dzieło Constable'a zostało sprzedane za rekordową sumę dziewięćset gwinei. Przekraczała ona wartość firmy Trumper, nawet z całym wyposażeniem.

Muszę jednak wyznać, że ani ten piękny pejzaż, ani żaden z obrazów, jakie oglądałem w galeriach czy na aukcjach, nie wytrzymał moim zdaniem porównania z otrzymanym od Tommy'ego wizerunkiem Madonny z Dzieciątkiem, który nadal wisiał nad moim łóżkiem.

Kiedy w styczniu 1920 Becky przedstawiła bilans pierwszego roku, zacząłem zdawać sobie sprawę, że moje ambitne plany nabycia drugiego sklepu nie są mrzonkami. Potem zostały nagle wystawione na sprzedaż dwa inne lokale. Natychmiast poinformowałem Becky, że musi w jakiś sposób zdobyć pieniądze na ich zakup.

W jakiś czas później Daphne powiadomiła mnie dyskretnie, że Becky ma poważne kłopoty ze zdobyciem niezbędnej ilości gotówki. Nie wspomniałem o tym Becky, ale czekałem, kiedy mi powie, że jest to po prostu niemożliwe, zwłaszcza iż jej myśli pochłaniał niemal bez reszty kapitan Trentham, który miał niebawem zostać przeniesiony do Indii. Kiedy oznajmiła mi w dniu jego wyjazdu, że są oficjalnie zaręczeni, miałem ochotę poderżnąć gardło najpierw jemu, a potem sobie. Daphne zapewniła mnie jednak, że w Londynie jest wiele młodych kobiet, które uważały się w takim czy innym czasie za narzeczone kapitana Trenthama. Natomiast Becky była tak pewna szczerości jego intencji, że sam nie wiedziałem, której z nich wierzyć.

W następnym tygodniu zjawił się w sklepie mój były dowódca ze sporządzoną przez żonę listą zakupów. Nigdy nie zapomnę chwili, w której wyjął z kieszeni marynarki portfel i zaczął w nim szukać drobnych. Do tej pory nie wyobrażałem sobie, że pułkownik może żyć w realnym świecie. Wychodząc obiecał wpisać mnie na listę uczestników balu pułkowego; okazało się, że jest człowiekiem dotrzymującym słowa.

Moja euforia (kolejne słowo, którego nauczyłem się od panny Harcourt-Browne) wywołana przez spotkanie z pułkownikiem, trwała około dwudziestu czterech godzin. Potem Daphne powiedziała mi, że Becky spodziewa się dziecka. W pierwszej chwili zacząłem żałować, że nie zabiłem Trenthama na Zachodnim Froncie, zamiast ratować temu draniowi życie. Zakładałem, że niezwłocznie wróci z Indii, aby poślubić ją, zanim dziecko przyjdzie na świat. Wściekała mnie perspektywa jego ponownej ingerencji w nasze życie, ale zgadzałem się z pułkownikiem, że jest to jedyna droga postępowania, na jaką może zdecydować się gentleman.

Twierdził on, że jeśli Trentham nie zachowa się w taki sposób, Becky zostanie na resztę życia osobą stojącą poza nawiasem społeczeństwa.

Mniej więcej w tym czasie Daphne wyjaśniła mi, że jeśli chcemy liczyć na pożyczki bankowe, musimy postarać się o jakiegoś reprezentacyjnego figuranta. Płeć Becky była w tej sytuacji handicapem (jeszcze jedno słowo Daphne, która jednak uprzejmie nie wspomniała, że moim handicapem jest po prostu mój akcent).

Kiedy wracaliśmy do domu z balu pułkowego, Becky z optymizmem w głosie poinformowała Daphne, że człowiekiem, który najlepiej umiałby nas reprezentować w negocjacjach z bankami na temat pożyczek, byłby pułkownik Hamilton. Ja nie byłem takim optymistą, ale Becky, która odbyła rozmowę z jego żoną, uważała, że powinniśmy przynajmniej zobaczyć się z nim i przedstawić mu naszą propozycję.

Zgodziłem się i - ku mojemu zaskoczeniu - w dziesięć dni później otrzymaliśmy list z wiadomością, że pułkownik przystał na naszą propozycję.

Po kilku następnych dniach Becky przyznała mi się do swej ciąży. Od tej pory usilnie próbowałem się dowiedzieć, czy ma jakieś informacje dotyczące zamiarów Trenthama. Z przerażeniem odkryłem, że nie napisała nawet do niego, by przekazać mu tę wiadomość, choć spodziewała się dziecka już od czterech miesięcy.

Kazałem jej przysiąc, że wyśle list jeszcze tego samego wieczora, ale odmówiła mi zagrożenia Trenthamowi procesem o niedotrzymanie obietnicy. Nazajutrz Daphne zapewniła mnie, że widziała na własne oczy przez kuchenne okno, jak Becky wrzuca list do skrzynki.

Umówiłem się z pułkownikiem i poinformowałem go o stanie Becky, zanim stało się to publiczną tajemnicą. Powiedział dość tajemniczo: - Zostawcie Trenthama mnie.

W sześć tygodni później Becky oświadczyła mi, że nadal nie ma żadnych wiadomości od tego człowieka, a ja po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że jej uczucia wobec niego zaczynają słabnąć.

Poprosiłem ją nawet, by wyszła za mnie, ale ona nie potraktowała tej propozycji poważnie, choć nigdy w życiu nie przemawiałem bardziej szczerze. Tej nocy długo nie mogłem zasnąć, bo zastanawiałem się, co jeszcze powinienem zrobić, by uznała mnie za godnego siebie.

W miarę mijania tygodni Daphne i ja otaczaliśmy Becky coraz troskliwszą opieką, gdyż z każdym dniem stawała się bardziej podobna do wyrzuconego na plażę wieloryba. Nadal nie miała żadnych wieści z Indii, ale już na długo przed urodzeniem dziecka przestała w ogóle wspominać o Trenthamie.

Kiedy po raz pierwszy ujrzałem Daniela, zapragnąłem być jego ojcem i nie posiadałem się ze szczęścia, gdy Becky wyraziła nadzieję, że nadal ją kocham.

Miała nadzieję, że nadal ją kocham!

W tydzień później wzięliśmy ślub, a pułkownik, Bob Makins i Daphne zgodzili się zostać rodzicami chrzestnymi dziecka.

Podczas następnego lata Daphne i Percy również się pobrali, nie w Urzędzie Stanu Cywilnego dzielnicy Chelsea, lecz w kościele Św.

Małgorzaty w Westminster. Szukałem w tłumie pani Trentham tylko po to, by się przekonać, jak wygląda, ale potem przypomniałem sobie, że Percy mówił, iż nie została zaproszona.

Daniel rósł jak na drożdżach, a ja byłem wzruszony, że jednym z pierwszych wyrazów, jakie zaczął w kółko powtarzać, było słowo "Tata". Mimo to zastanawiałem się, kiedy będę musiał usiąść z nim na stronie i wyznać mu prawdę. "Bękart" to brutalne słowo, tym bardziej że dziecko, które musi żyć z taką świadomością, jest zupełnie niewinne.

- Nie musimy się o to martwić jeszcze przez jakiś czas - twierdziła uparcie Becky, ale ja bałem

się konsekwencji zbyt długiego utrzymywania tej sprawy w tajemnicy, zwłaszcza że niektórzy mieszkańcy Chelsea Terrace znali już prawdę.

Sal napisała z Toronto, by mi pogratulować i poinformować, że ona przestała już rodzić dzieci. Uznała, że czwórka potomstwa: bliźniaczki, Maureen i Babs, oraz dwaj chłopcy, David i Rex, to zupełnie wystarczy, nawet jak na dobrą katoliczkę. Pisała też, że jej mąż otrzymał awans i został reprezentantem handlowym firmy E. P.

Taylor na cały okręg, odniosłem więc wrażenie, że radzą sobie dość dobrze. Nigdy nie wspominała w listach o Anglii i nie wyrażała ochoty powrotu do swego rodzinnego kraju. Ponieważ jej jedyne wspomnienia z ojczyzny musiały dotyczyć spania w trójkę w jednym łóżku, rozpitego ojca i niedoboru jedzenia, nie pozwalającego nigdy na dokładkę, nie mogłem mieć do niej o to pretensji.

W dalszym ciągu listu besztła mnie za to, że Grace pisuje do niej znacznie częściej niż ja. Nie mogłem tłumaczyć się nawąłem pracy, gdyż moja siostra, pielęgniarka oddziałowa w londyńskiej klinice, miała jeszcze mniej wolnego czasu. Kiedy Becky przeczytała list i kiwnięciem głowy przyznała jej rację, postanowiłem, że będę się bardziej starał, i dotrzymałem słowa przez kilka najbliższych miesięcy.

Kitty odwiedzała od czasu do czasu Chelsea Terrace, ale tylko po to, by wyłudzić ode mnie jeszcze trochę pieniędzy, a jej wymagania rosły z każdą wizytą. Zawsze przychodziła wtedy, kiedy była pewna, że nie zastanie Becky. Z trudem wypłacałem jej żądane sumy, które mnie wydawały się zawrotne.

Błagałem Kitty, żeby znalazła sobie jakąś posadę, a nawet gotów byłem sam ją zatrudnić, ale ona wyjaśniła mi po prostu, że nie nadaje się do żadnej pracy. Nasze rozmowy rzadko trwały dłużej niż kilka minut, bo gdy tylko wręczałem jej pieniądze, natychmiast zniką. Zdawałem sobie sprawę, że w miarę otwierania dalszych sklepów coraz trudniej będzie mi przekonać Kitty, że powinna się ustatkować, a kiedy oboje z Becky przeprowadziliśmy się do naszego nowego domu przy Gilston Road, składała mi wizyty jeszcze częściej.

Mimo wysiłków Syda Wrexalla, który starał się ostudzić moje ambicje i uniemożliwić nam zakup wszystkich dostępnych sklepów (udało mi się zdobyć siedem, zanim natrafiłem na prawdziwy opór), miałem teraz na oku budynek mieszkalny, znajdujący się pod numerem 25 - 99 i zamierzałem go nabyć za jego plecami. Oczywiście nie umniejszało to mojej chęci przejęcia sklepu pod numerem 1, który ze względu na swe strategiczne położenie był kluczową częścią mego długofalowego planu wykupienia całego odcinka ulicy.

W ciągu roku 1922 wszystko układało się pomyślnie, a ja niecierpliwie czekałem na powrót Daphne z podróży poślubnej, chcąc opowiedzieć jej o wszystkich krokach, jakie podjąłem podczas jej nieobecności.

W tydzień po przyjeździe do Anglii zaprosiła nas na kolację do swego nowego domu na Eaton Square. Nie mogłem się doczekać jej relacji z podróży, a poza tym czułem, że będzie zachwycona, kiedy jej powiemy, iż jesteśmy teraz właścicielami dziewięciu sklepów i nowego domu na Gilston Road, a lada chwila powiększymy nasz stan posiadania o budynek mieszkalny. Wiedziałem jednak, o co mnie spyta, gdy tylko przekroczymy próg jej domu, więc z góry przygotowałem sobie odpowiedź: - Zdobycie całego odcinka ulicy zajmie mi około dziesięciu lat, o ile zagwarantujesz, że nie dojdzie do powodzi, epidemii ani wybuchu wojny.

Właśnie wychodziliśmy na powitalną kolację, kiedy przez szparę w drzwiach frontowych wsunięto jakąś kopertę.

Rozpoznałem zdecydowany charakter pisma, zanim podniosłem list z wycieraczki. Otworzyłem go i zacząłem czytać słowa pułkownika. Kiedy skończyłem, zrobiło mi się nagle niedobrze. Nie mogłem pojąć przyczyn jego rezygnacji.

ROZDZIAŁ 20

Charlie, który stał samotnie na korytarzu, postanowił nie wspominać Becky o liście pułkownika, dopóki nie wrócą z kolacji u Daphne. Becky od dawna cieszyła się na to spotkanie, a on żywił obawy, że nie wytłumaczona rezygnacja pułkownika może zatruć jej cały wieczór.

- Czy nic ci nie jest, kochanie? - spytała Becky, schodząc ze schodów. - Wydajesz się dość blady.

- Czuję się doskonale - odparł Charlie, pospiesznie wpychając list do wewnętrznej kieszeni. - Chodź, bo się spóźnimy, a to byłoby niestosowne. - Spojrzał na żonę i zauważył, że jest ubrana w różową suknię ozdobioną z przodu dużą kokardą. Przypomniał sobie, że sam pomógł jej ją wybrać. - Wyglądasz zachwycająco - dodał. - Daphne zzielenieje z zazdrości na widok tej kreacji.

- Ty też nie wyglądasz źle.

- Kiedy wkładam ten strój pingwina, zawsze czuję się jak starszy kelner od Ritza - wyznał Charlie, kiedy Becky poprawiała mu białą muszkę.

- Skąd możesz to wiedzieć, skoro nigdy nie byłeś u Ritza? - spytała ze śmiechem.

- Ale przynajmniej tym razem ten strój pochodzi z mojego własnego sklepu - odparł Charlie, otwierając przed nią drzwi.

- Ach tak... a czy już za niego zapłaciłeś?

Jadąc w kierunku Eaton Square Charlie nie mógł się skupić na lekkiej konwersacji z żoną, gdyż ciągle usiłował zgłębić przyczyny, dla których pułkownik pragnął zrezygnować, i to właśnie teraz, kiedy wszystko tak dobrze im szło.

- Więc jak twoim zdaniem powinnam postąpić w tej sprawie? - spytała Becky.

Tak, jak twoim zdaniem będzie najlepiej... - zaczął Charlie.

- Charlie, nie słuchałeś mnie wcale od chwili wyjścia z domu. I pomyśleć tylko, że jesteśmy małżeństwem od niecałych dwóch lat.

- Przepraszam - powiedział Charlie, parkując swego małego Austina Seven tuż za Rolls-Royce'em "Silver Ghost", który stał przed wejściem do domu opatrzonego numerem 14. - Nie miałbym nic przeciw temu, żeby tu zamieszkać - dodał, otwierając jej drzwi samochodu.

- Jeszcze nie teraz - stwierdziła Becky.

- Dlaczego nie?

- Myślę, że pan Hadlow nie mógłby nam udzielić aż tak wysokiej pożyczki.

Lokaj otworzył im drzwi, zanim dotarli do szczytu schodów.

- Taki też by się nam przydał - mruknął Charlie.

- Zachowuj się odpowiednio - szepnęła Becky.

- Oczywiście. Muszę pamiętać, gdzie jest moje miejsce.

Lokaj wprowadził ich do salonu, w którym zastali Daphne, popijającą cocktail dry martini.

- Kochani - powiedziała na powitanie. Becky podbiegła do niej i zarzuciła jej ręce na szyję, a potem uściskały się serdecznie.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - spytała Becky.

- To moja słodka tajemnica. - Daphne poklepała się po brzuchu.

- Ale ty najwyraźniej jak zwykle mnie wyprzedziłaś.

- Nieznacznie - odparła Becky. - Kiedy się go spodziewasz?

- Doktor Gould twierdzi, że w styczniu. Clarence, jeśli to będzie chłopak, Clarissa, jeśli okaże się dziewczynką.

Jej goście wybuchnęli śmiechem.

- Nie ośmielajcie się drwić. Są to imiona dwojga najwybitniejszych przodków mego męża - oznajmiła Daphne i w tym samym momencie wszedł do pokoju Percy.

- To prawda, jak Boga kocham - potwierdził od progu - choć nie mogę sobie do diabła przypomnieć, dlaczego właściwie byli wybitni.

- Witaj w kraju - powiedział Charlie, ściskając mu dłoń.

- Dziękuję, Charlie. - Percy ucałował Becky w oba policzki. - Muszę powiedzieć, że cholernie się cieszę widząc was znowu. - Lokaj podał mu whisky z wodą sodową. - A teraz, Becky, opowiedz mi o wszystkich waszych poczynaniach, nie pomijając żadnych szczegółów.

Usiedli oboje na kanapie, a Daphne podeszła do Charlie'ego, który wolno okrążał pokój, oglądając wiszące na ścianach duże portrety.

- To przodkowie Percy'ego - powiedziała. - Malowani przez samych drugorzędnych artystów. Oddałabym całą tę kolekcję za Madonnę, która wisi w twoim saloniku.

- No nie, tego chyba nie chciałybyś się pozbyć - zaprotestował Charlie, zatrzymując się przed drugim markizem Wiltshire.

- Ach tak, to Holbein - przyznała Daphne. - Masz rację. Ale obawiam się, że od tej pory wynajmowano coraz gorszych malarzy.

- Skądże mógłbym to wiedzieć, proszę jaśnie pani - odparł z uśmiechem Charlie. - Widzisz, moi przodkowie nie wydawali pieniędzy na portrety. Nie sądzę, żeby Holbein namalował wielu straganiarzy z East Endu.

- To mi o czymś przypomina, Charlie. Co się stało z twoim cockneyowskim akcentem?

- A na co pani liczyła, pani markizo, że sprzedam pani funt pomidorów i pół funta grapefruitów czy też że zabiorę panią na wieczór w miasto?

- To już lepiej. Nie możesz pozwolić na to, żeby przewróciło ci się w głowie po tych kilku kursach wieczorowych.

- Ćśśś... - szepnął Charlie, zerkając w kierunku swej żony, która nadal siedziała na kanapie. - Becky nic o tym nie wie, a ja jej o tym nie powiem, dopóki...

- Rozumiem - przerwała mu Daphne. - I obiecuję ci, że nie dowie się tego ode mnie. Nie powiedziałam o tym nawet własnemu mężowi. - Zerknęła w stronę Becky, która nadal pogrążona była w rozmowie z panem domu. - A propos, jak długo...

- Sądzę, że około dziesięciu lat - odparł Charlie, wygłaszając przygotowaną kwestię.

- Och, a ja myślałam, że to zwykle trwa około dziewięciu miesięcy. Chyba, oczywiście, że jest się słoniem.

Charlie uśmiechnął się, uświadomiwszy sobie swoją pomyłkę. - Sądzę, że około dwóch

miesiący. Tommy, jeśli to będzie chłopiec, a Debbie, jeśli urodzi się dziewczynka. Więc przy odrobinie szczęścia, bez względu na płeć, może być idealnym partnerem dla Clarence'a lub Clarissy.

- Niezły pomysł, ale świat tak bardzo się zmienia, że nie byłabym zaskoczona, gdyby moje dziecko zostało subiektem w twojej firmie.

Choć Daphne bombardowała go pytaniami, Charlie nadal nie mógł oderwać wzroku od Holbeina. W końcu odciągnęła go od obrazu, mówiąc: - Chodź, Charlie, pójdziemy coś zjeść. Ostatnio ciągle czuję się tak, jakbym była niedożywiona.

Percy i Becky wstali z kanapy i ruszyli za nimi do jadalni.

Daphne poprowadziła swych gości korytarzem do pokoju, który miał dokładnie takie same wymiary i proporcje jak ten, z którego wyszli. Jego ściany zdobiło sześć dużych obrazów Reynoldsa. - Tym razem tylko ta brzydka baba jest moją krewną - zapewnił ich Percy, zajmując miejsce u szczytu stołu i wskazując na długi, szarawy portret kobiety, który wisiał za jego plecami. - I byłoby jej bardzo trudno zostać markizą Wiltshire, gdyby nie posiadała bardzo znacznego posagu.

Zasiedli przy stole, nakrytym na cztery osoby, ale mogącym łatwo pomieścić osiem, i zaczęli pochłaniać kolację z czterech dań, która wystarczyłaby dla szesnastu gości. Za każdym krzesłem stał lokaj w liberii, dbający o ich wszystkie potrzeby. - W każdym dobrym domu powinien być przynajmniej jeden taki facet - szepnął Charlie do swojej żony.

Tocząca się przy kolacji rozmowa pozwoliła czwórce przyjaciół uzupełnić wiadomości o wszystkim, co wydarzyło się na przestrzeni minionego roku. Kiedy nalano drugą porcję kawy, Daphne i Becky zostawiły obu mężczyzn przy cygarach, a Charlie poczuł się tak, jakby państwo Wiltshire w ogóle nie wyjeżdżali z kraju.

- To dobrze, że dziewczyny zostawiły nas samych - powiedział Percy - bo obawiam się, iż powinniśmy chyba pomówić o czymś mniej przyjemnym.

Charlie zaciągnął się cygarem, współczując w duchu ludziom, którzy muszą przechodzić takie męki codziennie.

- Kiedy Daphne i ja byliśmy w Indiach - ciągnął Percy - spotkaliśmy tam tego łobuza Trenthama. - Charlie zakaszłał, zakrztusiwszy się dymem, a potem zaczął uważniej słuchać gospodarza, który zrelacjonował mu swą rozmowę z Trenthamem. - Oczywiście jego zapowiedź" że "cię wykończy" bez względu na okoliczności, mogła być tylko czcą pogrózką - przyznał Percy - ale Daphne uważała, że należy przedstawić ci całą sytuację.

Ale cóż on właściwie może w tej sprawie zrobić? - Charlie w samą porę strząsnął długi słupek popiołu na stojącą przed nim srebrną popielniczkę.

- Podejrzewam, że niewiele - odparł Percy. - Trzeba pamiętać jednak, że człowiek ostrzeżony, to człowiek uzbrojony. Spodziewany jest w Anglii lada dzień, a jego matka opowiada teraz wszystkim, którzy zechcą słuchać, że poświęcił swe stanowisko, gdyż zaproponowano mu niezwykle atrakcyjną posadę w City. Nie sądzę, by ktoś jej w gruncie rzeczy wierzył, a zresztą ludzie przyzwoici uważają, że City jest odpowiednim miejscem dla takich jak Trentham.

- Czy twoim zdaniem powinienem powiedzieć o tym Becky?

- Nie, nie sądzę - odparł Percy. - Prawdę mówiąc, ja też nie wspomniałem Daphne o moim drugim spotkaniu z Trenthamem w Klubie Oficerskim. Więc po co zawracać Becky głowę szczegółami?

Z tego, co słyszałem dziś wieczorem, wnoszę, że ma i tak dość kłopotów.

- Nie wspominając już o tym, że niebawem urodzi dziecko - dodał Charlie.

- No właśnie. Więc zapomnijmy na jakiś czas o całej sprawie. A teraz przyłączmy się do pań.

Siedząc w jeszcze innym pokoju (również wypełnionym podobiznami przodków, wśród których uwagę zwracał mały olejny portret księcia Karola Stuarta) z dużym kieliszkiem koniaku w ręku, Becky słuchała opowieści pani domu. Daphne opowiadała jej o Amerykanach, których uwielbiała i uważała, że Brytyjczycy nie powinni byli ich się pozbywać, o mieszkańcach Afryki, których jej zdaniem należało pozbyć się jak najszybciej, i o Hindusach, którzy jak twierdził pewien mały, owinięty obrusem człowieczek, ciągle pojawiający się w siedzibie rządu, nie mogli się doczekać momentu, w którym Anglia się ich pozbędzie.

- Czyżbyś mówiła o Gandhim? - spytał Charlie, pewniej już zaciągając się swym cygarem. - Ja uważam go za człowieka imponującego.

W drodze powrotnej na Gilston Road Becky paplała z ożywieniem, powtarzając mężowi wszystkie usłyszane od Daphne plotki.

Dla Charlie'ego stało się jasne, że nie rozmawiały wcale o Trenthamie ani o zagrożeniu, jakie stwarzał.

Spędził nerwową noc, po części na skutek nadmiaru ciężko strawnego jedzenia i alkoholu, głównie jednak dlatego, że stale myślał o powodach rezygnacji pułkownika i problemach, jakie powstaną w momencie nieuchronnego powrotu Trenthama do Anglii.

Wstał o czwartej rano, włożył najstarsze części garderoby i wyruszył na rynek; nadal próbował robić to co najmniej raz w tygodniu, był bowiem przekonany, że żaden z jego pracowników nie potrafi radzić sobie na Covent Garden tak dobrze jak on. Przekonanie to zachwiało się na jakiś czas, kiedy pewien dostawca, Ned Denning, sprzedał mu dwie skrzynki przejrzałych owoców avocado, a następnego dnia nakłonił go do nabycia skrzynki pomarańcz, których Charlie w ogóle nie chciał tego dnia kupować. Trzeciego dnia Charlie postanowił wstać bardzo wcześnie i postarać się o wyeliminowanie tego człowieka z rynku.

Już w najbliższy poniedziałek Ned Denning zaczął pracować w firmie Trumper na stanowisku głównego kierownika sklepu owocowo-warzywnego.

Charlie spędził udany poranek, kupując towary dla sklepów pod numerami 131 i 147, a w godzinę później na rynku pojawił się Bob Makins, który miał odwieźć go na Chelsea Terrace niedawno zakupioną furgonetką.

Gdy przybyli do sklepu, Charlie pomógł rozładować towary i rozłożyć je na wystawie, a potem, kilka minut po siódmej, wrócił do domu na śniadanie. Uważał, że nadal jest zbyt wcześnie, by telefonować do pułkownika.

Kucharka podała mu jajka na szynce, którymi podzielił się z Danielem i jego niańką. Becky nie jadła z nimi, bo nadal nie czuła się najlepiej po kolacji u Daphne.

Charlie chętnie odpowiadał na nieprzerwany potok chaotycznych pytań Daniela, dopóki niańka nie wzięła protestującego chłopca na ręce i nie odniosła go na górę, do dzieciennego pokoju. Wtedy otworzył kopertę swego kieszonkowego zegarka, by sprawdzić, która jest godzina. Choć do ósmej brakowało jeszcze kilku minut, poczuł, że nie może czekać dłużej, więc wyszedł na korytarz, podniósł słuchawkę i poprosił telefonistkę o połączenie go z numerem Flaxman 172. Po chwili spełniła jego prośbę.

- Czy mogę mówić z panem pułkownikiem?

Zaraz go poproszę, panie Trumper - usłyszał w odpowiedzi.

Uśmiechnął się na myśl, że chyba nigdy nie nauczy się panować nad swoim akcentem podczas

rozmów prowadzonych przez telefon.

- Dzień dobry, Charlie - odezwał się po chwili pułkownik, którego akcent, choć zupełnie inny, też od razu można było rozpoznać.

- Chciałem spytać, czy mogę przyjść i porozmawiać z panem, sir?

- Oczywiście - odparł pułkownik. - Ale czy zechciałbyś poczekać z tym do dziesiątej? Elizabeth nie będzie już wtedy w domu, bo wybiera się do siostry, która mieszka w Camden Hill.

- Będę punktualnie o dziesiątej - obiecał Charlie. Odłożywszy słuchawkę, postanowił wypełnić dwie wolne godziny obchodem wszystkich sklepów. Po raz drugi tego ranka, i to jeszcze zanim obudziła się Becky, wyruszył na Chelsea Terrace.

Wyciągnął majora Arnolda ze sklepu żelaznego i wspólnie rozpoczęli lotną kontrolę wszystkich dziewięciu lokali. Mijając budynek mieszkalny, Charlie szczegółowo przedstawił zastępcy swoje plany, dotyczące przebudowy budynku na sześć nowych sklepów.

Kiedy wyszli spod numeru 129, Charlie wyznał Arnoldowi, że martwi się o sklep z winami i spirytualiami, który jego zdaniem nadal nie wykorzystuje swych możliwości, mimo że w ślad za sklepem owocowo-warzywnym wprowadził dostawy do domu.

Charlie był dumny, że jego sklep, jako jeden z pierwszych w Londynie, przyjmuje od stałych klientów zamówienia telefoniczne i dostarcza im towary tego samego dnia. Pomysł ten, jak wiele innych, zapożyczył od Amerykanów; im więcej czytał o metodach pracy swych działających w Stanach kolegów po fachu, tym bardziej pragnął odwiedzić ich kraj i obejrzeć wszystko na własne oczy.

Nadal pamiętał swój pierwszy system rozwożenia zakupionych towarów; wówczas środkiem transportu był stary wózek jego dziadka, a dostawcą młoda Kitty. Teraz miał do dyspozycji elegancką, niebieską furgonetkę z silnikiem o mocy trzech koni mechanicznych i złożonym napisem po obu stronach: "Trumper, uczciwy kupiec, rok założenia 1823".

Zatrzymał się na rogu Chelsea Terrace, by spojrzeć na ozdobiony łukowymi oknami i wielkimi podwójnymi drzwiami sklep, który jego zdaniem był dominującym punktem handlowym tej dzielnicy. Wiedział, że nadchodzi chwila, w której będzie musiał wejść do środka i zaproponować panu Fothergillowi czek na wysoką sumę, umożliwiającą właścicielowi firmy aukcyjnej pokrycie długów; były pracownik numeru pierwszego zapewnił go niedawno, że debet Fothergilla w banku przekroczył już dwa tysiące funtów.

Charlie wszedł pod numer pierwszy, by zapłacić rachunek na znacznie mniejszą sumę i spytał stojącą za ladą dziewczynę, czy skończyli już oprawiać na nowo obraz przedstawiający Madonnę z Dzieciątkiem, który miał być gotowy przed trzema tygodniami.

Nie skarżył się na zwłokę, która dostarczała mu dodatkowego pretekstu do rozejrzenia się po sklepie. W sali przyjęć od ściany nadal odklejała się tapeta, a za biurkiem siedziała tylko jedna panienka, co wzbudziło w nim podejrzenie, że właściciel ma kłopoty z wypłacaniem cotygodniowych poborów.

W końcu zjawił się pan Fothergill z obrazem w nowej, poślacanej ramie i wręczył go Charlie'emu.

- Dziękuję - powiedział Charlie, przyglądając się po raz kolejny namalowanym śmiałymi pociągnięciami pędzla czerwonym i niebieskim plamom, dominującym akcentom portretu. Zdał sobie sprawę, jak bardzo mu go brakowało.

- Ciekaw jestem, ile on może być wart? - spytał obojętnym tonem właściciela sklepu, podając mu

dziesięcioszylingowy banknot.

- Najwyżej kilka funtów - odparł specjalista, poprawiając muszkę. - W całej Europie można znaleźć niezliczone warianty tego samego motywu, malowane przez nieznanych artystów.

- To zastanawiające - powiedział Charlie, chowając pokwitowanie do kieszeni i zerkając na zegarek. Zarezerwował sobie czas na spokojny spacer przez Princess Gardens do rezydencji pułkownika, spodziewając się tam dotrzeć kilka minut przed dziesiątą.

Pożegnał się z panem Fothergillem i wyszedł ze sklepu.

Choć było jeszcze stosunkowo wcześnie, ulice Chelsea roiły się już od przechodniów, a Charlie musiał często uchylać kapelusza, mijając znajomych klientów.

- Dzień dobry, panie Trumper.

- Dzień dobry, pani Symonds - odparł Charlie, przechodząc na drugą stronę ulicy, by pójść na skróty przez park.

Zaczął układać sobie w głowie orację, którą zamierzał wygłosić, gdy tylko odkryje powody rezygnacji prezesa. Nie znał jego motywów, ale był zdecydowany zatrzymać go w firmie. Zamknął za sobą furtkę parku i ruszył w kierunku wydeptanej ścieżki.

Usunął się na bok, by ustąpić miejsca mijającej go kobiecie z wózkiem dzieciennym i żartobliwie zsalutował staremu żołnierzowi, który siedział na ławce zwijając papierosa. Minawszy skrawek trawnika wyszedł na Gilston Road i zamknął za sobą furtkę.

Idąc wzdłuż Tregunter Road przyspieszył nieco kroku. Uśmiechnął się przechodząc obok swego domku; zupełnie zapomniał o tym, że niesie pod pachą obraz, gdyż jego myśli pochłonięte były nadal rozważaniami o przyczynach rezygnacji pułkownika.

Kiedy usłyszał za sobą krzyk i trzaśnięcie drzwi, odwrócił się natychmiast, raczej odruchowo niż z ciekawości. Stał jednak jak wryty na widok jakiegoś zaniedbanego człowieka, który wypadł na jezdnię i zaczął biec w jego kierunku.

Stał jak urzeczony, a włóczęga pędził coraz szybciej, a potem zatrzymał się nagle o kilka zaledwie stóp od niego. Przez parę sekund obaj wpatrywali się w siebie bez słowa. Pokryta niechlujnym zarostem twarz nie była ani twarzą bandyty, ani gentlemana.

Kiedy ją rozpoznał, nie posiadał się ze zdumienia.

Nie mógł wprost uwierzyć, że stojący przed nim zarośnięty niechluj, w starym wojskowym płaszczu i zmiętym filcowym kapeluszu, jest tym samym człowiekiem, którego ujrzał po raz pierwszy na stacji w Edynburgu przed niemal pięciu laty.

Na obu naramiennikach płaszcz dostrzegł po trzy okrągłe wgniecenia; widocznie zerwano z nich niedawno trzy gwiazdki przysługujące randze kapitana.

Trentham opuścił na sekundę wzrok i utkwiał go w obrazie, a potem bez ostrzeżenia rzucił się na Charlie'ego i wykorzystując jego zaskoczenie wyrwał mu malowidło spod pachy. Odwrócił się gwałtownie i zaczął uciekać w kierunku, z którego nadbiegł.. Charlie natychmiast ruszył w pościg i zbliżał się do napastnika, któremu przeszkadzał ciężki płaszcz i trzymany w rękach obraz.

Charlie był o jakiś metr od niego i już miał rzucić się przed siebie, by chwycić go wpół, kiedy po raz drugi usłyszał krzyk.

Zawahał się przez chwilę, zdając sobie sprawę, że rozpaczliwe wołanie musi dochodzić z jego domu. Wiedząc, że nie ma wyboru, pozwolił Trenthamowi uciec z obrazem, a sam zmienił kierunek i wbiegł po schodkach pod numer 17. Wpadł do saloniku, gdzie kucharka i niańka stały nad leżącą na kanapie Becky, która krzyczała z bólu.

Jej oczy rozbłyły nieco na widok Charlie'ego. - Dziecko jest już w drodze - powiedziała z trudem.

- Podnieś ją delikatnie razem ze mną - polecił Charlie kucharce - i pomóż mi zanieść ją do samochodu.

Dźwigając Becky wyszli z domu i ruszyli ścieżką w stronę ulicy, a biegnąca przed nimi nianka otworzyła drzwi samochodu i ułożyli Becky na tylnym siedzeniu. Charlie spojrzał na swą żonę. Miała szklisty wzrok i kredowobiałą twarz. Gdy zatrząskiwiał drzwi samochodu, miał wrażenie, że straciła przytomność.

Wskoczył za kierownicę i wrzasnął na kucharkę, która kręciła już korbą, by uruchomić silnik.

- Zadzwoń do szpitala, w którym pracuje moja siostra. Powiedz, że jesteśmy w drodze. I każ jej przygotować się do natychmiastowej pomocy w nagłym wypadku.

Silnik zaharczał, kucharka odskoczyła na bok, a Charlie wyjechał na środek jezdni i lawirując między przechodniami, rowerzystami, tramwajami, koźmi i innymi samochodami, mknął zmieniając biegi na południe, w kierunku Tamizy.

Co kilka sekund odwracał głowę, by spojrzeć na swoją żonę i sprawdzić, czy jeszcze żyje. - Boże, nie pozwól im umrzeć! - krzyknął na cały głos. Nadal pędził jak mógł najszybciej wybrzeżem Tamizy, naciskając klakson i krzycząc co jakiś czas na ludzi, którzy lekkomyślnie przechodzili przez jezdnię, nie zdając sobie sprawy z jego pośpiechu. Przejeżdżając przez Southwark Bridge usłyszał, że Becky zaczyna jęczeć.

- Niedługo będziemy na miejscu, kochanie - obiecał jej. - Wytrzymaj jeszcze chwilę.

Zjechawszy z mostu skręcił w pierwszą ulicę na lewo i pędził z taką samą szybkością, dopóki nie ujrzał wielkiej żelaznej bramy szpitala. Okrążając gazon dostrzegł Grace i dwóch mężczyzn w białych kitlach, którzy czekali obok przygotowanych noszy. Zatrzymał samochód niemal tuż przed nimi.

Dwaj sanitariusze delikatnie wyciągnęli Becky, ułożyli ją na noszach i ruszyli pośpiesznie w stronę szpitala. Charlie wyskoczył z samochodu i szedł obok noszy, trzymając Becky za rękę, kiedy wchodził po schodach w górę. Z trudem dotrzymująca im kroku Grace tłumaczyła mu, że doktor Armitage, główny położnik szpitala, czeka na nich w sali operacyjnej na pierwszym piętrze.

Kiedy Charlie dotarł do drzwi sali, Becky była już w środku.

Zostawiono go samego na korytarzu. Zaczął chodzić nerwowo w tę i z powrotem, nie zwracając uwagi na pracowników szpitala, którzy mijali go szybkim krokiem spiesząc do swych zajęć.

Grace wyszła po kilku minutach, by go zapewnić, że pan Armitage opanował sytuację i że Becky nie mogłaby znaleźć się w lepszych rękach. Dziecko miało narodzić się lada chwila. Uścisnęła ramię brata i znów zniknęła w sali operacyjnej. Charlie nadal przechadzał się w tę i z powrotem, myśląc tylko o żonie i ich pierwszym dziecku; obraz Trenthama zatarł się już w jego pamięci. Modlił się o syna, Tommy'ego, który stałby się bratem dla Daniela, a pewnego dnia mógłby przejąć firmę. Modlił się też, by Becky nie cierpiała nadmiernie przy porodzie. Chodził po długim, pomalowanym na zielono korytarzu, mamrocząc coś do siebie i uświadamiając sobie raz jeszcze, jak bardzo ją kocha.

Minęła jeszcze godzina, zanim zza zamkniętych drzwi wyłonił się wysoki, mocno zbudowany mężczyzna, a za nim Grace. Charlie odwrócił się ku nim gwałtownie, ponieważ jednak twarz lekarza zasłaniała maska, nie mógł z niej odczytać nic, co pozwoliłoby mu się domyślić wyniku operacji. Pan Armitage zdjął maskę, a wyraz jego twarzy zdawał się dowodzić skuteczności modlitw Charlie'ego.

- Udało mi się uratować życie pańskiej żonie, panie Trumper - powiedział lekarz - ale, niestety,

nie mogłem zrobić nic dla pańskiej córki, która urodziła się martwa.

ROZDZIAŁ 21

Przez kilka dni po operacji Becky nie opuszczała szpitalnego pokoju.

Grace oznajmiła bratu, że choć Armitage ocalił jej życie, mogą minąć tygodnie, zanim w pełni dojdzie do zdrowia, i że nigdy nie będzie już mogła mieć dziecka, gdyż zagrażałoby to jej zdrowiu.

Charlie odwiedzał Becky co rano, ale dopiero po dwóch tygodniach opowiedziała mu, jak Trentham wdarł się siłą do ich domu i zagroził, że ją zabije, o ile nie powie mu, gdzie jest obraz.

- Ale dlaczego? Po prostu nie potrafię zrozumieć dlaczego? - powiedział Charlie.

- Czy ten obraz nie pojawił się w jakimś antykwariacie?

- Jak dotąd nie ma po nim ani śladu - odparł Charlie i w tym momencie weszła Daphne z dużym koszykiem prowiantów. Pocałowała Becky w policzek, a potem oznajmiła, że owoce zostały kupione tego ranka w firmie Trumper. Becky, nagryzając brzoskwinie, zdobyła się na uśmiech. Daphne usiadła w nogach łóżka i natychmiast zaczęła opowiadać o wszystkich ostatnich wydarzeniach.

Ponieważ złożyła właśnie niedawno jedną ze swych regularnych wizyt u państwa Trentham, poinformowała Trumperów, że Guy zniknął, udając się do Australii, a w myśl wersji jego matki w ogóle nie pojawił się w Anglii, lecz pojechał do Sydney wprost z Indii.

- Przez Gilston Road - dodał Charlie.

- Policjanci sądzą inaczej - stwierdziła Daphne. - Są przekonani, że opuścił Anglię w 1920 i nie mają żadnych dowodów na to, że kiedykolwiek tu wrócił.

- No cóż, my z pewnością nie zamierzamy wyprowadzać ich z błędu - powiedział Charlie, biorąc żonę za rękę.

- Dlaczego? - spytała Daphne.

Ponieważ nawet ja uważam, że Australia leży wystarczająco daleko, by można pozostawić Trenthama własnemu losowi, tym bardziej że ściganie go nie przyniesie nam już żadnych korzyści.

Jestem pewien, że jeśli Australijczycy dadzą mu kawałek sznura, sam się na nim powiesi.

- Ale dlaczego wybrał Australię? - dociekała Becky.

- Pani Trentham opowiada wszystkim, którzy chcą słuchać, że Guyowi zaproponowano wysokie stanowisko w pewnej firmie brokerskiej handlującej bydłem i że nikt nie odrzuciłby tak korzystnej oferty, nawet gdyby jej przyjęcie oznaczało rezygnację z kariery wojskowej. Ale jedynym znanym mi człowiekiem, który wierzy w tę historyjkę, jest wikary ich parafii. - Nawet Daphne nie potrafiła jednak wyjaśnić przekonująco, dlaczego Trenthamowi tak zależało na małym olejnym obrazku.

Pułkownik i jego żona również kilkakrotnie odwiedzili Becky, a ponieważ prezes spółki stale mówił o jej przyszłości, nie wspominając ani razu o liście, w którym zgłosił rezygnację, Charlie też nie wracał do tego tematu.

O tym, kto kupił mieszkania, dowiedział się w końcu od Crowthera.

W sześć tygodni później Charlie odwiózł żonę do domu - tym razem bez pośpiechu. Doktor Armitage zalecił jej przed powrotem do pracy miesiąc wypoczynku. Charlie obiecał mu, że nie pozwoli jej nic robić, dopóki nie będzie pewien, iż całkowicie wróciła do zdrowia.

Kiedy Becky znalazła się już w domu, Charlie zostawił ją w łóżku z książką, a sam udał się na Chelsea Terrace i wszedł do zakupionego podczas jej nieobecności sklepu jubilerskiego.

Upłynęło trochę czasu, zanim wybrał sznur hodowlanych pereł, złotą bransoletkę i damski wiktoriański zegarek; kazał przesać te prezenty Grace oraz siostrze przełożonej i pielęgniарce, która opiekowała się Becky po jej niespodziewanym przybyciu do szpitala. Następnie wstąpił do sklepu spożywczego i polecił Bobowi przygotować kosz z najlepszymi owocami, a sam udał się pod numer 101, by wybrać butelkę starego wina. - Wyślij owoce i wino do pana Armitage, który mieszka pod numerem 7 na Cadogan Square, dołączając w moim imieniu serdeczne pozdrowienia - polecił.

- Zrobię to natychmiast - odparł Bob. - Czy życzy pan sobie coś jeszcze?

- Owszem, życzę sobie, żebyś dostarczał mi to samo co poniedziałek, aż do końca jego życia.

Mniej więcej w miesiąc później, w listopadzie 1921, Charlie usłyszał o problemach, z jakimi musi się uporać Arnold chcąc zastąpić jednego sprzedawcę innym. W istocie dobór personelu stał się ostatnio jednym z jego najbardziej pracochłonnych zadań, ponieważ na każde wolne miejsce zgłaszało się pięćdziesięciu do stu chętnych. Arnold musiał dokonać wstępnej selekcji i sporządzić skróconą listę, gdyż Charlie nadal osobiście rozmawiał z wybranymi kandydatami i podejmował ostateczną decyzję.

Tego poniedziałku Arnold rozpatrywał podania kandydatek na ekspedientki w kwiaciarni, w której zwolniło się miejsce po przejściu na emeryturę jednej z najdłużej zatrudnionych w firmie pracownic.

- Zrobiłem już listę trzech najlepszych dziewcząt - powiedział do Charlie'ego - ale myślę, że zainteresuje cię jedna z odrzuconych kandydatek. Moim zdaniem, nie ma ona odpowiednich kwalifikacji na tę posadę. Ale mimo to...

Charlie zerknął na wręczoną mu kartkę papieru. - Joan Moore.

Dlaczego miałbym...? - zaczął, przebiegając oczami podanie. - Ach, rozumiem. Jesteś bardzo spostrzegawczy, Tom. - Przeczytał kilka następnych wierszy. - Ależ ja nie potrzebuję... choć z drugiej strony być może potrzebuję właśnie tego. - Podniósł wzrok na Arnolda. - Każ pannie Moore zgłosić się do mnie w ciągu tego tygodnia.

W najbliższy czwartek Charlie rozmawiał przez godzinę z panną Moore w swym domu na Gilston Road i odniósł wrażenie, że jest ona pogodną, dobrze wychowaną, choć może niezbyt dojrzałą dziewczyną. Zanim jednak zaproponował jej posadę osobistej pokojówki swej żony, zadał jej jeszcze kilka pytań.

- Czy ubiegałaś się o tę posadę, bo wiedziałaś o związkach łączących moją żonę z twoją byłą pracodawczynią?

Dziewczyna spojrzała mu prosto w oczy. - Owszem, sir, tak właśnie było.

Czy zostałaś zwolniona przez swoją byłą panią?

- Właściwie nie zostałam zwolniona, ale kiedy odchodziłam, nie chciała dać mi referencji.

- A jaki podała powód?

- Spotykałam się z młodszym służącym, nie mówiąc o tym lokajowi, który zarządza domem.

- I nadal spotykasz się z młodszym służącym?

Dziewczyna zawahała się. - Tak, sir. Widzi pan, mamy nadzieję się pobrać, gdy tylko zaoszczędzimy dość pieniędzy.

- Dobrze - powiedział Charlie. - Możesz więc zgłosić się do pracy w przyszły poniedziałek rano. Pan Arnold załatwi wszystkie niezbędne formalności.

Kiedy Charlie oznajmił Becky, że zatrudnił dla niej pokojówkę, najpierw roześmiała się głośno, a potem spytała: - A po co mi właściwie taka osoba w domu? - Charlie wyjaśnił jej dokładnie, po co jej "taka osoba", a kiedy skończył, Becky powiedziała tylko: - Jest pan niedobrym i podstępny człowiekiem, panie Trumper; to jedno nie ulega wątpliwości.

Podczas posiedzenia rady nadzorczej w lutym 1924 Crowther uprzedził swych kolegów, że numer pierwszy na Chelsea Terrace może zostać wystawiony na sprzedaż wcześniej, niż się spodziewali.

- Dlaczego? - spytał z lekkim niepokojem Charlie.

- Twoja przepowiednia, że Fothergill będzie musiał splajtować przed upływem dwóch lat, zaczyna wyglądać na proroczą.

- Więc ile żąda?

- To nie jest takie proste.

- Dlaczego?

- Ponieważ postanowił osobiście przeprowadzić licytację tej nieruchomości.

- Licytację? - spytała Becky.

- Owszem - odparł Crowther. - W ten sposób uniknie płacenia prowizji postronnemu agentowi.

- Rozumiem. Więc ile, pańskim zdaniem, może dostać za ten lokal? - spytał pułkownik.

- Niełatwo to przewidzieć - przyznał Crowther. - Jest on czterokrotnie obszerniejszy niż jakikolwiek inny sklep na Chelsea Terrace; zajmuje pięć pięter i ma jeszcze większą powierzchnię niż bar Syda Wrexalla znajdujący się na przeciwległym rogu. Ma też największe wystawy w Chelsea i drugie, narożne wejście, od Fulham Road. Wszystkie te okoliczności sprawiają, że niełatwo ocenić jego wartość. - Ale czy mimo to może pan ustalić jakiś rząd wielkości? - upierał się przewodniczący.

- Gdyby pan nalegał, powiedziałbym, że w granicach dwóch tysięcy funtów, ale cena może dojść do trzech, gdyby ktokolwiek inny wykazał zainteresowanie kupnem.

- A co z majątkiem ruchomym? - spytała Becky. - Czy wiemy, co się ma z nim stać?

- Owszem, zostanie sprzedany razem z budynkiem.

- A ile mniej więcej jest wart? - zainteresował się Charlie.

- Na tym pani Trumper zna się lepiej niż ja - odparł Crowther.

- Zasoby sklepu nie są już tak imponujące - oznajmiła Becky. - Najlepsze prace sprzedano za pośrednictwem firmy Sotheby's, a podejrzewam, że w ciągu ubiegłego roku tyle samo przeszło przez dom aukcyjny Christie's. Ale przypuszczam, że to, co pozostało, może w trakcie licytacji przynieść około tysiąca funtów.

- A więc wartość sklepu wraz z towarem wynosi około trzech tysięcy funtów - podsumował Hadlow.

- Ale numer pierwszy zostanie sprzedany za znacznie wyższą cenę - stwierdził Charlie.

- Dlaczego? - zdziwił się Hadlow.

- Ponieważ w licytacji weźmie udział pani Trentham.

- Skąd masz tę pewność?

- Stąd, że nasza pokojówka spotyka się nadal z jej służącym.

Wszyscy pozostali członkowie rady roześmiali się głośno, ale przewodniczący zawołał z

irytacją: - Znowu! Najpierw mieszkania, teraz ten sklep. Kiedy to się skończy?

- Chyba dopiero wtedy, kiedy umrze i zostanie pochowana - odparł Charlie.

- A i to nie jest pewne - dodała Becky.

- Jeśli masz na myśli jej syna - wtrącił pułkownik - to nie sądzę, żeby mógł nam bardzo zaszkodzić z odległości dwunastu tysięcy mil. Ale jeśli idzie o matkę, to piekło nie zna... - dodał z rozdrażnieniem.

Często cytowane błędnie - stwierdził Charlie.

- Jak to? - spytał przewodniczący.

- To Congreve, pułkownika. Odnośny fragment brzmi: "Nie ma jak wściekłość kobiety wzgardzonej". - Usta pułkownika pozostały otwarte, ale nie był w stanie wydobyć głosu. - Wracając jednak do tematu - ciągnął Charlie - to chciałbym wiedzieć, jaki jest górny pułap kwoty, którą rada pozwoli mi zaoferować za numer pierwszy.

- Myślę, że w tych okolicznościach trzeba będzie posunąć się do pięciu tysięcy funtów - powiedziała Becky.

- Ale nie więcej - dodał Hadlow, zaglądając do leżącego przed nim zestawienia wydatków i wpływów.

- A może jedno zgłoszenie ponad limit? - zaproponowała Becky.

- Przykro mi, ale nie rozumiem - przyznał się Hadlow. - Co to znaczy jedno zgłoszenie ponad limit?

- Licytacja nigdy nie zatrzymuje się dokładnie na przewidzianej wysokości, panie Hadlow. Niemal każdy człowiek biorący udział w aukcji ustala z góry w myślach granicę, do jakiej może się posunąć, a granica ta z konieczności pokrywa się z jakąś okrągłą liczbą, więc człowiek decydujący się na jedno zgłoszenie ponad limit często zgarnia licytowany obiekt.

Nawet Charlie kiwnął głową, a Hadlow powiedział z podziwem:

- W takim razie zgadzam się na jedno zgłoszenie ponad limit.

- Chciałbym też zaproponować - wtrącił pułkownik - żeby w naszym imieniu licytowała pani Trumper, ponieważ z jej doświadczeniem...

- To miło z pańskiej strony, pułkowniku, ale będę mimo wszystko potrzebowała pomocy mego męża - powiedziała Becky z uśmiechem. - A w gruncie rzeczy pomocy całej rady. Widzi pan, ułożyłam już pewien plan. - I ujawniła przed kolegami swą koncepcję.

- Bardzo zabawne - przyznał pułkownik. - Ale czy ja też będę mógł wziąć udział w tym wydarzeniu?

- Och, tak - odparła Becky. - Wszyscy musicie być obecni i wszyscy, z wyjątkiem Charlie'ego i mnie, musicie w milczeniu zasiąść tuż za panią Trentham już na kilka minut przed rozpoczęciem licytacji.

- Cholerna baba - mruknął pułkownik, a potem dodał pośpiesznie: - Bardzo przepraszam.

To prawda. Ale nie wolno nam zapominać, że jest ona amatorką.

- Jakie to ma znaczenie? - spytał Hadlow.

- Amatorzy dają się czasem ponieść nerwom, a kiedy to nastąpi, zawodowcy nie mają szans, gdyż amatorzy często podbijają cenę o jeden raz za dużo. Musimy pamiętać, że może to być pierwsza aukcja, w jakiej pani Trentham kiedykolwiek brała udział, czy to jako licytujący, czy jako widz, ponieważ zaś zależy jej na tym lokalu tak samo jak nam, a ma przewagę zasobów finansowych, musimy zwyciężyć ją podstępem.

Żaden z obecnych nie zakwestionował słuszności tego stwierdzenia.

Kiedy narada dobiegła końca, Becky bardziej szczegółowo przedstawiła Charlie'emu swój plan działania, a w kilka dni później nakłoniła go nawet do wzięcia udziału w aukcji organizowanej przez firmę Sotheby's, na której miał ubiegać się o kupno trzech okazów holenderskiego srebra. Zastosował się do poleceń żony, ale przyniósł w rezultacie do domu pojemnik na musztardę z epoki króla Jerzego, którego w ogóle nie zamierzał kupować.

- Nie ma lepszej metody nauczenia się tej sztuki - pocieszyła go Becky. - Dziękuj Bogu, że nie wzięłeś udziału w licytacji obrazu Rembrandta.

Tego wieczora, podczas kolacji, wyjaśniła Charlie'emu subtelne aspekty aukcji o wiele bardziej szczegółowo, niż zrobiła to na posiedzeniu rady. Charlie odkrył, że może dawać licytatorowi różne sygnały, by rywale nie zorientowali się, że nadal podbija stawkę, podczas gdy on będzie wiedział, kto licytuje przeciwko niemu.

- Ale czy pani Trentham cię nie zidentyfikuje? - spytał, krojąc dla żony kromkę chleba. - Przecież na tym etapie będziecie już jedynymi osobami biorącymi udział w aukcji.

- Nie, jeśli wyprowadzisz ją z równowagi, zanim ja przystąpię do działania.

- Przecież rada pozwoliła ci na...

- Na jedno zgłoszenie powyżej poziomu pięciu tysięcy.

- Ale...

- Nie ma żadnego "ale", Charlie - powiedziała Becky, nakładając mu kolejną porcję irlandzkiego gulaszu. - Chcę, żebyś w dniu aukcji siedział wystrojony w swoje najlepsze ubranie w siódmym rzędzie, obok przejścia, i wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Potem masz ostentacyjnie licytować do wysokości jednego zgłoszenia ponad trzy tysiące funtów. Kiedy pani Trentham podbije stawkę, co niewątpliwie zrobi, masz wstać i wyjść ze złością z sali, wyglądając jak człowiek pokonany, a ja wkroczę do licytacji na twoje miejsce.

- Nieżle - przyznał Charlie, wbijając widelec w dwa ziarnka groszku. - Ale pani Trentham domyśli się przecież, do czego zmierzasz?

- Nie ma na to cienia szansy - odparła Becky. - Ponieważ ustalę z licytатorem system sygnałów, których ona nie będzie mogła dostrzec, a tym bardziej rozszyfrować.

- A czy ja będę rozumiał, do czego zmierzasz?

- Och, tak - odparła Becky. - Będziesz mógł śledzić każdy mój ruch, ponieważ zamierzam posłużyć się sztuczką z okularami.

- Z okularami? Przecież ty nawet nie nosisz okularów.

- Włożę je w dniu aukcji i dopóki będą tkwić na moim nosie, będziesz wiedział, że nadal podbijam stawkę. Kiedy je zdejmę, będzie to oznaczało, że się wycofuję. Kiedy więc ty wyjdiesz z sali, licytator spojrzy na mnie i zauważy, że mam na nosie te okulary.

Pani Trentham pomyśli, że zrezygnowałeś, i przypuszczam, iż chętniej pozwoli się przelicytować komuś, kogo nie będzie uważała za twójego współnika.

- Jesteś nieocenionym skarbem, pani Trumper - powiedział Charlie, wstając, by pozbierać talerze. - Ale co będzie, jeśli zobaczy, że rozmawiasz z licytатorem, albo, co gorsza, rozszyfruje twój system sygnałów, zanim jeszcze pan Fothergill rozpocznie licytację?

- Nie robi tego - stwierdziła Becky. - Ustalę z Fothergillem system sygnałów na kilka minut przed rozpoczęciem aukcji. Ty, dokładnie w tym samym momencie, wkroczysz uroczyście na salę, a członkowie rady zajmą miejsca tuż za panią Trentham, więc przy odrobinie szczęścia będzie tak

zajęta tym, co dzieje się wokół niej, że w ogóle mnie nie zauważy.

- Ożeniłem się z bardzo mądrą dziewczyną - powiedział Charlie.

- Nigdy tak nie mówiłeś, kiedy chodziliśmy razem do podstawówki na Jubilee Street.

W dniu licytacji Charlie przyznał podczas śniadania, że jest bardzo zdenerwowany, natomiast Becky zachowywała pozory spokoju, szczególnie odkąd pokojówka przekazała jej zasłyszaną przez młodszego służącego od kucharki informację, iż pani Trentham ustaliła pułap na cztery tysiące funtów.

- Ciekaw jestem... - zaczął Charlie.

- Czy umyślnie podsunęła kucharce taką sumę? - dokończyła Becky. - To możliwe. W końcu jest równie przebiegła jak ty. Ale jeśli będziemy trzymać się naszego planu - a pamiętaj, że każdy, nawet pani Trentham, ma ograniczone możliwości - możemy ją pokonać.

Aukcja miała się zacząć o dziesiątej rano. Na całe dwadzieścia minut przed tym terminem pani Trentham wkroczyła do sali i monarszym krokiem ruszyła wzdłuż przejścia między rzędami krzeseł. Zajęła miejsce w środku trzeciego rzędu, a potem położyła rękawiczki na jednym z sąsiednich krzeseł, na drugim zaś katalog aukcji, by upewnić się, że nikt obok niej nie usiadzie. Pułkownik i dwaj jego koledzy weszli do wypełnionej już w połowie sali o dziewiątej pięćdziesiąt i zgodnie z otrzymanymi poleceniami zajęli miejsca tuż za swoją rywalką. Pani Trentham zdawała się nie wykazywać zainteresowania ich obecnością. W pięć minut później pojawił się na scenie Charlie. Przeszedł przez środek sali, uchylił kapelusza przed jakąś znajomą damą, uściśnął dłoń jednemu ze swych stałych klientów i usiadł na samym końcu siódmego rzędu, tuż przy przejściu. Potem zaczął głośno rozmawiać z sąsiadem o odbywającej tournée po Australii reprezentacji Anglii w krykiecie, tłumacząc mu, że nie jest krewnym słynnego australijskiego gracza o tym samym nazwisku. Duża wskazówka antycznego zegara, który stał za podium dla licytatora, powoli przesuwała się w kierunku wyznaczonej godziny.

Choć sala nie była większa niż hall Daphne na Eaton Square, udało się wcisnąć do niej około stu krzeseł, różnego kształtu i różnej wielkości. Ściany pokryte były wyblakłym zielonym rypsem z licznymi śladami po hakach, na których musiały niegdyś wisieć obrazy, a dywan był tak przetarty, że Charlie dostrzegał w niektórych miejscach klepki parkietu. Zaczął podejrzewać, że koszt doprowadzenia numeru pierwszego do poziomu, jakiego wymagał od wszystkich swoich sklepów, będzie znacznie wyższy, niż początkowo przypuszczał.

Rozglądając się wkoło doszedł do wniosku, że w sali aukcyjnej siedzi już około siedemdziesięciu osób, i zastanawiał się, ile spośród nich wcale nie przyszło po to, by brać udział w licytacji, lecz po to, by obejrzeć próbę sił między Trumperami a panią Trentham.

Syd Wrexall, jako przedstawiciel Stowarzyszenia Właścicieli Sklepów, siedział już z założonymi rękami w pierwszym rzędzie, udając całkowitą obojętność. Był tak potężnie zbudowany, że zajmował dwa miejsca. Charlie podejrzewał, że odpadnie już przy drugim lub trzecim podbiciu stawki. Niebawem dostrzegł siedzącą w trzecim rzędzie panią Trentham, która wpatrywała się w zegar.

Potem, na dwie minuty przed rozpoczęciem aukcji, wśliznęła się do sali Becky. Charlie siedział na brzeжку krzesła, czekając na chwilę, w której będzie mógł zastosować się wiernie do otrzymanych instrukcji. Wstał ze swego miejsca i stanowczym krokiem ruszył w stronę wyjścia. Tym razem pani Trentham odwróciła wzrok, by przekonać się, co knuje jej przeciwnik. On zaś spokojnie wziął jeden z wyłożonych w głębi sali katalogów sprzedawanych obiektów i leniwym krokiem wrócił na miejsce, zatrzymując się na krótką pogawędkę obok znajomego właściciela sklepu, który najwyraźniej zrobił

sobie godzinę wolnego, by obejrzeć przebieg wydarzeń.

Po powrocie na miejsce Charlie nie rozglądał się za swoją żoną, która - jak wiedział - musiała ukryć się w którymś z tylnych rzędów.

Nie zerknął też ani razu w kierunku pani Trentham, choć przez cały czas czuł na sobie jej spojrzenie.

Gdy zegar wybił dziesiątą, pan Fothergill - wysoki, szczupły, nieskazitelnie uczesany mężczyzna z kwiatkiem w butonierce - wspiął się po czterech stopniach na półokrągłe drewniane podium.

Jego górująca nad salą postać wywarła na Charlie'em spore wrażenie. Fothergill usadowił się wygodnie, oparł rękę na obudowie podium, zerknął na zatłoczoną salę, podniósł młotek i powiedział:

- Dzień dobry, panie i panowie. - W sali zapadła cisza. - Obiektem sprzedaży jest nieruchomość znana jako numer 1 Chelsea Terrace, wraz z wyposażeniem i inwentarzem, którą można było oglądać w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Osoba, która zaoferuje najwyższą cenę, musi wpłacić zaliczkę w wysokości dziesięciu procent natychmiast po licytacji i zakończyć transakcję w ciągu dziewięćdziesięciu dni. Warunki te określone są w katalogu aukcji, więc powtarzam je tylko po to, aby uniknąć nieporozumień.

Pan Fothergill odchrząknął, a Charlie poczuł, że serce bije mu coraz szybciej. Widział, że pułkownik zaciska pięść, a Becky wyjmuje z torebki okulary i kładzie je na kolanach.

- Mam kandydata na nabywcę, który oferuje tysiąc funtów - oznajmił pan Fothergill milczącym widzom, z których znaczna część stała w głębi sali lub opierała się o ściany, gdyż nie było już wolnych miejsc siedzących. Charlie nie spuszczał oczu z licytatora.

Pan Fothergill uśmiechnął się w kierunku Syda Wrexalla, który siedział nadal z założonymi rękami i wyrazem determinacji na twarzy. - Czy ktoś proponuje więcej niż tysiąc funtów?

- Tysiąc pięćset - powiedział Charlie, odrobinę zbyt głośno.

Widzowie nie orientujący się w sytuacji odwrócili w jego kierunku głowy, by sprawdzić, kto podbija stawkę. Niektórzy z pozostałych zaczęli głośnym szeptem rozmawiać z sąsiadami.

- Tysiąc pięćset - powtórzył licytator. - Czy ktoś daje dwa tysiące? - Syd Wrexall rozplótł ramiona i podniósł rękę, jak uczeń, który chce dowieść, że zna odpowiedź na pytanie nauczyciela.

- Dwa tysiące pięćset - zawołał Charlie, zanim jeszcze Wrexall opuścił dłoń.

- Dwa tysiące pięćset w środku sali. Czy ktoś daje trzy tysiące?

Dłonie Wrexalla uniosły się na cal z jego kolan, a potem opadły.

Na jego twarzy pojawił się wyraz rozczarowania. - Czy ktoś daje trzy tysiące? - spytał po raz drugi Fothergill. Charlie nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Oto zostanie numer 1 za dwa tysiące pięćset funtów. Każda sekunda oczekiwania na opadnięcie młotka wydawała mu się minutą.

- Czy ktoś daje trzy tysiące? - ponownie spytał, Fothergill, wyraźnie rozczarowany. - Wobec tego ogłaszam, że numer 1 został sprzedany za dwa tysiące pięćset funtów, po raz pierwszy... - Charlie wstrzymał oddech. - Po raz drugi... - Licytator uniosł młotek. - Trzy tysiące funtów - ogłosił Fothergill z wyraźną ulgą, a dłoń pani Trentham opadła z powrotem na jej kolana.

- Trzy tysiące pięćset - powiedział Charlie, a Fothergill uśmiechnął się do niego, ale gdy tylko spojrział w kierunku pani Trentham, dała mu ona skinieniem głowy znać, że podwyższa stawkę do czterech tysięcy.

Charlie odczekał sekundę, a potem wstał, poprawił krawat i z posępnym wyrazem twarzy przeszedł przez środek sali, by wyjść na ulicę. Nie widział, jak Becky wkłada okulary, nie widział też triumfalnego wyrazu twarzy pani Trentham.

- Czy ktoś da cztery tysiące pięćset funtów? - spytał licytator i zerknąwszy w kierunku Becky dodał: - Owszem, widzę kogoś, kto proponuje taką sumę.

Potem zwrócił się ponownie do pani Trentham i spytał: - Pięć tysięcy funtów, proszę pani? - Ona rozglądała się nerwowo po sali, ale było dla wszystkich jasne, że nie wie, kto jako ostatni podbił cenę. Szmerzy zamieniły się w gwar, gdyż wszyscy obecni na sali zaczęli szukać tajemniczego uczestnika licytacji. Tylko Becky, ukryta w ostatnim rzędzie, zachowała całkowity spokój.

- Proszę o ciszę! - zawołał licytator. - Cztery tysiące pięćset funtów.

Czy ktoś z obecnych na tej sali da pięć tysięcy? - Ponownie zwrócił wzrok ku pani Trentham, która powoli uniosła dłoń, odwracając się równocześnie z widocznym pośpiechem, by wypatrzeć osobę licytującą przeciwko niej. Ale nikt się nie poruszył, kiedy Fothergill ogłaszał:

- Pięć tysięcy pięćset Najwyższa oferta wynosi pięć tysięcy pięćset - Pan Fothergill rozejrzał się po zebranych. - Czy ktoś da więcej? - Znow spozjrzał na panią Trentham, ale ona siedziała z ogłupiałym wyrazem twarzy, trzymając nieruchome dłonie na kolanach.

- A zatem pięć tysięcy pięćset po raz pierwszy - oznajmił Fothergill. - Pięć tysięcy pięćset po raz drugi... - Becky oblizwała wargi, by powstrzymać szeroki uśmiech - ...i po raz trzeci i ostatni - powiedział, unosząc młotek.

- Sześć tysięcy - zawołała pani Trentham, machając równocześnie dłonią. W sali rozległ się zbiorowy jęk zaskoczenia, a Becky z westchnieniem zdjęła okulary, zdając sobie sprawę, że jej starannie przygotowany plan nie powiódł się, choć pani Trentham musiała zapłacić trzy razy więcej, niż uzyskano dotąd za jakikolwiek sklep na tym odcinku Chelsea Terrace.

Licytator spojrział w kierunku tylnych rzędów, ale Becky trzymała już okulary w ręku, więc przeniósł wzrok na panią Trentham, która siedziała wyprostowana, uśmiechając się z zadowoleniem.

- Sześć tysięcy po raz pierwszy - ogłosił, rozglądając się po sali.

- Sześć tysięcy po raz drugi, a skoro nikt nie proponuje więcej, sześć tysięcy po raz ostatni... - Ponownie uniósł młotek.

- Siedem tysięcy funtów - odezwał się ktoś z głębi sali. Wszyscy odwrócili głowy. W przejściu, z prawą ręką w górze, stał Charlie.

Pułkownik też spojrział za siebie, a gdy stwierdził, kto wkroczył do licytacji, zaczął się pocić, czego nie lubił robić w miejscach publicznych. Wyjął z kieszeni chustkę i przetarł nią czoło.

- Siedem tysięcy funtów - powtórzył wyraźnie zaskoczony Fothergill.

- Osiem tysięcy - powiedziała pani Trentham, patrząc wyzywająco na Charlie'ego.

- Dziewięć tysięcy - natychmiast odwarknął Charlie.

Szmer rozmów przybrał na sile. Becky miała ochotę zerwać się i wypchnąć swego męża z powrotem na ulicę.

- Proszę o ciszę! - zawołał Fothergill. - Cisza! - powtórzył, podnosząc jeszcze bardziej głos. Pułkownik nadal ocierał czoło.

Pan Crowther miał tak szeroko otwarte usta, że mogła do nich wpaść przelatująca mucha, a Hadlow ukrywał głowę w dłoniach.

- Dziesięć tysięcy - zawołała pani Trentham. Becky zauważyła, że podobnie jak Charlie straciła ona już całkowicie panowanie nad sobą.

- Czy ktoś da jedenaście tysięcy? - spytał licytator.

Charlie miał zafrasowany wyraz twarzy, ale tym razem zmarszczył tylko czoło, potrząsnął głową i ponownie wsadził ręce do kieszeni.

Becky, wydając westchnienie ulgi, rozwarła zaciśnięte dłonie i odruchowo włożyła na nos okulary.

- Jedenaście tysięcy - ogłosił Fothergill, patrząc w stronę Becky, która wśród ogólnego zamieszania wstała, by zaprotestować, pospiesznie zdejmując okulary. Charlie wyglądał jak człowiek całkowicie dezorientowany.

Pani Trentham utkwiła spojrzenie w Becky, którą w końcu udało jej się zidentyfikować. Z uśmiechem zadowolenia powiedziała: - Dwanaście tysięcy funtów.

Licytator znów zerknął w stronę Becky, która umieściła już okulary w torebce i zamknęła ją z głośnym trzaskiem zamka. Potem skierował wzrok na Charlie'ego i stwierdził, że trzyma on ręce w kieszeniach.

- Osoba siedząca w trzecim rzędzie oferuje dwanaście tysięcy funtów. Czy ktoś da więcej? - spytał licytator. Ponownie zerknął na Becky i Charlie'ego, a potem zatrzymał wzrok na pani Trentham. - A zatem dwanaście tysięcy po raz pierwszy... - ponownie rozejrzał się po sali - ... po raz drugi... po raz trzeci i ostatni... - Młotek opadł z głośnym stuknięciem. - Ogłaszam, że obiekt został sprzedany za dwanaście tysięcy funtów pani Geraldowej Trentham.

Becky pobiegła ku drzwiom, ale Charlie stał już na trotuarze.

- Na czym polegała twoja gra, Charlie? - spytała, zanim jeszcze zrównała się z nim.

- Wiedziałem, że będzie licytować do dziesięciu tysięcy funtów - odparł Charlie - ponieważ tyle wynosi stan jej konta w banku.

- Skąd mogłeś to wiedzieć?

- Drugi służący pani Trentham przekazał mi tę informację dziś rano. Nawiasem mówiąc, przynosi się do nas w charakterze lokaja.

W tym momencie na trotuar wyszedł prezes spółki. - Muszę przyznać, Rebeko, że twój plan był wspaniały. Całkowicie wyprowadziłaś mnie w pole.

- Mnie też - dodał Charlie.

- Podjąłeś straszne ryzyko, Charlie - powiedziała Becky, nie chcąc, by uszło mu to bezkarnie.

- Być może, ale ja przynajmniej wiedziałem, jaka jest jej górna granica. Nie miałem natomiast pojęcia, na czym polega twoja gra.

- Ja po prostu zrobiłam to przez pomyłkę. Kiedy na nowo włożyłam okulary... Z czego się śmiesz, Charlie?

- Dziękujemy Bogu za prawdziwych amatorów.

- O co ci chodzi?

- Pani Trentham myślała, że naprawdę licytujesz i że została wykiwana, więc podbiła cenę o jeden raz za dużo. Choć co prawda nie ona jedna dała się ponieść nastrojowi. Zaczyna mi nawet być trochę żal...

- Pani Trentham?

- Ależ skąd - odparł Charlie. - Pana Fothergilla. Spędzi teraz dziewięćdziesiąt dni w niebie, a potem ze strasznym hukiem spadnie na ziemię.

19 - Prosto jak strzelił PANI TRENTHAM 1919-1927

ROZDZIAŁ 22

Nie wierzę, by ktokolwiek mógł nazwać mnie snobką. Wierzę jednak w to, że maksyma: "Jest miejsce na wszystko i wszystko powinno być na swoim miejscu" odnosi się również do istot ludzkich.

Urodziłam się w Yorkshire w okresie apogeum wiktoriańskiego imperium i mogę chyba śmiało powiedzieć, że w tym okresie historii naszej wyspy moja rodzina odegrała znaczącą rolę.

Mój ojciec, sir Raymond Hardcastle, był nie tylko wynalazcą i przemysłowcem, obdarzonym wielką wyobraźnią i wiedzą, lecz zbudował również jedną z najlepiej prosperujących firm w naszym kraju. Zawsze jednak traktował swych podwładnych tak, jakby byli członkami rodziny, a ustanowiony przez niego wzór postępowania wobec osób, którym powiodło się gorzej niż jemu, stał się regułą, którą kierowałam się przez całe życie.

Nie miałam braci, tylko jedną starszą siostrę, Amy. Choć dzieliła nas różnica zaledwie dwóch lat, nie mogę udawać, że łączyły nas kiedykolwiek szczególnie bliskie stosunki, być może dlatego, że ja odznaczałam się jako dziecko otwartością, a nawet wylewnością, ona zaś była nieśmiała i zamknięta w sobie aż do granic mizantropii, zwłaszcza kiedy dochodziło do kontaktów z przedstawicielami przeciwnej płci. Oboje z ojcem usiłowaliśmy jej pomóc i znaleźć dla niej odpowiedniego partnera, ale okazało się to zadaniem niewykonalnym, i nawet on zrezygnował, gdy Amy ukończyła czterdzieści lat. Po przedwczesnej śmierci mojej matki Amy znalazła sobie pożyteczne zajęcie i zaczęła się opiekować moim ukochanym ojcem, a układ ten okazał się dla nich obojga bardzo szczęśliwy.

Ja natomiast nie miałam żadnych kłopotów ze znalezieniem męża. Jeśli dobrze pamiętam, Gerald był czwartym albo i piątym adoratorem, który na kolanach błagał mnie o rękę. Poznaliśmy się, kiedy bawiłam z dłuższą wizytą w rezydencji wiejskiej lorda i lady Fanshaw w hrabstwie Norfolk. Państwo Fanshaw byli starymi przyjaciółmi mojego ojca, a ja od pewnego czasu spotykałam się z ich młodszym synem, Anthonym. Ale ostrzeżono mnie, że nie odziedziczy on po ojcu ani ziemi, ani tytułu, więc uznałam, iż nie należy budzić w młodym człowieku żadnych nadziei na trwałe związki. O ile dobrze pamiętam, ojciec nie był zachwycony moim postępowaniem i być może w danej chwili skrytykował mnie nawet, ale wyjaśniłam mu przekonująco, że choć Gerald nie jest najbardziej olśniewającym z moich adoratorów, ma nad nimi jedną wyraźną przewagę, gdyż pochodzi z rodziny, która posiada ziemię w trzech hrabstwach, nie wspominając już o majątku w Aberdeen.

Pobraliśmy się w kościele Najświętszej Marii Panny w Great Ashton w lipcu 1895, a nasz pierworodny syn, Guy, poczęty został w rok później; należy pozwolić na upływ pewnego czasu przed wydaniem na świat pierwszego dziecka, żeby nie dawać nikomu okazji do niepotrzebnych plotek.

Mój ojciec zawsze traktował mnie i siostrę, jakbyśmy były równe sobie, choć często dawał mi podstawy do przypuszczeń, że to ja jestem jego ulubienicą. Gdyby nie jego wielkie poczucie sprawiedliwości, z pewnością zapisałby wszystko mnie, ponieważ po prostu przepadał za Guyem, zdecydował jednak, że w dniu jego śmierci Amy odziedziczy połowę majątku. Bóg raczy wiedzieć, w jaki sposób wykorzysta taką fortunę, gdyż jej zainteresowania życiowe sprowadzały się zawsze do uprawiania ogródka, szydełkowania i okresowych wizyt na odpuszcie w Scarborough.

Wracając jednak do Guya, to każdy, kto poznał go w okresie kształtowania się jego osobowości, nieodmiennie stwierdzał, że jest niezwykle przystojnym chłopcem, a ja, choć nigdy go nie rozpuszczałam, uważałam za swój święty obowiązek zapewnienie mu takiego startu życiowego, który przygotowałby go do odegrania roli, jaka w moim głębokim przekonaniu była mu przeznaczona.

Mając to na uwadze, jeszcze przed chrztem zapisałam go do Asgarth Preparatory School, a potem do gimnazjum w Harrow, po którego ukończeniu miał według moich planów wstąpić do Królewskiej Akademii Wojskowej. Dziadek nie szczędził kosztów na jego wykształcenie, a ponieważ chodziło o pierwszego wnuka, można powiedzieć, że był hojny aż do przesady.

W pięć lat później urodziłam drugiego syna, Nigela, który przyszedł na świat trochę przedwcześnie i dlatego może czynił postępy nieco wolniej niż jego starszy brat Guy tymczasem pobierał nauki u kilku prywatnych nauczycieli, z których jeden czy dwaj uważali, że jest może odrobinę zbyt niesforny. Ale w końcu, któreż dziecko nie wrzuca w pewnym wieku dorosłym żab do wanny czy nie przecina im sznurowadeł?

W wieku dziewięciu lat Guy zgodnie z planem poszedł do Asgarth, a stamtąd do Harrow. Jego dyrektorem był w owym czasie Wielebny Prebendariusz Anthony Wood, któremu nie omieszkałam przypomnieć, że Guy jest przedstawicielem siódmego pokolenia Trenthamów uczęszczających do tej szkoły.

Podczas pobytu w Harrow Guy wyróżniał się w szkoleniu wojskowym, dzięki czemu został na ostatnim roku sierżantem kadetów, oraz na ringu bokserskim, gdzie pokonywał wszystkich przeciwników; jedynym wyjątkiem był mecz przeciwko Rodley, ale musiał wówczas walczyć z jakimś Nigeryjczykiem, który, jak się później dowiedziałam, miał dwadzieścia kilka lat.

Zmartwiło mnie to, że podczas ostatniego semestru w szkole Guy nie został prefektem klasy. Ale ponieważ brał udział w wielu innych zajęciach, uznano widocznie, że nie leżałoby to w jego interesie. Mogłam oczywiście mieć nadzieję, że wyniki jego końcowych egzaminów będą nieco bardziej zadowalające, ale zawsze uważałam, iż należy do dzieci, które są wybitnie inteligentne, ale niezbyt przykładają się do nauki. Mimo dość nieżyczliwej opinii opiekuna klasy, który stwierdził, że niektóre stopnie uzyskane przez Guya podczas egzaminów końcowych były dla niego niespodzianką, udało mu się dostać do Sandhurst.

Na akademii Guy nie tylko okazał się pierwszorzędnym kadetem, ale znalazł również czas na kontynuowanie kariery bokserskiej i został mistrzem szkoły w wadze średniej. W dwa lata później, w lipcu 1919, znalazł się dzięki swym stopniom wśród pierwszej połowy absolwentów szkoły i zamierzał wstąpić do dawnego pułku swego ojca.

Muszę podkreślić, że Gerald wystąpił z Królewskich Strzelców po śmierci swego ojca po to, by wrócić do Berkshire i objąć zarząd nad majątkami rodzinnymi. Tuż przed swą przymusową rezygnacją był przedstawiony do awansu na pułkownika i wielu uważało go za naturalnego następcę dowódcy pułku. Jak się okazało, został pominięty na rzecz kogoś, kto nie był nawet w pierwszym batalionie, niejakiego Danversa Hamiltona. Nigdy nie spotkałam tego człowieka, ale liczni

oficerowie uważali jego nominację za parodię sprawiedliwości. Byłam jednak przekonana, że Guy uratuje honor rodziny i w swoim czasie przejmie dowództwo nad pułkiem.

Choć Gerald nie brał bezpośredniego udziału w Wielkiej Wojnie, służył jednak swemu krajowi podczas tych ciężkich lat, pozwalając wysunąć swą kandydaturę na posła z Berkshire West, okręgu, który jego dziadek, jako członek partii liberalnej, reprezentował w parlamencie w połowie ubiegłego stulecia, za rządów Palmerstona.

Bez trudu wybierany był przez trzy kadencje i rzetelnie działał na rzecz swej partii z tylnych ław, wyraźnie dając do zrozumienia wszystkim zainteresowanym, że nie chce sprawować żadnego urzędu publicznego.

Guy, po otrzymaniu patentu podporucznika, został skierowany do Aldershot, gdzie przechodził dalsze szkolenie, przygotowując się do chwili, w której dołączy do swego walczącego na Froncie Zachodnim pułku. W ciągu niespełna roku zdobył drugą gwiazdkę i został przeniesiony do Edynburga, gdzie przydzielono go do drugiego batalionu, mającego za kilka tygodni popłynąć do Francji.

Tymczasem Nigel rozpoczął naukę w Harrow i zamierzał pójść w ślady swego brata, choć, niestety, nie był aż tak zdolny. Podczas jednego z tych nie kończących się okresów ferii, z jakich korzystają dziś dzieci, poskarżył mi się nawet, że koledzy traktują go nieżyczliwie. Kazałam mu zacisnąć zęby i pamiętać, że jesteśmy w stanie wojny. Oznajmiłam też, że nie przypominam sobie, by Guy kiedykolwiek zawracał mi głowę tego rodzaju sprawami.

Baczenie obserwowałam moich synów w ciągu tego długiego lata 1917 roku i nie będę udawać, że Guy podczas spędzania w domu urlopu, uważał Nigela za dobrego kompana; szczerze mówiąc, zaledwie tolerował jego towarzystwo. Nakłaniałam Nigela do wysiłków, mających na celu zdobycie uznania starszego brata, ale jedyny skutek był taki, że zaczął on uciekać z domu i ukrywać się przez długie godziny w ogrodzie.

Tegoż lata namówiłam Guya, by wykorzystał swój urlop i odwiedził mieszkającego w Yorkshire dziadka; znalazłam nawet dla niego prezent w postaci egzemplarza pierwszego wydania Pieśni niewinności, który - jak wiedziałam - mój ojciec od dawna pragnął dołączyć do swojej kolekcji. Guy wrócił w tydzień później i oznajmił, że książka Blake'a, której jego dziadkowi dotąd nie udało się zdobyć, istotnie wprawiała go w "przychylny nastrój".

Podczas tego szczególnie podniosłego okresu naszych dziejów obawiałam się oczywiście, jak każda matka, czy Guy dzielnie będzie sobie poczynał w obliczu wroga i czy z Bożą pomocą wróci cało do domu. Oceniając przebieg wydarzeń, mogę chyba śmiało stwierdzić, że nawet najbardziej dumna matka nie mogłaby wymagać od swego syna więcej.

Guy w bardzo młodym wieku został awansowany na kapitana, a po drugiej bitwie nad Marną nagrodzono go Krzyżem Wojennym.

Zdaniem tych, którzy czytali uzasadnienie tej dekoracji, miał pecha nie otrzymując Krzyża Wiktorii. Protestowałam przeciw takiemu stawianiu sprawy, przypominając im, że wniosek o to odznaczenie wymagałby kontrasygnaty dowódcy jego jednostki, a ponieważ był nim wspomniany Danvers Hamilton, łatwo było wytłumaczyć przyczyny niesprawiedliwości, jaka spotkała mego syna.

Wkrótce po podpisaniu zawieszenia broni Guy wrócił do kraju, by kontynuować służbę w koszarach pułku na terenie Hounslow.

Kiedy był na urlopie, zamówiłam u Spinksa dwie repliki jego medalu, normalną oraz miniaturową, i kazałam wyryć na obu inicjały G. F. T. W tym właśnie okresie jego brat Nigel został w końcu przyjęty, dzięki wpływom Geralda, do Królewskiej Akademii Wojskowej.

Podczas pobytu w Londynie Guy z pewnością złamał kilka kobiecych serc - jaki młody człowiek w jego wieku tego nie robi - ale dobrze zdawał sobie sprawę, że małżeństwo przed trzydziestką mogłoby zmniejszyć jego szansę na awans.

Choć kilkakrotnie przywoził różne młode damy na weekendy do Ashurst, wiedziałam, że żadnej z nich nie traktuje poważnie, a poza tym miałam już na oku pewną dziewczynę z sąsiedztwa, pochodzącą z dobrze znanej nam rodziny. Choć nie posiadała ona tytułu, jej drzewo genealogiczne sięgało czasów podboju Anglii przez Normanów. Co więcej, można było przejść po należących do niej ziemiach od Ashurst do Hastings.

Przeżyłam więc bardzo nieprzyjemny wstrząs, kiedy Guy pojawił się podczas pewnego weekendu z dziewczyną, która nazywała się Rebeka Salmon i - choć nie mogłam w to uwierzyć - była wówczas współlokatorką córki państwa Harcourt-Browne.

Jak to już przekonująco wyjaśniłam, nie jestem snobką. Ale panna Salmon należała niestety do dziewcząt, które zawsze wyzwalają we mnie najgorsze instynkty. Nie chcę być źle zrozumiana. Sama chęć zdobycia wykształcenia nikogo moim zdaniem nie dyskredytuje. Popieram nawet - w rozsądnych granicach - taką postawę, ale nie daje ona nikomu prawa do aspiracji towarzyskich.

Po prostu nie mogę znieść człowieka udającego kogoś, kim najwyraźniej nie jest, a jeszcze przed poznaniem panny Salmon wyczułam, że przybywa ona do Ashurst w ściśle określonych zamiarach.

Wszyscy rozumieliśmy, że Guy postanowił przeżyć w czasie pobytu w Londynie przelotny romans - i nie ulegało wątpliwości, że panna Salmon należała do tego rodzaju dziewcząt. Kiedy podczas następnego weekendu mogłam przez chwilę porozmawiać z nim w cztery oczy, poczułam się w obowiązku ostrzec go, by nigdy nie pozwolił złapać się na haczyk komuś takiemu jak panna Salmon; uświadomiłam mu, że byłby łakomym kąskiem dla osoby o jej pochodzeniu.

Guy wyśmiał moje sugestie i oznajmił, że nie zamierza wiązać swych długofalowych planów z córką piekarza. Przypomniał mi, że tak czy owak ma niedługo wyjechać ze swą jednostką do Puny, więc żadne małżeństwo nie wchodzi w rachubę. Musiał jednak wyczuć, że moje obawy nie zostały w pełni uśmierzone, gdyż po namyśle dodał: - Muszę ci zresztą powiedzieć, mam, że panna Salmon widuje się aktualnie z pewnym sierżantem, który służył w naszym pułku, i że jest z nim już po słowie.

Kiedy w dwa tygodnie później Guy zjawił się w Ashurst z panną Wiktoria Berkeley, której matkę znałam od lat, uznałam, że dokonał znacznie lepszego wyboru; w istocie gdyby ojciec jej nie był zubożałym archidiakonem, posiadającym w dodatku cztery inne córki, mogłaby ona z czasem okazać się idealną kandydatką na żonę.

Muszę przyznać uczciwie, że po owym niefortunnym wydarzeniu Guy nigdy nie wspomniał przy mnie o panie Salmon, a kiedy w kilka tygodni później wypłynął do Indii, byłam pewna, że nie usłyszę już więcej o tej okropnej dziewczynie.

Kiedy Nigel ukończył wreszcie Sandhurst, nie wstąpił w ślad za Guyem do pułku Królewskich Strzelców, gdyż w czasie jego dwuletnich studiów na Akademii stało się zupełnie jasne, że nie jest stworzony na żołnierza. Geraldowi udało się jednak załatwić mu posadę w pewnej firmie maklerskiej na terenie City, której współnikiem był jeden z jego kuzynów. Docierające do mnie od czasu do czasu raporty o jego postępach nie były, prawdę mówiąc, zachęcające, ale odkąd wspomniałam kuzynowi Geralda, że będę niebawem potrzebowała kogoś, kto obejmie kontrolę nad portfelem akcji mego ojca, Nigel zaczął wspinać się powoli po szczeblach zawodo-wej kariery.

Chyba w jakieś sześć tygodni później znaleźliśmy w skrzynce pocztowej list od pułkownika Danversa Hamiltona, adresowany do mego męża. Gdy tylko Gerald oznajmił, że pułkownik chce z

nim porozmawiać w cztery oczy, wyczułam, iż czekają nas kłopoty. Z biegiem lat zetknęłam się z wieloma oficerami, kolegami mego męża, więc wiedziałam dokładnie, jak należy z nimi postępować.

Gerald natomiast jest dość naiwny w sprawach o charakterze osobistym i zawsze interpretuje wątpliwości w sposób korzystny dla swego rozmówcy. Natychmiast sprawdziłam harmonogram parlamentarnych zajęć mego męża w następnym tygodniu i ustaliłam termin wizyty sir Danversa na godzinę szóstą w poniedziałek, wiedząc dobrze, że Gerald, ze względu na swe obowiązki w Izbie Gmin, niemal na pewno będzie musiał w ostatniej chwili odwołać to spotkanie.

Gerald zatelefonował owego dnia niedługo po piątej. Oznajmił mi, że nie może zjawić się w domu i zaproponował, żeby pułkownik odwiedził go w Izbie Gmin. Obiecałam, że zrobię, co będę mogła. W godzinę później zjawił się sir Danvers. Przeprósiwszy za nieobecność męża i wyjaśnwszy jej przyczyny, przekonałam go, by mnie przekazał przeznaczoną dla niego wiadomość. Kiedy poinformował mnie, że panna Salmon spodziewa się dziecka, spytałam, oczywiście, dlaczego miałoby to interesować Geralda lub mnie. Wahał się przez chwilę, a potem oznajmił, że ojcem jest Guy. Natychmiast zdałam sobie sprawę, że jeśli pozwolę na kolportowanie tego rodzaju oszczerstw, mogą one dotrzeć do uszu oficerów stacjonujących wraz z moim synem w Punie i zmniejszyć jego szansę na przyszły awans. Oświadczyłam więc, że takie sugestie są śmieszne i w tym samym zdaniu udzieliłam pułkownikowi ostrej reprymendy.

W kilka tygodni później, podczas brydża u Celi Littlechild, dowiedziałam się, że przekonana o niewierności swego męża wynajęła prywatnego detektywa nazwiskiem Harris, każąc mu go śledzić. Wiadomość ta sprawiła, że nie byłam w stanie skupić się na grze, ku wielkiemu niezadowoleniu moich partnerów.

Wróciwszy do domu zaczęłam szukać tego nazwiska w londyńskiej książce telefonicznej. I znalazłam je: "Max Harris. Prywatny detektyw, były pracownik Scotland Yardu, przyjmuje wszelkiego rodzaju sprawy". Przez kilka minut wpatrywałam się w aparat, a potem poprosiłam telefonistkę o połączenie mnie z numerem Paddington 3720.

Czekałam dłuższą chwilę, zanim podniesiono słuchawkę.

- Harris - warknął ktoś gburowatym głosem, nie dodając słowa wyjaśnienia.

- Czy to agencja detektywistyczna? - spytałam i niemal rozłączyłam się jeszcze przed usłyszeniem odpowiedzi.

- Owszem, proszę pani. - Tym razem jego głos brzmiał nieco bardziej zachęcająco.

- Być może będę potrzebowała pańskiej pomocy... sprawa dotyczy oczywiście mojej przyjaciółki... - powiedziałam, czując się dość zażenowana.

- Przyjaciółki - powtórzył. - Tak, oczywiście. Więc może powinniśmy się zobaczyć.

- Ale nie w pańskim biurze - stwierdziłam stanowczo.

- Rozumiem, szanowna pani. Czy odpowiada pani spotkanie w hotelu Świętej Agnieszki na Bury Street w South Kensington jutro o czwartej po południu?

- Owszem - odparłam i odłożywszy słuchawkę zdałam sobie sprawę, że on nie zna mego nazwiska, a ja nie wiem, jak on wygląda.

Kiedy przybyłam nazajutrz pod hotel Świętej Agnieszki, okropną małą spelunkę położoną tuż obok Brompton Road, kilka razy obeszłam cały blok, nim zdecydowałam się na wejście do hallu. O ladę recepcji opierał się jakiś trzydziesto-, może trzydziestopięcioletni mężczyzna. Na mój widok wyprostował się od razu.

- Czy przypadkiem szuka pani pana Harrisa? - spytał.

Kiwnęłam głową, a on szybko przeprowadził mnie przez kawiarnię do ustawionego w najdalszym zakątku sali stolika. Kiedy usiadł naprzeciwko mnie, zaczęłam dokładniej mu się przyglądać. Był mocno zbudowany i miał jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu, ciemnorude włosy i jeszcze ciemniejsze wąsy. Miał na sobie brązową, kraciastą tweedową marynarkę, kremową koszulę i wąski żółty krawat. Kiedy przystąpiłam do wyjaśniania mu przyczyn, dla których być może potrzebuję jego usług, zaczął zatraskiem wyginać kolejno palce obu rąk, co mnie bardzo rozpraszało. Chciałam wstać i wyjść i zrobiłabym to bez wahania, gdybym choć przez chwilę sądziła, że mogę bez większego trudu znaleźć mniej odrażającego człowieka, który podjąłby się tego zadania.

Sporo czasu zajęło mi przekonanie pana Harrisa, że nie zamierzam ubiegać się o rozwód. Podczas tego pierwszego spotkania opowiedziałam mu o moim problemie na tyle wyczerpująco, na ile uważałam za słuszne. Byłam zaszokowana, gdy zażądał astronomicznego honorarium w wysokości pięciu szylingów za godzinę, uznając to za warunek rozpoczęcia śledztwa. Doszłam jednak do wniosku, że nie mam "wielkiego wyboru". Ustaliłam z nim, że zacznie działać już następnego dnia i że spotkamy się ponownie za tydzień.

Z pierwszego raportu Harrisa dowiedziałam się, że zdaniem wszystkich mężczyzn, spędzających większość dnia pracy w leżącym na terenie Chelsea barze o nazwie "Muszkietier", ojcem dziecka Rebeki Salmon jest Charlie Trumper, który zresztą zapytany o to wprost bynajmniej nie usiłuje przeczyć. Jakby na potwierdzenie tej opinii już w kilka dni po przyjściu na świat dziecka Trumper i panna Salmon wzięli cichy ślub w urzędzie stanu cywilnego.

Harris bez trudu zdobył kopię aktu urodzenia dziecka. Wynikało z niego, że Daniel George Trumper jest synem Rebeki Salmon i Charlesa George'a Trumpera, zamieszkałych na Chelsea Terrace pod numerem 147. Zwróciłam uwagę na fakt, że dziecko otrzymało imiona obu dziadków. Wysyłając następny list do mego syna, dołączyłam do niego odpis aktu urodzenia oraz kilka otrzymanych od Harrisa informacji, które dotyczyły szczegółów ślubu oraz wyboru pułkownika Hamiltona na prezesa rady nadzorczej firmy Trumper.

Byłam przekonana, że na tym sprawa się zakończy.

W dwa tygodnie później dostałam jednak od Guya list, który musiał minąć się z moim. Donosił mi, że sir Danvers porozumiał się z jego dowódcą, pułkownikiem Forbesem, który z kolei, obawiając się procesu o złamanie obietnicy małżeństwa, kazał Guyowi złożyć zeznania przed specjalną komisją, składającą się z oficerów pułku, i wyjaśnić charakter swego związku z panną Salmon.

Wiedząc, że Guy nie dysponuje wszystkimi dowodami, które udało mi się zdobyć, natychmiast napisałam długi list do pułkownika Forbesa. Dołączyłam do niego kolejną kopię aktu urodzenia, aby przekonać go ostatecznie, że mego syna nie mogły łączyć z panną Salmon żadne bliższe związki. Dodałam - w tonie obiektywnym - że pułkownik Hamilton jest obecnie zatrudniony w firmie Trumpera jako prezes rady nadzorczej i niewątpliwie otrzymuje z tego tytułu wynagrodzenie. Długie sprawozdania, wysyłane mi wówczas co tydzień przez Harrisa, okazały się bardzo przydatne.

Na jakiś czas wszystko wróciło do normy. Geralda pochłaniały obowiązki parlamentarne, a ja skupiłam uwagę na sprawach tak mało ważnych jak wybór nowego kościelnego czy moje kółko brydżowe.

Problem sięgał jednak znacznie głębiej, niż sądziłam, gdyż odkryłam - całkiem przypadkowo - że nasze nazwiska nie zostały umieszczone na liście gości zaproszonych przez państwa Harcourt-Browne na ślub Daphne z markizem Wiltshire. Swoją drogą Percy nigdy nie zostałby dwunastym

markizem, gdyby jego ojciec i brat nie oddali swego życia na Zachodnim Froncie. Dowiedziałam się jednak od osób biorących udział w ceremonii, że zarówno pułkownik Hamilton, jak i Trumperowie widziani byli w kościele Św.

Małgorzaty, a później na przyjęciu.

W tym okresie Harris nadal dostarczał mi meldunki dotyczące poczynań Trumperów i ich rozrastającej się firmy. Muszę przyznać, że ich działalność handlowa bynajmniej mnie nie interesowała.

Był to dla mnie całkowicie obcy świat, ale nie powstrzymywałam Harrisa od wykraczania poza zakres swych obowiązków, gdyż dostarczało mi to użytecznych informacji o wrogach Guya.

W kilka miesięcy później pułkownik Forbes potwierdził odbiór mego listu, ale poza tym nie docierały do mnie żadne wieści dotyczące fałszywych zarzutów pod adresem Guya. Założyłam więc, że wszystko musiało wrócić do normy, a pomówienia pułkownika Hamiltona potraktowane zostały z pogardą, na jaką zasługiwały.

Potem, pewnego czerwcowego poranka następnego roku, Gerald wezwany został do Ministerstwa Wojny. Udał się tam, przekonany, że chodzi o kolejną rutynową odprawę członków parlamentu.

Kiedy tegoż popołudnia wrócił niespodziewanie na Chester Square, kazał mi usiąść i wypić dużą whisky, a potem oznajmił, że musi mi przekazać pewne niepomyślne wieści. Nigdy jeszcze nie widziałam mego męża w tak ponurym nastroju, więc zaczęłam się w milczeniu zastanawiać, co mogło być na tyle ważne, by skłonić go do powrotu do domu w ciągu dnia.

- Guy zrezygnował ze służby wojskowej - oznajmił z rozdrażnieniem Gerald. - Wróci do Anglii, gdy tylko załatwione zostaną niezbędne formalności.

- Dlaczego? - spytałam ze zdumieniem.

- Nie podano mi powodu - odparł Gerald. - Zostałem dziś rano wezwany do ministerstwa, gdzie odbył ze mną poufną rozmowę Billy Cuthbert, dawny kolega z pułku. Poinformował mnie nieoficjalnie, że gdyby Guy nie zrezygnował, zostałby ponad wszelką wątpliwość zdegradowany i wydalony.

Czekając na powrót Guya starannie studiowałam wszystkie dostarczane mi przez Harrisa informacje dotyczące rozrastającego się gwałtownie imperium Trumperów, choć niektóre z nich wydawały mi się w danej chwili błahe i nieistotne. Czytając wielostronicowe raporty, które nadsyłał detektyw - niewątpliwie po to, by usprawiedliwić zawrotną wysokość swych stawek - natrafiłam na szczegól, który, jak podejrzewałam, mógł być dla Trumperów niemal tak samo ważny, jak dla mnie reputacja mego syna.

Zebrawszy osobiście wszystkie niezbędne dane i obejrzawszy pewnego niedzielnego ranka rzeczoną nieruchomość, zadzwoniłam w poniedziałek rano do firmy Savill i zaoferowałam za nią dwa tysiące pięćset funtów. Agent poinformował mnie telefonicznie po kilku dniach, że ktoś inny - od razu odgadłam, iż musi to być Trumper - zaproponował trzy tysiące. - Więc proszę podnieść ofertę do czterech tysięcy - poleciłam mu i odłożyłam słuchawkę.

Pośrednik handlu nieruchomościami zakomunikował mi jeszcze tego samego popołudnia, że stałam się właścicielką wieczystej dzierżawy budynku położonego na Chelsea Terrace pod numerami 25 - 99 i obejmującego trzydzieści osiem mieszkań. Zapewnił mnie, że natychmiast poinformuje przedstawicieli firmy Trumper, kto będzie ich najbliższym sąsiadem.

ROZDZIAŁ 23

Guy Trentham pojawił się na progu domu przy 19 Chester Square w chłodne wrześniowe popołudnie roku 1922, kiedy Gibson skończył już sprzątać ze stołu po podwieczorku. Jego matka miała pamiętać to wydarzenie do końca życia, ponieważ kiedy wprowadzono jej syna do salonu, z trudem go poznała. Pani Trentham pisała właśnie przy swym biurku jakiś list, kiedy Gibson zaanonsował: - Kapitan Guy.

Odwróciła głowę i zobaczyła, że jej syn wkracza do pokoju, podchodzi wprost do kominka i staje przy nim na lekko rozstawionych nogach, plecami do paleniska. Patrzył szklistymi oczami przed siebie, ale nie odzywał się.

Pani Trentham podziękowała Bogu, że jej mąż bierze tego popołudnia udział w parlamentarnej debacie i ma wrócić dopiero po głosowaniu, wyznaczonym na godzinę dziesiątą wieczorem.

Guy najwyraźniej nie golił się od kilku dni. Przydałaby mu się też szciotka do szorowania, a strój, który miał na sobie, nie przypominał ubrania, uszytego zaledwie trzy lata wcześniej u Gievesa.

Zaniedbany, roztrzęsiony strzép człowieka, stojący tyłem do buchającego paleniska, odwrócił głowę i spojrzał na matkę. Pani Trentham dopiero teraz zauważyła, że jej syn trzyma pod pachą jakąś owiniętą w szary papier paczkę.

Choć w pokoju nie było zimno, panią Trentham również przeszedł dreszcz. Pozostała przy biurku, nie mając ochoty objąć swego pierworodnego syna ani przerwać dzielącej ich ciszy.

- Co ci powiedziano, mamo? - wykrztusił wreszcie Guy, drżącym i niepewnym głosem.

- W gruncie rzeczy nic ważnego. - Podniosła na niego drwiący wzrok. - Tylko tyle, że zrezygnowałeś ze służby i że gdybyś tego nie zrobił, zostałbyś wydalony.

To akurat jest prawdą - przyznał, wypuszczając z kurczowego uchwytu paczkę i kładąc ją na stojącym obok stole. - Ale tylko dlatego, że oni zmówili się przeciwko mnie.

- Oni?

- Tak. Pułkownik Hamilton, Trumper i jego przyjaciółka.

- Czyżby pułkownik Forbes dawał wiarę słowom panny Salmon nawet po otrzymaniu mego listu? - spytała lodowatym tonem pani Trentham.

- Tak... tak właśnie było. W końcu pułkownik Hamilton nadal ma w pułku wielu przyjaciół, a niektórzy z nich nader chętnie zastosowali się do jego zaleceń, zwłaszcza że stwarzało to możliwość wyeliminowania rywala.

Patrzyła przez chwilę, jak nerwowo przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą. - Ale myślałam, że sprawa została ostatecznie rozstrzygnięta. Bądź co bądź, ten akt urodzenia...

- Tak mogłoby się stać, gdyby był on sygnowany zarówno przez Charlie'ego Trumpera, jak i

przez Rebeke, ale był na nim tylko jeden podpis: matki dziecka. Co gorsza, pułkownik nakłonił pannę Salmon do zagrożenia procesem o złamanie obietnicy małżeńskiej i ustalenie ojcostwa. Gdyby złożyła taką skargę, ucierpiałoby na tym nieodwracalnie dobre imię pułku, mimo że nie popełniłem żadnego z czynów, jakie mogliby mi zarzucić. Nie miałem więc żadnego wyboru; musiałem postąpić honorowo i zrezygnować ze służby. - W jego głosie odbiła się jeszcze większa gorycz. - A wszystko dlatego, że Trumper obawiał się, by nie wyszła na jaw prawda.

- O czym ty mówisz, Guy?

Unikając jej badawczego spojrzenia oderwał się od kominka, podszedł do szafki z alkoholami i nalał sobie dużą porcję whisky.

Nie tykając syfonu z wodą sodową wypił potężnym haustem zawartość szklanki. Jego matka w milczeniu czekała na dalszy ciąg.

- Po drugiej bitwie nad Marną pułkownik Hamilton kazał mi wszcząć śledztwo w sprawie dezercji Trumpera z pola bitwy - oznajmił Guy, podchodząc z powrotem do kominka. - Wiele osób uważało, że powinien stanąć przed sądem polowym, ale jedyny poza mną świadek, szeregowy Prescott, zginął od zabłąkanej kuli o kilka zaledwie metrów od naszych okopów. To ja, postępując niemądrze, doprowadziłem Prescottta i Trumpera z powrotem do naszych linii; kiedy Prescott upadł, odwróciłem głowę i ujrzałem na twarzy Trumpera szeroki uśmiech. Powiedział do mnie tylko: „Pech, kapitanie; teraz nie ma pan żadnego świadka, prawda?”

- Czy nie powiedziałeś o tym wtedy nikomu?

Guy podszedł do szafki z alkoholami i ponownie napełnił swą szklankę. - Po co miałbym komuś mówić, skoro Prescott nie był w stanie już potwierdzić moich zeznań? Jedyne, co mogłem zrobić, to postarać się, by nagrodzono go pośmiertnie Krzyżem Walecznych.

Choć oznaczało to zapewnienie Trumperowi bezkarności. Potem odkryłem, że Trumper nie chciał nawet potwierdzić mojej wersji wydarzeń na polu bitwy, co omal nie pozbawiło mnie mojego Krzyża Wojennego.

- A teraz, kiedy udało mu się zmusić cię do rezygnacji ze służby, możesz przeciwstawić jego oskarżeniom tylko swoje słowo.

- Tak wyglądałaby sytuacja, gdyby Trumper nie popełnił jednego głupiego błędu, który może jeszcze doprowadzić do jego klęski.

- Co masz na myśli?

- No cóż - ciągnął Guy, teraz już trochę spokojniej - podczas tej bitwy przyszedłem z pomocą obu wspomnianym żołnierzom. Znalazłem ich w zbombardowanym kościele, w którym się ukryli.

Postanowiłem, że pozostaniemy tam do zapadnięcia zmroku, a potem spróbuję doprowadzić ich bezpiecznie do naszych okopów.

Kiedy czekaliśmy na dachu na zachód słońca, Trumper, myśląc, że zasnąłem, wrócił potajemnie do kościoła i zdjął zza ołtarza przepiękny obraz przedstawiający Madonnę. Obserwowałem go ukradkiem i widziałem, jak chowa malowidło do swego tornistra. Nie odezwałem się, wiedząc, że jest to potrzebny mi dowód jego dwulicowości; bądź co bądź obraz zawsze można było zwrócić do kościoła w późniejszym terminie. Kiedy wróciliśmy do naszych okopów, natychmiast kazałem przeszukać ekwipunek Trumpera, aby móc go aresztować za kradzież. Ale ku mojemu zaskoczeniu nigdzie nie znaleziono obrazu.

- Więc dlaczego uważasz teraz, że jest to korzystna dla ciebie okoliczność?

- Dlatego że ten obraz pojawił się ponownie w jakiś czas później.

- Ponownie?

- Tak - oznajmił Guy, podnosząc nieco głos. - Daphne Harcourt-Browne powiedziała mi, że zauważyła to malowidło w salonie Trumperów i potrafiła nawet dokładnie je opisać. Nie miałem cienia wątpliwości, że jest to ta sama Madonna z Dzieciątkiem, którą Trumper ukradł z kościoła.

- Ale nie można wiele zdziałać, dopóki ten obraz wisi w jego domu.

- Już nie wisi. I dlatego właśnie jestem tak ucharakteryzowany.

- Przestań bawić się ze mną w zgadywanki, Guy - poleciła mu matka. - Wytłumacz jasno o, co ci chodzi.

- Dziś rano odwiedziłem dom Trumperów i oznajmiłem służącej, że walczyłem wraz z jej panem na Zachodnim Froncie.

- Czy to było rozsądne, Guy?

- Powiedziałem jej, że nazywam się Fowler, kapral Fowler, i że próbuję skontaktować się z Charlie'm już od pewnego czasu. Wiedziałem, że nie ma go w domu, bo zaledwie kilka minut wcześniej widziałem, jak wchodził do jednego ze swoich sklepów na Chelsea Terrace. Służąca przyjrzała mi się podejrzliwie i poprosiła, bym poczekał w hallu, a sama poszła na górę, by powiadomić o moich odwiedzinach panią Trumper. To dało mi dość czasu, by wślizgnąć się do salonu - gdzie, jak wiedziałem od Daphne, wisiał ten obraz - i szybko zdjęć go ze ściany. Wyszedłem z domu, zanim ktokolwiek mógł się zorientować, co zrobiłem.

- Ale oni z pewnością zgłoszą kradzież na policji, a wtedy zostaniesz aresztowany.

- Nie ma takiej możliwości - odparł Guy, podnosząc ze stołu zawiniątko i zaczynając je odpakowywać. - Ostatnia rzecz, jakiej życzyłby sobie Trumper, to przekazanie tego obrazu w ręce policji.

- Podał malowidło matce.

Pani Trentham obejrzała mały olejny obrazek. - Od tej pory możesz zostawić Trumpera mnie - powiedziała, nie udzielając żadnych dalszych wyjaśnień. Guy uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili przekroczenia progu domu. - Musimy jednak skupić uwagę na bardziej pilnym problemie i zastanowić się nad twoją przyszłością. Nadal jestem przekonana, że byłabym w stanie załatwić ci posadę w City. Rozmawiałam już z...

- Nic z tego nie będzie, mamo, i ty dobrze o tym wiesz. Na razie dotąd nie ma dla mnie w Anglii żadnej przyszłości. Przynajmniej dopóki nie zostaną oczyszczony z zarzutów i nie odzyskam dobrego 20 - Prosto jak strzelił imienia. Nie chcę zresztą pętać się po Londynie i wyjaśniać twoim znajomym od brydża, dlaczego nie jestem z moim pułkiem w Indiach. Nie, chcę wyjechać za granicę i poczekać tam, aż wszystko przycichnie.

- Wobec tego będę potrzebowała nieco więcej czasu do namysłu - odparła pani Trentham. - Ty tymczasem możesz się wykapać i ogolić, a potem znaleźć jakieś czyste ubranie; ja zastanowię się, co musimy zrobić.

Gdy tylko Guy opuścił pokój, pani Trentham podeszła do biurka i ukryła obrazek w dolnej lewej szufladzie. Potem schowała klucz do torebki i zaczęła się zastanawiać nad aktualną sytuacją i nad tym, jak ochronić dobre imię rodziny Trenthamów.

Patrząc przez okno zaczęła obmyślać pewien plan, który wymagałby co prawda dalszego uszczuplenia jej kurczących się zasobów, ale dałby jej odrobinę czasu, umożliwiając w ten sposób zdemaskowanie Trumpera jako złodzieja i kłamcę, a równocześnie oczyszczenie syna z wszystkich zarzutów.

Pani Trentham zdawała sobie sprawę, że w ukrytym w sypialni sejfie ma tylko pięćdziesiąt funtów gotówką; pozostało jej jednak jeszcze siedemnaście tysięcy funtów z dwudziestu tysięcy, które ojciec przekazał jej w dniu ślubu. - Niech leżą na twoim koncie na wypadek jakiegoś nieprzewidzianego kryzysu - powiedział wtedy proroczo.

Wyjęła z szuflady kartkę papieru listowego i zaczęła na niej coś zapisywać. Zdawała sobie dobrze sprawę, że kiedy jej syn opuści tego wieczora dom na Chester Square, może nie zobaczyć go przez dłuższy okres czasu. W czterdzieści minut później przyjrzała się swoim notatkom:

50 funtów (gotówką)

Sydney Max Harńs Płaszcz 5000 funtów (czek)

Bentley Obraz Posterunek policji Jej rozmyślania przerwało wejście Guya, który wyglądał teraz nieco bardziej jak jej syn. Wymięte ubranie zastąpiła granatowa marynarka i kawaleryjskie spodnie, a jego twarz, choć nadal blada, była przynajmniej starannie ogolona. Pani Trentham złożyła kartkę papieru, wiedząc już dokładnie, jaką linię postępowania musi obrać.

- A teraz usiądź i posłuchaj mnie uważnie - powiedziała.

Guy Trentham opuścił dom rodziców kilka minut po dziewiątej, na godzinę przed spodziewanym powrotem jego ojca z Izby Gmin.

Miał przy sobie pięćdziesiąt trzy funty w gotówce i ukryty w wewnętrznej kieszeni czek na pięć tysięcy funtów. Przynależał, że napisze do swego ojca natychmiast po przybyciu do Sydney i wyjaśni mu powody, dla których pojechał wprost do Australii. Pani Trentham zapewniła syna, że podczas jego nieobecności zrobi wszystko, co będzie w jej mocy, by pomóc mu odzyskać dobre imię, aby mógł kiedyś, oczyszczony z zarzutów, wrócić do Anglii i zająć należne sobie miejsce głowy rodziny.

Jedyni dwaj lokaje, którzy widzieli tego wieczora kapitana Trenthama, zostali pouczeni przez swą chlebodawczynię, że nie wolno im wspominać o jego wizycie nikomu, szczególnie jej mężowi, pod groźbą utraty posady.

Ostatnim zadaniem pani Trentham, które musiała wykonać tego wieczora i to jeszcze przed powrotem męża, był telefon na miejscowy posterunek policji. Zgłoszenie kradzieży przyjął posterunkowy Wrigley.

Podczas kilku tygodni oczekiwania na list od syna pani Trentham bynajmniej nie zachowywała się biernie. W dzień po wypłynięciu Guya do Australii złożyła jedną ze swych regularnych wizyt w hotelu Św. Agnieszki, niosąc pod pachą zapakowany obraz.

Wręczyła swój skarb Harrisowi, a potem udzieliła mu wyczerpujących i szczegółowych instrukcji.

W dwa dni później detektyw poinformował ją, że portret Madonny z Dzieciątkiem zdeponowany został w lombardzie Bentleya, któremu nie wolno go sprzedać przed upływem co najmniej pięciu lat, czyli przed terminem umieszczonym na kwicie zastawnym. Na dowód prawdziwości swych słów wręczył jej fotografię obrazu oraz kwit z lombardu. Pani Trentham schowała kwit, ale nie zadała sobie tyle trudu, by spytać Harrisa, co zrobił z pięcioma funtami, które pożyczono mu pod zastaw obrazu.

- Dobrze - powiedziała, kładąc torebkę na oparciu fotela. - W gruncie rzeczy znakomicie.

- Czy życzy pani sobie, abym wskazał właściwemu pracownikowi Scotland Yardu trop prowadzący do Bentleya? - spytał Harris.

- Ależ bynajmniej - odparła pani Trentham. - Chcę, żeby przeprowadził pan drobne śledztwo dotyczące tego obrazu, zanim ktokolwiek inny zobaczy go na oczy, a jeśli moje informacje okażą się

ściśle, zostanie on wystawiony na widok publiczny dopiero podczas aukcji organizowanej przez firmę Sotheby's.

ROZDZIAŁ 24

- Dzień dobry pani. Przepraszam, że panią niepokoję moją wizytą.

- Nic nie szkodzi - odparła pani Trentham oficerowi policji, którego Gibson zaanonsował jako inspektora Richardsa.

- W gruncie rzeczy to nie pani chciałem zabierać czas - mówił dalej oficer. - Miałem nadzieję zobaczyć się z pani synem, kapitanem Guyem Trenthamem.

- W takim razie czeka pana długa podróż, inspektorze.

- Nie bardzo rozumiem, co ma pani na myśli.

- Mój syn - odparła pani Trentham - prowadzi interesy naszej rodziny w Australii, gdzie jest współnikiem dużej firmy handlującej bydłem.

Richards nie potrafił ukryć zaskoczenia. - A od jak dawna nie ma go w kraju, proszę pani?

- Od dłuższego czasu, panie inspektorze.

- Czy mogłaby pani określić to dokładniej?

- Kapitan Trentham wyjechał z Anglii do Indii w lutym 1920, gdzie miał stacjonować ze swym pułkiem aż do końca ustalonego okresu służby. Jak pan może wie, otrzymał Krzyż Wojenny za udział w drugiej bitwie nad Marną. - Pani Trentham skinęła głową w kierunku obudowy kominka. Na inspektorze wiadomość ta zrobiła odpowiednie wrażenie. - Oczywiście nie zamierzał pozostać w armii, bo dawno już ustaliliśmy, że spędzi jakiś czas w koloniach, a potem wróci do kraju, by zarządzać naszymi majątkami w Berkshire.

- Ale czy wrócił do Anglii przed objęciem swego stanowiska w Australii?

- Niestety nie, panie inspektorze - odparła pani Trentham. - Gdy tylko zrezygnował ze służby, pojechał wprost do Australii, by podjąć swe nowe obowiązki. Mój mąż, który jak pan z pewnością wie, jest członkiem parlamentu z okręgu Berkshire West, będzie w stanie podać panu dokładne daty.

- Nie sądzę, by zabieranie mu czasu w związku z tą sprawą było konieczne, proszę pani.

- A dlaczego, jeśli mogę spytać, chciał się pan widzieć z moim synem?

- Prowadzimy dochodzenie w związku z kradzieżą pewnego obrazu, do jakiej doszło w Chelsea.

Pani Trentham nie skomentowała tej informacji, więc inspektor mówił dalej: - Jakiś człowiek, którego rysopis odpowiada rysopisowi pani syna, widziany był niedaleko miejsca przestępstwa. Miał na sobie stary wojskowy płaszcz. Liczyliśmy więc na to, że będzie w stanie dopomóc nam w śledztwie.

- A kiedy popełniono to przestępstwo?

- We wrześniu ubiegłego roku, proszę pani, ale ponieważ obraz dotąd się nie odnalazł, śledztwo nadal jest w toku. - Pani Trentham wysłuchawszy tej informacji pochyliła lekko głowę i z uwagą

chłonęła jego słowa. - Ale dano nam do zrozumienia, że właściciel nie złoży skargi, więc domyślam się, iż wkrótce zostanie ono umorzone.

Czy to jest pani syn? - Inspektor wskazał stojącą na stoliku fotografię przedstawiającą Guya w pełnym umundurowaniu galowym.

- Tak, panie inspektorze.

- Podany nam rysopis niezupełnie do niego pasuje - stwierdził policjant, wyraźnie zdezorientowany. - Tak czy owak, jak pani mówi, musiał być w tym czasie w Australii. Niepodważalne alibi. - Inspektor uśmiechnął się pojednawczo, ale pani Trentham nie zmieniła wyrazu twarzy.

- Nie sugeruje pan chyba, że mój syn miał jakikolwiek związek z tą kradzieżą? - spytała lodowatym tonem.

- Oczywiście, że nie, proszę pani. Ale w nasze ręce wpadł pewien płaszcz, który, jak dowiedzieliśmy się w firmie Gieves z Savile Row, uszyty został dla kapitana Trenthama. Kiedy go znaleźliśmy, miał go na sobie pewien stary żołnierz, który...

- A zatem znaleźliście również złodzieja - z irytacją stwierdziła pani Trentham.

- To niezbyt prawdopodobne, proszę pani. Widzi pani, ten żołnierz ma tylko jedną nogę.

Pani Trentham nadal nie okazywała większego zainteresowania.

- Więc proponuję, żeby zatelefonował pan na posterunek w Chelsea; jestem pewna, że tamtejsi policjanci będą w stanie rzucić na sprawę dodatkowe światło.

- Ależ ja jestem właśnie pracownikiem komisariatu w Chelsea - odparł inspektor, jeszcze bardziej zdezorientowany.

Pani Trentham wstała z kanapy, podeszła bez pośpiechu do biurka, otworzyła szufladę i wyjęła z niej kartkę papieru. Podała ją inspektorowi. Zaczął czytać i po chwili wyraźnie się zaczerwienił.

Kiedy skończył, oddał kartkę pani Trentham.

- Bardzo panią przepraszam. Nie miałem pojęcia o tym, że zgłosiła pani kradzież płaszcza tego samego dnia. Porozmawiam z młodym posterunkowym Wrigleyem, gdy tylko wrócę do komisariatu. - Pani Trentham nie zareagowała na zażenowanie policjanta. - No cóż, nie będę zabierał pani więcej czasu. Sam trafię do wyjścia.

Pani Trentham poczekała, dopóki do jej uszu nie dobiegł trzask zamykanych drzwi, a potem podeszła do telefonu i poprosiła o połączenie z pewnym numerem w Paddington.

Wydała detektywowi kolejne polecenie, a potem odłożyła słuchawkę.

Pani Trentham dowiedziała się, że Guy dotarł bezpiecznie do Australii, gdy bank Coutts and Company powiadomił ją o realizacji czeku w jednym z oddziałów na terenie Sydney. Obiecany list do ojca nadszedł w sześć tygodni później. Kiedy Gerald przekazał żonie jego treść, donosząc, że Guy rozpoczął pracę w firmie handlującej bydłem, udała zaskoczenie tak nietypowym dla niego postępowaniem, ale jej mąż i tak nie wydawał się szczególnie zainteresowany całą sprawą.

Nadchodzące w ciągu następnych miesięcy raporty Harrisa dowodziły, że nowo powstała firma Trumper i spółka kroczy od sukcesu do sukcesu, ale pani Trentham nadal uśmiechała się na wspomnienie dnia, w którym za cenę zaledwie czterech tysięcy funtów zahamowała ekspansję Charlesa Trumpera.

Ten sam uśmiech powrócił na jej twarz w jakiś czas później, kiedy dowiedziała się z listu od pośrednika nazwiskiem Savill, że ma okazję narazić Rebeke Trumper na takie samo rozczarowanie, na jakie udało jej się w przeszłości narazić jej męża, choć tym razem cena sukcesu może być nieco

wyższa. Sprawdziwszy stan swego konta bankowego, upewniła się, że posiadane środki umożliwią jej realizację zamierzonego celu.

W ciągu minionych lat Savill informował panią Trentham o wszystkich wystawionych na sprzedaż sklepach przy Chelsea Terrace, ale ona nie próbowała uniemożliwić Trumperowi ich kupna, uważała bowiem, że nabywając budynek mieszkalny i tak przekreśliła jego wszelkie długofalowe plany dotyczące całego odcinka ulicy. Kiedy jednak przysłano jej szczegółowe informacje dotyczące numeru 1, przekonała się, że tym razem okoliczności są całkowicie odmienne. Był to nie tylko lokal narożny, wychodzący częściowo na Fulham Road i nie tylko największy sklep na całej uliczce; mieścił on również znaną, choć nieco podupadłą firmę antykwaryczną i aukcyjną. Było jasne, że pani Trumper zechce wykorzystała w niej umiejętności nabyte w Bedford College, a potem w firmie Sotheby's.

Do warunków sprzedaży dołączony był list z zapytaniem, czy pani Trentham życzy sobie, by firma reprezentowała ją podczas aukcji, którą przeprowadzi osobiście pan Fothergill, obecny właściciel nieruchomości.

Odpisała tego samego dnia, dziękując za tę propozycję i oznajmiając, że woli sama wziąć udział w licytacji. Poprosiła też o poinformowanie jej, jaką cenę - według oceny Savilla - może uzyskać za ten lokal jego sprzedawca.

Odpowiedź pośrednika handlu nieruchomościami zawierała szereg zastrzeżeń i przypuszczeń, uważał on bowiem, że lokalizacja sklepu czyni zeń obiekt o szczególnym charakterze. Zaznaczył też, że nie potrafi wycenić wchodzących w skład inwentarza ruchomego dzieł sztuki. Wyznaczył jednak górną granicę, która jego zdaniem znajdowała się na poziomie czterech tysięcy funtów.

W ciągu następnych tygodni pani Trentham regularnie zasiadała w ostatnim rzędzie sali aukcyjnej firmy Christie's i obserwowała w milczeniu odbywające się tam licytacje. Sama ani razu nie kiwnęła głową, ani nie uniosła ręki. Chciała się upewnić, że kiedy nadejdzie czas podbijania stawki, będzie dobrze obznajomiona z protokołem tego rodzaju wydarzeń.

W dniu aukcji numeru 1 pani Trentham wkroczyła do sali w długiej, ciemnoczerwonej sukni, której tren ciągnął się po ziemi.

Wybrała miejsce w trzecim rzędzie i zasiadła na krześle dwadzieścia minut przed rozpoczęciem aukcji. Wodząc wzrokiem po sali, obserwowała wejście i rozmieszczenie innych potencjalnych nabywców. Pan Wrexall zjawił się w kilka minut po niej i zajął miejsce w środku pierwszego rzędu. Wydawał się posępny, ale zdecydowany. Wyglądał dokładnie tak, jak opisał go Harris: był tęgim, łysiejącym czterdziestokilkuletnim mężczyzną. Pani Trentham uznała, że tak znaczna nadwaga wyraźnie go postarza. Miał ciemne plamy na twarzy, a kiedy pochylał głowę, widać było kilka podbródków. Obserwując go doszła do wniosku, że gdyby nie udało jej się kupić numeru 1, powinna spotkać się z panem Wrexhallem, gdyż może to przynieść pewne korzyści obu stronom.

Dokładnie o dziewiątej pięćdziesiąt pułkownik Hamilton i jego dwaj koledzy przeszli między rzędami krzeseł i zajęli wolne miejsca tuż za panią Trentham. Zerknęła na niego, ale on nie dał po sobie poznać, że ją dostrzega. O dziewiątej pięćdziesiąt nadal nie było na sali ani Trumpera, ani jego żony.

Savill uprzedził panią Trentham, że Trumpera może reprezentować jakiś wynajęty agent, ale na podstawie informacji, jakie zebrała o Charlie'm w ciągu minionych lat, nie przypuszczała, by zezwolił on komukolwiek na licytowanie w jego imieniu. I nie pomyliła się, gdyż kiedy stojący za podium zegar wskazał godzinę dziewiątą pięćdziesiąt pięć, wkroczył on na salę. Choć był o kilka lat

starszy niż człowiek widniejący na trzymanej przez nią w ręku fotografii, nie ulegało wątpliwości, że to Charlie Trumper. Miał na sobie eleganckie, dobrze skrojone ubranie, maskujące jego problemy z utrzymaniem wagi. Uśmiechał się przez cały czas, a ona pomyślała, że niebawem zetrze ten uśmiech z jego twarzy. Robił wrażenie człowieka, który chce, aby wszyscy dostrzegli jego wejście; ścisnęła dłoń kilku osobom i pogawędził z nimi, a potem zajął zarezerwowane miejsce tuż obok przejścia o jakieś cztery rzędy za nią. Pani Trentham ustawiła swe krzesło w taki sposób, by mogła obserwować zarówno Trumpera, jak i licytatora, nie odwracając nieustannie głowy.

Nagle Trumper wstał i ruszył w głąb sali, tylko po to, by wziąć ze stojącego przy wejściu stolika katalog aukcji, a potem wrócić na swoje dawne miejsce obok przejścia. Pani Trentham podejrzewała, że dokonał on tego manewru w jakimś konkretnym celu. Zlustrowała wszystkie rzędy i choć nie dostrzegła nic niepokojącego, poczuła się lekko zdenerwowana.

Kiedy pan Fothergill wspiął się po stopniach na podium dla licytatora, sala była już pełna. Ale choć niemal wszystkie miejsca były zajęte, pani Trentham nadal nie widziała wśród zebranych Rebeki Trumper.

Od chwili, w której pan Fothergill wezwał do podbijania ceny, przebieg aukcji nie był zgodny z przewidywaniami czy planami pani Trentham. Wszystkie doświadczenia zebrane w ciągu ubiegłego miesiąca w firmie Christie's nie przygotowały jej na rezultat końcowy, a mianowicie na to, że w sześć minut później pan Fothergill oznajmił: - Ogłaszam, że obiekt został sprzedany za dwanaście tysięcy funtów pani Geraldowej Trentham.

Była niezadowolona, że wystawiła się w ten sposób na widok publiczny, mimo że kupiła piękną galerię sztuki i mimo satysfakcji, jaką sprawiło jej zadanie ciosu Rebecce Trumper. Zdawała sobie jednak sprawę z wysokości kosztów i nie była nawet pewna, czy ma na specjalnym koncercie dość pieniędzy, by wpłacić całą należność.

Po osiemdziesięciu dniach rozważań, podczas których brała pod uwagę możliwość poproszenia o brakującą sumę męża, a nawet ojca, postanowiła w końcu poświęcić wadium w wysokości tysiąca dwustu funtów, wycofać się i zrezygnować z kupna. W przeciwnym wypadku musiałaby wtajemniczyć swego męża w szczegóły wydarzeń, do jakich doszło tego dnia na Chelsea Terrace pod numerem pierwszym.

Miała jednak przynajmniej jedną satysfakcję; wiedziała, że kiedy nadejdzie czas sprzedaży skradzionego obrazka, nie będzie musiała korzystać z usług firmy Sotheby's.

W ciągu następnych miesięcy pani Trentham regularnie otrzymywała listy od syna, wysyłane najpierw z Sydney, a potem z Melbourne i zawierające informacje o jego postępach. Często zawarte były w nich prośby o przysłanie dalszych sum pieniędzy.

Guy tłumaczył jej, że im bardziej rozrasta się spółka, tym bardziej potrzebuje kapitału, by zachować swój procent udziałów. W sumie w ciągu czterech lat popłynęło przez Pacyfik do banku w Sydney przeszło sześć tysięcy funtów, których zresztą pani Trentham wcale nie żałowała, gdyż była zadowolona, że jej synowi tak świetnie idzie w nowym zawodzie. Była też przekonana, że kiedy uda jej się zdemaskować Trumpera jako złodzieja i kłamcę, jej syn będzie mógł wrócić do Anglii, odzyskawszy dobrą opinię nawet w oczach swego ojca.

Ale właśnie wtedy, kiedy zaczęła zastanawiać się, czy nie powinna już przystąpić do realizacji następnego etapu swego planu, otrzymała nagle telegram z Melbourne. Nadawca tego oficjalnego zawiadomienia postawił panią Trentham w sytuacji, w której nie miała wyboru; musiała natychmiast wyruszyć do tego odległego miasta.

Gdy tegoż dnia, podczas kolacji, powiadomiła męża o swym zamiarze wypłynięcia najbliższym statkiem na antypody, przyjął to z uprzejmą obojętnością. Pani Trentham nie była zaskoczona, gdyż jej mąż, od czasu wizyty, którą złożył cztery lata wcześniej w Ministerstwie Wojny, rzadko wspominał o Guyu. W istocie jedynymi śladami istnienia pierworodnego syna, jakie zachowały się w obu rezydencjach, była jego fotografia w galowym mundurze, stojąca na jej nocnym stoliku, oraz Krzyż Wojenny, który Gerald zgodził się pozostawić na kominku.

Gerald uważał, że jego jedynym dzieckiem jest Nigel.

Pan Trentham dobrze wiedział, że jego żona opowiada wszystkim przyjaciółom o sukcesach, które odnosi Guy jako współwłaściciel wielkiej firmy handlującej bydłem i posiadającej filie na całym obszarze Australii. Osobiście dawno przestał wierzyć w tego rodzaju historie, a ostatnio przestał nawet ich słuchać. Kiedy do skrzynki na listy wpadała koperta, zaadresowana znanym mu aż nadto dobrze charakterem pisma, nie pytał nawet o postępy starszego syna.

Najbliższym statkiem mającym płynąć do Australii był SS "Orontes", który opuszczał Southampton już w poniedziałek. Pani Trentham zatelegrafowała do Melbourne pod podany jej adres, by poinformować nadawcę depeszy o przewidywanym terminie swego przyjazdu. - Pięcioletni podróż przez ocean dłużyła jej się w nieskończoność, zwłaszcza że spędzała większość czasu w swej kabinie, nie chcąc zawierać przypadkowych znajomości, albo co gorsza, spotkać kogoś, kto mógłby ją rozpoznać. Odrzuciła szereg zaproszeń na uroczyste kolacje przy kapitańskim stole.

Gdy statek przybił do Sydney, pani Trentham odpoczęła w tym mieście tylko przez jedną noc, a następnie wyruszyła do Melbourne.

Wysiadła na dworcu Spencer Street Station i pojechała taksówką wprost do szpitala Royal Victoria, w którym dyżurna pielęgniarka poinformowała ją rzeczowym tonem, że jej synowi pozostał tylko tydzień życia.

Pozwolono jej natychmiast się z nim zobaczyć, więc oficer policji zaprowadził ją do specjalnego, odizolowanego skrzydła budynku.

Stała przy jego łóżku, patrząc z niedowierzaniem na twarz, którą z trudem potrafiła rozpoznać. Włosy Guya były tak rzadkie i siwe, a zmarszczki na jego twarzy tak głębokie, że miała wrażenie, iż stoi przy łożu śmierci swego męża.

Lekarz powiedział jej, że jego pacjenci często wpadają w taki stan, kiedy usłyszą wyrok i zdadzą sobie sprawę z braku nadziei na ułaskawienie. Stała w nogach łóżka przez niemal godzinę, ale nie udało jej się wydobyć z syna ani jednego słowa. Zachowała jednak kamienny wyraz twarzy, nie chcąc ujawniać swych uczuć przed członkami szpitalnego personelu.

Tego wieczora pani Trentham wprowadziła się do spokojnego wiejskiego klubu na przedmieściach Melbourne. Zadała właścicielowi, młodemu imigrantowi o nazwisku Sinclair-Smith, tylko jedno pytanie, a potem udała się do swego pokoju.

Następnego ranka zjawiła się w biurze najstarszej firmy adwokackiej w Melbourne: Asgarth, Jenkins and Company. Młody człowiek, który wydał jej się stanowczo zbyt spoufalcony, spytał: - Na czym polega pani problem?

- Chcę porozmawiać ze starszym wspólnikiem firmy - odparła pani Trentham.

- W takim razie będzie pani musiała posiedzieć w poczekalni - oznajmił.

Czekała przez jakiś czas samotnie, dopóki pan Asgarth - nie znalazł czasu, by ją przyjąć.

Pan Asgarth, starszy mężczyzna, którego strój mógł sugerować, że prowadzi praktykę adwokacką

w jakiejś prowincjonalnej miejscowości, a nie na Victoria Street w Melbourne, wysłuchał w milczeniu jej smutnej opowieści i obiecał zająć się problemami, jakie mogą się wyłonić w trakcie zarządzania masą spadkową po jej synu. Zobowiązał się w związku z tym do natychmiastowego wystąpienia o zezwolenie na transport ciała do Anglii.

Pani Trentham odwiedzała syna w szpitalu codziennie, przez cały tydzień, aż do dnia jego śmierci. Choć niewiele z sobą rozmawiali, dowiedziała się o jeszcze jednej sprawie, którą będzie musiała załatwić przed powrotem do Anglii.

W środę po południu ponownie odwiedziła biura firmy Asgarth, Jenkins and Company, aby zasięgnąć rady pana Asgartha i spytać go, co można zrobić w związku z jej niedawno dokonany odkryciem. Prawnik posadził ją na krześle i uważnie wysłuchał jej relacji. Od czasu do czasu zapisywał coś w leżącym przed nim notatniku. Kiedy pani Trentham skończyła, przez dłuższy czas nie wyrażał swej opinii.

- Wymagałoby to zmiany nazwiska - powiedział w końcu. - Jeśli nie chce pani, by ktokolwiek inny odkrył, do czego pani zmierza.

- Musimy też mieć pewność, że również w przyszłości nikomu nie uda się ustalić, kto był jej ojcem - dodała pani Trentham.

Stary prawnik zmarszczył brwi. - A zatem musi pani zdobyć się na wielkie zaufanie wobec... - odczytał nazwisko ze swych notatek - wobec panny Benson.

- Proszę zapłacić panie Benson tyle, ile wymagać będzie nakłonienie ją do milczenia - poleciła pani Trentham. - Wszystkie sprawy finansowe załatwi londyński bank Coutts.

Pan Asgarth kiwnął głową i siedząc przy swoim biurku niemal do północy przez najbliższe cztery dni zdołał skompletować wszystkie wymagane przez swą klientkę dokumenty na kilka godzin przed planowanym wyjazdem pani Trentham do Londynu.

Guy Trentham został uznany za zmarłego przez dyżurnego lekarza o godzinie szóstej trzy rano w dniu 23 kwietnia 1927, a następnego dnia pani Trentham rozpoczęła swą smutną drogę powrotną do Anglii, w której towarzyszyła jej trumna z jego zwłokami. Pocieszała ją myśl, że tylko dwie osoby na kontynencie australijskim wiedzą tyle, co ona; starszy gentleman, którego tylko miesiące dzieli od emerytury, i pewna kobieta, która będzie mogła spędzić resztę życia w luksusie, o jakim kilka dni wcześniej nie mogła nawet marzyć.

Pani Trentham wysłała do męża depeszę, w której zawarła minimum niezbędnych jej zdaniem informacji, a potem wypłynęła do Southampton równie dyskretnie i anonimowo jak przybyła. Gdy tylko postawiła stopę na angielskim brzegu, została zawieziona wprost do swego domu na Chester Square. Zrelacjonowała mężowi szczegóły tragedii, a on zgodził się - acz niechętnie - umieścić następnego dnia w dzienniku "The Times" nekrolog o następującej treści: „Kapitan Guy Trentham, kawaler Krzyża Wojennego, zmarł tragicznie na gruźlicę po długiej i ciężkiej chorobie. Pogrzeb odbędzie się w kościele Najświętszej Marii Panny w Ashurst, w hrabstwie Berkshire, we wtorek, 8 czerwca 1927.”

Nabożeństwo pogrzebowe odprawił miejscowy pastor. Zapewnił zebranych, że śmierć zmarłego była tragedią dla wszystkich, którzy go znali.

Guy Trentham został pochowany w kwaterze zarezerwowanej dla jego ojca. Major Trentham z żoną, krewni, przyjaciele rodziny, wierni z parafii i służący opuścili cmentarz z nisko opuszczonymi głowami.

W ciągu następnych dni pani Trentham otrzymała ponad sto listów z kondolencjami; autorzy

jednego czy dwóch spośród nich podkreślali, że może pocieszyć się świadomością posiadania drugiego syna, który na pewno zajmie miejsce Guya.

Następnego dnia fotografia Nigela zastąpiła stojący dotąd na nocnym stoliku pani Trentham portret jego starszego brata.

CHARLIE 1926-1945

ROZDZIAŁ 25

Usłyszałem po raz pierwszy opinię Toma Arnolda, kiedy szedłem z nim wzdłuż Chelsea Terrace, dokonując jak zwykle w poniedziałek porannego obchodu sklepów.

- Nigdy do tego nie dojdzie - powiedziałem.

- Być może ma pan rację, sir, ale liczni właściciele sklepów już teraz zaczynają wpadać w panikę.

- Banda tchórzy - stwierdziłem. - Mamy już niemal milion bezrobotnych, więc tylko garstka durniów może być na tyle głupia, by rozważać możliwość strajku generalnego.

- Być może, ale Stowarzyszenie Właścicieli Sklepów radzi swym członkom zabić okna deskami.

- Syd Wrexall doradzałby swym członkom zabicie okien deskami, nawet gdyby pekińczyk oparł nogę o drzwi frontowe "Muskietera". Nie musiałby nawet ich obsikać.

Na ustach Toma pojawił się lekki uśmiech. - A więc jest pan przygotowany do walki, panie Trumper?

- Jasne, że jestem. W tej sprawie popieram całkowicie pana Churchilla. - Zatrzymał się, by zerknąć na wystawę sklepu z kapeluszami i szalikami. - Ile osób aktualnie zatrudniamy?

- Siedemdziesiąt jeden.

- A ile z nich twoim zdaniem rozważa możliwość udziału w strajku?

- Myślę, że pół tuzina, najwyżej dziesięć, w każdym razie wyłącznie członkowie Związku Pracowników Handlu. Ale możemy mieć problem z ludźmi, którym nie będzie łatwo dotrzeć do pracy ze względu na strajk komunikacji miejskiej.

- Więc podaj mi dziś wieczorem nazwiska wszystkich pracowników, co do których masz wątpliwości, a ja porozmawiam z każdym 21 - Prosto jak strzelił z nich w ciągu tego tygodnia. Może przynajmniej uda mi się przekonać jednego czy dwóch, że na dłuższą metę powinni wiązać swą przyszłość z naszą firmą.

- Ale jak wyglądać będzie na dłuższą metę przyszłość firmy, jeśli dojdzie do tego strajku?

- Kiedy wbijesz sobie do głowy, Tom, że nie może się zdarzyć nic, co zaszkodziłoby firmie Trumper?

- Syd Wrexall myśli...

- Zapewniam cię, że jest to jedyna rzecz, której Syd Wrexall nie robi.

- ...myśli, że w ciągu najbliższego miesiąca co najmniej trzy sklepy zostaną wystawione na sprzedaż, a jeśli dojdzie do strajku generalnego, może się nagle okazać, że wszystkie będą do kupienia.

Górnicy przekonują...

- Nie przekonają Charlesa Trumpera - powiedziałem mu. - Więc daj mi znać, gdy tylko usłyszysz o kimś, kto chce sprzedać sklep, ponieważ ja nadal zamierzam je kupować.

- Mimo że wszyscy inni sprzedają?

- Wtedy właśnie powinno się kupować - odparłem. - Trzeba wsiadać do tramwaju wtedy, kiedy wszyscy inni z niego wysiadają.

Więc podaj mi te nazwiska, Tom. A teraz muszę iść do banku. - I ruszyłem w kierunku Knightsbridge.

W zaciszu swego nowego biura przy Old Brompton Road, Hadlow poinformował mnie, że firma Trumper ma aktualnie na koncie nieco ponad dwanaście tysięcy funtów, i uznał to za wystarczające zabezpieczenie na wypadek strajku generalnego.

- A więc pan też! - zawołałem z irytacją. - Do tego strajku nigdy nie dojdzie. A jeśli nawet dojdzie, to przepowiadam, że skończy się w ciągu kilku dni.

- Tak jak ostatnia wojna? - spytał Hadlow, patrząc na mnie zza swych binokli. - Jestem z natury człowiekiem ostrożnym, panie Trumper...

- A ja nie - przerwałem mu. - Więc niech pan będzie przygotowany na to, że zrobię dobry użytek z tej gotówki.

- Już odłożyłem połowę tej sumy, na wypadek gdyby pani Trentham zrezygnowała z kupna numeru 1 - przypomniał mi Hadlow. - Ma jeszcze... - odwrócił się, by zerknąć na ścienny kalendarz - ...pięćdziesiąt dwa dni.

Więc proponuję, żebyśmy właśnie w tym okresie zachowali zimne nerwy.

- Nierozsądne byłoby pójście na pełne ryzyko, bo rynek może się załamać. Czy nie zgadza się pan ze mną, panie Trumper?

- Nie, nie zgadzam się, i właśnie dlatego jestem... - zacząłem i zatrzymałem się w porę, nie ujawniając swojego prawdziwego zdania.

- Istotnie - potwierdził Hadlow, sprawiając, że poczułem się jeszcze bardziej speszony. - I właśnie dlatego popierałem pana bez zastrzeżeń w przeszłości - dodał wielkodusznie.

W miarę mijania kolejnych dni musiałem przyznać, że strajk generalny wydaje się coraz bardziej prawdopodobny. Atmosfera niepewności i brak wiary w przyszłość sprawiły, że kolejne sklepy zostały wystawione na sprzedaż.

Kupiłem dwa pierwsze za bezcen, pod warunkiem, że transakcja zostanie zawarta natychmiast i dzięki pośpiechowi, z jakim Crowther załatwił formalności a Hadlow upłynnił gotówkę, udało mi się wzbogacić mój stan posiadania o sklep z butami, a potem o aptekę.

Kiedy strajk generalny w końcu się rozpoczął - we wtorek, 4 maja 1926 - obaj z pułkownikiem byliśmy na ulicy już o pierwszym brzasku. Obeszliśmy wszystkie nasze lokale, poczynając od północnego narożnika ulicy, a kończąc na południowym. Członkowie stowarzyszenia Syda Wrexalla zabili już swe sklepy deskami, co uważałem za kapitulancję wobec strajkujących. Zaakceptowałem jednak plan pułkownika opatrzony kryptonimem "operacja zamek" i polegający na tym, że na dany przeze mnie sygnał Tom Arnold mógł zamknąć i zaryglować wszystkie trzynaście sklepów w ciągu trzech minut. W poprzednią sobotę obserwowałem wraz z grupą rozbawionych przechodniów kilkakrotnie przeprowadzane przez Toma "ćwiczenia próbne".

Choć w pierwszym dniu strajku panowała piękna pogoda, a ulice były zatłoczone, poleciłem personelowi sklepów pod numerami 147 i 131 nie wykladać na chodniki artykułów żywnościowych, ale było to moje jedyne ustępstwo na rzecz demonstrantów.

O ósmej Tom Arnold powiadomił mnie, że pomimo korków ulicznych, powodujących wielogodzinne opóźnienia komunikacji miejskiej, brakuje tylko pięciu naszych pracowników, z których jeden jest autentycznie chory.

Pułkownik i ja, chodząc po Chelsea Terrace, bywaliśmy od czasu do czasu obrzucani obelżywymi epitetami, ale nie wyczuwałem nastroju prawdziwej agresji i muszę przyznać, że większość ludzi zachowywała zaskakującą - w tych okolicznościach - pogodę ducha. Niektórzy z młodych chłopców zaczęli nawet grać na jezdni w piłkę nożną.

Pierwszym objawem narastającej agresji była cegła wrzucona następnego ranka przez okno wystawowe sklepu z biżuterią i zegarkami pod numerem 5. Widziałem dwóch czy trzech młodych łobuzów, którzy zgarnęli, co mogli, z wystawy i uciekli w głąb ulicy.

Podniecony tłum zaczął skandować hasła, więc dałem sygnał Tomowi Arnoldowi, który stał na trotuarze o jakieś pięćdziesiąt jardów ode mnie, a on natychmiast sześciokrotnie dmuchnął w gwizdek. W ciągu przewidzianych przez pułkownika trzech minut wszystkie nasze sklepy zostały zamknięte i zaryglowane. Stałem na miejscu obserwując wkroczenie policji, która aresztowała kilku demonstrantów. Choć atmosfera nadal była napięta, już po godzinie kazałem Tomowi ponownie otworzyć sklepy i obsługiwać klientów, tak jakby nic nie zaszło. W ciągu trzech godzin zmieniono wystawę sklepu pod numerem 5, eksponując na niej narzędzia - nie był to poranek sprzyjający kupowaniu biżuterii.

W czwartek nieobecni byli tylko trzej nasi pracownicy, ale dostrzegłem na Chelsea Terrace cztery dalsze zabite deskami sklepy. Na ulicach zdawał się panować znacznie większy spokój.

Podczas pospiesznego śniadania dowiedziałem się od Becky, że nie dostaniemy dziś egzemplarza "Timesa", ponieważ strajkują drukarze, ale rząd na wniosek pana Churchilla zaczął wydawać własny konkurencyjny dziennik, "British Gazette", który informował czytelników o masowym powrocie do pracy kolejarzy i transportowców. Mimo to Norman Cosgrave, właściciel sklepu rybnego spod numeru 11, powiedział mi, że ma już dość, i spytał, ile gotów jestem zapłacić za jego lokal. Ustaliwszy z rana cenę, poszliśmy po południu do banku, aby sfinalizować transakcję. Zatelefonowałem do Crowthera, polecając mu napisać na maszynie niezbędne dokumenty, a Hadlow wypełnił czek jeszcze przed naszym przyjściem, więc potrzebny był tylko mój podpis. Wróciwszy na Chelsea Terrace natychmiast kazałem Tomowi Arnoldowi objąć nadzór nad sklepem rybnym, dopóki nie znajdzie odpowiedniego kierownika na miejsce Cosgrave'a. Nie uprzedziłem, co go czeka, ale pozbył się uporczywego zapachu ryb dopiero w kilka tygodni po przekazaniu sklepu młodemu człowiekowi sprowadzonemu z Billingsgate.

Strajk generalny skończył się oficjalnie dziewiątego dnia rano, a ja do końca tego miesiąca kupiłem w sumie siedem nowych sklepów. Miałem wrażenie, że bez przerwy biegam do banku i z powrotem, ale każdy z nich nabyty został za cenę, która wywoływała uśmiech Hadlowa, choć ostrzegał mnie on stale, że nasze fundusze się kończą.

Podczas następnego posiedzenia rady nadzorczej mogłem poinformować jej członków, że firma jest właścicielem dwudziestu sklepów na Chelsea Terrace, co przewyższało stan posiadania wszystkich członków Stowarzyszenia Kupców. Hadlow wyraził opinię, że powinniśmy teraz rozpocząć długi proces konsolidacji, jeśli chcemy, aby nasze nowo nabyte placówki osiągnęły poziom i jakość poprzednich trzynastu. Ja zgłosiłem na tym posiedzeniu drugi ważny wniosek, który został jednogłośnie przyjęty przez moich kolegów: zaproponowałem, by dokooptować do składu rady Toma Arnolda.

Nadal nie mogłem się oprzeć pokusie zasiadania co jakiś czas na godzinę na stojącej naprzeciwko numeru 147 ławce i obserwowania dokonującej się na moich oczach transformacji Chelsea Terrace. Po raz pierwszy umiałem rozróżnić lokale, które były moją własnością od tych, które dopiero zamierzałem kupić: czternastu sklepów należących do członków stowarzyszenia Wrexalla, baru "Muszkieter" i prestiżowej galerii pod numerem 1.

Od czasu aukcji minęły już siedemdziesiąt dwa dni, ale choć pan Fothergill nadal regularnie kupował owoce i jarzyny w moim sklepie pod numerem 147, nigdy ani słowem nie dał mi do poznania, czy pani Trentham wypełniła swoją część umowy. Joan Moore poinformowała moją żonę, że pan Fothergill odwiedził niedawno jej byłą panią, i choć kucharka nie słyszała przebiegu rozmowy, do jej uszu dobiegały wyraźnie podniesione głosy.

Kiedy w następnym tygodniu odwiedziła mnie w sklepie Daphne, zapytałem, czy ma jakieś poufne wieści dotyczące planów pani Trentham.

Przestań się niepokoić tą przeklętą babą - to wszystko, co miała na ten temat do powiedzenia. - Tak czy owak - dodała - dziewięćdziesiąt dni minie niebawem, a ty, szczerze mówiąc, bardziej powinieneś się martwić o swoją Część Drugą niż o finansowe problemy pani Trentham.

- Zgoda. Ale jeśli będę posuwał się naprzód w tym tempie, nie osiągnę swych zamierzeń przed następnym rokiem - odparłem, wybierając dla niej tuzin najładniejszych śliwek i kładąc je na wadze.

- Ty się zawsze tak strasznie spieszysz, Charlie. Dlaczego musisz kończyć wszystko w ustalonym terminie?

- Bo to mnie dopinguje do działania.

- Ale przecież twoje osiągnięcie zrobi na Becky równie wielkie wrażenie, jeśli uda ci się skończyć o rok później.

- To nie byłoby to samo - powiedziałem. - Będę po prostu musiał włożyć w to więcej pracy.

- Przecież doba ma tylko określoną liczbę godzin - przypomniała mi Daphne. - Nawet twoja doba.

- No cóż, to nie moja wina.

Daphne roześmiała się. - Jak idzie Becky praca o Luinim?

- Już ją skończyła. Teraz musi tylko zrobić korektę ostatniej wersji, liczącej trzydzieści tysięcy słów, więc nadal mnie wyprzedza. Ale przez ten strajk generalny, podczas którego byłem zajęty kupowaniem nowych lokali, nie wspominając już o pani Trentham, nie miałem nawet tyle czasu, by zabrać Daniela w tym sezonie choćby na jeden mecz West Ham. - Zacząłem wkładać zakupy do jej dużej brązowej papierowej torby.

- Czy Becky już odkryła, czym się zajmujesz?

- Nie, a ja znikam na dobre tylko wtedy, kiedy ona pracuje do późna w firmie Sotheby's albo jest w terenie i kataloguje jakąś wielką kolekcję. Nadal nie zauważyła, że wstaję co rano o czwartej trzydzieści, a wtedy właśnie mogę naprawdę popracować. - Podałem jej torbę ze śliwkami oraz siedem szylingów i dziesięć pensów reszty.

- Zachowujesz się zupełnie jak Trollope, co? Nawiasem mówiąc, ja też nie zdradziłam Percy'emu naszej tajemnicy, ale nie mogę się doczekać ich min, kiedy...

- Ćśśś, ani słowa."

To zabawne, jak coś, o co walczymy przez dłuższy czas, wpada nam tak często samo w ręce, i to w momencie, w którym najmniej się tego spodziewamy.

Tego ranka stałem za ladą sklepu pod numerem 147. Bob Makins zawsze się złościł widząc, jak

zakasuję rękawy, ale ja lubię pogadać ze starymi klientami, a w ostatnich czasach była to dla mnie jedyna okazja wysłuchania wszystkich najnowszych plotek i przekonania się od czasu do czasu, co kupujący myślą o moich pozostałych sklepach. Muszę jednak przyznać, że kiedy zacząłem obsługiwać pana Fothergilla, kolejka sięgała niemal do sklepu spożywczego, który, jak wiedziałem, Bob nadal uważał za konkurencję.

- Dzień dobry - powiedziałem, kiedy pan Fothergill doszedł do lady. - Czym mogę panu dzisiaj służyć, sir? Mam wspaniałe...

- Czy moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy, panie Trumper?

Byłem tak zaskoczony, że nie od razu mu odpowiedziałem. Wiedziałem, iż pani Trentham ma jeszcze dziewięć dni na sfinalizowanie kontraktu, i zakładałem, że niczego do tej pory się nie dowiem.

Musiała ona bądź co bądź mieć swoich własnych Hadlowów i Crowthersów, którzy załatwiali za nią wszystkie formalności.

- Obawiam się, że jedynym dostępnym miejscem jest magazyn - uprzedziłem go. Zdjąłem zielony kitel, odwinąłem rękawy koszuli i włożyłem marynarkę. - Widzi pan, mieszkanie na górze zajmuje teraz kierownik sklepu - wyjaśniłem, prowadząc Fothergilla na zaplecze.

Poprosiłem go, żeby usiadł na odwróconej skrzynce po pomarańczach, a sam zasiadłem na drugiej. Patrzyliśmy na siebie z odległości zaledwie kilku stóp, jak dwaj rozgrywający partię szachiści. W dziwnych warunkach omawiam największą transakcję w swoim życiu - pomyślałem, próbując zachować spokój.

- Przejdę od razu do rzeczy - oznajmił Fothergill. - Pani Trentham nie kontaktuje się ze mną od kilku tygodni, a ostatnio nie chce odbierać nawet moich telefonów. Co więcej, firma Savilla dała mi wyraźnie do zrozumienia, że nie otrzymała polecenia sfinalizowania tej transakcji w jej imieniu. Jej pracownicy poinformowali mnie nawet, że o ile wiedzą, pani Trentham nie jest już zainteresowana kupnem tej nieruchomości.

- Tak czy owak, otrzymał pan tysiąc dwieście funtów zaliczki - przypomniałem mu, usiłując powstrzymać uśmiech.

Nie przeczę - odparł Fothergill. - Ale od tej pory podjąłem pewne nowe zobowiązania, a wobec strajku generalnego...

- Ciężkie czasy, to prawda - powiedziałem. Poczułem, że zaczynają mi się pocić dłonie.

- A pan przecież nigdy nie ukrywał chęci zostania właścicielem numeru pierwszego.

- To prawda, ale od czasu aukcji nabyłem za gotówkę przeznaczoną na zakup pańskiego sklepu kilka innych lokali.

- Wiem, panie Trumper. Ale ja byłbym obecnie gotów zgodzić się na znacznie bardziej umiarkowaną cenę.

- Jak pan sobie przypomina, gotów byłem zapłacić trzy tysiące pięćset funtów.

- O ile dobrze pamiętam licytował pan do wysokości dwunastu tysięcy.

- Taktyka, panie Fothergill, to była tylko taktyka. Chyba zdaje pan sobie sprawę, że nie miałem bynajmniej zamiaru płacić dwunastu tysięcy funtów.

- Ale pańska żona oferowała pięć tysięcy pięćset funtów, nawet jeśli zapomnimy o tym, że podbiła później cenę do jedenastu tysięcy.

- Nie przeczę - odparłem, przypominając sobie mój dawny cockneyowski akcent. - Ale gdyby był pan kiedykolwiek żonaty, wiedziałby pan aż zbyt dobrze, dlaczego my, ludzie z East Endu, nazywamy

małżeństwo "niewolą i udręką".

- Sprzedam ten sklep za siedem tysięcy funtów - oznajmił. - Ale tylko panu.

- Sprzeda go pan za pięć tysięcy - odparłem. - Każdemu, kto położy na stole gotówkę.

- Nigdy - zawołał Fothergill.

- Założę się, że zmieni pan zdanie już za dziewięć dni, ale powiem panu, co jestem gotów zrobić - oznajmiłem, pochylając się ku niemu i niemal spadając ze skrzynki. - Gotów jestem podtrzymać ofertę mojej żony, która proponowała pięć i pół tysiąca funtów, bo tyle wynosił limit, do jakiego pozwoliła nam się posunąć rada nadzorcza, ale tylko pod warunkiem, że przygotowuje pan wszystkie papiery i da mi je do podpisania przed północą. - Pan Fothergill, wyraźnie zirytowany, otworzył usta. - Oczywiście - dodałem, zanim zdążył zaprotestować - nie powinno to być dla pana zbyt trudne. W końcu ten kontrakt leży na pańskim biurku od osiemdziesięciu jeden dni. Musi pan tylko zmienić nazwisko i kilka cyferek. A teraz, jeśli pan mi wybaczy, panie Fothergill, muszę wracać do moich klientów.

- Nigdy nie zostałem potraktowany w tak arogancki sposób, sir - oznajmił pan Fothergill, z gniewem zrywając się na nogi. Odwrócił się i wyszedł, zostawiając mnie samego w magazynie.

- Nigdy nie uważałem się za człowieka aroganckiego - powiedziałem do opuszczonej przez niego skrzynki po pomarańczach. - Przecież jestem wcieleniem skromności.

Wieczorem tego dnia przeczytałem Danielowi kolejny rozdział Alicji w krainie czarów i poczekałem, dopóki nie zaśnie, a potem zszedłem na dół, by zjeść kolację z Becky. Kiedy podawała mi zupę, zrelacjonowałem jej szczegółowo rozmowę z Fothergillem.

- Szkoda - powiedziała natychmiast. - Żałuję, że nie zwrócił się najpierw do mnie. Teraz może już nigdy nie zdobędziemy numeru pierwszego. - Powtórzyła to samo zdanie kładąc się do łóżka. Gasząc stojącą przy łóżku gazową lampę pomyślałem, że chyba ma rację. Zaczynałem już zasypiać, kiedy usłyszałem dźwięk dzwonka przy drzwiach.

- Jest już po jedenastej trzydzieści - sennym głosem wymamrotała Becky. - Kto to może być?

- Może człowiek, który przestrzega terminów? - powiedziałem, zapalając lampę. Zwlokłem się z łóżka, włożyłem szlafrok i zszedłem na dół, by otworzyć drzwi.

- Wejdz do mojego gabinetu, Peregrine - powiedziałem, powitawszy pana Fothergilla.

- Dziękuję, Charles - odpowiedział. Z trudem powstrzymując się od śmiechu, zdjąłem z biurka podręcznik zatytułowany Matematyka, Część Druga, żeby dostać się do szuflady, w której przechowywałem firmowe czeki.

- Pięć tysięcy pięćset, jeśli dobrze pamiętam - powiedziałem, odkręcając wieczne pióro i zerkając na stojący na obudowie kominka zegar. O godzinie jedenastej trzydzieści siedem wręczyłem Fothergillowi czek na pełną i ostateczną sumę, w zamian za wieczystą dzierżawę numeru 1 na Chelsea Terrace.

Potwierdziliśmy zawarcie transakcji uściskiem dłoni, a potem odprowadziłem byłego właściciela firmy aukcyjnej do wyjścia.

Kiedy wszedłem po schodach i wróciłem do sypialni, zobaczyłem ku swemu zaskoczeniu, że Becky siedzi przy swoim biurku.

- Co ty robisz? - spytałem.

- Piszę rezygnację z pracy w firmie Sotheby's.

Tom Arnold niezwykle starannie zaczął przerabiać numer pierwszy, przygotowując lokal dla Becky, która miała w miesiąc później objąć kierownictwo Galerii i Domu Aukcyjnego firmy

Trumper.

Zdawał sobie sprawę, że w myśl moich planów nowy nabytek ma zostać wkrótce okrętem flagowym całego imperium Trumpera, mimo iż koszty tej operacji - ku oburzeniu Hadlowa - zaczynały zbliżać się do kosztów budowy prawdziwego okrętu.

Okres wymówienia Becky w firmie Sotheby's upłynął w piątek, 16 lipca 1926. Następnego dnia o siódmej rano wkroczyła do dawnego sklepu Fothergilla, by przejąć nadzór nad przebudową budynku i uwolnić Toma Arnolda, który miał wrócić do swych normalnych obowiązków. Natychmiast zaczęła przerabiać sutereny budynku na magazyn; postanowiła, że lokal ekspozycyjny pozostanie na parterze, a sala aukcyjna na pierwszym piętrze.

Becky wraz z zespołem ekspertów miała urzędować na drugim i trzecim piętrze, a najwyższe piętro, na którym dotąd znajdowało się mieszkanie pana Fothergilla, przeznaczone zostało na biura firmy, zwłaszcza że pozostawał tam jeden wolny pokój, nadający się idealnie na miejsce zebrania rady nadzorczej.

Inauguracyjne zebranie całej rady odbyło się w domu pod numerem 1 w dniu 17 października 1926.

W ciągu trzech miesięcy od rezygnacji z pracy w firmie Sotheby's Becky "ukradła" siedmiu spośród jedenastu członków personelu, których chciała zatrudnić u siebie, i pozyskała następnych czterech z firm Bonham's i Phillips. Podczas tego pierwszego zebrania ostrzegła nas, że spłata długów związanych z nabyciem i przebudową numeru pierwszego może potrwać do trzech lat i że mogą minąć następne trzy, zanim sklep zacznie przynosić firmie poważne dochody.

- Nie tak jak mój pierwszy sklep - poinformowałem radę. - Czy wie pan, panie prezesie, że zaczął on przynosić zyski już po trzech tygodniach?

Przestań być taki zadowolony z siebie, Charlie, i pamiętaj, że ja nie sprzedaję kartofli - upomniała mnie żona.

- Och, nie jestem taki pewien - odparłem, a 21 października 1926, ofiarowałem jej w szóstą rocznicę naszego ślubu obraz van Gogha "Jedzący kartofle".

Pan Reed z Lefevre Gallery, który był osobistym przyjacielem wielu artystów, twierdził, że jest on równie dobry jak wersja wisząca w Rijksmuseum.

Muszę przyznać, że cena, jakiej zażądał, nawet mnie wydała się w pierwszej chwili dość ekstrawagancka, ale po krótkich targach zgodziliśmy się na sześćset gwinei.

Przez dłuższy okres czasu na froncie walki z panią Trentham zdawał się panować spokój. Niepokoił mnie ten stan rzeczy, bo podejrzewałem, że knuje ona coś złego. Gdy tylko wystawiano na sprzedaż jakiś sklep, byłem pewien, że będzie rywalizować ze mną o jego kupno, a gdy na Chelsea Terrace działo się coś złego, podejrzewałem, że stoi za tym właśnie ona. Daphne twierdziła, że mam manię prześladowczą, a Becky była skłonna przyznawać jej rację, dopóki pani Trentham nie zadzwoniła do Wrexalla, akurat wtedy, kiedy siedział w jego barze Tom Arnold. Tom nie zdobył żadnych istotnych informacji, bo Syd odebrał telefon na zapleczu.

Ale od tej pory moja żona zaczęła wierzyć, że upływ czasu nie stępił nurtującej panią Trentham żądzy zemsty.

W marcu 1927 Joan poinformowała nas, że jej była pani spędziła dwa dni na pakowaniu bagaży, a potem została zawieziona do Southampton, gdzie wsiadła na statek do Australii. Daphne, która przysłała do nas w tydzień później na lunch, potwierdziła tę informację.

- Można więc założyć, moi kochani, że składa wizytę temu swojemu okropnemu synowi.

- W przeszłości aż nazbyt chętnie opowiadała obszernie wszystkim, którzy chcieli jej słuchać, o sukcesach tego cholernego faceta, więc dlaczego tym razem utrzymuje cel swej podróży w tajemnicy?

- Nie mam pojęcia - przyznała Daphne.

- Czy nie uważasz za możliwe, że teraz, kiedy cała sprawa trochę ucichła, Guy może planować powrót do Anglii?

Wątpię - odparła Daphne marszcząc czoło. - Gdyby tak było, podróż morska odbywałaby się w przeciwnym kierunku, prawda?

Tak czy owak, znając uczucia jego ojca wiem, że jeśli Guy ośmieli się kiedykolwiek pojawić w Ashurst Hall, nie zostanie bynajmniej potraktowany jak syn marnotrawny.

- Coś mi się w tym nie podoba - oznajmiłem. - Ta woalka dyskrecji, w jakiej chadza ostatnio pani Trentham, stanowczo wymaga wyjaśnienia.

W trzy miesiące później, w czerwcu 1927, pułkownik zwrócił mi uwagę na zamieszczony w "Timesie" nekrolog Guya Trenthama. - Cóż za okropny rodzaj śmierci - skomentował krótko.

Daphne była na pogrzebie, który odbył się w kościele parafialnym w Ashurst, gdyż - jak wyjaśniła nam - chciała zobaczyć na własne oczy spuszczaną do grobu trumnę i przekonać się ostatecznie, że Guy Trentham odszedł z tego świata.

Percy poinformował mnie później, że z najwyższym trudem powstrzymał ją od przyłączenia się do grabarzy, którzy napełniali grób żyzną angielską ziemią. Daphne powiedziała nam jednak, że sceptycznie traktuje informacje o przyczynie śmierci, choć nie posiada żadnych dowodów ich nieprawdziwości.

- Przynajmniej od tej strony nie grożą wam już żadne kłopoty - brzmiały ostatnie słowa, jakie poświęcił tej sprawie Percy.

Ponuro zmarszczyłem brwi. - Będą musieli pochować panią Trentham obok niego, zanim w to uwierzę - odparłem.

ROZDZIAŁ 26

W roku 1929 państwo Trumper przenieśli się do większego domu w Little Boltons. Daphne zapewniła ich, że choć nazwa dzielnicy zawiera słowo "Little", przeprowadzka do niej jest krokiem we właściwym kierunku. Potem zerknęła na Becky i dodała: - Ale muszę wam powiedzieć, kochani, że czeka was jeszcze daleka droga, zanim dotrzecie na Eaton Square.

Parapetówka, którą wydali państwo Trumper, miała dla Becky podwójne znaczenie, gdyż następnego dnia miano jej wręczyć dyplom doktorski. Kiedy Percy zapytał ją żartem, dlaczego dokończenie pracy, której tematem był jej platoniczny kochanek, Bernardino Luini, zajęło jej aż tyle czasu, stwierdziła, że na drodze ich romansu stanął Charlie.

Charlie nie próbował się bronić; dolał Percy'emu jeszcze trochę koniaku, a potem obciął koniec swego cygara.

- Hoskins zawiezie nas na tę uroczystość - oznajmiła Daphne - więc zobaczymy się na miejscu. Pod warunkiem, że tym razem będą na tyle mili, by pozwolić nam usiąść w którymś z pierwszych trzydziestu rzędów.

Charlie z zadowoleniem stwierdził, że Daphne i Percy zostali posadzeni zaledwie o jeden rząd za nimi, są więc tym razem na tyle blisko podium, by obserwować wszystkie wydarzenia.

- Co to za ludzie? - spytał Daniel, kiedy czternastu dystyngowanych starych gentlemanów w czarnych togach i purpurowych biretach wkroczyło na podium i zasiadło na przygotowanych tam fotelach.

- Członkowie Senatu - wyjaśniła Becky swemu ośmioletniemu synowi. - To oni decydowali o tym, komu należy przyznać tytuły naukowe. Ale nie zadawaj zbyt wielu pytań, bo zdenerwujesz ludzi siedzących blisko nas.

W tym momencie wicekanclerz wstał, by odczytać coś ze zwojów pergaminu.

- Obawiam się, że będziemy musieli przeczekać wszystkich magistrów, zanim dojdą do mnie - szepnęła Becky.

- Przestań być taka zarozumiała, moja droga - powiedziała Daphne. - Niektórzy z nas pamiętają jeszcze, że uważałaś dzień uzyskania magisterium za najważniejszy dzień swego życia.

- A dlaczego tata nie ma magisterium? - spytał Daniel, podnosząc z podłogi upuszczony przez Becky program. - Przecież jest równie mądry jak ty, mamó.

- To prawda - przyznała Becky. - Ale jego tatuś nie kazał mu chodzić do szkoły tak długo, jak mój tatuś mnie.

Charlie pochylił się w ich stronę. - Za to jego dziadek nauczył go sprzedawać owoce i jarzyny, aby mógł przez resztę życia zajmować się czymś pożytecznym.

Daniel zamilkł na chwilę, rozważając wady i zalety tych dwu przeciwstawnych punktów widzenia.

- Ta ceremonia potrwa ogromnie długo, jeśli będzie nadal toczyć się w tym tempie - szeptęła Becky, kiedy po upływie trzydziestu minut wicekanclerz dotarł zaledwie do litery P.

- Możemy poczekać - pogodnie odparła Daphne. - Percy i ja nie mamy żadnych planów przed wyjazdem do Goodwood.

- Popatrz, mamusiu - odezwał się Daniel. - Znalazłem na liście dwóch Arnoldów, dwóch Moore'ów i dwóch Trumperów.

- To dość popularne nazwiska - odparła Becky, nie zadając sobie trudu, by zajrzeć do programu, i sadzając Daniela na krawędzi swego krzesła.

- Ciekaw jestem, jak on wygląda - stwierdził Daniel. - Czy wszyscy Trumperowie wyglądają tak samo, mamusiu?

- Nie, głuptasie, występują w różnych odmianach.

- Ale on ma taką samą pierwszą literę imienia jak tatuś - powiedział Daniel, wystarczająco głośno, by usłyszeli go wszyscy siedzący w trzech rzędach przed nimi.

- Ćśśś - ofuknęła go Becky, gdy dwie czy trzy osoby odwróciły głowy i spojrzały w ich kierunku.

- Tytuł magistra matematyki drugiej klasy, Charles George Trumper - oznajmił wicekanclerz.

- I nawet wygląda jak twój tatuś - powiedział Charlie, wstając z miejsca i podchodząc do podium, by odebrać z rąk wicekanclerza swój dyplom. Oklaski nasiliły się, gdy słuchacze zdali sobie sprawę z wieku tego absolwenta uczelni. Becky miała na twarzy wyraz niedowierzania i szeroko otwarte usta. Percy przecierał okulary, a Daphne wcale nie wydawała się zaskoczona.

- Od jak dawna o tym wiedziałaś? - spytała Becky przez zaciśnięte zęby.

- Zapisał się do Birkbeck College w dzień po wręczeniu ci magisterium.

- Ale skąd wziął tyle czasu?

- Zajęło mu to osiem lat i wiele wczesnych godzin porannych, kiedy ty jeszcze spałaś.

Pod koniec drugiego roku prognozy finansowe Becky dotyczące numeru pierwszego zaczęły wydawać się nieco zbyt optymistyczne.

Mijał czas, a deficyt pozostawał na nie zmienionym poziomie i dopiero po dwudziestym siódmym miesiącu sklep zaczął powoli odrabiać zaległości.

Poskarżyła się radzie, że dyrektor naczelny przyczynia się do zwiększenia obrotów, ale nie przysparza jej zysków, gdyż uważa że ma prawo odkupywać najbardziej wartościowe obiekty po cenie ich nabycia.

- Ale przecież gromadzimy dzięki temu poważną kolekcję dzieł sztuki, pani Trumper - zwrócił jej uwagę Charlie.

- I oszczędzamy sporo na podatkach, dokonując równocześnie mądrych inwestycji - poparł go Hadlow. - Co więcej, te dzieła sztuki mogą przydać się nam kiedyś jako zabezpieczenie kredytu.

- Być może, ale chwilowo nie poprawia to mojego bilansu, panie prezesie, bo dyrektor naczelny stale zgarnia najbardziej atrakcyjne okazy. Co gorsza, rozgryzł nasz kod aukcyjny, więc zawsze wie, jaka jest ostateczna cena.

- Musi pani patrzeć na siebie jak na ogniwo firmy, a nie jak na prywatną osobę, pani Trumper - powiedział Charlie z szerokim uśmiechem, a potem dodał: - Choć muszę przyznać, że kupiłbym chyba te obrazy jeszcze taniej, gdybyśmy pozostawili panią w firmie Sotheby's.

Proszę tego nie protokołować - stanowczo polecił prezes. - Nawiasem mówiąc, co to jest kod

aukcyjny?

- Zestaw liter z wybranego słowa lub zbioru słów, odpowiadający pewnym cyfrom. Na przykład w słowie "Charlie" litera C odpowiadałaby cyfrze 1, H - cyfrze 2, A - cyfrze 3; powtarzające się litery należy ignorować. Kiedy więc ktoś domyśli się dwóch słów, których litery odpowiadają cyfrom od jedynki do zera i ma dostęp do głównego katalogu, zawsze może odgadnąć ostateczną cenę, jaką wyznaczamy na każdy obraz.

- Więc dlaczego nie zmieniacie od czasu do czasu tych słów?

- Bo człowiek, który raz poznał kod, zawsze może rozgryźć nowy system. Poza tym trzeba wielu godzin praktyki, by zerknąć na symbol QNHH, i natychmiast zorientować się, że oznacza on...

- Tysiąc trzysta funtów - dokończył Charlie z uśmiechem zadowolenia.

Podczas gdy Becky próbowała rozkręcić numer 1, Charlie nabył cztery następne lokale, między innymi zakład fryzjerski i kiosk z gazetami, nie napotykając oporu ze strony pani Trentham, - Wydaje mi się, że nie ma już dość pieniędzy, by z nami rywalizować - powiedział w końcu do członków rady.

- Dopóki nie umrze jej ojciec - przypomniała Becky. - Kiedy odziedziczy ten majątek, będzie mogła rywalizować nawet z panem Selfridge'em, i Charlie nic na to nie poradzi.

Charlie przyznał jej rację, ale zapewnił radę nadzorczą, że zamierza wykupić cały odcinek ulicy, zanim do tego dojdzie. - Nie ma powodu przypuszczać, że ten człowiek nie pociągnie jeszcze kilku lat., - To mi o czymś przypomina - wtrącił pułkownik. - W maju przyszłego roku kończę sześćdziesiąt pięć lat i myślę, że będzie to odpowiedni moment, by zrezygnować ze stanowiska prezesa.

Charlie i Becky byli zaskoczeni tym niespodziewanym oświadczeniem, gdyż żadne z nich nie zastanawiało się dotąd ani przez chwilę, kiedy pułkownik może przejść na emeryturę.

- Czy nie mógłby pan zostać na tym stanowisku przynajmniej do siedemdziesiątki? - spytał uprzejmie Charlie.

- Nie, Charlie, choć miło z twojej strony, że to proponujesz.

Widzisz, obiecałem Elizabeth, że spędzimy ostatnie kilka lat naszego życia na jej ukochanej wyspie Skye. Tak czy owak, nadszedł czas, byś ty został prezesem rady.

Pułkownik przeszedł oficjalnie na emeryturę w maju następnego roku. Charlie wydał na jego cześć w hotelu Savoy pożegnalne przyjęcie, na które zaprosił wszystkich pracowników firmy z żonami i mężami. Miał nadzieję, że pułkownik nigdy nie zapomni kolacji z pięciu dań, do której serwowano trzy gatunki win.

Kiedy posiłek dobiegł końca, Charlie wstał i wznosił toast na cześć prezesa firmy, a potem ofiarował mu srebrną beczułkę, zawierającą butelkę Glenlivet, ulubionej whisky pułkownika.

Wszyscy obecni zaczęli uderzać dłońmi w stoły, domagając się, by odchodzący prezes odpowiedział na mowę Charlie'ego.

Pułkownik powstał, wyprostował się jak trzcina i na początek podziękował wszystkim za życzenia złożone z okazji przejścia na emeryturę. Potem przypomniał obecnym, że kiedy przyłączył się do pana Trumpera i panny Salmon w roku 1920, posiadali oni tylko jeden sklep na Chelsea Terrace. Mieścił się on pod numerem 147 i sprzedawano w nim owoce oraz jarzyny, a nabyty został za imponującą sumę stu funtów. Charlie, rozglądając się po sali, widział, że niektórzy z młodszych członków personelu - podobnie jak Daniel, który miał na sobie po raz pierwszy długie spodnie - po prostu nie wierzą staremu wojakowi.

- Teraz - ciągnął pułkownik - mamy dwadzieścia cztery sklepy i zatrudniamy sto siedemdziesiąt

dwie osoby. Przez wszystkie te lata powtarzałem mojej żonie, że chciałbym dożyć dnia, w którym Charlie - przez salę przebiegła fala chichotu - to znaczy pan Trumper, stanie się właścicielem całego odcinka ulicy i zbuduje największy stragan świata. Teraz jestem przekonany, że go dożyję.

- Odwracając się do Charlie'ego wznosił kieliszek i dodał: - I życzę panu wiele szczęścia, sir.

Kiedy po raz ostatni zajmował miejsce przeznaczone dla prezesa wszyscy bili brawo i wznosili okrzyki na jego cześć, Charlie wstał: - Panie prezesie - zaczął - chciałbym, aby wszyscy tu obecni wiedzieli, że Becky i ja nie rozbudowalibyśmy firmy do jej obecnych rozmiarów bez pańskiej pomocy. Jeśli mam wyznać 22 - Prosto jak strzelił całą prawdę, nie byłibyśmy nawet w stanie kupić sklepów numer 2 i 3. Z dumą wstępuję w pańskie ślady i obejmuję stanowisko drugiego prezesa firmy, ale kiedy okoliczności zmuszą mnie do podjęcia jakiejś ważnej decyzji, będę zawsze sobie wyobrażał, że zagląda mi pan przez ramię. Ostatni wniosek, jaki zgłosił pan na stanowisku prezesa, zostanie wcielony w życie jutro. Tom Arnold obejmie stanowisko dyrektora naczelnego, a Ned Denning i Bob Makins zostaną dokooptowani do rady nadzorczej. Ponieważ firma Trumper zawsze będzie stosowała zasadę awansowania własnych pracowników.

Należycie do nowego pokolenia - mówił dalej Charlie, zwracając się do siedzących w sali balowej pracowników - i po raz pierwszy spotykamy się wszyscy razem pod tym samym dachem.

Ustalmy więc już dziś datę, od której zaczniemy wszyscy razem pracować pod tym samym dachem, jako firma Trumper z Chelsea Terrace. Oświadczam wam, że nastąpi to w roku 1940.

Wszyscy obecni jak jeden mąż zerwali się na nogi, wołając "1940" i oklaskując nowego prezesa. Kiedy Charlie usiadł, dyrygent podniósł batutę, dając do poznania, że teraz rozpoczną się tańce.

Pułkownik wstał i poprosił Becky do pierwszego walca. Potem poprowadził ją na pusty jeszcze parkiet.

- Czy pamięta pan, kiedy po raz pierwszy poprosił mnie pan do tańca? - spytała Becky.

- Ależ oczywiście - odparł pułkownik. - I, że zacytuję pana Hardy, pamiętam, że to ty "wciągnęłaś mnie w cały ten kram".

- To jego wina - stwierdziła Becky, bo właśnie przemykał obok nich Charlie, trzymając w ramionach panią Hamilton.

Pułkownik uśmiechnął się. - Jakąż mowę trzeba będzie wygłosić, kiedy Charlie przejdzie na emeryturę - powiedział czule do Becky.

- I nie wyobrażam sobie faceta, który będzie miał tyle odwagi, by go zastąpić.

- Więc może zrobi to kobieta?

ROZDZIAŁ 27

Cała firma Trumper uczciła Srebrny Jubileusz panowania króla Jerzego V i królowej Mary w roku 1935. Na wszystkich wystawach wisiały kolorowe plakaty i portrety królewskiej pary, a Tom Arnold zorganizował konkurs, by przekonać się, który ze sklepów zaaranżuje najbardziej pomysłową ekspozycję, mającą upamiętnić to wydarzenie.

Charlie objął kontrolę nad numerem 147, który nadal uważał za swą osobistą domenę, i przy pomocy córki Boba Makinsa, studentki pierwszego roku Akademii Sztuki w Chelsea, skomponował z wszystkich jarzyn i owoców rosnących na terenie brytyjskiego imperium podobizny króla i królowej.

Był wściekły, kiedy członkowie jury - pułkownik oraz markiz i markiza Wiltshire - przyznali numerowi 147 drugie miejsce za kwiaciarnią, która robiła wtedy ogromne obroty sprzedając bukiety złożone z czerwonych, białych i niebieskich chryzantem, a zawdzięczała pierwsze miejsce wykonanej całkowicie z kwiatów ogromnej mapie świata, na której posiadłości Imperium Brytyjskiego skonstruowane były z czerwonych róż.

Charlie dał całemu personelowi wolny dzień, a sam pojechał z Becky i Danielem już o czwartej trzydzieści rano na trasę defilady, by zająć dobre miejsca i obejrzeć przejazd króla i królowej z Pałacu Buckingham do katedry Św. Pawła, gdzie miało odbyć się nabożeństwo dziękczynne.

Przybywszy na miejsce przekonali się, że tysiące ludzi, którzy wzięli z sobą śpiwory, koce, a nawet namioty, zajmują już każdy cal trasy. Niektórzy z nich zaczęli już jeść śniadanie lub po prostu ustawili się na miejscach.

Godziny oczekiwania mijały im szybko, a Charlie nawiązał przyjazny kontakt z gośćmi, przybyłymi do Londynu z całego Imperium.

Gdy w końcu zaczęła się defilada, Daniela zachwycił widok maszerujących żołnierzy z Indii, Australii, Afryki, Kanady i trzydziestu sześciu innych państw. Gdy przejeżdżał powóz z królem i królową, Charlie stanął na baczność i zdjął kapelusz; to samo zrobił, gdy przy dźwiękach hymnu pułkowego defilowali przed nimi Królewscy Strzelcy. Kiedy tylko zniknęli, z zazdrością pomyślał o Daphne i jej mężu, którzy zostali zaproszeni na nabożeństwo w katedrze.

Kiedy król i królowa wrócili do Pałacu Buckingham - by zdążyć na lunch, jak tłumaczył Daniel wszystkim sąsiadom - Trumperowie rozpoczęli podróż do domu. Przejechali po drodze przez Chelsea Terrace, gdzie Daniel dostrzegł wielki napis "Drugie miejsce" na wystawie numeru 147.

- Dlaczego on tam jest, tato? - spytał. Matka z zadowoleniem wyjaśniła mu zasady konkursu.

- A która ty byłaś, mamó?

- Szesnasta na dwudziestu sześciu uczestników - odparł Charlie. - I tylko dlatego, że cała trójka członków jury zaliczała się do jej dawnych przyjaciół.

W osiem miesięcy później król zmarł.

Charlie miał nadzieję, że wraz z wstąpieniem na tron Edwarda VIII rozpocznie się nowa era, i postanowił odbyć od dawna odkładaną podróż do Ameryki.

Uprzedził radę nadzorczą o planowanym wyjeździe już podczas najbliższego posiedzenia.

- Czy są jakieś prawdziwe problemy, którymi powinienem się martwić podczas swej nieobecności? - spytał prezes rady swego naczelnego dyrektora.

- Nadal szukam kierownika sklepu z biżuterią i dwóch ekspedientek do magazynu damskich sukien - odparł Arnold. - Poza tym wszystko układa się chwilowo dość pomyślnie.

Charlie, przekonany, że Arnold i rada potrafią pokierować firmą podczas ich podróży, doszedł do wniosku, że powinni jechać, i poczynił wstępne kroki, gdy tylko przeczytał o przygotowaniach do wodowania statku "Queen Mary". Wynajął dwuosobową kabinę na dziewiczy rejs.

Becky spędziła na pokładzie statku pięć uroczych dni i z radością odkryła, że nawet jej mąż - przekonawszy się o braku możliwości nawiązania kontaktu z Tomem Arnoldem czy nawet z Danielem, który przyzwyczajał się właśnie do pierwszej w - życiu szkoły z internatem - zaczyna być trochę mniej napięty. Charlie, stwierdziwszy, że nie może nikomu zawracać głowy, robił wrażenie człowieka, który dobrze się bawi, odkrywając wszystkie atrakcje, jakie mógł ofiarować statek tęgawemu, niezbyt wysportowanemu mężczyźnie w średnim wieku.

Wielka "Królowa" wpłynęła do nowojorskiego portu w poniedziałek rano i została powitana przez wielotysięczny tłum. Charlie myślał o tym, jak odmiennie musieli się czuć Ojcowie Pielgrzymi, którzy zawinęli tam na chybotliwym pokładzie "Mayflower"; oni nie mogli liczyć na orszak powitalny i nie byli pewni, czego mogą oczekiwać od krajowców. Prawdę powiedziawszy, on sam również nie był całkiem pewny, czego od nich może oczekiwać.

Za radą Daphne wynajął pokój w hotelu Waldorf Astoria, ale gdy tylko oboje rozpakowali bagaże, nie miał ochoty dłużej siedzieć na miejscu i odpoczywać. Wstał następnego ranka o czwartej trzynastej i przeglądając "New York Times" po raz pierwszy zetknął się z nazwiskiem pani Simpson. Przeczytawszy gazety wyszedł z hotelu i zaczął spacerować w obie strony po Piątej Alei, oglądając wystawy najróżniejszych sklepów. Szybko uderzyła go pomysłowość i oryginalność kupców z Manhattanu w porównaniu z ich odpowiednikami z Oxford Street.

Gdy tylko otworzono sklepy, czyli od godziny dziewiątej, mógł obejrzeć wszystko bardziej dokładnie. Zaczął zwiedzać eleganckie sklepy, które znajdowały się na większości rogów ulicznych. Oglądał towary, obserwował sprzedawców, a nawet podążał za niektórymi klientami, by przekonać się, co kupują. W ciągu pierwszych dwóch dni pobytu w Nowym Jorku wracał do hotelu wieczorem, całkowicie wyczerpany.

Dopiero trzeciego dnia, obejrząwszy Piątą Aleję i Madison, przeniósł się na Lexington i odkrył dom towarowy Bloomingdale's, a Becky uświadomiła sobie, że straciła swego męża na resztę pobytu w Nowym Jorku.

W ciągu pierwszych dwu godzin Charlie jeździł tylko ruchomymi schodami w górę i w dół, dopóki nie rozpracował dokładnie topografii budynku. Potem zaczął studiować każde piętro, dział po dział, sporządzając obszerne notatki. Na parterze sprzedawano perfumy, wyroby skórzane, biżuterię, na pierwszym piętrze - szale, kapelusze, rękawiczki, wyroby papiernicze, na drugim - odzież męską, na trzecim - damską, na czwartym - artykuły gospodarstwa domowego. Posuwał się tak w górę, piętro po piętrze, dopóki nie odkrył, że na dwunastym znajdują się biura firmy, ukryte dyskretnie za napisem "Wstęp wzbroniony". Charlie bardzo chciał poznać rozkład tego piętra, ale nie miał na to

szans.

Czwartego dnia zbadał dokładnie rozstawienie lad i zaczął rysować aranżację poszczególnych stoisk. Kiedy tegoż dnia wjechał na trzecie piętro, u wylotu ruchomych schodów zagrodzili mu drogę dwaj atletycznie zbudowani młodzi ludzie. Nie miał wyboru; musiał się zatrzymać lub podjąć próbę zejścia pod prąd.

- O co chodzi?

- Jeszcze nie wiemy tego na pewno, sir - odparł jeden z osiłków.

- Jesteśmy detektywami sklepowymi i chcieliśmy spytać, czy byłby pan tak uprzejmy pójść z nami.

- Bardzo chętnie - odparł Charlie, nie mając pojęcia, czego mogą od niego chcieć.

Został zawieszony windą na jedyne piętro, którego dotąd nie mógł obejrzeć, doprowadzony długim korytarzem do nie oznaczonych drzwi i wpuszczony do pustego pokoju. Na podłodze nie leżał dywan, na ścianach nie było żadnych obrazów; całe umeblowanie składało się z trzech drewnianych krzeseł i stołu. Zostawiono go samego. W chwilę później do pokoju weszli dwaj starsi mężczyźni.

- Czy zechciałby pan odpowiedzieć nam na kilka pytań, sir? - spytał wyższy z nich.

- Oczywiście - odparł Charlie, zaskoczony tym dziwnym traktowaniem.

- Skąd pan przyjechał? - spytał pierwszy z nich.

- Z Anglii.

- A jak przebył pan drogę do Ameryki? - spytał drugi.

- Przyplłynąłem pierwszym rejsem "Queen Mary". - Zauważył, że ta informacja wzbudziła w obu lekką nerwowość.

- Więc dlaczego chodzi pan od dwóch dni po całym sklepie, robiąc notatki, ale nic nie kupując, sir?

Charlie wybuchnął śmiechem. - Ponieważ jestem właścicielem dwudziestu sześciu sklepów w Londynie - wyjaśnił. - Chciałem po prostu porównać wasze amerykańskie metody prowadzenia firmy ze sposobem, w jaki ja handluję w Anglii.

Obaj mężczyźni zaczęli coś do siebie nerwowo szeptać.

- Czy mogę spytać, jak się pan nazywa, sir?

- Trumper. Charlie Trumper.

Jeden z mężczyzn wstał i wyszedł z pokoju. Charlie czuł, że jego opowieść wydaje im się niewiarygodna. Przypomniawszy sobie, jak opowiadał o swoim pierwszym sklepie Tommy'emu. Pozostały w pokoju mężczyźni nadal nie ujawniali swych myśli, siedzieli więc w milczeniu naprzeciwko siebie przez kilka minut. Potem drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł energicznym krokiem wysoki, wytwornie ubrany gentleman w ciemnobrązowym ubraniu, brązowych butach i złotym krawacie. Niemal podbiegł do Charlie'ego, szeroko rozkładając ręce.

- Muszę pana przeprosić, panie Trumper - powiedział na powitanie. - Nie mieliśmy pojęcia, że jest pan w Nowym Jorku, a tym bardziej w naszym sklepie. Nazywam się John Bloomingdale i jestem właścicielem tego sklepiku, który pan podobno zwiedzał.

- Istotnie go zwiedzałem - przyznał Charlie.

Zanim zdążył wypowiedzieć choćby jedno słowo więcej, pan Bloomingdale dodał: - W takim razie nasze rachunki są wyrównane, bo ja zwiedzałem pański słynny stragan na Chelsea Terrace i nawet przeszczepiłem na nasz grunt kilka pańskich znakomitych pomysłów.

- Moich pomysłów? - z niedowierzaniem spytał Charlie.

- Ależ oczywiście. Czy widział pan w naszym oknie wystawowym tę flagę Ameryki, na której każdy z czterdziestu ośmiu stanów skomponowany jest z kwiatów o określonym kolorze?

- Owszem - zaczął Charlie - ale...

- Ukradłem panu ten pomysł, kiedy oboje z żoną przyjechaliśmy do Londynu, by obejrzyć Srebrny Jubileusz. Jestem więc do pańskich usług, sir.

Twarze obu detektywów rozjaśniał teraz szeroki uśmiech.

Tego wieczora Becky i Charlie zjedli kolację z państwem Bloomingdale w ich starym domu położonym na rogu Sześćdziesiątej Pierwszej Ulicy i Madison Avenue, a gospodarz odpowiadał do późnych godzin nocnych na wszystkie pytania swego gościa.

Następnego dnia Charlie został z całą ceremonią oprowadzony po "sklepiku" przez jego właściciela, a Patty Bloomingdale pokazała Becky Metropolitan Museum of Art i Muzeum Fricka, zadając jej nieskończoną ilość pytań na temat pani Simpson. Becky nie potrafiła odpowiedzieć na żadne z nich, ponieważ dopóki nie postawiła stopy na amerykańskiej ziemi, nigdy nie słyszała o tej pani.

Później państwo Trumper z żalem pożegnali państwo Bloomingdale i wyruszyli pociągiem do Chicago, gdzie mieli rezerwację w hotelu Stevens. Po przyjeździe do miasta wiatrów odkryli, że ich pokój został zamieniony na apartament i zastali odręczny list od pana Josepha Fielda, właściciela firmy Marshall Field's, z zapytaniem, czy zechcieliby nazajutrz zjeść kolację z nim i z jego żoną.

Podczas przyjęcia, odbywającego się w domu Fieldów na Lakę Shore Drive, Charlie przypomniał gospodarzowi o ogłoszeniach, w których reklamował swój dom towarowy jako jeden z największych na świecie, i ostrzegł go, że Chelsea Terrace jest dłuższa o siedem stóp.

- Tak, ale czy pozwolą panu rozbudować swój sklep do wysokości dwudziestu jeden pięter, panie Trumper?

- Będzie miał dwadzieścia dwa - odparł Charlie, nie mając pojęcia, jakie warunki postawi mu rada miejska Londynu.

Następnego dnia Charlie poszerzył swą rosnącą wiedzę o domach towarowych oglądając firmę Marshall Field's od wewnątrz.

Był szczególnie zachwycony zespołową współpracą personelu.

Wszystkie ekspedientki miały schludne zielone mundurki ze złotymi naszywkami "MF" na klapach, dyżurujący na poszczególnych piętrach starsi sprzedawcy chodzili w szarych ubraniach, a kierownicy działów nosili granatowe, dwurzędowe marynarki.

- Ułatwia to potrzebującym pomocy klientom rozpoznanie członków personelu, szczególnie kiedy w sklepie panuje tłok - wyjaśnił pan Field.

Podczas gdy Charlie zgłębiał metody działania domu towarowego Marshall Field's, Becky spędzała nie kończące się godziny w Chicago Art Institute, podziwiając szczególnie prace Wyetha i Remingtona, które jej zdaniem powinny być wystawione w Londynie. Kiedy wracała do Anglii, przywiozła w nowo zakupionych walizkach po jednym dziele każdego z nich, ale brytyjscy miłośnicy sztuki ujrzeli obraz i rzeźbę dopiero w rok później, bo kiedy zostały rozpakowane, Charlie nie chciał ich wypuścić z domu.

Pod koniec miesiąca oboje byli zmęczeni i całkowicie przekonani, że chcieliby jeszcze wielokrotnie wracać do Ameryki. Obawiali się tylko, że jeśli państwo Bloomingdale lub państwo Field kiedykolwiek pojawią się na Chelsea Terrace, nie będą w stanie odwzajemnić okazanej im gościnności. Na odjeźdnym Joseph Field poprosił Charlie'ego o pewną przysługę, a on obiecał, że

zajmie się tą sprawą osobiście natychmiast po powrocie do Anglii.

Pogłoski o romansie króla z panią Simpson, tak dokładnie relacjonowane przez prasę amerykańską, zaczynały teraz docierać do uszu Anglików i Charlie był zmartwiony, kiedy król uznał w końcu za konieczne wydanie komunikatu o swej abdykacji. Niespodziewane brzemie odpowiedzialności spadło na barki nie przygotowanego księcia Yorku, który został królem Jerzym VI.

Innym tematem, który śledził Charlie na pierwszych stronach gazet, był wzrost potęgi Adolfa Hitlera w faszystowskich Niemczech. Nie mógł pojąć, dlaczego premier brytyjski, pan Chamberlain, nie kieruje się zdrowym rozsądkiem i nie znokautuje tego człowieka silnym prawym prostym.

- Neville Chamberlain nie jest straganiarzem z East Endu - tłumaczyła mężowi podczas śniadania Becky. - Jest premierem.

- Tym większa szkoda - odparł Charlie. - Bo gdyby herr Hitler kiedykolwiek ośmielił się pojawić w Whitechapel, zostałby potraktowany właśnie w taki sposób.

Tom Arnold niewiele miał do zameldowania Charlie'emu po jego powrocie, ale szybko zdał sobie sprawę z wpływu, jaki podróż do Ameryki wywarła na jego szefie, gdyż w ciągu następnych dni zalewany był stale powodzą poleceń i nowych pomysłów.

- Stowarzyszenie Właścicieli Sklepów - ostrzegł Arnold przewodniczącego podczas poniedziałkowego zebrania rady, gdy tylko Charlie skończył kolejny pean na temat przymiotów Ameryki - niepokoi się teraz poważnie wpływem, jaki może wyrzucić na gospodarkę wojna z Niemcami.

- To do nich podobne - odpowiedział Charlie, siadając za biurkiem. - Wszyscy, co do jednego, są ugodowcami. Tak czy owak, Niemcy nie wypowiedzą wojny żadnemu z brytyjskich sprzymierzeńców. Nie ośmielą się. Bądź co bądź nie mogli jeszcze zapomnieć lania, które im sprawiliśmy ostatnim razem. Więc jakie są dalsze nasze problemy?

Jeśli idzie o bardziej przyziemną sferę zagadnień - odparł Tom z drugiej strony biurka - to nadal nie mogę znaleźć odpowiedniej osoby na stanowisko kierownika sklepu jubilerskiego, które zwolniło się po przejściu na emeryturę Jacka Slade'a.

- Więc zacznij zamieszczać ogłoszenia w czasopiśmie handlowych i zaprezentuj mi każdego kandydata, który wyda ci się odpowiedni. Coś jeszcze?

- Owszem, chce się z panem zobaczyć niejaki pan Ben Schubert.

- W jakiej sprawie?

- Jest żydowskim uchodźcą z Niemiec, ale nie chce powiedzieć, o co mu chodzi.

- Więc umów go ze mną, gdy się do ciebie znowu odezwie.

- Siedzi w tej chwili w poczekalni przed pańskim gabinetem.

- W poczekalni? - spytał Charlie z niedowierzaniem.

- Tak. Zjawia się co rano i wysiaduje tam bez słowa.

- Jak to, czy nie powiedziałeś mu, że jestem w Ameryce?

- Zrobiłem to - odparł Tom. - Ale na nim nie wywarło to najwyraźniej żadnego wrażenia.

- Wytrwałość jest cechą wszystkich ludzi naszego pokroju - mruknął Charlie. - Każ mu wejść.

Drobny, zgarbiony, wyraźnie znużony mężczyzna, który wydał się Charlie'emu niewiele starszy niż on sam, wszedł do pokoju i czekał, aż ktoś poprosi go, by usiadł. Charlie wstał zza biurka i wskazał swemu gościowi fotel obok kominka, a potem spytał, czym może mu służyć.

Pan Schubert przez jakiś czas wyjaśniał Charlie'emu, jak udało mu się uciec z żoną i dwiema

córkami z Hamburga, podczas gdy tyłu jego przyjaciół trafiło do obozów koncentracyjnych i zaginęło bez śladu.

Charlie bez słowa słuchał jego relacji o doznanych z rąk faszystów krzywdach. Opowieść o ucieczce i o tym, co dzieje się w Niemczech, - zdawała się pochodzić z kart książki Johna Buchana i była znacznie bardziej przejmująca niż którykolwiek z drukowanych w ciągu ostatnich miesięcy reportaży prasowych.

- Jak mogę panu pomóc? - spytał Charlie, kiedy pan Schubert skończył swą smutną historię.

Uchodźca po raz pierwszy się uśmiechnął, pokazując dwa złote zęby. Potem podniósł stojącą obok niego walizeczkę, umieścił ją na biurku Charlie'ego i powoli otworzył. Charlie ujrzał przed sobą najpiękniejszy zbiór drogich kamieni, jaki kiedykolwiek widział; były to diamenty i ametysty, często we wspaniałej oprawie. Jego gość zdjął płytką, jak się okazało, tackę zewnętrzną, odsłaniając rubiny, topazy, diamenty, perły i nefryty, wypełniające wszystkie zakątki głębokiej skrytki.

- To jest tylko drobna częśćka tego, co musiałem tam zostawić w firmie, którą stworzył mój ojciec, a przed nim jego ojciec. Teraz muszę sprzedać wszystko, by zapewnić byt mojej rodzinie.

- Pracował pan w branży jubilerskiej?

- Przez dwadzieścia sześć lat - odparł pan Schubert - Już jako młody chłopiec.

- A ile spodziewa się pan dostać za to wszystko? - Charlie wskazał otwartą walizeczkę.

- Trzy tysiące funtów - bez chwili wahania odparł pan Schubert.

- To mniej, niż wynosi ich wartość, ale nie mam już czasu ani ochoty się targować.

Charlie otworzył szufladę biurka, wyjął swe czekki i napisał na jednym z nich: "Proszę wypłacić panu Schubertowi trzy tysiące funtów". Potem przesunął go po blacie biurka w kierunku swego gościa.

- Ależ pan nie sprawdził ich wartości - powiedział Schubert.

- To nie jest konieczne - odparł Charlie, wstając z krzesła. - Ponieważ sam je pan będzie sprzedawał jako nowy kierownik mojego zakładu jubilerskiego. A to znaczy, że będzie pan musiał tłumaczyć mi się osobiście, jeśli któryś z nich nie uzyska podanej przez pana ceny.

Kiedy spłaci mi pan zaliczkę, pomówimy o pańskiej prowizji.

Na twarzy pana Schuberta pojawił się uśmiech. - Widzę, że dobrze was uczą na East Endzie, panie Trumper.

- Jest tam wielu pańskich współwyznawców, którzy zmuszają nas do wysiłku - odparł z uśmiechem Charlie. - I proszę nie zapominać, że należał do nich również mój teść.

Ben Schubert wstał i uściskał swego nowego szefa.

Charlie nie przewidział nawet, jak wielu żydowskich uchodźców trafi do zakładu jubilerskiego firmy Trumper, by robić interesy z panem Schubertem, i że nie będzie musiał nigdy więcej martwić się o swój sklep z biżuterią.

Chyba w jakiś tydzień później Tom Arnold wszedł bez pukania do gabinetu prezesa. Charlie zauważył, że jego dyrektor naczelny jest bardzo podniecony, więc spytał tylko: - Co się stało, Tom?

- Kradzież w sklepie.

- W którym?

- Numer 133, konfekcja damska.

- Co zostało skradzione?

- Dwie pary butów i spódnica.

- Więc postępujcie według przewidzianej procedury, ustalonej w regulaminie firmy. Należy

przede wszystkim wezwać policję.

- To nie takie proste.

- Oczywiście, że to proste. Złodziej to złodziej.

- Kiedy ona twierdzi...

- Że jej matka ma dziewięćdziesiąt lat i umiera na raka, nie wspominając już o tym, że wszystkie jej dzieci są kalekami?

- Nie, że jest pańską siostrą.

Charlie odchylił się w tył na swym bujanym fotelu i milczał przez chwilę, a potem ciężko westchnął. - Co zrobiliście?

- Jeszcze nic. Kazałem kierownikowi zatrzymać ją, dopóki nie wrócę po rozmowie z panem.

- A więc załatwmy tę sprawę - powiedział Charlie. Wstał zza biurka i ruszył w kierunku drzwi.

Żaden z nich nie powiedział ani słowa, dopóki nie dotarli pod numer 133, gdzie czekał na nich przy drzwiach podniecony kierownik, Jim Grey.

- Przykro mi, panie prezesie - powiedział na powitanie.

- Nie ma żadnego powodu, dla którego miałoby ci być przykro, Jim - odparł Charlie, idąc za nim na zaplecze, gdzie siedziała przy stole Kitty, trzymając w ręku puderniczkę i sprawdzając w lusterku makijaż.

Na widok Charlie'ego zatrzasnęła puderniczkę i wrzuciła ją do torebki. Przed nią leżały na stole dwie pary modnych skórzanych butów i czerwona plisowana spódnica. Kitty najwyraźniej nadal lubiła wszystko, co najlepsze, gdyż wybrane przez nią towary należały do najdroższych. Uśmiechnęła się do brata. Makijaż nie poprawiał jej urody.

- Teraz kiedy zjawił się tu osobiście sam szef, zobaczycie, kim jestem - powiedziała, patrząc z nienawiścią na Jima Greya.

Jesteś złodziejką - stwierdził Charlie. - Oto, kim jesteś.

- Daj spokój, Charlie, stać cię na to. - W jej głosie nie było ani śladu skruchy.

- Nie o to chodzi, Kitty. Gdybym...

- Jeśli wytoczysz mi sprawę sądową, twierdząc, że coś zwędziłam, dziennikarze będą mieli wielki dzień. Nie ośmielisz się kazać mnie aresztować, Charlie, i dobrze o tym wiesz.

- Być może nie tym razem - odparł Charlie - ale zapewniam cię, że jest to ostatni raz. - Zwrócił się do kierownika i dodał: - Jeśli ta pani kiedykolwiek spróbuje wyjść nie płacąc, wezwijcie policję i oskarżcie ją o kradzież, nie zwracając się do mnie w tej sprawie.

Czy wyraziłem się jasno, panie Grey?

- Tak, sir.

- Tak sir, nie sir, co za zawracanie głowy. Nie martw się, Charlie, i tak nie będę cię więcej niepokoić.

Charlie nie wydawał się przekonany.

- Wyjeżdżam do Kanady, bo wydaje mi się, że jest tam przynajmniej jeden członek naszej rodziny, który naprawdę troszczy się o mój los.

Charlie miał właśnie zaprotestować, kiedy Kitty zgarnęła obie pary butów i spódnice, a następnie wrzuciła je do torby. Potem energicznym krokiem przeszła obok trzech mężczyzn.

- Chwileczkę - powiedział Tom Arnold.

- Odpieprz się - warknęła przez ramię Kitty, idąc w kierunku wyjścia ze sklepu.

Tom odwrócił się w stronę prezesa; Charlie stał nieruchomo i patrzył na swoją siostrę, która

wyszła na ulicę nie oglądawszy się nawet za siebie.

- Nie zadawaj sobie trudu, Tom - powiedział. - I tak kosztowało to niedrogo.

30 września 1938 premier wrócił z Monachium, gdzie prowadził negocjacje z niemieckim kanclerzem. Charlie'ego nie przekonał dokument, deklarujący "honorowy pokój dla naszych czasów", którym wymachiwał przed kamerami pan Chamberlain, ponieważ wysłuchawszy opowieści Bena Schuberta o tym, co dzieje się w Niemczech, był przekonany, że wojna jest nieunikniona. W parlamencie rozważano już możliwość ogłoszenia poboru dwudziestoletnich mężczyzn, a Charlie, pamiętając o Danielu, który kończył ostatni rok szkoły St. Paul's i miał zdawać egzaminy wstępne na uniwersytet, nie mógł znieść myśli o tym, że miałby stracić syna w kolejnej wojnie z Niemcami. Kiedy w kilka tygodni później Daniel otrzymał stypendium do Trinity College w Cambridge, zwiększyło to tylko obawy jego ojca.

Hitler wkroczył do Polski 1 września 1939 i Charlie zdał sobie sprawę, że w opowieściach Bena Schuberta nie było przesady. W dwa dni później Anglia przystąpiła do wojny.

Przez kilka pierwszych tygodni po ogłoszeniu tego faktu panował kontrastujący z poprzednim podnieceniem spokój i gdyby nie wzrost liczby umundurowanych żołnierzy spacerujących po Chelsea Terrace oraz spadek obrotów, Charlie mógłby w ogóle nie zauważyć, że Anglia znajduje się w stanie wojny.

W tym okresie na sprzedaż wystawiona została jedynie restauracja. Charlie zaoferował panu Scallini godziwą cenę, którą ten ostatni zaakceptował bez dyskusji, a potem czmychnął do swej rodzinnej Florencji. Miał więcej szczęścia niż inni, którzy zostali internowani za sam fakt posiadania włoskiego nazwiska. Charlie natychmiast zamknął restaurację, bo nie był pewien, jak wykorzystać lokal; jadenie na mieście nie należało do najważniejszych potrzeb Brytyjczyków w roku 1940. Kiedy Charlie przejął wieczystą dzierżawę od Scalliniego, w obcych rękach pozostały tylko sklepy członków Stowarzyszenia, którego przewodniczącym był Wrexall, oraz księgarnia, ale wszyscy z każdym dniem coraz wyraźniej zdawali sobie sprawę, jak wielkie znaczenie ma nie zasiedlony budynek mieszkalny, nadal będący własnością pani Trentham.

7 września 1940 pozorny spokój dobiegł końca, gdyż Luftwaffe przeprowadziła zmasowany nalot na stolicę. Od tej pory londyńczycy zaczęli masowo przenosić się na prowincję. Charlie nadal pozostał niewzruszony i kazał nawet umieścić na wystawach wszystkich swych sklepów napisy: "Handlujemy jak zwykle". Jedynym ustępstwem, jakie uczynił na rzecz Hitlera, było przeniesienie swej sypialni do suterenu i zmiana wszystkich firanek na czarne zasłony.

W dwa miesiące później Charlie został obudzony w środku nocy przez dyżurnego funkcjonariusza policji, który poinformował go, że na Chelsea Terrace spadła pierwsza bomba. Przebiegł całą drogę z Little Boltons wzdłuż Tregunter Road w szlafroku i pantoflach, by przekonać się, jakie są straty.

- Czy ktoś zginął? - spytał, nie przerywając biegu.

- O ile wiemy, nie - odparł policjant, próbując dotrzymać mu kroku.

- W który sklep trafiła bomba?

- Nie potrafię panu odpowiedzieć na to pytanie, panie Trumper.

Wiem tylko, że wygląda to tak, jakby paliła się cała Chelsea Terrace.

Wypadając zza rogu Fulham Road Charlie ujrzał strzelające w niebo jasne płomienie i kłęby czarnego dymu. Bomba trafiła w sam środek budynku mieszkalnego pani Trentham, doszczętnie go burząc, a równocześnie rozbijając trzy szyby wystawowe Charlie'ego i nadwerężając dach sklepu z szalami i kapeluszami.

Kiedy straż pożarna odjechała wreszcie z Chelsea Terrace, z budynku mieszkalnego pozostała tylko szara, dymiąca ruina, stojąca w samym środku odcinka ulicy. W miarę mijania kolejnych tygodni Charlie aż zbyt wyraźnie uświadamiał sobie to, co było oczywiste: że pani Trentham nie zamierza zrobić nic z kupą gruzów, która dominowała teraz nad Chelsea Terrace.

W maju 1940 Winston Churchill zastąpił Chamberlaina na stanowisku premiera, co wzbudziło w Charlie'm nieco większe nadzieje na przyszłość. Rozmawiał nawet z Becky o swym zamiarze ponownego wstąpienia do wojska.

- Czy przyglądałeś się sobie ostatnio w lustrze? - spytała ze śmiechem jego żona.

- Mógłbym wrócić do dobrej formy, wiem, że jest to możliwe - odparł Charlie, wciągając brzuch. - Zresztą, potrzebni są nie tylko żołnierze frontowi.

- Możesz zrobić dla społeczeństwa znacznie więcej dbając o to, by sklepy były otwarte i dobrze zaopatrzone.

- Arnold potrafiłby to zrobić równie dobrze jak ja - stwierdził Charlie. - Co więcej, on jest ode mnie o piętnaście lat starszy.

Niechętnie przyznał jednak w końcu Becky rację, kiedy złożyła im wizytę Daphne, by powiedzieć, że Percy wstąpił ponownie do swego dawnego pułku. - Dzięki Bogu powiedzieli mi, że jest za stary, by tym razem służyć poza krajem - wyznała. - Wylądował więc za biurkiem w Ministerstwie Wojny.

Następnego dnia po południu, kiedy Charlie sprawdzał postępy prac remontowych przeprowadzanych po kolejnym nocnym bombardowaniu, Tom Arnold poinformował go, że Syd Wrexall i członkowie jego Stowarzyszenia zaczynają mówić o sprzedaży pozostałych jedenastu sklepów i baru "Muszkieter".

- Nie ma powodów do pośpiechu w tej sprawie - powiedział Charlie. - W ciągu roku gotowi będą oddać je za darmo.

- Ale do tej pory może kupić je za bezcen pani Trentham.

- Nie robi tego, jak długo trwa ta wojna. Ta cholerna baba i tak dobrze wie, że nie mogę nic przedsięwziąć, dopóki na środku Chelsea Terrace tkwi ten przeklęty krater.

- Och, do diabła - zawołał Tom, bo rozległy się syreny - Muszą znowu nadlatywać.

- Z pewnością - odparł Charlie, patrząc w niebo. - Sprowadź cały personel do piwnic... i to szybko. - Wybiegł na ulicę, której środkiem jechał na rowerze jakiś członek Patrolu Obrony Przeciwlotniczej, wrzeszcząc na całe gardło, że wszyscy mają się ukryć na najbliższej stacji kolejki podziemnej. Tom Arnold tak dobrze wyćwiczył kierowników, że potrafili w ciągu pięciu minut zamknąć sklepy i sprowadzić do piwnic klientów i członków personelu, wyposażonych w latarki i drobny zapas żywności. Zawsze przypominało to Charlie'emu okres strajku generalnego. Kiedy siedzieli w wielkim magazynie pod numerem 1, czekając na odwołanie alarmu, Charlie rozejrzał się po zebranych i zdał sobie sprawę, ilu jego najlepszych pracowników opuściło już firmę, by wstąpić do armii. Zostały mu już tylko niecałe dwie trzecie stałego personelu, a większość tych dwóch trzecich stanowiły kobiety.

Niektórzy kołysali trzymane na rękach dzieci, inni próbowali spać.

Zebrani w kącie stali bywalcy baru kontynuowali partię szachów, jakby wojna była tylko drobną przeszkodą. Dwie młode dziewczyny ćwiczyły na niewielkiej pozostałej wolnej przestrzeni kroki modnego tańca. Część zgromadzonych w schronie po prostu spała.

Wszyscy słyszeli padające nad ich głowami bomby, a Becky oznajmiła Charlie'emu, że jej

zdaniem jedna z nich musiała spaść niedaleko. - Może na bar Syda Wrexalla? - powiedział Charlie, usiłując powstrzymać uśmiech. - To go odoczy niedolewania do pełna. - W końcu rozległa się syrena odwołująca alarm i wszyscy wyszli na powietrze, nasycone pyłem i popiołami.

- Miałaś rację mówiąc o barze Wrexalla - stwierdziła Becky, kierując wzrok w stronę narożnika ulicy, ale Charlie nie patrzył na "Muszkietera".

Spojrzenie Becky pobiegło za jego wzrokiem. Jedna z bomb wylądowała w samym środku sklepu z owocami i warzywami.

- Dranie - powiedział Charlie. - Tym razem posunęli się zbyt daleko. Teraz wstąpię do wojska.

- Ale co to da?

- Nie wiem. Ale przynajmniej będę miał poczucie, że uczestniczę w tej wojnie, a nie przyglądam się jej z boku.

- A co ze sklepami? Kto będzie nimi kierował?

- Podczas mojej nieobecności może się nimi zająć Arnold.

- A co będzie z Danielem i ze mną? Czy Tom ma się zająć również nami? - spytała, podnosząc głos.

Charlie milczał przez chwilę, rozważając punkt widzenia Becky.

- Daniel jest na tyle dorosły, by o siebie zadbać, a ty będziesz stale zajęta pilnowaniem, żeby firma nie poszła na dno. Więc nie mów więcej ani słowa, Becky, bo podjąłem już decyzję.

Becky wiedziała, że nie może zrobić ani powiedzieć nic, co powstrzymałoby go od wstąpienia do wojska. Ku jej zaskoczeniu Królewscy Strzelcy bardzo chętnie przyjęli na powrót do swych szeregów dawnego sierżanta i natychmiast wysłali go do obozu szkoleniowego nieopodal Cardiff.

W obecności zdenerwowanego Toma Arnolda Charlie ucałował żonę i czule objął syna, a potem uściśnął dłoń swego naczelnego dyrektora i raz jeszcze pomachał im wszystkim na pożegnanie.

Jadąc do Cardiff pociągiem, pełnym zapalonych, niewiele starszych niż Daniel gołowąsów - z których większość uparcie zwracała się do niego "sir" - poczuł się bardzo stary. Na dworcu czekała na nowych rekrutów rozklekotana ciężarówka, która dowiozła ich bezpiecznie do koszar.

- Miło znów cię widzieć, Trumper - powiedział ktoś głośno, kiedy Charlie, po raz pierwszy od dwudziestu lat, wszedł na plac apelowy.

- Stan Russell. Dobry Boże, jesteś teraz sierżantem szefem kompanii. Byłeś tylko kapralem, kiedy...

23 - Prosto jak strzelił - Tak, jestem sierżantem szefem. - Stan ściszył głos do szeptu. - I postaram się, żebyś nie był traktowany tak samo jak inni, stary kolego.

- Lepiej tego nie rób, Stan. Ja powinienem być traktowany gorzej niż inni - powiedział Charlie, kładąc obie dłonie na swym brzuchu.

Choć starsi wiekiem podoficerowie odnosili się do Charlie'ego łagodniej niż do nie wyszkolonych rekrutów, pierwszy tydzień zasadniczego szkolenia uświadomił mu boleśnie, jak mało dbał o swoją formę w ciągu minionych dwudziestu lat. Kiedy był głodny, szybko odkrył, że jedzenie, które ma mu do zaoferowania wydział aprowizacji armii, trudno nazwać smacznym, a próbując co noc zasnąć na twardych sprężynach, które trzymały się razem dzięki grubemu na dwa cale materacowi z końskiego włosia, nie czuł bynajmniej sympatii do herr Hitlera.

Pod koniec drugiego tygodnia awansowano go na kaprala i powiedziano mu, że jeśli zechce zostać w Cardiff jako instruktor, może objąć natychmiast stanowisko instruktora szkoleniowego w randze kapitana.

- Czyżbyście spodziewali się Niemców w Cardiff? - spytał Charlie. - Nie miałem pojęcia, że grywają w rugby.

Powtórzono jego wypowiedź dowódcy obozu szkoleniowego, pozostał więc nadal kapralem i kontynuował zasadnicze szkolenie. Po ośmiu tygodniach awansowano go na sierżanta i dano mu własny pluton, który miał szkolić i utrzymywać w formie, przygotowując żołnierzy do wyjazdu na front, gdziekolwiek by się on znajdował.

Od tej pory nie pozwalał swoim ludziom ustępować nikomu w żadnej rywalizacji - od strzelania do boksu - a "Teriery Trumpera" w ciągu następnych czterech tygodni wyznaczały poziom wyszkolenia, do którego musiał dostosowywać się cały batalion.

Na dziesięć dni przed zakończeniem kursu Stan Russell poinformował Charlie'ego, że ich batalion zostanie wysłany do Afryki, gdzie przyłączy się do walczących na pustyni oddziałów Wavella.

Charlie był zachwycony tą informacją, ponieważ od dawna podziwiał tego "poetę-generała".

Sierżant Trumper spędził znaczną część tego ostatniego tygodnia pomagając swym chłopcom pisać listy do rodzin i narzeczonych. Sam zamierzał przyłożyć pióro do papieru dopiero w ostatnim momencie. Na tydzień przed wyjazdem wyznał Stanowi, że czuje się na siłach stawić czoła Niemcom tylko w wojnie słownej.

Demonstrował właśnie swemu plutonowi karabin maszynowy, tłumacząc, jak się go zabezpiecza i ładuje, kiedy nadbiegł jakiś zaczerwieniony z wysiłku porucznik.

- Trumper!

- Tak jest, sir - odparł Charlie, stając na baczność.

- Macie się stawić natychmiast u dowódcy obozu.

- Tak jest, sir. - Charlie polecił kapralowi, by kontynuował zajęcia, i pobiegł za porucznikiem.

- Dlaczego tak biegniemy? - spytał go.

- Ponieważ dowódca obozu poruszał się biegiem, kiedy mnie po was wysłał.

- W takim razie musi chodzić co najmniej o zdradę stanu.

- Bóg raczy wiedzieć, o co chodzi, sierżancie, ale przekonacie się o tym niedługo - stwierdził porucznik, kiedy stanęli pod drzwiami dowódcy. Sierżant wszedł bez pukania, a Charlie postępował o pół kroku za nim.

- Sierżant Trumper, 7312087, melduje się...

- Darujcie sobie te bzdury, Trumper - powiedział pułkownik, chodząc nerwowo w tę i z powrotem i uderzając swą trzcinką w cholewę buta. - Mój samochód czeka na was przy bramie. Macie jechać prosto do Londynu.

- Do Londynu, sir?

- Tak, Trumper, do Londynu. Telefonował do mnie sam pan Churchill. Chce z wami rozmawiać, i to jak najszybciej.

ROZDZIAŁ 28

Kierowca pułkownika robił wszystko, co było w jego mocy, by dowieźć sierżanta Trumpera do Londynu możliwie jak najszybciej.

Stale przyciskał pedał gazu, usiłując utrzymać wskazówkę prędkościomierza powyżej kreski oznaczającej osiemdziesiąt mil na godzinę. Było to jednak dość niebezpieczne przedsięwzięcie, gdyż stale wstrzymywały ich kolumny żołnierzy, ciężarówek transportowych, a nawet w jednym przypadku czołgów. Kiedy dotarli w końcu do przedmieścia Chiswick, obowiązywało już zaciemnienie, a ich podróż na Downing Street opóźnił alarm przeciwlotniczy, zaś po jego odwołaniu niezliczone punkty kontroli drogowej.

Choć Charlie miał sześć godzin na zastanawianie się nad przyczynami, dla których chce z nim rozmawiać pan Churchill, wysiadając pod domem z numerem 10 wcale nie był bliższy konkluzji niż w momencie wyjazdu z koszar w Cardiff wczesnym popołudniem.

Kiedy podał swe nazwisko stojącemu przy drzwiach policjantowi, funkcjonariusz zajrzał do notesu, a potem mocno zastukał mosiężną kołatką i poprosił go do środka. Pierwszą reakcją Charlie'ego po wejściu do hallu było zaskoczenie skromnymi rozmiarami rezydencji premiera w porównaniu z domem Daphne przy Eaton Square.

Młoda kobieta w oficerskim mundurze żeńskich oddziałów pomocniczych powitała czterdziestokilkuletniego sierżanta i wprowadziła go do poczekalni.

- Pan premier rozmawia w tej chwili z ambasadorem Stanów Zjednoczonych - wyjaśniła. - Ale sądzę, że jego spotkanie z panem Kennedym nie potrwa już długo.

- Dziękuję - powiedział Charlie.

- Czy ma pan ochotę na filiżankę herbaty?

- Nie, dziękuję. - Charlie był zbyt zdenerwowany, by myśleć o wypiciu czegokolwiek. Gdy kobieta zamknęła za sobą drzwi, wziął ze stojącego obok stolika egzemplarz pisma "Liliput" i zaczął go przerzucać, ale nie próbował nawet zrozumieć sensu poszczególnych słów.

Przekartkowawszy wszystkie leżące na stoliku czasopisma - jeszcze starsze niż te, które czytywał w poczekalni swego dentysty - zwrócił uwagę na wiszące na ścianie obrazy. Wellington, Palmerston i Disraeli - drugorzędne portrety, których Becky nie chciałyby wystawić na sprzedaż pod numerem pierwszym. Mój Boże - pomyślał - ona nawet nie wie, że jestem w Londynie. - Patrzył na stojący na komódce telefon, zdając sobie sprawę, że nie może dzwonić z rezydencji premiera rządu. Zaczął bezradnie chodzić po pokoju, jak pacjent czekający na ostateczny werdykt lekarza. Nagle otworzyły się drzwi i weszła ta sama kobieta, która go tu przyprowadziła.

- Pan premier prosi pana do siebie, panie Trumper - powiedziała i poprowadziła go w górę

wąską klatką schodową, na której ścianach wisiały oprawione fotografie byłych premierów. U jej szczytu stał na szeroko rozstawionych nogach niewysoki mężczyzna, trzymając się pod boki i patrząc na niego wyzywająco.

- Witam, panie Trumper - powiedział Churchill wyciągając rękę. - To miło z pańskiej strony, że przyjechał pan tak szybko. Mam nadzieję, że nie oderwałem pana od żadnych ważnych zajęć.

Tylko od zajęć szkoleniowych poświęconych karabinowi maszynowemu - pomyślał Charlie, idąc za powłóczącym nogami mężczyzną do jego gabinetu, ale postanowił nie wspominać o tym fakcie na głos. Churchill wskazał mu wygodny fotel, stojący obok huczącego kominka; Charlie spojrzał na płonące kłody drewna i przypomniał sobie apele premiera, wzywające społeczeństwo do oszczędzania węgla.

- Musi pan być ciekaw, o co właściwie chodzi - powiedział premier, zapalając cygaro i otwierając leżącą na jego kolanach teczkę z aktami. Potem zaczął je wertować.

- Owszem, sir - przyznał Charlie, ale ta odpowiedź nie skłoniła jego rozmówcy do żadnych wyjaśnień. Churchill nadal czytał leżące przed nim obszerne notatki.

- Widzę, że mamy z sobą coś wspólnego.

- Tak, panie premierze?

Obaj służyliśmy podczas Wielkiej Wojny.

- Wojny, która miała skończyć wszystkie wojny.

- Tak, w tym również się pomylił, prawda? - powiedział Churchill. - No tak, ale on był politykiem. - Zachichotał cicho i znów zaczął czytać akta. Nagle podniósł wzrok. - Tak czy owak, obaj mamy do odegrania znacznie ważniejsze role w tej wojnie, panie Trumper, więc nie mogę pozwolić na to, żeby tracił pan czas ucząc rekrutów obsługi karabinu maszynowego.

Ten cholerny facet wiedział to od początku - pomyślał Charlie.

- Kiedy kraj prowadzi wojnę, panie Trumper - powiedział premier, zamykając teczkę z aktami - ludzie wyobrażają sobie, że posiadanie większej ilości wojska i lepszego sprzętu może zagwarantować zwycięstwo. Ale wojny mogą być wygrane lub przegrane w wyniku czegoś, na co generałowie dowodzący na polu bitwy nie mają wpływu. Mały klin może uniemożliwić płynne obracanie się kółek. Właśnie dziś ustanowiłem nowy departament Ministerstwa Wojny, który będzie zajmował się rozpracowywaniem szyfrów.

Ukradłem z Cambridge dwóch najlepszych profesorów, jakich tam mieli, razem z ich asystentami, żeby pomogli nam rozwiązać ten problem. To są bezcenne kliny, Trumper.

- Owszem, sir - odparł Charlie, nie mając pojęcia, o czym mówi Churchill.

- Mam obecnie inny tego rodzaju problem, panie Trumper, a moi doradcy mówią mi, że jest pan człowiekiem, który może go rozwiązać.

- Dziękuję, sir.

- Chodzi o żywność, panie Trumper, a co ważniejsze, o dystrybucję żywności. Odpowiedzialny za tę sprawę minister, lord Woolton, donosi mi, że nasze dostawy wysychają. Nie możemy nawet przetransportować wystarczającej ilości kartofli z Irlandii. Więc jeden z moich najważniejszych problemów polega na tym, jak napełnić żołądki społeczeństwa i przerzucić wojnę na terytorium wroga, nie dopuszczając równocześnie do zablokowania naszych kanałów zaopatrzenia. Minister mówi mi, że kiedy żywność przybywa do portów, mijają czasem tygodnie, zanim zostanie rozwieszona, a nawet wtedy często ląduje pod niewłaściwym adresem.

Na dodatek - ciągnął premier - nasi rolnicy skarżą się, że nie mogą wykonać swych zadań, bo

powołujemy najlepszych ludzi do armii, a oni w zamian za to nie otrzymują od rządu żadnego poparcia. - Przerwał na chwilę, by ponownie zapalić cygaro. - Szukam więc człowieka, który przez całe życie kupował, sprzedawał i rozprowadzał żywność, kogoś, kto miał kontakt z rynkiem i kto jest szanowany zarówno przez farmerów, jak i przez dostawców.

Krótko mówiąc, panie Trumper, potrzebuję właśnie pana. Chcę, aby współpracował pan z Wooltonem jako jego prawa ręka i zapewnił nam wystarczające dostawy, a potem dopilnował, aby te dostawy trafiły do właściwych rąk. Nie mogę sobie wyobrazić ważniejszego zadania. Mam nadzieję, że zechce pan podjąć to wyzwanie.

Chęć jak najszybszego rozpoczęcia pracy musiała odbić się w oczach Charlie'ego, bo premier nie czekał nawet na jego odpowiedź.

- Dobrze, widzę, że rozumie pan z grubsza, o co chodzi. Chciałbym, żeby zgłosił się pan do Ministerstwa Apropowizacji jutro o ósmej rano.

Samochód odbierze pana z domu o siódmej czterdzieści pięć.

- Dziękuję, sir - powiedział Charlie, nie tłumacząc premierowi, że w normalnych warunkach każdy samochód, który przyjechałby po niego o siódmej czterdzieści pięć, byłby o przeszło trzy godziny spóźniony.

- I jeszcze jedno, panie Trumper. Zamierzam mianować pana brygadierem, żeby zwiększyć pański autorytet.

- Wolałbym zostać zwykłym Charlesem Trumperem.

- Dlaczego?

- Bo może nadejść chwila, w której będę musiał arogancko potraktować jakiegoś generała.

Premier wyjął cygaro z ust i ryknął śmiechem, a potem odprowadził swego gościa do drzwi. - Panie Trumper - powiedział, kładąc dłoń na ramieniu Charlie'ego - gdyby kiedykolwiek zaszła taka potrzeba, proszę bez wahania kontaktować się ze mną, o ile uzna pan, że mogę w czymś pomóc. O każdej porze dnia i nocy. Nie tracę wiele czasu na sen.

- Dziękuję, sir - odparł Charlie, ruszając po schodach w dół.

- Życzę powodzenia, panie Trumper, i niech się pan postara wyżywić społeczeństwo.

Kobieta w mundurze oficera odprowadziła Charlie'ego do samochodu i zasalutowała mu, gdy siadał na przednim siedzeniu, co bardzo go zdziwiło, gdyż nadal był w mundurze sierżanta.

Kazał kierowcy odwieźć się do Little Boltons przez Chelsea Terrace. Jadąc powoli uliczkami East Endu ze smutkiem oglądał historyczne budynki tak bardzo zniszczone przez Luftwaffe; zdawał sobie jednak sprawę, że wszyscy mieszkańcy Londynu ucierpieli na skutek nieustannych niemieckich nalotów.

Kiedy dotarł do domu, Becky otworzyła drzwi i zarzuciła mu ręce na szyję. - Czego chciał od ciebie Churchill? - brzmiało jej pierwsze pytanie.

- Skąd wiedziałaś, że mam się widzieć z premierem?

- Ci ludzie z Downing Street dzwoniли najpierw tutaj, żeby się dowiedzieć, gdzie można cię znaleźć. Więc czego on chciał?

- Chciał znaleźć kogoś, kto będzie mu regularnie dostarczał owoce i jarzyny.

Charlie polubił swego nowego szefa od pierwszej chwili. James Woolton objął Ministerstwo Apropowizacji dzięki swej reputacji znakomitego biznesmena, ale przyznał, że nie ma doświadczenia w dziedzinie, którą miał się zajmować Charlie, i obiecał mu daleko idące poparcie swego resortu.

Charlie otrzymał wielki gabinet, położony na tym samym piętrze, na którym urzędował minister.

Oddano też do jego dyspozycji czternastoosobowy personel, na którego czele stał młody osobisty asystent, Arthur Selwyn, świeżo upieczony absolwent Oksfordu.

Charlie przekonał się szybko, że ma on umysł ostry jak brzytwa i choć nie posiadał doświadczenia w świecie handlu żywnością, nigdy nie trzeba mu było niczego powtarzać dwukrotnie.

Marynarka oddelegowała do jego dyspozycji osobistą sekretarkę, która nazywała się Jessica Allen i gotowa była pracować w tych samych godzinach co on. Charlie zastanawiał się, dlaczego tak atrakcyjna i inteligentna dziewczyna nie prowadzi żadnego życia towarzyskiego, dopóki nie przestudiował uważnie jej akt personalnych i nie odkrył, że jej narzeczony zginął na plaży pod Dunkierką.

Szybko wrócił do swych dawnych zwyczajów i przychodził do biura o czwartej trzydzieści, zanim jeszcze pojawiły się sprzątaczkę, mógł więc aż do ósmej studiować dokumenty nie obawiając się, że ktoś mu przeszkodzi.

Dzięki szczególnemu charakterowi misji Charlie'ego i niedwuznacznemu poparciu ministra, otwierały się przed nim wszystkie drzwi. Już w ciągu pierwszego miesiąca większość jego współpracowników zaczęła przychodzić do pracy o piątej, choć, jak się okazało, tylko Selwyn miał dość sił, by siedzieć z nim do późnych godzin nocnych.

W ciągu tego pierwszego miesiąca zajmował się wyłącznie czytaniem sprawozdań i wysłuchiowaniem opinii Selwyna na temat problemów, które stały przed ministerstwem od niemal roku. Od czasu do czasu wpadał do ministra, by poprosić o wyjaśnienie jakiegoś punktu, którego dokładnie nie rozumiał.

W ciągu drugiego miesiąca Charlie postanowił odwiedzić wszystkie ważniejsze porty Anglii, by dowiedzieć się, co wstrzymuje dystrybucję żywności, którą pozostawiano niekiedy przez wiele dni w magazynach doków, narażając ją na zepsucie. Kiedy dojechał do Liverpoolu, szybko odkrył, że dostawy artykułów spożywczych słusznie spychano na drugi plan w przypadku konieczności transportowania żołnierzy i czołgów. Zaproponował więc, by jego ministerstwo uruchomiło własny tabor pojazdów, których jedynym zadaniem byłoby rozwożenie dostaw żywności po całym kraju.

Wooltonowi udało się w jakiś sposób zdobyć sześćdziesiąt dwie ciężarówki, z których większość - jak przyznał - została odrzucona przez wojsko. - Trochę tak jak ja - powiedział Charlie. Ale nawet minister nie potrafił znaleźć kierowców, którzy mogliby je prowadzić.

- Skoro nie możemy zdobyć mężczyzn, panie ministrze, potrzebuję dwustu kobiet - oznajmił Charlie i mimo łagodnych docinków autorów rysunków satyrycznych, wyśmiewających się z kobiet-kierowców, już po miesiącu żywność była wywożona z doków w ciągu kilku godzin po jej rozładunku.

Dokerzy przychylnie traktowali kobiety prowadzące ciężarówki, a przywódcy związków zawodowych nie mogli zrozumieć, dlaczego Charlie rozmawiając z nimi mówi innym akcentem niż podczas negocjacji ministerialnych.

Kiedy zanosilo się na to, że gordyjski węzeł dystrybucji zostanie rozwiązany, Charlie stanął w obliczu dwóch nowych problemów. Z jednej strony krajowi farmerzy skarżyli się, że nie mogą nadażyć z produkcją, gdyż wojsko zabiera im najlepszych ludzi; z drugiej strony nie można było sprowadzić wystarczającej ilości towarów z zagranicy, gdyż utrudniały to skuteczne operacje niemieckich łodzi podwodnych.

Charlie znalazł dwa alternatywne rozwiązania i przedstawił je Wooltonowi pod rozwagę. - Dał

mi pan dziewczyny do ciężarówek, proszę dostarczyć mi teraz dziewcząt do pracy na roli - powiedział.

- Potrzebuję ich pięć tysięcy, bo tylu par rąk do pracy brakuje podobno farmerom.

Następnego dnia Woolton udzielił wywiadu BBC i wygłosił specjalny apel do społeczeństwa, prosząc młode kobiety, by zechciały pracować na roli. W ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin zgłosiło się pięćset kandydatek, a rekrutacja potrzebnych Charlie'emu pięciu tysięcy zajęła dziesięć tygodni. Charlie przyjmował zgłoszenia, dopóki liczba chętnych nie osiągnęła siedmiu tysięcy, i z satysfakcją powitał uśmiech zadowolenia, który pojawił się na twarzy prezesa Związku Zawodowego Rolników.

Zastanawiając się nad problemem dostaw z zagranicy, Charlie poradził Wooltonowi, by wobec braku kartofli sprowadzać w ich miejsce ryż. - Ale skąd go weźmiemy? - spytał Woolton. - Transport z Chin czy Dalekiego Wschodu jest zbyt niebezpieczny, by brać go w tej chwili poważnie pod uwagę.

- Wiem o tym - odparł Charlie - ale znam dostawcę w Egipcie, który dostarczy nam milion ton miesięcznie.

- Czy można mu ufać?

- Bynajmniej - odparł Charlie. - Ale jego brat nadal pracuje na East Endzie, więc gdybyśmy internowali go na kilka miesięcy, udałoby nam się chyba jakoś dobić targu z pozostałymi członkami tej rodziny.

- Jeśli dziennikarze dowiedzą się o naszych poczynaniach, rozerwą mnie na strzępy, Charlie.

- Ja im nie powiem, panie ministrze.

Następnego dnia Eli Calil został ku swemu zaskoczeniu internowany w więzieniu Brixton, a Charlie poleciał do Kairu, by zawrzeć z jego bratem umowę na dostawę miliona ton ryżu miesięcznie - ryżu, który był pierwotnie przeznaczony dla Włochów.

Ustalili wspólnie, że należność można będzie regulować w połowie w funtach, a w połowie w piastrach i że jeśli transporty zawsze będą przybywać punktualnie, dokumenty finansowe nie zostaną wysyłane do Kairu. Jeśli natomiast nastąpią jakieś zakłócenia w dostawach, rząd egipski dowie się szczegółowo o całej transakcji.

- Jak zawsze stawiasz sprawę uczciwie, Charlie. Ale co będzie z moim bratem Eli? - spytał Nasim Calil.

- Wypuścimy go po zakończeniu wojny, ale tylko pod warunkiem, że każdy transport przybędzie w ustalonym terminie.

- To również bardzo życzliwie z waszej strony - odparł Nasim. - Kilkuletni pobyt w więzieniu nie zaszkodzi mojemu bratu. Bądź co bądź jest jednym z nielicznych członków mojej rodziny, którzy nie zostali jeszcze internowani przez rząd Jego Królewskiej Mości.

Charlie starał się spędzać ze dwie godziny tygodniowo z Tomem Arnoldem, by śledzić na bieżąco bieg wydarzeń na Chelsea Terrace. Tom zameldował mu, że w obecnych warunkach firma stale przynosi straty, w związku z czym uznał za konieczne zamknięcie pięciu sklepów i zabicie deskami następnych czterech. Zmartwiło to Charlie'ego, ponieważ niedawno otrzymał od Syda Wrexalla list z propozycją kupna wszystkich kontrolowanych przez niego sklepów i zbombardowanego narożnego baru za sześć tysięcy funtów, czyli za sumę - jak pisał Wrexall - którą Charlie sam mu niegdyś proponował. Wrexall przesłał Arnoldowi odnośne dokumenty i list, w którym stwierdzał, że chcąc zawrzeć tę transakcję, Charlie musi jedynie podpisać czek.

Charlie przestudiował przysланą przez Wrexalla umowę i powiedział: - Złożyłem mu tę ofertę na

długo przed wybuchem wojny.

Odeślij mu wszystkie papiery. Jestem przekonany, że w przyszłym roku o tej porze odda te sklepy za cztery tysiące. Ale staraj się utrzymać z nim dobre stosunki, Tom.

- To może okazać się dość trudne - odparł Arnold, - Po zbombardowaniu "Muszkietera" przeniósł się do Cheshire. Prowadzi teraz wiejski bar w miejscowości o nazwie Hatherton.

- To jeszcze lepiej - stwierdził Charlie. - Nie zobaczymy go więcej. Jestem teraz jeszcze bardziej przekonany, że w ciągu roku dojrzeje do zawarcia transakcji, więc na razie po prostu zignoruj jego list. W końcu poczta jest obecnie bardzo zawodna.

Charlie musiał pożegnać się z Tomem i pojechać do Southampton, dokąd nadszedł pierwszy transport ryżu od Calila. Dziewczeta prowadzące ciężarówki chciały ładować worki, ale kierownik portu odmawiał ich wydania, dopóki nie otrzyma pełnej i podpisanej dokumentacji. Była to podróż, której Charlie wolałby uniknąć, a w każdym razie nie zamierzał jej odbywać co miesiąc.

Po przybyciu do portu szybko przekonał się, że nie ma żadnych problemów ze związkami zawodowymi, które zgadzały się na rozładunek całego transportu, ani z dziewczętami, które siedziały spokojnie na zderzakach swych ciężarówek, gotowe do odbioru towaru.

Przy kuflu piwa w miejscowym barze Alf Redwood, przywódca związku dokerów, ostrzegł Charlie'ego, że pan Simkins, kierownik Urzędu Portu i Doków, jest pedantycznym biurokratą i lubi stosować się ściśle do przepisów.

- Naprawdę? - spytał Charlie. - No cóż, w takim razie będę musiał stosować się do przepisów, prawda? - Zapłacił za kolejkę i poszedł do budynku administracji portu, gdzie spytał o pana Simkinsa.

- Jest w tej chwili dość zajęty - oznajmiła sekretarka, nie podnosząc głowy i nadal malując sobie paznokcie. Charlie minął ją bez słowa i wszedł do gabinetu jej szefa, gdzie zastał chudego, łysiejącego mężczyznę, który siedział samotnie za wielkim biurkiem i maczał herbatnika w filiżance z herbatą.

- Kim pan jest? - spytał urzędnik portowy, tak zaskoczony, że herbatnik wpadł mu do herbaty.

- Jestem Charlie Trumper. Przyjechałem tu, by dowiedzieć się, dlaczego nie odprawia pan mojego ryżu.

- Nie mam do tego podstaw prawnych - stwierdził Simkins, usiłując wyłowić herbatnika, który pływał teraz na powierzchni. - Z Kairu nie nadeszły oficjalne listy przewozowe, a pańskie dokumenty przysłane z Londynu, bynajmniej nie wystarczą. - Spojrzał na Charlie'ego i uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją.

- Ale skompletowanie dokumentacji może zająć mi kilka dni.

- To już nie mój problem.

- Człowieku, przecież prowadzimy wojnę.

- I właśnie dlatego musimy wszyscy trzymać się przepisów.

Jestem pewien, że Niemcy to robią.

- Nic mnie nie obchodzi, co robią Niemcy - odparł Charlie. - Będę co miesiąc odbierał z tego portu milion ton ryżu i chcę, żeby został on rozprowadzony jak najszybciej, do ostatniego ziarenka.

Czy wyraziłem się jasno?

- Z pewnością, panie Trumper, ale nadal wymagam, aby przedstawił mi pan kompletną dokumentację, zanim będzie pan mógł odebrać swój ładunek.

- Polecam panu natychmiast wydać ten ryż - warknął Charlie, tym razem trochę głośniej.

- Nie ma potrzeby podnosić głosu, panie Trumper, bo jak już wyjaśniłem, nie ma pan prawa wydawania mi żadnych poleceń.

Urząd Portu i Doków nie podlega, jak pan z pewnością wie, Ministerstwu Apropowizacji. Na pana miejscu wróciłbym do Londynu i postarał się skompletować te dokumenty bardziej starannie.

Charlie czuł się zbyt stary, by go uderzyć, więc po prostu podniósł słuchawkę stojącego na biurku Simkinsa telefonu i poprosił o połączenie go z pewnym numerem.

- Co pan robi? - spytał Simkins. - To mój telefon... pan nie ma prawa używać mojego telefonu.

Charlie, nadal trzymając słuchawkę przy uchu, odwrócił się do niego plecami. Kiedy usłyszał w niej głos osoby, która odebrała telefon, powiedział: - Mówi Charlie Trumper. Czy może mnie pani połączyć z premierem?

Policzki Simkinsa zrobiły się najpierw czerwone, a potem tak białe, jakby całkiem odpłynęła z nich krew. - Naprawdę nie ma potrzeby... - zaczął.

- Dzień dobry, sir - powiedział Charlie. - Jestem w Southampton. Chodzi o ten problem z ryżem, o którym wspominałem panu wczoraj wieczorem. Władze portowe stawiają pewne przeszkody.

Nie bardzo potrafię...

Simkins machał teraz gorączkowo rękami jak sygnalizujący marynarz, pragnąc zwrócić na siebie uwagę Charlie'ego, a równocześnie nerwowo potakiwał ruchem głowy.

- Mam dostawać co miesiąc milion ton, panie premierze, a tymczasem dziewczęta po prostu siedzą na...

- Wszystko będzie w porządku - wyszeptał Simkins, zaczynając krążyć wokół Charlie'ego. - Zapewniam pana, że wszystko będzie w porządku.

- Czy chce pan rozmawiać z odpowiedzialnym za te sprawy urzędnikiem, sir?

Nie, nie - jęczał Simkins. - To nie jest konieczne. Mam wszystkie dokumenty, wszystkie niezbędne dokumenty, wszystkie...

- Przekażę mu to, sir - powiedział do słuchawki Charlie i dodał po krótkiej pauzie: - Mam wrócić do Londynu dziś wieczorem. Tak, sir, tak, złożę panu raport zaraz po powrocie. Do widzenia, panie premierze.

- Do widzenia - powiedziała Becky, odkładając słuchawkę. - I nie wątpię, że dziś wieczorem, po powrocie do domu, wyjaśnisz mi, o co w tym wszystkim chodziło.

Minister wybuchnął głośnym śmiechem, gdy Charlie opowiedział mu tegoż wieczora całą historię w obecności Jessici Allen.

- Wiesz chyba, że premier gotów byłby naprawdę porozmawiać z tym człowiekiem, gdybyś go o to poprosił - stwierdził Woolton.

- Gdybym to zrobił - odparł Charlie - Simkins dostałby ataku serca. A wtedy mój ryż, nie mówiąc już o moich kierowcach, utknąłby w tym porcie na zawsze. Tak czy owak, wobec panujących niedoborów żywności nie chciałem, żeby ten nieszczęsny facet stracił kolejnego herbatnika.

Charlie był w Carlisle, na konferencji pracowników rolnych, kiedy wezwano go do pilnego telefonu z Londynu.

- Kto dzwoni? - spytał, usiłując nie odwracać uwagi od wywodów delegata, który mówił o rosnących plonach rzepy.

- Markiza Wiltshire - szepnął Arthur Selwyn.

- W takim razie odbiorę ten telefon - powiedział Charlie. Opuścił salę konferencyjną i poszedł do swego pokoju, do którego przełączono mu rozmowę.

- Daphne, co mogę dla ciebie zrobić, moja droga?

- Nie, kochany, chodzi jak zwykle o to, co ja mogę zrobić dla ciebie. Czy czytałeś dziś rano "Timesa"?

- Zerknąłem na tytuły. Dlaczego?

- Więc lepiej przeczytaj dokładnie kolumnę nekrologów. W szczególności ostatni wiersz jednego z nich. Nie zabieram ci więcej czasu, kochany, bo premier stale nam przypomina, jak walnie przyczyniasz się do wygrania tej wojny.

Charlie parsknął śmiechem. W słuchawce zapadła cisza.

- Czy mogę coś dla pana zrobić? - spytał Selwyn.

- Tak, Arthur, potrzebny mi jest dzisiejszy numer "Timesa".

Kiedy Selwyn wrócił z egzemplarzem gazety, Charlie szybko przerzucił strony i dotarł do kolumny nekrologów. "Admirał Sir Aleksander Dexter, wybitny dowódca z czasów Pierwszej Wojny Światowej... J. T. Macpherson, baloniarz i pisarz... Sir Raymond Hardcastle, przemysłowiec..."

Charlie pobieżnie przeczytał szczegóły kariery sir Raymonda: „urodzony i wykształcony w Yorkshire, rozbudował na przełomie wieku firmę inżynieryjną swego ojca. W latach dwudziestych przekształcił ją z drobnego przedsiębiorstwa w jedną z największych potęg przemysłowych północnej Anglii. W roku 1937 sprzedał swe udziały firmie John Brown and Company za siedemset osiemdziesiąt tysięcy funtów”. Daphne miała jednak rację: Charlie’ego dotyczył w gruncie rzeczy tylko ostatni wiersz nekrologu: „Sir Raymond, którego żona umarła w roku 1917, pozostawił dwie córki: pannę Amy Hardcastle i panią Geraldową Trentham”.

Charlie podniósł słuchawkę stojącego przed nim na biurku telefonu i poprosił o połączenie go z pewnym numerem w Chelsea.

W chwilę później zgłosił się Tom Arnold.

- Gdzie można znaleźć Wrexalla? - spytał od razu Charlie.

- Jak panu mówiłem, kiedy pytał pan o niego po raz ostatni, panie prezesie, prowadzi teraz bar "Szczęśliwy Kłusownik" w Cheshire, w miejscowości Hatherton.

Charlie podziękował swemu dyrektorowi i bez dalszych wyjaśnień odłożył słuchawkę.

- Czy mogę panu na coś się przydać? - spytał rzeczowo Selwyn.

- Jak wygląda mój program na resztę dnia, Arthur?

- Najpierw musimy skończyć z tą rzepą, potem, po południu, ma pan brać udział w dalszych posiedzeniach. Wieczorem, podczas kolacji dla uczestników konferencji, ma pan wznieść toast za zdrowie rządu, a jutro rano wręcza pan doroczne nagrody dla najlepszych hodowców krów.

- A więc módl się, żebym zdążył na tę kolację - powiedział Charlie. Wstał i porwał z wieszaka swój płaszcz.

- Czy chce pan, żebym jechał z panem? - spytał Selwyn, starając się zrozumieć, do czego zmierza jego szef.

- Nie, dziękuję, Arthur. To prywatna sprawa. Kryj mnie, jeśli nie wrócę w porę.

Zbiegł po schodach i wypadł na dziedziniec. Jego szofer drzemał za kierownicą, ale obudził się, gdy Charlie wskoczył do samochodu i zatrzęsął za sobą drzwi.

- Zawieź mnie do Hatherton.

- Hatherton, sir?

- Tak, Hatherton. Wyjedź z Carlisle na południe, a potem będę cię pilotował. - Charlie otworzył atlas drogowy, znalazł indeks miejscowości i zaczął przesuwając palcem po nazwach zaczynających

się od litery H. Było pięć wiosek o nazwie Hatherton, ale na szczęście tylko jedna w Cheshire. Jedynym słowem, jakie wymówił podczas całej podróży, oprócz informacji dla kierowcy, było wielokrotnie powtarzane polecenie: "szybciej". Minęli Lancaster, Pręston oraz Warrington i zatrzymali się przed "Szczęśliwym Kłusownikiem" na pół godziny przed popołudniową przerwą.

Kiedy Charlie pojawił się w drzwiach, oczy Syda Wrexalla niemal wystąpiły z orbit.

- "Szkockie jajko" i kufel najlepszego piwa, panie szefie; tylko proszę dolać do pełna - powiedział Charlie z uśmiechem, kładąc obok siebie swoją teczkę.

- Nie spodziewałem się zobaczyć pana w tych stronach, panie Trumper - oznajmił Syd Wrexall, a potem krzyknął przez ramię: - Hilda, jedno "szkockie jajko" i przyjdź zobaczyć, kto nas odwiedził.

- Jechałem na konferencję rolników w Carlisle - wyjaśnił Charlie - więc postanowiłem wstąpić i wypić kufelek ze starym przyjacielem.

- To bardzo miło z pana strony, sąsiedzie - powiedział Syd, stawiając przed nim na ladzie kufel piwa. - Oczywiście czytamy teraz o panu często w gazetach i wiemy o pańskiej współpracy z lordem Wooltonem w Ministerstwie Apropowizacji. Staje się pan sławnym człowiekiem.

- Ta praca, którą zlecił mi premier, jest fascynująca - stwierdził Charlie. - Mam tylko nadzieję, że uda mi się zrobić coś dobrego - dodał, starając się, by zabrzmiało to wystarczająco pompatycznie.

- Ale co z twoimi sklepami, Charlie? Kto się nimi zajmuje, skoro ty spędzasz tyle czasu poza domem.

- Arnold pilnuje interesu i robi co może w tych warunkach, ale niestety musiał zamknąć cztery czy pięć sklepów, nie licząc tych, które były już uszkodzone i zabite deskami. Powiem ci w sekrecie, Syd - Charlie zniżył głos - że jeśli sytuacja się nie poprawi, to niedługo sam będę szukał kupca. - W tym momencie weszła żona Wrexalla, niosąc półmisek z jedzeniem.

- Dzień dobry, pani Wrexall - zawołał Charlie, stawiając przed sobą "szkockie jajko" i talerz z sałatą. - Cieszę się z naszego spotkania. Czy mogę postawić pani i mężowi drinka?

- Ja chętnie się z tobą napiję, Charlie. Czy możesz się tym zająć, Hilda? - Syd pochylił się nad barem i dodał konspiracyjnym szeptem: - Czy nie znasz kogoś, kto kupiłby sklepy członków Stowarzyszenia i mój bar?

- Chyba nie - powiedział Charlie. - Jeśli dobrze pamiętam, Syd, żądałeś strasznie dużo za swojego "Muszkietera", który jest teraz tylko kupą gruzów. Nie mówiąc już o stanie kilku sklepów, które członkowie stowarzyszenia musieli zabić deskami.

- Opuściłem do sześciu tysięcy, czyli do sumy, którą uzgodniliśmy i potwierdziliśmy ją uściskiem dłoni, ale Arnold powiedział mi, że to cię już nie interesuje.

- Tak ci powiedział? - spytał Charlie, starając się nadać swemu głosowi ton zaskoczenia.

- Ależ tak - odparł Wrexall. - Przyjąłem twoją ofertę, opiewającą na sześć tysięcy i wysłałem ci nawet do podpisania umowę, ale on zwrócił wszystkie dokumenty, nawet bez żadnego listu.

- Nie wierzę w to - stwierdził Charlie. - Przecież dałem słowo, Syd. Dlaczego nie porozumiałeś się bezpośrednio ze mną?

- To dzisiaj nie takie proste. Teraz, kiedy zajmujesz tak wysokie stanowisko, jesteś chyba nieosiągalny dla takich ludzi jak ja.

- Arnold nie miał prawa tak postąpić - powiedział Charlie. - Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, od jak dawna się znamy.

Przepraszam cię, Syd, i pamiętaj, że dla ciebie zawsze jestem osiągalny. Nie zachowałeś przypadkiem tej umowy?

- Oczywiście, że zachowałem. I dowodzi ona, że ja dotrzymuję słowa. - Zniknął, a Charlie nadgryzł w czasie jego nieobecności "szkockie jajko" i wypił bez pośpiechu spory łyk lokalnego piwa.

Wrexall wrócił po kilku minutach i z trzaskiem położył na ladzie plik dokumentów. - Zobacz, Charlie, i przekonaj się, że mówię prawdę, tak jak tu stoję.

Charlie przestudiował umowę, którą pokazywał mu przed kilkunastoma miesiącami Arnold. Opatrzona była już podpisem: "Syd24 - Prosto jak strzelił ney Wrexall", a po słowach "za cenę" wpisano kwotę "sześć tysięcy".

- Brakowało tylko daty i twojego podpisu - ciągnął Syd. - Nigdy nie myślałem, że możesz mi coś takiego zrobić, po tylu latach znajomości.

- Jak dobrze wiesz, Syd, jestem człowiekiem słownym. Przykro mi, że mój dyrektor naczelny nie znał dokładnie szczegółów naszych ustnych ustaleń. - Charlie wyjął z kieszeni portfel, wyciągnął z niego książeczkę czekową i napisał na jednym z czeków "Syd Wrexall", a pod spodem "sześć tysięcy funtów", a potem złożył zamaszysty podpis.

- Zawsze mówiłem, że jesteś gentlemanem, Charlie. Czy nie mówiłem tak, Hilda?

Pani Wrexall zaczęła z zapalem kiwać głową, a Charlie uśmiechnął się, wziął swój egzemplarz umowy i umieścił wszystkie dokumenty w teczce, a potem uściśnął dłoń właściciela baru i jego żony.

- Ile jestem winien? - spytał, wypijając ostatnie krople piwa.

- To było na koszt firmy - odparł Wrexall.

- Ależ, Syd...

- Nie, nie ma mowy, nie ośmieliłbym się traktować starego przyjaciela jak klienta, Charlie. Na koszt firmy - powtórzył. W tym momencie zadzwonił telefon, a Hilda Wrexall wyszła, żeby go odebrać.

- No cóż, muszę jechać - powiedział Charlie. - Inaczej spóźnię się na tę konferencję, a mam jeszcze dziś wieczorem wygłosić przemówienie. Cieszę się, że ubiliśmy interes, Syd. - Dotarł właśnie do drzwi baru, gdy za ladę wbiegła z zaplecza pani Wrexall.

- Dzwoni do ciebie jakaś kobieta, Syd. Przez centralę międzymiastową. Mówi, że nazywa się pani Trentham.

W miarę mijania kolejnych miesięcy Charlie opanował w sposób mistrzowski tajniki swego nowego zawodu. Żaden dyrektor portu nie mógł być pewny, że nie wpadnie niespodziewanie do jego gabinetu, żaden dostawca nie był zdziwiony, gdy domagał się sprawdzenia rachunków, a prezes Związku Zawodowego Rolników mruczał na dźwięk jego nazwiska jak zadowolony kot.

Nigdy nie poczuł się zmuszony do telefonicznej interwencji U premiera, natomiast Churchill zadzwonił do niego raz, w szczególnych okolicznościach. Była czwarta trzydzieści rano, kiedy Charlie podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu.

- Dzień dobry - powiedział.

- Pan Trumper?

- Tak, kto mówi?

- Churchill.

- Dzień dobry, panie premierze. Co mogę dla pana zrobić, sir?

- Nic. Chciałem tylko sprawdzić, czy to prawda, co o panu opowiadają. Przy okazji, bardzo panu dziękuję. - W słuchawce zapadła cisza.

Charlie'emu udawało się nawet zjeść od czasu do czasu lunch z Danielem. Został on

oddelegowany do Ministerstwa Wojny, ale nigdy nie mówił o pracy, którą się tam zajmował. Kiedy awansowano go na kapitana, Charlie zaczął się niepokoić, jak zareaguje Becky, jeśli kiedykolwiek ujrzy go w mundurze.

Odwiedziwszy pod koniec miesiąca Toma Arnolda dowiedział się, że Hadlow, dyrektor banku, przeszedł na emeryturę, a jego następca, niejaki Paul Merrick, okazał się mniej elastyczny. - Mówi, że nasze zadłużenie przekracza dopuszczalny poziom i że chyba nadszedł czas, abyśmy coś w tej sprawie zrobili.

- Tak mówi? - spytał Charlie. - W takim razie będę musiał spotkać się z tym panem Merrickiem i udzielić mu kilku lekcji.

Choć firma była teraz właścicielem wszystkich sklepów na Chelsea Terrace z wyjątkiem księgarni, przed Charlie'm nadal stał problem pani Trentham i jej zbombardowanego budynku mieszkalnego, nie wspominając już o dodatkowych kłopotach, jakich przysparzał mu Herr Hitler, z którym nadal trzeba było toczyć wojnę; traktował obu adwersarzy jako niemal równie groźnych, a panią Trentham prawie zawsze stawiał na pierwszym miejscu.

Wojna z Herr Hitlerem zaczęła zmierzać we właściwym kierunku dopiero pod koniec 1942 roku, po zwycięstwie Ósmej Armii pod El-Alamejn. Charlie był pewien, że Churchill ma rację, mówiąc o odwróceniu losów wojny, i istotnie doszło do inwazji aliantów w Afryce, a potem we Włoszech, we Francji i wreszcie w samych Niemczech.

W tym mniej więcej okresie pan Merrick zaczął się stanowczo domagać spotkania z szefem firmy Trumper.

Kiedy Charlie wszedł po raz pierwszy do biura Merricka, zdumiał go młody wiek następcy Hadlowa. Minęło kilka minut, zanim przyzwyczaił się do dyrektora banku, który nie nosił kamizelki ani czarnego krawata. Merrick był odrobinę wyższy niż Charlie i równie potężnie zbudowany jak on; brakowało mu tylko jego uśmiechu.

Charlie przekonał się szybko, że pan Merrick lubi od razu przechodzić do sedna sprawy.

- Czy zdaje sobie pan sprawę, panie Trumper, że zadłużenie pańskiej firmy wobec banku dochodzi do czterdziestu siedmiu tysięcy funtów i że wasze obecne wpływy nie pokrywają...

- Ale przecież majątek trwały musi być wart czterokrotnie lub pięciokrotnie więcej.

- O ile będzie pan w stanie znaleźć kogoś, kto zechce go kupić.

- Ależ ja nie zamierzam nic sprzedawać.

- Jeśli bank postanowi zamknąć panu kredyt, może pan nie mieć wyboru, panie Trumper.

- No cóż, w takim razie będę musiał zacząć korzystać z usług innego banku.

- Najwyraźniej nie miał pan ostatnio dość czasu, by czytywać protokoły z posiedzeń pańskiej rady nadzorczej; na jej ostatnim zebraniu pan Arnold zakomunikował, że odwiedził w ciągu ubiegłego miesiąca sześć banków, ale żaden z nich nie był zainteresowany prowadzeniem rachunku firmy Trumper.

Merrick czekał na odpowiedź swego gościa, ale ponieważ Charlie zachował milczenie, ciągnął dalej: - Na tymże zebraniu pan Crowther objaśnił obecnym, że powodem waszych obecnych kłopotów jest spadek cen nieruchomości, które osiągnęły najniższy poziom od lat trzydziestych.

- Ale to zmieni się z dnia na dzień natychmiast po zakończeniu wojny.

- Niewykluczone, ale wojna może potrwać jeszcze kilka lat, a wam znacznie wcześniej grozi niewypłacalność...

- Moim zdaniem nie dłużej niż rok.

- ...szczególnie jeśli będzie pan wystawiał czeki na sześć tysięcy funtów, kupując nieruchomości, których wartość nie przekracza połowy tej sumy.

- Ależ gdybym tego nie zrobił...

- Być może nie znalazłby się pan w tak trudnej sytuacji.

Charlie milczał przez chwilę. - Więc czego pan w związku z tym ode mnie żąda? - spytał w końcu.

- Żeby podpisał pan zobowiązanie, mocą którego wszystkie nieruchomości i aktywa, będące w posiadaniu pańskiej firmy, staną się zastawem na poczet waszego długu. Przygotowałem już niezbędne papiery.

Merrick odwrócił do góry nogami leżący na jego biurku dokument. - Jeśli zgodzi się pan to podpisać - dodał, wskazując kropkowaną linię u dołu strony, oznaczoną dwoma nakreślonymi ołówkiem krzyżykami - zgodzę się przedłużyć panu kredyt na okres następnych dwunastu miesięcy.

- A jeśli odmówię?

- Nie będę miał wyboru i ogłoszę pańską niewypłacalność w ciągu dwudziestu ośmiu dni.

Charlie spojrział na dokument i stwierdził, że Becky już go podpisała. Przez chwilę zastanawiał się w milczeniu, rozważając alternatywne opcje. Potem, nie komentując wypowiedzi Merricka, wyjął pióro, złożył podpis między dwoma krzyżykami, odwrócił dokument do góry nogami i bez słowa wyszedł z gabinetu.

Kapitulacja Niemiec została podpisana przez generała Jodla i przyjęta w imieniu sprzymierzonych przez generała Bedella Smitha w Reims, 7 maja 1945.

Charlie wziąłby udział w uroczystościach z okazji Dnia Zwycięstwa, które odbywały się na Trafalgar Square, ale Becky przypomniała mu, że ich debet na koncie dochodzi do sześćdziesięciu tysięcy funtów, a Merrick ponownie grozi im bankructwem.

- Ma w rękach wszystkie nasze nieruchomości i aktywa. Czego jeszcze ode mnie wymaga? - spytał Charlie.

- Proponuje, abyśmy sprzedali jedyną rzecz, która może przynieść tyle pieniędzy, że nie tylko pozbędziemy się długu, ale zachowamy pewną ilość kapitału, umożliwiającą nam przetrwanie najbliższych dwóch lat.

- I cóż to takiego?

- "Jedzący kartofle" van Gogha.

- Nigdy!

- Ależ Charlie, ten obraz należy do...

Charlie umówił się na następny dzień z lordem Wooltonem i wyjaśnił mu podczas porannego spotkania, że w jego życiu osobistym wyłoniły się pewne problemy, którymi musi natychmiast się zająć. Poprosił więc - wobec zakończenia wojny w Europie - o zwolnienie go z dotychczasowych obowiązków.

Lord Woolton doskonale rozumiał dylemat Charlie'ego i zapewnił go, że on sam i całe ministerstwo ciężko przeżyją jego odejście.

Kiedy Charlie zwalniał w miesiąc później swój gabinet, jedynym elementem jego wyposażenia, jaki zabrał z sobą była Jessica Allen.

Problemy Charlie'ego nie stały się mniej dotkliwe w roku 1945, gdyż ceny nieruchomości nadal spadały, a inflacja stale rosła. Był jednak wzruszony, kiedy po zakończeniu wojny z Japonią premier wydał na jego cześć kolację w swej rezydencji na Downing Street 10. Daphne przyznała, że nigdy nie

przekroczyła progów tego budynku, i oświadczyła Becky, iż wcale nie jest pewna, czy miałyby na to ochotę. Percy przyznał, że miałyby na to wielką ochotę, i nie ukrywał swej zazdrości.

W przyjęciu brało udział kilku czołowych ministrów gabinetu.

Becky siedziała między Churchillem a wschodzącą gwiazdą nazwiskiem Rab Butler, Charlie'ego posadzono obok pani Churchill i lady Woolton. Becky patrzyła, jak jej mąż swobodnie gawędzi z premierem i lordem Wooltonem, i nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy miał czelność zaoferować Churchillowi cygaro, specjalnie wybrane tego popołudnia w sklepie pod numerem 139. Nikt z obecnych nie mógłby się domyślić, że stoją na krawędzi bankructwa.

Kiedy wieczór dobiegł wreszcie końca, Becky podziękowała premierowi, który z kolei podziękował jej.

- Za co? - spytała.

- Za odbieranie za mnie telefonów i podejmowanie w moim imieniu bardzo słusznych decyzji - odparł, odprowadzając ich długim korytarzem do frontowego hallu.

- Nie miałem pojęcia, że pan o tym wie - wymamrotał Charlie, czerwieniejąc na twarzy.

- Jak mógłbym nie wiedzieć? Przecież Woolton opowiedział tę historię całemu gabinetowi już następnego dnia. Nigdy nie widziałem, żeby ci ludzie tak się śmiali.

Kiedy doszli do frontowych drzwi, premier skłonił się Becky i powiedział: - Dobranoc, lady Trumper.

- Wiesz, co to oznacza, prawda? - spytał Charlie, wyjeżdżając z Downing Street i skręcając w Whitehall.

- Że otrzymasz niedługo tytuł szlachecki?

- Tak, ale ważniejsze jest to, że będziemy musieli sprzedać tego van Gogha.

DANIEL 1931 -1947

ROZDZIAŁ 29

„Jesteś bękartem”, to zdanie tkwi w mojej pamięci jako jedno z najbardziej odległych wspomnień. Miałem wtedy pięć lat i dziewięć miesięcy, a słowa te zostały wykrzywane przez małą dziewczynkę, która huśtała się w odległym krańcu placu zabaw i wskazywała na mnie palcem. Reszta klasy przystanęła i gapiła się na nas, gdy podbiegłem do niej i przyparłem do muru.

- Co to znaczy? - domagałem się wyjaśnień, ściskając ją za rękę.

Rozplakała się.

- Nie wiem. Słyszałam tylko, jak mama mówiła do taty, że jesteś bękartem.

- Rozumiem znaczenie tego słowa - dobiegł mnie z tyłu czyjś głos. Odwróciłem się. Otaczali mnie uczniowie z mojej klasy, ale nie zdołałem zorientować się, kto to powiedział.

- Co to znaczy? - powtórzyłem pytanie, tym razem głośniej.

- Jeśli dasz mi sześć pensów, to ci powiem.

Podniosłem wzrok na Neila Watsona, tyrana klasowego, który zwykle siedział w ławce za mną.

- Mam tylko trzy.

Przez chwilę zastanawiał się nad moją propozycją.

- Zgoda, niech będzie - powiedział w końcu.

Podszedł do mnie z wyciągniętą ręką i czekał, dopóki powoli nie rozsuplałem chustki i nie oddałem mu swojego kieszonkowego za cały tydzień. Dopiero wtedy zasłonił dłońmi usta i szepnął mi do ucha:

- To znaczy, że nie masz ojca.

- To nieprawda! - krzyknąłem i zacząłem okładać go pięściami.

Ale był ode mnie o wiele wyższy i ze śmiechem przyjął moje nieporadne wysiłki. A potem zadzwieczał dzwonek na lekcję i wszyscy uczniowie pobiegli z powrotem do klasy. Niektórzy z nich naśmiewali się potem ze mnie i chórem wołali:

- Daniel jest bękartem!

Tego popołudnia przyszła po mnie do szkoły niania i kiedy upewniłem się, że żaden z kolegów mnie nie usłyszy, zapytałem ją o znaczenie tego słowa.

- Co za niestosowne pytanie, Danielu - zbyła mnie. - Mam nadzieję, że nie uczą was tego w St. Davis. Nie życzę sobie, żebyś kiedykolwiek poruszał jeszcze ten temat.

Przy herbacie w kuchni, gdy niania wyszła przygotować dla mnie kąpiel, poprosiłem kucharkę, żeby wyjaśniła mi, co znaczy słowo ”bękart”.

- Nie wiem dokładnie, paniczku Danielu. Radziłabym jednak nie pytać o to nikogo.

Nie śmiałem zwrócić się z tym problemem do ojca ani do matki w obawie, że Neil Watson się

nie mylił. Leżałem w łóżku i myślałem o tym, gdzie mógłbym zdobyć jakieś informacje.

Przypomniałem sobie, że dawno temu moja matka poszła do szpitala, skąd miała wrócić z bratem albo siostrą, ale nic takiego się nie wydarzyło. Zastanawiałem się, czy właśnie w ten sposób człowiek staje się bękartem.

Jakiś tydzień później niania zaprowadziła mnie do szpitala Guya w odwiedzinach do mamy. Z tej wizyty zapamiętałem tylko tyle, że mama była blada i smutna. Z prawdziwą radością przyjąłem jej powrót do domu.

Następny epizod z dzieciństwa, który żywo zachował mi się w pamięci, pochodzi z okresu, gdy miałem jedenaście lat i chodziłem do szkoły St. Paul's. Tam po raz pierwszy w życiu musiałem naprawdę pilnie przykładać się do nauki. W szkole podstawowej byłem najlepszym uczniem w klasie prawie ze wszystkich przedmiotów, chociaż nie pracowałem więcej od innych dzieci. Nazywano mnie "kujonem", ale nigdy się tym nie przejmowałem. W szkole St Paul's okazało się, że jest wielu zdolnych chłopców. Żaden z nich nie mógł jednak dorównać mi w matematyce. Lubiłem ten przedmiot, który innych napawał lękiem, a stopnie, jakie otrzymywałem z niego na koniec każdego okresu, zawsze sprawiały radość mamie i tacie. Nie mogłem się doczekać kolejnego algebraicznego równania, jeszcze jednej geometrycznej zagadki albo wyzwania, jakim było rozwiązanie w myślach arytmetycznego testu, podczas gdy moi koledzy ssali ołówki i głowili się nad kolumnami zapisanych cyfr.

Nieźle dawałem sobie radę również z innymi przedmiotami. Nie brylowałem tylko w sporcie, ale za to grałem na wiolonczeli.

Zaproponowano mi nawet, żebym przyłączył się do szkolnej orkiestry. Mój wychowawca uznał jednak, że to nie ma sensu, skoro i tak pisana mi jest kariera matematyka. Wtedy jeszcze nie rozumiałem, co miał na myśli. Wiedziałem przecież, że tata zakończył naukę w wieku czternastu lat, żeby prowadzić dwukołowy stragan owocowowarzywny mojego pradziadka, a mama, chociaż studiowała na uniwersytecie w Londynie, nadal musiała pracować na Chelsea Terrace pod numerem pierwszym, żeby "zachować ten styl, do którego tata przywykł". W każdym razie słyszałem, że tak właśnie mówiła do niego czasami przy śniadaniu.

Mniej więcej w tamtym czasie odkryłem prawdziwe znaczenie słowa "bękart". Na lekcji czytaliśmy na głos Króla Johna, dzięki czemu mogłem zwrócić się z moim problemem do pana Saxon-Easta, nauczyciela od angielskiego, nie skupiając na sobie powszechnej uwagi. Kilku chłopców obejrzało się i zachichotało, ale tym razem nie było już wytkniętych palców ani szeptów. A kiedy udzielił mi odpowiedzi, pomyślałem, że Neil Watson wcale nie był daleki od prawdy. Tyle tylko, że oskarżenie nie mogło mieć nic wspólnego ze mną, ponieważ jak daleko sięgałem pamięcią, matka zawsze była związana z ojcem i nazywała się Trumper.

Przypuszczam, że pewnie wyrzuciłbym cały ten epizod z pamięci, gdybym któregoś wieczoru nie zszedł na dół do kuchni po kubek mleka i przypadkowo nie usłyszał rozmowy Joan Moore z głównym lokajem Haroldem.

- Młody Daniel dobrze sobie radzi w szkole - powiedział Harold. - Musi mieć umysł swojej matki.

- Pewnie tak, trzeba się tylko modlić, żeby nigdy nie dowiedział się prawdy o swoim ojcu. - Słowa te zmroziły mnie, znieruchomiałem przy poręczy schodów i z zapartym tchem słuchałem dalej.

- Jedno nie ulega wątpliwości - ciągnął wywód Harold. - Pani Trentham nigdy nie uzna chłopca za swojego wnuka i Bóg raczy wiedzieć, kto odziedziczy jej pieniądze.

- Już nie kapitan Guy, to pewne - rzekła Joan. - Być może majątek przypadnie temu młokosowi Nigelowi.

Potem rozmowa została skierowana na inny temat. Po cichu wycofałem się do swojej sypialni, ale nie mogłem zasnąć. I chociaż przez następne kilka miesięcy godzinami przesiadywałem na schodach, czekając cierpliwie na inną ważną informację, służący w rozmowach między sobą już nigdy więcej nie poruszali tego tematu.

Przypomniałem sobie, że już kiedyś słyszałem nazwisko "Trentham". To było wtedy, gdy lady Wiltshire, bliska przyjaciółka mojej matki, przyszła do nas na herbatę. Znajdowałem się właśnie w hallu.

- Byłaś na pogrzebie Guya? - zapytała moja matka.

- Tak, ale nie uczestniczyło w nim wielu parafian z Ashurst - zapewniła przyjaciółka. - Odniosłam wrażenie, że ci, którzy dobrze go znali, traktują tę uroczystość z prawdziwą ulgą.

- Czy przyjechał sir Raymond?

- Nie. I jego nieobecność bardzo rzucała się w oczy - padła odpowiedź. - Pani Trentham wyjaśniła, iż jest zbyt stary, by podróżować, przypominając wszystkim o smutnej prawdzie, że już w niedalekiej przyszłości odziedziczy jego fortunę.

Nowo poznane fakty też nie miały wielkiego sensu.

Nazwisko "Trentham" jeszcze raz padło w mojej obecności, gdy tata rozmawiał z pułkownikiem Hamiltonem, odprowadzając go do wyjścia po prywatnym spotkaniu w swoim gabinecie.

- Bez względu na to, ile zaproponujemy pani Trentham, to i tak nigdy nie sprzeda nam tej kamienicy - oświadczył mój ojciec.

Pułkownik potwierdził tę opinię energicznym skinieniem głowy.

- Co za cholerna baba - skwitował temat.

Korzystając z nieobecności rodziców w domu, odszukałem nazwisko Trentham w książce telefonicznej. W spisie figurowało tylko raz: Major G. H. Trentham, żandarmeria, Chester Square 19. Nie stałem się przez to ani o jotę mądrzejszy.

Gdy w 1939 Trinity College zaproponowało mi stypendium Newtona z matematyki, myślałem, że tata pęknie z dumy. Wszyscy pojechaliśmy na weekend do miasteczka akademickiego, żeby zapłacić za moje zakwaterowanie, a potem włączyliśmy się po kruzgankach uniwersyteckich i po Wielkim Dziedzińcu.

Faszystowskie Niemcy były jedyną burzową chmurą, która przesłaniała moje skądinąd nieskazitelne horyzonty. Przedmiotem debaty w parlamencie był pobór do wojska wszystkich mężczyzn powyżej dwudziestki i ze zniecierpliwieniem czekałem, żeby odegrać swoją rolę, jeśli Hitler ośmieli się postawić nogę na polskiej ziemi.

Pomyślnie upłynął mój pierwszy rok w Cambridge, głównie dzięki profesorowi Horacemu Bradfordowi, który, podobnie jak jego żona Wiktorii, był uważany za jednego z najwybitniejszych matematyków wykładających na uniwersytecie w tamtym czasie. Krążyła pogłoska, że pani Bradford wygrała Nagrodę Wranglera za największe osiągnięcia na swoim roku. Jej mąż wyjaśnił nam, że nie przyznano jej tego prestiżowego wyróżnienia tylko dlatego, że jest kobietą. Laureatem został mężczyzna sklasyfikowany jako drugi na liście. Słyszając tę informację moja matka zsiniała wprost z oburzenia.

Pod koniec pierwszego roku, gdy zgłosiłem się do wojska razem z wieloma innymi studentami Trinity, mój nauczyciel zapytał mnie, czy nie chciałbym pracować razem z nim i z jego żoną w

nowym wydziale Ministerstwa Wojny, które miało specjalizować się w łamaniu szyfrów.

Bez namysłu zaakceptowałem jego ofertę i rozkoszowałem się myślą, że będę siedział w jakimś obskurnym pokoju na Bletchley Park i rozpracowywał niemieckie kody. Miałem nawet niewielkie poczucie winy, że jestem jednym z nielicznych ludzi w mundurach, którzy się cieszą z powodu wojny. Ojciec dał mi pieniądze na kupno starego samochodu marki MG, dzięki któremu mogłem jeździć czasami do Londynu i odwiedzać rodziców.

Udawało mi się nieraz wyrwać na godzinę i spotkać się z ojcem na obiedzie w Ministerstwie Apropowizacji. Żeby dać przykład reszcie swojego zespołu, sam jadał tylko chleb z serem, który popijał szklanką mleka. Pan Selwyn ostrzegł mnie, że to może nawet jest i pouczające, ale na pewno mało pożywne. Dodał, że ojciec ma w tej sprawie za sobą nawet ministra.

- Ale z pewnością nie pana Churchilla? - zapytałem.

- Powiedziano mi, że premier figuruje jako następny na jego liście.

W 1943 roku zostałem kapitanem, co było wyrazem uznania Ministerstwa Wojny dla działalności nas wszystkich w świeżo upieczonym wydziale. Ojciec był oczywiście zachwycony, a ja żałowałem tylko, że nie mogłem podzielić się z rodzicami naszym podnieceniem w chwili, gdy złamaliśmy kod używany przez dowódców niemieckich łodzi podwodnych. Do dzisiaj zastanawiam się, dlaczego tak długo po naszym wykryciu stosowali jeszcze klucz Enigmy. Rozszyfrowanie kodu było marzeniem każdego matematyka i w końcu złamaliśmy go na ostatniej stronie menu w restauracji Lyons Corner House, na bocznej ulicy od Piccadilly. Kelnerka, obsługująca stolik, nazwała nas wandalami. Pamiętam, że roześmiałem się wtedy i postanowiłem wziąć wolne do końca dnia. Chciałem zrobić niespodziankę matce i pokazać się jej w mundurze kapitana. Sądziłem, że prezentuję się szykownie, ale gdy otworzyła drzwi, byłem zaskoczony wrażeniem, jakie zrobił na niej mój wygląd. Patrzyła na mnie takim wzrokiem, jak gdyby zobaczyła ducha. I chociaż prędko odzyskała panowanie nad sobą, jej pierwsza reakcja na mój widOK w mundurze dała mi wiele do myślenia. A zagadka, która ani na chwilę nie opuszczała mojej podświadomości, stawała się coraz bardziej zawiła.

Kolejna wskazówka pochodziła z nekrologu, na który nie zwracałem większej uwagi, dopóki nie odkryłem, że pani Trentham weszła w posiadanie dużego majątku. Informacja sama w sobie może nie była bardzo istotna, ale gdy ponownie przeczytałem notatkę, dowiedziałem się, że ojcem pani Trentham był niejaki sir Raymond Hardcastle, którego nazwisko pozwoliło mi uporządkować pewne wiadomości. Zastanowiło mnie tylko to, że wśród żyjących krewnych nie wymieniono Guya Trenthama.

Czasami żałowałem, że urodziłem się z umysłem, który lubuje się w łamaniu kodów i wścibianiu nosa w matematyczne formuły.

Niewątpliwie pomiędzy "bękartem", "Trenthamem", "szpitalem", "kapitanem Guyem", "nieruchomościami", "sir Raymondem", "młokosem Nigelem", "pogrzebem" i bladą twarzą matki na mój widok w mundurze kapitana istniał związek liniowy. Wiedziałem jednak, że będą mi potrzebne jeszcze inne dane, żebym logicznie rozumując, mógł dojść do prawidłowego rozwiązania.

Nagle zdałem sobie sprawę, o czym pogrzebie mówiła lady Wiltshire wiele lat temu, gdy przysłała do mojej matki na herbatę.

Musiało chodzić o ostatnią drogę kapitana Guya. Tylko dlaczego to było aż tak ważne?

W następną sobotę wstałem o nieprzyzwoicie wczesnej porze i pojechałem do Ashurst, miasteczka, w którym kiedyś mieszkała przyjaciółka mojej matki i co moim zdaniem nie mogło być zwykłym zbiegiem okoliczności. Przybyłem do kościoła parafialnego tuż po szóstej i tak jak się

spodziewałem, nie zastałem nikogo na cmentarzu. Spacerowałem pomiędzy grobami, sprawdzając nazwiska; Yardleyów, Baxterów, Floodów i Harcourt-Browne'ów. Niektóre groby porosły chwastami, a inne były starannie utrzymane i leżały na nich świeże kwiaty. Zatrzymałem się przez moment przy grobie dziadka mojej chrzestnej matki. Wokół zegarowej wieży pogrzebano chyba ze stu parafian, ale wkrótce udało mi się znaleźć schludnie utrzymaną kwaterę rodziny Trenthamów, która znajdowała się zaledwie kilka metrów od zakrystii.

Gdy podszedłem do ostatniego z rodzinnych pomników, oblałem się zimnym potem.

Guy Trentham odznaczony Krzyżem Wojennym 1897-1927

Odszedł po długiej chorobie, zostawiając pogrążoną w smutku rodzinę A więc tajemnica utknęła w martwym punkcie, w całym znaczeniu tego słowa, przy grobie człowieka, który mógłby mi udzielić odpowiedzi na wszystkie pytania, gdyby tylko żył.

Po wojnie wróciłem do Trinity, gdzie przyznano mi dodatkowy rok na zrobienie dyplomu. Chociaż ojciec z matką uważali, że najważniejszym momentem w roku będzie ukończenie przeze mnie studiów z Nagrodą Wranglera i propozycja objęcia stanowiska wykładowcy w Trinity, według mnie tą chwilą był udział mojego ojca w ceremonii w Buckingham Palace.

Uroczystość sprawiła mi podwójną radość, ponieważ byłem również świadkiem przyznania tytułu szlacheckiego mojemu dawnemu nauczycielowi, profesorowi Bradfordowi, za rolę, jaką odegrał na polu łamania kodów. Jednakże zasługi jego żony nie zostały docenione, jak zauważyła moja matka, której oburzenie podzielałem. Niewątpliwie ojciec chlubnie zapisał się w napełnianiu żołądków Brytyjczykom, ale jak Churchill stwierdził na forum Izby Gmin, nasz mały zespół prawdopodobnie o rok skrócił czas trwania wojny.

Spotkaliśmy się potem wszyscy na herbacie u Ritza. W pewnej chwili rozmowa została skierowana na temat życiowej drogi, jaką zamierzam obrać po wojnie. Ojciec, „muszę oddać mu tę sprawiedliwość, ani razu nie wspomniał, że powinienem pracować razem z nim w firmie Trumper. A przecież wiedziałem, że bardzo pragnął mieć drugiego syna, który by zajął w przyszłości jego miejsce.

25 - Prosto jak strzelił Prawdę mówiąc, jeszcze bardziej zdałem sobie sprawę ze swojego fartu w czasie letnich wakacji, gdy ojciec był przepracowany i nadmiernie obciążony prowadzeniem interesów, a matka nie potrafiła ukryć troski o przyszłość firmy Ale ilekroć ją pytałem, czy mógłbym w czym pomóc, zawsze odpowiadała:

- Nie przejmuj się, wszystko musi się jakoś w końcu ułożyć.

Po powrocie do Cambridge obiecałem sobie, że jeśli jeszcze kiedyś natknę się na nazwisko Trentham, nie będę się nim przejmował. Jednakże nie dawało mi spokoju, pewnie dlatego że nigdy nie wymieniano go w mojej obecności. Ojciec zawsze był człowiekiem bardzo otwartym. Tym trudniej było mi zrozumieć, dlaczego w tej szczególnej sprawie zachowuje się tak tajemniczo, że uniemożliwia mi podjęcie jakiegokolwiek rozmowy na ten temat.

Może by minęły lata i wcale nie zawracałbym sobie głowy ową zagadką, gdybym pewnego dnia nie podniósł słuchawki wewnętrznego telefonu na Little Boltons i nie usłyszał Toma Arnolda, prawej ręki ojca.

- No cóż, powinniśmy się przynajmniej cieszyć z tego, że dotarliśmy do Syda Wrexalla przed panią Trentham. - powiedział. Natychmiast się wyłączyłem. Czułem, że tym razem muszę dotrzeć do sedna i do końca odkryć tajemnicę, a co więcej, zrobić to bez wiedzy rodziców. Dlaczego w takich sytuacjach zawsze myśli się o najgorszym? Gdy cała sprawa się wyjaśni, na pewno okaże się

zupełnie błaha.

Chociaż nigdy osobiście nie poznałem Syda Wrexalla, wiedziałem, że był kiedyś właścicielem pubu "Muszkieter", który stał dumnie na drugim końcu Chelsea Terrace, dopóki nie trafiła go bomba. W czasie wojny ojciec wykupił grunt i później przebudował dom na wielopiętrowy salon meblowy.

Nie zajęło wiele czasu Dickowi Bartonowi odkrycie, że pan Wrexall opuścił w czasie wojny Londyn i został właścicielem pubu w sennym miasteczku Hatherton, w głębi hrabstwa Cheshire.

Spędziłem trzy dni, opracowując strategię wobec pana Wrexalla. Dopiero gdy miałem pewność, że wiem, czego chcę się od niego dowiedzieć, uznałem, że mogę wyruszyć w drogę do Hatherton.

Każda wątpliwość, którą chciałem wyjaśnić, nie mogła wydawać się pytaniem. Odczekałem miesiąc, zanim wyprawiłem się na północ.

Zapuściłem brodę. A na miejsce dawnych szkieł kupiłem sobie modne okulary. Chciałem mieć pewność, że Wrexall mnie nie pozna. Nie przypuszczałem, żebym go kiedyś spotkał. Ale on mógł mnie niedawno widzieć. W takiej sytuacji rozpoznałby mnie natychmiast w chwili wejścia do pubu.

Zdecydowałem się jechać w poniedziałek. Uznałem, że to najspokojniejszy dzień tygodnia na obiad u "Szczęśliwego Kłusownika". Zanim wyruszyłem w drogę, zatelefonowałem do pubu i upewniłem się, że zastanę Wrexalla w pracy. Odłożyłem słuchawkę, zanim jego żona zdążyła zapytać, dlaczego chcę to wiedzieć.

W czasie podróży do Cheshire powtarzałem sobie w myślach pytania jak litanię. Przybyłem do miasteczka Hatherton i zaparkowałem samochód na bocznej drodze niedaleko pubu. Gdy wszedłem do środka, zauważyłem czterech mężczyzn, którzy rozmawiali ze sobą przy barze. Druga grupa osób zebrała się wokół sztucznego kominka i popijała alkohol. Zająłem miejsce na końcu baru i zamówiłem u hożej niewiasty w średnim wieku, która jak się potem okazało, była żoną Wrexalla, mięso pieczone z ziemniakami puree i pół litra gorzkiego piwa. Bardzo prędko zorientowałem się, kto jest właścicielem, ponieważ wszyscy klienci zwracali się do niego Syd. Rozumiałem dobrze, że muszę zachować cierpliwość, i w milczeniu przysłuchiwałem się jego gadaniu. Rozprawiał o wszystkich, od lady Docker po Richarda Murdocha, a mówił o nich w taki sposób, jak gdyby byli jego bliskimi przyjaciółmi.

- Jeszcze raz to samo, sir? - zwrócił się w końcu do mnie, gdy podszedł, żeby zabrać pustą szklankę.

- Tak, poproszę - odetchnąłem z ulgą, że mnie nie poznał.

Gdy wrócił z piwem, zostało nas tylko dwóch albo trzech przy barze.

- Pan nietutejszy, prawda? - zapytał, opierając się o kontuar.

- Nie - przyznałem. - Przyjechałem tylko na kilka dni. Na inspekcję. Jestem z Ministerstwa Rolnictwa, Rybołówstwa i Aprowizacji.

- Co pana sprowadza do Hatherton?

- Szacuję straty na farmach z powodu zniszczeń wojennych.

- A tak, czytałem o tym w gazetach - powiedział, bawiąc się pustą szklanką.

- Czy nie miałby pan ochoty napić się ze mną?

- Z przyjemnością, dziękuję. Ale jeżeli można, wolałbym whisky.

- Oplukał swoją półlitrową szklankę w wodzie pod kontuarem i nalał sobie podwójną porcję.

Wziął ode mnie pół korony, a potem zapytał, jak przebiega kontrola.

- Jak dotąd bez problemów - rzekłem. - Zostało mi do sprawdzenia jeszcze tylko kilka farm na północy hrabstwa.

- Znałem jednego gościa w pańskim ministerstwie.

- Ach, tak?

- Sir Charlesa Trumpera.

- Nie pracował już tam za moich czasów - stwierdziłem, przechylając szklanę z piwem. - Ale wciąż mówią o nim w ministerstwie. Jeżeli połowa historii jest prawdziwa, to musiała być z niego twarda sztuka.

- Jak cholera - przyznał Wrexall. - Gdyby nie on, byłbym dzisiaj bogatym człowiekiem.

- Naprawdę?

- Zanim przeprowadziłem się tutaj, byłem właścicielem małego pubu w Londynie, a także udziałowcem w kilku sklepach na Chelsea Terrace. W czasie wojny Trumper przejął całą moją własność za jedyne sześć tysięcy funtów. Gdybym zaczekał dwadzieścia cztery godziny, mógłbym wszystko sprzedać za dwadzieścia, a może nawet za trzydzieści tysięcy.

- Przecież wojna nie skończyła się w ciągu doby.

- Ależ nie, ani przez chwilę nie sugeruję, że postąpił nieuczciwie. Odnoszę jednak wrażenie, że to nie mógł być zwykły przypadek. Nie widziałem go przez całe lata, a on nagle ni stąd, ni zowąd zjawił się w tym właśnie szczególnym dniu w moim pubie.

Szklanka Wrexalla była pusta.

- Jeszcze raz to samo? - zaproponowałem. Miałem nadzieję, że zainwestowanie następnej pół korony opłaci się i bardziej rozwiąże mu język.

- Jest pan bardzo hojny, sir - odpowiedział. - Na czym to ja skończyłem?

- Mówił pan o tamtym szczególnym dniu...

- Ach, tak. Sir Charles, Charlie, jak go zawsze nazywałem, załatwił cały interes na miejscu w barze w niespełna dziesięć minut. Uderzyło mnie to, że zaraz potem zatelefonowała do mnie inna osoba zainteresowana transakcją z zapytaniem, czy moja własność jest jeszcze na sprzedaż. Byłem zmuszony dać tamtej damie negatywną odpowiedź.

Powstrzymałem się, żeby nie spytać o godność owej "damy", chociaż domyślałem się, o kogo chodzi.

- To jeszcze nie znaczy, że zaproponowałyby panu dwadzieścia tysięcy funtów - powiedziałem.

- Zrobiłaby to - oświadczył Wrexall. - Pani Trentham zapłaciłaby każdą cenę, żeby te sklepy nie dostały się w ręce sir Charlesa, Znowu powstrzymałem się, żeby nie zapytać: dlaczego?

- Trumperowie i Trenthamowie od lat skakali sobie nawzajem do oczu. Ona jest wciąż właścicielką kamienicy czynszowej na samym środku Chelsea Terrace. To jedyna rzecz, która go powstrzymuje przed wybudowaniem sobie imponującego mauzoleum, nieprawda?

A co więcej, gdy próbowała kupić nieruchomość na Chelsea Terrace pod numerem pierwszym, on okazał się jeszcze bardziej przebiegły od niej. Nie widziałem czegoś podobnego w życiu.

- To musiało być wiele lat temu - zauważyłem. - Zadziwiające, jak ludzie długo potrafią żywić do siebie urazę.

- Ma pan rację. W przypadku obu rodzin datuje się ona od wczesnych lat dwudziestych, to jest od czasu, gdy widywano eleganckiego syna pani Trentham w towarzystwie panny Salmon.

Wstrzymałem oddech.

- Pani Trentham tego nie pochwałała, o nie. Wszyscy u "Muszkietera" o tym wiedzieliśmy, a kiedy syn zniknął gdzieś w Indiach, panna Salmon niespodziewanie wyszła za mąż za Charlie'ego. Na tym jeszcze nie koniec tajemnicy.

- Nie?

- Oczywiście, że nie - powiedział Wrexall. - Nikt z nas do dzisiaj nie wie, kim był ojciec.

- Ojciec?

Wrexall zawahał się.

- Zagalopowałem się. Nic więcej już nie powiem.

- To było tak dawno. Dziwię się, że jeszcze kogoś to może obchodzić. - Zdobyłem się na ostatni wysiłek, zanim opróżniłem szklankę do dna - Ma pan rację - rzekł Wrexall. - Zawsze wydawało mi się to dziwne, ale w stosunku do ludzi niczego nie można być pewnym.

No cóż, muszę zamykać, w przeciwnym razie będę miał przeciwko sobie prawo.

- Oczywiście. A ja muszę wracać do mojego bydła.

Zanim wyruszyłem w drogę powrotną do Cambridge, usiadłem w samochodzie i zanotowałem każde słowo właściciela pubu. W czasie długiej podróży próbowałem poskładać razem nowe wiadomości i w jakiś sposób je uporządkować. Wrexall dostarczył mi wielu nieznanymi informacji, ale równocześnie wywołał kilka nowych pytań bez odpowiedzi. Tylko jednego byłem pewien po wyjściu z pubu, że nie potrafię się już zatrzymać.

Następnego dnia rano postanowiłem wrócić do Ministerstwa Wojny i zapytać dawną sekretarkę sir Horacego, czy nie zna sposobu na zbadanie przeszłości byłego oficera.

- Nazwisko? - zapytała wyniośle kobieta w średnim wieku, która nadal nosiła włosy związane w kok na modłę z czasów wojny.

- Guy Trentham - powiedziałem.

- Proszę podać jego stopień i pułk.

- Kapitan, Królewski Pułk Strzelców, jak sądzę.

Zniknęła za zamkniętymi drzwiami i wróciła w niespełna kwadrans z małą brązową kartoteką. Wyciągnęła z niej jedną kartkę i przeczytała na głos dane.

- Kapitan Guy Trentham, odznaczony Krzyżem Wojennym. Służył w czasie I wojny światowej, a potem w Indiach. Wystąpił z wojska w 1922 roku. Przyczyny nieznane. Brak zwrotnego adresu.

- Jest pani geniuszem! - zawołałem i zanim wyszedłem, pocałowałem ją w czoło, wywołując tym jej konsternację.

Im więcej faktów odkrywałem, tym bardziej chciałem poznać prawdę, choć wszystko wskazywało na to, że znowu znalazłem się w martwym punkcie.

Przez następne kilka tygodni skupiłem uwagę na moich podopiecznych, dopóki nie wyjechali na ferie Bożego Narodzenia.

Wróciłem do Londynu na trzytygodniową przerwę i mile spędziłem święta z rodzicami na Little Boltons. Ojciec wydawał mi się o wiele bardziej wypoczęty niż latem i nawet matka robiła wrażenie, że otrząsnęła się ze swoich niezrozumiałych obaw. Jednakże w czasie świąt pojawiła się nowa tajemnica, a ponieważ byłem przekonany, że nie ma związku z rodziną Trenthamów, poprosiłem matkę o jej wyjaśnienie.

- Co się stało z ulubionym obrazem ojca?

Jej odpowiedź bardzo mnie zasmuciła. Matka błagała mnie, żebym nigdy przy nim nie poruszał tego tematu.

Na tydzień przed powrotem do Cambridge, gdy szedłem Beaufort Street w kierunku Little Boltons, zauważyłem weterana wojennego w niebieskim mundurze z serży, który próbował przejść na drugą stronę ulicy.

- Pozwoli pan, że mu pomogę - zaproponowałem.
- Dziękuję panu, sir - uśmiechnął się przekrwionym wzrokiem.
- Pod czyim dowództwem pan służył? - zapytałem obojętnie.
- Pod osobistym księcia Walii - odpowiedział. - A pan?
- W Królewskich Strzelcach. - Przechodziliśmy razem przez ulicę. - Zna pan tam kogoś?
- W Strzelcach? - upewnił się. - Och tak, Bangera Smitha, który służył jeszcze w czasie Wielkiej Wojny, i Sammy'ego Tomkinsa, który przyszedł do wojska później, w dwudziestym drugim albo trzecim, jeśli dobrze pamiętam, a potem był ranny pod Tobrukiem.

- BangerSmith?

- Tak - odparł weteran, gdy znaleźliśmy się już po drugiej stronie. - Prawdziwy z niego obibok. - Zaśmiał się chrapliwie. - W ciągu tygodnia przesiaduje w muzeum waszego pułku. Nie wiem tylko, czy można wierzyć jego historiom.

Następnego dnia byłem pierwszym zwiedzającym małe muzeum pułkowe, które mieściło się w Tower of London, ale dowiedziałem się od kustosza, że Banger Smith przychodzi tylko w czwartki, a i to nie zawsze. Rozejrzałem się po pokoju, który wypełniały pamiątki pułku, wyświechtane flagi udekorowane bitewnymi odznaczeniami, gablota z mundurami, przestarzały sprzęt wojskowy z ubiegłego stulecia i olbrzymie mapy pokryte różnokolorowymi szpilkami obrazującymi, jak, gdzie i kiedy owe odznaczenia zostały zdobyte.

Kustosz był starszy ode mnie zaledwie o kilka lat, dlatego nie zwracałem mu głowy pytaniami na temat I wojny światowej.

Przyszedłem do muzeum w najbliższy czwartek. W kącie pod ścianą siedział stary żołnierz i udawał, że jest bardzo zajęty.

- BangerSmith?

Weteran nie miał więcej jak metr pięćdziesiąt dwa centymetry wzrostu i nie kwapił się, żeby wstać z krzesła. Obrzucił mnie badawczym wzrokiem.

- I co z tego?

Wyjąłem z wewnętrznej kieszeni dziesięcioszylingowy banknot.

Zerknął najpierw na banknot, a potem przyjrzał mi się wnikliwie.

Czego chce się pan dowiedzieć?

- Czy przypadkiem nie pamięta pan kapitana Guya Trenthama?

- Pan z policji?

- Nie, jestem prawnikiem i zajmuję się jego majątkiem.

- Idę o zakład, że kapitan Trentham nic nikomu nie zostawił.

- Nie jestem upoważniony, żeby wypowiadać się na ten temat.

Przypuszczam, że pan nie wie, co się z nim działo, gdy odszedł z wojska. W kartotece pułkowej nie ma na jego temat żadnej wzmianki od 1922 roku.

- Bo i nie powinno być. Nie odchodził z wojska przy akompaniamencie orkiestry pułkowej na placu defiladowym. Tego cholernego faceta powinno się, moim zdaniem, wychłostać szpicrutą.

- Dlaczego?

- Nie wyciągnie pan ode mnie już ani słowa - oświadczył. - To tajemnica naszego pułku - dodał, dotykając grzbietu swojego nosa.

- Czy pan wie, dokąd się udał po wyjeździe z Indii?

- Ten testament będzie kosztował pana trochę więcej jak dziesięć szylingów - stary żołnierz cicho

się zaśmiał.

- To znaczy?

- Wyjechał do Australii, prawda? Tam zmarł, a matka sprowadziła statkiem jego zwłoki. Powiem tylko tyle: baba z wozu, koniom lżej. Gdyby to ode mnie zależało, zdjąłbym jeszcze to cholerne zdjęcie ze ściany.

- Jego zdjęcie?

- Tak. Fotografie odznaczonych Krzyżem Wojennym wiszą w lewym górnym rogu, zaraz obok odznaczonych Krzyżem Wiktorii - wyjaśnił i z trudem unosząc rękę, pokazał mi kierunek.

Podszedłem wolno do kąta, który wskazał mi Banger Smith.

Minąłem kilkanaście zdjęć żołnierzy z medalami przyznawanymi oficerom oraz w marynarce wojennej, siedem portretów odznaczonych Krzyżem Wiktorii i dotarłem do tych z Krzyżami Wojennymi.

Były chronologicznie uporządkowane: trzy z 1914 roku, trzynaście z 1915, dziesięć z 1916, jedenaście z 1917 i siedemnaście z 1918.

Kapitan Guy Trentham, jak głosił podpis, został odznaczony Krzyżem Wojennym po drugiej bitwie nad Marną 18 lipca 1918 roku.

Spojrzałem w górę na zdjęcie młodego oficera w mundurze kapitana i wiedziałem, że będę musiał pojechać do Australii.

ROZDZIAŁ 30

- Kiedy zamierzasz pojechać?

- W czasie letnich wakacji.

- Wystarczy ci pieniędzy na podróż?

- Jeszcze dużo zostało mi z tych pięciuset funtów, które otrzymałem od ciebie po skończeniu studiów. Jedynym prawdziwym wydatkiem z tej kwoty był zakup samochodu... za sto osiemdziesiąt funtów, jeśli dokładnie pamiętam. Kawaler z własnym mieszkaniem na uczelni nie ma wielkich potrzeb. - Daniel podniósł wzrok, gdy do salonu weszła matka.

- Daniel zamierza tego lata pojechać do Ameryki.

- Co za fascynujący pomysł - ucieszyła się Becky, ustawiając kwiaty na bocznym stoliku obok maszyny Remingtona. - W takim razie musisz spotkać się z Fieldami w Chicago i Bloomingdale'ami w Nowym Jorku. A jeśli starczy ci czasu, powinieneś również...

- Przede wszystkim będę chciał się spotkać z Waterstone'em w Princeton i ze Stinsteadem w Berkeley.

- Znasz ich? - Becky przerwała układanie kwiatów i spojrzała zdziwiona na Daniela.

- Nie, mamo. Obaj są profesorami uniwersyteckimi i wykładają matematykę.

Charlie roześmiał się.

- Zgoda, tylko pisz do nas regularnie - poprosiła matka. - Zawsze lubię wiedzieć, gdzie jesteś i jakie masz plany.

- Oczywiście, będę pamiętał o tym, mamo - przyrzekł Daniel, próbując ukryć rozdrażnienie. - Nie zapominaj, że mam dwadzieścia sześć lat.

Becky spojrzała na niego z uśmiechem.

- Naprawdę jesteś już taki duży, mój drogi?

Wieczorem Daniel wrócił do Cambridge i zastanawiał się, jak utrzymywać kontakt z Ameryki, będąc w Australii. Było mu przykro, że musi oszukiwać matkę, wiedział jednak, że wyznanie prawdy o kapitanie Trenthamie byłoby dla niej o wiele bardziej bolesne.

Sytuacja nie wyglądała lepiej, gdy Charlie przysłał mu bilet pierwszej klasy do Nowego Jorku na "Queen Mary", który kosztował sto trzy funty i miał otwartą datę powrotu.

Daniel w końcu wymyślił rozwiązanie. Obliczył, że jeśli odpłynie na pokładzie transatlantyku w tydzień po zakończeniu roku akademickiego i będzie kontynuował podróż przez Stany Zjednoczone do San Fransisco korzystając z linii Twentieth Century Limited i Super Chief, to z jednodniowym wyprzedzeniem zdąży zaokrętować się na "SS Aorangi" do Sydney. Zostaną mu w ten sposób cztery tygodnie na pobyt w Australii, zanim będzie musiał wyruszyć w drogę powrotną na północ, żeby

przybyć do Southampton na kilka dni przed rozpoczęciem zimowego semestru.

Jak we wszystkich swoich poczynaniach, tak i w tym przypadku, Daniel spędził wiele godzin na przygotowaniach do podróży. Przeznaczył trzy dni na Wydział Informacyjny Wyższej Komisji Australijskiej. A podczas posiłków przy Wysokim Stole Trinity pamiętał, żeby siadać zawsze obok niejakiego dra Marcusa Wintersa, goszczącego w Cambridge profesora z Adelajdy. I chociaż sekretarkę oraz kierownika biblioteki w Instytucie Australijskim zdziwiły niektóre pytania Daniela, a dra Wintersa zaintrygowały motywy dociekliwości młodego matematyka, to pod koniec roku akademickiego Daniel był pewien, że dowiedział się wystarczająco dużo i nie zmarnuje czasu, gdy postawi stopę na subkontynencie. Zdawał sobie sprawę, że całe przedsięwzięcie jest jedną wielką niewiadomą, szczególnie jeśli na pierwsze najważniejsze pytanie otrzyma odpowiedź: "Brak jakichkolwiek informacji".

Cztery dni później, gdy studenci rozjechali się do domów, Daniel oddał swój raport opiekuna roku władzom uczelni, spakował się i był gotowy do drogi. Następnego dnia rano przyjechała po niego matka, żeby odwieźć go do Southampton. W czasie podróży na południowe wybrzeże dowiedział się, że Charlie zwrócił się do Rady Miejskiej Londynu o zatwierdzenie projektu rozbudowy Chelsea Terrace i przekształcenia ulicy w jeden olbrzymi dom towarowy.

A co ze zbombardowaną kamienicą czynszową?

- Rada dała właścicielom trzy miesiące na odbudowę i zagroziła w przypadku niewykonania tego polecenia, przymusowym - wystawieniem nieruchomości na sprzedaż.

- Szkoda, że nie możemy jej kupić, prawda? - Daniel zadał jedno ze swoich pytań nie wprost w nadziei, że wyciągnie jakąś informację od matki. Ale ona skupiła się na prowadzeniu samochodu i nie odezwała się już więcej na ten temat.

Co za ironia, pomyślał. Gdyby zdecydowała się wyjawic mu powód niechęci pani Trentham do kompromisu z ojcem, mogłaby zaraz zawrócić i zawieźć go z powrotem do Cambridge.

Postanowił odzyskać bezpieczny grunt.

- W jaki sposób tata zamierza zdobyć gotówkę na tak ogromne przedsięwzięcie?

- Jeszcze nie powziął decyzji. Zaciągnie kredyt bankowy albo założy spółkę akcyjną i ogłosi emisję akcji.

- O jakiej kwocie mowa?

- Pan Merrick szacuje łączny koszt przedsięwzięcia na około sto pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Daniel przeciągle gwizdnał.

- Banki z przyjemnością udzieliłyby nam w całości tego kredytu, teraz kiedy ceny nieruchomości astronomicznie podskoczyły - wyjaśniała Becky. - Domagają się jednak, żebyśmy zabezpieczyli pożyczkę wszystkim, co posiadamy: naszymi sklepami na Chelsea Terrace, domem, kolekcją dzieł sztuki, a już szczytem ich żądań jest to, żebyśmy wyrazili zgodę na czteroprocentowe obciążenie rachunku przedsiębiorstwa w wypadku przekroczenia kredytu.

- W takim razie może lepiej założyć spółkę akcyjną i wyemitować akcje?

- To nie takie proste. Jeśli zdecydujemy się na takie rozwiązanie, to może dojść do tego, że rodzina zdoła zatrzymać tylko pięćdziesiąt jeden procent udziałów.

- Pięćdziesiąt jeden procent oznacza, że pakiet kontrolny zostanie w waszych rękach.

- To prawda - przyznała Becky. - Założmy jednak, że w przyszłości będziemy musieli zainwestować większy kapitał. Oznacza to konieczność dalszego upłynnienia akcji i utratę większości udziałów. Sam wiesz najlepiej, jak ojciec nienawidzi ryzykować, żeby zbyt wiele nie

wpadło w obce ręce. A obowiązek regularnych sprawozdań przed członkami zarządu i tłumaczenie się przed akcjonariuszami może być dla niego receptą na nieszczęście. Zawsze prowadził interesy, kierując się instynktem, tymczasem Bank Anglii może preferować w tej kwestii bardziej stereotypowe podejście.

- Do kiedy decyzja musi zostać podjęta?

- Do czasu twojego powrotu z Ameryki powinna już zapaść.

- A co z przeszłością Chelsea Terrace numer pierwszy?

- Jest duża szansa na to, że wszystko wróci do normy. Mam odpowiedni personel i wystarczające kontakty. Jeśli w porę zostaną zatwierdzone plany, rzucę wyzwanie naszej konkurencji, domom aukcyjnym Sotheby's i Christie's.

- Pod warunkiem, że ojciec przestanie wynosić ukradkiem z domu najlepsze obrazy.

- To prawda. - Becky uśmiechnęła się. - Jeśli jednak nadal będzie miał tak dobre wyczucie jak do tej pory, to wartość naszej prywatnej kolekcji przewyższy wartość naszych interesów, czego w bolesny sposób dowiodła odsprzedaż mojego van Gogha Galerii Lefevre. Nie spotkałam jeszcze amatora, który by lepiej od Charlie'ego znał się na dziełach sztuki. Tylko mu nigdy tego nie powtarzaj.

I Becky skupiła uwagę na znakach, które wskazywały drogę do portu. Wjechała na nabrzeże i zatrzymała się przy transatlantyku, ale nie aż tak blisko, jak zdołała zrobić to kiedyś Daphne.

Jeszcze tego samego wieczoru Daniel wypłynął z Southampton na pokładzie "Queen Mary", żegnany z lądu przez matkę.

Na pokładzie wielkiego liniowca napisał długi list do rodziców, który wysłał pięć dni później z Fifth Avenue. Potem kupił bilet w towarzystwie Twentieth Century Limited do Chicago w wagonie pulmanowskim. Pociąg odchodził z Penn Station o ósmej tego samego wieczoru. Daniel spędził tylko sześć godzin na Manhattanie, a jego jedynym dodatkowym zakupem był przewodnik po Ameryce.

W Chicago wagon pulmanowski został doczepiony do pociągu Super Chief, który jechał już do samego San Francisco.

W czasie czterodniowej podróży przez Amerykę Daniel żałował, że zdecydował się jechać do Australii. Mijał Kansas City, Newton City, La Junta, Albuquerque i Barstow, a każde miasto wydawało mu się bardziej atrakcyjne od poprzedniego. Gdy tylko pociąg zatrzymywał się na nowej stacji, Daniel wyskakiwał, kupował kolorową widokówkę świadczącą o miejscowości, w której był, i zanim zdążył dojechać do następnej stacji, zapełniał puste miejsce na kartce informacjami z przewodnika. Potem wrzucał ją do skrzynki i powtarzał od początku ten sam proceder. Zanim pociąg dotarł do Oakland Station w San Francisco, Daniel wysłał do rodziców na adres Little Boltons dwadzieścia siedem pocztówek.

Wysiadł z autobusu na placu St Francis Square i wynajął pokój w niewielkim hotelu w pobliżu portu, gdy upewnił się, że opłata za pobyt nie uszczupli nadmiernie jego budżetu. "SS Aorangi" wypływał dopiero za trzydzieści sześć godzin. Daniel zdecydował się pojechać do Berkeley. Spędził tam cały następny dzień w towarzystwie profesora Stinsteada. Zafascynowały go badania, jakie prowadził uczony nad trzeciorzędowym rachunkiem różniczkowym.

Ponownie zrobiło mu się żal, że nie może zostać dłużej w Berkeley.

Przypuszczał, że dowiedziałby się tam o wiele więcej, niż zdoła odkryć w Australii.

Wieczorem, w dniu poprzedzającym wyjazd, Daniel kupił następne dwadzieścia pocztówek i pilnie wypełniał je do pierwszej w nocy. Przy dwudziestej jego pomysłowość wyczerpała się.

Następnego dnia rano zapłacił rachunek i zwrócił się z prośbą do portiera, żeby co trzy dni wysyłał jedną kartkę. Wręczył mu dziesięć dolarów i obiecał tyle samo pod warunkiem, że zostanie odpowiednią liczbę widokówek po swoim powrocie, którego terminu dokładnie nie określił.

Portier zdziwił się trochę, schował jednak banknot do kieszeni i wyznał młodszemu koledze z recepcji, że wykonywał dziwniejsze polecenia za znacznie mniejsze pieniądze.

Gdy Daniel znalazł się na pokładzie "SS Aorangi" broda porastała mu szczecina i miał na tyle dopracowany plan, na ile pozwalały informacje zebrane po drugiej stronie globu. W czasie podróży zwykł siadać przy dużym okrągłym stole z australijską rodziną, która wracała do domu po wakacjach spędzonych w Stanach. Przez następne trzy tygodnie ludzie ci znacznie wzbogacili jego zasób wiedzy, nie zdając sobie sprawy, z jak napiętą uwagą przysłuchiwał się każdemu ich słowu.

Przyłynął do Sydney w pierwszy poniedziałek sierpnia 1947 roku. Gdy pilot powoli wprowadzał liniowiec do portu, Daniel stał na pokładzie i obserwował słońce, które chowało się za Sydney Harbour Bridge. Nagle zatęsknił za domem i nie po raz pierwszy zrobiło mu się żal, że zdecydował się na tę wyprawę. Godzinę później opuścił statek i wynajął pokój w pensjonacie, który polecili mu towarzysze podróży.

Właścicielka pensjonatu, postawna i jowialna kobieta o szerokim uśmiechu, przedstawiła się Danielowi jako pani Snęli. Przydzieliła mu pokój, który określiła jako luksusowy. Daniel był zadowolony, że nie zamieszkał w jednym ze zwykłych pokoi pensjonatu.

Podwójne łóżko wyginało się do ziemi pod ciężarem jego ciała, a gdy się obracał, czuł wbijające się w plecy sprężyny. Z obu kurków przy wannie płynęła zimna woda o różnych odcieniach brązu, a zwisająca z sufitu goła żarówka dawała zbyt skąpe światło, by można było przy niej czytać. Musiałby stanąć bezpośrednio pod nią na krześle, gdyby taki mebel znajdował się w pokoju.

Daniel zapytany następnego dnia rano po śniadaniu, na które składały się: jajka na bekonie, smażone ziemniaki i chleb, gdzie zje obiad, odpowiedział w sposób zdecydowany, że poza domem.

Pierwszą i decydującą rozmowę Daniel miał przeprowadzić z pracownikami Urzędu Imigracyjnego. Gdyby nie mieli dla niego żadnych pomyslnych informacji, wiedział, że jeszcze tego samego dnia może wracać na pokład SS Aorangi". Pomyślał nawet, że nie byłby z tego powodu bardzo rozczarowany.

Olbrzymi brązowy budynek urzędu na Market Street, w którym zgromadzono dokumenty wszystkich osadników przybyłych do kolonii poczynawszy od 1823, otwierano o dziesiątej. Daniel przyszedł pół godziny wcześniej, ale i tak musiał ustawić się w jednej z ośmiu kolejek. Dużo ludzi interesowało się formalnościami, które były wymagane przy rejestracji imigrantów. Daniel wiedział, że nie dojdzie do okienka przez następne czterdzieści minut.

Gdy w końcu dotarł do celu, zobaczył przed sobą mężczyznę o czerstwej twarzy, który miał na sobie niebieską koszulę rozpiętą pod szyją i siedział na krześle w niedbałej pozie.

- Szukam informacji o pewnym Angliku, który przybył do Australii między 1922 a 1925 rokiem.
- Czy mógłby pan coś więcej dodać, kolego?
- Boję się, że nie - powiedział Daniel.

Nie ma się czego bać - zauważył urzędnik. - A nazwisko pan zna?

- Oczywiście - rzekł Daniel. - Guy Trentham.
- Proszę je przeliterować.

Daniel powoli wymienił wszystkie głoski.

- W porządku, kolego. To będzie pana kosztować dwa funty. - Daniel wyjął portfel z wewnętrznej

kieszeni sportowej marynarki i podał żadaną kwotę. - Proszę się tutaj podpisać - poprosił urzędnik, obracając się w fotelu i wskazując palcem ostatnią linię na dole formularza. - Niech pan przyjdzie w czwartek.

- W czwartek? Ale to dopiero za trzy dni.

- Cieszę się, że jeszcze was uczą liczyć w Anglii. Następny proszę.

Daniel opuścił budynek bez żadnej informacji, ale za to z pokwitowaniem wpłacenia dwóch funtów. Gdy znalazł się z powrotem na ulicy, kupił gazetę "Sydney Morning Herald" i zaczął się rozglądać za restauracją w pobliżu portu, w której mógłby zjeść obiad. Wybrał małą knajpkę zatłoczoną młodymi ludźmi. Kelner przeprowadził go przez gwarłą salę do małego stolika w rogu.

Daniel zdążył przeczytać niemal wszystkie informacje, zanim otrzymał zamówioną sałatę. Odłożył na bok gazetę, zdziwiony, że nie zamieszczono w niej nawet jednej wzmianki na temat wydarzeń w Anglii.

Chrupał liść sałaty i zastanawiał się, w jaki sposób najlepiej wykorzystać nie planowaną zwłokę, gdy dziewczyna przy sąsiednim stoliku nachyliła się w jego stronę i poprosiła o cukier.

- Bardzo proszę - powiedział, podając jej cukiernicę. Pewnie by nie spojrział na nią po raz drugi, gdyby nie zauważył, że czyta Zasady matematyki A. N. Whiteheade'a i Bertranda Russella.

- Czy przypadkiem nie studiujesz matematyki? - zapytał.

- Studiuję - odparła, nie patrząc w jego stronę.

- Pytam dlatego, że uczę tego przedmiotu - tłumaczył się Daniel.

Nie chciał, żeby jego pytanie wydało się jej niegrzeczne.

- Tak, oczywiście. I na pewno w Oksfordzie - prychnęła, nadal nie odwracając głowy.

- Nie, w Cambridge.

Dopiero teraz zmierzyła Daniela badawczym wzrokiem.

- Czy możesz w takim razie wyjaśnić mi regułę Simpsona? - zażądała ostrym tonem.

Daniel rozłożył papierową serwetkę, wyjął wieczne pióro i narysował kilka wykresów, żeby zilustrować regułę. A potem punkt po punkcie zaczął ją tłumaczyć. Nie robił tego od czasu, gdy skończył liceum St. Paul's.

Dziewczyna porównała jego zapisy na wykresie ze swoimi w książce, uśmiechnęła się i powiedziała.

- Jasny gwint, ty naprawdę uczysz matematyki. - Uwaga wprawiła Daniela w zakłopotanie, gdyż nie był pewien, co znaczy jasny gwint, ale ponieważ sformułowaniu towarzyszył uśmiech, przyjął je za wyraz uznania. Studentka zaskoczyła Daniela jednak jeszcze bardziej, gdy wzięła swój talerz z jajkami i fasolą i zajęła miejsce obok niego przy stole.

- Jestem Jackie - powiedziała. - Obieżyświat z Perth.

- A ja nazywam się Daniel. Jestem..

- Belfrem z Cambridge. Już się przedstawiałeś. Nie pamiętasz?

Teraz z kolei Daniel uważnie przyjrzał się dziewczynie, która siedziała naprzeciwko niego. Wyglądała na dwadzieścia lat. Miała krótkie blond włosy i zadarty nos. Jej ubiór stanowiły szorty i żółty podkoszulek z napisem "Perth!" na piersi. Była zupełnie niepodobna do studentek, które widywał w Trinity.

- Studiujesz na uniwersytecie?

- Tak, na drugim roku, w Perth. Co cię przywiodło do Sydney, Dan?

Danielowi nie przyszła na myśl żadna natychmiastowa odpowiedź, ale i tak to nie miało

znaczenia, ponieważ Jackie natychmiast sama zaczęła mu wyjaśniać, skąd się wzięła w stolicy Nowej Południowej Walii. Długo nie dawała mu dojść do głosu.

Prawdę mówiąc, do czasu gdy kelner zjawił się z rachunkami, mówiła tylko ona. Daniel nalegał, że zapłaci za nich oboje.

- To miło z twojej strony - zauważyła Jackie. - Co robisz dzisiaj wieczorem?()

- Nie mam żadnych planów.

- Wybieram się do Teatru Królewskiego. Nie miałbyś ochoty pójść tam razem ze mną? - zaproponowała.

- A co grają? - Daniel nie potrafił ukryć zaskoczenia. Był po raz pierwszy w życiu podrywany.

- Dzisiaj wieczorem o ósmej trzydzieści Noela Cowarda z Cyrylem Ritchardem i Madge Elliott.

Brzmi nieźle - powiedział wymijająco.

- Świetnie. Zatem spotykamy się w foyer za dziesięć ósma, Dan.

Tylko się nie spóźnij. - Podniosła plecak, zarzuciła go sobie na ramię, zapięła klamrę i po kilku sekundach już jej nie było.

Daniel zobaczył, jak wychodzi z lokalu, zanim zdążył wymyślić jakąś wymówkę i odrzucić jej propozycję. Doszedł do wniosku, że gdyby nie zjawił się w teatrze, zachowałby się nietaktownie. Poza tym dobrze czuł się w towarzystwie Jackie. Spojrzał na zegarek i postanowił poświęcić resztę dnia na zwiedzanie miasta.

Przyszedł do Teatru Królewskiego za dwadzieścia ósma, kupił dwa bilety na parterze po sześć szylingów za każdy i kręcił się po foyer, czekając na swojego gościa, a raczej na gospodynię wieczoru.

Kiedy rozległ się dzwonek na pięć minut przed rozpoczęciem przedstawienia, a Jackie wciąż nie było, Daniel czuł, że bardziej mu zależy na spotkaniu z nią, niż chciałby do tego się przyznać. Ale po jego znajomej z restauracji nie było śladu jeszcze na dwie minuty przed spektaklem. Daniel już sądził, że będzie zmuszony obejrzeć go sam, gdy na minutę przed podniesieniem kurtyny w górę poczuł dotyk na swoim ramieniu i usłyszał słowa:

- Cześć, Dan. Nie sądziłam, że przyjdiesz. - I kolejna nowość.

Jeszcze nigdy nie był w teatrze z dziewczyną w szortach.

Uśmiechnął się. Sztuka podobała mu się. Stwierdził jednak, że towarzystwo Jackie w przerwach spektaklu, po przedstawieniu i później, podczas kolacji w Romano - małej włoskiej restauracji, którą najwyraźniej dobrze znała - sprawia mu jeszcze większą przyjemność. Nigdy nie spotkał nikogo, kto by po kilku godzinach znajomości był tak otwarty i przyjacielski. Dyskutowali o wszystkim, od matematyki po Clarka Gable, a Jackie na każdy temat miała własną sprecyzowaną opinię.

- Czy mogę odprowadzić cię do hotelu? - zapytał Daniel, gdy w końcu wyszli z restauracji.

- Nie mam hotelu - oświadczyła Jackie z uśmiechem. - Wobec tego ja odprowadzę cię.

- Dlaczego nie? - zgodził się Daniel. - Sądzę, że pani Snęli znajdzie jakiś wolny pokój na jedną noc.

Jackie kilkakrotnie nacisnęła dzwonek, zanim gospodyni otworzyła im drzwi. - Nie wiedziałam, że jesteście we dwoje. To oczywiście będzie drożej kosztować - zapowiedziała.

26 - Prosto jak strzeleli! - Ależ my nie jesteśmy... - zaczął Daniel.

- Dziękuję pani - ucięła Jackie i wzięła klucz od pani Snęli w chwili, gdy właścicielka pensjonatu porozumiewawczo mrugała do Daniela.

Gdy znaleźli się w małym pokoju, Jackie zdjęła plecak. - Nie martw się o mnie Dan. Będę spała

na podłodze.

Nie wiedział, jak na to zareagować. Bez słowa poszedł do łazienki, włożył piżamę i umył zęby. A potem prędko wskoczył do łóżka, nawet nie patrząc w stronę dziewczyny. Gdy tylko usłyszał, że zamknęły się drzwi do łazienki, zsunął się z łóżka, podszedł na palcach do kontaktu, zgasił światło i z powrotem wślizgnął się pod prześcieradła. Po kilku minutach ponownie zaskrzypiały drzwi.

Zamknął oczy i udawał, że śpi. Położyła się obok niego i nagle znalazł się w jej objęciach.

- Ależ, Danielu - w ciemnościach w jej głosie przesadnie zabrzmiał angielski akcent. - Pozbądź się tej okropnej piżamy. - I zaczęła mocować się z bawełnianymi pętelkami przy guzikach.

Chciał zaprotestować. Odwrócił się w jej stronę i poczuł przy sobie nagie ciało. Nie był w stanie wymówić słowa. Leżał bez ruchu z zamkniętymi oczami, a Jackie powoli gładziła go po nogach. Rozpierała go bezgraniczna radość. Wkrótce potem zawładnęło nim dziwne uczucie słabości i sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Był jednak pewien, że każda chwila sprawia mu wielką radość.

- Przypuszczam, że jesteś prawiczką - stwierdziła Jackie, gdy w końcu otworzył oczy.

- Nie - poprawił ją. - Byłem.

- Obawiam się, że nadal jesteś - powiedziała Jackie. - Nie przejmuj się jednak. Obiecuję ci, że poradzimy sobie z tym do rana.

Tylko prawdę mówiąc, Dan, nie miałabym nic przeciwko temu, gdybyś następnym razem był bardziej skory do współpracy.

Większość czasu w ciągu następnych trzech dni Daniel spędził na pobieraniu nauk od studentki uniwersytetu z Perth. Drugiego dnia rano odkrył piękno kobiecego ciała. A trzeciego dnia wieczorem Jackie wydała z siebie cichy jęk, pozwalając mu wierzyć, że chociaż nie zasługuje jeszcze na dyplom, to pomyślnie zakończył pierwszy rok.

Zrobiło mu się smutno, gdy powiedziała, że musi wracać do domu. Po raz ostatni zarzuciła sobie plecak na ramię, a Daniel odprowadził ją na stację i patrzył, jak pociąg odjeżdża z peronu, zabierając ją ze sobą do Zachodniej Australii.

- Jeśli kiedyś dostanę się do Cambridge, to na pewno cię odszukam, Dan - zapamiętał jej ostatnie słowa.

- Mam nadzieję - rzekł i pomyślał, że niejednemu stołownikowi, który zasiada przy Wysokim Stole Trinity, kilka dni lekcji z biegłą w nauczaniu Jackie mogłoby przynieść wiele pożytku.

Zgodnie z poleceniem Daniel ponownie zgłosił się w czwartek rano do Urzędu Imigracyjnego. Po kolejnej godzinie spędzonej w kolejce wręczył pokwitowanie urzędnikowi, który nadal siedział niedbale po drugiej stronie okienka i miał na sobie tę samą koszulę.

- Och, tak, Guy Trentham, pamiętam. Znalazłem jego dane kilka minut po pana wyjściu - powiedział urzędnik. - Szkoda, że nie przyszedł pan wcześniej.

- Wobec tego mogę tylko panu podziękować.

- Podziękować mi, za co? - zapytał mężczyzna podejrzliwie.

Daniel wziął od urzędnika małą zieloną kartkę.

- Za trzy najszcześniejsze dni w moim życiu.

- Do czego pan zmierza, kolego? - zdziwił się inny mężczyzna, ale Daniel już go nie słyszał.

Usiadł na schodach przed wejściem do wysokiego kolonialnego budynku i uważnie przyjrzał się urzędowej nocie. Niewiele się z niej dowiedział, tak jak się tego obawiał.

Imię i nazwisko: Guy Trentham (zarejestrowany jako imigrant)

18 listopad 1922 rok Zawód: Pośrednik nieruchomości Adres: 117 Manley Drive Sydney Daniel

wkrótce zlokalizował Manley Drive na planie, który mu zostawiła Jackie, znalazł autobus kursujący do północnej części Sydney i wysiadł na położonym wśród zieleni przedmieściu w pobliżu portu. Domy, chociaż przestronne, były zaniedbane, ale Daniel odniósł wrażenie, że w przeszłości ta dzielnica musiała być zamożna.

Zadzwoił do drzwi domu, który mógł być w czasach kolonialnych pensjonatem. Otworzył mu młody człowiek w szortach i w podkoszulku. Daniel zaczął uważać ten ubiór za strój narodowy Australijczyków.

- Wiem, że pytam o zamierzchłe czasy - zaczął Daniel - ale szukam informacji o kimś, kto być może tutaj mieszkał w 1922 roku.

- Wtedy nie było mnie jeszcze na świecie - zauważył wesoło młodzieniec. - Lepiej niech pan wejdzie i porozmawia z moją ciotką, Sylwią. Na pewno bardziej będzie mogła panu pomóc.

Daniel wszedł za młodym człowiekiem do mieszkania, minął hall i salon, który wyglądał tak, jak gdyby nikt nie sprzątał w nim od wielu dni, i znalazł się na werandzie, która kiedyś prawdopodobnie była pomalowana na biało. W bujanym fotelu siedziała kobieta około pięćdziesiątki, Daniel jednak nie był pewien jej wieku z powodu ufarbowanych na ciemno włosów i zbyt ostrego makijażu. Huśtała się w przód i w tył, miała zamknięte oczy i wystawiała twarz do słońca.

- Przepraszam, że niepokoję...

- Nie śpię - oznajmiła kobieta i otworzyła oczy, żeby przyjrzeć się intruzowi. Popatrzyła podejrzliwie na Daniela.

- Kim pan jest? Pańska twarz wydaje mi się znajoma.

- Nazywam się Daniel Trumper - przedstawił się. - Szukam informacji o kimś, kto prawdopodobnie tutaj mieszkał w 1922 roku.

Zaczęła się śmiać. - Dwadzieścia pięć lat temu. Muszę przyznać, że wielki z pana optymistą.

- Nazywał się Guy Trentham.

Wyprostowała się gwałtownie i spojrzała mu prosto w twarz.

- Pan jest jego synem, nie mylę się, prawda? - Pytanie zmroziło Daniela. - Nawet gdy dożyję stu lat, nigdy nie zapomnę tej jego elokwencji i obłudnej twarzy.

Daniel nie mógł już dłużej oszukiwać się, nawet przed samym sobą.

- Czy przyjechał pan tutaj po to, żeby po tylu latach uregulować jego długi?

- Nie rozumiem... - bąknął.

- Dał drapakę, zalegając mi z rocznym komornym. Ciągle pisał do swojej matki do Anglii, prosząc ją o pieniądze, ale gdy przychodziły, nie widziałam ich na oczy. Sądził pewnie, że już wystarczająco mi płaci, gdy ze mną sypia. Jak mogłabym zapomnieć tego drania? Szczególnie po tym, co się z nim później stało.

- To znaczy, że pani wie, dokąd się udał, gdy opuścił ten dom?

Zawahała się, jak gdyby podejmowała w myślach decyzję. Odwróciła się i wyjrzała przez okno.

- Kiedy ostatni raz o nim słyszałam - odezwała się po długiej przerwie - pracował jako bukmacher w Melbourne, tuż przedtem, zanim...

- Zanim? - dopytywał się Daniel.

Znowu dziwnie na niego popatrzyła.

- Nie - powiedziała. - Lepiej będzie, jeśli sam się pan dowie.

Nie mam zamiaru być tą osobą, która pana o tym poinformuje.

Proszę posłuchać mojej rady: niech pan wsiądzie na pierwszy statek płynący do Anglii i nie

zawraca sobie głowy Melbourne.

- A jeśli się okaże, że jest pani jedyną osobą, która może mi pomóc?

- Dałam się już raz nabrać pańskiemu ojcu, nie mam zamiaru powtórzyć tego samego błędu z jego synem. Odprowadź pana do drzwi, Kevin.

Danielowi zrobiło się słabo. Podziękował kobiecie za rozmowę i wyszedł bez słowa. Wsiadł do autobusu, którym dojechał do Sydney i pieszo pokonał resztę drogi do pensjonatu. Spędził samotną noc, tęskniąc za Jackie. Zastanawiał się, dlaczego jego ojciec tak podle postępował po przyjeździe do Australii i czy lepiej nie skorzystać z rady "ciotki Sylwii".

Następnego dnia rano opuścił panią Snęli oraz jej szeroki uśmiech. Zanim jednak to zrobił, wręczyła mu słony rachunek.

Zapłacił go bez protestu i ruszył w kierunku stacji kolejowej.

Jeszcze tego samego wieczoru wysiadł na Spencer Street Station w Melbourne. Najpierw sprawdził, czy w miejskiej książce telefonicznej nie figuruje nazwisko Trentham, a ponieważ go nie znalazł, postanowił zatelefonować do wszystkich zarejestrowanych w mieście bukmacherów. Jednak dopiero dziewiątemu z nich nazwisko Trentham wydało się znajome.

- Chyba już je gdzieś słyszałem - powiedział rozmówca Daniela.

- Nie przypominam sobie jednak nic konkretnego. Powinien pan porozmawiać z Bradem Morrisem. Prowadził to biuro w tamtym czasie, może będzie mógł panu pomóc. Znajdzie pan jego numer w książce.

Daniel odszukał pana Morrisona w spisie. A gdy się z nim połączył, rozmowa ze starszym panem była tak krótka, że nie potrzebował drugiej monety.

- Czy nazwisko Trentham coś panu mówi? - Zapytał ponownie.

- Chodzi o tego Anglika?

- Tak - odpowiedział Daniel, czując przyspieszone bicie serca.

- Który miał elegancki akcent i wszystkim mówił, że jest majorem?

- Może i tak.

- Wobec tego niech pan zatelefonuje do więzienia, gdyż tam właśnie skończył. - Daniel chciał się dowiedzieć, dlaczego, ale łączność została już przerwana.

Wciąż jeszcze cały drżał, gdy targał swoją walizę ze stacji do hotelu kolejowego po drugiej stronie ulicy. Znowu leżał na pojedynczym łóżku w małym, ciemnym pokoju i próbował powziąć decyzję, czy nadal ma prowadzić dochodzenie, czy też powinien zrezygnować z poznania prawdy i za radą Sylwii wsiąść na pierwszy statek do Anglii.

Wcześniej zasnął, ale obudził się w środku nocy kompletnie ubrany. Gdy do pokoju wpadły przez okno pierwsze promienie słońca, Daniel powziął decyzję. Nie chciał o niczym wiedzieć, nie było mu to potrzebne i zamierzał natychmiast wracać do Anglii.

Postanowił najpierw się wykąpać i przebrać, ale gdy to zrobił, zmienił zamiar.>

Pół godziny później zszedł do hallu i spytał recepcjonistę, gdzie się mieści główny posterunek policji. Mężczyzna za biurkiem skierował go na Bourke Street.

- Czy aż tak bardzo nie odpowiadał panu pokój? - zażartował.

Daniel roześmiał się z przymusem. Oddalił się powoli we wskazanym kierunku pełen złych przeczuc. Już po kilku minutach dotarł na Bourke Street, ale okrążył parokrotnie gmach, zanim zdecydował się wejść po kamiennych schodach na górę.

Młody sierżant, który miał tego dnia dyżur, nie znał nazwiska Trentham, ale chciał się

dowiedzieć, kto poszukuje na jego temat informacji.

- Krewny z Anglii - odparł Daniel. Sierżant zostawił go samego przy okienku i podszedł do starszego oficera, który siedział przy biurku w drugim końcu sali i cierpliwie przeglądał fotografie.

Oficer przerwał swoje zajęcie i uważnie słuchał, a potem zapytał o coś sierżanta. Zamiast odpowiadać, sierżant odwrócił się i wskazał na Daniela. Bękart, pomyślał Daniel. Jesteś małym bękartem. Po chwili sierżant wrócił.

- Zamknęliśmy sprawę Trenthama - wyjaśnił. - Wszystkie dalsze informacje na jego temat może uzyskać pan w Wydziale Więziennictwa.

Danielowi niemal odjęło mowę.

- A gdzie mieści się ten wydział? - zdołał tylko wyjąkać.

- Na siódmym piętrze - powiedział sierżant.

Gdy Daniel wysiadł z windy na wskazanym piętrze, zobaczył przed sobą olbrzymi plakat przedstawiający powiększoną podobiznę mężczyzny o miłej twarzy-generała więziennictwa, nazywającego się, Hector Watts.

Skierował się do informacji. Chciał wiedzieć, czy będzie mógł się spotkać z panem Wattsem.

- Jest pan umówiony?

- Nie - odparł Daniel.

- W takim razie, wątpię...

- Czy byłby pan tak uprzejmy i zechciał wyjaśnić generałowi, że specjalnie przyjechałem z Anglii, żeby się z nim widzieć?

Kazano mu czekać tylko chwilę, a potem zaprowadzono na ósme piętro. Poczul na sobie ciepły uśmiech generała, który wyglądał tak samo jak na plakacie, może trochę bardziej pogłębiły mu się tylko bruzdy na twarzy. Zdaniem Daniela Hector Watts miał około sześćdziesiątki i pomimo nadmiernej tuszy, sprawiał wrażenie zadbanego mężczyzny.

- Z której części Anglii pan przyjechał? - zapytał Watts.

- Z Cambridge - wyjaśnił Daniel. - Uczę matematyki na uniwersytecie.

- A ja pochodzę z Glasgow - rzekł Watts. - Nietrudno się domyślić, zważywszy na moje nazwisko i akcent Proszę, niech pan usiądzie i powie mi, co mogę dla pana zrobić.

- Szukam informacji o Guyu Trenthamie, a na policji skierowano mnie do pana.

- Tak, przypominam sobie to nazwisko. Sam nie wiem, dlaczego utkwilo mi w pamięci? - Szkot wstał zza biurka i podszedł do rzędu kartotek, które leżały na półkach z tyłu za jego plecami. Otworzył jedną z nich oznaczoną literami STV i wydobyl z niej dużą teczkę z aktami.

- Trentham - powtórzył, przekładając w teczce akta i w końcu wyjął z niej dwa arkusze papieru. Wrócił do biurka, położył dokumenty przed sobą i zaczął je czytać. Gdy zapoznał się z treścią, podniósł wzrok i przyjrzał się Danielowi bardziej uważnie.

- Od jak dawna pan tu przebywa, chłopcze?

- Przybyłem do Sydney niecały tydzień temu - odparł Daniel, zdziwiony pytaniem.

- Nigdy przedtem nie był pan w Melbourne?

- Nie, nigdy.

- Jaki jest powód pańskiego dochodzenia?

- Chciałbym zebrać wszystkie możliwe informacje na temat kapitana Guya Trenthama.

- W jakim celu? - dociekał generał. - Czy jest pan dziennikarzem?

- Nie - odpowiedział Daniel. - Jestem nauczycielem, ale...

- Musiał być jakiś ważny powód, dla którego zdecydował się pan wybrać w tak daleką podróż.

- Zwykła ciekawość, jak sądzę - rzekł Daniel. - Widzi pan, Guy Trentham był moim ojcem, chociaż nigdy go nie znałem.

Szef służby więziennej odszukał wzrokiem imiona najbliższych krewnych, które figurowały w dokumencie: zmarła żona, Anna Helena, i jedyna córka, Margaret Ethel. Nie było żadnej wzmianki na temat syna. Raz jeszcze spojrzął na Daniela i po kilku minutach namysłu powziął decyzję.

- Przykro mi, że muszę o tym zawiadomić pana, panie Trentham, ale pański ojciec zmarł w areszcie śledczym.

Daniel był oszołomiony i zaczął się trząść.

Watts spojrzął na niego zza biurka i dodał:

- Przykro mi, że musiałem przekazać panu niepomyślne informacje, tym bardziej że przyjechał pan z tak daleka.

- Co było przyczyną śmierci? - szepnął Daniel.

Generał odwrócił kartkę na drugą stronę, znalazł ostatnią rubrykę w wykazie popełnionych przestępstw, który miał przed sobą, i odczytał słowa: "Skazany na śmierć przez powieszenie, wyrok wykonano". Podniósł wzrok na Daniela.

- Atak serca - powiedział.

ROZDZIAŁ 31

Daniel wykupił bilet w wagonie sypialnym do Sydney, ale nie spał w czasie podróży. Zależało mu tylko na tym, żeby znaleźć się jak najdalej od Melbourne. Z każdym kilometrem, który oddalał go od miasta, coraz bardziej się odprężał i po jakimś czasie był nawet w stanie zjeść pół kanapki z wagonu restauracyjnego. Gdy pociąg wjechał na stację największego z australijskich miast, Daniel wyskoczył na peron, załadował walizkę do taksówki, skierował się prosto do portu i kupił bilet na pierwszy statek, jaki kursował do zachodnich wybrzeży Ameryki.

O północy wypływał do San Francisco niewielki parowy statek trampowy, który mógł przewozić tylko czworo pasażerów. Danielowi nie pozwolono jednak wejść na jego pokład, dopóki nie wręczył kapitanowi kwoty równej cenie biletu. Zostało mu wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wrócić do Anglii, ale nie mógł pozwolić już sobie na inne nieprzewidziane wydatki.

Huśtania i przechyły zdawały się nie mieć końca. Drogę powrotną Daniel spędził leżąc w swojej kajucie. Zastanawiał się, jak powinien wykorzystać posiadane informacje. Myślał o niepokojach, które musiała przeżywać jego matka w ciągu tych wszystkich lat, i o tym, jakim szlachetnym człowiekiem jest jego ojczym. Nienawidził tego słowa. Wiedział, że nigdy nie będzie mógł myśleć o Charlie'm w ten sposób. Gdyby od samego początku dopuścili go do swojej tajemnicy, to zamiast tracić energię na odkrywanie prawdy, mógłby ją wykorzystać, żeby im pomóc. Bolesna świadomość, że nie może się przed nimi zdradzić ze swoją wiedzą, była teraz nawet jeszcze dotkliwsza, gdy wiedział prawdopodobnie o wiele więcej niż oni.

Wątpił, żeby matka zdawała sobie sprawę z tego, że Trentham zmarł w więzieniu, zostawiając za sobą sznur rozgoryczonych wierzycieli od Victorii po Nową Południową Walię.

Gdy stał na pokładzie i obserwował małą łódkę, która podskakując na falach zniknęła pod Golden Gate, wpływając do zatoki, poczuł, że jego plan zaczyna nabierać realnych kształtów.

Po przejściu przez odprawę paszportową, dojechał autobusem do centrum San Francisco i zameldował się w tym samym hotelu, w którym zatrzymał się przed wyjazdem do Australii. Portier oddał mu dwie kartki, których jeszcze nie zdążył wysłać. Zgodnie z obietnicą Daniel wręczył mu dziesięciodolarowy banknot, dopisał kilka słów na pocztówkach i zanim wsiadł do pociągu Super Chief, wrzucił obie do skrzynki pocztowej.

W miarę jak upływały mu w samotności godziny i dni, jego plan stawał się coraz precyzyjniejszy. Daniel martwił się tylko, że brakuje mu informacji, które zna matka, i że nigdy nie ośmieli się jej o to zapytać. W każdym razie miał teraz pewność, że jego ojcem był Guy Trentham, który opuścił Anglię i Indie w niesławie. A przerażająca pani Trentham, która z niewiadomego powodu obwinała Charlie'ego za to, co się stało z jej synem, musi być jego babką.

Po przyjeździe do Nowego Jorku Daniel był wściekły, gdy dowiedział się, że "Queen Mary" odpłynęła do Anglii poprzedniego dnia.

Zamienił bilet na "Queen Elizabeth" i zostało mu w kieszeni tylko kilka dolarów. Jego ostatnią czynnością w Ameryce było nadanie telegramu do matki z informacją o przybliżonym terminie przybycia do Southampton.

Po raz pierwszy poczuł prawdziwe odprężenie, kiedy z rufy liniowca nie było już widać Statuy Wolności. Jednak w czasie pięciodniowej podróży umysł zaprzętały mu rozmyślania o pani Trentham. Nie potrafił uznać jej za swoją babkę. Wpływając do portu w Southampton, wiedział, że musi uzyskać od matki odpowiedź na kilka pytań, zanim będzie gotów, żeby zrealizować swój plan.

Gdy zszedł z pomostu i z powrotem stanął na angielskiej ziemi, zauważył, że podczas jego nieobecności liście na drzewach zmieniły barwę z zielonej na złotą. Daniel zamierzał raz na zawsze rozwiązać problem pani Trentham do czasu, kiedy opadną.

Na nabrzeżu czekała na niego matka. Nigdy bardziej nie ucieszył się na jej widok i tak gorąco ją wyściskał, że nie potrafiła ukryć zdziwienia. W drodze powrotnej do Londynu dowiedział się, że w czasie jego nieobecności zmarła babcia. Matka nie zapamiętała nazwiska żadnego z profesorów, u których przebywał z wizytą. I dlatego, choć otrzymywała od niego wiele pocztówek, nie mogła mu przekazać tej smutnej wiadomości. Powiedziała też, że sprawił jej dużą przyjemność, dając tak liczne dowody pamięci.

- Przypuszczam, że jeszcze kilka kartek jest w drodze - rzekł Daniel. Po raz pierwszy odczuł wyrzuty sumienia.

- Czy będziesz mógł spędzić z nami kilka dni przed wyjazdem do Cambridge?

- Tak. Wróciłem trochę wcześniej, niż zakładałem, więc będziecie musieli jeszcze mnie znosić przez kilka tygodni.

- Och, ta wiadomość sprawi twojemu ojcu ogromną przyjemność.

Daniel zastanawiał się, ile czasu musi jeszcze upłynąć, żeby, słysząc słowa "twój ojciec", przestał myśleć o Guyu Trenthamie.

- Jaką decyzję podjęliście w sprawie pożyczki na budowę?

- Zdecydowaliśmy się założyć spółkę akcyjną - wyjaśniła matka.

- Przesądziły o tym proste rachunki. Architekt zrobił ogólny zarys planu, a ponieważ twój ojciec chce mieć wszystko, co najlepsze, obawiam się, że ostateczne koszty mogą wynieść około pół miliona funtów.

- Czy zdołacie zachować w nowej spółce pięćdziesiąt jeden procent udziałów?

- Z trudem. Z powodu powyższej kwoty znajdziemy się w bardzo napiętej sytuacji finansowej. Niewykluczone, że będziemy nawet zmuszeni oddać w zastaw stragan twojego pradziadka.

- A co nowego w sprawie kamienicy? - Daniel obserwował reakcję matki w odbiciu samochodowej szyby. Zawahała się z odpowiedzią.

- Właściciele zabrali się do rozbiórki zbombardowanego domu, zgodnie z zaleceniami miejskiej rady.

- Czy to znaczy, że plany ojca zostaną zatwierdzone?

- Mam nadzieję, że tak. Wygląda jednak na to, że wszystko potrwa dłużej, niż zakładaliśmy, ponieważ niejaki pan Simpson, działający z ramienia Federacji Obrony Małych Sklepów, zakwestionował nasz projekt w radzie miasta. Tylko bardzo cię proszę, nie wspominaj przy ojcu o kamienicy. Na każdą wzmiankę o niej jest bliski apopleksji.

A za panem Simpsonem stoi najprawdopodobniej pani Trentham, prawda? Miał ochotę powiedzieć Daniel.

- Jak się miewa szalona Daphne? - zapytał w zamian.

- Usiłuje dobrze wydać Clarissę za mąż, a Clarence'a wysłać do odpowiedniego pułku.

- Sądzę, że dla córki najlepszy byłby książę i Szkocka Gwardia dla syna.

- Nie mylisz się - przyznała matka. - I pewnie będzie domagać się od Clarissy, żeby czym prędzej urodziła dziewczynkę, która poślubi przysłego księcia Walii.

- Ależ księżniczka Elżbieta dopiero co ogłosiła swoje zaręczyny.

- To prawda, ale oboje wiemy, że Daphne lubi myśleć perspektywicznie.

Daniel zastosował się do życzeń matki i rozmawiając z Charlie'm przy kolacji o założeniu nowej spółki, nie poruszył tematu kamienicy. Zauważył, że obraz vangogha, który przedtem wisiał w hallu, zastąpiło dzieło Couberta "Jabłko i gruszki". Nie skomentował jednak swojego spostrzeżenia.

Następny dzień spędził w biurze informacyjnym wydziału planowania w Radzie Miasta Londynu, w County Hall. I chociaż urzędnik udostępnił mu materiały, które miały związek ze sprawą, to prędko zaznaczył, że nie wolno wnosić żadnych oryginalnych dokumentów z urzędu, krzyżując tym Danielowi plany.

W rezultacie Daniel przesiedział w biurze wiele godzin. Wielokrotnie przejrzał papiery, słowo w słowo przepisał interesujące go paragrafy, a potem nauczył się ich na pamięć, żeby nie nosić ze sobą notatek. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, byłoby przypadkowe odkrycie przez rodziców jego zapisków. O piątej po południu, kiedy zamknięto już frontowe drzwi na klucz, Daniel był pewny, że potrafi odtworzyć w pamięci każdy istotny szczegół.

Wyszedł z gmachu County Hall, usiadł na niskim murku i patrząc na Tamizę, powtarzał w myślach najważniejsze fakty.

Dowiedział się, że Trumperowie zwrócili się z prośbą o zezwolenie na budowę sieci handlowej, która by utworzyła system znany jako Chelsea Terrace. W jego skład miały wchodzić dwa dwunastopiętrowe wieżowce, o siedemdziesięciu dwóch tysiącach metrów kwadratowych powierzchni każdy. Na dodatek plan przewidywał budowę jeszcze jednego pięciopiętrowego biurowca oraz pasaży, które spinając ze sobą oba wieżowce, połączyłyby wszystkie elementy w całość. Rada miejska zatwierdziła wstępny projekt. Jednakże pan Martin Simpson z Federacji Ochrony Małych Sklepów złożył odwołanie w sprawie budowy pięciopiętrowego biurowca, łączącego dwa główne elementy planu ponad pustą parcelą na środku ulicy. Nietrudno było wysunąć hipotezę, kto wspiera finansowo pana Simpsona.

W tym samym czasie zatwierdzono wstępny projekt pani Trentham na budowę czynszowego bloku mieszkalnego. Daniel odtworzył w pamięci szczegóły jej planu, który przewidywał użycie tanich materiałów i minimalne nakłady zarówno na zewnętrzny wystrój, jak i na udogodnienia wewnątrz budynku. Natychmiast przyszło mu na myśl określenie "prowizorka". Nie miał wątpliwości, że celem pani Trentham jest wybudowanie najbrzydszego gmachu w samym środku pałacu Charlie'ego, na co rada miejska dla świętego spokoju dała jej zezwolenie.

Zajrzał do notatek, sprawdzając, czy dobrze zapamiętał szczegóły.

Nie zapomniał niczego. Podarł ściągawkę na strzępy, wrzucił ją do kosza na rogu Westminster Bridge i wrócił do domu na Little Boltons.

Następnie przeprowadził telefoniczną rozmowę z Davidem Oldcrestem, rezydującym w Cambridge nauczycielem prawa, który specjalizował się w miejskim planowaniu przestrzennym.

Kolega ponad godzinę wyjaśniał Danielowi, że odwoływanie się od decyzji może przejść przez wszystkie szczeble i nawet dotrzeć do Izby Lordów.

Trumperowie jeszcze przez wiele lat mogą nie uzyskać zgody na budowę wieżowców. A do czasu kiedy zapadnie decyzja, tylko adwokaci nabijają sobie kiesę. Dr Oldcrest był o tym przekonany.

Daniel podziękował przyjacielowi. Gdy zastanawiał się nad problemem, doszedł do wniosku, że pomyślna realizacja planów Charlie'ego spoczywa w rękach pani Trentham. Chyba, żeby on sam...

Podczas następnych dwóch tygodni spędzał stosunkowo dużo czasu w budce telefonicznej na rogu Chester Square, chociaż ani razu do nikogo nie zatelefonował. A przez resztę dnia śledził nieskazitelnie ubraną damę, której postawa świadczyła o dużej pewności siebie. Pilnował się, żeby go nie zauważyła. Próbował wyrobić sobie zdanie na temat jej wyglądu, sposobu zachowania i świata, w jakim żyje.

Szybko odkrył, że w codziennym życiu lokatorki spod numeru 19 na Chester Square liczą się tylko trzy rzeczy. Pierwszą były spotkania z prawnikami w Lincoln's Inn Fields, które miały miejsce co dwa lub co trzy dni. Drugą, zebrania brydżowe, które rozpoczynały się o drugiej po południu i odbywały się trzy razy w tygodniu: w poniedziałki na Cadogan Place pod numerem 9, w środy na Sloane Avenue pod 117 i w piątki u niej na Chester Square. Pod powyższe trzy adresy przybywały zawsze te same grupy starszych kobiet Trzecią regularnością były sporadyczne wizyty w podrzędnym hoteliku przy South Kensington. Pani Trentham zawsze zajmowała miejsce w najbardziej mrocznym kącie kawiarni i rozmawiała z mężczyzną, który wydawał się Danielowi najmniej odpowiednim towarzyszem dla córki sir Raymonda Hardcastle'a. I chociaż nie traktowała go ani jak przyjaciela, ani nawet znajomego, Daniel zdołał ustalić, co ich ze sobą łączy.

Tydzień później Daniel doszedł do wniosku, że jego plan może zostać zrealizowany tylko w ostatni piątek przed wyjazdem do Cambridge. W tym celu spędził przedpołudnie u krawca, który specjalizował się w mundurach wojskowych. Po południu ułożył i napisał scenariusz, który wieczorem sobie powtórzył. Potem przeprowadził kilka rozmów telefonicznych, w tym z medalierami, którzy zapewnili go, że zdążą wykonać zamówienie na czas. Dwa ostatnie przedpołudnia wykorzystał na próbę kostiumową w zaciszu własnej sypialni, sprawdzwszy uprzednio, że rodziców nie ma w domu i może czuć się bezpieczny.

Musiał mieć pewność, że nie tylko uda mu się zaskoczyć panią Trentham, ale że kobieta nie zdoła odzyskać równowagi przynajmniej przez dwadzieścia minut, które jego zdaniem były konieczne, żeby mógł dopiąć celu.

W piątek podczas śniadania Daniel upewnił się, że rodzice nie zamierzają wrócić do domu przed szóstą wieczorem. Ochoczo przystał na propozycję wspólnej kolacji, tym bardziej że nazajutrz wracał do Cambridge. Kręcił się po mieszkaniu i czekał, żeby Becky i Charlie wyszli z domu. Musiał jednak uzbroić się w cierpliwość na dalsze pół godziny, gdyż matkę zatrzymał telefon w chwili, gdy była gotowa do wyjścia. Zostawił otwarte drzwi do sypialni i zdenerwowany krążył po pokoju.

Wreszcie matka skończyła rozmawiać i wyszła do pracy. Dwadzieścia minut później Daniel opuścił dom z małą walizką. Znajdował się w niej mundur, który odebrał poprzedniego dnia w firmie Johns and Pegg. Zanim zatrzymał taksówkę, przezornie przeszedł kilkadziesiąt metrów w przeciwnym do planowanego kierunku.

W muzeum pułku Królewskich Strzelców spędził kilka minut przyglądając się zdjęciu ojca, który, jak wynikało z fotografii w barwie sepia, miał bardziej faliste i o odcień jaśniejsze od niego włosy. Nagle Daniel wpadł w panikę, że nie zdoła dokładnie zapamiętać szczegółów. Gdy kustosz odwrócił

się do niego tyłem, nie bez poczucia winy zdjął przedk zdjęcie ze ściany i schował je do walizki.

Następną taksówką pojechał na Kensington do fryzjera, który chętnie rozjaśnił mu włosy, zmienił przedziałek i zrobił kilka fal, upodabiając go do gentlemiana, którego miał przed sobą na fotografii w kolorze sepia. Co kilka minut Daniel kontrolował w lustrze zmiany, a kiedy doszedł do wniosku, że zamierzony efekt został osiągnięty, zapłacił rachunek i wyszedł. Kolejną taksówkę skierował pod adres firmy Spinks, specjalistów medalierów, przy King Street, w St James's. Po przybyciu na miejsce kupił cztery baretki, które wcześniej zamówił przez telefon. Odetchnął z ulgą, że młodszy asystent nie zapytał go, czy jest upoważniony, żeby je nosić.

Jeszcze jedna taksówka zawiozła go z St. James do hotelu Dorchester, gdzie wynajął pojedynczy pokój. Poinformował dziewczynę w recepcji, że zamierza wymeldować się o szóstej wieczorem, wziął od niej klucz z numerem 309 i grzecznie podziękował portierowi, gdy chciał mu zanieść walizkę. Poprosił go tylko o wskazanie kierunku do windy.

Gdy znalazł się już w swoim pokoju, zamknął drzwi na klucz i starannie rozłożył zawartość walizki na łóżku. Przebrał się w mundur, przypiął baretki nad kieszeń na lewej piersi, dokładnie tak jak na fotografii, i sprawdził końcowy efekt w dużym lustrze na drzwiach łazienki. Był w każdym calu kapitanem z pułku Strzelców Królewskich z czasów I wojny światowej, a purpurowa i srebrna wstążka Krzyża Wojennego oraz trzy medale za udział w kampaniach dopełniały obrazu.

Gdy sprawdził wszystko do najdrobniejszego szczegółu, posługując się skradzioną fotografią, po raz pierwszy poczuł się niepewnie.

A jeśli nie zdoła przez to przebrnąć... Usiadł w nogach łóżka i co chwila patrzył na zegarek. Po godzinie wstał, wciągnął głęboki wdech i włożył długi prochowiec - jedyną część garderoby, którą był upoważniony nosić. Potem zszedł na dół, pchnął obrotowe drzwi przy wyjściu i zatrzymał taksówkę, która zawiozła go na Chester Square. Zapłacił taksówkarzowi i spojrzął na zegarek. Była trzecia czterdzieści siedem. Przypuszczał, że spotkanie brydzystek skończy się za dwadzieścia minut.

Ze znajomej budki telefonicznej na rogu placu obserwował damy, które zaczęły opuszczać budynek oznaczony numerem 19.

Gdy doliczył się jedenastu, mógł być pewien, że pominąwszy służbę, zostanie panią Trentham samą w domu. Ze szczegółowego porządku obrad parlamentu, który zamieszczała dzisiejsza prasa, wywnioskował, że przed szóstą nie należy spodziewać się na Chester Square męża pani Trentham. Odczekał jeszcze pięć minut; zanim wymknął się z budki i szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę ulicy. Czuł, że jeśli się przez moment zawaha, to zabraknie mu odwagi. Mocno zapukał kołatką do drzwi i stał przez chwilę, która trwała dla niego godziny, zanim zjawił się lokaj.

- Czym mogę służyć, sir?

- Dzień dobry, Gibson. Byłem umówiony z panią Trentham kwadrans po czwartej.

- Tak jest, sir - rzekł Gibson. Zgodnie z oczekiwaniami Daniela lokaj sądził, że ktoś, kto zna jego imię, musi być faktycznie umówiony z jego chlebodawczynią. Wziął od Daniela prochowiec. - Proszę za mną - powiedział i zapytał przy drzwiach salonu:

- Kogo mam zaanonsować?

- Kapitana Daniela Trenthama.

Lokajowi odebrało mowę, ale otworzył drzwi i oznajmił:

- Kapitan Daniel Trentham, proszę pani.

Gdy Daniel wszedł do pokoju, pani Trentham stała przy oknie.

Odwróciła się, wytrzeszczyła oczy na młodego mężczyznę, zrobiła kilka kroków do przodu i

ciężko opadła na kanapę.

Na miłość boską, tylko nie zemdlej - pomyślał Daniel, stojąc na środku dywanu i patrząc na swoją babkę.

- Kim pan jest? - wyszeptała w końcu.

- Darujmy sobie te gierki, babko. Dobrze wiesz, kim jestem - rzekł Daniel. Miał nadzieję, że powiedział to pewnym tonem.

To ona cię przysłała, prawda?

- Domyślam się, że mowa o mojej matce. Nie, ona nie ma z tym nic wspólnego. Prawdę mówiąc, wcale nie wie, że tutaj jestem.

Pani Trentham otworzyła usta w niemym proteście. Daniel przestępował z nogi na nogę w czasie nieznośnie długiej chwili milczenia. Jego wzrok spoczął na Krzyżu Wojennym, który stał na obramowaniu kominka.

- Czego wobec tego chcesz? - zapytała.

- Przyszedłem w interesach, babko.

- Co przez to rozumiesz? Nie jesteś w stanie załatwić ze mną żadnego interesu.

- Sądzę, że jestem, babko. Wróciłem właśnie z Australii. Podróż okazała się bardzo pouczająca.

Pani Trentham nerwowo się wzdrygnęła. Ani przez chwilę nie spuszczała z Daniela wzroku.

- To, czego dowiedziałem się tam o moim ojcu, nie da się powtórzyć. Poza tym nie będę wdawał się w szczegóły, które jak sądzę, znasz równie dobrze jak ja.

Miała wciąż utkwiony w niego wzrok, gdy powoli zaczęła odzyskiwać nad sobą panowanie.

- Chyba że chciałabyś wiedzieć, gdzie go pierwotnie planowali pochować, gdyż z pewnością nie była to kwatery rodzinna na cmentarzu parafialnym w Ashurst.

- Czego chcesz? - zapytała ponownie.

- Jak już powiedziałem, przyszedłem załatwić interes.

- Słucham.

- Chcę, żebyś zrezygnowała z planu budowy tej okropnej kamienicy czynszowej na Chelsea Terrace i wycofała wszystkie swoje zastrzeżenia w stosunku do planu, o którego zatwierdzenie ubiegają się Trumperowie.

- Nigdy., - W takim razie obawiam się, że niebawem świat pozna prawdziwy powód twojej wendetty w stosunku do mojej matki.

- Zranisz tym swoją matkę w tym samym stopniu co mnie.

- Jestem innego zdania, babko - rzekł Daniel. - Szczególnie, kiedy prasa się dowie, że twój syn odszedł z wojska z niezbyt zaszczytną opinią, a później zmarł w Melbourne w jeszcze mniej chwalebnych okolicznościach. Na nic się nie zda fakt, że w końcu 27 - Prosto jak strzelił spoczął w małym sennym miasteczku w Berkshire, potem gdy przywiozłaś statkiem jego doczesne szczątki, opowiadając swoim, przyjaciom, że był pośrednikiem sprzedaży bydła i zmarł na gruźlicę, - To szantaż.

- Ależ nie, babko. To tylko skutki szoku, jaki przeżył zatroskany syn, który za wszelką cenę pragnął poznać losy swojego utraconego na zawsze ojca i odkrył wstrząsającą rodzinną tajemnicę Trenthamów. Sądzę, że prasa określiłaby ten incydent całkiem po prostu jako "rodzinną wojnę". Jedno jest pewne, moja matka wyszłaby z tego bez szwanku. Nie wiem natomiast, ilu przyjaciół miałoby nadal ochotę grywać z tobą w brydża, po zapoznaniu się z wszystkimi barwnymi szczegółami.

Pani Trentham zerwała się na równe nogi, zacisnęła pięści podbiegła do Daniela, wygrażając mu. Nie ruszył się z miejsca.

- Nie histeryzuj, babko. Nie zapominaj, że wiem o tobie wszystko. - Miał bolesną świadomość, że tak naprawdę, to wie bardzo mało.

Pani Trentham zatrzymała się, a nawet cofnęła się o krok.

- A jeśli przystanę na twoje żądania?

- Wyjdę z tego pokoju i już nigdy więcej o mnie nie usłyszysz.

Masz na to moje słowo.

Przeciągle westchnęła, ale odpowiedziała dopiero po chwili.

- Wygrałeś - przyznała w końcu. Była zdumiewająco opanowana, - Stawiam jednak pewien warunek, jeśli chcesz, żebym zaakceptowała twoje żądania.

Daniel był zaskoczony. Nie przewidywał żadnych warunków z jej strony.

- O co chodzi? - zapytał podejrzliwie.

Wysłuchał uważnie jej życzenia i chociaż wydało mu się trochę zagadkowe, nie znalazł w nim nic niepokojącego.

Zgadzam się.

- Chcę mieć to na piśmie i to zaraz - dodała cicho.

- W takim razie ja też poproszę o pisemne potwierdzenie naszej umowy - powiedział, usiłując wygrać punkt dla siebie.

- Zgoda.

Pani Trentham podeszła na drżących nogach do biurka. Usiadła, otworzyła środkową szufladę i wyjęła dwa arkusze papieru z czerwonym nagłówkiem. Starannie napisała dwie oddzielne umowy i podała je do wglądu Danielowi. Powoli przeczytał jej zapiski.

Kontrakt uwzględniał wszystkie jego postulaty, a także przydługawą klauzulę, na której umieszczenie nalegała. Daniel skinął głową, akceptując porozumienie, i oddał jej z powrotem dwie kartki papieru.

Podpisała oba egzemplarze i wręczyła Danielowi pióro. Dołączył poniżej swój podpis na obu arkuszach. Podała jedną umowę Danielowi i pociągnęła za sznurek dzwonka przy kominku. Chwilę później zjawił się lokaj.

- Gibson, potrzebny nam jesteś jako świadek, żeby potwierdzić autentyczność naszych podpisów na obu dokumentach. A gdy już to zrobisz, odprowadzisz pana do wyjścia - powiedziała. Lokaj bez słowa podpisał się na obu kartkach.

Kilka minut później Daniel znalazł się na ulicy z niejasnym przeczuciem, że nie wszystko przebiegło dokładnie tak, jak zamierzał. W taksówce, która go wiozła z powrotem do hotelu Dorchester, jeszcze raz przeczytał dokument. I chociaż nie mógł życzyć sobie niczego więcej, umieszczona przez panią Trentham klauzula nadal wydawała mu się zagadkowa i pozbawiona sensu. Odsunął jednak od siebie wszelkie niepokoje.

Przyjechał do hotelu i szybko przebrał się w swoim pokoju w cywilne ubranie. Po raz pierwszy tego dnia poczuł się czysty.

Schował mundur i czapkę z powrotem do walizki, zszedł na dół do recepcji, zapłacił rachunek i wymeldował się z hotelu.

Drugą taksówką pojechał na Kensington, gdzie rozczarowany fryzjer otrzymał polecenie, żeby swojemu nowemu klientowi przywrócić jego dawny kolor włosów, wyprostować fale i zrobić

przedziałek w poprzednim miejscu.

Ostatnim postojem przed powrotem do domu był nie zamieszkały budynek na Pimplico. Daniel schował się za olbrzymim dźwigiem i upewniwszy się, że nikt go nie widzi, wyrzucił mundur z czapką na stertę śmieci, a potem spalił zdjęcie.

Drżał cały, gdy stał i patrzył, jak jego ojciec znika w czerwonym płomieniu.

PANI TRENTAM 1938 -1948

ROZDZIAŁ 32

- Zaprosiłem cię na ten weekend do Yorkshire po to, żebyś się dowiedziała, co ci zapisałem w testamencie.

Ojciec siedział za biurkiem, a ja zajmowałam miejsce na wprost niego, w ulubionym, skórzanym fotelu mojej matki. Nadał mi po niej imiona "Margaret Ethel", ale na tym kończyło się podobieństwo między nami, o czym zawsze zwykł mi przypominać. Obserwowałam go, jak w skupieniu ubija tytoń w główce fajki i zastanawia się, co mi ma powiedzieć. Po długiej chwili milczenia spojrzał na mnie i oświadczył:

- Postanowiłem zostawić cały mój majątek Danielowi Trumperowi.

Zdumiewająca wiadomość ogłuszyła mnie i minęło kilka sekund, zanim byłam w stanie wymyślić jakąś rozsądną odpowiedź.

- Ależ, ojcze, teraz kiedy Guy nie żyje, Nigel jest twoim prawowitym spadkobiercą.

- Daniel też byłby nim, gdyby twój syn postąpił jak człowiek honoru. Guy powinien wrócić z Indii i poślubić pannę Salmon natychmiast, gdy tylko dowiedział się, że jest w ciąży z jego dzieckiem.

- Przecież to Trumper jest ojcem Daniela - zaprotestowałam. - Zawsze tak twierdził. Akt urodzenia...

- Nigdy temu nie zaprzeczał, przyznaję. Nie bierz mnie jednak za głupca, Ethel. Akt urodzenia jedynie dowodzi, że w przeciwieństwie do mojego zmarłego wnuka, Charlie Trumper ma poczucie odpowiedzialności. Co prawda ci z nas, którzy obserwowali kształtowanie się osobowości Guya i byli świadkami rozwoju Daniela, mogą mieć pewne wątpliwości co do pokrewieństwa pomiędzy nimi.

Nie byłam pewna, czy dobrze zrozumiałam ojca.

Czy widziałeś kiedyś Daniela Trumpera?

- Ależ tak - odparł, jak gdyby to było całkiem naturalne i sięgnął po pudełko zapalek, które leżało na biurku. - Dwukrotnie złożyłem wizytę w szkole St. Paul's. Za pierwszym razem, gdy chłopiec występował na koncercie, podczas którego mogłem go obserwować z bliska przez ponad dwie godziny. Uważam, że był naprawdę dobry. A potem rok później, w dniu patrona jego szkoły, kiedy otrzymywał Nagrodę Newtona z matematyki. Obserwowałam go w ogrodzie, gdzie został zaproszony razem ze swoimi rodzicami na herbatę do dyrektora. Mogę cię zapewnić, że nie tylko wygląda jak Guy, ale odziedziczył nawet sposób bycia swojego zmarłego ojca.

- Chyba Nigel w niczym mu nie ustępuje? - zaprotestowałam, wyęzając umysł i próbując wymyślić jakąś rozsądną odpowiedź, która by skłoniła ojca do ponownego rozważenia zajętego w tej

sprawie stanowiska.

- Nigel nie sięga mu nawet do pięt - odparł ojciec i zaraz zaczął krzesać ogień i cmokać, rozpoczynając tym nie kończący się rytuał, który zwykle poprzedzał zapalenie fajki. - Nie oszukujmy się, Ethel. Oboje wiemy, że od pewnego czasu chłopak nie zasługuje nawet na to, żeby zasiadać w zarządzie Hardcastle, a co dopiero być moim następcą.

Ojciec energicznie pykał fajkę, a ja zapatrzyłam się na obraz z dwoma końmi na padoku i starałam się pozbierać myśli.

- Nie zapomnialaś pewnie, moja droga, że Nigel nie zdołał nawet ukończyć Sandhurst, co, jak słyszałam, nie jest w dzisiejszych czasach zbyt trudne. A obecną pracę w Kitcat and Aitken, o czym również zostałam poinformowany, utrzymuje tylko dzięki przekonaniu głównego wspólnika, że w swoim czasie firma będzie zarządzać interesami Hardcastle. - Każde stwierdzenie podkreślał pyknięciem fajki. - Otóż pragnę cię zapewnić, że taka sytuacja nigdy nie będzie miała miejsca.

Nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy. Błądziłam wzrokiem po obrazie Stubbsa na ścianie za biurkiem i po rzędach półek z książkami, których kolekcjonowaniem ojciec zajmował się przez całe życie. Miał każde pierwsze wydanie Dickensa, Henry'ego Jamesa - współczesnego autora, którego podziwiał, i niezliczone książki Blake'a - od cennych rękopisów listów po edycje pamiętników. Zaraz potem otrzymałam drugi cios.

A skoro nie ma członka rodziny, który mógłby mnie zastąpić w roli szefa firmy - kontynuował - i to teraz, kiedy wojna z każdym dniem staje się coraz bardziej prawdopodobna, jestem zmuszony na nowo zastanowić się nad przyszłością Hardcastle. - W powietrzu unosił się ostry zapach tytoniu.

- Nigdy nie dopuścisz do tego, żeby interes przeszedł w obce ręce - powiedziałam z niedowierzaniem. - Twój ojciec byłby...

- Mój ojciec zrobiłby to, co byłoby najlepsze dla wszystkich zainteresowanych, a prawowici spadkobiercy znaleźliby się dopiero na samym końcu listy jego priorytetów. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. - Fajka zgasła i po raz drugi został powtórzony rytuał jej zapalania. Po kilku kolejnych cmoknięciach na twarzy ojca pojawił się wyraz zadowolenia. Ponownie zabrał głos. - Przez kilka lat zasiadałem w zarządzie firmy Harrogate Haulage i Yorkshire Bank, a ostatnio również w John Brown Engineering i przypuszczam, że właśnie tam znajdę sobie następcę. Syn sir Johna może nie jest wymarzoną kandydatką na prezesa spółki, ale jest zdolny, a co ważniejsze pochodzi z Yorkshire. Mówiąc krótko, doszedłem do przekonania, że połączenie naszych dwóch firm będzie najbardziej korzystne dla obu stron.

Nadal nie mogłam spojrzeć ojcu w oczy. Próbowałam oswoić się z tym wszystkim, o czym właśnie zostałam poinformowana.

- Zaproponowali mi przyzwoite udziały - dodał - które kiedyś, gdy mnie zabraknie, zapewnią tobie i Amy dochód znacznie przekraczający wasze potrzeby.

- Ależ, ojcze, obie mamy nadzieję, że będziesz żył długie lata.

- Daj sobie spokój, Ethel, z przypochlebianiem się staremu człowiekowi, który zdaje sobie sprawę ze zbliżającej się śmierci.

Może jestem wiekowy, ale nie stetryczały.

- Ależ, ojcze - zaprotestowałam ponownie, ale on znowu zajął się pykaniem z fajki, nie okazując najmniejszego zainteresowania moimi niepokojami. Spróbowałam z innej beczki.

- Czy to znaczy, że Nigel nic nie otrzyma?

- Nigel otrzyma to, co uważam za najbardziej właściwe w tych okolicznościach.

- Nie rozumiem cię, ojcze.

- Postaram się mówić jaśniej. Zapisalem mu pięć tysięcy funtów, którymi będzie mógł dowolnie dysponować po mojej śmierci.

- Umilkł, zastanawiając się, co by jeszcze dodać. - Oszczędziłem ci w każdym razie jednej kłopotliwej sytuacji - powiedział w końcu. - Chociaż po twojej śmierci Daniel Trumper odziedziczy mój majątek, dowie się o tym dopiero w dniu swoich trzydziestych urodzin.

Ty będziesz miała wtedy już ponad siedemdziesiątkę i może do tego czasu zdążysz oswoić się z moją decyzją.

To tylko dwanaście lat - pomyślałam. Po policzku spłynęła mi łza.

- Na nic się nie zdadzą płacze, Ethel, histeria ani przekonywanie. - Pyknął z fajki. - Podjąłem już decyzję i pozostanę nieugięty.

Z fajki wydobywały się kłęby dymu jak z lokomotywy parowej.

Sięgnęłam do torebki po chustkę do nosa, żeby zyskać na czasie.

- A jeśli wpadnie ci kiedyś do głowy pomysł, żeby obalić testament z powodu mojej niepoczytalności, co znając ciebie jest wielce prawdopodobne - spojrzałam na niego osłupiała - to wiedz, że dokument został podpisany przez pana Baverstocka, przez emerytowanego sędziego, ministra rządu, a co bardziej istotne, przez lekarza z Sheffield, specjalisty w dziedzinie zaburzeń psychicznych.

Miałam zamiar nadal protestować, gdy rozległo się przytłumione pukanie do drzwi i do pokoju weszła Amy.

- Przepraszam, że przeszkadzam, papo. Mam podać herbatę tutaj, czy w salonie?

Ojciec uśmiechnął się do swojej starszej córki.

- Sądzę, że przejdziemy do salonu - powiedział o wiele łagodniejszym tonem, niż kiedykolwiek przybierał, zwracając się do mnie. Wstał niepewnie zza biurka, opróżnił zawartość fajki do popielniczki i bez słowa wyszedł za moją siostrą z pokoju.

Prawie się nie odzywałam, gdy piliśmy herbatę. Rozważałam skutki decyzji, o której właśnie zostałam poinformowana. Za to Amy szebiotała radośnie o tym, jaki wpływ miał brak deszczu na petunie, których grządka znajdowała się pod oknem ojca.

- Słońce nie ma do nich dostępu o każdej porze dnia - zwierzała się nam zatroskanym tonem. Na kanapę wskoczył kot i położył się jej na kolanach. Żółto-bure zwierzę, którego imienia nigdy nie zdołałam zapamiętać, zawsze działało mi na nerwy. Nigdy jednak się z tym nie zdradzałam, wiedząc, że Amy kocha to stworzenie prawie tak jak ojca. Zaczęła je głaskać nieświadoma napięcia, jakie wywołała niedawna rozmowa w gabinecie.

Poszłam wcześniej do łóżka i spędziłam bezsenną noc, zastanawiając się, czy pozostała mi do wyboru jeszcze jakaś strategia. Nie spodziewałam się dużego zapisu w testamencie na moją i Amy korzyść. Obie byłyśmy kobietami blisko sześćdziesiątki i nie potrzebowałyśmy już wielkich dochodów. Sądziłam jednak, że odziedziczę dom i posiadłość, podczas gdy Guy otrzyma firmę, którą po jego śmierci przejmie Nigel.

Rano byłam zmuszona ostatecznie uznać niemiłą prawdę, że niewiele mogę zrobić w sprawie decyzji mojego ojca. Skoro testament został sporządzony przez pana Baverstocka, prawnika i przyjaciela ojca, to nawet sam pan F. E. Smith nie był w stanie znaleźć w nim luki. Zaczęłam uświadamiać sobie, że jedynej nadziei na zabezpieczenie dziedzictwa Nigela powinnam upatrywać w osobie samego Daniela Trumpera.

A ojciec przecież nie mógł żyć wiecznie.

Siedzieliśmy sami i byliśmy prawie niewidoczni w mrocznym kącie sali. Nagle zaczął strzelać w stawach palców swojej prawej dłoni.

- Gdzie to teraz jest? - zapytałam, patrząc na mężczyznę, któremu, od czasu kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy prawie dwadzieścia lat temu, zapłaciłam już prawie tysiąc funtów. Zawsze przychodził na nasze cotygodniowe spotkania do hotelu Świętej Agnieszki ubrany w tę samą brązową tweedową marynarkę i błyszczący żółty krawat. Chociaż muszę przyznać, że ostatnio kupił sobie jedną albo dwie nowe koszule. Odstawił whisky i wręczył mi brązowy pakunek, który wyjął spod krzesła.

- Ile zapłacił pan za odzyskanie tego?

- Pięćdziesiąt funtów.

- Mówiłam panu, żeby nie proponował mi pan więcej jak dwadzieścia funtów bez uprzedniego porozumienia się ze mną.

- Wiem, ale był tam pośrednik z West Endu, który węszył po sklepie. Nie mogłem ryzykować, prawda?

Ani przez chwilę nie wierzyłam w to, że Harris zapłacił pięćdziesiąt funtów. Jednakże założyłam, że wie, jaką wagę ma obraz dla moich przyszłych planów.

- Czy pani chce, żebym zaniósł obraz na policję? - zapytał. - Mógłbym potem zasugerować, że...

- Nie ma mowy - zdecydowałam bez wahania. - Policja jest zbyt dyskretna w takich sprawach. A mój plan w stosunku do pana Trumpera przewiduje dla niego sytuację o wiele bardziej poniżającą niż indywidualne przesłuchanie w zaciszu Scotland Yardu.

Harris rozparł się wygodnie w starym skórzanym fotelu i zaczął sobie naciągać palce w lewej dłoni.

- Czy ma mi pan jeszcze coś do zakomunikowania?

- Daniel Trumper objął stanowisko wykładowcy w Trinity College. Można go znaleźć w New Court, klatka schodowa B, pokój 7.

- To wszystko już było w pańskim ostatnim raporcie.

Oboje umilkliśmy, gdy jakiś starszy gość wybierał periodyki z sąsiedniego stolika.

- Zaczął często spotykać się z niejaką Marjorie Carpenter, która jest studentką trzeciego roku matematyki w Girton College.

- Gdy ten związek będzie zapowiadać się poważnie, proszę mnie natychmiast zawiadomić. Wtedy zacznie pan niezwłocznie zbierać informacje na jej temat. - Rozejrzałam się wokół, żeby się upewnić, że nikt nas nie słyszy. Znowu zaczął strzelać palcami, a gdy ponownie odwróciłam się do niego, stwierdziłam, że nie spuszcza ze mnie wzroku.

- Czy ma pan jakiś problem? - zapytałam, dolewając sobie herbaty.

- No cóż, jeśli mam być z panią szczery, pani Trentham, to została do omówienia jeszcze jedna sprawa. Sądzę, że nadeszła pora, żeby poprosić o kolejną niewielką podwyżkę mojej godzinowej stawki. Przecież muszę dochowywać tylu sekretów - zawahał się na moment - które mogą...

- Co mogą?

- Okazać się nieocenione dla innych, równie zainteresowanych stron.

- Grozisz mi, Harris?

- Ależ skąd, pani Trentham, to tylko...

- Uprzedzam cię po raz ostatni, Harris. Jeśli kiedykolwiek piśniesz słówkiem o naszych

związki, nie dalej jak za godzinę znajdziesz się za kratkami, i to na długie lata. Ja też mam na ciebie kartotekę, z którą, jak przypuszczam, bardzo chętnie by się zapoznał niejeden z twoich byłych przyjaciół. Oddanie w zastaw skradzionego obrazu i sprzedaż wojskowego płaszcza po dokonanej zbrodni, to tylko niektóre z twoich najbardziej niewinnych wyczynów. Czy wyrażam się jasno?

Harris nie odpowiedział, tylko z trzaskiem umieścił z powrotem każdy palec na swoim miejscu.

Kilka tygodni po wypowiedzeniu wojny dowiedziałam się, że Daniel Trumper uniknął mobilizacji. Okazało się, że można go znaleźć w Bletchley Park, gdzie pełni służbę za biurkiem i dlatego jest mało prawdopodobne, żeby doznał uszczerbku ze strony nieprzyjaciela, chyba że mu spadnie na głowę bomba.

Tymczasem Niemcy zrzucili bombę, ale na moją kamienicę, niszcząc ją doszczętnie. Moja początkowa wściekłość z powodu nieszczęścia wyparowała, gdy zobaczyłam chaos po lewej stronie Chelsea Terrace. Przez kilka dni stawałam po drugiej stronie ulicy i podziwiałam robotę Niemców, a rozmiary jej skutków napawały mnie ogromną satysfakcją.

W parę tygodni później przyszła kolej, żeby pub "Pod Muszkietierem" i sklep warzywny Trumpera odczuły siłę rażenia Luftwaffe.

Jedynym dostrzegalnym rezultatem tego drugiego bombardowania było zaciągnięcie się w siedem dni później Charlesa Trumpera do Królewskich Strzelców. O ile pragnęłam, żeby Daniela trafiła jakaś złąkana kula, o tyle zależało mi na tym, żeby Charlie Trumper pozostał przy życiu: planowałam dla niego publiczną egzekucję.

Harris nie musiał mnie informować o mianowaniu Charlie'ego Trumpera na nowe stanowisko w Ministerstwie Apropowizacji. Donosiła o tym każda krajowa gazeta. Jednakże nie zrobiłam nic w tym kierunku, żeby wykorzystać jego przedłużającą się nieobecność.

Uważałam za bezcelowe nabywanie dalszych nieruchomości na Chelsea Terrace w czasie, gdy ważyły się jeszcze losy wojny. W każdym razie comiesięczne raporty Harrisa wykazywały, że Trumperowie wciąż ponoszą finansowe straty.

A gdy w końcu powzięłam decyzję zakupu, mój ojciec zmarł na atak serca. Natychmiast wszystko rzuciłam i pospieszyłam do Yorkshire, żeby zająć się przygotowaniami do pogrzebu.

Dwa dni później siedziałam tuż za trumną w czasie mszy żałobnej, która była odprawiana w kościele parafialnym w Wetherby.

Jako tytularna głowa rodziny zajmowałam miejsce w pierwszej ławce po lewej stronie, z Geraldem i Nigelem przy prawym boku.

W nabożeństwie licznie uczestniczyła rodzina, przyjaciele i współpracownicy zmarłego, nie wyłączając poważnego pana Baverstocka ze swoją nieodłączną walizką, której ani na chwilę nie spuszczał z oka. Amy siedziała w rzędzie za mną i bardzo rozpacziała w czasie mowy archidiakona. Nie wiem, jak zdołałaby przetrwać ten dzień bez mojej pomocy.

Uczestnicy pogrzebu wyjechali. I chociaż Gerald z Nigelem też wrócili do Londynu, postanowiłam zostać kilka dni w Yorkshire.

Amy spędzała większość czasu w swoim pokoju, dlatego miałam sposobność, żeby rozejrzeć się po domu i sprawdzić, czy nie ma czegoś wartościowego, co powinno zostać zabrane do Ashurst. W myśl testamentu majątek przecież miał zostać w najgorszym razie podzielony pomiędzy nas dwie.

Zdecydowałam się na biżuterię mojej matki, która na pewno nie była dotykana od dnia jej śmierci, i obraz Stubbsa, który wciąż wisiał w gabinecie mojego ojca. Zabrałam biżuterię z sypialni ojca, a co do Stubbsa, to Amy zgodziła się podczas lekkiej kolacji w jej pokoju, żeby obraz ozdobił

odtąd ścianę w Ashurst. Jediną prawdziwie cenną rzeczą, jaka pozostała w domu, była wspaniała biblioteka mojego ojca. Jednakże w stosunku do niej miałam dalekosiężne plany, które nie przewidywały sprzedaży pojedynczych egzemplarzy.

Pierwszego dnia następnego miesiąca pojechałam do Londynu, gdzie w biurze Baverstocka, Dickensa i Cobba zostałam oficjalnie zapoznana z treścią testamentu mojego ojca.

Pan Baverstock był rozczarowany z powodu nieobecności Amy, ale zaakceptował wyjaśnienie, że moja siostra jeszcze nie wróciła w pełni do sił po szoku spowodowanym śmiercią ojca. Krewni, z których większość znałam tylko z chrzcin, ślubów i pogrzebów, porozsiadali się dookoła, czekając z nadzieją. Dobrze wiedziałam, czego się spodziewają.

Wystąpienie pana Baverstocka trwało ponad godzinę, co uznałam za nadgorliwość z jego strony. Muszę jednak uczciwie przyznać, że gdy doszło do wyjaśnień dotyczących ostatecznego przeznaczenia majątku, sprytnie przemilczał nazwisko Daniela Trumpera.

Zamyśliłam się, gdy dalsi krewni byli informowani o niespodziewanym spadku wysokości tysiąca funtów. Dopiero gdy pan Baverstock monotonnym głosem odczytał moje nazwisko, wróciłam z obłoków na ziemię.

- Pani Geraldowa Trentham i panna Amy Hardcastle będą do końca życia otrzymywać równy udział z dochodów trustu. - Prawnik przerwał, żeby przewrócić stronę, a potem oparł się dłońmi o biurko.

- I w końcu moją posiadłość w Yorkshire oraz dom z całym wyposażeniem plus sumę dwudziestu tysięcy funtów - czytał dalej Baverstock - zapisuję mojej starszej córce, pannie Amy Hardcastle.

ROZDZIAŁ 33

- Dzień dobry, panie Sneddles.

Stary bibliofil był tak zdziwiony, skąd owa dama może znać jego nazwisko, że przez chwilę stał nieruchomo i wpatrywał się w nią bez słowa.

W końcu powłócząc nogami, podszedł do niej i ukłonił się nisko.

Była jego pierwszym od tygodnia klientem, nie licząc dra Halcombe'a, emerytowanego dyrektora szkoły, który chętnie godzinami wertował książki w sklepie, ale od 1937 roku żadnej nie kupił.

- Dzień dobry - odpowiedział. - Czy szuka pani jakiejś szczególnej pozycji? - Spojrzał na damę w długiej koronkowej sukni i w kapeluszu z szerokim rondem z woalką, przez którą nie mógł dojrzeć twarzy.

- Nie przyszłam tutaj po to, panie Sneddles, żeby kupować książki - oświadczyła pani Trentham. - Potrzebuję pańskiej pomocy. - Przyjrzała się zgarbionemu staremu człowiekowi w wełnianej kamizelce, płaszczu i w mitenkach, które jak przypuszczała nosił dlatego, że nie stać go było na ogrzanie sklepu. Miał wygięte w pałąk plecy i wystawiał głowę z płaszcza jak żółw ze skorupy, ale dostrzegła jego bystry wzrok i odniosła wrażenie, że ma równie błyskotliwy umysł.

- Czym mogę służyć? - powoli pytanie.

- Odziedziczyłam olbrzymią bibliotekę, którą chciałabym skatalogować i wycenić. Poradzono mi, że najlepiej zrobię, jeśli zwrócę się z tym do pana.

- Dziękuję za zaufanie.

Pani Trentham była zadowolona, że Sneddles nie dociekał, kto mu udzielił tak wysokich rekomendacji.

- Czy wolno mi zapytać, gdzie znajduje się owa biblioteka?

Kilka kilometrów na wschód od Harrogate. Przekona się pan, że to zupełnie nadzwyczajna kolekcja. Mój zmarły ojciec, sir Raymond Hardcastle, poświęcił na gromadzenie zbiorów znaczną część swojego życia.

- Harrogate? - powtórzył Sneddles takim tonem, jak gdyby pytał o miejscowość położoną kilka kilometrów od Bangkoku.

- Oczywiście pokryję wszelkie koszty, bez względu na czas trwania całego przedsięwzięcia.

- Musiałbym zamknąć sklep - mruknął do siebie Sneddles.

- Naturalnie zrekompensuję panu również stratę zarobków.

Pan Sneddles wziął książkę z lady i wnikliwie przyjrzał się jej grzbietowi.

- Obawiam się, że to będzie absolutnie niemożliwe, proszę pani.

- Mój ojciec specjalizował się w Williamie Blake'u. Sam się pan przekona, że udało mu się

nabyć pierwsze wydanie każdej jego książki, z których kilka nie było nawet czytanych. Zdobył też rękopis...

Amy Hardcastle poszła tego wieczoru wcześniej do łóżka, jeszcze przed przyjazdem siostry do Yorkshire.

- Ostatnio jest taka zmęczona - wyjaśniła gospodyni.

Pani Trentham nie pozostało nic innego, jak zjeść w samotności lekką kolację i kilka minut po dziesiątej pójść do swojego panińskiego pokoju położyć się spać. Zauważyła, że nic się w nim nie zmieniło: z okna wciąż widać było kotlinę Yorkshire i czarne chmury, a nad łóżkiem z orzecha włoskiego wisiało tak jak zwykle zdjęcie katedry w Yorku. Spała dosyć mocno i nazajutrz zeszła na dół o ósmej. Kucharka powiedziała jej, że panna Amy jeszcze nie wstała, wobec czego pani Trentham zjadła śniadanie sama.

Gdy wszystkie nakrycia zostały już uprzątnięte ze stołu, usiadła w salonie i czekając na siostrę przeczytała "Yorkshire Post". Jakąś godzinę później do pokoju wpadł kot i pani Trentham ze złością przegoniła go złożoną gazetą. Szafkowy zegar w hallu wybił jedenastą, gdy Amy w końcu zjawiała się w pokoju. Podpierając się laską, powoli podeszła do siostry.

- Wybacz, Ethel, że nie czekałam na ciebie wczoraj wieczorem - zaczęła. - Obawiam się, że artretyzm znowu zaczyna dawać mi się we znaki.

28 - Prosto jak strzelił Pani Trentham nie trudziła się z odpowiedzią. Przyglądała się kuśtykającej siostrze, nie mogąc wprost uwierzyć, że aż tak bardzo pogorszył się jej stan w ciągu niespełna trzech ostatnich miesięcy.

W przeszłości Amy zawsze miała szczupłą figurę, ale teraz wydawała się wyjątkowo wątła. Chociaż zawsze była cicha, teraz mówiła prawie bezgłośnie. Jej cera, kiedyś blada, stała się całkiem ziemista, zmarszczki na jej twarzy znacznie pogłębiły się i wyglądała starzej niż na swoje sześćdziesiąt dziewięć lat.

Opadła na krzesło, które stało naprzeciwko siostry, i przez kilka sekund ciężko dyszała, nie pozostawiając swojemu gościowi wątpliwości, że przejście z sypialni do salonu było dla niej nie lada próbą.

- Jak to miło z twojej strony, że zdecydowałaś się nawet zostawić własną rodzinę, żeby przyjechać do Yorkshire i trochę ze mną pobyc - gdy mówiła, na kolana wskoczył jej żółto-bury kot. - Muszę przyznać, że od czasu, gdy umarł nasz drogi papa, nie wiem sama, co mam z sobą począć.

- To zupełnie zrozumiałe, moja droga - pani Trentham uśmiechnęła się blado. - Uważam, że mam obowiązek być tutaj razem z tobą, nie mówiąc już o przyjemności, jaką sprawia mi twoje towarzystwo. Ojciec ostrzegał mnie, że coś takiego może się zdarzyć, gdy go zabraknie. Dlatego udzielił mi szczegółowych instrukcji, co dokładnie należy w takiej sytuacji robić.

- Och, jak to miło z jego strony - Twarz Amy rozjaśniła się po raz pierwszy. - Powiedz mi, co papa miał na myśli.

- Ojciec uważał, że możliwie jak najprędzej powinnaś sprzedać dom i zamieszkać razem ze mną i z Geraldem w Ashurst, albo...

- Och, nigdy nie naraziłabym ciebie na taki kłopot, Ethel.

- Albo przenieść się do jednego z tych uroczych, małych hoteli na wybrzeżu, które opiekują się małżeństwami emerytów oraz samotnymi ludźmi. Czuł, że w ten sposób mogłabyś zyskać nowych przyjaciół i na nowo cieszyć się życiem. Ja naturalnie wolałabym, żebyś była razem z nami na Buckingham, ale ze względu na bombardowania...

- Nigdy nie wspominał przy mnie o sprzedaży domu - wymamrotała zaniepokojona Amy. - A prawdę mówiąc, błagał mnie, żebym...

- Wiem, moja droga. Zbyt dobrze zdawał sobie sprawę ze stresu, jakim będzie dla ciebie jego śmierć, i dlatego poprosił mnie, żebym delikatnie nakłoniła cię do tej decyzji. Na pewno przypominasz sobie moją długą rozmowę z ojcem w jego gabinecie, gdy widziałam się z nim po raz ostatni?

Amy potwierdziła skinieniem głowy, ale na jej twarzy pozostał wyraz zdziwienia..

- Pamiętam każde jego słowo - ciągnęła wywód pani Trentham.

- I naturalnie zrobię, co w mojej mocy, żeby jego życzeniom stało się zadość.

- Ale ja nie mam pojęcia, jak i od czego miałabym zacząć.

- Nie musisz zawracać sobie tym głowy, moja droga. - Pani Trentham poklepała siostrę po ramieniu. - Jestem tutaj po to, żeby ci pomóc.

- A co się stanie ze służbą i z moim drogim Garibaldim? - zapytała zaniepokojona Amy, nie przestając głaskać kota. - Papa nigdy by mi nie wybaczył, gdyby nie zostali otoczeni należyłą opieką.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - powiedziała pani Trentham. - Jednakże ojciec tak jak zwykle pomyślał o wszystkim i szczegółowo poinstruował mnie, co należy dla nich zrobić.

- To bardzo ładnie ze strony drogiego papy. Jednak nie jestem wciąż pewna...

Dopiero po dwóch dniach cierpliwych perswazji pani Trentham zdołała przekonać siostrę, że jej plany na przyszłość zakończą się jak najpomyślniej, a co ważniejsze, dzięki nim spełnią się życzenia "drogiego papy".

Od tego czasu Amy schodziła na dół już tylko popołudniami, żeby trochę pospacerować po ogrodzie i zająć się od czasu do czasu petuniami. Ilekroć pani Trentham spotykała siostrę, za każdym razem błagała ją, żeby się nie przemęczała.

Trzy dni później Amy zupełnie zaniechała popołudniowych spacerów.

W następnny poniedziałek pani Trentham dała służbie tygodniowe wypowiedzenie, z wyjątkiem kucharki, której kazała zostać do czasu, kiedy panna Amy nie zostanie gdzieś ulokowana. Tego samego dnia znalazła agenta nieruchomości i wystawiła dom razem z sześćdziesięcioakrową posiadłością na sprzedaż.

Umówiła się na czwartek z panem Althwaite, adwokatem z Harrogate. W czasie jednej z nieczęstych wizyt siostry na dole, wyjaśniła jej, że nie ma potrzeby zawracać głowy panu Baverstockowi, gdyż wszelkie problemy, jakie mogą powstać w związku ze sprzedażą nieruchomości, zostaną bez trudu rozwiązane przez tutejszego prawnika.

Trzy tygodnie potem pani Trentham przeprowadziła swoją siostrę wraz z jej kilkoma osobistymi rzeczami do małego pensjonatu na wschodnim wybrzeżu, parę kilometrów na północ od Scarborough. Było jej przykro, podobnie jak właścicielowi pensjonatu, że nie można w nim trzymać zwierząt, ale nie wątpiła w to, że siostra w pełni to zrozumie. Ostatnia instrukcja pani Trentham dotyczyła adresu firmy Coutts przy ulicy Strand, pod który miały być wysyłane i niezwłocznie realizowane comiesięczne rachunki.

Zanim pani Trentham pożegnała się z siostrą, podsunęła jej do podpisu trzy dokumenty.

- Żebyś nie musiała się już niczym przejmować, moja droga - wyjaśniła jej łagodnym tonem.

Amy podpisała trzy rozłożone przed sobą formularze, nawet ich nie czytając. Pani Trentham prędko złożyła dokumenty przygotowane przez miejscowego prawnika i schowała je do torebki.

- Niebawem cię odwiedzę - obiecała siostrze, całując ją w czoło.

Kilka minut później była już w drodze powrotnej do Ashurst.

Dzwonek nad drzwiami hałaśliwie zadźwięczał w ciszy i pani Trentham dziarsko wkroczyła do antykwariatu, który w pierwszej chwili wydał się jej całkiem opuszczony. Dopiero po chwili z zaplecza wyłonił się pan Sneddles z trzema książkami pod pachą.

- Dzień dobry, pani Trentham - powiedział. - To miło z pani strony, że tak szybko zareagowała pani na wiadomość ode mnie.

Musiałem skontaktować się z panią, ponieważ pojawił się pewien problem.

- Problem? - zapytała pani Trentham, odrzucając do tyłu woalkę, która zakrywała jej twarz.

- Tak. Jak pani wie, już prawie zakończyłem pracę w Yorkshire.

Przykro mi, że trwało to tak długo. Obawiam się, że zbyt długo się z tym się guzdrałem...

Pani Trentham machnęła ręką, dając do zrozumienia, że nie ma o to do niego pretensji.

Boję się jednak - mówił dalej, - że pomimo wydatnej pomocy mojego asystenta, dra Halcomba, a także biorąc pod uwagę czas dojazdu do Yorkshire, skatalogowanie i wycena tak wspaniałej kolekcji może nam jeszcze zabrać dalszych kilka tygodni. Proszę zwrócić uwagę na fakt, że pani ojciec gromadził ją przez całe życie.

- Nic nie szkodzi - zapewniła go pani Trentham. - Wcale mi się nie spieszy. Niech pan zakończy pracę w dogodnym dla siebie terminie. Proszę mnie tylko zawiadomić, gdy się pan już upora ze swoim zadaniem, panie Sneddles.

Antykwariusz uśmiechnął się na myśl, że będzie mógł bez przeszkód nadal zajmować się katalogowaniem.

Odprowadził panią Trentham do wyjścia. Nikt widząc ich razem, nie uwierzyłby, że urodzili się w tym samym roku. Pani Trentham rozejrzała się po Chelsea Terrace, a potem prędko opuściła woalkę.

Pan Sneddles zamknął za nią drzwi, zatarł ręce w mitenkach i powłócząc nogami, wrócił na zaplecze do dra Halcomba.

Ostatnio irytowało go, gdy jakiś klient zjawiał się w sklepie.

- Nie zamierzam po trzydziestu latach zmieniać swoich maklerów - stwierdził oschle Gerald Trentham, nalewając sobie drugą filiżankę kawy.

- Czy nie rozumiesz, mój drogi, jak wzrosłaby pozycja Nigela, gdybyś powierzył swój rachunek jego firmie?

- A wiesz, jakim ciosem byłaby dla towarzystwa David Cartwright i Vickers da Costa strata klienta, któremu zaszczytnie służyło od ponad stu lat? Nie, Ethel, najwyższy czas, żeby Nigel sam zaczął radzić sobie w interesach. Do diabła, przecież ma już ponad czterdzieści lat.

- Tym bardziej powinniśmy okazać mu pomoc, gdy jej potrzebuje - zauważyła żona, rozsmarowując masło na drugiej grzance.

- Nie, Ethel. Powtarzam, nie.

- Czy nie rozumiesz, że do zadań Nigela należy między innymi zdobywanie nowych klientów? W tej chwili ma to szczególne znaczenie. Jestem pewna, że teraz, gdy wojna ma się ku końcowi, zaproponują mu współudział w firmie.

Major Trentham nie potrafił ukryć w tej kwestii swojego sceptycyzmu.

Niech w takim razie wykorzysta swoje znajomości, szczególnie te, które zawarł w Sandhurst, nie wspominając już o centrum finansowym. Nie powinien szukać oparcia wyłącznie w przyjaciółach swojego ojca.

- To okrutne, Geraldzie. Jak może liczyć na pomoc obcych ludzi, skoro nie ma oparcia w najbliższej rodzinie?

- Oparcie, pomoc; właśnie do tego sprowadza się cały problem.

- Gerald coraz bardziej podnosił głos. - Od chwili jego narodzin nic innego nie robisz” tylko mu pomagasz. Pewnie dlatego do dzisiaj nie potrafi stanąć o własnych siłach na nogach.

- Geraldzie odpowiedziała pani Trentham, wyciągając z rękawa chustkę do nosa. - Nigdy nie przypuszczałam...

- Poza tym - zauważył major, próbując się opanować - stan mojego konta wcale nie jest imponujący. Oboje z panem Attlee dobrze wiecie, że cały nasz kapitał od wielu pokoleń jest ulokowany w ziemi.

- Nie chodzi o kwotę, ale o zasadę - rzekła z urazą pani Trentham.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - oświadczył Gerald. Złożył serwetkę, wstał od stołu i wyszedł z pokoju, zanim jego żona zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Pani Trentham wzięła do ręki gazetę męża i wodząc palcem po kolumnie nazwisk, sprawdzała, komu nadano tytuł szlachecki w dniu urodzin królowej. Jej drżący palec zatrzymał się na literze T.

Według informacji Maxa Harrisa, Daniel Trumper wypłynął na pokładzie ”Queen Mary” na letnie wakacje do Ameryki. Jednakże prywatny detektyw nie potrafił odpowiedzieć na następne pytanie pani Trentham - w jakim celu? Był tylko pewien, że koledzy Daniela spodziewają się jego powrotu przed rozpoczęciem roku akademickiego.

W tym samym czasie, kiedy Daniel przebywał w Ameryce, pani Trentham spędzała większość czasu w Lincoln’s Inn Fields, konferując z prawnikami, którzy przygotowywali dla niej wnioski o pozwolenie rozpoczęcia budowy.

Znalazła też trzech świeżo upieczonych architektów i zleciła im opracowanie wstępnego projektu budowy kamienicy czynszowej na Chelsea Terrace. Zapewniła ich, że zwycięzcy powierzy realizację projektu, podczas gdy dwaj pozostali otrzymają rekompensatę po sto funtów każdy. Wszyscy trzej z zadowoleniem przyjęli jej warunki.

Dwanaście tygodni później każdy z nich przedstawił jej swoją pracę, ale tylko jedna z nich spotkała się z jej aprobatą.

Zdaniem głównego partnera w firmie adwokackiej, rozwiązanie przedstawione przez najmłodszego z architektów, Justina Talbota, nadawało Battersea Power Station wygląd Wersalu. Pani Trentham nie wyjawiała swojemu adwokatowi, że na jej wybór wpłynął fakt członkostwa w komisji planowania przy radzie miasta wuja pana Talbota.

Nie była jednak pewna, czy większość osób w komisji, nawet jeśli wuj Talbota przyjdzie młodemu człowiekowi z pomocą, zaakceptuje tak szkaradny projekt. Przypominał bunkier, który nie przypadłby nawet do gustu Hitlerowi. Jednakże prawnicy sugerowali pani Trentham, żeby uzasadniła swój wniosek potrzebą budowy niskoczynszowego budynku w centrum Londynu, z którego mogliby korzystać studenci i bezrobotni - ludzie znajdujący się w skrajnie złej sytuacji mieszkaniowej. Po drugie, radzili oświadczyć, że wszelkie wpływy z wynajmu mieszkań będą przekazywane na fundusz charytatywny pomocy rodzinom dotkniętym podobnym problemem. I po trzecie, powinna zwrócić uwagę komisji na pracowitość i wysiłki młodego architekta, którymi w pełni zasłużył sobie na jej uznanie.

Pani Trentham z mieszanymi uczuciami przyjęła wiadomość o zatwierdzeniu projektu przez radę miasta. Po długich debatach, które ciągnęły się ponad kilka tygodni, komisja wprowadziła tylko

nieznaczne modyfikacje do planu Talbota. Gdy decyzja zapadła, pani Trentham wydała swojemu architektowi polecenie natychmiastowego wyburzenia zbombardowanej kamienicy i bezzwłocznego rozpoczęcia budowy.

Wniosek, z którym wystąpił sir Charles Trumper, o budowę sieci handlowej na Chelsea Terrace, spotkał się z wielkim zainteresowaniem ze strony dziennikarzy krajowych i w większości otrzymał przychylne opinie. W kilku publikacjach na temat nowego projektu pani Trentham znalazła wzmiankę o niejakim Martinie Simpsonie, który przedstawiał się jako przewodniczący Federacji Obrony Małych Sklepów, organizacji odrzucającej koncepcję Trumpera. Zdaniem Simpsona zamysł ten miał się okazać na dłuższą metę zgubny dla drobnych sklepikarzy i zagrażał podstawom ich egzystencji.

Jest to tym bardziej nieuczciwe, narzekał, że żaden z właścicieli małego sklepu nie ma środków, żeby przeciwstawić się potężnemu i zamożnemu sir Charlesowi Trumperowi.

- To prawda, że nie ma - powiedziała pani Trentham przy śniadaniu.

- Czego nie ma?

- Nieważne - zbyła męża, ale jeszcze tego samego dnia przekazała Harrisowi pieniądze przeznaczone dla Simpsona, żeby wystąpił z oficjalnym wnioskiem o odrzucenie projektu Trumpera. Wyraziła też gotowość pokrycia wszelkich innych kosztów poniesionych przez niego w tej sprawie.

Zaczęła śledzić w krajowej prasie wyniki jego zabiegów i nawet zwierzyła się Harrisowi, że jest gotowa zapłacić honorarium temu człowiekowi za jego wysiłki, ale dla Simpsona, podobnie jak dla większości działaczy, liczyła się tylko sprawa.

Z chwilą gdy na plac budowy wjechały buldożery, a Trumperowi wstrzymano roboty budowlane, pani Trentham znowu skierowała całą uwagę na Daniela Trumpera i na problem jego dziedzictwa.

Prawnicy potwierdzili jej obawy, że nie można obalić postanowień testamentu, chyba żeby Daniel Trumper dobrowolnie zrzekł się przysługujących mu praw. Wręczyli jej nawet oświadczenie, które musiałby w tej sytuacji podpisać, zostawiając jej niezbyt zachęcające zadanie zdobycia na dokumencie jego autografu.

Pani Trentham nie była w stanie wyobrazić sobie, żeby kiedyś mogło dojść do jej spotkania z Danielem i dlatego zabiegi prawników uznała za daremny trud. Jednakże wzięła wzór oświadczenia, który jej dali, i przezornie dołączyła go do innych dokumentów dotyczących Trumperów schowanych w dolnej szufladzie biurka.

- Miło mi panią widzieć - powiedział Sneddles. - Stokrotnie panią przepraszam, że wykonanie pani zlecenia zajęło nam tak dużo czasu. Oczywiście, nie wezmę od pani ani pensa więcej ponad kwotę, którą ustaliliśmy.

Księgarz nie widział wyrazu twarzy pani Trentham, gdyż tym razem nie zdjęła woalki. Mijając zakurzone rzędy książek, weszła za starym mężczyzną do małego pomieszczenia na zapleczu sklepu.

Sneddles przedstawił jej dra Halcombe, który też miał na sobie gruby płaszcz. Pani Trentham nie skorzystała z propozycji zajęcia miejsca, gdyż spostrzegła na krześle cienką warstwę kurzu.

Mężczyzna dumnie wskazał jej ręką na osiem pudełek stojących na biurku i zaczął swój prawie godzinny wywód, sporadycznie przerywany uwagami dra Halcombe. Wyjaśniał, w jaki sposób skatalogowali bibliotekę ojca: najpierw w porządku alfabetycznym według nazwisk autorów, potem tematycznie i w końcu w oddzielnym przekroju według tytułów.

Pani Trentham zachowywała się zadziwiająco cierpliwie. Niekiedy zadawała jakieś pytanie, chociaż odpowiedź wcale jej nie interesowała. Pozwoliła mu zagłębić się w zawiłych wyjaśnieniach o tym, jak w ciągu ostatnich pięciu lat pracowicie wykorzystał czas.

- Wspaniale wykonał pan swoją pracę, panie Sneddles - stwierdziła, gdy pomachał jej przed nosem ostatnią fiszką "Emil Zola (1840 -1902)". - Nie można było tego lepiej zrobić.

- Stokrotne dzięki - powiedział stary mężczyzna, kłaniając się nisko. - Zawsze odnosiła się pani do mojego zadania z pełnym zrozumieniem. Pani ojciec nie znalazłby nikogo, kto by w równie odpowiedzialny sposób zajął się dziełem jego życia.

- Ustaliliśmy, o ile się nie mylę, że pańskie honorarium wyniesie pięćdziesiąt gwinei - upewniła się pani Trentham, wyjmując z torebki czek i podając go właścicielowi księgarni.

- Dziękuję pani - rzekł Sneddles biorąc czek i wkładając go w roztargnieniu do popielniczki. Powstrzymał się, żeby nie dodać: "Z chęcią zapłaciłbym pani dwa razy tyle za przywilej wykonania tego zadania."

- Jak widzę - zauważyła, dokładnie sprawdzając załączone dokumenty - ocenił pan wartość całej kolekcji niewiele poniżej pięciu tysięcy funtów.

- Tak jest. Muszę jednak panią ostrzec, że w kilku przypadkach prawdopodobnie podałem zaniżoną kwotę. Niektóre z egzemplarzy należą do takich rzadkości, że trudno przewidzieć, jaką cenę mogą osiągnąć na wolnym rynku.

- Rozumiem, że powyższą sumę byłby mi pan gotów zapłacić, gdybym zdecydowała się sprzedać zbiory? - zapytała pani Trentham, patrząc mu prosto w twarz.

Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności - odparł księgarz. - Obawiam się jednak, że nie mógłbym tego zrobić z tej prostej przyczyny, że nie mam na to wystarczających środków finansowych.

- A gdybym powierzyła panu sprzedaż kolekcji? - zaproponowała pani Trentham, nie spuszczać go z oka.

- Uznałbym to za wielki przywilej, proszę pani, ale realizacja tego przedsięwzięcia mogłaby potrwać wiele miesięcy, a może nawet lat.

- Wobec tego pewnie dojdziemy do porozumienia, panie Sneddles.

- Do porozumienia? Obawiam się, że nie pojmuję, o czym pani mówi.

- Co by pan powiedział, panie Sneddles, na spółkę ze mną?

ROZDZIAŁ 34

Pani Trentham pochwałała gust Nigela, chociaż tak naprawdę to ona sama wybrała mu kandydatkę na żonę.

Weronika Berry posiadała wszystkie atrybuty, które zdaniem jej przyszłej teściowej były potrzebne nowej pani Trentham. Pochodziła z dobrej rodziny: ojciec wciąż jeszcze służył w marynarce w stopniu wiceadmirała, a dziadkiem ze strony matki był sufragan. I choć trudno ich było nazwać zamożnymi ludźmi, to powodziło im się nieźle, a co ważniejsze, Weronika była najstarszą z ich trzech córek. Ślub odbył się w kościele parafialnym przy Kimmeridge, w Dorset, gdzie Weronikę chrzczył kiedyś wikariusz, bierzmował sufragan, a teraz udzielił ślubu biskup Bath i Wells. Przyjęcie było wystawne, choć gospodarze wystrzegali się nadmiernej rozrzutności. "Dzieci", jak mówiła o młodej parze pani Trentham, wybierały się na miodowy miesiąc do rodzinnej posiadłości w Aberdeen, a po powrocie miały zamieszkać w domu na Cadogan Place, który sama dla nich wybrała.

To tak niedaleko od Chester Square, wyjaśniała gościom nie pytana.

Na ucztę weselną zaproszono wszystkich trzydziestu dwóch partnerów firmy maklerskiej Kitcat i Aitken, dla której Nigel pracował, ale tylko pięciu z nich mogło przyjechać do Dorset.

W czasie przyjęcia, które odbywało się przed domem wiceadmirała, pani Trentham przeprowadziła rozmowy z wszystkimi obecnymi partnerami firmy syna, ale ku jej rozczarowaniu żaden z nich nie kwapił się do wspierania go w przyszłej karierze.

Pani Trentham nie traciła nadziei, że syn wkrótce zostanie współnikiem. Tym bardziej że skończył czterdziestkę, a nazwiska wielu młodszych pracowników, którzy po nim przyszli do Kitcat i Aitken, figurowały już w lewym górnym rogu firmowego papieru.

Burza zagnała wszystkich do dużego namiotu tuż przed rozpoczęciem przemówień. Pani Trentham uważała, że mowa pana młodego powinna zostać cieplej przyjęta. Chociaż musiała przyznać, że trudno bić oklaski z kieliszkiem szampana w jednej ręce i różkiem ze szparagami w drugiej. Hugh Folland, który był drużbą Nigela, nie zebrał przecież dużo większych braw.

Po przemówieniach pani Trentham odszukała Milesa Renshawa, głównego współnika firmy Kitcat i Aitken, i w rozmowie na boku wyjawiała mu, że w najbliższej przyszłości zamierza zainwestować znaczną sumę pieniędzy w nową spółkę akcyjną, która niebawem ma wystąpić z ofertą sprzedaży akcji. W związku z tym będzie potrzebna jej rada maklerów w sprawie, jak to określiła, długookresowej strategii.

Informacja nie wywołała specjalnej reakcji ze strony Renshawa, który wciąż pamiętał obietnice pani Trentham dotyczące zarządzania finansami Hardcastle po śmierci jej ojca. Jednakże zasugerował, że gdy tylko zostanie przedstawiona oficjalna oferta i ustalony termin emisji akcji,

powinna wpaść do biura i omówić z nim szczegóły transakcji.

Pani Trentham podziękowała maklerowi, wmieszała się w tłum i dalej krążyła wśród gości, jak gdyby do niej należały obowiązki gospodyni.

Nie zauważyła pełnego dezaprobaty spojrzenia Weroniki, które spoczęło na niej niejednemu raz.

To był ostatni piątek września 1947 roku, gdy Gibson cicho zapukał do drzwi salonu, wszedł i zaanonsował.

- Kapitan Daniel Trentham.

W pierwszej chwili, gdy pani Trentham zobaczyła młodego mężczyznę w mundurze kapitana pułku Królewskich Strzelców, który wszedł do salonu i zatrzymał się na środku dywanu, nogi niemal odmówiły jej posłuszeństwa. Natychmiast stanęło jej przed oczami spotkanie w tym samym pokoju sprzed ponad dwudziestu pięciu lat Jakimś cudem zdołała przejść przez salon i ciężko opadła na kanapę.

Uszczypnęła się w rękę, żeby nie zemdleć, i wpatrywała się w swojego wnuka. Przeraziło ją jego podobieństwo do Guya i poczuła mdłości pod wpływem wspomnień, które przywołał swoim widokiem. Przez tak wiele lat udawało się jej ich wystrzeżać.

W pierwszym odruchu, gdy tylko trochę wróciła do siebie, miała zamiar kazać Gibsonowi wyrzucić intruza za drzwi. Zaniepokojona zdecydowała się jednak chwilę zaczekać i dowiedzieć się, czego młody człowiek od niej chce. A gdy Daniel wyrecytował wyuczone zdania, zaczęła już wątpić, czy spotkanie może przyjąć dla niej korzystny obrót.

Potem wnuk zaczął opowiadać o niedawnym pobycie w Australii (a nie w Stanach, jak utrzymywał Harris), o kamienicy na Chelsea Terrace, o cofnięciu zgody na budowę centrum handlowego, oraz o napisie na grobie w Ashurst. Zapewnił ją, że złożył jej wizytę bez wiedzy rodziców.

Pani Trentham doszła do wniosku, że musiał odkryć wszystkie okoliczności śmierci jej syna w Melbourne. W przeciwnym razie nie podkreślałby, że jeśli informacje w tej sprawie wpadną w ręce prasy, to łagodnie ujmując, spowodują kłopotliwe położenie wszystkich zainteresowanych.

Nie przerywała Danielowi, rozpaczliwie zbierając myśli. W chwili gdy była mowa o prognozach rozwoju Chelsea Terrace, zaczęła zastanawiać się, co naprawdę wie stojący przed nią młody człowiek. Uznała, że istnieje tylko jeden bardzo ryzykowny sposób, żeby się o tym przekonać.

I gdy Daniel w końcu przedstawił jej swoje żądanie, odpowiedziała mu wprost:

- Stawiam warunek.

- Jaki warunek?

- Że się zrzekniesz wszelkich roszczeń do majątku Hardcastle.

Daniel po raz pierwszy robił wrażenie, że jest zbity z tropu.

Najwyraźniej nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Pani Trentham poczuła nagle niezachwianą pewność, że nic nie wie o testamencie. Ojciec zobowiązał przecież pana Baverstocka, żeby nie ujawniał treści swojej ostatniej woli, dopóki młody człowiek nie skończy trzydziestu lat. A prawnik nie należał do ludzi, którzy nie dotrzymują słowa.

- Nie przypuszczam, żebyś zamierzała mi cokolwiek zapisać - padła odpowiedź.

Nie odezwała się. Czekwała. Daniel w końcu skinął głową i wyraził zgodę.

- Na piśmie - dodała.

- W takim razie ja też poproszę o pisemne potwierdzenie naszej umowy.

Pani Trentham czuła, że stracił bezpieczny grunt pod nogami i nie mogąc dłużej polegać na

przygotowanym scenariuszu, spontanicznie reaguje na przebieg wydarzeń.

Wstała, podeszła powoli do biurka i otworzyła szufladę. Daniel stał nadal na środku pokoju, przestępując z nogi na nogę.

Rozłożyła przed sobą dwa arkusze papieru i odnalazłszy wzór oświadczenia, który dostała od prawników, napisała dwie identyczne umowy. Uwzględniały żądania Daniela, dotyczące rezygnacji z budowy kamienicy czynszowej i wycofania sprzeciwu na projekt "Wieżowców Trumpera". Zawierały też dokładnie przepisane słowa prawników, w których Daniel zrzekał się wszelkich roszczeń do majątku pradziadka.

Wręczyła wnukowi do przeczytania jeden z egzemplarzy i drżała z trwogi, żeby młody człowiek nie domyślił się, co poświęca, podpisując dokument Daniel przeczytał do końca pierwszą kopię porozumienia, a potem sprawdził, czy oba egzemplarze nie różnią się od siebie w żadnym szczególe. I chociaż się nie odzywał, pani Trentham nie dawało spokoju przecucie, że Daniel zaraz odkryje jej zamysł.

Prawdę mówiąc, dla zdobycia jego podpisu chętnie przystałaby nawet na sprzedaż po cenach rynkowych działki na Chelsea Terrace.

Zaraz potem gdy Daniel podpisał oba dokumenty, pani Trentham wezwała lokaja na świadka zawieranej umowy.

- Odprowadź pana do drzwi, Gibson - powiedziała krótko, gdy już wykonał swoje zadanie. Daniel opuścił pokój, a ona zastanawiała się, ile czasu minie, zanim młody człowiek zrozumie, jak kiepski ubił interes.

Następnego dnia adwokaci dokładnie zapoznali się z treścią jednostronicowego dokumentu i byli zaszokowali prostotą transakcji. Jednakże pani Trentham nie wyjaśniła im, w jaki sposób zdołała osiągnąć swój cel. Główny partner adwokackiej firmy nieznacznym skinieniem głowy potwierdził niepodważalność umowy.

Każdy człowiek ma swoją cenę i gdy Martin Simpson dowiedział się, że wyszło źródło jego dochodów, wycofał swój sprzeciw na budowę "Wieżowców Trumpera" za pięćdziesiąt funtów w gotówce.

Następnego dnia pani Trentham skupiła uwagę na innej sprawie: na zapoznaniu się z ofertą sprzedaży akcji.

Zdaniem pani Trentham Weronika zaszła w ciążę o wiele za szybko. W maju 1948 roku synowa urodziła syna, Gilesa Raymonda, zaledwie w dziewięć miesięcy i jeden tydzień po ślubie z Nigelem.

Dobrze przynajmniej, że dziecko nie urodziło się przed czasem.

Pani Trentham nieraz widziała, jak służący liczyli na palcach miesiące.

Po powrocie Weroniki ze szpitala pani Trentham po raz pierwszy spostrzegła, że pomyliła się w opinii na temat swojej synowej.

Oboje z Nigelem przywieźli w wózku Gilesa na Chester Square, żeby dumna babka mogła go podziwiać. Pani Trentham obrzuciła niemowlę powierzchownym spojrzeniem i Gibson wyprowadził wózek, a do salonu wjechał stolik z herbatą.

- Na pewno będziecie chcieli niezwłocznie zapisać chłopca do Asgarth i Harrow - powiedziała pani Trentham, zanim jeszcze syn i synowa zdążyli poczęstować się kanapkami. - Dla pewności, że ma tam zagwarantowane miejsce - dodała.

- Oboje z Nigelem ustaliliśmy już, gdzie będziemy kształcić naszego syna - oświadczyła Weronika - a żadna z wymienionych przez mamę szkół nie spełnia naszych oczekiwań.

Pani Trentham odstawiała filiżankę na spodek i spojrzała na synową takim wzrokiem, jak gdyby właśnie zawiadomiła ją o śmierci króla.

- Przepraszam, ale chyba się przesłyszałam, moja droga.

- Zamierzamy wysłać Gilesa do miejskiej szkoły podstawowej w Chelsea, a potem do Bryanston.

- Bryanston? A gdzie to jest, jeśli wolno spytać?

- W Dorset. Mój ojciec tam uczęszczał - wyjaśniła Weronika i sięgnęła po kanapkę z łososiem.

Nigel patrzył zaniepokojonym wzrokiem na matkę i nerwowo dotykał krawata w niebiesko-srebrne paski.

- A więc tak się sprawa przedstawia - powiedziała pani Trentham: - Uważam jednak, że jeszcze raz powinniśmy zastanowić się nad tym, jaki mały Raymond - mocno zaakcentowała imię - ma mieć w życiu start.

- Nie ma takiej potrzeby - stwierdziła synowa. - Temat edukacji Gilesa został przez nas dokładnie przemyślany. Zapisaliśmy go już nawet do Bryanston... dla pewności, że ma tam zagwarantowane miejsce.

I nachyliła się nad stołem, sięgając po następną kanapkę.

Zegar w kształcie karety na kominku po drugiej stronie sali wybił godzinę trzecią.

Na widok pani Trentham, która właśnie weszła do hallu, Max Harris poderwał się z fotela w kącie i czekał w półskłonie, dopóki klientka nie zajęła miejsce naprzeciwko niego.

Zamówił herbatę dla niej i podwójną whisky dla siebie. Pani Trentham z dezaprobatą zmarszczyła brwi. Gdy kelner oddalił się, żeby zrealizować zamówienie, i nieuchronnie rozległy się trzaskania palców, zwróciła się do Maxa Harrisa:

- Przypuszczam, że nie nalegałby pan na spotkanie ze mną, panie Harris, gdyby nie miał mi pan do zakomunikowania jakiejś ważnej informacji.

- Nie przesadzę, jeśli powiem, że jestem zwiastunem dobrych wieści. Pewna dama o nazwisku Bennett została ostatnio aresztowana i oskarżona o kradzież futra i skórzanego paska w Harvey Nicholls.

- A cóż mnie owa dama może obchodzić? - zapytała pani Trentham i obejrzała się przez ramię, z niezadowolaniem stwierdzając, że zaczęło padać, a ona nie wzięła ze sobą parasolki.

- Ponieważ może wydać się pani interesujący jej związek z sir Charlesem Trumperem.

- Związek? - zdziwiła się pani Trentham jeszcze bardziej.

- Tak - rzekł Harris. - Otóż pani Bennett jest najmłodszą siostrą sir Charlesa.

Pani Trentham ponownie spojrzała na Harrisa.

- O ile dobrze pamiętam, Trumper ma trzy siostry - stwierdziła.

- Sal, która mieszka w Toronto i wyszła za mąż za agenta ubezpieczeniowego, Grace, która ostatnio awansowała na stanowisko siostry przełożonej w szpitalu Guya, i Kitty, która kilka lat temu wyjechała do swojej siostry w Kanadzie.

- I właśnie wróciła.

Wróciła?

- Tak, jako pani Kitty Bennett.

- Nadal nic z tego nie rozumiem - powiedziała pani Trentham rozdrażniona, że Harris bawi się z nią w kotka i w myszkę.

- W czasie pobytu w Kanadzie - kontynuował Harris, zdając sobie sprawę z irytacji klientki - poślubiła niejakiego Bennetta, robotnika portowego. Trzeba przyznać, że zupełnie nie był w typie jej

ojca. Małżeństwo skończyło się po roku burzliwym rozwodem, w czasie którego zeznawało przed sądem wielu mężczyzn. A Kitty, gdy siostra Sal odmówiła przyjęcia jej z powrotem do swojego domu, kilka tygodni temu wróciła do Anglii.

- W jaki sposób udało się panu zdobyć te informacje?

- Mój przyjaciel z Wandsworth w odpowiednim momencie naprowadził mnie na jej trop. Przeczytał oskarżenie skierowane przeciwko niejkiej Bennett, z domu Trumper, i postanowił to dokładnie sprawdzić. Gdy okazało się, że sprawa dotyczy Kitty, natychmiast tam poleciałem, żeby się przekonać, czy chodzi o właściwą kobietę. - Harris przerwał, żeby wypić łyk whisky.

- Niech pan mówi dalej - powiedziała pani Trentham ze zniecierpliwieniem.

- Za pięć funtów śpiewała jak kanarek - rzekł Harris. - Mam przecucie, że gdybym miał do zaoferowania pięćdziesiąt funtów, jej śpiew dorównałby trelom słowika.

W chwili ogłoszenia informacji w prasie o przygotowaniach do założenia spółki akcyjnej Trumper, pani Trentham odpoczywała w posiadłości swojego męża w Aberdeenshire. Przeczytała krótką wzmiankę w "Telegraph" i doszła do wniosku, że chociaż dysponuje łącznym miesięcznym dochodem swoim i siostry, a także spadkiem Amy wysokości dwudziestu tysięcy funtów, to wciąż będzie jej potrzebny cały kapitał uzyskany ze sprzedaży posiadłości w Yorkshire, jeśli chce myśleć o nabyciu liczących się udziałów. Tego ranka przeprowadziła kilka rozmów międzymiastowych.

W tym roku powierzyła swoje finanse Kitcat i Aitken, a po kilku miesiącach nieustannego zdręczania męża wymogła w końcu i na nim, żeby zrobił to samo. Jednak pomimo finansowego związania się z firmą, Nigelowi wciąż nie proponowano w niej udziału. Pani 29- Prosto jak strzelił Trentham poradziłaby mu, żeby natychmiast zrezygnował z pracy, gdyby nie była pewna, że jego perspektywy gdzie indziej nie są lepsze.

Pomimo niepowodzenia, nadal zapraszała na kolację na Chester Square coraz to innych współników firmy. Gerald wyraził się jasno, że nie pochwała taktyki żony i nigdy nie uwierzy, by mogła pomóc karierze syna. Jednakże zdawał sobie sprawę, że od pewnego czasu jego opinia robi na żonie niewielkie wrażenie. Poza tym osiągnął już podeszły wiek i był zbyt znużony życiem, żeby stawiać jej większy opór.

Pani Trentham przestudiowała zawile szczegóły oferty Trumperów w egzemplarzu "The Times" swojego męża i poleciła Nigelowi ubiegać się o pięć procent udziałów spółki, gdy tylko ukaże się ogłoszenie o zapisie na akcje.

Na końcu strony w "Daily Mail" natknęła się na artykuł pana Vincenta Mulcrone'a, zatytułowany "Triumfujący Trumperowie"

Przypomniał jej o obrazie, który wciąż znajdował się w jej rękach, i z którym wiązała duże nadzieje.

Ilekcóż pan Baverstock chciał się spotkać z panią Trentham zawsze odbierała to bardziej jako wezwanie, a nie zaproszenie.

Może dlatego, że pracował dla ojca przez ponad trzydzieści lat.

Doskonale wiedziała, że pan Baverstock jako wykonawca testamentu ojca wciąż wiele może, nawet jeśli ostatnio zdołała go przechytryć ze sprzedażą posiadłości.

Wskazał jej miejsce po drugiej stronie biurka, usiadł z powrotem na krześle, wsunął okulary na czubek nosa i otworzył jedną ze swoich szarych teczek.

Zawsze zachowywał w stosunku do niej dystans. Dotyczyło to zarówno jego korespondencji, jak i bezpośrednich kontaktów. Pani Trentham zastanawiała się, czy w ten sam sposób traktował jej ojca.

- Pani Trentham - zaczął, opierając się dłońmi o biurko - zamilkł, zaglądając do notatek, które sporządził poprzedniego wieczoru. - Chciałbym podziękować, że zadała sobie pani trud, przychodząc do mojego biura, oraz wyrazić ubolewanie, że pani siostra nie czuła się na siłach, żeby tu przybyć i ponownie odrzuciła moje zaproszenie. Co prawda, w krótkim liście, który otrzymałem od niej w zeszłym tygodniu, wyraziła zgodę na to, żeby reprezentowała ją pani zarówno podczas dzisiejszego, jak i przyszłych spotkań.

- Droga, biedna Amy - westchnęła pani Trentham. - Wyjątkowo źle zniosła śmierć naszego ojca, mimo że zrobiłam, co w mojej mocy, aby złagodzić ten cios.

Wzrok prawnika spoczął na notatce od firmy Althwaite of Bird, Collingwood i Althwaite z Harrogate, dotyczącej zlecenia przelewu comiesięcznych czeków panny Amy na konto firmy Coutts, mieszczącej się przy ulicy Strand. Różniło się tylko jedną cyfrą od tego, na które pan Baverstock przysyłał drugą połowę miesięcznych dochodów trustu.

- Zapewne pani wie, że chociaż ojciec zapisał pani i siostrze dochód, który pochodzi z trustu Hardcastle, to cały kapitał przejdzie z czasem w ręce doktora Daniela Trumpera.

Pani Trentham skinęła głową, z obojętnym wyrazem twarzy.

- Jest również pani wiadome, że trust aktualnie dysponuje wolnym kapitałem, udziałami i złotem. Całym majątkiem zarządza Bank Akceptacyjny Hambros and Company. Mimo iż sir Raymond zostawił nam w tej kwestii wolną rękę, postanowiliśmy informować panie o zamiarach banku, gdy tylko będzie planować dokonanie jakiejś ważnej inwestycji, korzystnej jego zdaniem dla trustu.

- To bardzo miło z pańskiej strony, panie Baverstock.

Adwokat spojrział na akta i natknął się na następną notatkę. Tym razem od agenta nieruchomości z Bradford. Posiadłość zmarłego sir Raymonda Hardcastle'a oraz jego dom z całym wyposażeniem został sprzedany bez wiedzy Baverstocka za czterdzieści jeden tysięcy funtów. Po odtrąceniu prowizji i podatków, agent wysłał resztę pieniędzy na to samo konto, na które były przelewane comiesięczne dochody panny Amy.

- Mając to na uwadze - mówił dalej prawnik rodziny - czuję się w obowiązku poinformować panią, że nasi doradcy zalecają zainwestowanie dużego kapitału w nową spółkę, która dopiero co wchodzi na rynek.

- Co to za spółka? - zacięła się pani Trentham.

- Trumper - odparł pan Baverstock, uważnie obserwując reakcję swojej rozmówczyni.

- Dlaczego właśnie w tę, a nie inną? - Wyraz jej twarzy nie świadczył o dużym zdziwieniu.

- Ponieważ bank Hambros uważa tę inwestycję za korzystną. A co ważniejsze, dlatego że z czasem majątek trustu przejdzie w ręce Daniela Trumpera, którego ojciec jest aktualnie prezesem zarządu, o czym pani zapewne wie.

- Tak, wiem o tym - potwierdziła pani Trentham, nie komentując tego faktu. Pan Baverstock był zaniepokojony, że z takim spokojem przyjęła wiadomości. Widział to wyraźnie.

- Jeśli obie panie zdecydowanie sprzeciwią się tak ogromnemu finansowemu zaangażowaniu się trustu, możliwe że nasi doradcy zrewidują swoje stanowisko.

- Ile zamierzają zainwestować?

- Około dwustu tysięcy funtów - poinformował ją prawnik. - w ten sposób trust nabędzie w przybliżeniu dziesięć procent udziałów spółki.

- Czy inwestowanie tak dużego kapitału w jedną spółkę nie jest ryzykowne?

- Z pewnością ryzyko jest duże - przyznał pan Baverstock. - Ale jak dotąd trust nie miał

problemów z budżetem.

- Wobec tego akceptuję opinię naszych doradców - oświadczyła pani Trentham. - Jestem przekonana, że mogę to samo powiedzieć również w imieniu mojej siostry.

Raz jeszcze pan Baverstock zajrzał do dokumentów i przyjrzał się oświadczeniu podpisanemu przez pannę Amy Hardcastle, która dawała wolną rękę swojej siostrze we wszystkich decyzjach dotyczących majątku zmarłego Raymonda Hardcastle, łącznie z pozwoleniem na wytransferowanie dwudziestu tysięcy funtów ze swojego prywatnego konta. Pan Baverstock mógł jedynie sobie życzyć, żeby panna Amy była szczęśliwa w pensjonacie "Pod Najwyższą Skałą".

Podniósł wzrok i spojrzął na drugą córkę sir Raymonda.

- Nie pozostaje mi nic innego - powiedział, kończąc rozmowę jak przekazać bankowi Hambros pani stanowisko w tej sprawie i zawiadomić panią, gdy tylko zostaną rozdzielone akcje spółki Trumper.

Zamknął teczkę, wstał zza biurka i skierował się w stronę drzwi.

Pani Trentham podążyła za nim, zadowolona, że zarówno trust Hardcastle, jak i jej doradcy prawni pracują teraz ręką w rękę i pomagają jej osiągnąć dalekosiężny cel, z którego ani jedni, ani drudzy nie zdają sobie sprawy. Cieszyła się na myśl, że w dniu założenia spółki będzie miała kontrolę nad piętnastoma procentami jej udziałów.

Przy drzwiach pan Baverstock odwrócił się i podał jej rękę.

- Życzę pani miłego dnia, pani Trentham.

- Ja panu również, panie Baverstock. Był pan dzisiaj jak zwykle bardzo skrupulatny.

Ruszyła w stronę samochodu. Szofer otworzył jej drzwi. Odjeżdżając, obejrzała się przez tylną szybę. Prawnik z wyrazem zatroskania na twarzy nadal stał przy wejściu do swojego biura.

- Dokąd panią zawieźć? - zapytał szofer, gdy włączyli się w ruch uliczny.

Spojrzała na zegarek. Rozmowa z Baverstockiem trwała krócej, niż przewidywała, i zostało jej jeszcze trochę czasu do następnego spotkania.

- Hotel Świętej Agnieszki - poinstruowała kierowcę, kładąc rękę na paczce w brązowym pakunkowym papierze, która leżała obok niej na siedzeniu.

Wcześniej kazała Harrisowi wynająć pokój w hotelu i niepostrzeżenie sprowadzić do niego Kitty Bennett.

Weszła do Świętej Agnieszki z paczką pod pachą i zirytowała się, stwierdzając, że detektyw nie czeka na nią w zwykłym miejscu.

Ogromnie źle się czuła, stojąc samotnie w hallu. Niechętnie zapytała portiera o numer pokoju Harrisa.

- Czternasty - odpowiedział mężczyzna w błyszczącym niebieskim uniformie z guzikami bez połysku. - Ale nie może pani...

Pani Trentham nie przywykła, żeby ktoś jej czegoś zabraniał.

Odwróciła się i powoli zaczęła wchodzić po schodach, które prowadziły do numerów na pierwszym piętrze. Portier prędko podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu.

Po kilku minutach pani Trentham znalazła pokój numer czter-naście i ostro zapukała do drzwi. Dopiero po upływie dłuższej chwili Harris wpuścił ją do środka. Zdziwiła ją ciasnota pomieszczenia, w którym mieściło się zaledwie jedno łóżko, krzesło i umywalka. Wzrok pani Trentham zatrzymał się na kobiecie leżącej na łóżku. Miała na sobie czerwoną jedwabną bluzkę, której dwa górne guziki były rozpięte, i czarną, skórzaną spódnicę, o wiele za krótką zdaniem pani

Trentham.

Ponieważ Kitty nie zadała sobie trudu, żeby zabrać z krzesła swój stary płaszcz przeciwdeszczowy, pani Trentham musiała pozostać w pozycji stojącej.

Odwróciła się do Harrisa, który poprawiał krawat w lustrze i najwyraźniej uważał, że jakakolwiek prezentacja jest zbyteczna.

Pani Trentham postanowiła niezwłocznie załatwić transakcję, która ją tu przywiodła, i jak najprędzej wrócić do cywilizowanego świata. Nie czekając na Harrisa, sama przystąpiła do sprawy.

- Czy pani Bennett wie, czego od niej oczekujemy?

- Oczywiście. Wszystko jej wyjaśniłem - odparł detektyw, wkładając marynarkę. - Kitty z największą ochotą wywiąże się z umowy.

- Czy można jej ufać? - zapytała pani Trentham, patrząc z powątpiewaniem na kobietę na łożku.

- Jeśli mi dobrze zapłacicie - odezwała się Kitty po raz pierwszy.

- Chcę wiedzieć, ile dostanę pieniędzy.

- Tyle, za ile zostanie sprzedany obraz, plus pięćdziesiąt funtów - powiedziała pani Trentham.

- I dwadzieścia funtów zaliczki.

Pani Trentham wahała się przez moment, zanim skinęła głową, wyrażając zgodę.

- Na czym polega haczyk?

- Tylko na tym, że brat może próbować panią odwozić od zamiaru sprzedaży - powiedziała pani Trentham. - A nawet usiłować przekupić, w zamian...

- Nie ma o tym mowy - oświadczyła Kitty. - Może sobie mówić, co chce, dla mnie to bez różnicy. Nienawidzę Charlie'ego prawie tak samo, jak pani.

Pani Trentham po raz pierwszy rozpogodziła się. A potem położyła zawiniętą w papier paczkę w nogach łożka.

Harris uśmiechnął się z przymusem.

- Wiedziałem, że znajdziecie wspólny język.

BECKY 1947-1950

ROZDZIAŁ 35

Noc w noc leżałam w łóżku i nie mogłam zasnąć.

Zastanawiałam się, czy Daniel się domyśla, że Charlie nie jest jego ojcem.

Gdy stali obok siebie, Daniel wysoki, szczupły, z falistymi blond włosami i niebieskimi oczami oraz Charlie, przynajmniej o osiem centymetrów od niego niższy, o krępej budowie ciała, ciemnych, prostych włosach i o piwnych oczach, obawiałam się, że Daniel któregoś dnia musi skomentować różnicę w ich wyglądzie. Sytuacji nie poprawiał fakt, że ja również miałam ciemną karnację. Ale jak dotąd Daniel nie powiedział na ten temat ani słowa.

Charlie od samego początku chciał wyjawić Danielowi prawdę o Guyu, ale przekonałam go, że lepiej z tym zaczekać. Uważałam, że gdy chłopiec będzie starszy, łatwiej zrozumie złożoność problemu.

A potem Guy zmarł na gruźlicę i nie było dalszej potrzeby obciążania Daniela przeszłością.

Po latach samoudręki i nieustannych napomnień Charlie'ego, zgodziłam się w końcu powiedzieć o wszystkim synowi. Zatelefonowałam do niego do Trinity na tydzień przed jego wyjazdem do Ameryki i zaproponowałam mu, że odwiozę go do Southampton.

Miałam pewność, że w ten sposób przynajmniej przez kilka godzin nikt nam nie będzie przeszkadzał. Uprzedziłam go, że chcę o czymś ważnym porozmawiać.

Przyjechałam do Cambridge przed czasem i pomogłam Danielowi spakować rzeczy. A o jedenastej zmięliśmy już na południe drogą A 30. Podczas pierwszej godziny jazdy paplał wesoło o pracy w Cambridge. Narzekał, że nie ma możliwości prowadzenia badań z powodu nadmiaru zajęć ze studentami. Gdy przedmiotem rozmowy stały się nasze problemy z kamienicą Trenthamów, zrozumiałam, że mam niepowtarzalną szansę wyjawienia mu prawdy o jego pochodzeniu. Ale Daniel niespodziewanie zmienił temat, a ja straciłam odwagę. Oczywiście mogłam potem jeszcze nie raz poruszyć ten problem, ale sprzyjająca wynurzeniom chwila minęła bezpowrotnie.

Do wszystkich nieszczęść, jakich doświadczyliśmy, gdy Daniel przebywał w Ameryce, związanych ze śmiercią mojej matki i z życiem pani Trentham, zaliczyłam też fakt zaprzepaszczenia największej szansy na szczerą rozmowę z synem. Błagałam Charlie'ego, żebyśmy raz na zawsze zaniechali tego tematu. Ale mój mąż był zdania, że nie mam racji, gdyż Daniel jest wystarczająco dojrzały, żeby znieść prawdę. Pozostawił mi jednak całkowitą decyzję w tej sprawie i w rozmowach ze mną nigdy do niej nie wracał.

Pojechałam po Daniela do Southampton. Dostrzegłam w nim zmianę, której nie potrafiłam określić. Zachowywał się bardziej swobodnie. Na powitanie tak serdecznie mnie wyściskał, że aż byłam zdziwiona. W drodze powrotnej do Londynu wesoło rozprawiał o pobycie w Stanach, z

którego najwyraźniej był zadowolony. Nie wdając się w szczegóły, powiedziałam mu o wstrzymaniu zezwolenia na rozbudowę Chelsea Terrace. Nie okazał wielkiego zainteresowania nowinami. Muszę jednak powiedzieć na jego usprawiedliwienie, że Charlie nigdy go nie wprowadził w codzienne sprawy firmy, gdy tylko zrozumieliśmy, że jest mu pisana kariera naukowa.

Daniel spędził z nami dwa tygodnie, zanim wrócił do Cambridge, i nawet Charlie, który nie jest zbyt wnikliwym obserwatorem, zauważył, jak bardzo się zmienił. Nie tylko spoważniał i stał się dziwnie tajemniczy, ale w stosunku do nas zachowywał się o wiele serdeczniej niż przedtem. Zaczęłam nawet podejrzewać, że poznał w Ameryce jakąś dziewczynę. W każdym razie miałam taką nadzieję. Było mi jednak niezręcznie poruszać ten temat, a Daniel o nikim w szczególności nie wspominał. Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby ożenił się z Amerykanką. Dotychczas rzadko przyprawdzał dziewczyny do domu. Zawsze był bardzo onieśmielony, gdy przedstawialiśmy go córkom naszych przyjaciół. A kiedy zjawiała się u nas Clarissa Wiltshire, co ostatnio zdarzało się często, gdyż bliźniacy wrócili na wakacje z Bristolu i pracowali na Chelsea Terrace pod numerem pierwszym, stawał się już wyjątkowo nieuchwytny.

W jakiś miesiąc po powrocie Daniela z Ameryki, Charlie powiedział mi, że pani Trentham wycofała swój sprzeciw na połączenie dwóch wieżowców w jedną całość. Skakałam z radości. A kiedy dodał, że zrezygnowała też z planów odbudowy kamienicy, nie chciałam mu uwierzyć i natychmiast zaczęłam wietrzyć w tym jakiś podstęp. Nawet Charlie'emu jej decyzja wydała się podejrzana.

- Nie mam pojęcia, co tym razem knuje - powiedział. Żadne z nas nie podzielało teorii Daphne, że pani Trentham na starość łagodnieje.

Dwa tygodnie później rada miejska potwierdziła, że wszystkie zastrzeżenia dotyczące naszego projektu zostały wycofane i że możemy przystąpić do rozpoczęcia budowy. Charlie tylko czekał na ten sygnał, żeby móc publicznie ogłosić naszą decyzję o założeniu spółki.

Zwołał posiedzenie zarządu w celu przyjęcia odpowiednich rezolucji.

Pan Merrick, któremu Charlie nie mógł wybaczyć tego, że go nakłonił do sprzedaży van Gogha, poradził nam, żebyśmy wyznaczyli firmę Robert Fleming na nasz bank akceptacyjny do czasu założenia przedsiębiorstwa. Bankier również dodał, że ma nadzieję, iż nowo powstała spółka nadal będzie korzystać z usług banku kliringowego Child and Company. Charlie najchętniej powiedziałby mi, żeby sobie poszedł do diabła, gdyby nie wiedział, że zmiana banku na kilka tygodni przed emisją akcji wywołałaby wielkie poruszenie w centrum finansowym Londynu. Zarząd spółki zaakceptował oba banki, a Tim Newman z banku Robert Fleming zajął przysługujące mu w nim miejsce. Tim reprezentował nowe pokolenie bankierów i wniósł do spółki świeży powiew. Oboje z Charlie'm natychmiast go polubiliśmy.

W miarę zbliżania się dnia przedstawienia oferty sprzedaży akcji, Charlie coraz więcej godzin spędzał z przedstawicielem banku akceptacyjnego. W tym czasie Tom Arnold doglądał planów budowy i przejął zarząd nad wszystkimi sklepami, oprócz numeru pierwszego, który nadal podlegał mnie.

Kilka miesięcy temu postanowiłam zorganizować wielką sprzedaż aukcyjną, której zapowiedź miała poprzedzić oświadczenie Charlie'ego o planowanym założeniu spółki. Byłam pewna, że kolekcja malarstwa włoskiego, której poświęciłam wiele czasu, rozśławi dom aukcyjny na Chelsea Terrace pod numerem pierwszym.

Zgromadzenie pięćdziesięciu dziewięciu płócien, które pochodziły z okresu między 1519 a 1768

rokiem, zajęło kierownikowi mojej ekipy ekspertów blisko dwa lata. Największą sensacją był obraz Canaletta "Bazylika Św. Marka". To cenne płótno odziedziczyła Daphne po swojej ciotce z Cumberland.

- Nie jest tak dobre - powiedziała nam w typowy dla siebie sposób - jak dwa inne, które posiada Percy w Lanarkshire. Niemniej spodziewam się, że uzyska przyzwoitą cenę. W przeciwnym razie, będę zmuszona korzystać w przyszłości z usług domu aukcyjnego Sotheby's - dodała z uśmiechem.

Oszacowaliśmy wartość płótna na trzydzieści tysięcy funtów.

Zwróciłam uwagę Daphne, że kwota jest dość pokaźna, zważywszy, że najwyższa cena, za jaką sprzedano obraz tego malarza osiągnęła trzydzieści osiem tysięcy funtów w domu aukcyjnym Christie's w ubiegłym roku.

W czasie gdy ja byłam w ferworze przygotowań do aukcji, Charlie spędzał większość czasu z Timem Newmanem. Odwiedzali razem różne instytucje, banki, spółki finansowe oraz prywatnych inwestorów i przekonywali ich, że powinni zainwestować pieniądze w "największy stragan świata".

Tim był optymistą co do wyników i przeczuwał, że po obliczeniu wartości ofert zakupu akcji, kapitał akcyjny spółki będzie subskrybowany. Pomimo tego uważał, że oboje z Charlie'm powinni pojechać do Nowego Jorku i zainteresować przedsięwzięciem amerykańskich inwestorów. Termin powrotu Charlie'ego z podróży do Stanów zaplanowano na kilka dni przed moją aukcją i na całe trzy tygodnie przed terminem zapisu na akcje spółki Trumper.

Był zimny majowy poranek i chociaż nie byłam w najlepszej formie, mogłabym przysiąc, że skądś znam klientkę, która stoi przy kontuarze pogrążona w rozmowie z jedną z naszych nowych pracownic. Denerwowało mnie to, że nie mogę przypomnieć sobie nazwiska tej damy w płaszczu o linii z lat trzydziestych, która sprawiała wrażenie, że ciężkie czasy zmuszają ją do wyprzedaży rodzinnej schedy.

Gdy wyszła z budynku, podeszłam do Cathy, która od niedawna pracowała w naszym domu aukcyjnym, żeby zapytać o godność owej damy.

- To była pani Bennett - odpowiedziała młoda dziewczyna. Nazwisko wydało mi się całkiem obce, wobec tego postanowiłam dowiedzieć się, czego chciała.

Cathy wręczyła mi mały obraz olejny, który przedstawiał Madonnę z Dzieciątkiem.

- Pani Bennett zwróciła się do mnie z pytaniem, czy to płótno będzie można sprzedać na naszej aukcji malarstwa włoskiego. A ponieważ nie umiała nic powiedzieć o jego pochodzeniu, zastanawiałam się, czy nie zostało skradzione. Zamierzałam właśnie naradzić się w tej sprawie z panem Lawsonem.

Spojrzałam uważnie na obraz i w jednej chwili wiedziałam, że przyniosła go najmłodsza siostra Charlie'ego.

- Proszę zostawić to mnie.

- Oczywiście, lady Trumper.

Wjechałam windą na najwyższe piętro i mijając Jessicę Allen weszłam od razu do biura Charlie'ego. Pokazałam mu obraz i prędko wyjaśniłam, w jaki sposób znalazł się w naszym posiadaniu.

Odsunął na bok dokumenty z biurka i w milczeniu przyglądał się przez długą chwilę płótnu.

- Jedno jest pewne - odezwał się w końcu. - Nigdy się nie dowiemy, skąd pochodzi ten obraz. Gdyby Kitty była skłonna to wyjawić, zwróciłaby się z tym bezpośrednio do mnie.

- Co z nim zrobimy?

- Zgodnie z jej zaleceniem wystawimy go na sprzedaż. Możesz być pewna, że nikt nie da za niego więcej niż ja.

- Jeżeli to kwestia pieniędzy, to przecież możemy zaproponować jej przyzwoitą cenę.

- Gdyby jej chodziło tylko o pieniądze, toby go przyniosła do mojego biura. Nie, ona chce mnie zobaczyć przed sobą na klęczkach.

- A jeśli ukradła ten obraz?

- Komu? A nawet jeśli to zrobiła, to i tak nic nas nie powstrzyma przed potwierdzeniem jego pochodzenia w naszym katalogu. Przecież wciąż jeszcze muszą znajdować się w policyjnych archiwach wszystkie szczegóły tej kradzieży.

- A jeśli dostała to płótno od Guya?

- Guy nie żyje - przypomniał mi Charlie.

Byłam uradowana, że aukcja cieszy się tak ogromnym zainteresowaniem dziennikarzy. Kolejnym dobrym znakiem była obecność wybitnych krytyków sztuki i kolekcjonerów w naszej głównej galerii, gdzie wystawiliśmy obrazy na tydzień przed licytacją.

W prasie zaczęły pojawiać się artykuły o mnie i o Charlie'm; początkowo w rubrykach poświęconych zagadnieniom finansowym, a potem na pierwszych stronach gazet. Nie ekscytowałam się sloganem "Triumfujący Trumperowie", jak zostaliśmy nazwani w jednym z dzienników. Tim Newman jednak wyjaśnił, że jeśli zależy nam na zgromadzeniu dużego kapitału, to nie powinniśmy bagatelizować roli, jaką odgrywa właściwe ukształtowanie opinii publicznej.

W miarę ukazywania się w prasie coraz to nowych publikacji, nasz młody doradca finansowy z każdym dniem nabierał coraz większego przekonania, że sprzedaż akcji zakończy się sukcesem.

Francis Lawson przez kilka tygodni opracowywał katalog aukcyjny. Pomagała mu w tym jego nowa współpracownica, Cathy Hoss. Razem zebrali szczegółowe informacje i opisali historię każdego płótna, przedstawiając poprzednich właścicieli i wymieniając wszystkie wystawy oraz galerie, na których było prezentowane, zanim trafiło na aukcję do domu aukcyjnego Trumper. Ku naszemu zaskoczeniu katalog, gdzie po raz pierwszy zamieszczono przedruki kolorowych zdjęć, spotkał się z prawdziwie entuzjastycznym przyjęciem. Jego edycja kosztowała nas majątek, ale dzięki wznowieniu nakładu w przeddzień aukcji i pięcioszylingowej cenie jednego egzemplarza, koszty bardzo szybko nam się zwróciły. Mogłam nawet poinformować zarząd na naszym comiesięcznym posiedzeniu, że kolejny dwukrotnie większy nakład, którego sprzedaż właśnie zakończyliśmy, przyniósł nam niewielki zysk.

- Może powinnaś zamknąć galerię i otworzyć wydawnictwo - zasugerował Charlie.

Nowa sala aukcyjna pod numerem pierwszym mieściła dwieście dwadzieścia osób i w przeszłości nigdy nie udało się nam zapełnić wszystkich miejsc. Teraz jednak, gdy zamówienia na bilety napływały z każdą pocztą, musieliśmy prędko dokonać selekcji i wybrać prawdziwych licytatorów spośród tłumu zwykłych gapiów.

Pomimo redukcji i okrojenia liczby uczestników co wymagało nieraz bezceremonialnego odprawienia z kwitkiem niektórych osób, okazało się, że i tak musimy przyjąć trzystu gości i zabezpieczyć dla nich tyle samo miejsc. Wśród chętnych znajdowało się wielu dziennikarzy, ale naszym największym sukcesem był telefon od kierownika artystycznego Trzeciego Programu z pytaniem, czy mogą nadawać relację z aukcji przez radio.

Charlie wrócił z Ameryki na dwa dni przed terminem sprzedaży obrazów. Podczas jednego z naszych przelotnych spotkań zdążył mi tylko powiedzieć, że podróż przyniosła bardzo zadowolające

rezultaty. Dodał też, że będzie towarzyszył Daphne w czasie aukcji.

- Nasz główny klient musi czuć się w pełni usatysfakcjonowany - powiedział. Nie przyznałam mu się, że zupełnie zapomniałam o zarezerwowaniu dla niego miejsca, ale Simon Matthews, który ostatnio awansował na mojego zastępcę, wcisnął kilka dodatkowych krzeseł do siódmego rzędu. Modlił się tylko, żeby wśród licytujących nie znaleźli się przedstawiciele straży pożarnej.

Za radą Tima Newmana, którego zdaniem należało wybrać porę gwarantującą maksymalną ilość publikacji w prasie krajowej następnego dnia, ustaliliśmy termin rozpoczęcia aukcji na godzinę trzecią po południu we wtorek.

Całą noc w przeddzień licytacji spędziliśmy z Simonem na nogach. Zdjęliśmy obrazy ze ścian i ułożyliśmy je w porządku, w jakim miały być nazajutrz sprzedawane. Następnie sprawdziliśmy oświetlenie sztalugi, na którą kolejno miały być wnoszone płótna i na koniec ustawiliśmy jak najbliżej siebie krzesła w sali aukcyjnej.

Cofnęliśmy też o kilka centymetrów podium, z którego Simon miał prowadzić licytację, i zdołaliśmy dostawić jeden dodatkowy rząd siedzeń. Ograniczyliśmy tym miejsce dla naszych pracowników pomagających w prowadzeniu licytacji, ale z pewnością rozwiązaliśmy wiele innych problemów.

Rano w dniu aukcji zrobiliśmy próbę generalną. Obsługa umieszczała obrazy na sztaludze i zdejmowała je zaraz, gdy tylko Simon uderzał młotkiem i wywoływał kolejny numer. W końcu przyszła kolej na pracę Canaletta. Wyszukana technika malarska i umiejętność wnikliwej obserwacji świadczyły niezbitnie o wielkości mistrza. Uśmiechnęłam się tylko, gdy chwilę później arcydzieło zostało zastąpione małym płótnem Charlie'ego, Madonny z Dzieciątkiem. Pomimo usilnych poszukiwań, Cathy Ross nie zdołała ustalić jego poprzednich właścicieli. Zmieniliśmy tylko ramę w obrazie i przypisaliśmy go w katalogu szesnastowiecznej szkole malarstwa.

Określiłam jego szacunkową wartość na dwieście gwinei, chociaż dobrze wiedziałam, że Charlie jest zdecydowany odkupić go za każdą cenę. Nie dawała mi spokoju myśl, gdzie Kitty mogła zdobyć to płótno, ale Charlie mnie uspokajał.

- Nie denerwuj się - powtarzał. Miał na głowie większe problemy niż ten, w jaki sposób jego siostrze udało się wejść w posiadanie podarunku od Tommy'ego.

We wtorek już kwadrans po drugiej niektóre miejsca były zajęte.

Dostrzegłam kilku poważnych kupców i właścicieli galerii, którzy musieli stać z tyłu, gdyż nie spodziewali się kompletu w domu akcyjnym Trumper.

Za kwadrans trzecia zostało już tylko kilka wolnych krzeseł.

Spóźnialscy tłoczyli się pod ścianami, a kilku z nich stanęło nawet w przejściach. Za pięć trzecia na salę wkroczyła Daphne, w pięknie skrojonym granatowym kostiumie, który widziałam w ostatnim numerze "Vogue". Z tyłu krok za nią szedł Charlie. Wyglądał na zmęczonego. Usiedli na końcu siódmego rzędu - ze względów sentymentalnych, jak wyjaśnił mój mąż. Daphne robiła wrażenie osoby opanowanej i w pełni z siebie zadowolonej, podczas gdy Charlie niecierpliwie wiercił się na krześle.

Punktualnie o trzeciej zajęłam miejsce przy podium. Simon wszedł po stopniach na górę i skierował się do wydzielonego dla prowadzącego licytację miejsca. Przez moment mierzył spojrzeniem tłum, żeby stwierdzić, gdzie siedzą główni kupcy, a potem kilkakrotnie uderzył młotkiem.

- Witam państwa w domu aukcyjnym Trumper na wspaniałej aukcji dzieł sztuki. - Umiejętnie

zaakcentował słowa "wspaniała aukcja". Gdy wywołał numer pierwszy, na sali zaległa cisza. Zajrzałam do katalogu, chociaż znałam na pamięć wszystkie szczegóły dotyczące pięćdziesięciu dziewięciu płócien. Była to pochodząca z 1617 roku podobizna świętego Franciszka z Asyżu, pędzla Giovanniego Battisty Crepi. Cena małego płótna olejnego zaznaczona była w naszym kodzie literami QIHH, kiedy więc Simon uderzył młotkiem na wysokości dwóch tysięcy dwustu funtów - siedemset funtów powyżej szacowanej przeze mnie wartości, uznałam to za dobry początek.

Z pięćdziesięciu dziewięciu wystawionych na sprzedaż prac, Canaletto miał być licytowany z numerem trzydziestym siódmym.

Chciałam, żeby atmosfera podniecenia wzrastała, zanim obraz znajdzie się na sztaludze. Dalsze zwlekanie z jego sprzedażą stwarzało z kolei ryzyko, że ludzie wcześniej zaczną opuszczać salę.

Przez pierwszą godzinę, do czasu wystawienia na licytację obrazu Canaletta, uzbieraliśmy już czterdzieści siedem tysięcy funtów. W końcu, gdy płótno na metr dwadzieścia szerokie znalazło się w blasku światła, jęk zachwytu wyrwał się tym spośród publiczności, którzy widzieli je po raz pierwszy.

- Obraz Canaletta "Bazylika Św. Marka", z roku 1741 - powiedział Simon, jak gdybyśmy przechowywali w suterenie sześć innych płócien tego malarza. Obraz wzbudził duże zainteresowanie. - Otwieram licytację kwotą dziesięciu tysięcy funtów. - Prześlizgnął się wzrokiem po zamarłej w ciszy sali, a ja ze swoimi pomocnikami wypatrywałam, z której strony padnie kolejna propozycja.

- Piętnaście tysięcy - rzekł Simon, patrząc w stronę przedstawiciela rządu włoskiego, który siedział w piątym rzędzie.

- Dwadzieścia tysięcy dla pana z tyłu sali. - Wiedziałam, że cenę podbił przedstawiciel galerii Mellon Collection. Zawsze zajmował miejsce w ostatnich rzędach, a sygnałem jego uczestnictwa w licytacji był papieros, który trzymał zapalony w ustach.

- Dwadzieścia pięć tysięcy funtów - powiedział Simon, ponownie zwracając się w stronę przedstawiciela rządu włoskiego.

- Trzydzieści tysięcy. - Znad papierosa uniósł się obłoczek dymu. Mellon nadal uczestniczył w wyścigu.

- Trzydzieści pięć tysięcy. - Dostrzegłam nowego licytującego, który zajmował miejsce po prawej stronie czwartego rzędu. Był nim pan Randall, dyrektor Galerii Wildenstein z Bond Street.

- Czterdzieści tysięcy - rzekł Simon, dostrzegając nowy kłęb dymu z tyłu sali. Przekroczyliśmy szacunkową cenę, jaką podałam Daphne, ale na jej twarzy nie malowały się żadne uczucia.

- Czy ktoś zaproponuje pięćdziesiąt tysięcy? - zapytał Simon.

Moim zdaniem, na tym etapie przeskok był o wiele za duży. Spojrzałam w stronę Simona i zauważyłam, że drży mu ręka.

- Pięćdziesiąt tysięcy - zapytał powtórnie, trochę zdenerwowany, gdy do licytacji włączył się nowy uczestnik, którego nie znałam.

Kolejne pyknięcie dymu.

30 - Prosto jak strzelił - Pięćdziesiąt pięć tysięcy.

- Sześćdziesiąt tysięcy - Simon ponownie skierował swoją uwagę w stronę nowego licytującego, który zdecydowanym ruchem głowy potwierdził udział w gonitwie.

- Sześćdziesiąt pięć tysięcy - przedstawiciel galerii Mellon wciąż wydmuchiwał kłęby dymu. Simon ponownie zwrócił się w stronę pierwszego rzędu, ale tym razem licytujący pokręcił przecząco

głową.

- Zostaje zatem sześćdziesiąt pięć tysięcy funtów, które zaproponował pan z tyłu sali. Czy ktoś da więcej? - Simon ponownie spojrzął w stronę pierwszego rzędu. - Wobec tego sprzedaję obraz Canaletta za sześćdziesiąt pięć tysięcy funtów po raz pierwszy, sześćdziesiąt pięć tysięcy po raz drugi i sześćdziesiąt pięć tysięcy po raz trzeci. - Uderzył młotkiem i odstawił obraz z głuchym łoskotem w niespełna dwie minuty od chwili zaproponowania ceny wyjściowej. Symbolami ZIHHS zaznaczyłam w swoim katalogu cenę sprzedaży, która na widowni wywołała spontaniczne okrzyki aplauzu - coś, co jeszcze nigdy nie miało miejsca na Chelsea Terrace pod numerem pierwszym.

Gdy na sali rozległ się gwar. Simon zwrócił się w moją stronę. - Wybacz mi mój błąd, Becky - powiedział cicho. Zrozumiałam, że przeskok z czterdziestu na pięćdziesiąt tysięcy funtów był spowodowany nadmiernym napięciem nerwów licytatora.

Widziałam już w myślach nagłówki jutrzejszych gazet "Rekordowa cena za obraz Canaletta w domu aukcyjnym Trumper". Wiedziałam, że Charlie będzie zadowolony.

- Zobaczmy, czy równie dobrze nam pójdzie z małym obrazem Charlie'ego - dodał z uśmiechem Simon, gdy Madonna z Dzieciątkiem zajęła miejsce na sztalugach, i ponownie zwrócił się w stronę widowni.

- Proszę o ciszę - powiedział. - Następne płótno, które figuruje w państwa katalogach z numerem 38, to obraz olejny szkoły malarstwa Bronzino. - Rozejrzał się po sali. - Cena wywoławcza sto pięćdziesiąt funtów - umilkł na moment. - Czy ktoś z państwa da sto siedemdziesiąt pięć funtów? - Daphne, którą, jak sądziłam, podstawił Charlie, podniosła rękę w górę. Zdusiłam w sobie śmiech. - Sto siedemdziesiąt pięć funtów. Czy da ktoś dwieście? - Simon rozejrzał się z nadzieją, ale nie znalazł odzewu. - Sto siedemdziesiąt pięć funtów po raz pierwszy, sto siedemdziesiąt pięć po raz drugi i sto siedemdziesiąt pięć...

Zanim zdążył uderzyć młotkiem, z końca sali poderwał się zwalisty mężczyzna z wąsem, o szpakowatych włosach, ubrany w tweedową marynarkę, kraciastą koszulę oraz żółty krawat, i zawołał:

- Obraz nie pochodzi ze szkoły malarstwa Bronzino, ale jest oryginalnym dziełem samego mistrza i został skradziony z kościoła Świętego Augusta w pobliżu Reims w czasie pierwszej wojny światowej.

Na sali rozpętało się prawdziwe piekło. Ludzie przenosili wzrok z mężczyzny w żółtym krawacie na mały olejny obraz. Simon uderzał bez przerwy młotkiem, ale nie zdołał uciszyć uczestników aukcji. Dziennikarze zapamiętale pisali coś w swoich notatnikach.

Spojrzałam w stronę Charlie'ego i Daphne. Pochylili głowy i gwałtownie naradzali się ze sobą.

Gdy wrzawa powoli ucichła, wszyscy utkwili wzrok w mężczyźnie, który zgłosił protest. Wciąż stał w tym samym miejscu.

- Jestem przekonany, że pan się myli, sir - oświadczył zdecydowanym tonem Simon. - Mogę pana zapewnić, że ten obraz jest znany naszej galerii od lat.

- A ja zapewniam pana, sir - odparł mężczyzna - że obraz został skradziony. I mogę to udowodnić, chociaż nie oskarżam o kradzież ostatniego właściciela. - Kilku widzów zajrzało natychmiast do katalogów, żeby sprawdzić, skąd pochodzi obraz. - Z prywatnej kolekcji sir Charlesa Trumpera-głosił śmiały napis na samej górze strony.

Podniósł się jeszcze większy gwar, a mężczyzna wciąż nie ruszał się z miejsca. Pochyliłam się do przodu i pociągnęłam Simona za nogawkę spodni. Zgiął się wpół, a ja powiedziałam mu na ucho,

jaką podjęłam decyzję. Uderzył kilkakrotnie młotkiem i w końcu publiczność zaczęła się uciszać. Spojrzałam na Charlie'ego, który był biały jak płótno, i na Daphne, która zachowała spokój i trzymała go za rękę. Czułam się dziwnie odosobniona w przekonaniu, że musi istnieć jakieś proste wyjaśnienie tajemnicy. Simon zdołał w końcu przywrócić porządek i zakomunikował.

- Zgodnie z otrzymanymi zaleceniami wstrzymuję sprzedaż tego płótna.

- Obraz numer 39 - dodał prędko, podczas gdy mężczyzna w tweedowej marynarce pośpiesznie opuszczał salę, odprowadzany wrzawą dziennikarzy.

Żaden z pozostałych dwudziestu jeden obrazów nie uzyskał już ceny minimalnej. W końcu Simon uderzył młotkiem po raz ostatni.

Chociaż pobiliśmy rekord, i żaden z domów nie osiągnął takiej kwoty ze sprzedaży malarstwa włoskiego, doskonale wiedziałam, że historia z obrazem ze szkoły Bronzino odbije się szerokim echem w jutrzejszej prasie. Spojrzałam na Charlie'ego. Najwyraźniej robił dobrą minę do złej gry. Odruchowo odnalazłam wzrokiem miejsce, które zajmował mężczyzna w brązowej tweedowej marynarce. Ale dopiero gdy sala zaczęła pustoszeć i ludzie zmierzali do drzwi, dostrzegłam starszą kobietę, która siedziała sztywno z tyłu, tuż za jego krzesłem. Pochyliła się do przodu i wspierając się na rączce parasolki, patrzyła wprost na mnie.

Gdy była całkiem pewna, że przechwyciłam jej spojrzenie, spokojnie wstała z miejsca i powoli skierowała się do wyjścia.

Następnego dnia w porannej prasie aż huczało. Pomimo tego, że oboje z Charlie'm nie składaliśmy żadnych oświadczeń, nasze zdjęcia znajdowały się na pierwszych stronach wszystkich gazet, z wyjątkiem dziennika "The Times", który dołączył jeszcze zdjęcie małego obrazu olejnego Madonny z Dzieciątkiem. O płótnie Canaletta nikt nie pamiętał.

Człowiek, który wystąpił z oskarżeniem, przepadł bez śladu i pewnie cała sprawa by ucichła, gdyby jego eminencja Pierre Guichot, biskup Reims, nie zgodził się udzielić wywiadu Freddie'emu Barkerowi, korespondentowi z "Daily Telegraph". Dziennikarz odkrył, że Guichot był księdzem w kościele, w którym kiedyś wisiał oryginalny obraz. Biskup potwierdził informację, że obraz faktycznie zginął w tajemniczych okolicznościach w czasie Wielkiej Wojny, a co ważniejsze, że on sam zgłosił kradzież do odpowiedniej sekcji w Lidze Narodów, która w ramach konwencji genewskiej odpowiadała za zwrot skradzionych dzieł sztuki prawowitym właścicielom po wygaśnięciu działań wojennych. Biskup oświadczył, że natychmiast rozpoznałby obraz, gdyby go kiedykolwiek ponownie zobaczył. Zapewnił Bakera, że barwy, technika malarska, spokój na twarzy Madonny i geniusz kompozycyjny Bronzino pozostaną do końca życia wyryte w jego pamięci. Dziennikarz przytoczył jego słowa jako dowód obciążający.

Korespondent z "Telegraph" zatelefonował do mojego biura tego samego dnia, kiedy ukazał się wywiad i poinformował mnie, że gazeta zamierza przywieźć na swój koszt duchownego, żeby mógł na miejscu obejrzeć obraz i bezspornie ustalić jego pochodzenie.

Adwokaci ostrzegli nas, że postąpimy nierozsądnie, utrudniając biskupowi przeprowadzenie ekspertyzy: nie udostępniając mu płótna potwierdzimy tylko, że mamy coś do ukrycia. Charlie zgodził się bez wahania.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby ten człowiek zobaczył obraz. Jestem przekonany, że jedyną rzeczą z którą Tommy wyszedł z kościoła, był hełm niemieckiego oficera - dodał.

Następnego dnia Tim Newman ostrzegł nas w swoim biurze, że jeśli biskup Reims zidentyfikuje obraz jako oryginał, założenie spółki akcyjnej Trumper będzie musiało zostać wstrzymane co

najmniej na rok, a dom aukcyjny może już nigdy nie podnieść się z upadku po takim skandalu.

W czwartek biskup Reims przyleciał do Londynu, witany przez licznie zgromadzonych fotoreporterów. Na lotnisku rozlegał się nieprzerwany trzask lamp błyskowych, dopóki jego ekscelencja nie odjechał do Westminsteru, gdzie zatrzymał się jako gość arcybiskupa.

Biskup zgodził się odwiedzić dom aukcyjny jeszcze tego samego dnia o czwartej po południu. Gapie utworzyli na Chelsea Terrace wielkie zbiegowisko i niecierpliwie czekali na przybycie duchownego.

Powitałam biskupa w drzwiach galerii i przedstawiłam mu Charlie'ego, który nisko się przed nim uklonił i pocałował pierścień. Biskup zdawał się być zaskoczony faktem, że Charlie jest wyznania rzymskokatolickiego. Uśmiechnęłam się nerwowo do gościa, którego twarz opromieniał wieczny blask i która, jak przypuszczałam, była zarumieniona bardziej od wina niż od słońca.

Szedł w swojej czerwonej sutannie korytarzem za Cathy, która prowadziła go do mojego biura, gdzie czekał na niego obraz.

Barker, reporter z "Daily Telegraph", przywitał się z Simonem w taki sposób, jak gdyby miał do czynienia z wyrzutkiem społeczeństwa. Nie zdobył się na żaden uprzejmy gest, gdy Simon usiłował nawiązać z nim rozmowę.

Biskup wszedł do małego biura i zgodził się wypić z nami filiżankę kawy. Obraz znajdował się już na sztalugach. Był w swojej dawnej czarnej ramce, w którą przy pomocy Charlie'ego ponownie go oprawiłam. Wszyscy siedzieliśmy wokół stołu, a duchowny w milczeniu przyglądał się Dziewicy Maryi.

- Vous permettez? - zapytał, wyciągając rękę w stronę sztalug.

- Oczywiście - odparłam, podając płótno.

Obserwowałam jego oczy. Odniosłam wrażenie, że Charlie, który jeszcze nigdy nie był tak zdenerwowany, interesuje go w nie mniejszym stopniu jak obraz. Potem spojrzał w stronę Barkera, którego wzrok płonął nadzieją. I dopiero wtedy skierował całą swoją uwagę na dzieło. Uśmiechnął się i znieruchomiał, jak gdyby widok Madonny sparaliżował go.

- I co? - zapytał reporter.

- Jest przepiękny. To prawdziwa inspiracja dla niewierzących.

Baker odpowiedział uśmiechem i zanotował te słowa.

- Wie pan - dodał duchowny - ten obraz budzi we mnie wiele wspomnień. - Zawahał się na moment. Myślałam, że zemdleję, gdy oświadczył: - Niestety, muszę pana poinformować, panie Baker, że to nie oryginał, a tylko kopia tak dobrze znanego mi obrazu Madonny.

Dziennikarz przestał pisać.

- Kopia?

- Tak, je le regrette. Doskonała kopia, peut-etre malowana przez jakiegoś młodego ucznia wielkiego mistrza, niemniej jednak to tylko imitacja.

Baker nie potrafił ukryć rozczarowania. Odłożył na stół notatnik i wydawało się, że chce zaprotestować.

Biskup wstał i skłonił głowę w moim kierunku.

- Bardzo mi przykro z powodu kłopotów, jakie spotkały panią w związku z tym obrazem, lady Trumper.

Podniosłam się również i odprowadziłam go do drzwi. Ponownie stanął przed zgromadzonymi przedstawicielami prasy. Dziennikarze umilkli na jego widok, w oczekiwaniu na rewelacyjne

oświadczenie. Przez chwilę wydawało mi się, że sytuacja bawi naszego gościa.

- Czy to oryginał, biskupie? - krzyknął ktoś z tłumu reporterów.

Uśmiechnął się łagodnie.

To rzeczywiście portret Błogosławionej Dziewicy, ale ten egzemplarz jest tylko kopią, która nie ma wielkiej wartości. - Do tego oświadczenia nie dodał już ani słowa więcej, tylko wsiadł do samochodu, który natychmiast odjechał.

- Co za ulga - powiedziałam, gdy pojazd zniknął już z pola widzenia. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na Charlie'ego, ale nie było go przy mnie. Pośpiesznie wróciłam do biura. Stał, trzymając obraz w dłoniach. Zamknęłam za sobą drzwi, żebyśmy mogli swobodnie porozmawiać.

- Co za ulga - powtórzyłam. - Teraz wszystko wróci do normy.

- Chyba już wiesz, że to prawdziwy Bronzino? - zapytał Charlie, patrząc mi prosto w oczy.

- Nie wygłupiaj się - rzekłam. - Biskup...

- Czy widziałas, w jaki sposób trzymał obraz? - rzekł Charlie. - Nikt z takim pietyzmem nie dotyka imitacji. A potem obserwowałem jego oczy w chwili, kiedy podejmował decyzję.

- Decyzję?

- Tak. Czy ma zrujnować nasze życie w zamian za swoją umiłowaną Madonnę.

- A więc mieliśmy arcydzieło, nawet o tym nie wiedząc?

- Na to wygląda, ale nadal nie jestem pewien, kto zabrał obraz z kaplicy.

- Na pewno nie Guy...

- Dlaczego nie. Z pewnością lepiej umiał go ocenić niż Tommy.

- Ale w jaki sposób Guy mógł odkryć jego prawdziwą wartość?

- Jakies znalezione zapiski; a może na trop naprowadziła go przypadkowa rozmowa z Daphne.

- Ale to jeszcze nie wyjaśnia, skąd wiedział, że to oryginał.

- To prawda - rzekł Charlie. - Przypuszczam, że do końca nie zdawał sobie z tego sprawy. Obraz miał być tylko kolejnym pretekstem skompromitowania mnie.

- W jaki sposób to się mogło roznieść?

- Pani Trentham miała wiele lat, żeby natknąć się...

- A co na miłość boską, ma z tym wspólnego Kitty?

- Była tylko narzędziem w ręku pani Trentham.

- Czy ta kobieta nie cofnie się przed niczym, żeby nas zniszczyć?

- Obawiam się, że nie. Nie będzie zachwycona, kiedy odkryje, że jej najlepszy plan spalił na panewce.

Opadłam na krzesło obok męża. - Co teraz zrobimy?

Charlie delikatnie trzymał w dłoniach małe arcydzieło, jak gdyby się obawiał, że mu je ktoś wyrwie.

- Możemy zrobić tylko jedno.

Wieczorem tego samego dnia podjechałam pod dom arcybiskupa i zaparkowałam samochód przy wejściu dla dostawców. Charlie cicho zapukał do dębowych drzwi. Otworzył nam duchowny. Bez słowa wpuścił nas do środka i zaprowadził do arcybiskupa, który popijał właśnie wino w towarzystwie swojego gościa z Reims.

- Sir Charles i lady Trumperowie - zaanonsował duchowny.

- Witajcie, dzieci - powiedział arcybiskup i podszedł do nas, żeby się przywitać. - Jaka miła niespodzianka - dodał, gdy Charlie pocałował go w pierścień. - Co was sprowadza do mojego

domu?

- Mamy drobny upominek dla biskupa - wyjaśniłam i wręczyłam jego ekscelencji małą paczkę. Biskup uśmiechnął się tak samo jak w chwili, gdy oświadczał, że obraz jest kopią. Powoli rozpakował zawiniątko, niczym dziecko, które wie, że bez okazji otrzymuje prezent. Przez chwilę trzymał w dłoniach arcydzieło, zanim podał je do obejrzenia arcybiskupowi.

- Jest naprawdę wspaniałe - przyznał arcybiskup, uważnie przyjrzał się płótnu i oddał je biskupowi. - Gdzie będzie wisiało?

- Uważam, że najwłaściwsze będzie miejsce powyżej krzyża w kaplicy Św. Augusta - odparł duchowny z Reims. - Kto wie, może kiedyś ktoś bardziej wykształcony ode mnie w dziedzinie sztuki uzna ten obraz za oryginał? - Podniósł wzrok i uśmiechał się zbyt figlarnie jak na biskupa.

- Czy zechcecie państwo towarzyszyć nam przy kolacji? - zwrócił się do nas arcybiskup.

Podziękowałam za miłe zaproszenie, wymamrotałam coś na temat wcześniej zaplanowanych spotkań, a potem oboje ukłoniliśmy się i życząc im dobrej nocy, cicho wycofaliśmy się tą samą drogą, którą przyszliśmy.

Gdy zamknęły się za nami drzwi, usłyszałam głos arcybiskupa. - Wygrałeś zakład, Pierre.

ROZDZIAŁ 36

- Dwadzieścia tysięcy funtów? - zapytała Becky, przystając przed numerem sto czterdziestym pierwszym na Chelsea Terrace.
- Chyba pan żartuje?
- Takiej ceny żąda agent - wyjaśnił Tim Newman.
- Ależ ten sklep jest najwyżej wart trzy tysiące - stwierdził Charlie, spoglądając na jedyny budynek, który poza kamienicą Trenthamów nie był jego własnością. - Przecież podpisałem umowę z panem Sneddlesem, że gdy...
- Umowa nie dotyczy kupna książek - rzekł bankier.
- My wcale nie chcemy książek - oświadczyła Becky i dopiero wtedy zauważyła, że wejście do lokalu zabezpiecza ciężki łańcuch i rygiel.
- Umowa z panem Sneddlesem nie dojdzie do skutku i nie będzie mógł pan zająć sklepu, dopóki zostanie w nim bodaj jedyna nie sprzedana książka.
- Jaka jest wartość książek?
- W typowy dla siebie sposób pan Sneddles zaznaczył ołówkiem cenę na każdym egzemplarzu - rzekł Tim Newman. - Jego kolega, doktor Halcombe, powiedział mi, że łączna cena książek opiewa na blisko pięć tysięcy funtów, z wyjątkiem...
- A więc je kupmy - rzekł Charlie. - Znając Sneddlesa, na pewno zaniżył ich wartość. Becky będzie mogła sprzedać na aukcji cały zbiór w ciągu roku. W ten sposób nasz deficyt nie przekroczy tysiąca funtów.
- Z wyjątkiem pierwszego wydania wierszy Blake'a Pieśni niewinności - dodał Newman. - Są oprawione w skórę i oszacowane w inwentarzu Sneddlesa na piętnaście tysięcy funtów.
- Piętnaście tysięcy funtów, teraz gdy się muszę liczyć z każdym pensem? Komu przyszło do głowy, że...?
- Komuś, kto wie, że nie będzie mógł pan rozpocząć budowy, dopóki nie kupi pan tego właśnie sklepu - zasugerował Newman.
- Ale w jaki sposób zdołała...?
- Blake został pierwotnie zakupiony w księgarni Heywood Hill na Curzon Street za królewską cenę czterech funtów i dziesięciu szylingów. Przypuszczam, że dedykacja rozwiązuje połowę tajemnicy.
- Dedykacja Ethel Trentham, ręczę za to - rzekł Charlie.
- Niezupełnie. O ile sobie dokładnie przypominam, słowa na czystej kartce przed stroną tytułową brzmią następująco: "Od kochającego wnuka, Guya. 9 lipiec 1917 roku."

Charlie i Becky nie mogli przez chwilę oderwać wzroku od Tima Newmana.

- Co pan rozumie przez połowę tajemnicy? - zapytał w końcu Charlie.

- Podejrzewam jeszcze, że pani Trentham też potrzebne są pieniądze - odparł bankier.

- Na co? - zapytała z niedowierzaniem Becky.

- Na zakup większych udziałów w spółce Trumper.

19 lipca 1948 roku, dwa tygodnie po powrocie biskupa do Reims, oficjalnie podano do prasy wiadomość o zapisie na akcje firmy Trumper. Informacja ukazała się równocześnie z ogłoszeniem reklamowym na całą stronę w "The Time" i w "Financial Times".

Becky i Charlie mogli teraz tylko siedzieć i czekać na reakcję ze strony społeczeństwa. W ciągu trzech dni od pojawienia się ogłoszenia popyt na akcje przekroczył planowaną kwotę subskrypcji, a w ciągu tygodnia bank akceptacyjny otrzymał podwójną ilość ofert w stosunku do zapotrzebowania. Po przeliczeniu ofert, Charlie'emu i Timowi pozostał teraz tylko problem: jak rozdzielić udziały.

Obaj zgodzili się co do tego, że najpierw trzeba wziąć pod uwagę instytucje, które ubiegają się o największą ilość akcji. Chcieli w ten sposób ułatwić zarządowi spółki, w wypadku pojawienia się jakiegoś problemu w przyszłości, dostęp do akcjonariuszy, którzy skupiają w swoich rękach ponad połowę udziałów.

Jedyna oferta która zdziwiła Tima Newmana, pochodziła od Hambros. Bank nie podał wyjaśnienia, dlaczego ubiega się o zakup stu tysięcy akcji, które mu dadzą kontrolę aż nad dziesięcioma procentami udziałów spółki. Jednakże Tim poradził prezesowi, żeby zaakceptował ofertę w całości i zaproponował przedstawicielowi banku miejsce w zarządzie. Charlie obiecał wyrazić zgodę, jeśli Hambros potwierdzi, że oferta nie pochodzi od pani Trentham ani od żadnego z jej pełnomocników. Dwie następne instytucje ubiegały się o pięć procent udziałów: Prudential Assurance, firma ubezpieczeniowa, która obsługiwała spółkę od samego początku, i Źródła United States, które, jak odkryła Becky, były fasadą rodzinnego trustu Field. Charlie chętnie przyjął obie oferty. Pozostałe akcje zostały rozdzielone pomiędzy tysiąc siedmiuset zwykłych inwestorów, łącznie ze stoma akcjami stanowiącymi minimalną ilość dopuszczoną do obrotu, które nabyła stara emerytka z Chelsea. Pani Symonds napisała do Charlie'ego kilka słów, przypominając mu, że była już jego klientką w czasach, gdy otwierał swój pierwszy sklep.

Tim Newman uważał, że Charlie, po dokonaniu przydziału akcji, powinien przystąpić do wyznaczenia członków przyszłego zarządu.

Bank Hambros wysunął kandydaturę pana Baverstocka, głównego partnera w firmie adwokackiej Baverstock, Dickens i Cobb, którego Charlie bez zastrzeżeń zaakceptował. Becky zaproponowała Simona Matthews, który zawsze kierował domem aukcyjnym podczas jej nieobecności. I w tym wypadku Charlie wyraził zgodę, ostatecznie ustalając, że zarząd spółki będzie się składał z dziewięciu osób.

Becky dowiedziała się od Daphne, że lokal na Eaton Square 17 jest wystawiony na sprzedaż. Gdy tylko Charlie obejrzał posesję z ośmioma sypialniami, natychmiast wiedział, że właśnie tu chce spędzić resztę swojego życia. Nie przyszło mu nawet do głowy, że ktoś będzie musiał się zająć przeprowadzką, gdy on zaabsorbowany jest budową. Becky z pewnością narzekałaby na jego decyzję, gdyby sama nie zapalała miłością do nowego miejsca.

Kilka miesięcy później wydała przyjęcie na otwarcie domu przy Eaton Square. Na kolację zaproszono ponad stu gości, którzy byli podejmowani w pięciu pokojach.

Daphne spóźniła się i narzekała na korek uliczny, w którym utknęła w drodze ze Sloane Square,

tymczasem pułkownik, choć przybył aż ze Skye, nie powiedział ani słowa. Na przyjęcie przyjechał też Daniel z Cambridge w towarzystwie Marjorie Carpenter. A ku zdziwieniu Becky, Simon Matthews przyprowadził ze sobą Cathy Ross.

Po kolacji Daphne wygłosiła krótką mowę i podarowała Charlie'emu wykonaną ręcznie ze srebra kasetę na cygara w formie modelu "Wieżowców Trumpera".

Becky uznała prezent za udany, ponieważ po wyjściu gości Charles zaniósł kasetę na górę do sypialni i postawił ją na swojej szafce nocnej.

Położył się do łóżka, a w chwili gdy Becky wychodziła z łazienki, ostatni raz rzucił okiem na swoją nową zabawkę.

- Czy bierzesz pod uwagę kandydaturę Percy'ego na honorowego członka zarządu? - zapytała Becky, kładąc się do łóżka.

Charlie popatrzył na nią sceptycznym wzrokiem.

- Udziałowcy pewnie będą chcieli, żeby markiz figurował na papierze firmowym ich spółki. Poczują się przez to bardziej pewni siebie - dodała.

- Jesteś potworną snobką, Rebeko Salmon. Zawsze byłaś i taka już pozostaniesz do końca życia.

- Nie miałaś nic przeciwko temu, gdy dwadzieścia pięć lat temu zaproponowałam, żeby pierwszym prezesem był pułkownik.

- To prawda - zgodził się Charlie. - Nie sądzę jednak, żeby Percy na to przystał. Gdybym zdecydował się już na kogoś z zewnątrz, wolałbym Daphne. Mielibyśmy w ten sposób i nazwisko, i osobę ze specyficznym poczuciem zdrowego rozsądku.

- Że też wcześniej o tym nie pomyślałam.

Gdy Becky przedstawiła Daphne propozycję udziału w zarządzie spółki w charakterze honorowego członka, markiza była oszołomiona i bez namysłu przyjęła zaproszenie. Ku zaskoczeniu wszystkich odniosła się do swoich nowych obowiązków z ogromną energią i entuzjazmem. Nigdy nie opuściła posiedzenia zarządu, zawsze uważnie czytała dokumenty, a gdy tylko uznała, że Charlie niewyczerpująco omówił któryś z punktów porządku dziennego, albo co gorsza próbował coś przemilczeć, nie dawała za wygraną, dopóki nie uzyskiwała od niego zadowalających wyjaśnień.

- Czy zmieści się pan w kosztach budowy firmy Trumper, które zostały przedstawione w ofercie założenia spółki, panie prezesie? - pytała wielokrotnie w ciągu następnych dwóch lat.

- Nie jestem pewien, czy miałaś dobry pomysł z wyborem Daphne na honorowego członka zarządu spółki - narzekał Charlie do Becky po jednym ze szczególnie burzliwych posiedzeń, podczas którego markiza znowu przypuściła na niego druzgocący atak.

- Nie mam z tym nic wspólnego - odparła Becky. - Mnie zadowolili by Percy, ale uważałaś, że mam snobistyczne upodobania.

Blisko dwa lata trwała budowa dwóch bliźniaczych wieżowców i łączącego ich pasażu z pięciopiętrowym biurowcem nad pustą działką pani Trentham. Zadanie było o tyle trudniejsze, że Charlie prowadził sprzedaż w pozostałych sklepach, jak gdyby wokół nic się nie działo. Dla wszystkich zainteresowanych pozostało nie wyjaśnioną tajemnicą, w jaki sposób spółka Trumper zdołała w okresie rozbudowy stracić tylko dziesięć procent rocznego zysku.

Charlie sam wszystko nadzorował - od odpowiednich foteli w stu osiemnastu działkach po kolory dwudziestu siedmiu akrów wykładziny dywanowej, od szybkości dwunastu wind po moc stu tysięcy żarówek, od dziewięćdziesięciu sześciu witryn sklepowych po uniformy ponad siedmiuset pracowników, z których każdy miał wpięty w klapę mały srebrny emblemat straganu.

Gdy Charlie zdał sobie sprawę z ogromnego zapotrzebowania na powierzchnię magazynów, nie wspominając już o urządzeniach związanych z obsługą podziemnego parkingu, który był teraz niezbędny, gdy tak wielu klientów miało własne samochody, zrozumiał, że koszty znacznie przekroczą budżet. Przedsiębiorstwo budowlane zdołało jednak zakończyć prace do 1 września 1949 roku, głównie dzięki temu, że Charlie zjawiał się codziennie na budowie o czwartej trzydzieści i często nie wracał do domu przed północą.

18 października 1949 roku markiza Wiltshire w towarzystwie męża dokonała uroczystego otwarcia nowego obiektu.

Tysiąc ludzi wzniosło toast, gdy Daphne ogłosiła ten fakt. Zgromadzeni goście ochoczo pili za pomyślność i przyszłoroczne zyski spółki, lecz Charlie zdawał się niczego nie dostrzegać. Szczęśliwy biegał z piętra na piętro, sprawdzając, czy wszystko przebiega dokładnie tak, jak sobie zaplanował, i dbając o to, żeby główni klienci czuli się należycie uhonorowani.

Przyjaciele, krewni, akcjonariusze, kupcy, sprzedawcy, dziennikarze i zwykli gapie bez zaproszenia ucztowali na wszystkich piętrach. O pierwszej Becky była już tak zmęczona, że postanowiła odszukać męża. Miała nadzieję, że uda się jej nakłonić go do powrotu do domu. W dziale kuchennym zastała syna. Oglądał lodówkę, która by się nie zmieściła w jego pokoju w Trinity. Daniel powiedział matce, że Charlie wyszedł z budynku jakieś pół godziny temu.

- Wyszedł z budynku? - zapytała z niedowierzaniem Becky. - Na pewno twój ojciec nie poszedłby beze mnie do domu. - Zjechała windą na parter i prędko skierowała się w stronę wyjścia. Portier ją pozdrowił i otworzył skrzydło masywnych podwójnych drzwi, które wychodziły na Chelsea Terrace.

- Czy nie widział pan przypadkiem sir Charlesa? - zwróciła się do niego Becky.

- Widziałem, lady Trumper - rzekł portier i wskazał na drugi koniec ulicy.

Becky spojrzała w tamtym kierunku. Zauważyła Charlie'ego, który siedział na ławce w towarzystwie starego człowieka. Przyjaźnie gawędzili, patrząc na nową budowlę. Starszy pan coś pokazywał, a Charlie się uśmiechał. Becky prędko przeszła przez ulicę, ale pułkownik dostrzegł ją wcześniej, zanim zdążyła do nich podejść.

- Tak się cieszę, że cię widzę, moja droga - powiedział i nachylił się, żeby pocałować ją w policzek. - Jaka szkoda, że Elizabeth nie dożyła tej chwili.

- Z tego, co zrozumiałem, żądają od nas okupu - stwierdził Charlie. - Najwyższy czas, żebyśmy przegłosowali tę sprawę, - Becky rozejrzała się wokół stołu. Zastanawiała się, jaki przebieg będzie miało głosowanie. Od trzech miesięcy, to jest od czasu, gdy spółka Trumper otworzyła swoje podwoje, zarząd pracował w komplecie. Ale dopiero teraz pojawiła się pierwsza kwestia sporna i panowała prawdziwa rozbieżność poglądów.

Charlie siedział u szczytu stołu i wydawał się niezwykle zirytowany na myśl, że może nie postawić na swoim. Na prawo od niego zajmowała miejsce sekretarka zarządu, Jessica Allen. Nie miała prawa głosu. Była tu po to, żeby wiernie zarejestrować przebieg głosowania, bez względu na jego wynik. Arthur Selwyn, który pracował z Charlie'm podczas wojny w Ministerstwie Apropowizacji, zrezygnował ostatnio ze służby państwowej i zastąpił na stanowisku dyrektora generalnego Toma Arnolda, który odszedł na emeryturę.

Wybór okazał się ze wszech miar słuszny. Selwyn był przebiegły, dokładny i gdy tylko to było możliwe, pohamowywał prezesa, zapobiegając konfliktem.

Tim Newman, młody finansista spółki z banku akceptacyjnego, był towarzyski, przyjacielski i

prawie zawsze popierał Charlie'ego.

Co nie znaczy, że uchylał się od prezentowania przeciwnych poglądów, ilekroć uznał, że narażone są na szwank finanse spółki. Paul Merrick nie był ani towarzyski, ani przyjacielski. Nieustannie wszystkim dawał jasno do zrozumienia, że na pierwszym miejscu stawia lojalność wobec banku Child's i jego inwestycji. Co do Daphne, to głosowała w sposób, jakiego nikt nie potrafił przewidzieć, i z pewnością nie była poplecznikiem ani Charlie'ego, ani nikogo innego. Pan Baverstock, cichy, starszy prawnik, który reprezentował dziesięć procent kapitału spółki w imieniu banku Hambros, odzywał się rzadko, ale gdy zabierał głos, słuchali go wszyscy, nie wyłączając Daphne.

Ned Denning i Bob Makins służyli Charlie'emu od blisko trzydziestu lat i nigdy nie występowali przeciwko woli prezesa, podczas gdy Simon Matthews często okazywał przebłycki niezależnego myślenia, co tylko utwierdzało Becky w wysokiej o nim opinii.

- Strajk to ostatnia rzecz, jaka jest nam w tym momencie potrzebna - powiedział Merrick. - Właśnie teraz, kiedy by się już mogło wydawać, że przetrzymaliśmy kryzys.

- Żądania związków zawodowych są po prostu oburzające - rzekł Tim Newman. - Dziesięcioszylingowa podwyżka, czterdziestoczworogodzinny tydzień pracy, którego przekroczenie automatycznie pociąga za sobą godziny nadliczbowe... to jest, powtarzam, oburzające.

- Większość innych głównych domów handlowych zaakceptowała ich warunki - wtrącił się Merrick, zaglądając do artykułu w "Financial Times", który miał rozłożony przed sobą.

- Jestem zmuszony ostrzec zarząd - ponownie zabrał głos Newman - że spowoduje to wzrost funduszu płac do dwudziestu tysięcy funtów w bieżącym roku, nie licząc godzin nadliczbowych. W dłuższym okresie czasu ucierpi na podwyżkach tylko jedna grupa ludzi: nasi akcjonariusze.

- Ile obecnie zarabia sprzedawca? - zapytał cicho pan Baverstock.

- Dwieście sześćdziesiąt funtów rocznie - odparł Arthur Selwyn, nie zaglądając do notatek. - Wzrost zarobków przy wysłudze piętnastu lat ukształtuje płacę na poziomie aż czterystu dziesięciu funtów.

- Rozmawialiśmy już o tych cyfrach niezliczoną ilość razy - powiedział ostrym tonem Charlie. - Nadszedł czas, żeby postanowić, czy twardo będziemy obstawać przy swoim, czy też ustąpimy związkowcom.

- Może nadmiernie ulegamy emocjom, panie prezesie-odezwała się po raz pierwszy tego dnia Daphne. - Wszystko dla pana jest tylko białe albo czarne.

- Czy widzi pani jakieś alternatywne rozwiązanie? - Charlie nie próbował ukryć niedowierzania.

- Być może, panie prezesie. Najpierw zastanówmy się jednak, czym ryzykujemy w wypadku podwyżki płac. Niewątpliwie obciążeniem finansów, nie mówiąc już o niebezpieczeństwie utraty "twarzy", jak określają to Japończycy. Z drugiej strony, jeśli nie zaakceptujemy żądań związkowców, to zarówno gorsza jak i lepsza część naszych załóg może przejść do konkurencji.

- Co wobec tego pani proponuje, lady Wiltshire? - zapytał Charlie, który zawsze tytułował Daphne, ilekroć chciał zademonstrować, że nie podziela jej poglądów.

- Na przykład kompromis - odpowiedziała spokojnie Daphne, nie dając się sprowokować. - Jeśli zdaniem pana Selwyna jest on jeszcze na tym etapie w ogóle możliwy. Niewykluczone, że związki będą chciały rozważyć alternatywną propozycję podwyżek płac i długości tygodnia pracy, z którą ich zapozna nasz dyrektor generalny.

- W każdej chwili jestem gotów porozmawiać z Donem Shortem, przewodniczącym związków,

jeśli zarząd wyrazi takie życzenie - oświadczył Arthur Selwyn. - Uważam, że jest skromnym i prawomyślnym człowiekiem, a w przeszłości zawsze był lojalny wobec firmy Trumper.

- Naczelny dyrektor pertraktujący osobiście z przedstawicielem związków? - prychnął Charlie. - Wkrótce będziecie go chcieli widzieć w zarządzie.

Wobec tego niech pan Selwyn porozmawia z nim nieoficjalnie - zaproponowała Daphne. - Jestem przekonana, że tak wytrawny praktyk, jakim jest nasz dyrektor naczelny, doskonale sobie poradzi z panem Shortem.

- Zgadza się z lady Wiltshire - odezwał się pan Baverstock.

- Proponuję, żebyśmy pozwolili panu Selwynowi prowadzić negocjacje w naszym imieniu - mówiła dalej Daphne. - Miejmy nadzieję, że znajdzie jakiś sposób na to, żeby zapobiec strajkowi generalnemu, nie ustępując przy tym we wszystkim związkowcom.

- Chętnie spróbuję - rzekł Selwyn. - Złożę raport w tej sprawie na najbliższym posiedzeniu zarządu.

Raz jeszcze Becky podziwiała Daphne i Selwyna za sposób, w jaki rozbroili bombę zegarową, która za przyzwoleniem prezesa niechybnie eksplodowałaby przy stole obrad.

- Dziękuję, Arthurze - powiedział Charlie z lekką urazą. - Niech i tak będzie. Czy są jeszcze jakieś sprawy?

- Tak - zabrała głos Becky. - Chciałabym zwrócić uwagę zarządu na sprzedaż sreber georgiańskich, która odbędzie się za miesiąc.

Katalogi zostaną rozesłane w przyszłym tygodniu i mam nadzieję, że członkowie zarządu znajdą trochę czasu w tym dniu, żeby w niej uczestniczyć.

- Jakie wyniki przyniosła ubiegła sprzedaż antyków? - zapytał pan Baverstock.

Becky zajrzała do dokumentów. - Łączny obrót aukcji wyniósł dwadzieścia cztery tysiące siedemset funtów. Dom aukcyjny Trumper pobiera siedem i pół procenta prowizji od wartości wszystkich przedmiotów, które idą pod młotek. Ostatnio tylko trzy pozycje nie uzyskały ceny minimalnej i zostały zwrócone właścicielom.

- Powodzenie aukcji interesuje mnie tylko dlatego - wyznał pan Baverstock - że moja żona kupiła na niej kredens królewski z epoki Karola II.

- To najpiękniejszy mebel, jaki został wtedy sprzedany - przyznała Becky.

- Niewątpliwie moja żona też była tego zdania, ponieważ wylicytowała znacznie wyższą cenę, niż zamierzała. Będę bardzo wdzięczny, jeśli tym razem nie wyśle pani do niej katalogu ze srebrami.

Członkowie zarządu wybuchnęli śmiechem.

31-Prosto jak strzelił - Czytałem gdzieś - zauważył Tim Newman - że dom aukcyjny Sotheby's bierze dziesięć procent prowizji.

- Wiem o tym - powiedziała Becky. - I właśnie dlatego co najmniej przez rok nie mogę myśleć o zrobieniu tego samego kroku. Jeśli chcę przejąć ich klientów, muszę oferować bardziej konkurencyjne warunki.

Tim ze zrozumieniem skinął głową.

- Jednakże - mówiła dalej Becky - przy utrzymaniu prowizji na poziomie siedmiu i pół procenta, moje zyski w 1950 roku nie będą tak wysokie, jak bym sobie życzyła. Problem tak długo pozostanie aktualny, dopóki nie przyciągnę do naszego domu aukcyjnego głównych sprzedawców.

- A dlaczego nie kupców? - zapytał pan Merrick.

- Z nimi nie ma problemu. Zawsze będą się dobijali do drzwi, widząc atrakcyjny towar. Widzi

pan, to sprzedawcy są krwioobiegami domu aukcyjnego. W każdym calu są równie ważni jak kupcy.

- Zabawną instytucją kierujesz - stwierdził Charlie, uśmiechając się od ucha do ucha. - Czy są jeszcze jakieś sprawy?

Gdy nikt się nie odezwał, Charles podziękował wszystkim obecnym i wstał z miejsca, sygnalizując tym w typowy dla siebie sposób, że posiedzenie zarządu zostało skończone.

Becky pozbierała dokumenty i wyszła w towarzystwie Simonsa, kierując się do galerii.

- Czy uporaliście się już z wyceną sreber? - zapytała, gdy w ostatniej chwili przed zamknięciem drzwi wskoczyli do windy. Nacisnęła literę "P" i winda powoli zaczęła zjeżdżać na parter.

- Tak. Wczoraj wieczorem. Zostaną wystawione na sprzedaż sto trzydzieści dwa przedmioty. Sądzę, że możemy za nie uzyskać łączną kwotę siedmiu tysięcy funtów.

- Rano obejrzałam katalog - powiedziała Becky. - Wygląda na to, że Cathy znowu spisała się na medal. Wychwyciłam tylko jeden albo dwa drobne błędy. Chciałabym jednak sprawdzić odbitkę szczotkową, zanim pójdzie do druku.

- Oczywiście - rzekł Simon. - Każę jej po południu przynieść do pani biura wszystkie przygotowane do druku arkusze. - Wyszli z windy.

- Cathy okazała się prawdziwym skarbem. Jeden Bóg raczy wiedzieć, dlaczego pracowała w hotelu, zanim przysłała do nas.

Będzie mi jej bardzo brakowało, gdy wróci do Australii.

- Plotki głoszą, że zastanawia się, czy nie zostać.

- To dobra wiadomość - ucieszyła się Becky. - Sądziłam, że zamierza spędzić w Londynie tylko kilka lat przed powrotem do Melbourne.

- Takie miała początkowo plany. Myślę jednak, że zdołam ją przekonać, żeby została trochę dłużej.

Becky poprosiłaby Simona o bardziej szczegółowe wyjaśnienia, ale gdy tylko znalazła się w galerii, otoczyli ją pracownicy, pilnie zabiegając o uwagę.

Gdy omówiła wszystkie sprawy, zapytała jedną z pracownic, czy nie wie, gdzie jest Cathy.

- Wyszła jakieś pół godziny temu, lady Trumper - odpowiedziała dziewczyna.

- Dokąd poszła?

- Nie mam pojęcia. Bardzo mi przykro.

- Proszę jej powiedzieć, żeby natychmiast do mnie zajrzała, gdy wróci. A tymczasem proszę mi przysłać odbitkę szczotkową katalogu sreber.

Becky kilkakrotnie zatrzymywała się w drodze do swojego biura, rozmawiając o różnych problemach, które pojawiły się w czasie jej nieobecności. Gdy w końcu dotarła do gabinetu, na biurku czekał już na nią próbny wydruk katalogu. Powoli przewracała strony, sprawdzając każde hasło i porównując je z zamieszczonym zdjęciem, a potem ze szczegółowym opisem. Podzielała opinię Simona - Cathy pierwszorzędnie wykonała swoją pracę. Przyglądała się właśnie z uwagą zdjęciu georgiańskiego dzbanuszką na musztardę, który Charlie kupił kilka lat temu w domu aukcyjnym Christie's, gdy rozległo się pukanie i do pokoju zajrzała młoda kobieta.

- Chciała się pani ze mną widzieć?

- Tak. Wejdz, Cathy. - Becky podniosła wzrok na wysoką, szczupłą dziewczynę z bujną czupryną kręconych blond włosów i twarzą, z której nie zniknęły jeszcze wszystkie piegi. Pomyślała ze smutkiem, że kiedyś miała równie dobrą figurę, ale lustro w łazience bez skrępowań przypominało jej, że szybko zbliża się do pięćdziesiątki. - Chciałam tylko sprawdzić próbną odbitkę katalogu

sreber, zanim trafi do druku.

- Przepraszam, że nie zastała mnie pani po powrocie z posiedzenia zarządu - rzekła Cathy - ale zaniepokoiła mnie pewna sprawa.

Może jestem przewrażliwiona, czuję jednak, że powinnam pani o niej powiedzieć.

Becky zdjęła okulary, odłożyła je na biurko i z uwagą spojrzała na Cathy.

- Słucham.

- Czy pamięta pani tego człowieka, który wstał podczas aukcji włoskiego malarstwa i narobił nam tyle kłopotów w związku z obrazem Bronzino?

- Jak mogłabym o nim zapomnieć?

- Otóż był dzisiaj rano w galerii.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie. Dobrze zbudowany mężczyzna z wąsem, o szpakowatych włosach i ziemistej cerze. Miał nawet czelność przyjść w tej samej tweedowej marynarce i w żółtym krawacie.

- Czego chciał tym razem?

- Nie jestem pewna, chociaż nie spuszczałam go z oka. Nie rozmawiał z nikim z personelu, ale bardzo interesował się srebrnymi przedmiotami wystawionymi na aukcję, a szczególnie partii towarów oznaczoną numerem dwiętnastym.

Becky ponownie założyła okulary, prędko przerzuciła kartki katalogu i znalazła wspomnianą pozycję. "Georgiański zestaw do herbaty, w skład którego wchodzi cztery przedmioty: filiżanka cukiernica, imbryczek i szczypeczki do cukru, wszystkie ostemplowane znakiem probierczym z kotwicą". Becky spojrzała na wydrukowane na marginesie litery A H.

- Szacunkowa wartość siedemdziesiąt funtów. To jedna z naszych lepszych pozycji.

- Najwidoczniej też był tego zdania - stwierdziła Cathy - gdyż spędził dużo czasu, wnikliwie badając każdą sztukę. Zanim wyszedł, porobił notatki. Porównywał nawet filiżankę ze zdjęciem które ze sobą przyniósł.

- Z naszym zdjęciem?

- Nie, miał swoje własne.

Becky sięgnęła po fotografię w katalogu.

- Nie było mnie w galerii, gdy wróciła pani z posiedzenia zarządu, ponieważ postanowiłam go śledzić.

Szybko podejmujesz decyzje - przyznała Becky, uśmiechając się. - Gdzie zniknął nasz tajemniczy człowiek?

- Poszedł na Chester Square - rzekła Cathy. - Zatrzymał się przed dużym domem po prawej stronie i wrzucił przesyłkę do skrzynki na listy, ale nie wszedł do środka.

- Pod numerem 19?

- Tak - odpowiedziała zdziwiona Cathy. - Czy zna pani ten dom?

- Tylko z zewnątrz - rzekła Becky, nie udzielając dalszych wyjaśnień.

- Czy mogłabym jeszcze w czymś pomóc?

- Tak. Wiesz, kto przyniósł te przedmioty na sprzedaż?

- Ależ oczywiście - odparła Cathy. - Przywołano mnie, żebym obsłużyła tę klientkę. - Zamilkła na moment i zaraz dodała: - Nie przypominam sobie jej nazwiska. To była dystygowana, starsza pani. Sądzę, że tak ją mogę opisać. - Cathy zawahała się i po chwili mówiła dalej: - Z tego, co pamiętam, przyjechała na jeden dzień z Nottingham. Powiedziała mi, że ten komplet to pamiątka po matce.

Nie wyprzedawałaby rodzinnej schedy, gdyby nie "sroga bieda".

Zapamiętałam to wyrażenie, ponieważ nigdy przedtem go nie słyszałam.

- Jaka była opinia pana Fellowesa na temat tego kompletu?

- Uznał go za równie doskonały przykład epoki georgiańskiej, jak wszystkie inne, które miały pójść pod młotek. Powiedział, że każda sztuka jest w idealnym stanie. Peter był przekonany, że ta partia towaru powinna osiągnąć wysoką cenę, o czym może świadczyć oszacowana przez niego wartość zestawu.

- Wobec tego natychmiast dzwońmy na policję - zdecydowała Becky. - Nie możemy dopuścić, żeby ten tajemniczy jegomość znowu wstał i publicznie oświadczył, że sprzedajemy kradzione srebra.

Becky podniosła słuchawkę i poprosiła o połączenie ze Scotland Yardem. Chwilę później na linii zgłosił się inspektor Deakins z Urzędu Śledczego, który uważnie wysłuchał wszystkich szczegółów w związku z przedpołudniowym wydarzeniem i zgodził się przyjść po południu do galerii.

Przybył tuż po trzeciej w towarzystwie sierżanta. Becky od razu zaprowadziła go do szefa działu. Peter Fellowes usuwał niewielkie zadrapanie na srebrnej tacy. Becky zmarszczyła brwi. Natychmiast przerwał pracę i podszedł do środkowego stołu, gdzie stał przyniesiony z wystawy czteroelementowy zestaw do herbaty.

- Piękny - przyznał inspektor, pochylając się nad nim i sprawdzając stempel probierczy. - Pochodzi, jak sądzę, z Birmingham, z około 1820 roku.

Becky uniosła ze zdziwienia brwi w górę.

- To moje hobby - wyjaśnił inspektor. - Prawdopodobnie właśnie dlatego zlecają mi wszystkie tego typu sprawy. - Wyjął kartotekę z aktówki, którą przyniósł ze sobą, i prędko przejrzał kilka zdjęć ze szczegółowymi opisami użytkowych sreber, jakie ostatnio zginęły na terenie Londynu. Godzinę później musiał zgodzić się z opinią Fellowesa, że żadne z nich nie odpowiada opisowi georgiańskiego zestawu do herbaty.

- W naszych raportach o kradzieży nie mamy nic na temat tej partii towaru - oświadczył. - Wypolerowaliście je tak pięknie - zwrócił się do Cathy - że nie ma nadziei na odciski palców.

- Przepraszam - zarumieniła się lekko Cathy.

- Ależ nie ma za co. To nie pani wina. Wspaniale wykonała pani swoją robotę. Chciałbym, żeby moje srebra tak pięknie się błyszczały. Dowiem się jeszcze, czy na policji w Nottingham nie mają czegoś w swoich raportach. A potem roześlę na wszelki wypadek opis zestawu do wszystkich posterunków Zjednoczonego Królestwa. Zwrócę się również do nich z prośbą, żeby sprawdzili panią...

- Dawson - powiedziała Cathy.

- Tak. Panią Dawson. To może oczywiście trochę potrwać, ale przyjadę natychmiast, gdy tylko się czegoś dowiem.

- Aukcja ma się odbyć za trzy tygodnie, licząc od najbliższego wtorku - poinformowała inspektora Becky.

- Dobrze. Spróbuję do tej pory odwołać alarm - obiecał.

- Czy mamy usunąć z katalogu stronę z zestawem? - zapytała Cathy.

- Nie. Lepiej, żeby katalog pozostał w nie zmienionym stanie.

Może ktoś rozpozna komplet i skontaktuje się z nami.

Ktoś już go rozpoznał, pomyślała Becky.

- A skoro o tym mowa - przypomniał sobie inspektor - będę wdzięczny, jeśli otrzymam kopię

katalogowych zdjęć, a także na dzień lub dwa ich negatywy.

Kiedy Charlie dowiedział się podczas kolacji o georgiańskim zestawie do herbaty, udzielił Becky prostej rady: wycofać go ze sprzedaży i awansować Cathy.

- To nie takie proste, zwłaszcza co do pierwszej sugestii - zauważyła Becky. - Jeszcze w tym tygodniu trzeba rozesłać katalogi do klientów. A co powiemy pani Dawson, zwracając jej rodzinny spadek, który przekazała jej droga matka?

- Że zestaw wcale nie należał do jej drogiej matki i masz wszelkie podstawy, aby sądzić, że został skradziony.

- Jeśli to zrobimy, możemy zostać pozwani do sądu o niedotrzymanie umowy - rzekła Becky. - Może okazać się, że pani Dawson jest zupełnie niewinna, i że wszystkie nasze oskarżenia były bezpodstawne. Jeśli wtedy poda nas do sądu, nic nie będziemy mieli na swoją obronę.

- Jeżeli ta pani Dawson jest tak niewinna, jak sądzisz, to skąd się wzięło u pani Trentham nagle zainteresowanie jej kompletem?

Nie mogę oprzeć się przekonaniu, że na pewno ma swój własny.

Becky roześmiała się.

- Oczywiście, że ma. Nawet go widziałam, chociaż nigdy nie zostałam zaproszona na obiecaną filiżankę herbaty.

Trzy dni później inspektor Deakins zatelefonował do Becky i powiadomił ją, że policja w Nottingham nie zarejestrowała w swoim okręgu kradzieży przedmiotów, które by odpowiadały opisowi powyższego zestawu. Otrzymał też potwierdzenie, że pani Dawson nie była u nich notowana. W związku z tym wszędzie rozesłał szczegółowy opis sreber.

- Jednakże - dodał - siły policyjne na prowincji nie kwapią się zbytnio do współpracy ze Scotland Yardem i niechętnie wymieniają z nami informacje.

Becky odłożyła słuchawkę i pomimo obaw Charlie'ego, postanowiła dać katalogowi zielone światło. Jeszcze tego samego dnia rozesłała go razem z zaproszeniami do prasy oraz do wybranych klientów.

O bilety na aukcję ubiegała się para dziennikarzy. Przewrażliwiona Becky sprawdziła ich tożsamość, ale stwierdziła tylko, że oboje pracują dla prasy krajowej i wielokrotnie w przeszłości pisali sprawozdania z organizowanej przez dom aukcyjny Trumper sprzedaży dzieł sztuki.

Simon Matthews uważał, że Becky wyolbrzymia niebezpieczeństwo, podczas gdy Cathy zgadzała się z opinią Charlesa, że do czasu kiedy Deakins nie odwoła alarmu, najrozsądniejszym rozwiązaniem jest wycofanie zestawu z aukcji.

- Jeśli za każdym razem, kiedy ten człowiek zainteresuje się jakąś partią towaru, będziemy ją wycofywać ze sprzedaży, to równie dobrze możemy zamknąć dom aukcyjny na cztery spusty i zająć się astrologią.

W przeddzień aukcji do Becky zatelefonował inspektor Deakins i poprosił ją o niezwłoczne spotkanie. Pół godziny później przyjechał na Chelsea Terrace, tak jak poprzednio w towarzystwie sierżanta. Tym razem wyjął z aktówki tylko gazetę "Evening Express", wydaną w Aberdeen 15 października 1949 roku.

Poprosił o pozwolenie ponownego obejrzenia georgiańskiego zestawu do herbaty. Becky skinęła głową, wyrażając zgodę, i policjant dokładnie porównał każdą sztukę srebra ze zdjęciem umieszczonym na jednej ze środkowych stron gazety.

Cathy i Peter Fellowes również dokonywali wnikliwych porównań i w końcu potwierdzili opinię

Deakinsa, że były to te same przedmioty.

- Zostały skradzione trzy miesiące temu z Muzeum Sreber w Aberdeen - poinformował ich inspektor. - A tamtejsi policjanci nie zadali sobie trudu, żeby nas o tym poinformować. Pewnie sądzili, że to nie nasz interes.

- Co będzie dalej? - zapytała Becky.

- Funkcjonariusze z Nottingham zdążyli już złożyć wizytę pani Dawson, u której w domu znaleźli pochowane w różnych miejscach inne użytkowe przedmioty ze srebra oraz biżuterię. Kobieta została odprowadzona na posterunek, żeby, jak ujęliby to dziennikarze, pomóc policji w prowadzeniu dochodzenia. - Schował z powrotem gazetę do aktówki. - Przypuszczam, że gdy zatelefonuję do nich i potwierdzę wiadomość o kradzieży, zostanie jeszcze dzisiaj postawiona w stan oskarżenia. Niestety, będę musiał zabrać ze sobą do Scotland Yardu srebrny zestaw, który posłuży za dowód w toczącym się śledztwie.

- Oczywiście - zgodziła się Becky.

- Sierżant wypisze pani potwierdzenie odbioru, lady Trumper. I dziękuję za współpracę. - Inspektor zatrzymał się, patrząc pożądlwym wzrokiem na srebra. - Wartość miesięcznej pensji - westchnął. - A do tego zostały skradzione w innych celach, niż te, którym miały służyć. - Uchylił kapelusza i obaj policjanci wyszli z galerii.

- Co teraz? - zapytała Cathy.

- Niewiele możemy zrobić - przyznała niechętnie Becky. - Przeprowadzimy aukcję, jak gdyby nic się nie stało, a kiedy przyjdzie kolej na tę szczególną partię, powiemy po prostu, że została wycofana ze sprzedaży.

- A wtedy znowu wyskoczy nasz znajomy."Czy to nie kolejny przykład reklamowania skradzionych przedmiotów?" - zapyta. Zaczniemy bardziej przypominać lombard niż dom aukcyjny - powiedział Simon podniesionym ze złości głosem. - Zawieśmy trzy dzwonki nad frontowymi drzwiami i założmy ogrodzenie, żeby już nikt nie miał wątpliwości, jakiej klasy klientelę chcemy przyciągać.

Becky nie zareagowała.

- Zamiast się denerwować, postaraj się odwrócić ten epizod na naszą korzyść, Simonie - poradziła Cathy.

- Co masz na myśli? - zapytała Becky i oboje z Simonem ze zdziwieniem spojrzeli na młodą Australijkę.

- Tym razem musimy mieć prasę po swojej stronie.

- Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz - przyznał Simon.

- Zatelefonuj do tego dziennikarza z "Telegraph", Bakera, o ile pamiętam, i wprowadź go w sprawę.

- Co nam z tego przyjdzie? - zdziwiła się Becky.

- Tym razem pozna naszą wersję wydarzeń. Będzie bardzo zadowolony, że jest jedynym dziennikarzem wtajemniczonym w całą historię, szczególnie po fiasku z obrazem Bronzino.

- Sądzisz, że zainteresuje go komplet sreber o wartości siedemdziesięciu funtów?

- Oczywiście. Szczególnie, jeśli zagwarantujemy mu wyłączność dostępu do informacji. Poza tym, sprawa dotyczy kradzieży w szkockim muzeum i zamieszana jest w nią kobieta zawodowo trudniąca się paserstwem, która została aresztowana w Nottingham.

- Czy nie zechciałabyś sama porozmawiać z panem Bakerem, Cathy? - zapytała Becky.

- Jeśli zostaną do tego upoważniona...

Następnego dnia rano na trzeciej stronie gazety "Daily Telegraph" został zamieszczony niewielki, ale ważny artykuł. Informował, że dom aukcyjny dzieł sztuki Trumper zawiadomił policję o swoich podejrzeniach co do nielegalnego pochodzenia georgiańskiego zestawu do herbaty, który, jak się później okazało, został skradziony z Muzeum Sreber w Aberdeen. Policja w Nottingham aresztowała pewną kobietę i oskarżyła ją o paserstwo. W dalszej części artykułu została przytoczona wypowiedź inspektora Deakinsa ze Scotland Yardu, której udzielił reporterowi gazety: "Życzylibyśmy sobie tylko, żeby wszystkie galerie w Londynie były tak sumienne jak dom aukcyjny Trumper".

Frekwencja na popołudniowej aukcji była duża i pomimo straty jednej cennej pozycji, udało się uzyskać w wielu wypadkach cenę wyższą od szacowanej. Mężczyzna w tweedowej marynarce i w żółtym krawacie nie pokazał się.

Charlie przeczytał wieczorem w łóżku "Telegraph"

- A więc nie posłuchałaś mojej rady? - zauważył.

- I tak, i nie - odparła Becky. - Przyznaję, że nie od razu wycofałam zestaw do herbaty, ale za to natychmiast awansowałam Cathy.

ROZDZIAŁ 37

9 listopada 1950 roku odbyło się drugie doroczne walne zgromadzenie akcjonariuszy spółki Trumper.

Przed spotkaniem z akcjonariuszami członkowie zarządu zebrali się o dziesiątej w sali posiedzeń i Arthur Selwyn dokładnie zapoznał ich z procedurą obrad.

Punktualnie o jedenastej wprowadził ich w parach z prezesem na czele do głównego hallu jak uczniów na poranny apel.

Charlie przedstawił wszystkich ośmiu członków zarządu zgromadzeniu, które liczyło sto dwadzieścia osób. Tim Newman szepnął na ucho Becky, że frekwencja jest wyjątkowo duża. Prezes omówił porządek dzienny obrad, radząc sobie bez pomocy dyrektora naczelnego. Zadano mu tylko jedno kłopotliwe pytanie:

- Dlaczego tak znacznie został przekroczony budżet w pierwszym roku działalności spółki?

Głos zabrał Arthur Selwyn i wyjaśnił, że koszty budowy przekroczyły wstępne szacunki w związku ze wzrostem cen materiałów budowlanych, a uruchomienie przedsiębiorstwa wymagało dużego jednorazowego nakładu, który w przyszłości już nie będzie obciążał budżetu firmy. Podkreślił też, że w kategoriach wyników handlowych spółka już w pierwszym kwartale drugiego roku obrachunkowego zaczęła przynosić zyski. Dodał, że jest pewny zadowolających wyników w nadchodzącym roku, szczególnie w związku z przewidywanym wzrostem liczby turystów, którzy przybędą do Londynu na Brytyjski Festiwal. Jednocześnie uprzedził udziałowców, że dla zapewnienia im wyższych dywidend w przyszłości, spółka będzie zmuszona zgromadzić większy kapitał.

Gdy w końcu Charlie zamknął walne zgromadzenie, był bardzo zaskoczony, słysząc owację, z jaką akcjonariusze podziękowali zarządowi za pracę.

Becky zamierzała wrócić do galerii, by kontynuować przygotowania do aukcji malarstwa impresjonistycznego, którą zaplanowano na wiosnę, gdy podszedł do niej pan Baverstock i delikatnie wziął ją za łokieć.

- Czy mógłbym zamienić z panią słowo na osobności, lady Trumper?

- Oczywiście, panie Baverstock - powiedziała Becky i rozejrzała się za jakimś spokojnym miejscem, w którym mogliby swobodnie porozmawiać.

- Sądzę, że moje biuro na High Holborn byłoby bardziej odpowiednie - zasugerował prawnik. - To delikatna sprawa. Czy odpowiada pani termin jutro o godzinie trzeciej?

Tego samego dnia do Becky zatelefonował Daniel z Cambridge.

Miał jej do przekazania mnóstwo wiadomości. Tymczasem ona była w wyjątkowo milczącym

nastroju. Zachodziła w głowę, w jakiej "delikatnej sprawie" może chcieć się z nią widzieć główny partner kancelarii adwokackiej Baverstock, Dickens i Cobb.

Nie sądziła, żeby żona pana Baverstocka chciała zwrócić kredens Karola II, albo żeby pragnęła poznać więcej szczegółów w związku ze zbliżającą się aukcją malarstwa impresjonistycznego. A ponieważ w przypadku Becky niepokój brał zawsze górę nad optymizmem, spędziła następne dwadzieścia cztery godziny pełna najgorszych przeczuc.

Nie podzieliła się z Charlesem swoimi problemami. Chociaż wiedziała niewiele, zachowanie pana Baverstocka nie pozostawiło wątpliwości, że gdyby sprawa dotyczyła również jej męża, prawnik zwróciłby się do nich obojga z prośbą o spotkanie. Poza tym, Charles miał dostatecznie dużo własnych kłopotów. Nie chciała dodatkowo obarczać go swoimi.

Nie mogła przełknąć obiadu i stawiała się w biurze adwokata kilka minut po wyznaczonej godzinie. Została od razu wprowadzona do gabinetu.

Kolega z zarządu powitał ją ciepłym uśmiechem, jak gdyby była daleką krewną i należała do jego licznej rodziny. Wskazał jej miejsce naprzeciwko siebie, po drugiej stronie olbrzymiego mahoniowego biurka.

Becky oceniała wiek pana Baverstocka na pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt lat. Miał okrągłą, przyjazną twarz, a kilka przerzedzonych siwych kosmyków, zaczesywał starannie na boki z przedziałkiem pośrodku głowy. Jego ciemna marynarka, kamizelka, szare spodnie w prążki i czarny krawat mogły być strojem każdego prawnika, który prowadził praktykę adwokacką w obrębie czterech metrów kwadratowych tego budynku. Usiadł z powrotem na krześle, założył okulary i zaczął przeglądać plik rozłożonych przed sobą dokumentów.

- Lady Trumper - zaczął. - To bardzo miło z pani strony, że zechciała się pani ze mną spotkać. - W czasie ich dwuletniej znajomości nigdy nie zwrócił się do niej po imieniu. - Powiem wprost - kontynuował. - Jednym z moich klientów był zmarły sir Raymond Hardcastle. - Becky wydało się zastanawiające, że nie wspomniał o tym nigdy przedtem, i już chciała wyrazić swoje oburzenie, kiedy prawnik prędko dodał. - Śpieszę panią poinformować, że pani Ethel Trentham nigdy nie była i nie będzie moją klientką.

Becky przyjęła to oświadczenie z nie ukrywaną ulgą.

- Muszę również panią powiadomić, że miałem zaszczyt służyć panu Raymondowi przez ponad trzydzieści lat i byłem uważany przez niego nie tylko za doradcę prawnego, ale, zwłaszcza u schyłku jego życia, za bliskiego przyjaciela. Gdy usłyszysz pani wszystko, co mam do powiedzenia, lady Trumper, zrozumie pani, że te informacje mają związek ze sprawą.

Becky skinęła głową, niecierpliwie czekając, żeby pan Baverstock dotarł do sedna.

- Sir Raymond na kilka lat przed śmiercią sporządził testament - mówił prawnik. - Dochód ze swojego kapitału, który notabene ogromnie wzrósł od tamtej pory dzięki rozważnym inwestycjom dokonywanym w jego imieniu, podzielił między córki: starszą, pannę Amy Hardcastle, i młodszą, jak pewnie pani się domyśla, panią Ethel Trentham. Dochód z jego kapitału był na tyle duży, że zapewniał im ten poziom egzystencji, do jakiego przywykły za jego życia, a nawet nieporównywalnie wyższy. Jednakże...

Becky zaczynała już wątpić, czy pan Baverstock poruszy kiedyś meritum sprawy.

- Sir Raymond w swojej mądrości postanowił pozostawić nienaruszony kapitał założycielski firmy, którą powołał do życia jego ojciec, a którą on sam z takim powodzeniem rozbudował. Zdecydował się też połączyć z jednym ze swoich największych konkurentów.

Widzi pani, lady Trumper, sir Raymond czuł, że żadnemu z członków własnej rodziny nie może powierzyć funkcji prezesa Hardcastle. Ani jego córki, ani wnukowie, o czym miałbym obecnie nawet więcej do powiedzenia, nie nadawali się do zarządzania przedsiębiorstwem.

Prawnik zdjął okulary, przetarł je chustką, którą wyjął z kieszeni marynarki, krytycznie przyjrzał się szklom i wrócił do sprawy.

- Sir Raymond nie miał złudzeń, co do swoich najbliższych krewnych. Jego starsza córka, panna Amy, była delikatną, skromną damą, która dzielnie opiekowała się ojcem w czasie ostatnich lat jego życia. Po śmierci sir Raymonda wyprowadziła się z rodzinnego domu do małego hotelu na wybrzeżu, w którym zmarła w ubiegłym roku.

Młodsza córka, Ethel Trentham - kontynuował, pozwoli pani, że ujmę to najdelikatniej, jak potrafię, zdaniem sir Raymonda straciła poczucie rzeczywistości i nie uznawała związków z przeszłością.

Wiem, że starszy pan bardzo żałował, że nie ma syna. Dlatego gdy urodził się Guy, sir Raymond z nim wiązał wszystkie nadzieje. Od samego początku rozpieszczał wnuka. A potem czuł się winny za jego upadek. Nie popełnił już tego błędu, kiedy urodził się Nigel - dziecko, które nigdy nie okazało mu ani uczucia, ani szacunku.

Nasza kancelaria miała za zadanie informować sir Raymonda o wszystkim, co dotyczyło najbliższych członków jego rodziny. Dlatego gdy kapitan Trentham niespodziewanie wystąpił z wojska w 1922 roku, zwrócono się do nas z prośbą o zbadanie rzeczywistych przyczyn opuszczenia przez niego pułku. Sir Raymond nie zadowolili się historią opowiadaną przez córkę o spółce syna z australijskim pośrednikiem sprzedaży bydła. Mój klient był szczerze zaniepokojony i zastanawiał się nawet, czy nie wysłać mnie na tamten kontynent, żebym odkrył prawdę. A potem Guy umarł.

Becky siedziała na krześle i myślała o tym, że gdyby pan Baverstock był płytą, zwiększyłaby do maksimum obroty gramofonu. Ale doszła do wniosku, że cokolwiek by powiedziała, to i tak nie zdołałaby zmienić ścieżki, którą sam sobie wytyczył.

- Wyniki dochodzenia - mówił dalej pan Baverstock - utwierdziły nas w przekonaniu, proszę wybaczyć mi niedelikatność, że to Guy Trentham, a nie Charles Trumper, jest ojcem pani syna.

Becky pochyliła głowę i pan Baverstock jeszcze raz ją przeprosił, zanim znowu podjął temat.

- Sir Raymond chciał mieć pewność, że Daniel jest jego wnukiem i dlatego dwukrotnie odwiedził szkołę St Paul's, gdy chłopiec otrzymał w niej stypendium.

Becky patrzyła na adwokata ze zdumieniem.

- Za pierwszym razem przyszedł obejrzeć występ chłopca na szkolnym koncercie Brahmsa, o ile dobrze pamiętam, a po raz drugi widział Daniela podczas uroczystości wręczenia mu Nagrody Newtona z matematyki w dniu patrona szkoły. Przypuszczam, że pani również była tam wtedy obecna. Podczas obu wizyt sir Raymond schodził mu z drogi i pilnował się, żeby chłopiec nie zauważył jego obecności. Po drugiej wizycie starszy pan nie miał już najmniejszej wątpliwości, że Daniel jest jego wnukiem. Obawiam się, że wszyscy mężczyźni w rodzinie Hardcastle mają wysuniętą szczękę i w chwilach poruszenia przestępują z nogi na nogę. Następnego dnia sir Raymond sporządził ten oto testament.

Prawnik podniósł z biurka dokument przewiązany różową wstążką. Powoli rozwiązał kokardę.

- Zostałem poinstruowany, żeby przeczytać pani związane ze sprawą postanowienia testamentu w momencie, który uznam za odpowiedni, jednak nie wcześniej, jak po ukończeniu przez Daniela trzydziestego roku życia. A jego urodziny wypadają za miesiąc, jeśli się nie mylę?

Becky skinęła głową.

Baverstock przyjął do wiadomości jej potwierdzenie i powoli zaczął rozwijać sztywne arkusze pergaminu.

- Wyjaśniłem już pani wstępne punkty testamentu dotyczące dyspozycji majątkowych sir Raymonda. Dodam tylko, że po śmierci panny Amy, Ethel Trentham ma wyłączny udział w dochodach trustu, które obecnie wynoszą około czterdziestu tysięcy funtów rocznie. Nic mi nie wiadomo o istnieniu odrębnego postanowienia sir Raymonda na rzecz jego starszego wnuka. Zresztą teraz, kiedy pan Guy Trentham nie żyje, i tak to nie ma już znaczenia. Mój klient dokonał natomiast niewielkiego zapisu na rzecz swojego drugiego wnuka, pana Nigela Trenthama. - Umilkł. - A teraz pozwoli pani, że zacytuję dokładne słowa sir Raymonda - spojrzał w testament Odchrząknął i zaczął czytać: „Po wywiązaniu się z wszystkich powyższych zobowiązań i po uregulowaniu wszystkich rachunków cały mój pozostały majątek zapisuję panu Danielowi Trumperowi, zamieszkałemu w Trinity College, Cambridge. Majątek stanie się w całości własnością Daniela Trumpera po śmierci jego babki, pani Ethel Trentham”.

Teraz, kiedy prawnik dotarł w końcu do sedna, Becky milczała, oszołomiona wiadomościami. Pan Baverstock przerwał na moment monolog, sądząc, że będzie chciała go o coś zapytać. Becky jednak nie odzywała się, przypuszczając, że jeszcze nie powiedział jej wszystkiego. Adwokat ponownie utkwiał wzrok w dokumencie.

- W tym miejscu chciałbym dodać, że jestem świadomy wielu, krzywd, podobnie jak był sir Raymond, jakich doznała pani ze strony jego córki i wnuka. Muszę też panią poinformować, że choć majątek, który odziedziczy pani syn, jest pokaźny, to nie obejmuje farmy w Ashurst przy Berkshire ani domu na Chester Square. Obie nieruchomości stały się wyłączną własnością pani Trentham po śmierci jej męża. Legat pani syna, co, jak sędzę, ma dla pani większe znaczenie, nie dotyczy też wolnego placu w centrum Chelsea Terrace, który nie należał do majątku sir Raymonda. Poza tym wszystko, czym mój klient zarządzał, stanie się w końcu własnością Daniela Trumpera, ale, jak już wyjaśniałem, dopiero gdy umrze pani Trentham.

- Czy ona o tym wie?

- Tak. Została zaznajomiona z postanowieniami testamentu swojego ojca niedługo przed jego śmiercią. Sir Raymond przyznał się jej nawet, że niektóre punkty zostały dopisane po jego wizycie w szkole St. Paul's.

- Czy podjęła jakieś kroki prawne?

- Nie, wręcz przeciwnie. Nagle i, muszę wyznać, całkiem niespodziewanie, poleciła swoim prawnikom wycofać wszelkie zastrzeżenia. Ale bez względu na to, jakimi kierowała się motywami, sir Raymond wyraźnie sobie zastrzegł, że jego kapitał nie może być zarządzany przez żadną z córek. Ten przywilej pozostawił swojemu następcy.

Pan Baverstock umilkł i oparł się dłońmi o biurko.

A więc w końcu będę musiała mu powiedzieć - mruknęła pod nosem Becky.

- Obawiam się, że to będzie konieczne, lady Trumper. Moim celem było szczegółowe poinformowanie pani o wszystkim. Sir Raymond nie był pewien, czy wyjawiliście Danielowi prawdę o ojcu.

- Nie, nigdy mu o tym nie powiedzieliśmy.

Baverstock zdjął okulary i położył je na biurku.

- Nie ma pośpiechu, moja droga. Proszę mnie tylko zawiadomić, gdy już będę mógł skontaktować

się z pani synem, żeby mu donieść o uśmiechu fortuny.

- Dziękuję panu. - Becky czuła, że jej słowa są nie na miejscu.

- Na koniec chciałbym pani powiedzieć - rzekł Baverstock - że sir Raymond żywił ogromny podziw dla pani męża, oraz dla państwa wspólnych osiągnięć. Wyrazem tego jest zlecenie, które zostawił tej kancelarii, że jeśli firma Trumper kiedykolwiek stanie się spółką akcyjną, a przewidywał, iż to nastąpi, to mamy w nią zainwestować pokaźny kapitał. Był przekonany, że przedsiębiorstwo Trumperów rozkwitnie, a tym samym jego inwestycja okaże się ze wszech miar trafna.

- To dlatego bank Hambros przejął dziesięć procent udziałów naszej spółki - zrozumiała Becky. - Zawsze to nas zastanawiało.

- Dokładnie tak. - Pan Baverstock uśmiechnął się niemal z satysfakcją. - Bank Hambros ubiegał się o udziały spółki w imieniu trustu na moje zlecenie. W ten sposób pani mąż nie musiał się obawiać tak dużego udziałowca z zewnątrz.

Łączna wartość dywidend, o jaką powiększył się nasz kapitał w ciągu ostatniego roku, była znacznie wyższa od zainwestowanej na początku kwoty. Ale nie to jest najważniejsze. Dowiedzieliśmy się z oferty sprzedaży akcji, że sir Charles zamierza zatrzymać w swoich rękach pięćdziesiąt jeden procent udziałów. Przypuszczamy, że z ulgą przyjmie wiadomość o następnych dziesięciu procentach, które znajdą się pośrednio pod jego kontrolą i będą zabezpieczeniem na wypadek nieprzewidzianych kłopotów w przyszłości.

Mam nadzieję, że dostrzeżecie państwo moje najlepsze intencje, podobnie zresztą jak i sir Raymonda.

- Wyświadczył nam pan wielką przysługę, panie Baverstock - rzekła Becky. - Wiem, że Charlie będzie chciał panu podziękować osobiście.

32 - Prosto jak strzelił - To bardzo miło z pani strony, lady Trunper. Dodam jedynie od siebie, że spotkanie z panią było dla mnie prawdziwą przyjemnością. Podobnie jak sir Raymond, z radością śledziłem karierę całej waszej trójki i cieszę się, że mogę zrobić coś pożytecznego dla przyszłości firmy.

Gdy Baverstock wypełnił do końca swoją misję, wstał zza biurka i w milczeniu odprowadził Becky do frontowych drzwi budynku.

Sądziła, że prawnik już się nie odezwie.

- Czekam na wiadomość, droga pani, kiedy mi będzie wolno skontaktować się z pani synem - powiedział na pożegnanie.

ROZDZIAŁ 38

W weekend po wizycie u pana Baverstocka Becky pojechała z Charlie'm do Cambridge. Charlie uważał, że nie można już dłużej z tym zwlekać. Jeszcze tego samego wieczoru zatelefonował do Daniela, uprzedzając go, że przyjadą do Trinity porozmawiać z nim o czymś ważnym.

- Dobrze się składa, ponieważ ja też mam wam do przekazania ważną wiadomość - odparł Daniel.

W drodze do Cambridge Becky i Charlie powtarzali sobie, co i jak mają powiedzieć. Doszli jednak do wniosku, że i tak nie są w stanie przewidzieć reakcji Daniela, nawet gdy spróbują wyjaśnić fakty z przeszłości w najbardziej delikatny sposób.

- Zastanawiam się, czy kiedyś nam wybaczy - zamyśliła się Becky. - Powinniśmy byli powiedzieć mu o tym już wiele lat temu.

- Ale tak się nie stało.

- A do tego decydujemy się wyjawić mu prawdę w sytuacji, która może nam przynieść finansowe korzyści.

- Przede wszystkim jemu. Przecież to on ma odziedziczyć dziesięć procent udziałów spółki Trumper, nie mówiąc już o pozostałym majątku Hardcastle. No cóż, zobaczymy, jak przyjmie wiadomości.

- Charlie przyspieszył, wjeżdżając na dwupasmową autostradę za Rickmansworth. Przez jakiś czas nie odzywali się do siebie. W końcu Charlie zaproponował: - Powtórzmy jeszcze raz kolejność.

Najpierw mu opowiesz o tym, jak poznałaś Guya.

- Może Daniel już wie - powiedziała Becky.

- Gdyby tak było, to na pewno by nas spytał...

- Niekoniecznie. Zawsze był skryty, a szczególnie w stosunku do nas.

Powtórka trwała do samych przedmieść Cambridge.

Charlie wjechał powoli w Backs, minął Queen College, unikając zderzenia z gromadą studentów, którzy wylegli na ulicę, i w końcu skręcił w prawo, w Trinity Lane. Zatrzymał samochód w New Court i oboje z Becky skierowali się do wejścia oznaczonego literą "C".

Weszli po wydeptanych kamiennych schodach na górę i zatrzymali się przed drzwiami z napisem "Dr Daniel Trumper". Becky zawsze bawiła myśl, że pewnie by jeszcze długo nie dowiedziała się, że jej syn zrobił doktorat, gdyby ktoś zwracając się do niego w jej obecności nie użył tego tytułu.

Charlie wziął żonę za rękę. - Nie denerwuj się, Becky, powiedział. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. - Ścisnął jej palce i mocno zapukał.

- Proszę wejść - usłyszeli głos Daniela, a chwilę później młody mężczyzna osobiście zjawił się

w masywnych, dębowych drzwiach.

Przywitał się z nimi, a potem wprowadził oboje do małej, zagraconej pracowni, gdzie na stole na samym środku pokoju czekała już na nich herbata.

Charlie i Becky usiedli na dużych i zniszczonych skórzanych krzesłach, które stanowiły własność uczelni i prawdopodobnie służyły całym pokoleniom poprzednich lokatorów. Przywiodły Becky wspomnienia o tym, jak kiedyś wyniosła krzesło z domu Charlie'ego przy Whitechapel Road i sprzedała je za szylinga.

Daniel nalał im obojgu herbaty i zaczął opiekać grzanekę bezpośrednio nad ogniem. Przez chwilę nikt się nie odzywał, a Becky zastanawiała się, skąd jej syn ma nowy, modny kaszmirowy sweter.

- Dobrą mieliście podróż? - zapytał w końcu Daniel.

- Niezłą - rzekł Charlie.

- Jak spisuje się nowy samochód?

- Dobrze.

- A firma Trumper?

- Bywało gorzej.

- Jesteś wielkim mówcą, tato. Powinieneś ubiegać się o objęcie katedry języka angielskiego.

Ostatnio jest tam wakat.

- Wybacz, Danielu - odezwała się matka. - Ojciec ma teraz tyle problemów na głowie, zresztą nie bez związku ze sprawą, z którą przyjechaliśmy.

- Nie mogliście wybrać lepszego momentu - stwierdził Daniel, odwracając grzanekę.

Dlaczego? - zdziwił się Charlie.

- Ponieważ, jak już uprzedzałem, zamierzam zakomunikować wam coś ważnego. A więc, kto mówi pierwszy?

- Posłuchamy, co masz nam do powiedzenia - rzekła szybko Becky.

- Nie. Sądzę, że będzie rozsądniej, jeśli my zaczniemy - wtrącił się Charlie.

- Nie mam nic przeciw temu. - Daniel zsunął grzanekę na talerz matki. - Masło, dżem i miód - dodał, wskazując na trzy małe spodki ustawione na stole.

- Dziękuję, kochanie - powiedziała Becky.

- Mów, tato. Nie mogę już dłużej znieść napięcia. - Odwrócił na drugą stronę kolejną grzanekę.

- Chodzi o sprawę, którą powinniśmy byli omówić z tobą wiele lat temu. I pewnie byśmy to zrobili, gdyby nie...

- Grzanekę, tato?

- Dziękuję - rzekł Charlie, nie zwracając uwagi na parujący krążek, który Daniel zsunął na jego talerz - gdyby nie powstrzymały nas przed tym okoliczności i rozwój wydarzeń...

Daniel umieścił trzecią grzanekę na końcu długiego szpikulca.

- Jedz, mam, bo wystygnie - ponaglił. - Zaraz będzie następna.

- Nie jestem głodna - wyznała Becky.

- Otóż - rzekł Charlie - pojawił się problem w związku z wielkim spadkiem, który ty...

W tym momencie rozległo się pukanie. Becky spojrzała zrozpaczona na Charlie'ego. Miała nadzieję, że to wiadomość albo drobna sprawa, którą prędko można załatwić. Tylko tego im brakowało, żeby zjawił się teraz jakiś student z zawiłym problemem. Daniel odszedł od paleniska, żeby otworzyć drzwi.

- Wejdz, kochanie - usłyszeli jego głos i chwilę później do pokoju wszedł gość Daniela. Charlie

wstał.

- Miło cię widzieć, Cathy - powiedział Charlie. - Nie miałem pojęcia, że wybierasz się dzisiaj do Cambridge.

- Czy to nie typowe dla Daniela? - zauważyła Cathy. Zamierzałam państwa uprzedzić, ale nie chciałam nawet o tym słyszeć. - I zanim usiadła na jednym z wolnych krzeseł, uśmiechnęła się nerwowo do Becky.

Becky spojrzała na tych dwoje siedzących obok siebie i coś ją zaniepokoiło.

Nalej sobie herbaty, kochanie - zaproponował Daniel. - Przyszłaś w samą porę, żeby dostać gorącą grzankę i usłyszeć ekscytujące wiadomości. Tata właśnie zamierzał mi wyjawić, na co mogę liczyć w jego testamencie. Odziedziczę imperium Trumpera czy też będę musiał się zadowolić sezonowym biletem do klubu futbolowego West Ham, tato?

- Och, bardzo przepraszam - zerwała się z miejsca Cathy.

- Ależ to nic ważnego - Charlie skinął dłonią, prosząc ją, żeby usiadła. - Te sprawy mogą poczekać.

- Uważaj, jest bardzo gorąca - uprzedził Daniel, zsuwając grzankę na talerz Cathy. - No cóż, skoro sprawa mojego dziedzictwa ma tak marginalne znaczenie, wobec tego jako pierwszy podzielę się z wami nowiną. Tusz, kurtyna w górę, zaczynamy. - Daniel uniósł szpikulec jak batutę. - Cathy i ja zamierzamy się pobrać.

- Nie wierzę - Becky zeskoczyła z krzesła i z radości wyściskała Cathy. - To cudowna wiadomość.

- Od jak dawna to trwa? - dopytywał się Charlie. - Chyba musiałem być ślepy.

- Prawie od dwóch lat - odparł Daniel. - Trzeba uczciwie przyznać, że nie mogłeś o tym wiedzieć. Nie masz przecież teleskopu nacelowanego na Cambridge w każdy weekend. Zamierzam wyjawić ci jeszcze jeden sekret. Cathy nie pozwalała mi nic powiedzieć, dopóki mama nie zaproponowała jej miejsca w komisji administracyjnej.

- Posłuchaj, chłopcze, opinii człowieka, który całe życie był kupcem - rzekł Charlie z rozpromienioną twarzą. - Nie mogłeś zrobić lepszego interesu. - Daniel uśmiechnął się radośnie. - Prawdę mówiąc, Cathy wydawała mi się od pewnego czasu trochę odmieniona. Kiedy to się zaczęło?

- Poznaliśmy się na przyjęciu z okazji otwarcia domu. Na pewno pan nie pamięta, sir Charlesie, ale wpadliśmy wtedy na siebie na schodach - przypomniała Cathy, nerwowo obracając w palcach mały krzyżyk, który miała zawieszony na szyi.

- Oczywiście, że pamiętam. I proszę zwracać się do mnie po imieniu. Tak jak wszyscy.

- Ustaliliście już termin? - Chciała wiedzieć Becky.

- Zamierzamy się pobrać podczas ferii wielkanocnych - wyjaśnił Daniel. - Czy wam to odpowiada?

Jeśli o mnie chodzi, może być nawet przyszły tydzień - stwierdził Charlie. - Jestem bardzo szczęśliwy. Gdzie zamierzacie wziąć ślub?

- W kaplicy uniwersyteckiej - odpowiedział bez wahania Daniel. - Oboje rodzice Cathy nie żyją. Uważaliśmy, że w tej sytuacji najlepszym miejscem będzie Cambridge.

- A gdzie zamieszkacie? - zapytała Becky.

- Och to zależy - Daniel zrobił tajemniczą minę.

- Od czego? - dociekał Charlie.

- Ubiegam się o katedrę matematyki w londyńskim King's College, i otrzymałem informacje z

wiarygodnych źródeł, że do dwóch tygodni świat zostanie powiadomiony o wyborze kandydata na to stanowisko.

- Jesteś dobrej myśli? - zapytała Becky.

- Chyba mam ku temu podstawy. Rektor zaprosił mnie do siebie na kolację w przyszły czwartek, a ponieważ nigdy przedtem nie widziałem tego gentlemana na oczy... - Potok słów przerwał dzwonek telefonu.

- Kto to może być? - zastanawiał się Daniel. - Zwykle nikt mi nie zawraca głowy w niedzielę. - Podniósł słuchawkę. - Tak, jest - odpowiedział po kilku sekundach. - Mogę wiedzieć, kto mówi? Tak, zaraz jej przekażę. - Odwrócił się do matki. - To pan Baverstock do ciebie, mamo.

Becky podniosła się z krzesła i wzięła słuchawkę od Daniela Charlie spojrzał na nią zaniepokojony.

- Czy to pani, lady Trumper?

- Tak, słucham.

- Tu Baverstock. Będę się streszczał. Ale najpierw proszę mi powiedzieć, czy zapoznała pani Daniela ze szczegółami testamentu sir Raymonda?

- Nie. Mój mąż zamierzał właśnie to zrobić.

- Proszę wobec tego nie poruszać z synem tego tematu, dopóki się z państwem nie skontaktuję.

- Ale... dlaczego? - Becky zdała sobie sprawę, że konwersacja w tej sytuacji jest trudna.

- To nie temat na rozmowę przez telefon, lady Trumper. Kiedy zamierzacie państwo wrócić do Londynu?

- Dziś wieczorem.

Sądzę, że jak najprędzej powinniśmy się spotkać.

- Czy to naprawdę jest aż tak ważne?

- Tak. Czy siódma wieczór państwu odpowiada?

- Na pewno do tego czasu wrócimy.

- W takim razie przyjdę o siódmej na Eaton Square. I jeszcze raz proszę, nie mówcie państwo Danielowi o testamencie sir Raymonda. Proszę mi wybaczyć, że jestem taki tajemniczy, ale obawiam się, że nie mam wielkiego wyboru. Do zobaczenia, droga pani.

- Do zobaczenia - powiedziała Becky i odłożyła słuchawkę.

- Jakież problemy? - Charlie uniósł brwi w górę.

- Nie wiem. - Becky spojrzała mężowi prosto w oczy. - Pan Baverstock chce się z nami widzieć w sprawie tych dokumentów, z którymi mnie zapoznał w ubiegłym tygodniu. - Charlie skrzywił się. - I nie życzy sobie, żebyśmy na razie z kimkolwiek o nich rozmawiali.

- To zabrzmiało tajemniczo - powiedział Daniel, odwracając się w stronę Cathy. - Pan Baverstock, moja droga, zasiada w zarządzie straganu i jest człowiekiem, który telefonowanie do żony w godzinach pracy uważa za pogwałcenie prawa.

- Wobec tego ma odpowiednie kwalifikacje na członka zarządu spółki.

- Zresztą, poznałaś go już kiedyś - mówił Daniel. - Był ze swoją żoną na przyjęciu z okazji otwarcia domu rodziców. Obawiam się jednak, że mogłaś go nie zapamiętać. Nie jest człowiekiem, który powszechnie zwraca na siebie uwagę.

- Kto namalował ten obraz? - zapytał nagle Charlie, patrząc na akwarelę z widokiem Cambridge, która wisiała nad biurkiem Daniela.

Becky miała nadzieję, że zmiana tematu nie była zbyt oczywista.

W drodze powrotnej do Londynu Becty targwały sprzeczne uczucia. Cieszyła się, że Cathy zostanie jej synową, i niepokoiła się, z jakiego powodu pan Baverstock chce się z nimi widzieć.

Kiedy Charlie ponownie zapytał ją o szczegóły, Becky próbowała słowo po słowie odtworzyć rozmowę, którą przeprowadziła z Baverstockiem, ale żadne z nich nie stało się przez to ani o jotę mądrzejsze.

- Wkrótce się dowiemy - rzekł Charlie, gdy zjechali z A 10 i zmierzali Whitechapel w kierunku centrum. Charlie'ego zawsze poruszał widok kolorowych straganów z różnorodnymi towarami i okrzyki kupców, którzy żądali za nie horrendalnych cen.

Nagle zatrzymał samochód, wyłączył silnik i wyrztał przez okno.

- Dlaczego się zatrzymałeś? - zdziwiła się Becky. - Przecież nie mamy czasu.

Charlie wskazał na "Klub Chłopców" z Whitechapel, który wydawał się jeszcze bardziej zniszczony i zaniedbany niż zwykle.

- Widziałam już ten klub tysiące razy, Charlie. Wiesz, że nie możemy się spóźnić na spotkanie z panem Baverstockiem.

Charlie wyjął notatnik i zdjął skuwkę wiecznego pióra.

- Co zamierzasz zrobić?

- Kiedy nauczysz się patrzeć bardziej uważnie, Becky? - zapytał i przepisał z wywieszki "Na sprzedaż" numer agenta nieruchomości.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz otwierać drugiej firmy Trumper na Whitechapel?

- Nie, ale chcę się dowiedzieć, dlaczego zamykają mój stary klub - odparł Charlie. Schował z powrotem pióro do wewnętrznej kieszeni marynarki i przekręcił kluczyk w stacyjce, zapuszczając silnik.

Trumperowie dotarli na Eaton Square 17 na pół godziny przed zapowiedzianą wizytą pana Baverstocka, który nigdy się nie spóźniał, o czym oboje dobrze wiedzieli.

Becky natychmiast zaczęła ścierać kurz ze stołów i poprawiać poduszki w salonie.

- Nie denerwuj się. Moim zdaniem, wszędzie panuje porządek - powiedział Charlie. - A poza tym, mamy od tego gosposię.

- Ale dzisiaj jest niedziela - przypomniała mu Becky. Gdy już uporządkowała domowe sprzęty, których nie dotykała od wielu miesięcy, podłożyła ogień do kominka.

Punktualnie o siódmej rozległ się dzwonek u drzwi i Charlie wyszedł z salonu, żeby powitać gościa.

- Dobry wieczór, sir Charlesie - rzekł prawnik, zdejmując kapelusz.

Ach tak, przypomniał sobie Charlie, jest ktoś, kto nigdy nie zwraca się do mnie po imieniu. Wziął od pana Baverstocka płaszcz, kapelusz oraz szalik i powiesił wszystko na wieszaku w hallu.

- Przepraszam, że niepokoję państwa w niedzielę - usprawiedliwiał się Baverstock, wchodząc za gospodarzem do salonu z nieodłączną aktówką w dłoni. - Spodziewam się jednak, że gdy usłyszycie państwo, co mnie sprowadza, uznacie, że podjąłem słuszną decyzję.

- Jesteśmy oboje zaintrygowani pańskim telefonem. Ale pozwoli pan, że najpierw zaproponuję panu drinka. Whisky?

- Nie, dziękuję. Jeśli można, wolałbym wytrawne sherry.

Becky naleła panu Baverstockowi Tio Pepe, a mężowi whisky i przyłączyła się do siedzących przy kominku mężczyzn, czekając na wyjaśnienia prawnika.

- Niełatwo mi o tym mówić, sir Charlesie.

Charlie skinął głową.

- Rozumiem. Proszę się nie spieszyć.

- Chciałbym jeszcze raz upewnić się, że nie wyjawiliście państwo szczegółów synowi na temat testamentu sir Raymonda.

- O niczym mu nie powiedzieliśmy. Przed kłopotliwym wyznaniem powstrzymało nas najpierw jego oświadczenie o planowanym małżeństwie, a potem pański niespodziewany telefon.

- O, co za dobra nowina - ucieszył się pan Baverstock - Niewątpliwie wybranką jest czarująca panna Ross? Proszę przyjąć moje gratulacje.

- Wiedział pan o tym? - zdziwiła się Becky.

- Naturalnie - odparł pan Baverstock. - Dla wszystkich to było oczywiste.

- Dla wszystkich oprócz nas - rzekł Charlie.

Pan Baverstock pozwolił sobie na uśmiech i sięgnął do teczki po akta.

- Przystąpmy do rzeczy - powiedział. - Podczas rozmowy z adwokatami drugiej strony, którą ostatnio przeprowadziłem, dowiedziałem się, że Daniel złożył kiedyś wizytę pani Trentham w jej domu przy Chester Square.

Becky i Charlie nie zdołali ukryć zdziwienia.

- A więc tak, jak się tego spodziewałem, oboje państwo nie mieliście pojęcia o tym spotkaniu. Zresztą podobnie jak ja.

- Ale jak mogli się widzieć, skoro...? - zapytał Charlie.

- To może na zawsze pozostać dla nas tajemnicą, sir Charlesie.

Dowiedziałem się tylko, że podczas tego spotkania Daniel zawarł z panią Trentham umowę.

- Jaką umowę? - zawołał Charlie.

Prawnik wyjął arkusz papieru z akt, które miał przed sobą, i odczytał zdania osobiście napisane przez panią Trentham. - "W zamian za wycofanie przez panią Trentham wszelkich sprzeciwów w związku z realizacją projektu zwanego "Wieżowcami Trumpera", a także za jej rezygnację z odbudowy kamienicy czynszowej na Chelsea Terrace, ja, niżej podpisany Daniel Trumper zrzekam się wszelkich roszczeń w chwili obecnej i w przyszłości do majątku Hardcastle". W tamtym czasie Daniel oczywiście nie miał pojęcia, że jest głównym spadkobiercą sir Raymonda.

- A więc to dlatego poddała się bez walki - odezwał się w końcu Charlie.

- Na to wygląda.

- Zrobił to wszystko bez naszej wiedzy - powiedziała Becky, podczas gdy jej mąż zaczął czytać dokument.

- Czy ta umowa jest prawnie wiążąca? - zapytał Charlie, gdy do końca przeczytał odręczne pismo pani Trentham.

- Obawiam się, że tak, sir Charlesie.

- Ale jeśli nie zdawał sobie sprawy z zapisu...?

- Ten kontrakt jest zawarty pomiędzy dwojgiem dorosłych ludzi.

Sąd będzie musiał uznać, że Daniel zrzekł się roszczeń do majątku Hardcastle, skoro pani Trentham wywiązała się z warunków umowy.

- A co z wnioskiem o działaniu pod przymusem?

- Dwudziestosześcioletni mężczyzna zmuszony do podpisania dokumentu przez siedemdziesięcioletnią kobietę, i to podczas wizyty, którą złożył jej w domu? Trudno będzie nam to udowodnić, sir Charlesie.

- Ale kiedy mogli się poznać?

- Nie mam pojęcia - odparł prawnik. - Nie wyjawiała wszystkich okoliczności tego spotkania nawet swoim adwokatom. Jestem przekonany, że teraz rozumiecie państwo, dlaczego uznałem, że moment nie jest odpowiedni na poruszanie z Danielem sprawy testamentu sir Raymonda.

- Podjął pan słuszną decyzję - przyznał Charlie.

- Ta sprawa musi zostać zamknięta raz na zawsze - powiedziała Becky głosem niewiele donośniejszym od szeptu.

- Dlaczego? - zapytał Charlie, obejmując żonę ramieniem.

- Ponieważ nie chcę, żeby Daniel przez resztę życia wyrzucał sobie, że zdradził swojego pradziadka. Podpisał ten dokument tylko dlatego, że chciał nam pomóc. - Becky odwróciła się do męża.

Po twarzy spływały jej łzy.

- Może powinienem porozmawiać z nim jak mężczyzna z mężczyzną.

- Nawet nie myśl o poruszaniu z moim synem tematu Guya Trenthama, Charlie. Zabraniam ci.

Charlie zdjął rękę z ramienia Becky i spojrzał na nią jak dziecko, które niesłusznie zostało skarcone.

- Dobrze chociaż, że to pan, a nie kto inny, przyniósł nam te niepomysłne wieści - zwróciła się Becky do prawnika. - Okazał nam pan jak zwykle wielką życzliwość.

- Dziękuję, lady Trumper. - Obawiam się jednak, że mam państwu do zakomunikowania jeszcze bardziej przykrą wiadomość.

Becky chwyciła Charlie'ego za rękę.

- Muszę państwu donieść, że tym razem pani Trentham nie zadowolila się jednym ciosem.

- A co ona może nam jeszcze zrobić? - dociekał Charlie.

- Wygląda na to, że teraz zamierza pozbyć się parceli na Chelsea Terrace.

- Nie wierzę - wyjąkała Becky.

- A ja tak - stwierdził Charlie. - Za ile?

- To rzeczywiście problem - zauważył pan Baverstock i sięgnął do swojej skórzanej teczki po kolejny dokument.

Charlie i Becky prędko wymienili spojrzenia.

- Pani Trentham proponuje panu prawo do jej gruntu na Chelsea Terrace w zamian za dziesięć procent udziałów spółki Trumper i - umilkł - oraz miejsce w zarządzie dla jej syna Nigela.

- Nigdy - oświadczył kategorycznie Charlie.

- Jeśli pan odrzuci jej propozycję - wyjaśniał prawnik - sprzeda działkę na wolnym rynku pierwszemu lepszemu kontrahentowi, który zaoferuje najwyższą cenę.

- Niech będzie i tak - rzekł Charlie. - Niewątpliwie skończy się na tym, że sami kupimy tę ziemię.

- Przypuszczam, że za wiele wyższą cenę niż wartość dziesięciu procent naszych udziałów - wtrąciła się Becky.

- Wolę zapłacić taką cenę, niż jej ustąpić.

- Pani Trentham również domaga się - kontynuował pan Baverstock - żeby jej oferta została szczegółowo przedstawiona na najbliższym posiedzeniu zarządu i poddana pod głosowanie.

- Nie ma prawa wysuwać takiego żądania - zaprotestował Charlie.

- Jeśli nie zastosuje się pan do jej życzenia - poinformował go pan Baverstock - puści w obieg swoją ofertę wśród akcjonariuszy i zwoła nadzwyczajne walne zgromadzenie, podczas którego

osobiście wysunie wniosek i podda go pod głosowanie.

- Może to zrobić? - Po raz pierwszy Charlie wydawał się szczerze zaniepokojony.

- O ile znam tę damę, to nie przypuszczam, żeby rzucała rękawicę bez uprzedniego porozumienia się z prawnikami.

- Zawsze postępuje z nami tak, jak gdyby przewidywała nasz następny krok - powiedziała poruszona do głębi Becky.

W głosie Charlie'ego zabrzmiał ten sam niepokój co przedtem.

- Nie będzie musiała się martwić o następny krok, jeśli jej syn zasiądzie w zarządzie. Po każdym posiedzeniu przekaże jej bezpośrednią relację.

- Wygląda na to, że będziemy musieli jej ustąpić - zmartwiła się Becky.

- Jestem podobnego zdania, lady Trumper - wyznał Baverstock.

- Doszedłem do wniosku, że tylko w jeden sposób mogę zachować się wobec państwa lojalnie: szczegółowo informując o żądaniach pani Trentham. Równocześnie muszę jednak państwa uprzedzić, że moim smutnym obowiązkiem będzie zapoznanie z jej ofertą zarządu na najbliższym posiedzeniu.

W następny wtorek była tylko jedna "usprawiedliwiona nieobecność" na zebraniu zarządu spółki. Simon Matthews musiał wyjechać do Genewy, gdzie prowadził sprzedaż rzadkiej kolekcji pereł, i Charlie zapewnił go, że jego obecność na radzie nie jest niezbędna. Gdy tylko pan Baverstock skończył wyjaśniać skutki propozycji pani Trentham, wszyscy zgromadzeni przy stole chcieli równocześnie zabrać głos.

Charlie przywrócił pozory porządku i powiedział:

- Na samym początku chciałbym jasno określić swoje stanowisko w tej sprawie. Jestem w stu procentach przeciwny propozycji.

Nigdy nie ufałem tej damie i na zawsze pozostanę wobec niej nieufny. A co więcej, uważam, że jej jedynym celem jest działanie na szkodę spółki.

- Ależ, panie prezesie - zaproponował Paul Merrick - jeśli pani Trentham sprzeda działkę na Chelsea Terrace na wolnym rynku, to za gotówkę uzyskaną ze sprzedaży zawsze może kupić w dowolnym terminie dalsze dziesięć procent udziałów spółki. Czy wobec tego mamy jakiś wybór?

- Tak - odparł Charlie. - Nie będziemy musieli współpracować z jej synem. - Niech pan nie zapomina, że taka ilość akcji daje mu udział w zarządzie spółki.

- Jeśli zdobędzie dziesięć procent udziałów spółki - zauważył Paul Merrick - a z tego, co wiemy, prawdopodobnie będzie miał ich jeszcze więcej, to i tak nie pozostanie nam nic innego, jak zaakceptować jego kandydaturę na członka zarządu.

- Niekoniecznie - obstawał przy swoim Charlie. - Szczególnie, jeśli będziemy przekonani, że jedynym powodem, dla którego chce wejść w skład zarządu, jest chęć przejęcia spółki. Wrogo nastawiony członek zarządu to ostatnia rzecz, jakiej nam potrzeba.

- Ostatnia rzecz, jakiej nam potrzeba, to przepłacanie za dziurę w ziemi.

Na chwilę obaj zamilkli, a pozostali członkowie zarządu analizowali dwa przeciwstawne stanowiska.

- Rozważmy konsekwencje odrzucenia oferty pani Trentham - zaproponował Tim Newman. - Będziemy musieli ubiegać się o zakup pustej działki na wolnym rynku. A ta droga może nie okazać się dla nas najtańsza, sir Charlesie. Mogę pana zapewnić, że co najmniej cztery firmy: Sears, Boots, House of Fraser i John Lewis Partnership miałyby wielką ochotę otworzyć nowy sklep w samym środku centrum handlowego Trumper.

- Odrzucenie oferty może być bardzo kosztowne. Tego faktu nie zmieniają pana osobiste poglądy na temat owej damy, panie prezesie - rzekł Merrick. - Posiadam też pewną informację, którą zarząd może uznać za istotną.

- Jaką mianowicie? - zapytał pełen złych przeczuć Charlie.

- Moich kolegów z zarządu może zainteresować wiadomość - zaczął Merrick pompatycznie - że Nigel Trentham został zwolniony z firmy Kitcat and Aitken z powodu redukcji etatów, co jest eufemizmem określenie: wyrzucony z pracy. Wygląda na to, że nie dorósł do zadań, jakie niosą ze sobą obecne trudne czasy. Dlatego nie mogę wyobrazić sobie, żeby jego obecność przy tym stole mogła w przyszłości przysporzyć nam wiele problemów.

- Będzie mógł informować matkę o każdym naszym kroku - rzekł Charlie.

- Może interesuje ją obrót w sprzedaży majątek na siódmym piętrze - drwił Merrick. - Nie mówiąc już o pęknięciu rury wodociągowej w ustępie męskim w ubiegłym miesiącu. Nie, panie prezesie. Odrzucenie tej oferty byłoby głupim posunięciem, a nawet nieodpowiedzialnym.

- Pytam ze zwykłej ciekawości, panie prezesie, w jaki sposób zamierza pan wykorzystać dodatkowy plac, który niebawem przejmujemy od pani Trentham? - zwróciła się Daphne do Charlie'ego, wyprowadzając tym wszystkich z równowagi.

- Na dalszą ekspansję firmy - wyjaśnił Charlie. - Już pękamy w szwach. Ten kawałek ziemi zwiększy naszą powierzchnię użytkową przynajmniej o cztery i pół tysiąca metrów kwadratowych. Jak tylko dostanę go w swoje ręce, będę mógł otworzyć dwadzieścia kolejnych działów.

- A ile będzie kosztowała realizacja takiego projektu? - nie dawała za wygraną Daphne.

- Mnóstwo pieniędzy - wtrącił się Paul Merrick. - Których może nam zabraknąć, jeśli przepłacimy za tę wolną działkę w nierównej walce konkurencyjnej.

- Pozwólcie przypomnieć sobie, że mieliśmy wyjątkowo dobry rok - powiedział Charlie, uderzając pięścią w stół.

- To prawda, panie prezesie. A ja chciałbym panu przypomnieć, że po ostatnim podobnym oświadczeniu przez blisko pięć lat stał pan w obliczu bankructwa.

- Z powodu niespodziewanego wybuchu wojny - podkreślił Charlie.

- Ale teraz nie grozi nam wojna - zauważył Merrick. Dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, nie potrafiąc ukryć wzajemnej niechęci. - Musimy przede wszystkim mieć na uwadze dobro naszych akcjonariuszy - mówił dalej Merrick, obserwując twarze zebranych wokół stołu. - Gdyby dowiedzieli się, że znacznie przepłaciliśmy ten kawałek ziemi tylko z powodu, najdelikatniej sprawę ujmując, osobistej wendetty kierownictwa zarządu, mogliby nas srogo ocenić na kolejnym walnym zgromadzeniu, a nawet domagać się pana rezygnacji.

- Chętnie podejmę ryzyko - niemal krzyczał Charlie.

- A ja nie - powiedział spokojnie Merrick. - A co więcej, jeśli nie przyjmujemy tej oferty, to pani Trentham zwoła nadzwyczajne walne zgromadzenie, żeby przedłożyć propozycję akcjonariuszom.

- Nie mam wątpliwości co do ich reakcji. Sądzę, że już najwyższy czas, żeby przegłosować wniosek, zamiast prowadzić dalej tę bezsensowną dyskusję.

- Niech pan chwilę zaczeka... - zaczął Charlie.

- Nie. Nie będę dłużej czekał, panie prezesie. Proponuję, żebyśmy przyjęli wspaniałomyślną ofertę pani Trentham odstąpienia nam swojej ziemi za dziesięć procent udziałów spółki.

- A jakie ma pan propozycje w związku z jej synem? - zapytał Charlie.

- Uważam, że należy niezwłocznie zaprosić go do uczestnictwa w zarządzie - odparł Merrick.

- Ale... - zaczął Charlie.

- Żadnych ale. Dziękuję panu, panie prezesie. Nadeszła pora na głosowanie. A osobiste uprzedzenia nie mogą wpływać na jasność naszych sądów.

Na moment zaległa cisza. Po chwili zabrał głos Arthur Selwyn:

- Został zgłoszony formalny wniosek. Czy jest pani gotowa, żeby protokołować głosowanie, panno Allen? - Jessica skinęła głową i rozejrzała się po twarzach zebranych wokół stołu osób.

- Pan Merrick?

- Jestem za.

- Pan Newman?

- Za.

- Pan Denning?

- Przeciw.

- Pan Markins?

- Przeciw.

- Pan Baverstock?

Prawnik oparł się dłońmi o blat stołu. Najwyraźniej miał ogromny problem z podjęciem decyzji.

- Za - rzekł w końcu.

- Lady Trumper?

Przeciw - powiedziała bez wahania Becky.

- Lady Wiltshire?

- Za - powiedziała cicho Daphne.

- Dlaczego? - Zaskoczona Becky nie mogła uwierzyć w jej odpowiedź.

Daphne odwróciła się twarzą do swojej starej przyjaciółki.

- Ponieważ wolę mieć wroga na miejscu, który będzie sprawiał kłopoty na sali posiedzeń, zamiast robić jeszcze większe zamieszanie na korytarzu.

Becky nie wierzyła własnym uszom.

- Jak przypuszczam pan jest przeciw, sir Charlesie?

Charles gwałtownie skinął głową.

Pan Selwyn podniósł wzrok na sekretarkę.

- Czy to znaczy, że na razie wynik głosowania jest cztery do czterech? - upewnił się.

- Tak, panie Selwyn - powiedziała Jessica, przesuwając palcem po liście z nazwiskami.

Wszyscy utkwili wzrok w dyrektorze generalnym. Odłożył pióro, którym przed chwilą coś notował na bibule.

- Mogę zrobić tylko to, co uważam za korzystne z punktu widzenia długookresowych interesów firmy. Oddaję głos za przyjęciem oferty pani Trentham.

Wokół stołu powstała wrzawa. Mówili wszyscy oprócz Charlie'ego.

Pan Selwyn chwilę odczekał, zanim dodał:

- Wniosek został przegłosowany pięcioma głosami, przy czterech głosach przeciwnych. W związku z tym wydam polecenie naszemu bankowi akceptacyjnemu i prawnikom, żeby załatwili wszystkie niezbędne formalności, zarówno prawne i finansowe, tak aby transakcja została zawarta jak najprędzej i zgodnie ze statutem naszej spółki.

Charlie nie odzywał się.

- Czy możemy uważać posiedzenie za zamknięte, skoro już nie ma innych spraw, panie prezesie?

Charlie skinął głową, ale nawet nie drgnął, gdy inni członkowie zarządu opuszczali salę obrad. Tylko Becky siedziała nadal na swoim miejscu po drugiej stronie długiego stołu. Po chwili zostali sami.

- Powiniennem przejąć tę kamienicę trzydzieści lat temu.

33 - Prosto jak strzelił Becky nie odezwała się.

- Nie wolno nam było zakładać spółki, dopóki żyje ta cholerna baba.

Wstał i powoli podszedł do okna, a jego żona wciąż nie odzywała się, zapatrzona w pustą ławkę na drugim końcu ulicy.

- Jak mogłem powiedzieć Simonowi, że jego obecność na radzie nie jest niezbędna?

Becky nadal milczała.

- No cóż, przynajmniej wiemy, jakie ma zamiary ta diablica w stosunku do swojego drogiego Nigela.

Becky uniosła brwi w górę, gdy Charles odwrócił się do niej.

- Umyśliła sobie, że Nigel przejmie po mnie stanowisko prezesa spółki Trumper.

CATHY 1947-1950

ROZDZIAŁ 39

Pytanie, na które nie byłam w stanie odpowiedzieć w dzieciństwie, brzmiało: "Kiedy ostatnio widziałaś swojego ojca?"

Po prostu nie znałam na nie odpowiedzi. Nie wiedziałam nawet, kim był mój ojciec, podobnie zresztą jak i matka. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, ile razy w ciągu dnia, miesiąca i roku człowiekowi zadawane jest to pytanie. Stwierdzenie: "Nie wiem, ponieważ umarli, gdy byłam bardzo mała", było przyjmowane ze zdziwieniem, z podejrzliwością albo co gorsza z niedowierzaniem.

W końcu musiałam się nauczyć udzielania wykrętnych odpowiedzi albo uchylać się od nich, zmieniając temat. Nie ma takiego pytania o moim pochodzeniu, które by mnie mogło jeszcze zaskoczyć.

Jedynym mglistym wspomnieniem z dzieciństwa był obraz mężczyzny, który ciągle krzyczał, i wystraszonej kobiety, która rzadko się odzywała. Mam wrażenie, że nazywała się Anna. Wszystko poza tym było jedną zamazaną plamą.

Jak zazdrościłam tym dzieciom, które natychmiast mogły opowiedzieć mi o swoich rodzicach, braciach, siostrach, a nawet o kuzynach i dalekich ciotkach. Ja wiedziałam o sobie tylko tyle, że zostałam przyprowadzona na Park Hill w Melbourne, do sierocińca pod wezwaniem świętej Hildy, który prowadziła panna Rachel Benson.

Niektóre dzieci w sierocińcu miały krewnych, otrzymywały listy, a czasami nawet je ktoś odwiedzał. Przypominam sobie tylko jedną osobę, która złożyła mi tam wizytę. Była nią starsza kobieta o surowym wyglądzie, w długiej czarnej sukni i w koronkowych czarnych rękawiczkach do łokci, która mówiła z dziwnym akcentem. Nie miałam pojęcia o stopniu pokrewieństwa między nami, jeśli w ogóle jakieś było.

Panna Benson traktowała tę damę z ogromnym szacunkiem i nawet na pożegnanie złożyła jej głęboki ukłon. Nigdy jednak nie poznałam nazwiska owej kobiety. A kiedy byłam już na tyle duża, żeby o nią zapytać, pani Benson stwierdziła, że nie wie, o kim mówię. Zresztą zwykle gdy tylko próbowałam dowiedzieć się czegoś na temat mojego pochodzenia, odpowiadała zagadkowo:

- Lepiej, żebyś nie wiedziała, dziecko. - Przypuszczam, że nie ma innego zdania w języku angielskim, które by mogło mnie bardziej zmobilizować do poszukiwania prawdy o przeszłości.

W miarę upływu lat zaczęłam zadawać coraz chytrzejsze w moim przekonaniu pytania. Próbowałam dowiedzieć się czegoś od wicedyrektorki, od swojej przełożonej w bursie, od personelu w kuchni, a nawet od woźnego, ale zawsze natrafiałam na ten sam mur milczenia. Na czternaste urodziny poprosiłam o rozmowę panią Benson i postawiłam jej pytanie wprost Dawne stwierdzenie: „Lepiej, żebyś nie wiedziała, dziecko”, zmieniła teraz na: "Prawdę mówiąc, Cathy, nie

wiem sama”. Nie wracałam już więcej do tego tematu, ale nie wierzyłam jej. Zauważyłam, że niektórzy ze starszych pracowników sierocińca od czasu do czasu patrzą na mnie dziwnie, i co najmniej dwukrotnie stwierdziłam, że coś szeptają za moimi plecami, sądząc, że ich nie słyszę.

Nie zostały mi po rodzicach żadne zdjęcia, pamiątki ani jakiegokolwiek dowody na to, że w ogóle istnieli, oprócz małego krzyżyka.

Wmawiałam sobie, że jest srebrny. Pamiętam, że dał mi go mężczyzna, który ciągle krzyczał. Nie rozstawałam się z moim małym klejnotem zawieszonym na sznurku na szyi. Któregoś wieczoru, gdy rozbierałam się w sypialni, pani Benson zauważyła wisiołek i zapytała, skąd go mam. Odpowiedziałam jej, że Betsy Compton wymieniła się ze mną za tuzin szklanych kulek. Kłamstwo zadowoliło ją. Ale od tamtej pory zawsze nosiłam skarb głęboko ukryty przed niepożądanym wzrokiem.

Byłam jedną z tych nietypowych uczennic, które od pierwszego dnia pokochały szkołę. Sala lekcyjna stwarzała możliwość ucieczki z więzienia i dawała schronienie przed jego strażnikami. Każda dodatkowa minuta w miejskiej szkole była chwilą, której nie musiałam spędzać w sierocińcu Św. Hildy. Prędko odkryłam, że im więcej pracuję, tym dłużej mogę przebywać poza nim. Gdy zdobyłam miejsce w szkole podstawowej dla dziewcząt: Melbourne Church of England, otworzyły się przede mną jeszcze większe możliwości.

Organizowano tam wiele dodatkowych zajęć od samego rana do późnego wieczoru, dzięki czemu sierociniec stał się dla mnie tylko miejscem, w którym spałam i jadłam śniadanie.

Z zajęć nadprogramowych wybrałam malarstwo, które dawało mi możliwość przebywania przez wiele godzin w pracowni, gdzie nikt mi nie przeszkadzał i specjalnie nie kontrolował. Zaczęłam uprawiać tenis. Ciężka i wytrwała praca zapewniła mi miejsce w drugiej reprezentacji szkoły i nagrodę w postaci popołudniowych treningów, które trwały aż do zapadnięcia zmroku. Próbowałam też grać w krykieta, ale nie miałam do tej gry talentu i zwykle prowadziłam zapis, dzięki czemu nie mogłam opuścić swojego stanowiska, dopóki nie została rzucona ostatnia kula, a w każdą sobotę wyjeżdżałam autokarem na spotkanie z drużyną innej szkoły. Byłam jednym z nielicznych dzieci, które wolały mecze wyjazdowe od imprez organizowanych na miejscu.

W szesnastym roku życia zdałam do maturalnej klasy i zaczęłam uczyć się jeszcze bardziej intensywnie. Pani Benson wyjaśniła, że mam szansę uzyskać stypendium na Uniwersytecie w Melbourne, co byłoby niezwykłym wydarzeniem w przypadku wychowanki sierocińca Świętej Hildy.

Ilekcio w bursie byłam za coś wyróżniana albo karana, co w późniejszym okresie zdarzało się coraz rzadziej, zawsze wzywano mnie do gabinetu panny Benson. Udzielała mi pochwały albo reprimendy, a potem wkładała świstek papieru dokumentujący dane wydarzenie do mojej kartoteki i umieszczała ją z powrotem w stojącym za biurkiem sekretarzyku. W takich wypadkach uważnie ją obserwowałam. Najpierw wyjmowała klucz z szuflady po lewej stronie biurka, następnie podchodziła do sekretarzyka, odszukiwała moją teczkę w kartotece opatrzonej literami "QRS", wkładała do niej dowód mojej zasługi lub przewinienia, zamykała sekretarzyk i z powrotem chowała klucz do szuflady. Procedura miała zawsze ten sam, niemal rytualny przebieg.

Innym stałym punktem w życiu panny Benson były jej coroczne wakacje, w czasie których odwiedzała "swoich krewnych" w Adelajdzie. Miało to miejsce we wrześniu każdego roku, a ja czekałam na tę chwilę jak na święto.

Gdy wybuchła wojna, bałam się już, że dyrektorka zmieni swoje plany, szczególnie po jej wypowiedziach na temat obowiązku poświęceń z naszej strony.

Nie zdobyła się jednak sama na żadne wyrzeczenia i pomimo ograniczeń w transporcie kolejowym wyjechała do Adelajdy dokładnie tego samego wiosennego dnia co zwykle. Po jej wyjeździe odczekałam pięć dni, zanim uznałam, że bezpiecznie mogę zrealizować swój zamiar.

Szóstego dnia leżałam cicho w łóżku aż do pierwszej w nocy, dopóki nie byłam pewna, że szesnaście innych dziewcząt w bursie śpi mocnym snem. Dopiero wtedy wstałam, wyjęłam latarkę z szuflady dziewczyny, która spała obok mnie, i skierowałam się w stronę klatki schodowej. Gdyby mnie ktoś spotkał w drodze, miałam przygotowane wytłumaczenie, że się źle poczułam. A ponieważ rzadko trafiałam do izby chorych w czasie mojego dwunastoletniego pobytu w sierocińcu, byłam przekonana, że każdy mi uwierzy.

Po ciemku zeszałam ostrożnie na dół. Od czasu wyjazdu panny Benson codziennie pokonywałam tę drogę z zamkniętymi oczami.

Zapaliłam latarkę dopiero, gdy dotarłam do gabinetu dyrektorki.

Otworzyłam drzwi i wślizgnęłam się do środka. Podeszłam na palcach do biurka i ostrożnie wyciągnęłam szufladę po lewej stronie. Zupełnie nie byłam przygotowana na to, że znajdę w niej dwadzieścia różnych kluczy. Jedne były połączone kółkiem, a inne leżały oddzielnie. Próbowałam przypomnieć sobie kształt i wielkość klucza, którym panna Benson otwierała sekretarzyk, ale bez powodzenia. Kilkakrotnie przebyłam drogę pomiędzy jej biurkiem a sekretarzykiem, zanim trafiłam na ten właściwy, który przekręcił się w zamku o sto osiemdziesiąt stopni.

Najwolniej jak potrafiłam, wyciągnęłam górną szufladę, a pomimo to rozległo się dudnienie jak po uderzeniu pioruna. Zamarłam w bezruchu, wstrzymałam oddech i nasłuchiwałam, czy nie dobiegną mnie jakieś odgłosy. Zajrzałam też pod drzwi, żeby sprawdzić, czy na korytarzu nie zapaliło się światło. Gdy miałam pewność, że nikogo nie obudziłam, zaczęłam wertować nazwiska w kartotece oznaczonej literami "QRS". Roberts, Rosę, Ross - wyjęłam własną teczkę i zaniósłam ją na biurko dyrektorki. Usiadłam na krześle panny Benson i w świetle latarki zaczęłam uważnie przeglądać każdą stronę. Ponieważ miałam już piętnaście lat, a w sierocińcu przebywałam od trzeciego roku życia, mojateczka była gruba.

Natknęłam się na tak dawne własne wykroczenia, jak nocne moczenie się. Znalazłam też kilka malarskich nagród, łącznie z podwójnym wyróżnieniem za akwarelę, która wciąż jeszcze wisiała w jadalni. Przeszukałam wszystko dokładnie, jednak nie znalazłam nawet jednej wzmianki, która by pochodziła z okresu sprzed mojego trzeciego roku życia. Pomyślałam, że może brak danych o przeszłości podopiecznych jest regułą w sierocińcu Świętej Hildy, i rzuciłam okiem na dokumenty Jennie Rosę. Ale ku mojemu rozczarowaniu znalazłam w jej teczce imiona obojga rodziców: zmarłego Teda i matki Susan. Z załączonej notatki wynikało, że pani Rosę ma jeszcze trójkę potomstwa i po śmierci męża, który zmarł na atak serca, nie jest w stanie sama wychować czwartego dziecka.

Zamknęłam sekretarzyk, schowałam klucz do szuflady, zgasiłam latarkę, wyszłam z gabinetu, i prędko wróciłam do sypialni. Odłożyłam latarkę na miejsce i wślizgnęłam się do łóżka. Zastanawiałam się, co jeszcze mogę zrobić, żeby dowiedzieć się czegoś o swoim pochodzeniu.

Wszystko wskazywało na to, że w ogóle nie miałam rodziców i zaczęłam życie w wieku trzech lat. Potrzeba poznania prawdy stawała się coraz bardziej paląca. Musiałam chyba w końcu zasnąć, ponieważ następnym faktem w moich wspomnieniach był dzwonek szkolny nazajutrz rano.

Po otrzymaniu stypendium na Uniwersytecie w Melbourne, czułam się, jak więzień wypuszczony na wolność po długim wyroku.

Po raz pierwszy otrzymałam własny pokój i nie musiałam nosić mundurka, chociaż ubrania, na jakie mogłam sobie pozwolić, na pewno odbiegały od linii lansowanej przez domy mody. Uczyłam się jeszcze pilniej niż w szkole z obawy, że jeśli nie zdam jakiegoś egzaminu na pierwszym roku, zostanę odesłana na resztę życia do sierocińca Świętej Hildy.

Na drugim roku wybrałam na przedmioty kierunkowe: historię sztuki oraz język angielski. Trochę malowałam, ale traktowałam to zajęcie raczej jako hobby. Nadal nie wiedziałam, co będę robić po ukończeniu studiów. Mój opiekun sugerował, że powinnam zastanowić się nad nauczaniem, ale dla mnie byłaby to kontynuacja życia w sierocińcu i kariera podobna do drogi życiowej panny Benson.

Przed pójściem na uniwersytet nie spotykałam się z wieloma chłopcami. Wychowankowie sierocińca Świętej Hildy mieszkali w oddzielnym skrzydle budynku i nie wolno nam było rozmawiać z nimi przed dziewiątą rano ani po piątej po południu. Do piętnastego roku życia sądziłam, że przez pocałunek można zająć w ciążę i byłam zdecydowana nie popełniać tego błędu, szczególnie po własnych doświadczeniach dorastania bez rodziny.

Moim pierwszym prawdziwym chłopakiem był Mel Nicholls, kapitan uniwersyteckiej drużyny piłkarskiej. Gdy udało mu się w końcu zaciągnąć mnie do łóżka, wyznał, że jestem jedyną i, co ważniejsze, pierwszą dziewczyną w jego życiu. Stwierdziłam, że to samo mogłabym powiedzieć o nim. Leżałam z głową na poduszce, a Mel pochylił się nade mną i zainteresował się jedyną rzeczą, jaką miałam na sobie.

- Jeszcze nigdy takiego nie widziałem - powiedział, biorąc w palce krzyżyk, który miałam zawieszony na szyi.

- Kolejna nowość.

- Niezupełnie. - Roześmiał się. - Spotkałem się już kiedyś z jednym, bardzo do niego podobnym.

- O czym ty mówisz?

- To medal - wyjaśnił. - Mój ojciec zdobył trzy albo i cztery, ale żaden nie był zrobiony z prawdziwego srebra.

Gdy patrzę na to z perspektywy czasu, sądzę, że dla tej informacji warto było poświęcić cnotę.

W bibliotece uniwersyteckiej znajduje się duży wybór książek poświęconych tematyce wojen światowych, chętniej opisujących dalekowschodnią kampanię niż lądowanie w El-Alamejn. Pomiędzy stronicami o bohaterskich wyczynach australijskiej piechoty, znalazł się jednak rozdział o brytyjskich odznaczeniach za waleczność, uzupełniony kolorowymi rycinami.

Dowiedziałam się o istnieniu Krzyża Wiktorii, medalu przyznawanego oficerom w wojsku i marynarce wojennej, odznaczenia przyznawanego młodszym oficerom marynarki wojennej, Komandora Orderu Imperium Brytyjskiego oraz Orderu Imperium Brytyjskiego; były różnorodne i zdawały się nie mieć końca. Dopiero na stronie czterysta dziewiątej znalazłam to, czego szukałam: Krzyż Wojenny, ze wstążką z białego jedwabiu w purpurowe poprzeczne pasy, wykuty w srebrze z koroną imperium na każdym z czterech ramion. Przyznawano go oficerom poniżej stopnia majora za "niezwykłą waleczność pod ostrzałem". Wyobraziłam sobie, że mój ojciec był bohaterem wojennym, który umarł młodo z powodu odniesionych ran. Przynajmniej miałam jakieś wytłumaczenie jego nadmiernej drażliwości, którą mogło wywoływać cierpienie.

Następnym krokiem w prowadzonym przeze mnie dochodzeniu była wizyta w sklepie ze starociami w Melbourne. Mężczyzna za ladą obejrzał medal i zaproponował mi w zamian pięć funtów.

Nawet nie próbowałam mu wyjaśniać, dlaczego nie rozstałabym się z moim trofeum nawet za

cenę stokroć wyższą. W końcu poinformował mnie, że jedynym pośrednikiem specjalizującym się w sprzedaży medali jest Frank Jennings, który mieszka pod numerem 47 na Mafeking Street w Sydney.

W tamtym czasie Sydney w moim przekonaniu leżało niemal po drugiej stronie globu i nie było mnie stać za skromne stypendium na tak daleką podróż. Musiałam poczekać cierpliwie do semestru letniego, żeby móc się ubiegać o funkcję prowadzącej zapis dla uniwersyteckiej drużyny krykieta. Jednak moja kandydatura została odrzucona z powodu płci. Kobiety nigdy w pełni nie rozumieją zasad tej gry, wyjaśnił mi młodzian, który zwykł siadać za mną na wykładach, żeby ściągać notatki. Nie miałam wyboru. Musiałam zacząć godzinami ćwiczyć backhand, forhand i smash, zanim zostałam wybrana do drugiej żeńskiej tenisowej reprezentacji uniwersytetu. Choć może nie był to wielki sukces, ale w kalendarzu rozgrywek znajdował się mecz, jedyny, jaki mnie interesował: Sydney (A).

Rano po przybyciu do Sydney, udałam się prosto na Mafeking Street Uderzyło mnie to, że tak wielu przechodzących obok młodych mężczyzn nosi mundury. Pan Jennings obejrzał medal ze znacznie większym zainteresowaniem niż handlarz w Melbourne.

- To prawdziwa miniatura Krzyża Wojennego - stwierdził, badając przez lupę mój mały wisiołek. - Zwykle jest noszony przy galowym mundurze w czasie przyjęć w kasynie pułkowym. Trzyliterowe inicjały wygrawerowane na dole jednego z ramion krzyża, prawie niezauważalne gołym okiem, powinny nam wskazać, kto był nim odznaczony. Wzięłam szkło powiększające od pana Jenningsa i wyraźnie zobaczyłam inicjały G.F.T., o których istnieniu dotychczas nie wiedziałam.

- Czy jest jakiś sposób, żeby się tego dowiedzieć?

Ależ tak - zapewnił pan Jennings. Odwrócił się, zdjął z półki oprawioną w skórę książkę, przekartkował ją i dotarł do Godfrey'a S. Thomasa i George'a Victora Taylora, ale nie znalazł nikogo z inicjałami G.F.T.

- Przykro mi, ale nie będę mógł pani pomóc - powiedział. - Ten medal nie został przyznany Australijczykowi, w przeciwnym razie nazwisko odznaczonego figurowałoby w tym katalogu. - Poklepał książkę po skórzanej obwolucie. - Musi pani napisać do Ministerstwa Wojny w Londynie, żeby uzyskać dalsze informacje. Mają w swoich rejestrach nazwiska wszystkich odznaczonych za waleczność.

Podziękowałam mu za pomoc. Wcześniej zaoferował mi dziesięć funtów za medal. Uśmiechnęłam się i wróciłam na mecz tenisowy, który moja drużyna rozgrywała z Uniwersytetem z Sydney. Przegrałam 6-0, 6-1, gdyż nie mogłam skoncentrować się na niczym innym jak na inicjałach G.F.T. W tym sezonie nie zostałam już ponownie wybrana do drużynowej reprezentacji uniwersytetu w tenisie.

Posłuchałam rady pana Jenningsa i następnego dnia napisałam do Ministerstwa Wojny w Londynie. Nie otrzymywałam odpowiedzi przez wiele miesięcy. Nic dziwnego, w 1944 roku mieli tam ważniejsze sprawy na głowie. Jednak w końcu nadeszła płożożółta koperta i dowiedziałam się, że medal mógł otrzymać Graham Frank Turnbull z pułku księcia Wellingtona albo Guy Francis Trentham z pułku Królewskich Strzelców.

Jak naprawdę się nazywałam, Turnbull czy Trentham?

Tego samego wieczoru napisałam do biura Wysokiego Brytyjskiego Komisarza w Canberrze prosząc o wyjaśnienie, z kim powinnam skontaktować się w celu uzyskania informacji o wspomnianych w liście pułkach. Kilka tygodni później otrzymałam odpowiedź. Dzięki nowym wskazówkom mogłam wysłać dwa kolejne listy, jeden do Hallifaxu, a drugi do Londynu. Znowu musiałam się uzbroić w cierpliwość. Ale dla kogoś, kto przez osiemnaście lat próbował odkryć

swoją prawdziwą tożsamość, kilka miesięcy nie stanowiło wielkiego problemu. Poza tym rozpoczęłam właśnie ostatni rok studiów i miałam mnóstwo pracy.

Pierwsza odpowiedź nadeszła z pułku księcia Wellingtona z informacją, że Graham Frank Turnbull zginął pod Passchendaele 7 listopada 1917 roku. Ponieważ urodziłam się w 1924 roku, porucznik Turnbull nie mógł być brany pod uwagę.

Kilka tygodni później otrzymałam wiadomość z pułku Królewskich Strzelców, że kapitan Guy Francis Trentham został odznaczony Krzyżem Wojennym 18 lipca 1918 roku, po drugiej bitwie pod Marną.

Poinformowano mnie również, że bliższe szczegóły mogę uzyskać w bibliotece muzeum pułku, które mieści się w Londynie. W tym celu jednak muszę zgłosić się do nich osobiście, gdyż nie są upoważnieni do przekazywania pocztą informacji o oficerach pułku.

Ponieważ nie miałam możliwości wyjazdu do Anglii, natychmiast wznowiłam dochodzenie na miejscu, tylko że tym razem działałam całkiem w ciemno. Spędziłam całe przedpołudnie na poszukiwaniach nazwiska "Trentham" w miejskim rejestrze kontroli urodzeń na Queen Street w Melbourne. Nikt taki tam nie figurował. Kilkakrotnie powtarzało się nazwisko Ross, ale daty urodzeń nawet w przybliżeniu nie pokrywały się z moją. Zaczęłam pojmować, że ktoś musiał zadać sobie wiele trudu, żeby udaremnić mi próby dotarcia do własnych korzeni. Ale dlaczego?

Nagle wyjazd do Anglii stał się w moim życiu nadrzędnym celem, pomimo braku pieniędzy i dopiero co zakończonej wojny.

Sprawdziłam wszystkie kursy, jakie były oferowane absolwentom i studentom. Mój opiekun na roku uważał, że warto ubiegać się jedynie o stypendium Akademii Sztuki Slade'a w Londynie, która przyjmowała co roku trzech studentów ze Wspólnoty Brytyjskiej.

Spędziłam godziny na przygotowaniach i w rezultacie znalazłam się na liście sześciu finalistów, którzy zostali zaproszeni na rozmowę kwalifikacyjną do Canberry.

W czasie jazdy pociągiem do stolicy Australii okropnie się denerwowałam, ale potem byłam zadowolona z przebiegu rozmowy. Zwłaszcza, że egzaminatorzy podkreślili szczególną wartość mojej rozprawy z historii sztuki, choć zgodnie przyznali, że prace praktyczne nie stały już na tak wysokim poziomie.

Miesiąc później do mojej skrzynki pocztowej wrzucono kopertę z pieczętą Akademii Slade'a. Rozerwałam ją pośpiesznie i wyjęłam list, który zaczynał się słowami:

Szanowna Panno Ross, Z przykrością panią zawiadamiamy...

Jedynym pożytkiem z mojej dodatkowej pracy było to, że gładko przebrnęłam przez egzaminy końcowe i ukończyłam uczelnię z wyróżnieniem. Ale nie zbliżyło mnie to ani (c) krok do Anglii.

Zrozpaczona zatelefonowałam do urzędu Wysokiego Brytyjskiego Komisarza i poprosiłam o połączenie z attache do spraw zatrudnienia. Dama po drugiej stronie linii poinformowała mnie, że dla osoby z moimi kwalifikacjami znalazłoby się kilka posad nauczycielki. Dodała też, że musiałabym podpisać trzyletni kontrakt i odbyć podróż na własny koszt. Ładnie powiedziane, pomyślałam, tym bardziej że nie stać mnie było na podróż do Sydney, a co dopiero do Zjednoczonego Królestwa. Poza tym sądziłam, że miesiąc w Anglii powinien mi wystarczyć na odnalezienie śladów Guya Francisza Trenthama.

Inny i jedyny dostępny rodzaj zatrudnienia, wyjaśniła mi kobieta, gdy zatelefonowałam do niej po raz drugi, to praca tzw. "posługaczy". Obejmowała posady w hotelach, w szpitalach i domach starców. Przez rok była bardzo nisko płatna w zamian za transport do Anglii i z powrotem. Ponieważ

wciąż nie miałam żadnych planów na przyszłość, a zdawałam sobie sprawę, że to może być dla mnie jedyna szansa wyjazdu do Anglii i odszukania związków z przeszłością, wciągnęłam się na listę ochotników. Większość z moich przyjaciół na uniwersytecie sądziła, że postradałam zmysły, ale nie znali prawdziwego celu mojej wizyty na starym kontynencie.

Statek, którym płynęłam razem z dwiema innymi "posługaczkami" do Southampton, nie różnił się bardzo od tego, którym przybyli z przeciwnej strony pierwsi australijscy emigranci sto siedemdziesiąt lat temu. Zostałyśmy w trójkę umieszczone w kabinie nie większej niż mój pokój w akademiku, a gdy przechył statku przekraczał dziesięć stopni, Pam i Maureen spadały na moją koję.

Wszystkie podpisałyśmy kontrakt na pracę w hotelu Melrose, na Earls Court, który, jak nas zapewniono, znajdował się w samym centrum Londynu. Po sześciu tygodniach podróży dotarłyśmy w końcu do portu docelowego, gdzie na nabrzeżu czekała na nas rozklekotana wojskowa ciężarówka. Zawiozła nas do stolicy, pod samo wejście do Melrose. Właściciel hotelu wskazał nam miejsca noclegowe. Stwierdziłam ze zdziwieniem, że znowu musimy dzielić w trójkę pokój nie większy od kabiny, w której ścieśniałyśmy się na pokładzie statku, tyle tylko, że teraz przynajmniej nie było obawy, iż niespodziewanie wypadniemy z łóżek.

Minęły ponad dwa tygodnie, zanim zwolniono mnie na tak długo, żebym mogła pójść do urzędu pocztowego Kensington i sprawdzić książkę telefoniczną Londynu. Ale nie znalazłam w niej nazwiska Trentham.

- Może mają zastrzeżony telefon - zasugerowała dziewczyna w okienku.

- Albo nikt o takim nazwisku nie mieszka w Londynie - dodałam, ostatecznie uznając fakt, że muzeum pułkowe jest moją jedyną nadzieją.

Dotychczas sądziłam, że podczas studiów na Uniwersytecie w Melbourne ciężko pracowałam, ale w Melrose trzymano nas codziennie przez tyle godzin na nogach, że z sił by opadł nawet zaprawiony w bojach żołnierz. Jednak nie zamierzałam dawać za wygraną, w przeciwieństwie do Pam i Maureen, które po miesiącu zdepeszowały do swoich rodziców w Sydney, prosząc ich o pieniądze, i wsiadły na pierwszy statek, który płynął do Australii. Teraz przynajmniej miałam pokój tylko dla siebie, w każdym razie do czasu przybycia nowych "posługaczek". Szczerze mówiąc, najchętniej też spakowałabym rzeczy i wróciła razem z nimi do domu, ale nie miałam nikogo w Australii, do kogo mogłabym wysłać telegram z prośbą o przysłanie kwoty wyższej niż dziesięć funtów.

Przy pierwszej okazji, gdy miałam wolny dzień i nie byłam całkiem wyczerpana, pojechałam pociągiem do Hounslow. Bileter przy wyjściu z dworca skierował mnie do centrum szkolenia rekrutów Królewskich Strzelców, gdzie mieściło się teraz muzeum pułku.

Pokonałam półtora kilometra, zanim w końcu odnalazłam właściwy budynek. Sprawiał wrażenie całkiem opustoszałego, z wyjątkiem jedyne go strażnika, który drzemał w okienku. Weszłam zachowując się hałaśliwie, obudziłam go i udawałam, że niczego nie zauważyłam.

- Mogę w czymś pomóc, młoda damo? - zapytał, przecierając powieki.

- Mam nadzieję, że tak.

- Jest pani Australijką?

- Czy to aż tak bardzo rzuca się w oczy?

- Walczyłem z pani rodakami w Północnej Afryce - wyjaśnił. - Cholernie dobrzy z nich żołnierze, zapewniam panią. A więc, czym mogę służyć?

- Pisałam do was z Melbourne - powiedziała, wyjmując z torebki odręcznie przepisana kopię

listu. - W sprawie właściciela tego medalu. - Zdjęłam przez głowę sznurek z krzyżykiem i podałam go strażnikowi. - Nazywał się Guy Francis Trentham.

- Miniatura Krzyża Wojennego - rzekł bez wahania sierżant, biorąc przedmiot do ręki. - Guy Francis Trentham, mówi pani?

- Tak.

- Dobrze. Zajrzyjmy wobec tego do wielkiej księgi, lata 1914-1918, prawda?

Skinęłam głowę.

Podszedł do solidnej półki obciążonej grubymi rocznikami i zdjął z niej opasły tom oprawiony w skórę. Z głuchym łoskotem rzucił go na blat stołu, wzbijając kurz na wszystkie strony. Na okładce widniało wydrukowane złotymi literami hasło: "Królewscy Strzelcy, Odznaczenia, 1914-1918".

- Bierzmy się do roboty - zaczął wertować księgę. Czekałam ze zniecierpliwieniem. - Oto i on - oświadczył z tryumfem. - Guy Francis Trentham, kapitan. - Odwrócił książkę w moją stronę, żebym mogła lepiej przyjrzeć się zapisowi. Byłam tak podekscytowana, że dopiero po kilku chwilach zrozumiałam sens słów. List pochwalny kapitana Trenthama obejmował dwadzieścia dwa wiersze. Zapytałam, czy pozwoli mi go przepisać w całości.

- Ależ oczywiście. Proszę się rozgościć. - Wręczył mi duży arkusz papieru w linie i źle zatemperowany ołówek. Zaczęłam pisać:

Rankiem 18 lipca 1918 roku, kapitan Guy Trentham z drugiego batalionu Królewskich Strzelców poprowadził z okopów kompanię wojsk sprzymierzonych w stronę linii nieprzyjaciela, Zabił kilku niemieckich żołnierzy, zanim dotarł do ich okopów, skąd bez niczyjej pomocy przepędził całą jednostkę. Potem kapitan Trentham prowadził pościg za dwoma żołnierzami niemieckimi. Zagonił ich do pobliskiego lasu, gdzie udało mu się ich zabić.

Jeszcze tego samego wieczoru, choć oblegany przez wroga, ocalił życie dwóm żołnierzom ze swojej kompanii, szeregowemu T. Prescottowi i kapralowi C. Trumperowi, którzy zabłądzili wracając z pola bitwy i schronili się w pobliskim kościele. Pod osłoną nocy, nie zważając na ogień nieprzyjaciela, przeprowadził ich przez otwarty teren.

Szeregowy Prescott poległ, trafiony zbłąkaną niemiecką kulą, zanim zdołał dotrzeć do własnych okopów.

Kapral Trumper przeżył pomimo nieprzerwanego ognia zaporowego nieprzyjaciela.

Za wzorową postawę dowódcy i bohaterstwo w obliczu wroga kapitan Trentham został odznaczony Krzyżem Wojennym.

Gdy przepisałam już każde słowo najstaranniej, jak potrafiłam, zamknęłam ciężką księgę i z powrotem odwróciłam ją w stronę sierżanta.

- Trentham - zamyślił się. - Jeśli dobrze pamiętam, panienko, na ścianie wisi jego zdjęcie. - Sierżant podniósł kule, wy dostał się zza lady i kuśtykając powoli przeszedł na drugą stronę pokoju.

Dopiero wtedy zauważyłam, że ten biedny człowiek ma tylko jedną nogę. - Tędy, panienko, proszę za mną.

Zaczęły mi się pocić dłonie i poczułam się słabo na myśl, że za chwilę zobaczę, jak wyglądał mój ojciec. Zastanawiałam się, czy jestem do niego podobna.

Sierżant kulejąc minął Krzyże Wiktorii i podszedł do fotografii oficerów odznaczonych Krzyżami Wojennymi. W równym szeregu wisiały źle oprawione sepiowe zdjęcia. Wodził po nich palcem.

- Stevens, Thomas, Tubbs. To dziwne. Przysięgłbym, że tutaj było jego zdjęcie. Nie do wiary! Pewnie zawieruszyło się, podczas przeprowadzki z Tower.

- Może wisi gdzie indziej?

- Nic o tym nie wiem, panienko. Przysięgłbym, że widziałem je, gdy muzeum mieściło się w Tower. Nie do wiary! - powtórzył.

Zapytałam go, czy mógłby poinformować mnie o losach kapitana po 1918 roku. Sierżant pokuśtykał z powrotem w stronę okienka i odnalazł nazwisko Trentham w pułkowym dzienniku.

34 - Prosto jak strzelił - Przyjęty do wojska w 1915 roku, awansowany do stopnia porucznika w 1916 roku, do kapitana w 1917 roku. W latach 1920-1922 służył w Indiach. Wystąpił z wojska w sierpniu 1922 roku. Nic o nim więcej nie wiem, panienko.

- Czy to możliwe, żeby jeszcze żył?

- Oczywiście. Miałby teraz pięćdziesiąt, najwyżej pięćdziesiąt pięć lat.

Spojrzałam na zegarek, podziękowałam strażnikowi i prędko wybiegłam z budynku. Bałam się, że jeśli się spóźnię na pociąg do Londynu, to nie zdążę wrócić na swoją zmianę.

Usadowiłam się w kącie obskurnego przedziału trzeciej klasy i przeczytałam raz jeszcze pochwalny. Cieszyłam się na myśl, że mój ojciec był bohaterem z pierwszej wojny światowej, nadal jednak nie mogłam pojąć, dlaczego panna Benson nie chciała mi nic o nim powiedzieć. Po co wyjeżdżał do Australii? I dlaczego zmienił nazwisko na Ross? Czułam, że muszę wrócić do Melbourne, żeby poznać dalsze losy Guya Francisa Trenthama. Gdybym miała pieniądze na powrót, wyjechałabym jeszcze tego samego wieczoru.

Musiałam jednak odsiedzieć wyrok do końca i przepracować w hotelu dziewięć miesięcy, żeby zbierać gotówkę na bilet do domu.

Londyn w 1947 roku był fascynującym miejscem dla dwudziestotrzylatki. Miasto oferowało wiele atrakcji, które wynagradzały żmudną pracę. Każdą wolną chwilę spędzałam w galeriach sztuki, w muzeum albo szłam do kina z koleżanką z hotelu. Kilka razy wybrałam się nawet z grupą przyjaciół na tańce do Mekki, przy bocznej ulicy od Strandu. Pamiętam, że podczas jednego z takich wieczorów poprosił mnie do tańca przystojny żołnierz z RAF-u, a już chwilę potem próbował mnie pocałować. Gdy go odepchnęłam, zaczął zachowywać się w sposób jeszcze bardziej natarczywy. Ucieczka stała się możliwa dopiero dzięki kopniakowi w kostkę i szybkiemu wycofaniu się z parkietu. Kilka minut później wracałam sama do hotelu.

Szłam w kierunku Earls Court przez Chelsea i przystawałam co chwila, żeby podziwiać nieosiągalne dla mnie towary na wystawach sklepowych. Szczególne pożądanie wzbudził we mnie długi, błękitny jedwabny szal upięty na ramionach manekina o smukłej sylwetce. Na chwilę przerwałam oglądanie witryn, ponieważ moją uwagę przykuł napis nad wejściem do jednego ze sklepów: "Trumper". Nazwisko wydało mi się znajome, ale nie wiedziałam, dlaczego. Ruszyłam wolnym krokiem w stronę hotelu, a jedyny Trumper, który przychodził mi na myśl, był legendarnym australijskim graczem w krykieta; ten jednak zmarł przed moim urodzeniem. Przypomniałam sobie w środku nocy. Trumper C. był kapralem, o którym wspomniano w pochwalnym liście mojego ojca. Wskoczyłam z łóżka, otworzyłam dolną szufladę małego biurka i sprawdziłam tekst, który przepisałam podczas wizyty w muzeum pułku Królewskich Strzelców.

Z nazwiskiem Trumper spotkałam się nie po raz pierwszy po przyjeździe do Anglii. Zastanawiałam się, czy właściciel sklepu jest spokrewniony z owym kapralem i czy w związku z tym będzie mógł mi pomóc go odnaleźć. Postanowiłam przy najbliższej okazji wrócić do muzeum w Hounslow i zasięgnąć u jednonogiego przyjaciela dalszych informacji.

- To miło, że panienko znowu przysłała nas odwiedzić - powiedział, podchodząc do okienka.

Byłam wzruszona, że mnie zapamiętał. - Na pewno chciałyby się panienka jeszcze czegoś dowiedzieć?

- Ma pan rację - przyznałam. - Czy kapral Trumper nie jest przypadkiem...?

- Charlie Trumper jest powszechnie szanowanym kupcem. Tak, to on, panienko. Tylko że teraz jest już sir Charlesem i właścicielem wielu sklepów na Chelsea Terrace.

- Tak myślałam.

- Miałem zamiar panience o nim opowiedzieć ostatnim razem, ale panienka tak prędko stąd wybiegła. - Uśmiechnął się szeroko.

- Zaoszczędziłyby sobie panienka wyprawy i sześciu miesięcy niepewności.

Następnego wieczoru, zamiast pójść na film z Gretą Garbo do Gate Cinema w Notting Hill, usiadłam na starej ławce na końcu Chelsea Terrace i przyglądałam się rzędom witryn sklepowych. Sir Charles był właścicielem prawie wszystkich sklepów na tej ulicy.

Zastanowiło mnie tylko puste miejsce, które zostawił w samym środku handlowego kompleksu.

Głowiłam się nad sposobem, w jaki mogłabym się z nim spotkać.

Prośba o dokonanie wyceny medalu pod numerem pierwszym była jedynym pomysłem, jaki mi przychodził na myśl.

Przez cały następny tydzień pracowałam na dziennej zmianie, dlatego mogłam wrócić pod numer pierwszy na Chelsea Terrace dopiero w następny poniedziałek po południu. Pokazałam dziewczynie za ladą Krzyż Wojenny i zapytałam o jego wartość. Przyjrzała się uważnie małemu przedmiotowi i zwróciła się o pomoc do wysokiego, sumiennie wyglądającego mężczyzny, który przez chwilę badał medal, zanim podzielił się ze mną swoją opinią.

- To miniatura Krzyża Wojennego - oświadczył - noszona zwykle przy mundurach galowych podczas kolacji w kasynie. Jej wartość oceniam na około dziesięć funtów. - Zawahał się przez moment - Jeśli zależy pani na dokładniejszej wycenie, może się pani zwrócić do firmy Spinks na King Street pod numerem piątym.

- Dziękuję. - Nie dowiedziałam się niczego nowego i nie przychodził mi do głowy żaden pomysł, jak zagadnąć go na temat wojennego zapisu, który dotyczył sir Charlesa.

- Czy mógłbym jeszcze być w czymś pomocny? - zapytał, gdy tkwiłam tam nadal jak wrośnięta w ziemię.

- Co trzeba zrobić, żeby dostać tutaj pracę? - zadałam rozpaczliwe pytanie. Poczułam się głupio.

- Proszę skierować do nas podanie z uwzględnieniem wykształcenia i przebiegu dotychczasowej praktyki, a my za kilka dni skontaktujemy się z panią.

Podziękowałam i wyszłam, nic więcej nie dodając.

Wieczorem usiadłam i sporządziłam na brudno notatkę, przedstawiając swoje kwalifikacje jako historyka sztuki. Na kartce prezentowały się dość skromnie.

Następnego dnia rano przepisałam życiorys na najdelikatniejszym papierze firmowym hotelu, a ponieważ nie wiedziałam, do kogo mam się zwrócić, zaadresowałam kopertę: "Dział zatrudnienia".

Nazajutrz po południu wręczyłam osobiście podanie dziewczynie za ladą w domu aukcyjnym, nie licząc na odpowiedź. Nie wiedziałam, co zrobię, jeśli zaproponują mi tę pracę. Za kilka miesięcy zamierzałam przecież wrócić do Melbourne. Nie wyobrażałam też sobie, w jaki sposób posada w firmie Trumper miałyby mi pomóc w zawarciu znajomości z sir Charlesem.

Dziesięć dni później otrzymałam list od urzędnika działu kadr z informacją, że zapraszają mnie na rozmowę. Wydałam cztery funty i piętnaście szylingów z mojej ciężko zapracowanej pensji na nową

sukienkę i stawiałam się na spotkanie ponad godzinę przed czasem.

Zdażyłam kilkakrotnie obejść wszystkie sklepy i stwierdzić, że sir Charles oferuje wszystko, o czym tylko istota ludzka może zamarzyć, jeśli tylko na to ją stać.

W końcu weszłam do domu aukcyjnego, podeszłam do lady i przedstawiłam się. Zaprowadzono mnie do biura na ostatnim piętrze. Kobieta, która ze mną rozmawiała, powiedziała, że nie pojmuję, dlaczego osoba z moimi kwalifikacjami pracuje jako sprzątaczką w hotelu. Wyjaśniłam jej, że ta posada jest jedyną dostępną dla tych, którzy nie mogą sobie pozwolić na kupno biletu do Anglii.

Uśmiechnęła się do mnie i uprzedziła, że jeśli zostanę zatrudniona na Chelsea Terrace pod numerem pierwszym, to będę musiała tak jak wszyscy zacząć od stania za ladą. Zapewniła mnie, że dobrzy pracownicy prędko awansują.

- Ja też zaczynałam za ladą w Sotheby's - wyjaśniła. Miałam ochotę ją zapytać, jak długo to trwało.

- Z największą przyjemnością podjęłabym pracę w firmie Trumper - westchnęłam. - Niestety, do końca kontraktu w hotelu Melrose pozostały mi jeszcze dwa miesiące.

- Wobec tego będziemy musieli na panią poczekać - zdecydowała bez wahania. - Zatem spotykamy się pierwszego września, panno Ross. Do końca tygodnia potwierdzę warunki naszego porozumienia na piśmie.

Byłam tak podniecona propozycją, że straciłam z oczu główny cel, który mi przyświecał, gdy ubiegałam się o tę posadę. Przypomniałam sobie o nim dopiero wtedy, gdy moja rozmówczyni przysłała obiecane pismo i przeczytałam podpis na dole pierwszej strony.

ROZDZIAŁ 40

Cathy przez jedenaście dni pracowała za ladą w domu aukcyjnym Trumper, gdy Simon Matthews zwrócił się do niej o pomoc w przygotowaniu katalogu na aukcję malarstwa włoskiego. Jako pierwszy zauważył, że dziewczyna samodzielnie radzi sobie z ogromem zadań. Cathy pracowała tak samo ciężko jak w Melrose, ale z tą różnicą, że wykonywała teraz swoje obowiązki z przyjemnością.

Po raz pierwszy w życiu czuła, że należy do rodziny. Rebeka Trumper zawsze była pogodna, przyjaźnie odnosiła się do swojego personelu i wszystkich równo traktowała. Pensja Cathy nieporównywalnie przewyższała minimalne zarobki w poprzednim miejscu zatrudnienia, a pokój, który otrzymała nad sklepem rzeźnika pod numerem sto trzydziestym piątym, był pałacem w porównaniu z dziuplą na tyłach hotelu.

Poszukiwania informacji na temat ojca zeszły teraz na dalszy plan, gdyż Cathy postanowiła udowodnić, że zasługuje na swoje miejsce w domu aukcyjnym na Chelsea Terrace. Jej pierwsze zadanie opracowania katalogu polegało na zbadaniu historii każdego z pięćdziesięciu dziewięciu płócien, które miały pójść pod młotek. W tym celu zjeżdżała wszystkie biblioteki w całym Londynie i przeprowadziła rozmowy telefoniczne z wszystkimi galeriami, sprawdzając pochodzenie obrazów. Tylko jedno płótno okazało się dla niej problemem nie do rozwiązania; nie sygnowany olejny obraz Madonny z Dzieciątkiem, o którym nie było nic wiadomo poza tym, że pochodził z kolekcji sir Charlesa Trumpera oraz że jego aktualną właścicielką była pani Kitty Bennett.

Cathy zwróciła się z prośbą do Simona Matthews, który odpowiadał za zorganizowanie aukcji, żeby ukierunkował jej poszukiwania. Zdaniem szefa działu obraz namalował któryś z uczniów Bronzino.

Simon zasugerował też, że powinna sprawdzić, czy nie ma jakichś informacji na temat płótna w rocznikach z wycinkami z gazet.

- Dowiesz się z nich niemal wszystkiego o rodzinie Trumperów.
- Gdzie mogę je znaleźć?
- Na czwartym piętrze w małym pomieszczeniu na końcu korytarza.

Cathy znalazła komórkę, w której przechowywano dokumenty.

Zanim zaczęła wertować księgi, musiała z nich zetrzeć pokłady kurzu i zdjąć pajęczyny. Usiadła na podłodze, podwinęła pod siebie nogi i kartkując roczniki pochłaniała informacje o karierze Charlesa Trumpera, od czasu jego pierwszego straganu na Whitechapel do projektu zabudowania Chelsea Terrace. Chociaż wzmianki prasowe z wcześniejszych lat były skąpe, uwagę Cathy zwrócił krótki artykuł, który pochodził z "Evening Standard". W prawym górnym rogu pożółklej ze starości strony widniała prawie niewidoczna data: 8 września 1922 roku.

Wczoraj rano do domu państwa Trumperów przy Gilston Road 11, w Chelsea, włamał się wysoki mężczyzna w wieku około dwudziestu pięciu - trzydziestu lat, nie ogolony i ubrany w stary wojskowy płaszcz. Chociaż włamywacz uciekł tylko z małym olejnym obrazem, który nie przedstawiał większej wartości, pani Trumper, będąca w siódmym miesiącu ciąży z drugim dzieckiem, straciła przytomność pod wpływem szoku.

Została później pospiesznie odwieziona przez męża do szpitala Guya.

Naczelny chirurg, pan Armitage, natychmiast przeprowadził operację, ale dziecka nie dało się uratować. Pani Trumper musi pozostać na obserwacji w szpitalu jeszcze przez kilka dni.

Policja zwraca się z prośbą o pomoc do wszystkich, którzy znajdowali się wtedy w pobliżu miejsca przestępstwa.

Wzrok Cathy zatrzymał się na drugiej notatce, która ukazała się trzy tygodnie później.

Policja znalazła porzucony wojskowy płaszcz, który mógł mieć na sobie mężczyzna, podejrzany o włamanie do mieszkania państwa Trumperów, rankiem 7 września. Okazało się, że właścicielem płaszcza jest kapitan Guy Trentham, do niedawna służący w Królewskich Strzelcach i przebywający ze swoim pułkiem w Indiach Cathy kilkakrotnie przeczytała oba wycinki. Czy była córką człowieka, który próbował okraść sir Charlesa Trumpera i ponosił odpowiedzialność za śmierć jego drugiego dziecka? A co miał z tym wspólnego obraz? Skąd się wziął u pani Bennett? A co ważniejsze, dlaczego lady Trumper tak bardzo zainteresowała się mało wartościowym obrazem pędzla jakiegoś nieznanego malarza? Nie umiała odpowiedzieć na te pytania. Zamknęła rocznik z wycinkami z prasy i wepchnęła go na sam spód stosu. Umyła ręce i miała ochotę zejść na dół, żeby wypytać o wszystko lady Trumper, ale wiedziała, że nie może tego zrobić.

Gdy katalog znajdował się już od przeszło tygodnia w sprzedaży, Rebeka wezwała ją do swojego biura. Cathy zaniepokoiła się, czy ktoś nie odkrył jakiejś strasznej pomyłki albo nie natknął się na informacje o obrazie Madonny z Dzieciątkiem, które powinny zostać umieszczone w wykazie wystawionych na sprzedaż płócien.

- Moje gratulacje - powiedziała Becky, gdy Cathy weszła do biura.

- Dziękuję - rzekła Cathy, nie bardzo wiedząc, za co otrzymała pochwałę.

- Wszystkie twoje katalogi zostały sprzedane i natychmiast musimy wznowić nakład.

- Przykro mi, że nie zdołałam znaleźć żadnych istotnych informacji na temat obrazu pani męża - tłumaczyła się Cathy, czując ulgę, że to nie z tego powodu Rebeka chciała się z nią widzieć.

Miała też nadzieję, że szefowa wyjawii jej, w jaki sposób sir Charles wszedł kiedyś w posiadanie obrazu, a także naświetli sprawę powiązania Trumperów z kapitanem Trenthamem.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparła Becky; nie oferując dalszych wyjaśnień.

Natknęłam się na artykuł, w którym jest wzmianka o jakimś kapitanie Guyu Trenthamie. Ciekawa jestem... - chciała powiedzieć Cathy, ale nie odezwała się.

- Czy masz ochotę pomóc nam w prowadzeniu aukcji w przyszłym tygodniu?

W dniu sprzedaży malarstwa włoskiego Cathy była tak zdenerwowana, że nie mogła rano nic przelknąć.

Aukcja rozpoczęła się i obraz za obrazem uzyskiwał ceny wyższe od szacunkowych. Cathy była zachwycona, gdy "Bazylika św. Marka" osiągnęła najwyższą cenę, jaką kiedykolwiek zapłacono za płótno tego malarza.

Gdy po arcydziele Canaletta miejsce na sztalugach zajął mały olejny obraz, należący kiedyś do kolekcji sir Charlesa, Cathy poczuła nagle mdłości. Być może stało się to za sprawą sposobu

oświetlenia płótna, ale Cathy w jednej chwili wiedziała, że też ma przed sobą dzieło mistrza. Przyszło jej na myśl, że gdyby dysponowała kwotą dwustu funtów, natychmiast sama włączyłaby się do licytacji.

Zgiełk, jaki nastąpił zaraz po tym, gdy płótno zostało zdjęte ze sztalug, jeszcze bardziej ją zaniepokoił. Czowała, że człowiek, który wystąpił z oskarżeniem, ma rację i obraz rzeczywiście jest pędzla Bronzino. Nigdy nie widziała lepszego przykładu typowych dla jego malarstwa pucułowatych twarzy otoczonych promiennymi aureolami.

Tymczasem lady Trumper i Simon nie obciążyli winą Cathy, tylko nadal wszystkich zapewniali, że płótno jest znaną galerii od lat kopia.

Po zakończonej aukcji Cathy sprawdzała kolejność listy nabywców. Kilka kroków dalej Simon informował jednego z właścicieli galerii, że jego obraz nie uzyskał ceny minimalnej i może być sprzedany indywidualnie. Nagle Cathy zamarła, słysząc słowa lady Trumper, która zwróciła się do Simona po wyjściu pośrednika:

- To kolejna nikczemna sztuczka pani Trentham. Czy zauważyłeś tę wstrętną kobietę? Siedziała z tyłu sali. - Simon skinął głową, ale się nie odezwał.

W tydzień po orzeczeniu, jakie wydał biskup z Reims, Simon zaprosił Cathy na kolację do swojego mieszkania na Pimlico.

- Będzie mała uroczystość - dodał i wyjaśnił, że zaprosił wszystkich, którzy brali udział w przygotowaniach do aukcji malarstwa włoskiego.

Cathy przyjechała do niego wieczorem i zastała przy winie zaledwie kilka osób z wydziału Starych Mistrzów. Ale gdy siadali do kolacji, brakowało już tylko Becky. Raz jeszcze Cathy odczuła rodzinną atmosferę, jaką Trumperowie umieli stworzyć nawet wtedy, gdy byli nieobecni. Goście zachwycali się wspaniałą zupą z avocado i dziką kaczką, której przygotowanie zajęło Simonowi, jak stwierdził, całe popołudnie. Cathy i młody mężczyzna o imieniu Julian, zatrudniony w dziale unikalnych ksiązek, zostali dłużej od innych gości, żeby pomóc Simonowi posprzątać.

- Nie zawracajcie sobie głowy zmywaniem - rzekł Simon. - Jutro rano przyjdzie sprzątaczką, która sobie z tym poradzi.

- Typowo męskie podejście do sprawy - powiedziała Cathy, nie przerywając splukiwania talerzy. - Muszę się przyznać, że miałam swoje ukryte motywy, żeby zostać dłużej.

- Ciekaw jestem jakie? - zapytał Simon i wziął ścierkę, żeby pomóc Julianowi w wycieraniu.

- Kto to jest pani Trentham? - zapytała niespodziewanie Cathy.

Simon odwrócił się gwałtownie w jej stronę, więc prędko dodała: - Słyszałam, jak Becky o niej wspominała kilka minut po aukcji, już potem gdy zniknął mężczyzna w tweedowej marynarce, który narobił tyle szumu.

Simon przez chwilę milczał, jak gdyby wahał się, co ma jej powiedzieć. Zdążył wytrzeć dwa talerze, zanim się odezwał.

- Ta sprawa sięga odległych czasów, jeszcze nim zacząłem pracować, w tej firmie. Nie zapominaj, że najpierw przez pięć lat byłem z Becky w Sotheby's, zanim mnie poprosiła, żebym przeszedł do domu aukcyjnego Trumper. Szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego; ona i pani Trentham tak bardzo się nie znoszą. Słyszałem tylko, że syn pani Trentham i sir Charles służyli w tym samym pułku w czasie pierwszej wojny światowej, oraz że Guy Trentham był zamieszany w sprawę kradzieży obrazu Madonny z Dzieciątkiem, który musiał zostać wycofany z aukcji. Przez te wszystkie lata obilo mi się jedynie o uszy, że Guy Trentham zniknął w Australii, wkrótce po...

Ojej, to była jedna z moich najładniejszych filiżanek do kawy.

- Przepraszam - powiedziała Cathy. - Straszna ze mnie niezdara. - Uklękła i zaczęła zbierać z kuchennej posadzki małe kawałki chińskiej porcelany. - Gdzie mogę ją odkupić?

- W dziale z chińską porcelaną firmy Trumper - poinformował ją Simon. - Jedna sztuka kosztuje prawie dwa szylingi. - Cathy roześmiała się. - I przyjmij ode mnie radę - dodał. - Jest to złota reguła, którą kieruje się cały starszy personel.

Cathy przestała zbierać skorupy.

- Nigdy nie wymawiaj nazwiska pani Trentham przy Becky, chyba że sama poruszy ten temat. A tym bardziej nie wspominaj o tej rodzinie w obecności sir Charlesa. Jeśli to zrobisz, przypuszczam, że cię z miejsca wyrzuci z pracy.

- Nie sądzę, żebym miała okazję - powiedziała Cathy. - Dotychczas jeszcze go nie spotkałam. Widziałam go tylko raz: w siódmym rzędzie na aukcji malarstwa włoskiego.

- No cóż, dobrze, że przynajmniej w tej sprawie mogę coś zrobić - rzekł Simon. - Czy nie zechciałabyś dotrzymać mi towarzystwa na przyjęciu, które Trumperowie wydają w przyszły poniedziałek z okazji otwarcia ich nowego domu na Eaton Square?

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście - zapewnił Simon. - Nie sądzisz chyba, że sir Charles byłby zachwycony, gdybym przyniósł ze sobą Juliana.

- Czy nie uznają tego za nietakt, gdy dopiero co przyjęta do pracy osoba zjawi się u boku swojego szefa wydziału?

- Na pewno nie sir Charles. On nawet nie wie, co znaczy słowo "nietakt".

Cathy spędziła wiele godzin w czasie przerw obiadowych, odwiedzając sklepy z ubraniami w Chelsea, zanim wybrała kreację odpowiednią na przyjęcie z okazji otwarcia domu. Zdecydowała się na żółtą sukienkę przewiązaną w pasie szeroką szarfą, którą ekspedientka określiła jako stosowną na cocktail. Cathy w ostatniej chwili nabrała obaw, czy długość sukni nie jest zbyt śmiała jak na tak wielką okazję. Ale Simon zareagował na jej widok słowami:

- Zrobisz furorę. Zaręczam. - Dzięki jego szczeremu zapewnieniu poczuła się nieco raźniej, w każdym razie do momentu, gdy stanęli na ostatnim stopniu schodów przed wejściem do domu Trumperów na Eaton Square.

Simon zapukał do drzwi swoich pracodawców, a Cathy, która jeszcze nigdy nie była w tak pięknym domu, łudziła się, że fakt ten nie będzie dla wszystkich zbyt oczywisty. Ale gdy tylko lokaj wprowadził ich do środka, w jednej chwili wyzbyła się wszelkich zahamowań i napawała oczy widokiem czekającej ją uczy. W czasie gdy inni pili szampana, którego zasoby zdawały się nie mieć końca, albo częstowali się kanapkami, które roznoszono na tacach, Cathy gdzie indziej skierowała swoją uwagę i wchodząc po schodach, delectowała się każdym unikalnym kąskiem.

Pierwszy był Courbet, martwa natura o wspaniałej gamie czerwieni oraz bogactwie pomarańczowych i zielonych barw, a potem Picasso, dwa gołębie dotykające się dziobami i otoczone różowym kwieciami drzewa. Kolejny krok i wzrok Cathy napotkał Pissaro - utrzymany w zielonej tonacji obraz starej kobiety niosącej tobiół z wiązką siana. Ale tak naprawdę Cathy zaparło dech dopiero na widok Sisleya - pejzażu z Sekwaną, w którym każde muśnięcie pastelowej barwy miało swoją wagę.

- To mój ulubiony obraz - dobiegł ją z tyłu czyjś głos. Odwróciła się i zobaczyła wysokiego, rozczochranego młodego mężczyznę, który pogodnie się do niej uśmiechał. Jego uśmiech był

zaraźliwy.

Miał na sobie źle dopasowany smoking i przekrzywioną muszkę.

Rozwalił się na balustradzie, jak gdyby bez jej wsparcia nie potrafił utrzymać się na nogach.

- Tak, jest bardzo piękny - przyznała. - Gdy byłam młodsza, próbowałam trochę malować. I właśnie Sisley ostatecznie mnie przekonał, że powinnam zająć się czymś innym.

- Dlaczego?

Cathy westchnęła.

- Sisley namalował ten obraz w wieku siedemnastu lat, gdy chodził jeszcze do szkoły.

- Wielkie nieba - powiedział młody człowiek. - Widzę, że mam do czynienia z ekspertem. - Cathy uśmiechnęła się do nieznanego. - Może powinniśmy zakraść się wyżej i pooglądać obrazy, które wiszą na górnym piętrze - zasugerował.

- Myśli pan, że sir Charles nie miałby nic przeciwko temu?

- Nie sądzę - odparł młody człowiek. - Jaki sens miałyby kolekcjonowanie, gdyby nikt inny poza kolekcjonerem nie mógł podziwiać zbiorów?

Cathy, podtrzymana na duchu jego zapewnieniem, weszła o jeden stopień wyżej.

- Wczesny Sickert. Wspaniały. Prawie wcale nie pojawia się na rynku.

- Na pewno pracuje pani w galerii.

- Tak, w galerii Trumper - wyjaśniła z dumą Cathy. - Na Chelsea Terrace pod numerem pierwszym. A pan?

- W pewnym sensie też pracuję dla tej firmy - wyznał. Cathy kątem oka zauważyła sir Charlesa, który wyszedł z pokoju i pojawił się na podeście schodów. Było to jej pierwsze bliskie spotkanie z prezesem. Miała ochotę jak Alicja zniknąć w dziurce od klucza.

Tymczasem jej towarzysz najwyraźniej nie czuł się skrępowany i zachowywał się tak, jak gdyby był u siebie w domu.

Gospodarz uśmiechnął się do Cathy.

- Dzień dobry - powitał ją, schodząc niżej. - Nazywam się Charlie Trumper i wszystko już o pani słyszałem, droga damo.

Widziałem też panią na aukcji malarstwa włoskiego. Becky powiedziała mi, że wspaniale wywiązała się pani z swoich obowiązków.

Gratuluje katalogu.

- Dziękuję panu, sir-powiedziała Cathy, nie bardzo wiedząc, co ma do tego dodać. Prezes zwracał się tylko do niej, ignorując jej towarzysza.

- Widzę, że zdążyła już pani poznać mojego syna - stwierdził sir Charles, mijając ich na schodach. - Niech się pani nie da zwieść jego profesorskiemu wyglądowi. Jest w każdym calu takim samym huncwotem jak jego ojciec. Pokaż pani Bonnard, Danielu. - I po tych słowach sir Charles zniknął w salonie.

- O tak, Bonnard, to radość i chluba mojego ojca. Nie znam lepszego sposobu, żeby zwabić dziewczynę do sypialni.

- A więc Daniel Trumper to pan?

- Nie, jestem znanym złodziejem obrazów - zażartował Daniel, wziął Cathy za rękę i zaprowadził ją na górę do pokoju rodziców.

- Co pani sądzi o tym?

- Jest świetny - przyznała Cathy. Tylko tyle zdołała powiedzieć, gdy spojrzała na akt Bonnard,

który wisiał nad podwójnym łóżkiem i przedstawiał wycierającą się po kąpeli kochankę malarza, Michelle.

- Ojciec jest niezmiernie dumny z tej damy - wyjaśnił Daniel. - Ciągle nam przypomina, że kupił ją za jedyne trzysta gwinei.

Prawie tak dobrze, jak... - Daniel nie dokończył zdania.

- Ma doskonały gust - I najlepsze nieprofesjonalne oko w tym interesie, jak zwykła mówić moja matka. Trudno jej zaprzeczyć, skoro to on wyszukał każdy obraz, który wisi w tym domu.

- Dlaczego pańska matka w tym nie brała udziału?

- Ponieważ moja matka jest typem sprzedawcy, podczas gdy ojciec ma naturę kupca. Tworzą niezrównany związek od czasu, gdy Duveen i Berenson zaczęli spekulować na rynku dzieł sztuki.

- Tych dwóch powinno trafić do więzienia - zauważyła Cathy.

- Zaczynam obawiać się w takim razie, żeby mój ojciec nie skończył w tym samym miejscu, co Duveen. - Cathy roześmiała się.

- A teraz powinniśmy zejść na dół, póki zostało tam coś jeszcze do zjedzenia.

Gdy weszli do jadalni, Cathy zobaczyła, że Daniel podszedł do stołu w drugim końcu pokoju i zamienił wizytówki.

- Niech mnie diabli, panno Ross - powiedział, pomagając jej zająć miejsce za stołem. - Okazało się, że siedzimy obok siebie.

Cathy uśmiechnęła się. Zauważyła dziewczynę o niepozornym wyglądzie, która krążyła wokół stołu, rozpaczliwie szukając przydzielonego miejsca. Daniel zaspokoił wkrótce ciekawość Cathy na temat Cambridge, a w zamian chciał się jak najwięcej dowiedzieć o Melbourne, o mieście, w którym, jak twierdził, nigdy nie był. Gdy padło nieuchronne pytanie:

- Czym zajmują się twoi rodzice? - Cathy odpowiedziała bez wahania:

- Nie wiem. Jestem sierotą.

- Wobec tego jesteśmy dla siebie stworzeni - uśmiechnął się Daniel.

- Dlaczego?

- Ja jestem synem właściciela straganu warzywnego i córki piekarza z Whitechapel. Jako sierota z Melbourne stoisz o jeden szczebel wyżej ode mnie na drabinie społecznej.

Cathy śmiała się, gdy Daniel wspominał początki kariery swoich rodziców, a w miarę upływu czasu doszła do przekonania, że jest pierwszym człowiekiem, z którym chętnie porozmawiałaby na temat swojego nie wyjaśnionego i nie dającego się wyjaśnić pochodzenia.

Gdy pozbierano już ze stołu nakrycia po ostatnim daniu i podano kawę, Cathy spostrzegła, że z tyłu za jej krzesłem stoi dziewczyna, na którą już przedtem zwróciła uwagę. Daniel wstał i przedstawił jej Marjorie Carpenter, wykładowcę matematyki z Girton. Wkrótce okazało się, że młoda kobieta była gościem Daniela, który wyraził zdziwienie, a nawet rozczarowanie, że nie została posadzona obok niego na kolacji.

W pewnej chwili, gdy gawędzili w trójkę o życiu w Cambridge, markiza Wiltshire uderzyła łyżką w stół, prosząc o głos. Wygłosiła mowę, która była wielką improwizacją i wzniosła toast. Wszyscy wstali z miejsc i wychyliли kieliszki za przyszłość spółki Trumper. A potem markiza obdarowała sir Charlesa srebrną kasetą na cygara w kształcie miniaturowego "Wieżowców Trumper", czym sprawiła gospodarzowi wielką radość, sądząc po jego minie.

- Muszę już iść - powiedziała Cathy zaraz potem, gdy sir Charles zajął z powrotem miejsce po dowcipnym i również nie przygotowanym, jej zdaniem, przemówieniu. - Jutro muszę wcześniej wstać.

Miło mi było cię poznać, Danielu - przybrała nagle oficjalny ton.

Podali sobie ręce jak nieznajomi.

- Wkrótce się odezwę - przyrzekł. Podziękowała gospodarzom za niezapomniany wieczór.

Wyszła sama, gdy stwierdziła, że Simon jest pochłonięty rozmową z młodym, jasnowłosym mężczyzną, który był zatrudniony od niedawna w dziale dywanów.

Szła wolnym krokiem z Eaton Square na Chelsea Terrace i rozkoszowała się wspomnieniem każdej chwili wieczoru. Tuż po północy dotarła do swojego małego mieszkania pod numerem sto trzydziestym piątym. W pełni rozumiała uczucia Kopciuszka.

Rozbierając się do snu, myślała o tym, że czas upłynął jej tak mile głównie dzięki towarzystwu Daniela oraz okazji obejrzenia płócien ulubionych malarzy. Z rozmyślań wyrwał ją dźwięk telefonu.

Było już dobrze po północy. Podniosła słuchawkę, sądząc, że ktoś musiał wykręcić zły numer.

- Obiecałem, że się wkrótce odezwę - usłyszała głos.

- Idź do łóżka, wariacie.

- Już jestem w łóżku. Zadzwoń do ciebie rano. - Rozległ się tylko trzask odkładanej słuchawki.

Daniel zatelefonował następnego dnia tuż po ósmej.

- Dopiero co wyszłam z wanny - powiedziała.

- Pewnie wyglądasz jak Michelle. Przyjdę, żeby ci pomóc wybrać ręcznik.

- Zdażyłam się już nim dokładnie owinać, dziękuję.

- Szkoda - zmartwił się Daniel. - Czy nie zechciałabyś przyjechać do mnie w sobotę do Trinity? -

zapytał, zanim zdołała cokolwiek powiedzieć. - Uniwersytet obchodzi swoje święto. W roku akademickim jest niewiele przerw. Jeśli odrzucisz moje zaproszenie, nie ma szansy na to, żebyśmy zobaczyli się w ciągu najbliższych trzech miesięcy.

- W takim razie, zgadzam się. Ale tylko dlatego, że nie brałam udziału w takiej uroczystości od czasu opuszczenia szkoły.

W piątek Cathy pojechała pociągiem do Cambridge. Daniel czekał na nią na peronie. Chociaż Wysoki Stół Trinity słynął z tego, że onieśmielał nawet najbardziej pewnych siebie gości, Cathy czuła się swobodnie w towarzystwie wykładowców. Nie mogła tylko odsunąć od siebie myśli, ilu z nich dożyje sędziwego wieku, regularnie tyle jedząc i pijąc.

- Człowiek nie może żyć o samym chlebie. - To było jedyne wyjaśnienie Daniela, jakiego jej udzielił podczas składającego się z siedmiu dań posiłku. Gdy zostali zaproszeni do rezydencji rektora, Cathy sądziła, że orgia się skończyła. Ale już wkrótce miała przekonać się, w jak wielkim była błędzie. Serwowano tam jeszcze więcej przysmaków, a wokół stołu krążyła wciąż pełna karafka z portwajnem. W końcu, gdy zegar na wieży Trinity wybił północ, Cathy zdołała stamtąd uciec. Daniel odprowadził ją do gościnnego pokoju, który mieścił się na drugim końcu Wielkiego Dziedzińca i zaproponował, żeby razem poszli na poranną mszę do uniwersyteckiej kaplicy.

- Tak się cieszę, że nie każesz mi przyjść na śniadanie - zażartowała, gdy całował ją na pożegnanie w policzek.

Pokój gościnny, który zarezerwował dla niej Daniel, był jeszcze mniejszy od mieszkania pod numerem sto trzydziestym piątym. Ale gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki, natychmiast zasnęła. Nazajutrz obudziło ją bicie dzwonów, które jak się domyślała, dochodziło z King's College Chapel.

Gdy tylko weszli do kaplicy, zaraz chórzyci parami zapełnili nawę. Ich śpiew był jeszcze bardziej wzruszający niż na płycie gramofonowej. Zarówno nagranie, jak i zdjęcie chóru na obwolucie sugerowało jedynie, czym może być prawdziwe doświadczenie.

Po udzielonym błogosławieństwie, Daniel zaproponował Cathy spacer wzdłuż Bacs, "żeby się przewietrzyć". Trzymał ją przez cały czas za rękę. Godzinę później wrócili do Trinity na lekki obiad.

Po południu oprowadził ją po Muzeum Fitzwilliama. Stała zahipnotyzowana przed obrazem Goi "Diabeł jedzący własne dzieci", - To dzieło przypomina mi trochę Wysoki Stół Trinity - stwierdził Daniel. Później wysłuchali w Queens recitalu studenckiego kwartetu smyczkowego, który wykonał fugę Bacha.

- Daruj mi kolację, proszę - błagała żartobliwie Cathy, gdy wracali przez Mathematical Bridge.

Zachichotał. A potem zabrali z Trinity jej walizkę i Daniel nie śpiesząc się, odwiózł ją swoim małym MG do Londynu.

- Dziękuję za cudowny weekend - powiedziała Cathy, gdy zajechali pod dom. - Choć, prawdę mówiąc, słowo "cudowny" w niedostatecznym stopniu oddaje urok ostatnich dwóch dni.

Daniel delikatnie pocałował ją w policzek.

- Wobec tego musimy to powtórzyć - zaproponował.

- Nie ma mowy - zaproponowała Cathy. - Jeśli prawdą jest to, że podobają ci się szczupłe kobiety.

- Zgoda, tym razem ograniczymy jedzenie i dołożymy grę w tenisa. Będę miał okazję, żeby sprawdzić poziom drugiej tenisowej reprezentacji Uniwersytetu w Melbourne.

Cathy roześmiała się. - Podziękuj mamie, za wspaniałe przyjęcie w zeszły poniedziałek. To był dla mnie naprawdę niezapomniany tydzień.

- Podziękuję, chociaż pewnie wcześniej się z nią zobaczysz niż ja.

- Nie zatrzymasz się na noc u rodziców?

- Nie, muszę wracać do Cambridge i poprawić sprawdziany na dziewiątą rano.

- Mogłam przecież wrócić pociągiem.

- Byłbym o dwie godziny krócej z tobą - powiedział, machając jej na pożegnanie.

ROZDZIAŁ 41

Już za pierwszym razem, gdy spali ze sobą w jego małym pokoju na niewygodnym pojedynczym łóżku, Cathy wiedziała, że pragnie spędzić z Danielem resztę życia. Żałowała, że jest synem sir Charlesa Trumpera.

Błagała go, żeby nic nie mówił o ich regularnych spotkaniach rodzicom. Tłumaczyła to tym, że chce najpierw udowodnić, że jest pracownikiem wartościowym. Nie zamierzała cieszyć się względami w firmie dlatego, że widuje się z synem szefa.

Gdy Daniel zauważył mały krzyżyk na jej szyi, natychmiast opowiedziała mu jego historię.

Po mistrzowskim posunięciu z mężczyzną w żółtym krawacie i cynku, jaki dała dziennikarzowi z "Telegraph", Cathy poczuła się pewniej. Zaczęła dopuszczać do siebie myśl o wyjawieniu Trumperom faktu, że zakochała się w ich jedynym dziecku.

W poniedziałek po aukcji sreber Becky zaproponowała Cathy miejsce w radzie kierowniczej domu aukcyjnego, w skład której dotychczas wchodziło tylko: Simon, Peter Fellowes - szef działu badań, i ona sama.

Poza tym powierzyła Cathy opracowanie na jesienną aukcję katalogu malarstwa impresjonistycznego. Nałożyła też na nią szereg nowych obowiązków, między innymi pełen nadzór pracy za ladą.

- Następnym krokiem będzie miejsce w zarządzie - dokuczał Cathy Simon.

Jeszcze tego samego dnia przed południem Cathy zatelefonowała do Daniela, żeby podzielić się z nim nowinami.

- Czy to znaczy, że możemy już przestać robić głupców z moich rodziców?

Gdy kilka tygodni później ojciec zawiadomił Daniela, że razem z matką chcą przyjechać do Cambridge, żeby mu o "czymś ważnym" powiedzieć, Daniel zaprosił ich oboje do siebie na herbatę w niedzielę, i powiedział, że też ma im "coś ważnego" do zakomunikowania.

Daniel i Cathy codziennie do siebie telefonowali. Cathy zastanawiała się, czy nie byłoby rozsądniej uprzedzić rodziców Daniela, że w niedzielę zastaną ją w Cambridge, ale Daniel nawet nie chciał o tym słyszeć. Twierdził, że nieczęsto ma okazję zaskoczyć czymś Charlesa i za nic nie da sobie odebrać satysfakcji oglądania jego zdumionej miny.

- Wyjawię ci jeszcze jeden sekret - powiedział. - Ubiegam się o posadę profesora matematyki w Londynie, w King's College.

- To duże poświęcenie z twojej strony, Danielu - powiedziała Cathy. - Gdy zamieszkas w Londynie, nie zdołam żywić cię tak, jak to robili w Trinity.

- Chwała Bogu. Zaoszczędzisz mi tym częstych wizyt u krawca.

Cathy uważała, że trudno o lepszą okazję do przekazania nowiny rodzicom Daniela niż wspólna herbata w niedzielne popołudnie.

Tymczasem od samego początku Becky wydawała się jej trochę rozdrażniona, a po tajemniczym telefonie od niejakiego pana Baverstocka stała się jej zdaniem nawet bardziej zdenerwowana.

Radość sir Charlesa na wieść, że zamierzają się pobrać w czasie ferii wielkanocnych, była naprawdę wielka. Becky też szczerze ucieszyła się, że Cathy zostanie jej synową. Ale potem Charlie zaskoczył Cathy, gdy nagle zmienił temat i zapytał, kto namalował akwarelę, która wisiała nad biurkiem Daniela.

- Cathy - wyjaśnił Daniel. - W końcu będziemy mieli w rodzinie artystkę.
- Potrafisz tak dobrze malować, młoda damo? - zapytał Charlie z niedowierzaniem.
- Oczywiście, że potrafi - zapewnił Daniel, patrząc w stronę akwareli. - To mój prezent zaręczynowy - dodał. - Co więcej, to jedyna praca Cathy, jaką namalowała po przyjeździe do Anglii, dlatego jest bezcenna.
- Namalujesz coś dla mnie? - poprosił Charlie, gdy uważniej przyjrzał się akwareli.

- Z największą przyjemnością - odpowiedziała Cathy. - Tylko gdzie pan to powiesi? W garażu?
Potem w czwórkę poszli na spacer po Backs. Cathy była rozczarowana, że rodzice Daniela tak prędko muszą wracać. Sądziła, że wszyscy razem pójdą na wieczorną mszę.

Po wyjeździe rodziców, gdy wrócili z nabożeństwa i kochali się na wąskim łóżku Daniela, Cathy stwierdziła, że termin świąt wielkanocnych może okazać się zbyt odległy.

- Co masz na myśli? - zapytał Daniel.
- O tydzień spóźnia mi się okres.

Daniel był tak zachwycony, że chciał natychmiast zatelefonować do rodziców i podzielić się z nimi swoją radością.

- Nie wygłupiaj się - zachnęła się Cathy. - To jeszcze nic pewnego. Mam tylko nadzieję, że twój ojciec i matka nie będą zbyt zgorzzeni, gdy się o tym dowiedzą.

- Zgorzzeni? To niemożliwe. Sami pobrali się dopiero tydzień po moim urodzeniu.
- Skąd o tym wiesz?

- Porównałem datę mojej metryki urodzenia z Somerset House z datą aktu ich małżeństwa. To proste. Wygląda na to, że od samego początku nikt się nie chciał do mnie przyznać.

Stwierdzenie Daniela ostatecznie przekonało Cathy, że musi raz na zawsze wyjaśnić sprawę swojego pokrewieństwa z panią Trentham i to jeszcze przed ślubem. Choć Daniel na ponad rok odwrócił jej uwagę od sprawy pochodzenia, to wiedziała, że problem nie przestał istnieć. Nie mogłaby spojrzeć Trumperom w oczy, gdyby kiedyś pomyśleli, że próbowała ich oszukać, upiększając przeszłość, albo co gorsza spokrewniona jest ze znenawidzoną przez nich kobietą. Teraz, kiedy przez przypadek poznała adres pani Trentham, zdecydowała się napisać do niej natychmiast po powrocie do Londynu.

W niedzielę skreśliła kilka słów na brudno, a nazajutrz wstała wcześniej rano i ostatecznie sformułowała list.

135 Chelsea Terrace Londyn SW3

27 listopada, 1950 r.

Droga pani Trentham!

Pomimo że jestem zupełnie obcą osobą, zwracam się do Pani z prośbą o pomoc w wyjaśnieniu problemu, który nie daje mi spokoju od wielu lat.

Urodziłam się w Melbourne, w Australii. Nie wiem, kim byli moi rodzice, ponieważ zostałam we wczesnym dzieciństwie porzucona. Wychowywałam się w sierocińcu pod wezwaniem Świętej Hildy. Jediną pamiątką jaka została mi po ojcu, jest miniatura Krzyża Wojennego, którą dał mi, gdy byłam małym dzieckiem. Na dole jednego z ramion krzyża są wygrawerowane inicjały "G.F.T."

Kustosz Muzeum Królewskich Strzelców w Hounslow potwierdził, że medal został przyznany kapitanowi Guyowi Francisowi Trenthamowi 22 lipca 1918 roku, za waleczność podczas drugiej bitwy pod Marną.

Czy nie jest Pani przypadkiem spokrewniona z Guyem i czy mógł on być moim ojcem? Będę wdzięczna za każdą informację w tej sprawie.

Przepraszam za kłopot.

Z niecierpliwością czekam na wiadomość od Pani.

Z poważaniem Cathy Ross Cathy wrzuciła kopertę do skrzynki pocztowej na rogu Chelsea Terrace przed pójściem do pracy. Jak na ironię losu, po latach nadziei na odszukanie rodziny, teraz pragnęła, żeby adresatka listu wyparła się pokrewieństwa z nią.

Następnego dnia rano w kronice towarzyskiej "The Timesa" ukazało się zawiadomienie o jej zaręczynach z Danielem. Wszyscy pod numerem pierwszym na Chelsea Terrace przyjęli nowinę z radością. Simon w przerwie obiadowej uczcił to wydarzenie szampanem i wznosząc toast za zdrowie Cathy, powiedział:

- To spisek Trumperów. Chcą mieć pewność, że nie przejdzie do Sotheby's albo Christie's. - Wszyscy klaskali, a Simon szepnął Cathy do ucha: - Jesteś tą osobą, która ma szansę podnieść nasz dom aukcyjny do ich poziomu. - To śmieszne, że niektórzy ludzie dostrzegają możliwości drugiego człowieka, zanim on sam zdąży o nich pomyśleć.

W czwartek rano Cathy wyjęła ze skrzynki przy drzwiach frontowych purpurową kopertę, zaadresowaną do niej kanciastym pismem. Nerwowo rozerwała ją i znalazła wewnątrz dwie grube kartki papieru w tym samym kolorze. Treść listu ją zdumiała, ale równocześnie przyniosła niewypowiedzianą ulgę.

19 Chester Square LONDON SW1

29 listopada, 1950 r.

Droga Panno Ross!

Dziękuję Pani za list z ubiegłego poniedziałku, ale obawiam się, że niewiele mogę Pani pomóc w sprawie, w której się Pani do mnie zwraca.

Miałam dwóch synów, z których młodszy, Nigel, ostatnio się rozwiódł.

Jego żona mieszka obecnie w Dorset, razem z moim jedynym wnukiem, dwuletnim Guesem Raymondem.

Moim starszym synem był rzeczywiście Guy Francis Trentham, odznaczony Krzyżem Wojennym za akcję w drugiej bitwie pod Marną, który po długiej chorobie zmarł w 1922 roku na gruźlicę. Nigdy nie był żonaty i nie zostawił potomstwa., Miniaturowa wersja Krzyża Wojennego zaginęła podczas jego krótkiej wizyty w Melbourne u naszych dalekich krewnych Jestem szczęśliwa, że odnalazła się po tylu latach i będę bardzo wdzięczna, jeśli przy najbliższej okazji zostanie mi zwrócona. Jestem przekonana, że teraz, kiedy znane jest Pani jej pochodzenie, nie będzie Pani chciała dłużej zatrzymywać u siebie cudzej rodzinnej pamiątki.

Z poważaniem Ethel Trentham Cathy ucieszyła wiadomość, że Guy Trentham zmarł na rok przed jej urodzeniem. To oznaczało, że nie może być spokrewniona z człowiekiem, który przysporzył jej

przyszłym teściom tyłu zmartwień. Doszła do wniosku, że Krzyż Wojenny musiał przypadkowo wpaść w ręce jej ojca. Niechętnie Cathy postanowiła zwrócić medal.

Po zdumiewającym liście pani Trentham, Cathy wątpiła, czy kiedykolwiek zdoła odkryć, kim byli jej rodzice. Szczególnie teraz, gdy Daniel w jej życiu odgrywał tak ogromną rolę i nie planowała w najbliższej przyszłości wyjazdu do Australii, stawało się to coraz mniej realne. Z drugiej strony dalsze poszukiwania ojca zaczynały wydawać się jej bezcelowe.

Jadąc do Cambridge tego piątkowego wieczoru Cathy doszła do wniosku, że ma czyste sumienie. Okazało się przecież, że powiedziała Danielowi prawdę podczas ich pierwszego spotkania. Naprawdę nie miała pojęcia, kim byli jej rodzice. Przyjęła też z ulgą fakt, że menstruacja była tylko spóźniona. Gdy pociąg podskakiwał na zwrotnicach wioząc ją do uniwersyteckiego miasta, Cathy nigdy nie czuła się bardziej szczęśliwa. Dotknęła małego krzyżyka zawieszzonego teraz na złotym łańcuszku, który otrzymała od Daniela na urodziny. Było jej smutno na myśl, że ma go na sobie po raz ostatni, ale podjęła już decyzję, że odeśle medal pani Trentham zaraz po powrocie do Londynu.

Pociąg wjechał na stację Cambridge zaledwie z kilkuminutowym opóźnieniem.

Cathy wzięła walizkę i wyszła na ulicę. Spodziewała się, że Daniel czeka na nią gdzieś w pobliżu w swoim MG. Ani razu się nie spóźnił, od czasu kiedy zaczęli się spotykać. Była zawiedziona, stwierdzając, że go nie ma. Ale jeszcze bardziej zdziwiła się, gdy nie zjawił się przez następne dwadzieścia minut. Wróciła do głównego hallu dworca, wrzuciła dwa pensy do aparatu telefonicznego i wykręciła bezpośredni numer do jego pokoju. Sygnał powtarzał się bez końca, ale nikt nie podnosił słuchawki.

Zdumiona, że nie może go odnaleźć, ponownie opuściła dworzec i kazała się zawieść taksówkarzowi do Trinity.

Gdy kierowca zajeżdżał na New Court, Cathy była zaskoczona, widząc, że MG Daniela stoi zaparkowane w zwykłym miejscu.

Zapłaciła taksówkarzowi, przeszła przez dziedziniec i skierowała się w stronę znajomej klatki schodowej.

Postanowiła wyśmiać Daniela za to, że nie zdążył przyjechać po nią na czas. Czy zamierzał w ten sam sposób traktować ją po ślubie?

Chyba była dla niego ważniejsza od jakiegoś studenta, który zjawił się nie w porę ze swoim cotygodniowym opracowaniem? Weszła na górę po zdartych schodach i cicho zapukała, na wypadek gdyby był z nim jeszcze jakiś uczeń. Gdy za drugim razem nikt nie odpowiedział, otworzyła ciężkie drewniane drzwi, postanawiając zaczekać na Daniela w środku.

Jej krzyk musiał być słyszalny na drugiej klatce schodowej.

Pierwszy student, który przybył na miejsce, natknął się na ciało kobiety, która leżała na podłodze twarzą do ziemi. Upadł na kolana, wypuścił z rąk książki, które miał ze sobą, i zaczął wymiotować.

Zaczerpnął głęboki wdech, odwrócił się i mijając przewrócone krzesło, najszybciej jak potrafił wycofał się na czworakach. Za nic nie mógłby ponownie spojrzeć w górę i narazić się na widok, jaki zastał wchodząc.

Zwłoki dra Trumpera kołysały się nieznacznie, zwisając z belki na środku pokoju.

CHARLIE 1950 -1964

ROZDZIAŁ 42

Nie mogłem spać przez trzy noce. Czwartego dnia rano uczestniczyłem razem z przyjaciółmi, kolegami i studentami Daniela w nabożeństwie żałobnym w King's Chapel. Nie wiem, jak bym przetrwał tę ciężką próbę i pozostałe dni tygodnia, gdyby nie Daphne, która wszystko sprawnie zorganizowała. Cathy nie brała udziału w pogrzebie. Nadal przebywała na obserwacji w szpitalu Addenbrooke.

Stałem obok Becky, gdy chór śpiewał pieśń: "Prędko zapada wieczór". Odtwarzałem w myślach wydarzenia minionych trzech dni i próbowałem coś z nich zrozumieć. Natychmiast potem, gdy Daphne zawiadomiła mnie, że Daniel targnął się na swoje życie, pojechałem do Cambridge. Ten, kto wybrał właśnie ją na zwiastuna tragicznej wieści, musiał dobrze rozumieć znaczenie słowa "litość".

Błagałem ją, żeby nic nie mówiła Becky, dopóki nie dowiem się czegoś więcej na miejscu. Dwie godziny później przybyłem do Cambridge. Do tego czasu ciało Daniela zostało już zabrane, a Cathy w stanie szoku przewieziono do szpitala. Inspektor, który prowadził tę sprawę, zachowywał się wobec mnie najbardziej taktownie, jak tylko to było możliwe. Potem pojechałem do kostnicy, żeby zidentyfikować zwłoki. Dziękowałem Bogu, że przynajmniej Becky oszczędzone było to ostatnie spotkanie sam na sam z synem.

Panie, nie opuszczaj mnie...

Powiedziałem policji, że nie mam pojęcia, dlaczego Daniel odebrał sobie życie. Dopiero co się zaręczył i nigdy nie wydawał się szczęśliwszy. Wtedy policjant pokazał mi list pożegnalny; kartkę papieru kancelaryjnego z kilkoma, odręcznie napisanymi zdaniem.

- Jak pan zapewne wie, samobójcy zwykle zostawiają listy.

Nie wiedziałem.

Odczytałem schludne, akademickie pismo Daniela:

Teraz, kiedy nie możemy się pobrać z Cathy, nie mam po co dłużej żyć. Na miłość boską, zaopiekujcie się dzieckiem.

Daniel Chyba ze sto razy przeczytałem te dwadzieścia jeden słów, ale wciąż nic nie mogłem z nich zrozumieć. Tydzień później lekarz potwierdził w raporcie skierowanym do koronera, że Cathy nie jest w ciąży ani nie poroniła. Wciąż wracałem w myślach do ostatniej wiadomości od Daniela. Czy jej ukryty sens na zawsze miał pozostać dla mnie niezrozumiały?

Gdy wszystko inne zawiedzie...

Ekspert sądowy odkrył w palenisku kominka spalony na popiół papier listowy. Czarne i łamliwe pozostałości nie dawały żadnych wskazówek. Policjanci pokazali mi kopertę, w której ich zdaniem nadszedł list, i zapytali mnie, czy potrafię zidentyfikować charakter pisma. Spojrzałem na sztywne i

wąskie litery napisane czerwonym atramentem.

- Nie - skłamałem. Detektyw wyjaśnił mi, że list został doręczony owego tragicznego popołudnia przez mężczyznę z ciemnym wąsem i ubranego w tweedową marynarkę. Student, który go widział, nie zapamiętał więcej szczegółów. Twierdził jedynie, że mężczyzna pewnie poruszał się po terenie uniwersytetu.

Zastanawiałem się, co takiego napisała ta kobieta rodem z piekła, że jej list pchnął Daniela do samobójstwa. Byłem pewien, że wyjawienie ojcostwa nie mogło być wystarczającym powodem dla tak drastycznego kroku. Tym bardziej że Daniel spotkał się przecież trzy lata temu z panią Trentham i zawarł z nią umowę.

Policja znalazła na jego biurku jeszcze jeden list, z rektoratu King's College w Londynie, z oficjalną propozycją objęcia katedry matematyki.

I gdy zewsząd brak pociechy...

Z kostnicy pojechałem do szpitala Addenbrooke, gdzie pozwolono mi przez chwilę zostać przy łóżku Cathy. Miała otwarte oczy, ale mnie nie rozpoznawała. Prawie przez godzinę, gdy stałem przy niej, patrzyła obojętnie w sufit. Zrozumiałem, że niewiele mogę jej pomóc, i cicho wyszedłem z sali. Naczelnny psychiatra, dr Stephen Atkins, wybiegł na mój widok ze swojego gabinetu i poprosił mnie o chwilę rozmowy.

Elegancki, niski mężczyzna, w doskonale skrojonym garniturze i w dużej muszce wyjaśnił mi, że Cathy cierpi na amnezję wywołaną szokiem. Uprzedził, że może upłynąć jeszcze dużo czasu, zanim będzie mógł ocenić przebieg jej rekonwalescencji. Podziękowałem mu, dodając, że pozostanę z nim w kontakcie. A potem powoli wróciłem do Londynu.

W sprawach beznadziejnych, nie opuszczaj mnie... Daphne czekała na mnie w biurze, nie skarząc się ani słowem na późną porę. Podziękowałem jej za bezgraniczną dobroć, ale wyjaśniłem, że to ja sam muszę zawiadomić Becky. Bóg jeden raczy wiedzieć, w jaki sposób zdołałem wywiązać się z tego obowiązku, nie wspominając przy tym o purpurowej kopercie zaadresowanej pismem, które zdradzało nadawcę. Gdybym powiedział całą prawdę Becky, pewnie by poszła jeszcze tej samej nocy na Chester Square i zamordowała tę kobietę gołymi rękami. I nie wiadomo, czy sam bym jej w tym nie pomógł.

Pochowali go między swoimi. Uniwersytecki kapelan, który zapewne nie po raz pierwszy wykonywał tę szczególną posługę, trzy razy musiał przerwać obrządek, żeby opanować wzruszenie.

Wżyciu i w śmierci, nie opuszczaj mnie, Panie...

Oboje z Becky codziennie przez cały tydzień odwiedzaliśmy Cathy w szpitalu, ale za każdym razem dr Atkins informował nas, że jej stan zdrowia nie uległ zmianie i dotychczas się jeszcze nie odezwała. Świadomość, że leży tam samotnie i potrzebuje naszej miłości, dawała nam okazję troszczenia się o kogoś i pozwalała odwrócić myśli od nas samych.

Gdy w piątek późnym popołudniem przyjechaliśmy z powrotem do Londynu, zastaliśmy przed moim biurem Arthura Selwyna, który nerwowo spacerował po korytarzu.

- Ktoś włamał się do mieszkania Cathy - poinformował nas, zanim zdołałem się odezwać.

- Co złodziej spodziewał się u niej znaleźć?

- Policja też nie mogła tego zrozumieć. Nic nie zostało uszkodzone.

Do tajemniczego listu adresowanego do Daniela doszła teraz zagadka, co takiego mogła posiadać Cathy, na czym zależało pani Trentham. Osobiście przeszukałem potem małe mieszkanie pod numerem sto trzydziestym piątym, ale nie stałem się przez to ani trochę mądrzejszy.

Oboje z Becky nadal codziennie jeździliśmy do Cambridge. W połowie trzeciego tygodnia Cathy w końcu przemówiła, najpierw niepewnie, a następnie potokami zdań. Ścisnęła mnie przy tym kurczowo za rękę. A potem niespodziewanie znowu zamilkła. Od czasu do czasu pocierała palcem wskazującym o kciuk, tuż poniżej brody.

Gest ten wydał się dziwny nawet doktorowi Atkinsowi.

Jednakże od tamtej pory lekarz mógł z nią już kilkakrotnie dłużej porozmawiać i zaczął nawet grywać z nią w karty, żeby wy badać jej pamięć. Jego zdaniem Cathy odrzuciła wszystkie wspomnienia związane z Danielem Trumperem oraz ze swoim wcześniejszym życiem w Australii. Zapewnił nas, że medycynie znany jest taki przebieg choroby, i nawet nadał temu szczególnemu stanowi psychicznemu łacińską nazwę.

Nie powinienem skontaktować się z jej opiekunem roku z Uniwersytetu w Melbourne? Albo porozmawiać z personelem hotelu Melrose? Może by pomogli naświetlić nam ten problem?

- Nie - powiedział lekarz, poprawiając muszkę w grochy. - Nie można wywierać na nią zbyt dużego nacisku. Trzeba przygotować się na to, że może minąć dużo czasu, zanim ta część jej mózgu zacznie normalnie funkcjonować.

Skinąłem głową, przyjmując do wiadomości jego opinię.

Sformułowanie: "trzeba się z tym pogodzić", należało niewątpliwie do ulubionych wyrażań dra Atkinsa.

- I niech pan nie zapomina, że pańska żona jeszcze długo będzie cierpieć z powodu tego samego urazu.

Siedem tygodni później pozwolili nam zabrać Cathy na Eaton Square, gdzie Becky przygotowała dla niej pokój. Przedtem przeniosłem wszystkie rzeczy Cathy z jej małego mieszkania. Do końca nie wiedziałem, czy coś nie zginęło w czasie włamania.

Becky starannie poukładała ubrania Cathy w szafie i w szufladach i starała się nadać pokojowi jak najbardziej zamieszkały wygląd. Jakiś czas przedtem przywiozłem akwarelę z widokiem Cambridge znad biurka Daniela i powiesiłem ją pomiędzy Coubertem a Sisleyem. Jednak Cathy przeszła obojętnie obok obrazu, gdy po raz pierwszy wchodziła na górę.

Zapytałem raz jeszcze dra Atkinsa, czy nie powinienem napisać do Uniwersytetu w Melbourne, żeby dowiedzieć się czegoś o przeszłości Cathy, lecz nadal odradzał mi ten krok. Twierdził, że to ona sama ma nam udzielić informacji, i to dopiero wtedy, gdy będzie do tego gotowa, a nie pod wpływem nacisków z zewnątrz.

- Ile, pana zdaniem, musi minąć czasu, żeby w pełni odzyskała pamięć?

- Na podstawie własnych doświadczeń mogę pana zapewnić, że może to potrwać zarówno czternaście dni, jak i czternaście lat.

Pamiętam, że tego wieczoru poszedłem do pokoju Cathy, usiadłem obok niej na łóżku i wziąłem ją za rękę. Z radością zauważyłem, że na policzki wróciły jej kolory. Uśmiechnęła się do mnie i po raz pierwszy zapytała, jak się toczy "wielki stragan".

- Ogłosiliśmy rekordowe zyski - odparłem. - Ale co ważniejsze, wszyscy chcą cię znowu widzieć pod numerem pierwszym.

Zamyśliła się na moment.

- Żałuję, że nie jesteś moim ojcem - powiedziała szczerze.

W lutym 1951 roku Nigel Trentham po raz pierwszy uczestniczył w obradach zarządu spółki Trumper. Zajął miejsce obok Paula Merricka, do którego siadając, nieznacznie się uśmiechnął. Nie

mogłem się zmusić, żeby spojrzeć w jego stronę. Był o kilka lat ode mnie młodszy, ale jak zarozumiałe sądziłem, nikt przy stole by się tego nie domyślił.

Zarząd rozpoczął posiedzenie od zatwierdzenia półmilionowej inwestycji na "wypełnienie luki", jak Becky określiła półakrowy teren, który był nie zabudowany przez dziesięć lat w samym środku Chelsea Terrace.

- Nareszcie cała firma Trumper znajdzie się pod jednym dachem - oświadczyłem. Trentham nie skomentował mojej uwagi.

Koledzy z zarządu zgodzili się również przeznaczyć sto tysięcy funtów na odbudowę "Klubu Chłopców z Whitechapel", który miał być teraz przemianowany na "Centrum Dana Salmona". Zauważyłem, że Trentham szepnął coś do ucha Merrickowi.

W wyniku inflacji, strajków oraz wzrostu cen materiałów budowlanych i robocizny, ostateczne koszty rozbudowy firmy Trumper wyniosły zamiast szacowanego pół miliona blisko siedemset trzydzieści tysięcy funtów. Jedynym rozwiązaniem była dodatkowa emisja akcji. Tylko w ten sposób spółka mogła pokryć nieprzewidziane wydatki, bez konieczności wstrzymania odbudowy klubu.

Znowu popyt na akcje znacznie przewyższył wartość emisji, co mnie osobiście schlebiało, choć obawiałem się, że głównym nabywcą nowych udziałów jest pani Trentham. Nie miałem jednak sposobu, żeby to udowodnić. Na skutek dodatkowej emisji moje własne udziały po raz pierwszy ukształtowały się na poziomie niższym niż czterdzieści procent wartości kapitału akcyjnego spółki.

To było długie lato. Z każdym dniem Cathy wracała do sił, a Becky stawała się trochę bardziej komunikatywna. W końcu za zgodą lekarza Cathy wróciła do galerii na Chelsea Terrace. Becky powiedziała, że gdyby nie to, że nikt w obecności Cathy nie wspominał o Danielu, byłoby tak, jak gdyby nigdy nie przerywała pracy.

Pewnego wieczoru, jakiś miesiąc później, wróciłem do domu z biura i zastałem w hallu Cathy. Spacerowała nerwowo tam i z powrotem. W pierwszej chwili pomyślałem, że dręczą ją rozziewające wspomnienia, ale nie mogłem się bardziej mylić.

- Prowadzisz złą politykę zatrudnienia - powiedziała, gdy tylko zamknąłem za sobą drzwi.

- Przepraszam, młoda damo? - Nie zdążyłem jeszcze zdjąć wierzchniego okrycia.

- Jest do niczego - obstawała, przy swoim. - Amerykanie oszczędzają tysiące dolarów w swoich wielkich magazynach dzięki badaniom nad efektywnością i czasem pracy, a tymczasem my zachowujemy się tak, jak gdybyśmy jeszcze nie zeszli z arki Noego.

- Publiczność na arce jest zachwycona - przypomniałem jej.

- Dopóki nie przestanie padać - odparła. - Charlie, musisz zdać sobie sprawę, że spółka może zaoszczędzić przynajmniej osiemdziesiąt tysięcy funtów rocznie na samych płacach. Nie siedziałam beczynnym w czasie ostatnich tygodni. Przygotowałam raport, żeby ci udowodnić słuszność mojej oceny. - Wepchnęła mi do rąk tekturowe pudło i wyszła z hallu.

Po kolacji przez ponad godzinę szperałem w pudełku i czytałem wstępne wyniki badań Cathy. Dostrzegła przerosty zatrudnienia, które my przeoczyliśmy, i szczegółowo wyjaśniła, jak sytuacja może zostać poprawiona bez niepotrzebnego narażania się związkom zawodowym.

Nazajutrz przy śniadaniu dalej przytaczała swoje racje, jak gdybyśmy wcale nie przzerwali rozmowy.

- Czy słucha mnie pan, prezesie? - zapytała. Zwykle zwracała się do mnie w ten sposób, gdy chciała trafić mi do przekonania. Byłem pewien, że zwrot ten przejęła od Daphne.

- Cały zamieniam się w słuch - powiedziałem tak dobitnie, że nawet Becky spojrzała na nas znad

gazety.

- Mam to udowodnić?

- Bardzo proszę.

Od tej pory podczas codziennej porannej inspekcji wciąż natykałem się na Cathy. Za każdym razem pracowała na innym piętrze.

Zadawała pytania, prowadziła obserwacje albo robiła obszernie notatki, często ze stoperem w dłoni. Nigdy nie pytałem, po co to robi, a ona nieodmiennie na mój widok mówiła tylko:

- Dzień dobry, prezesie.

W czasie weekendów słyszałem, że godzinami pisze coś na maszynie w swoim pokoju. Aż nagle któregoś ranka bez ostrzeżenia, zamiast jajek, dwóch plasterków bekonu i gazety "The Sunday Times", zastałem na stole gruby plik dokumentów.

Po południu zacząłem czytać to, co dla mnie przygotowała, a już wczesnym wieczorem zrozumiałem, że zarząd musi niezwłocznie wprowadzić w życie większość jej zaleceń.

Wiedziałem dokładnie, jaki chcę zrobić następny krok, ale potrzebowałem przedtem błogosławieństwa dra Atkinsa. Jeszcze tego samego dnia zatelefonowałem do szpitala. Dyżurna siostra była na tyle uprzejma, że przekazała mi jego domowy numer telefonu.

Rozmawialiśmy ponad godzinę. Zapewnił mnie, że nie ma obaw co do dalszego stanu zdrowia Cathy, tym bardziej że zaczęła przypominać sobie drobne fakty z przeszłości, i nawet chętnie rozmawia o Danielu.

Gdy zszedłem następnego dnia rano na śniadanie, Cathy już czekała na mnie przy stole. Nie odezwała się ani słowem. Chrupałem grzanek z marmoladą i udawałem, że jestem pochłonięty lekturą "Financial Times".

36 - Prosto jak strzełił - W porządku, poddaję się - powiedziała w końcu.

- Radziłbym tego nie robić - ostrzegłem ją, nie odrywając wzroku znad gazety. - Twoja propozycja będzie omawiana w punkcie siódmym porządku dziennego obrad na najbliższym posiedzeniu zarządu.

- Kto przedstawi moją sprawę? - spytała zaniepokojona Cathy.

- Na pewno nie ja - odparłem. - I nie przychodzi mi na myśl nikt inny, kto by się tego zadania podjął.

Ilekczo wieczorem przechodziłem podczas następnych dwóch tygodni obok pokoju Cathy, nie dobiegały mnie już stamtąd odgłosy maszyny do pisania. Byłem tak zaintrygowany, że kiedyś wsunąłem głowę w uchylone drzwi. Stała przed lustrem, a na stojaku obok niej spoczywała duża biała plansza pokryta masą kolorowych szpilek i porozrzucanych strzałek.

- Wyjdź - poprosiła, nawet nie odwracając w moją stronę głowy.

Zrozumiałem, że nie pozostaje mi nic innego, jak cierpliwie poczekać do najbliższego posiedzenia zarządu.

Dr Atkins ostrzegł mnie, że publiczne wystąpienie Cathy może być dla niej zbyt ryzykownym doświadczeniem, i polecił mi natychmiast ją odwiedzić do domu, gdy tylko zauważę pierwsze oznaki zdenerwowania.

- Proszę dopilnować, żeby się nie przeciążyła - powiedział mi na koniec.

- Może być pan spokojny. Nie dopuszczę do tego - przyrzekłem.

W czwartek już za trzy minuty dziesiąta wszyscy członkowie zarządu zajmowali swoje miejsca przy stole obrad. Posiedzenie zaczęło się w spokojnej atmosferze. Najpierw usprawiedliwiono

poprzednie nieobecności, a potem został zatwierdzony protokół ostatniego spotkania. Cathy musiała jednak ponad godzinę czekać na swoją kolej, bowiem Nigel Trentham wykorzystał punkt trzeci porządku, dotyczący formalnego odnowienia polisy ubezpieczeniowej spółki z towarzystwem asekuracyjnym Prudential jako okazję do wyprowadzenia mnie z równowagi. I pewnie by mu się to udało, gdyby jego zamiar nie był dla mnie aż nadto oczywisty.

- Sądzę, że najwyższy czas wprowadzić zmiany, prezesie - powiedział. - Proponuję, żebyśmy powierzyli nasze ubezpieczenie firmie Legal and General.

Spojrzałem na lewą stronę stołu i wbiłem wzrok w mężczyznę, którego obecność zawsze przypominała mi o Guyu Trenthamie.

Mógł podobnie wyglądać, gdyby dożył średniego wieku. Młodszy brat Guya nosił elegancki, dobrze uszyty dwurzędowy garnitur, który skutecznie tuszował jego problemy z nadwagą. Ale nic nie mogło ukryć dwóch podbródków ani łysiejącej głowy.

- Chciałbym przypomnieć zarządowi - zacząłem - że firma Trumper jest związana z towarzystwem Prudential od ponad trzydziestu lat. A co ważniejsze, nigdy w przeszłości się na nim nie zawiedliśmy. Mało prawdopodobne jest też, żeby firma Legal and General mogła zaoferować nam bardziej korzystne warunki.

- Ale za to dysponuje dwoma procentami udziałów naszej spółki - podkreślił Trentham.

- A Prudential pięcioma - przypominałem moim kolegom z zarządu. Wiedziałem, że Trentham znowu nie odrobił lekcji. Argumenty mogły być jeszcze godzinami odbijane jak piłka w meczu tenisowym Drobny-Fraser, gdyby Daphne nie wystąpiła z propozycją przegłosowania wniosku.

Trentham przegrał siedem do trzech, ale kłótnia miała przypomnieć wszystkim zebranim wokół stołu o tym, jaki jest jego długoplanowy cel. W czasie ubiegłych osiemnastu miesięcy Trentham, wspomagany pieniędzmi swojej matki, powiększył według moich szacunków swoje udziały w spółce do czternastu procent. Nie dawało mu to jeszcze możliwości jej kontrolowania, ale miałem bolesną świadomość, że trust Hardcastle skupia w swoich rękach dalsze siedemnaście procent udziałów. Były pierwotnie przeznaczone dla Daniela, a teraz z chwilą śmierci pani Trentham miały automatycznie przejść do rąk najbliższego krewnego sir Raymonda. Nigel Trentham nie zmartwił się przegraną w głosowaniu.

Sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie, gdy poprawiał dokumenty i porozumiewał się wzrokiem z Paulem Merrickiem, który siedział po jego lewej stronie. Najwidoczniej był pewny, że czas działa na jego korzyść.

- Punkt siódmy - powiedziałem i nachyliłem się w stronę sekretarki, żeby poprosiła pannę Ross. Gdy Cathy weszła, wszyscy mężczyźni wstali. Nawet Trentham uniósł się nieco ze swojego miejsca.

Cathy umieściła dwie plansze na przygotowanych wcześniej stojakach, z których jedna wypełniona była wykresami, a druga obliczeniami statystycznymi, i zwróciła się do nas. Przywitałem ją ciepłym uśmiechem.

- Witam państwa - powiedziała. - Umilkła i zajrzała do notatek.

- Chciałabym najpierw...

Zacząła niepewnie, ale już wkrótce zagłębiła się w temacie i punkt po punkcie płynnie wyjaśniała, dlaczego jej zdaniem prowadzona przez spółkę polityka zatrudnienia jest zacofana oraz jakie środki zaradcze najprędzej poprawią sytuację. Jej propozycje obejmowały: po pierwsze - wcześniejszy wiek emerytalny - dla mężczyzn od sześćdziesiątego, a dla kobiet od pięćdziesiątego piątego roku życia. Po drugie, wydzierżawienie działów, a nawet całych piętér firmom znanych

marek, co gwarantowało napływ gotówki bez finansowego ryzyka, gdyż każdy najemca był odpowiedzialny za utrzymanie własnego personelu. I po trzecie, zwiększenie rabatu na towary dla kupców i wszystkich firm, które po raz pierwszy składały u nas zamówienia. Wystąpienie zajęło Cathy około czterdziestu minut, a po jej końcowym wniosku upłynęło kilka minut, zanim ktoś z zebranych przy stole zabrał głos.

Jeśli jej wystąpienie było dobre, to sposób, w jaki odpowiadała na zadawane potem pytania, był jeszcze lepszy. Rozwiązała wszystkie problemy finansowe, które poruszyli Tim Newman i Paul Merrick oraz rozwiązała wszelkie niepokoje Arthura Selwyna, dotyczące związków zawodowych. Co zaś się tyczy Nigela Trenthama, to tak skutecznie i spokojnie odpierała jego ataki, że chciałbym równie dobrze umieć sobie z nim radzić. Gdy godzinę później opuszczała salę posiedzeń, znów wszyscy mężczyźni wstali z miejsc, oprócz Trenthama, który siedział ze wzrokiem utkwionym w raporcie przed sobą.

Tego wieczoru Cathy czekała już na mnie w drzwiach.

- No i co? - zapytała.

- Jak sądzisz? - odpowiedziałem pytaniem.

- Nie dręcz mnie, Charlie - zbesztła mnie.

- Zostałaś naszym nowym członkiem zarządu od spraw zatrudnienia - oznajmiłem ze śmiechem.

Na moment odjęło jej mowę.

- Skoro już nawarzyłaś piwa, młoda damo - powiedziałem mijając ją w przejściu - zarząd oczekuje, że sama je wypijesz i rozwiążesz problem.

Nowina szczerze uradowała Cathy i po raz pierwszy poczułem, że być może najtrudniejszy okres po tragicznej śmierci Daniela mamy za sobą. Wieczorem zatelefonowałem do dra Atkinsa i uspokoilem go, że Cathy nie tylko czuje się dobrze, ale dzięki swojemu wystąpieniu została wybrana do zarządu. Przed obojgiem jednak przemilczałem fakt, że musiałem przystać na kolejną nominację Trenthamów do kierownictwa spółki, żeby wniosek o członkostwie Cathy mógł przejść bez głosowania.

Od pierwszego dnia gdy Cathy zasiadła w zarządzie, dla wszystkich stało się jasne, że jest nie tylko jedną z bystrzejszych dziewczyn z działu Becky, ale poważnym kandydatem na mojego następcę. Zdawałem sobie jednak sprawę, że Cathy uzyska poparcie tylko w przypadku, gdy Trentham nie przejmie pięćdziesięciu jeden procent udziałów spółki. Wiedziałem również, że jedynym sposobem, w jaki może tego dokonać, jest jawna oferta przetargowa, z którą według wszelkiego prawdopodobieństwa wystąpi, gdy tylko wpadną mu w ręce pieniądze trustu Hardcastle. Po raz pierwszy życzyłem pani Trentham długich lat życia, które były mi potrzebne do wzmocnienia pozycji spółki, żeby kapitał trustu nie wystarczył Nigelowi Trenthamowi na przejęcie pakietu kontrolnego.

2 czerwca 1953 odbyła się koronacja królowej Elżbiety - cztery dni potem, gdy dwaj mężczyźni z innej części Wspólnoty Brytyjskiej zdobyli Mount Everest Najlepiej podsumował to Winston Churchill, mówiąc: "Ci, którzy znają historię ery Elżbiety I, na pewno nie mogą się doczekać, żeby czynnie uczestniczyć w czasach Elżbiety II".

Cathy podjęła wyzwanie premiera i z całą energią przystąpiła do realizacji własnego projektu, którą powierzył jej zarząd. W roku 1953

mogła się już wykazać czterdziestoma dziewięcioma tysiącami funtów oszczędności z tytułu samego tylko funduszu płac i dalszymi dwudziestoma jeden tysiącami w pierwszej połowie 1954 roku. A pod koniec drugiego roku działalności wiedziała już więcej na temat polityki kadrowej i

optymalnego poziomu zatrudnienia w firmie Trumper niż inni członkowie zarządu, nie wyłączając mojej osoby.

W 1955 roku zaczął gwałtownie spadać nasz eksport do krajów zamorskich. Ponieważ Cathy nie była już dłużej zajęta sprawami kadrowymi, a mnie zależało na tym, żeby zdobyła doświadczenie i w innych dziedzinach, poprosiłem ją, żeby zajęła się problemami naszego handlu zagranicznego.

Przystąpiła do nowego zadania z typowym dla siebie entuzjazmem.

Jednak w ciągu następnych dwóch lat zaczęło dochodzić do spięć pomiędzy nią a Nigelem Trenthamem w wielu kwestiach. Jedną z nich była polityka zwrotu klientowi różnicy w cenie, jeśli potrafił udowodnić, że zapłacił w firmie konkurencyjnej mniej za to samo standardowe dobro. Trentham argumentował, że klienta firmy Trumper nie interesuje jakaś wymyślona różnica w cenie towaru zakupionego w mniej znanym domu handlowym, a tylko jakość towaru i poziom świadczonych usług. Cathy na to odpowiadała:

- Klient nie ma obowiązku troszczyć się o nasz bilans. To zadanie zarządu, który działa w imieniu swoich akcjonariuszy.

Innym razem Trentham niemal zarzucił Cathy komunistyczne poglądy, gdy wystąpiła z projektem "udziału pracowników w kapitale akcyjnym spółki", który jej zdaniem korzystnie by wpłynął na lojalność personelu wobec firmy. Problem ten został w pełni doceniony przez Japonię, wyjaśniała, gdzie nie należą do rzadkości spółki, w których do pracowników należy dziewięćdziesiąt osiem procent kapitału akcyjnego firmy. Nawet mnie ten pomysł nie wydawał się przekonywający, ale Becky upomniała mnie na osobności, że staję się "wapniakiem". Przypuszczałem, że to nowoczesne określenie nie jest komplementem.

Firma Legal and General odprzedała wszystkie swoje akcje Nigelowi Trenthamowi, gdy okazało się, że nie powierzemy jej ubezpieczenia naszej firmy. Od tej chwili jeszcze bardziej byłem niespokojny, że Trentham zdobędzie w końcu taki kapitał akcyjny, który pozwoli mu przejąć kontrolę nad spółką. Zgłosił też kolejną kandydaturę na członka zarządu, która została przyjęta dzięki poparciu jej przez Paula Merricka.

- Mogłem kupić tę ziemię trzydzieści pięć lat temu za jedyne cztery tysiące funtów - wyrzuciłem sobie.

- O czym już tyle razy nam przypominałeś - zauważyła Becky. - Sytuacja jest obecnie o tyle gorsza, że pani Trentham z chwilą śmierci stanie się dla nas jeszcze groźniejsza, niż była za życia.

Firma Trumper z łatwością poradziła sobie z Elvisem Presleyem, z buntownikami zwanymi "Teddy boys", ze sztyletami oraz z nastolatkami.

- Nasi klienci mogą się zmieniać, ale nam nie wolno dopuścić do zmiany standardów naszej firmy - bez przerwy powtarzałem zarządowi.

W 1960 roku spółka ogłosiła siedemset pięćdziesiąt siedem tysięcy funtów zysku netto, co oznaczało, że zysk od kapitału wynosił czternaście procent, jednak szczytowym osiągnięciem była dopiero Gwarancja Królewska udzielona spółce rok później. Kazałem zawiesić nad głównym wejściem insygnia władzy królewskiej, żeby przypominać społeczeństwu, że właśnie nasz stragan jest głównym dostawcą królowej.

Nigdy nie twierdziłem, że widziałem kiedyś Jej Wysokość z naszą firmową niebieską torbą ze srebrnym emblematem straganu albo że spotkałem ją w którejś z naszych wind w godzinach szczytu. Ale regularnie telefonowano do nas z pałacu, gdy zaszła potrzeba uzupełnienia zapasów, co raz jeszcze potwierdzało teorię mojego dziadka, że jabłko jest jabłkiem bez względu na to, kto je gryzie.

Dla mnie osobiście najważniejszym wydarzeniem 1961 roku było otwarcie Centrum Dana Salmona na Whitechapel Road, którego dokonała Becky. Realizacja tego projektu również znacznie przekroczyła przewidywane koszty. Jednak pomimo krytyki małostkowego Merricka, nie żał mi było ani jednego wydanego pensa, gdy patrzyłem, jak następne pokolenie chłopców i dziewcząt z East Endu pływa, boksuje, podnosi ciężary oraz gra w squasha - w grę, której zasad nigdy nie mogłem pojąć.

Ilekczo wybrałem się w sobotnie popołudnie na mecz piłkarski rozgrywany przez West Ham, zawsze w drodze powrotnej do domu zaglądałem do nowego klubu i patrzyłem, jak mali Afrykańczycy, Hindusi i inni Azjaci, nowi obywatele East Endu, walczą tak zaciekle ze sobą, jak my robiliśmy to kiedyś z Irlandczykami i z emigrantami z Europy Wschodniej.

„Stary porządek zmienia się, ustępując miejsca nowemu. Bóg osobiście czuwa nad tym, by zachował się bodaj jeden zwyczaj, który uchroni świat przed zniszczeniem” - patrząc na słowa Tennysona, wyryte w kamiennym łuku na środku sklepienia, przypomniałem sobie panią Trentham, która nigdy na długo nie opuszczała moich myśli. Szczególnie gdy jej trzech reprezentanci zasiadali w zarządzie spółki i palili się, żeby wykonywać jej rozkazy. Nigelowi, który mieszkał teraz na Chester Square, odpowiadała pozycja wyczekująca. Chciał mieć przygotowane pole do działania, gdy poprowadzi do ataku swoje oddziały.

Nie przestawałem się modlić o długie lata życia dla pani Trentham. Wciąż potrzebowałem czasu, żeby uruchomić procesy, które na zawsze uniemożliwią jej synowi przejęcie kontroli nad spółką.

Daphne jako pierwsza uprzedziła mnie, że pani Trentham zachorowała i regularnie odwiedza ją rodzinny lekarz. Z twarzy Nigela Trenthama nie schodził uśmiech w czasie miesięcy oczekiwania.

Niespodziewanie 7 marca 1962 roku pani Trentham zmarła, w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat.
- Odeszła spokojnie, w czasie snu - poinformowała mnie Daphne.

ROZDZIAŁ 43

Daphne poszła na pogrzeb pani Trentham.

- Chciałam się upewnić, czy ta wstrętna kobieta naprawdę została pogrzebana - wyjaśniła później Charlie'emu. - Chociaż nie zdziwiłabym się, gdyby znalazła jakiś sposób, żeby powstać z martwych. - Ostrzegła też Charlie'ego, że słyszano, jak Nigel odgrażał się, i to jeszcze zanim ciało pani Trentham spoczęło w grobie, że na najbliższym posiedzeniu zarządu powinniśmy spodziewać się gromów. Do tego momentu dzieliło go zaledwie kilka dni.

W pierwszy wtorek następnego miesiąca Charlie rozejrzał się wokół stołu i sprawdził, czy nie brakuje nikogo z członków zarządu.

Wszyscy czekali niecierpliwie, żeby się przekonać, kto uderzy pierwszy. Nigel Trentham i jego dwaj koledzy byli w czarnych krawatach, które miały przypomnieć zarządowi o ich nowym statusie. Dla kontrastu pan Baverstock miał na sobie po raz pierwszy, od czasu gdy Charlie go znał, krawat w pastelowych barwach.

Charlie domyślił się, że Trentham zaczeka z wykonaniem ruchu do punktu szóstego porządku obrad, który dotyczył propozycji rozszerzenia na parterze dalszych pomieszczeń bankowych. Oryginalny projekt był oczkiem w głowie Cathy, która szczegółowo omówiła go na jednym z posiedzeń zarządu po powrocie z miesięcznego pobytu w Stanach. Chociaż nowy dział przeżywał swoje problemy okresu ząbkowania, to już pod koniec drugiego roku działalności przestał przynosić straty.

Pierwsze pół godziny obrad, gdy Charlie przedstawiał zarządowi kolejne punkty od pierwszego do piątego, przebiegło w spokojnej atmosferze. Ale gdy tylko zapowiedział punkt szósty, Trentham przerwał mu w pół słowa, nie dając nawet szansy wyrażenia do końca swojej opinii.

Zamknijmy bank i nie narażajmy firmy na dalsze straty.

- Z jakiego powodu? - zapytała wojowniczo Cathy.

- Ponieważ nie jesteśmy bankierami - stwierdził Trentham - lecz właścicielami magazynu handlowego, a właściwie straganu, o czym nasz przewodniczący lubi często przypominać. Zaoszczędzi nam to blisko trzydzieści tysięcy funtów wydatków rocznie.

- Ale bank właśnie zaczyna przynosić zyski - zaprotestowała Cathy. - Powinniśmy myśleć o rozwoju udogodnień dla klienta, zamiast go ich pozbawiać. A skoro już mowa o zyskach, kto wie, ile pieniędzy uzyskanych z dzierżawy pomieszczeń trzeba będzie potem na nie gdzie indziej wydać.

- Proszę zwrócić uwagę na to, jak dużą powierzchnię użytkową zajmuje bank.

- W zamian świadczymy klientom ceną usługę.

- I lekką ręką wydajemy pieniądze, gdyż nie potrafimy wykorzystać powierzchni na prowadzenie

bardziej zyskowego interesu - wypalił Trentham.

- Jakiego, na przykład? - zapytała Cathy. - Niech mi pan pokaże inną sferę działalności, bardziej przydatną dla klienta i gwarantującą równie szybki zwrot zainwestowanego kapitału, a pierwsza będzie za tym, żeby zamknąć bank.

- Nie zajmujemy się świadczeniem usług. Naszym obowiązkiem jest zapewnienie akcjonariuszom przyzwoitego zysku od kapitału - rzekł Trentham. - Domagam się, żeby ten wniosek został poddany pod głosowanie - dodał, nie kłopotząc się dalszym odpieraniem argumentów Cathy.

Trentham przegrał głosowanie w stosunku sześć do trzech i Charlie uznał, że po takim wyniku może przystąpić do omówienia punktu siódmego - propozycji zorganizowania pracownikom biletów na film West Side Story, który był wyświetlany w kinie Odeon na Leicester Square. Zaledwie jednak Jessica Allen zdążyła zapisać nazwiska do protokołu, Trentham zerwał się z miejsca i powiedział:

- Chciałbym złożyć oświadczenie, panie prezesie.

- Czy nie wypadałoby z tym poczekać, aż będą omawiane "inne sprawy"? - zapytał niewinnie Charlie.

- Nie będzie mnie już tutaj, gdy będziecie zajmować się innymi sprawami, panie prezesie - oświadczył chłodno Trentham. Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kartkę papieru, rozwinął ją i zaczął czytać przygotowany wcześniej tekst: - Czuję się w obowiązku poinformować zarząd - zakomunikował - że w przeciągu kilku najbliższych tygodni stanę się wyłącznym właścicielem trzydziestu trzech procent udziałów firmy Trumper. Podczas naszego następnego spotkania będę nalegał na wprowadzenie szeregu zmian w strukturze spółki, w tym również w składzie zarządu, którego członkowie zajmują obecnie miejsca wokół tego stołu. - Zamilkł i spojrzał w stronę Cathy, a potem zaczął mówić dalej: - Zamierzam teraz państwa opuścić, żebyście mogli swobodnie przedyskutować konsekwencje wynikające z mojego oświadczenia.

Odsunął do tyłu krzesło.

- Nie bardzo rozumiem, co pan sugeruje, panie Trentham - odezwała się Daphne.

Trentham zawahał się przez moment, zanim odpowiedział.

- Pozwoli pani, że wobec tego bardziej dobitnie przedstawię swoje stanowisko, lady Wiltshire.

- Będę zobowiązana.

- Na następnym posiedzeniu zarządu - kontynuował niezmiuszony - wysunę swoją kandydaturę na prezesa spółki Trumper.

Jeśli nie zostaną wybrany, natychmiast zrezygnuję z członkostwa w zarządzie i umieszczę w prasie ogłoszenie, że zamierzam przejąć pozostałe udziały spółki. Wszyscy musicie wiedzieć, że będę dysponował środkami, które pozwolą mi zrealizować ten zamysł. A ponieważ do uzyskania pakietu kontrolnego akcji brakuje mi tylko osiemnaście procent udziałów, radziłbym obecnym członkom zarządu pogodzić się z tym, co nieuchronne, i złożyć rezygnację, żeby uniknąć kłopotliwej sytuacji, gdy następnym razem będę zmuszony ich wyrzucić. Spodziewam się, że na kolejnym comiesięcznym posiedzeniu zastanę tylko jedną lub dwie z obecnych tu osób. - Wstał i wyszedł z sali, a za nim jego dwaj koledzy.

Ciszę, która potem zapanowała, przerwało pytanie Daphne:

- Czy istnieje jakiś zbiorowy rzeczownik na określenie kilku gównien?

Wszyscy roześmieli się oprócz Baverstocka, który powiedział pod nosem:

- Kupa.

- A więc otrzymaliśmy rozkazy bitewne - stwierdził Charlie. - Miejmy nadzieję, że starczy nam

zapału do walki. - I zwrócił się do Baverstocka. - Czy mógłby pan powiadomić zarząd, jak przedstawia się aktualny stan udziałów, którymi dysponuje trust Hardcastle?

Starszy mężczyzna powoli podniósł głowę i spojrzał na Charlie'ego.

- Nie, panie przewodniczący, nie mogę. Z przykrością muszę też poinformować zarząd, że zamierzam złożyć rezygnację.

- Ale dlaczego? - zdumiała się Becky. - Przecież dotychczas mogliśmy liczyć na pana wsparcie w każdej trudnej sytuacji.

- Proszę mi wybaczyć, lady Trumper, ale nie wolno mi wyjawiać powodów.

- Czy nie mógłby pan ponownie rozważyć swojego stanowiska? - upewnił się Charlie.

- Niestety nie - odpowiedział zdecydowanym tonem Baverstock.

Charlie natychmiast zamknął posiedzenie, pomimo tego że wszyscy chcieli jednocześnie zabrać głos, i prędko wyszedł z sali za prawnikiem.

- Co skłoniło pana do rezygnacji po tylu latach?

- Może będzie lepiej, jeśli spotkamy się jutro i porozmawiamy na ten temat w moim biurze.

- Bardzo proszę. Ale niech mi pan powie, dlaczego postanowił pan opuścić nas w chwili, kiedy jest nam pan najbardziej potrzebny.

Pan Baverstock zatrzymał się.

- Sir Raymond zakładał, że coś takiego może się zdarzyć - powiedział cicho. - I udzielił mi odpowiednich instrukcji.

- Nie rozumiem.

- Dlatego właśnie powinniśmy się jutro spotkać, sir Charlesie.

- Czy życzy pan sobie, żebym przyszedł razem z Becky?

Baverstock zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Sądzę, że lepiej nie. Skoro mam po raz pierwszy od czterdziestu lat zawieść zaufanie mojego klienta, wolę, żeby nie było przy tym więcej świadków.

Gdy Charlie przybył nazajutrz rano do kancelarii adwokackiej Baverstock, Dickens i Cobb, główny partner czekał już w drzwiach, żeby go powitać. Charlie ani razu nie spóźnił się na spotkanie z Baverstockiem podczas ich czternastoletniej znajomości i zawsze był poruszony staroświecką kurtuazją, z jaką prawnik się do niego odnosił.

- Dzień dobry, sir Charlesie - powiedział Baverstock i poprowadził gościa korytarzem do gabinetu. Charlie był zdziwiony, gdy adwokat zaproponował mu miejsce obok kominka, a nie jak zwykle po drugiej stronie kancelaryjnego biurka. Nie było tym razem w gabinecie żadnego urzędnika ani nadskakującej sekretarki, która miałaby robić notatki. Charlie zauważył też, że telefon został wyłączony. Usiadł, zdając sobie sprawę, że to nie będzie krótkie spotkanie.

- Wiele lat temu, gdy byłem młodym człowiekiem - zaczął Baverstock - i zdałem końcowe egzaminy na studiach, złożyłem przysięgę, że będę przestrzegał kodeksu etyki adwokackiej i zachowywał dla siebie informacje o prywatnych sprawach moich klientów. Śmiało mogę powiedzieć, że w czasie całej zawodowej kariery respektowałem to postanowienie. Jednakże jednym z moich klientów, o czym zapewne pan dobrze wie, był sir Raymond Hardcastle, który... - W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła młoda dziewczyna, niosąc tacę z dwoma filiżankami gorącej kawy oraz z cukiernicą.

- Dziękuję, panno Burrows - powiedział Baverstock, biorąc jedną z filiżanek. Nie podjął dalszego wyводу, dopóki za dziewczyną nie zamknęły się drzwi. - O czym to ja mówiłem? -

zastanawiał się, wrzucając do filiżanki kostkę cukru.

- O pańskim kliencie, sir Raymondzie.

- Ach tak - przypomniał sobie Baverstock. - Otóż sir Raymond zostawił testament, którego treść pewnie już pan zna. Nie wie pan jednak, że do dokumentu dołączony był list, który nie ma mocy prawnej i został do mnie osobiście zaadresowany.

Kawa Charlie'ego stała nietknięta. Słuchał z przejęciem, co Baverstock ma mu do zakomunikowania.

- Właśnie dlatego, że ten list nie jest żadnym dokumentem, a jedynie prywatną korespondencją pomiędzy dwojgiem starych przyjaciół, zdecydowałem się zapoznać pana z jego treścią.

Baverstock nachylił się i otworzył kartotekę, która leżała przed nim na stole. Wyjął z niej kartkę papieru, pokrytą wyraźnym i pewnym pismem.

- Zanim przeczytam panu ten list, sir Charlesie, chciałbym podkreślić, że był on napisany w okresie, gdy sir Raymond zakładał, że jego majątek odziedziczy Daniel, a nie inny najbliższy krewny.

Pan Baverstock popchnął okulary głębiej na grzbiet nosa, odchrząknął i zaczął czytać.

Drogi Baverstock!

Pomimo wszystkiego, co zrobiłem, żeby zagwarantować realizację mojej ostatniej woli, może okazać się, że Ethel znalazła jakiś sposób na to, by mój wnuk, Daniel Trumper, nie odziedziczył majątku Hardcastle.

Gdyby zaistniały takie okoliczności, niech Pan kierując się zdrowym rozsądkiem, zapozna ze wszystkimi szczegółami mojego testamentu tych, których jego postanowienia najbardziej dotyczą.

Drogi Przyjacielu, doskonale Pan wie, kogo i co mam na myśli Zawsze oddany Ray.

Baverstock położył list z powrotem na stole i powiedział:

- Obawiam się, że równie dobrze znał słabości swojej córki, jak i moje. - Charlie uśmiechnął się. Wiedział, że stary prawnik boryka się z dylematem natury etycznej.

- A teraz, zanim odwołam się do samego testamentu, muszę jeszcze jedno panu wyjawić.

Charlie skinął głową.

- Wie pan dobrze, sir Charlesie, że Nigel Trentham jest w tej chwili jedynym bliskim krewnym mojego klienta. Jednak uderzające jest to, że w swoim testamencie sir Raymond ani razu nie nazwał go swoim spadkobiercą. Mój klient, jak przypuszczam, miał nadzieję, że Daniel doczeka się potomstwa, które będzie miało pierwszeństwo nad jego wnukiem. Obecna sytuacja przedstawia się tak, że pan Nigel Trentham, jako najbliższy z żyjących potomków sir Raymonda, będzie miał, prawo do udziałów w firmie Trumper i do pozostałego majątku Hardcastle; czyli do ogromnej fortuny. Mogę pana zapewnić, że dzięki niej będzie dysponował niezbędnymi środkami finansowymi, by wystąpić z oficjalną ofertą przejęcia pozostałych udziałów spółki. Jednakże nie z tego powodu chciałem się z panem spotkać dziś rano. Jest jeszcze jeden punkt testamentu, o którego istnieniu nie mógł pan wiedzieć. Biorąc pod uwagę list sir Raymonda, uważam, że mam obowiązek zapoznać pana z jego treścią.

Baverstock pomyszkował w kartotece i wyjął z niej plik papierów, zapieczętowanych woskiem i przewiązanych różową wstążką.

- Sformułowanie pierwszych jedenastu punktów testamentu sir Raymonda zajęło mi wiele czasu. Jednakże ich treść nie ma związku z omawianą sprawą. Dotyczy niewielkich zapisów, jakich mój klient dokonał na rzecz swoich siostrzeńców, siostrzenic i kuzynów, którzy otrzymali już darowane im kwoty.

W punktach od dwunastego do dwudziestego pierwszego wymienione są organizacje charytatywne, kluby i akademickie instytucje, z którymi sir Raymond był długo związany i które doświadczyły jego hojności. Decydujące znaczenie ma, moim zdaniem, dopiero punkt dwudziesty drugi. - Baverstock ponownie odchrząknął zanim spojrzał na dół i przekartkował kilka stron. - "Pozostały majątek stanie się własnością pana Daniela Trumpera z Trinity College, Cambridge.

W wypadku gdyby nie przeżył mojej córki, Ethel Trentham, cała suma ma zostać równo podzielona pomiędzy jego potomstwo. Jeśli umrze bezpotomnie, majątek Hardcastle otrzyma najbliższy z moich żyjących potomków". A teraz związany ze sprawą paragraf, sir Charlesie."Gdyby zaistniały takie okoliczności, polecam wykonawcom mojego testamentu podjąć wszelkie kroki, które uznają za konieczne, w celu odszukania osoby upoważnionej do ubiegania się o mój spadek Aby zapewnić należyte wykonanie tego postanowienia, uważam, że ostateczne przekazanie majątku nie powinno nastąpić wcześniej, jak przed upływem dwóch lat od daty śmierci mojej córki.

Charlie miał zamiar o coś zapytać, ale pan Baverstock powstrzymał go, podnosząc rękę w górę.

- Stało się dla mnie jasne - mówił dalej - że sir Raymond w tym celu dołączył dwudziesty drugi punkt, żeby dać panu czas na przegrupowanie sił i odparcie wrogiego ataku Nigela Trenthama, który będzie chciał przejąć kontrolę nad spółką.

Sir Raymond zostawił też instrukcje, że w stosownym czasie po śmierci jego córki powinny zostać zamieszczone ogłoszenia w "The Times", "Telegraph" i "Guardian", a także w innych gazetach, które w nowych okolicznościach uznam za właściwe, żeby upewnić się, czy niema innych osób mających prawo do spadku. Jeśli spadkobiercy się znajdują, powinni bezpośrednio skontaktować się z naszą firmą. Do tej pory trzynaście osób otrzymało po tysiąc funtów. Ale wciąż mogą się jeszcze zgłosić inni kuzyni i dalecy krewni, o których istnieniu sir Raymond nawet nie wiedział. Ta klauzula była pretekstem do umieszczenia punktu dwudziestego drugiego. Z tego, co zrozumiałem, sir Raymond był gotów obdarować jakiegoś nieznanego krewnego kwotą tysiąca funtów, żeby tylko panu dać możliwość złapania oddechu. Skoro już o tym mowa - dodał Baverstock - zdecydowałem się jeszcze dołączyć "Yorkshire Post" i "Huddersfield Daily Examiner" do listy gazet proponowanych w testamencie z powodu związków rodziny Hardcastle z tamtym hrabstwem.

- Sir Raymond musiał być niezwykle szczwanym lisem - zauważył Charlie. - Żałuję, że go osobiście nie znałem.

- Mogę powiedzieć z całym przekonaniem, sir Charlesie, że na pewno by go pan polubił.

- Jestem bardzo wdzięczny, że mnie pan o wszystkim poinformował, drogi przyjacielu.

- Nie ma za co. Wiem, że gdyby sir Raymond był na moim miejscu, postąpiłby dokładnie tak samo.

- Szkoda tylko, że nie wyznałem Danielowi prawdy o jego ojcu...

- Niech pan oszczędza energię i szybko działa - poradził Baverstock. - Wciąż jeszcze jest szansa na to, żeby zapobiegliwość sir Raymonda nie poszła na marne.

7 marca 1962 roku, w dniu śmierci pani Trentham, kurs akcji Trumper kształtował się na poziomie jednego funta i dwóch szylingów według wykazu umieszczonego w "Financial Times". Ale tylko w ciągu czterech następnych tygodni wzrósł o trzy szylingi.

Tim Newman udzielił Charlie'emu rady, żeby nie wyzywał się akcji i pod żadnym warunkiem nie wyrażał zgody przez najbliższe dwa lata na ich dodatkową emisję. Sugerował też, żeby oboje z Becky kupowali dalsze akcje.

Jednak ostatnia rada okazała się niewykonalna. Gdy tylko pojawiała się na rynku większa ilość

akcji, była natychmiast przechwytywana przez nie znanego maklera, który najwyraźniej otrzymał instrukcje, żeby je kupować bez względu na kurs. Makler Charlie'ego zdołał przejąć trochę akcji, ale tylko od tych, którzy nie chcieli sprzedawać ich na wolnym rynku. Charlie był niezadowolony, gdy musiał zapłacić za nie powyżej kursu. Wciąż pamiętał, jak niewiele dzieliło go od bankructwa, kiedy ostatnim razem przekroczył kredyt. Pod koniec roku kurs akcji firmy Trumper wynosił już jeden funt i siedemnaście szylingów. A gdy w "Financial Times" ukazał się artykuł, w którym uprzedzono czytelników o nieuchronnej walce o przejęcie kontroli nad spółką Trumper, na rynku zostało jeszcze mniej sprzedających. Bitwa miała się według autora artykułu rozegrać w czasie najbliższych osiemnastu miesięcy.

- Ci cholerni dziennikarze zdają się być równie dobrze poinformowani jak członkowie zarządu - narzekała Daphne do Charlie'ego na następnym posiedzeniu. Dodała też, że nie będzie zawracać sobie głowy protokołami z ostatniego zebrania, gdyż może na pierwszej stronie "Financial Times" przeczytać doskonale sprawozdanie z przebiegu obrad, które najwyraźniej słowo w słowo zostało podyktowane. Mówiąc to, nie spuszczała wzroku z Paula Merricka.

Historia przekazana w ostatnim wydaniu gazety tylko w jednym szczególe mijiała się z prawdą - na sali posiedzeń zarządu nie toczyła się już walka. Gdy tylko stało się powszechnie wiadome, że w testamencie sir Raymonda została umieszczona klauzula o dwuletniej zwłoce, Nigel Trentham i jego popiecznicy przestali uczęszczać na zebrania zarządu.

Nieobecność Trenthama szczególnie zirytowała Cathy, gdyż z każdym kwartałem bank przynosił coraz większe zyski. Musiała adresować swoją opinię do trzech pustych krzeseł, chociaż podejrzewała, że Merrick składa o wszystkim szczegółowy raport na Chester Square. Co zaś się tyczy innych złożonych spraw, to Charlie poinformował akcjonariuszy na Corocznym walnym zgromadzeniu, że rok 1963 będzie kolejnym rekordowym z punktu widzenia osiągniętych zysków.

- Spędziłeś całe życie na budowaniu firmy Trumper tylko po to, żeby ją podać na tacy Trenthamom - zauważył Tim Newman.

- Tak, to pewne, że pani Trentham nie musi przewracać się w grobie - przyznał Charlie. - Czy to nie jest ironia losu, że po tym wszystkim, co zwojowała w życiu, dopiero śmierć dała jej szansę nas dobić.

37 - Prosto jak strzelił Gdy na początku 1964 roku kurs akcji ponownie podskoczył, tym razem na ponad dwa funty, Charlie został poinformowany przez Tima Newmana, że Nigel Trentham je nadal skupuje.

- Skąd bierze gotówkę na finansowanie tych operacji? Przecież jeszcze nie dostał do rąk pieniędzy dziadka?

- Jeden z moich dawnych kolegów dał mi do zrozumienia - odparł Tim Newman - że pewien poważny bank akceptacyjny udzielił mu zgody na znaczne przekroczenie konta, przewidując, że Trentham uzyska kontrolę nad trustem Hardcastle. Szkoda, że nie miałeś dziadka, który by ci zostawił fortunę - dodał.

- Też bardzo żałuję - przyznał Charlie.

Nigel Trentham wybrał sześćdziesiąte czwarte urodziny Charlie'ego jako odpowiednią chwilę, by ogłosić światu, że skupuje wszystkie udziały firmy Trumper według kursu dwa funty cztery szylingi za akcję. Było to zaledwie na sześć tygodni przed terminem uprawomocnienia się jego roszczeń do spadku. Charlie żywił nadzieję, że z pomocą przyjaciół oraz instytucji takich jak Prudential, a także zwykłych akcjonariuszy, którzy czekali na dalszy wzrost kursu, może wciąż skupić

w swoich rękach czterdzieści procent udziałów spółki. Według szacunków Tima Newmana Nigel Trentham miał co najmniej dwadzieścia procent. Jednak z chwilą gdy do tego doda siedemnaście procent udziałów trustu, będzie dysponował czterdziestoma dwoma, a może nawet czterdziestoma trzema procentami kapitału akcyjnego firmy Trumper. Zebranie dalszych ośmiu albo dziewięciu procent potrzebnych do zdobycia pakietu kontrolnego nie będzie trudne, ostrzegął Newman.

Tego samego wieczoru Daphne wydała przyjęcie na cześć Charlie'ego w swoim domu na Eaton Square. Nikt nie wymieniał nazwiska Trenthama. Dopiero po drugiej kolejce portwajna, rozrzucony Charlie zacytował klauzulę z testamentu sir Raymonda i wyjaśnił, że jej jedynym celem była chęć ratowania go.

- Za pamięć sir Raymonda! - wznosił toast.

- Za sir Raymonda! - zawtórowali mu wszyscy goście, z wyjątkiem Daphne.

- O co chodzi, moja droga? - zdziwił się Percy. - Nie smakuje ci portwajn?

Zupełnie nie zrozumieliście intencji sir Raymonda.

- O czym ty mówisz, moja droga?

- Można by sądzić, że to dla każdego powinno być oczywiste, a już szczególnie dla ciebie, Charlie - powiedziała, przenosząc wzrok ze swojego męża na honorowego gościa.

- Tak jak i Percy, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Wokół stołu zaległa cisza. Wszyscy skupili się na tym, co miała do powiedzenia Daphne.

- To naprawdę całkiem proste - tłumaczyła. - Sir Raymond na pewno uważał za mało prawdopodobne, żeby pani Trentham przeżyła Daniela.

- A więc?

- Wątpię też, żeby przez chwilę myślał o tym, iż w chwili jej śmierci Daniel będzie miał już swoje dzieci.

Prawdopodobnie nie - zgodził się Charlie.

- Wszyscy mamy bolesną świadomość, że powierzenie majątku Nigelowi Trenthamowi uważał za ostateczność. W przeciwnym razie chętnie uznałby go w testamencie za swojego następcę, zamiast przekazywać całą fortunę synowi Guya Trenthama, którego nawet nigdy nie poznał. Nie umieściłby też słów: "Jeśli umrze bezpotomnie, majątek Hardcastle otrzyma najbliższy z moich żyjących potomków".

- Do czego zmierzasz? - zapytała Becky.

- Z powrotem do klauzuli, którą przed chwilą zacytował Charlie.

„Proszę podjąć wszelkie konieczne kroki, w celu odszukania osoby upoważnionej do ubiegania się o mój spadek” - odczytała swoje pośpieszne zapiski z adamaszkowego obrusa. - Czy to były dokładnie te słowa, panie Baverstock? - upewniła się.

- Tak, lady Wiltshire, ale nadal nie rozumiem..

- Ponieważ jest pan tak samo ślepy jak Charlie - stwierdziła Daphne. - Dzięki Bogu, że jeszcze jest wśród nas przynajmniej jedna trzeźwa osoba. Panie Baverstock, czy mógłby pan nam przypomnieć wszystkie instrukcje sir Raymonda dotyczące ogłoszeń prasowych?

Baverstock przyłożył sobie serwetkę do ust, starannie złożył lniany kwadrat i położył go na stole przed sobą. - Ogłoszenia powinny zostać umieszczone w "The Times", "Telegraph" i w "Guardian" oraz w każdej innej gazecie, którą w nowych okolicznościach uznam za właściwą.

- "Którą w nowych okolicznościach uznam za właściwą" - powtórzyła Daphne, powoli wymawiając każde słowo. - Całkiem zrozumiała wskazówka, jak na tak dyskretnego człowieka,

jakim był sir Raymond, - Wzrok wszystkich skierowany był teraz na Daphne i nikt nie zamierzał jej przerywać. - Czy nie rozumiecie, że te słowa mają przełomowe znaczenie? - zapytała. - Przecież jeśli Guy Trentham miał jeszcze inne dzieci, to nie znajdziecie ich zamieszczając ogłoszenia w londyńskim "Timesie", "Telegraph", "Guardian" ani w "Yorkshire Post" czy w "Huddersfield Daily Examiner".

Charlie odłożył z powrotem kawałek swojego urodzinowego tortu na talerzyk i spojrzał na Baverstocka.

- Wielkie nieba, Daphne ma rację.

- Z pewnością się nie myli - przyznał Baverstock, kręcąc się nerwowo na krześle. - Proszę mi wybaczyć brak wyobraźni. Jak słusznie zauważyła lady Wiltshire, musiałem być chyba ślepy. Nie zastosowałem się do instrukcji mojego klienta, który poradził mi kierować się rozsądkiem. Sir Raymond nie wykluczył możliwości, że Guy miał jeszcze inne dzieci, ale zdawał sobie sprawę, że prawdopodobieństwo odnalezienia ich w Anglii jest niewielkie.

- Dobra robota, panie Baverstock - powiedziała Daphne. - Powinnam była pójść na uniwersytet i studiować prawo.

Pan Baverstock nie czuł się na siłach, żeby tym razem ją poprawić.

- Może wystarczy nam czasu - powiedział Charlie. - Dopiero za sześć tygodni spadek ma zostać przekazany Trenthamowi. Dziękuję ci - dodał, kłaniając się Daphne.

Podniósł się z krzesła i skierował się w stronę najbliższego telefonu.

- Będzie mi teraz potrzebny najsprytniejszy prawnik w Australii. - Spojrzał na zegarek. - I najchętniej ktoś, kto nie ma nic przeciwko wstawaniu o wczesnej porze.

Pan Baverstock odchrząknął.

W czasie następnych dwóch tygodni w każdej australijskiej gazecie, której nakład przekraczał pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy, ukazało się duże ogłoszenie. Prawnicy z firmy, którą gorąco zarekomendował pan Baverstock, reagowali na każdą odpowiedź i przeprowadzali rozmowy wyjaśniające. Codziennie wieczorem do Charlie'ego telefonował Trevor Roberts, główny partner firmy, i przez kilka godzin zapoznawał go z najświeższymi informacjami zebranymi w biurach firmy w Sydney, Melbourne, Perth, Brisbane i w Adelajdzie. Po trzech tygodniach badań i po wyeliminowaniu wszystkich pomyłków okazało się, że tylko trzy osoby spełniają wymagane kryteria. Jednakże po rozmowie, jaką przeprowadził z nimi Roberts, stało się wiadome, że oni również nie są w stanie udowodnić swojego pokrewieństwa z żadnym z członków rodziny Trenthamów.

Roberts odkrył, że w narodowym spisie figuruje siedemnastu Trenthamów, w większości z Tasmanii, ale żaden z nich nie mógł wykazać się, że pochodzi z tej samej linii, co Guy Trentham albo jego matka. Tylko jedna dama z Hobart, która po wojnie wyemigrowała z Ripon, uzasadniła swoje roszczenie do spadku tysiąca funtów i jak się wyjaśniło, była daleką kuzynką sir Raymonda.

Charlie podziękował Robertsowi za pilne wywiązywanie się z obowiązków. Równocześnie poprosił go, żeby nie rezygnował z dalszych poszukiwań, bez względu na to, ilu pracowników będzie musiał zatrudniać przez całą dobę.

Na ostatnim posiedzeniu zarządu przed oficjalnym przejęciem przez Nigela Trenthama majątku Hardcastle, Charlie zapoznał swoich kolegów z najnowszymi wiadomościami z Australii.

- To wszystko nie brzmi zbyt optymistycznie - stwierdził Newman. - Jeśli istnieje jakaś albo jakiś Trentham, muszą być dobrze po trzydziestce i na pewno do tej pory już by się odezwali.

- Zgoda, ale Australia to strasznie duży kraj. Poza tym ten ktoś mógł wyjechać z kontynentu.

- Nigdy nie dajesz za wygraną, co? - zauważyła Daphne.

- Uważam, że najwyższy czas - powiedział Arthur Selwyn - byśmy spróbowali dojść do porozumienia z Trenthamem, jeśli spółka ma być zarządzana w sposób odpowiedzialny. Chciałbym się dowiedzieć, mając na uwadze dobro interesów firmy Trumper oraz jej klientów, czy strona przeciwna w ogóle bierze pod uwagę możliwość polubownego załatwienia sprawy.

- Polubowne załatwienie sprawy! - zawołał Charlie. - Trentham zgodzi się tylko na to, żeby zasiąść na moim miejscu i mieć gwarantowaną większość w zarządzie, podczas gdy ja znajdę się w domu starców.

Może być i tak - przyznał Selwyn. - Chciałem jednak podkreślić panie prezesie, że wciąż mamy obowiązki wobec naszych akcjonariuszy.

- Pan Selwyn ma rację - odezwała się Daphne. - Będziesz musiał spróbować, mając na względzie dobro spółki, którą założyłeś. - I dodała cicho: - Jakkolwiek by to miało być dla ciebie bolesne.

Becky skinęła głową na znak, że zgadza się z tą opinią. Charlie poprosił Jessicę, żeby umówiła go na spotkanie z panem Trenthamem w pierwszym dogodnym dla niego terminie. Sekretarka wróciła po kilku minutach i zawiadomiła członków zarządu, że pan Nigel Trentham nie widzi potrzeby spotkania się z nimi przed marcowym posiedzeniem, kiedy to będzie miał przyjemność osobiście przyjąć ich rezygnację.

- Siódmego marca mijają dwa lata od dnia śmierci jego matki - przypomniał zarządowi Charlie.

- Pan Roberts czeka na pana na drugiej linii - zawiadomiła Charlie'ego Jessica.

Charlie wstał i wielkimi krokami wyszedł z pokoju. Dopadł do telefonu i chwycił słuchawkę jak tonący marynarz chwyta się liny ratunkowej.

- Roberts? Czy ma pan coś dla mnie nowego?

- Guy Trentham!

- Został już dawno pochowany na cmentarzu w Ashurst.

- Ale dopiero potem, gdy jego ciało zabrano z więzienia w Melbourne.

- Z więzienia? Myślałem, że umarł na gruźlicę.

- Nie sądzę, żeby można było umrzeć na gruźlicę, gdy się wisi na dwumetrowej linie, sir Charlesie.

- Został powieszony?

- Tak, za zamordowanie swojej żony Anny Heleny - wyjaśnił prawnik.

- Czy mieli jakieś dzieci?

- Nie ma sposobu, żeby się tego dowiedzieć.

- Dlaczego, u diabła?

- Ponieważ ujawnianie nazwisk najbliższych krewnych więźnia jest wbrew prawu sądowemu.

- Ale dlaczego, na miłość boską?

Dla ich własnego bezpieczeństwa.

- W tym wypadku może to tylko im wyjść na korzyść.

- W więzieniu słyszeli już o tym. A nawet podkreślili, że wiedzą o ogłoszeniach prasowych, które zamieściliśmy na terenie całego kraju. Co gorsza, jeśli dziecko Trenthama ze zrozumiałych powodów zmieniło nazwisko, trudno będzie trafić na jego trop. Zapewniam pana jednak, sir Charlesie, że pracuję tak szybko, jak to tylko jest możliwe.

- Proszę umówić mnie na rozmowę z szefem policji.

- To nic nie zmieni, sir Charlesie. On nie będzie... - zaczął Roberts, lecz Charlie już się wyłączył.

- Jesteś szalony - powiedziała Becky godzinę później do męża, pomagając mu spakować walizkę.

- To prawda - przyznał Charlie. - Ale to może być moja ostatnia szansa na to, żeby zachować kontrolę nad spółką. I dlatego nie zamierzam walczyć przez telefon ani działać na odległość dwudziestu tysięcy kilometrów. Muszę być na miejscu. Przynajmniej w razie niepowodzenia będę mógł winić samego siebie, a nie osoby trzecie.

- Czego właściwie masz zamiar się tam dowiedzieć?

Charlie oderwał wzrok od walizki, którą zapinał, i spojrzał na żonę.

- Przypuszczam, że tylko pani Trentham znała odpowiedź na to pytanie.

ROZDZIAŁ 44

Trzydzieści cztery godziny później samolot rejsu numer 012

wylądował na lotnisku Kingsford Smith w Sydney. Był ciepły, pogodny wieczór. Charlie czuł, że teraz najchętniej porządnie by się wyspał. Gdy załatwił formalności związane z odprawą celną, podszedł do niego młody wysoki mężczyzna w jasnobieżowym garniturze, który przedstawił się jako Trevor Roberts, prawnik, którego Charlie'emu polecił Baverstock. Roberts miał gęste włosy w rdzawym kolorze i jeszcze bardziej rudą karnację. Był potężnej postury. Natychmiast przejął od Charlie'ego załadowany walizkami wózek bagażowy i zręcznie manewrując, skierował się do wyjścia oznaczonego napisem "Parking dla samochodów osobowych".

- Nie ma potrzeby zawozić bagażu do hotelu - zasugerował Roberts, przytrzymując Charlie'emu drzwi. - Zostawimy wszystko w samochodzie.

- Czy to pierwsza porada prawna, jakiej mi pan udziela? - zapytał Charlie. Nie mógł złapać tchu, gdy usiłował dotrzymać młodemu człowiekowi kroku.

- Z pewnością, sir Charlesie, ponieważ nie mamy czasu do stracenia. - Podjechał wózkiem pod sam krawężnik i gdy kierowca ładował torby do bagażnika, zajął miejsce obok Charlie'ego na tylnym siedzeniu. - Gubernator brytyjski zaprosił pana na szóstą do swojej rezydencji na drinka, ale musimy jeszcze dzisiaj zdążyć na ostatni samolot do Melbourne. Skoro zostało nam tylko sześć dni, nie możemy sobie pozwolić na stratę czasu i przebywać nie w tym mieście, w którym potrzeba.

Roberts przypadł Charlie'emu od pierwszej chwili do serca.

Samochód zbliżał się do przedmieść, a Charlie słuchał z wytężoną uwagą, gdy adwokat zapoznawał go z proponowanym rozkładem na najbliższe trzy dni. Tylko od czasu do czasu prosił, żeby młody człowiek coś mu powtórzył albo udzielił bardziej szczegółowych wyjaśnień. Starał się przywyknąć do stylu Roberts'a, który bardzo odbiegał od tego, jaki reprezentowali wszyscy znani mu angielscy prawnicy. Gdy Charlie zwrócił się do Baverstock'a, żeby mu znalazł najbystrzejszego prawnika w Sydney, nie przypuszczał, że stary przyjaciel wybierze kogoś w tak zupełnie innym typie niż on sam.

Samochód pędził autostradą w stronę rezydencji gubernatora, a Roberts zaglądając do dokumentów, które balansowały na jego kolanach, nie przerywał monologu i zapoznawał Charlie'ego ze szczegółowym programem:

- Jedziemy na cocktail do gubernatora po to - wyjaśniał - żeby nam pomógł w razie potrzeby usunąć przeszkody, jeśli się na jakieś natkniemy. A potem polecimy do Melbourne, gdyż każdy trop, na jaki natrafia pracownik z mojego biura, nieodmiennie urywa się na biurku głównego komisarza policji w tym mieście. Umówiłem pana z nim na rano, ale jak już uprzedzałem, nowy szef nie okazał

się zbyt chętny do współpracy z moimi ludźmi.

- Dlaczego?

- Całkiem niedawno został powołany na to stanowisko i rozpaczliwie usiłuje udowodnić, że wszystkich będzie jednakowo traktował.

- Na czym polega problem?

- Jak wszyscy Australijczycy w drugim pokoleniu nienawidzi Anglików, a przynajmniej takie sprawia wrażenie. - Roberts uśmiechnął się od ucha do ucha. - Sądzę jednak, że jest grupa ludzi, której nie znosi jeszcze bardziej.

- Kryminalistów?

- Nie, prawników - odparł Roberts. - Teraz sam pan rozumie, dlaczego nasza sytuacja była wyjątkowo trudna.

- Jak w takim razie zdołaliście cokolwiek od niego wyciągnąć?

- Nie dowiedziliśmy się prawie niczego. To, co zdecydował się nam wyjawić, zostało podane do publicznej wiadomości. Gazety doniosły, że 27 lipca 1926 roku Guy Trentham w przypiływie złości zabił swoją żonę w kąpieli, kilkakrotnie dźgając ją nożem. A potem przytrzymał ją pod wodą, żeby mieć pewność, że nie przeżyje.

Znajdzie pan informacje na ten temat na stronie szesnastej swoich akt. Wiemy też, że 23 kwietnia 1927 roku został za tę zbrodnię powieszony, pomimo kilku apelacji o łaskę do gubernatora. Nie zdołaliśmy jednak stwierdzić, czy zostawił jakieś dzieci. Raport z procesu ukazał się w gazecie "Melbourne Age", ale nie było tam żadnej wzmianki o dziecku. Trudno się jednak dziwić, ponieważ sędzia był przeciwny wszelkim uwagom na ten temat w czasie procesu, jeśli nie miały bezpośredniego związku ze zbrodnią.

- A jakie było panińskie nazwisko żony Trenthama? Może ta droga okaże się pewniejsza.

- Nie będzie pan zachwycony, sir Charlesie.

- Śmiało, niech pan mówi.

- Nazywała się Smith, Anna Helena Smith. To właśnie z tego powodu skoncentrowaliśmy całą uwagę na Trenthamie pomimo ograniczonego czasu.

- Ale nie trafiliście jeszcze na żaden pewny trop?

- Obawiam się, że nie - przyznał Roberts. - Jeśli w tamtym czasie żyło w Australii dziecko i nosiło nazwisko Trentham, to nie zdołaliśmy go odnaleźć. Moi pracownicy rozmawiali z każdym Trenthamem, jaki figuruje w krajowym rejestrze, łącznie z mieszkańcem Coorabulki, której cała populacja liczy jedenaście osób i żeby do niej dotrzeć, trzeba przez trzy dni jechać samochodem, a potem jeszcze iść pieszo.

- Pomimo pańskich wysiłków, panie Roberts, przypuszczam, że znajdzie się jeszcze kilka kamieni, pod które będziemy musieli zajrzeć.

- Możliwe - powiedział Roberts. - Zacząłem już nawet zastanawiać się, czy Trentham nie zmienił sobie danych personalnych po przyjeździe do Australii, ale szef policji potwierdził, że akta w Melbourne są wystawione na nazwisko Guya Francisca Trenthama.

- Skoro nie zmienił sobie nazwiska, to z pewnością będzie można odszukać dziecko.

- Niekoniecznie. Całkiem niedawno miałem do czynienia z podobnym przypadkiem. Klientka wróciła do swojego panińskiego nazwiska, które również nadała dziecku, gdy jej mąż został skazany na więzienie za zabójstwo. Powiedziała mi, że istnieje system zabezpieczający, który polega na wymazaniu oryginalnego nazwiska z akt. Proszę pamiętać, że w interesującym nas przypadku chodzi o

dziecko, które urodziło się między rokiem 1923 a 1925 i usunięcie jednego świstka papieru mogło wystarczyć, żeby wyeliminować wszelkie powiązania, jakie miało z Guyem Trenthamem.

Tropienie śladów takiej osoby w kraju równie wielkim jak Australia jest przysłowiowym szukaniem igły w stogu siana.

- Ale mnie zostało już tylko sześć dni - powiedział rozpaczliwie Charlie.

- Proszę mi o tym nie przypominać - rzekł Roberts. Samochód wjechał przez bramę do rezydencji gubernatora, wyhamowując na podjeździe do bardziej umiarkowanej szybkości. - Przeznaczyłem na to przyjęcie godzinę, nie dłużej - uprzedził Charlie'ego młody prawnik - Potrzebna jest nam obietnica gubernatora, że zatelefonuje do szefa policji w Melbourne przed naszą wizytą i poprosi go o jak najdalej idącą współpracę. Kiedy dam panu znać, sir Charlesie, że musimy wyjść, to proszę zastosować się do mojego polecenia.

- Zrozumiałem - powiedział Charlie. Czuł się znowu jak szeregowiec na apelu w Edynburgu.

- Gubernatorem jest sir Oliver Williams - wyjaśnił Roberts. ->

Ma sześćdziesiąt jeden lat, jest byłym oficerem gwardii i pochodzi z miejscowości, która nazywa się Tunbridge Wells.

Dwie minuty później wkroczyli do wielkiej sali balowej w rezydencji gubernatora.

- Tak się cieszę, że znalazł pan chwilę czasu, żeby nas odwiedzić, sir Charlesie - powiedział wysoki, elegancko ubrany mężczyzna w dwurzędowym garniturze w prążki.

- Dziękuję panu, sir Oliverze.

- Jak minęła podróż, mój drogi?

- Pięć postojów na tankowanie, ale na żadnym z lotnisk nie potrafią przyzwyciężyć parzyć herbaty.

- W takim razie to panu dobrze robi - zasugerował sir Oliver, wręczając Charlie'emu dużą whisky, którą zwinnie zgarnął z wnoszonej tacy. - Pomyśleć tylko - mówił dalej dyplomata - że nasze wnuki, jak przepowiadają, będą mogły latać z Londynu do Sydney bez przerwy i to w niecały dzień. Pańskie doświadczenia i tak nie były jeszcze najgorsze w porównaniu z tym, przez co musieli przejść pierwsi osadnicy.

- Niewielkie pocieszenie. - Charlie nie potrafił wymyślić żadnej, bardziej stosownej odpowiedzi. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, jak uderzający jest kontrast pomiędzy kandydatem Baverstocka i reprezentantem królowej.

Proszę powiedzieć mi, co pana sprowadza do Sydney - kontynuował gubernator. - Czy mamy się spodziewać, że zamierza pan pchać największy na świecie stragan i po tej stronie globu?

- Nie, sir Oliverze. Będzie wam to oszczędzone. Przyjechałem do Australii z krótką, prywatną wizytą. Usiłuję uporządkować pewne rodzinne sprawy.

- Jeśli tylko w czymś mógłbym być pomocny - powiedział gospodarz, biorąc dzin z następnej wnoszonej tacy-to proszę mnie o tym zawiadomić.

- To bardzo uprzejmie z pana strony, sir Oliverze, ponieważ rzeczywiście jest mi potrzebna pańska pomoc w pewnej drobnej sprawie.

- Co mógłbym zrobić? - zapytał gospodarz. Błądził wzrokiem ponad ramieniem Charlie'ego, dostrzegając spóźnionych gości.

- Czy mógłby pan skontaktować się z szefem policji w Melbourne i poprosić go, żeby w miarę swoich możliwości okazał mi pomoc w czasie wizyty, jaką zamierzam mu złożyć jutro rano?

- Może pan uważać, że rozmowa ta już miała miejsce, drogi przyjacielu - zapewnił gubernator i pochylił się, żeby ucisnąć dłoń jakiegoś szejka. - I proszę nie zapominać, sir Charlesie, jeśli jeszcze

w czymkolwiek mógłbym być pomocny, proszę mi tylko dać znać. O, Monsieur UAmbassadeur, comment allez-vous?

Charlie poczuł się nagle znużony. Przez pozostałą część godziny starał się utrzymać na nogach, rozmawiając z dyplomatami, politykami oraz z biznesmenami. Wszyscy zdawali się doskonale znać największy stragan świata. W końcu Roberts mocno ścisnął go za łokieć, dając sygnał, że wymogom dobrego wychowania stało się zadość i mogą już jechać na lotnisko.

W czasie lotu do Melbourne Charlie zdołał opanować senność, chociaż nie zawsze miał otwarte oczy. Na pytanie Roberts'a potwierdził, że gubernator zgodził się zatelefonować do szefa policji nazajutrz rano.

- Chociaż nie jestem pewien, czy zdał sobie sprawę, jak wielkie ma to dla mnie znaczenie - dodał.

- Rozumiem - powiedział Roberts. - Wobec tego rano ponownie skontaktujemy się z jego biurem. Sir Oliver nie słynie z dotrzymywania obietnic udzielanych na przyjęciach."Jeśli mógłbym tylko w czymś pomóc, drogi przyjacielu..." - przedrzeźniał gubernatora, wywołując tym uśmiech na sennej twarzy Charlie'ego.

Na lotnisku w Melbourne czekał na nich inny samochód. Tym razem Charlie zasnął i obudził się dopiero dwadzieścia minut później, gdy podjechali pod Windsor Hotel. Dyrektor zaprowadził gościa do apartamentu księcia Edwarda. Gdy tylko Charlie został sam, prędko się rozebrał, wziął prysznic i wskoczył do łóżka. Kilka minut później zapadł w mocny sen. Jednakże obudził się już około czwartej nad ranem.

Wspierając się na niewygodnej poduszce z pianki kauczukowej, która nie chciała ustać w miejscu, spędził następne trzy godziny przeglądając akta Roberts'a. Choć młody człowiek nie przypominał wyglądem ani zachowaniem Baverstocka, to każda strona dokumentów dowodziła tej samej sumienności. Gdy ostatnia kartka spadła na podłogę, Charlie musiał pogodzić się z myślą, że pracownicy Roberts'a zajrzeli do każdego kąta i poszli każdym tropem, a jego jedyna nadzieja spoczywa teraz w rękach swarliwego policjanta z Melbourne.

O siódmej wziął zimny prysznic i tuż po ósmej zjadł ciepłe śniadanie. Chociaż jego jedyne spotkanie przewidziane w tym dniu wyznaczone było na dziesiątą, długo przedtem chodził po pokoju, gotów do wyjścia. Wiedział, że jeśli nic nie wyniknie z zaplanowanej rozmowy, to może spakować walizki i jeszcze tego samego popołudnia odlecieć do Anglii. Przynajmniej Becky będzie czuła się usatysfakcjonowana, że miała rację.

O dziewiątej dwadzieścia dziewięć Roberts zapukał do drzwi.

Charlie zastanawiał się, jak długo młody prawnik czekał na korytarzu. Roberts oświadczył, że właśnie rozmawiał z gubernatorem, który obiecał w ciągu godziny zatelefonować do szefa policji.

- Dobrze. A teraz proszę mi powiedzieć wszystko, co pan wie o tym człowieku.

- Mikę Cooper ma czterdzieści siedem lat, jest zdolny, uszczypliwy i zuchwały. Pnie się po szczeblach kariery, ale wciąż widzi potrzebę udowadniania wszystkim swojej wartości, a szczególnie prawnikom. Może dlatego, że statystyczny wzrost zbrodni w Melbourne jest nawet szybszy od średniego tempa pogłębiania się naszej antypatii do Anglików.

- Powiedział mi pan wczoraj, że szef policji jest w drugim pokoleniu Australijczykiem. Skąd pochodzi jego rodzina?

Robert zajrzał do dokumentów.

Jego ojciec wyemigrował do Australii z miejsca o nazwie Deptford.

- Deptford? - powtórzył Charlie z uśmiechem. - To prawie mój rodzinny teren. - Spojrzał na zegarek. - Czy nie powinniśmy już jechać? Sądzę, że jestem gotów stawić czoło panu Cooperowi.

Gdy dwadzieścia minut później Roberts otworzył przed swoim klientem drzwi do siedziby policji, pierwszą rzeczą, na jaką się natknęli, było olbrzymie zdjęcie mężczyzny przed pięćdziesiątką, na którego widok Charlie poczuł brzemień każdego dnia swojego sześćdziesięcioczworoletniego życia.

Roberts podał oficerowi dyżurnemu ich nazwiska i po kilku minutach zostali wprowadzeni do gabinetu szefa.

Policjant uśmiechnął się z przymusem, podając Charlie'emu rękę.

- Obawiam się, że niewiele będę mógł panu pomóc, sir Charlesie - zaczął Cooper, wskazując gościowi fotel. - Pomimo trudu, jaki zadał sobie gubernator, kontaktując się ze mną w pańskiej sprawie.

- Zignorował Roberta, który wciąż stał, kilka kroków za swoim klientem.

- Znam ten akcent - stwierdził Charlie, nie korzystając z propozycji zajęcia miejsca.

- Słucham? - zdziwił się Cooper, też wciąż stojąc.

- Coś mi mówi, że pański ojciec pochodził z Londynu.

- Nie myli się pan.

- I założę się, że z East Endu?

- Z Deptford - przyznał komisarz.

- Wiedziałem to od pierwszej chwili, gdy tylko otworzył pan usta - uśmiechnął się Charlie, zapadając się w skórzany fotel. - Ja pochodzę z Whitechapel. A gdzie się urodził?

- Na Bishop's Way - odparł policjant. - Niedaleko...

- Nie dalej jak o rzut kamieniem od mojej części świata - powiedział Charlie z wyraźnym akcentem londyńskich niższych sfer.

Roberts nie śmiał otworzyć ust, nie mówiąc już o wyrażeniu jakiegokolwiek profesjonalnej opinii.

- Jest pan kibicem Tottenhamu, jak sądzę? - upewniał się Charlie.

- Nie, jestem za Arsenalem - odparł zdecydowanym tonem Cooper.

- Co za nonsens - zdziwił się Charlie.

Szef policji roześmiał się.

- To prawda - powiedział. - Sam niemal straciłem już nadzieję, że coś zwojują w tym sezonie. A pan czym jest kibicem?

- West Ham. Sam tam niegdyś grałem.

- I ma pan nadzieję, że będę z panem współpracował?

Charlie wybuchnął śmiechem.

- No cóż, pozwoliliśmy wam wygrać w rozgrywkach pucharowych.

- W 1923 roku - przypomniał Cooper, śmiejąc się.

- Mamy odległe wspomnienia z Upton Park.

- Nigdy nie spodziewałbym się po panu takiego akcentu, sir Charlesie.

- Mów mi Charlie, tak jak wszyscy przyjaciele. Jeszcze jedna sprawa, Mike. Czy chcesz, żeby on wyszedł? - Kciuk Charlie'ego był wymierzony w Trevora Roberta, któremu nadal nikt nie zaproponował krzesła.

- Może byłoby lepiej.

- Zaczekaj na mnie na zewnątrz, Roberts - poprosił Charlie, nawet nie patrząc w stronę swojego prawnika.

- Dobrze, sir Charlesie - Roberts odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi.

Gdy znaleźli się sami, Charlie pochylił się nad biurkiem policjanta i powiedział:

- Ci przekłęci prawnicy są wszędzie tacy sami. Przepłacone pyszałkowe "cwaniaczk". Ciągają z ciebie wszystkie soki i czekają, żebyś odwalił za nich całą robotę.

- Szczególnie gdy jesteś gliniarzem - roześmiał się Cooper.

Charlie wybuchnął śmiechem.

- Nie słyszałem, żeby ktoś określił tym mianem policjanta, od czasu kiedy opuściłem Whitechapel. - Pochylił się do przodu. - To zostanie pomiędzy nami, Mikę. Pomiędzy dwoma chłopakami z East Endu. Czy powiesz mi coś o Guyu Francisie Trenthamie, o czym on nie wie? - Charlie wskazał kciukiem na drzwi.

- Obawiam się, że nie zostało wiele informacji, do których Roberts się nie dokopał, sir Charlesie.

- Charlie.

- Charlie. Pewnie już wiesz, że Trentham zamordował swoją żonę i został później za to powieszony.

- Tak Chciałbym dowiedzieć się, Mikę, czy miał jakieś dzieci? - Charlie wstrzymał oddech, gdy policjant zawahał się z odpowiedzią.

Cooper spojrział na akt oskarżenia, który leżał przed nim na biurku.

- Jest tutaj napisane: Żona nie żyje, jedyna córka.

Charlie powstrzymał się, żeby nie wyskoczyć z krzesła.

- Czy w dokumencie nie podano przypadkiem jej imienia?

- Margaret Ethel Trentham - odparł komisarz.

Charlie wiedział, że nie musi sprawdzać papierów, które Roberts zostawił mu na noc do przeczytania. Nie było w nich ani jednej wzmianki o Margaret Ethel Trentham. Pamiętał imiona trojga Trenthamów, urodzonych między 1924 a 1925 rokiem w Australii, ale wszyscy byli chłopcami.

- A data urodzenia? - zaryzykował.

- Nie figuruje, Charlie - powiedział Cooper. - To nie dziewczynka była sądzona. - Przesunął arkusz papieru na drugą stronę biurka, żeby gość mógł sam przeczytać wszystko, o czym został poinformowany. - W latach dwudziestych nie zwracano sobie głowy takimi szczegółami.

- Czy jest jeszcze coś w tych aktach, co pomogłoby chłopakowi z East Endu poruszać się po nieznanym terenie? - Charlie miał nadzieję, że nie posuwa się za daleko.

Cooper przez chwilę przeglądał akta Trenthama, zanim wyraził swoją opinię.

- W naszych dokumentach są dwie notatki, które mogą być dla ciebie przydatne. Jedna została napisana ołówkiem przez mojego poprzednika. A wcześniejszy zapis zrobił szef policji, Parker, który pracował jeszcze przed nim. Przypuszczam, że może cię to zainteresować.

- Zamieniam się w słuch, Mikę.

- 24 kwietnia 1927 roku Parkerowi złożyła wizytę pani Ethel Trentham, matka skazanego.

- Dobry Boże - zawołał Charlie, nie potrafiąc ukryć zdziwienia.

- Ale po co?

- Nie podano powodów ani nie zarejestrowano przebiegu rozmowy. Przykro mi.

- A druga notatka?

- Dotyczy innego gościa z Anglii, który dopytywał się o Guya Trenthama. Tym razem wizyta miała miejsce 23 sierpnia 1947 roku.

- Szef policji zajrzał do dokumentu, żeby sprawdzić nazwisko - i złożył ją niejaki pan Daniel Trentham.

Charlie'ego przeszył lód. Zacisnął dłonie na poręczy fotela.

- Dobrze się czujesz? - spytał szczerze zatroskany Cooper.

- Wszystko w porządku, dziękuję - zapewnił Charlie. - To tylko skutki podróży samolotem. Czy został podany powód wizyty Daniela Trenthama?

- Według informacji w załączonej notatce podał się za syna zmarłego - wyjaśnił policjant. Charlie próbował nie okazywać swoich uczuć. Cooper wyprostował się w fotelu. - Teraz wiesz o tej sprawie dokładnie tyle samo co ja.

- Bardzo mi pomogłeś, Mike - podziękował Charlie. Z trudem się podniósł i pochylił nad biurkiem, żeby uściskać policjantowi rękę. - Jeśli kiedykolwiek przyjedziesz do Deptford, odzyskaj mnie.

Z największą przyjemnością pokażę ci drużynę piłkarską z prawdziwego zdarzenia.

Jeszcze idąc do windy, zabawiali się nawzajem dykteryjkami. Zjechali na parter. Policjant towarzyszył Charlie'emu do samych drzwi wyjściowych z komisariatu. Charlie raz jeszcze uściskał mu dłoń, zanim zajął miejsce w samochodzie obok Trevora Robertsa.

- W porządku, Roberts, wygląda na to, że czeka nas robota.

- Czy wolno mi będzie przedtem o coś pana zapytać?

- Bardzo proszę.

- Co się stało z pańskim akcentem?

- Zachowuję go na specjalne okazje, panie Roberts. Używam go tylko w obecności królowej, Winstona Churchilla i gdy obsługuję klientów przy moim straganie. A dzisiaj uznałem za konieczne dołączyć jeszcze do tej listy szefa policji w Melbourne.

- Wolę nawet nie myśleć, co mu pan powiedział o mnie i o moim zawodzie.

- Tylko tyle, że jest pan przepłacanym, zarozumiałym harcerzykiem, który oczekuje ode mnie, że wykonam za niego całą robotę.

- A czy on wyraził swoją opinię?

- Uważał, że powinienem być bardziej powściągliwy w swoich sądach.

38 - Prosto jak strzelił - Aż trudno w to uwierzyć - zdumiał się Roberts. - Czy zdołał pan wydobyć z niego jakieś nowe informacje?

- Oczywiście - powiedział Charlie. - Okazuje się, że Guy Trentham miał córkę.

- Córkę? - powtórzył Roberts, nie potrafiąc ukryć podniecenia.

- Czy Cooper zdradził panu jej imię i jakiegokolwiek informacje na jej temat?

- Powiedział, że miała na imię Margaret Ethel. A naszą jedyną inną wskazówką jest wizyta, jaką złożyła pani Trentham, matka Guya, w Melbourne w 1927 roku. Cooper nie wie, w jakim celu.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął Roberts. - Osiągnął pan więcej w ciągu dwudziestu minut niż ja przez dwadzieścia dni.

- Miejsce urodzenia dało mi nad panem przewagę - uśmiechnął się Charlie. - Gdzie angielska dama mogła w tamtym czasie się zatrzymać i złożyć do snu swoją szlachetną głowę?

- Melbourne nie jest moim rodzinnym miastem - stwierdził Roberts. - Ale mój partner, Neil Mitchell, będzie mógł odpowiedzieć na to pytanie. Jego rodzina osiedliła się tutaj już ponad sto lat temu.

- A więc na co czekamy?

Neil Mitchell zmarszczył brwi, gdy kolega zapytał go o to samo.

- Nie mam pojęcia - oświadczył - ale moja matka na pewno będzie wiedziała. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer telefonu. - Jest Szkotką i na pewno zażąda zapłaty za tę informację. - Charlie i Trevor Roberts niecierpliwili się przed biurkiem Mitchella. Neil, wymieniwszy kilka wstępnych grzeczności, jak przystało na kochającego syna, postawił pytanie i uważnie przysłuchiwał się odpowiedzi.

- Dzięki, mamo. Jesteś jak zwykle nieoceniona - powiedział. - Do zobaczenia podczas weekendu - dodał i odłożył słuchawkę.

- No i? - zapytał Charlie.

- Victoria Country Club jest jedynym miejscem, w którym mogła się zatrzymać w latach dwudziestych osoba ze sfery pani Trentham - powiedział Mitchell. - W tamtych czasach w Melbourne były tylko dwa przyzwoite hotele, ale drugi był zarezerwowany wyłącznie dla biznesmenów.

- Czy ten hotel nadal istnieje? - zapytał Roberts.

-
Tak, ale obecnie jest bardzo zniszczony. "Zdewastowany", jakby na pewno określił go sir Charles.

- Niech pan tam zatelefonuje i zamówi stolik dla sir Charlesa Trumpera. Proszę podkreślić tytuł "sir Charles".

- Oczywiście, sir Charlesie - rzekł Roberts. - Jakiego akcentu użyje pan na te okazję?

- Nie mogę panu powiedzieć, dopóki nie ocenię przeciwnika - wyjaśnił Charlie, wracając do samochodu.

- Co za ironia losu - westchnął Roberts, gdy samochód zmierzał w stronę autostrady.

- Ironia losu?

- Jeśli pani Trentham zadała sobie trud, żeby usunąć wszelkie dowody istnienia wnuczki, to musiała skorzystać z pomocy jakiegoś doskonałego adwokata.

- Zatem?

- W tym mieście muszą gdzieś być zagrzebane akta, z których dowiedzielibyśmy się wszystkiego, co jest nam potrzebne.

- Być może, ale jedno jest pewne: nie mamy czasu, żeby odkryć, w którym biurku są schowane.

Gdy przybyli do Victoria Country Club, na korytarzu czekał już na nich dyrektor. Powitał ich i zaprowadził swojego dystyngowanego gościa do cichego stolika w alkowie. Charlie z niezadowolaniem stwierdził, że dyrektor jest bardzo młody.

Wybrał najdroższą z przyrządzanych na zamówienie potraw i poprosił o butelkę Chambertina rocznik 1957. W ciągu kilku minut zwrócił na siebie uwagę wszystkich kelnerów na sali.

- Co zamierza pan tym razem? - dopytywał się Roberts, który zadowolony był klubowym daniem.

- Cierpliwości, młody człowieku - powiedział z żartobliwym lekceważeniem Charles. Usiłował wbić tępy nóż w przypalony i twardy jak podeszwa kawałek jagnięcia. W końcu dał za wygraną i zamówił lody. Zakładał, że nie zdołali ich popsuć. Gdy siedzieli przy kawie, powoli zbliżył się do ich stolika najstarszy kelner na sali i zaproponował im obu cygara.

- Monte Christo, proszę - powiedział Charlie, wyjął z portfela banknot jednofuntowy i położył przed sobą na stole. Kelner otworzył przed nim dużą starą skrzynkę. - Pracuje pan tutaj od dawna, prawda? - zapytał.

W przyszłym miesiącu minie czterdzieści lat - odparł kelner, gdy na banknocie jednofuntowym

wylądował następny.

- Ma pan dobrą pamięć?

- Mam nadzieję, że tak, proszę pana - zapewnił kelner, patrząc na dwa banknoty.

- Czy przypomina pan sobie niejaką panią Trentham? Pruderyjną Angielkę, która prawdopodobnie zatrzymała się tutaj na kilka tygodni w 1927 roku? - Charlie przesunął pieniądze w stronę starego mężczyzny.

- Czyją pamiętam? Jak mógłbym o niej zapomnieć? - zdziwił się kelner. - Byłem w tamtym czasie praktykantem, a ona nie robiła nic innego, jak tylko narzekała przez cały czas na tutejszą kuchnię i obsługę. Zawsze piła wodę, twierdząc, że nie ma zaufania do australijskich win, ale nie miała ochoty wydawać pieniędzy na wina francuskie. Dlatego mnie polecano obsługiwać jej stolik A pod koniec miesiąca wyjechała bez słowa, nie zostawiając żadnego napiwku. Może być pan pewien, że dobrze ją zapamiętałem.

- To rzeczywiście podobne do pani Trentham - stwierdził Charlie. - Czy wie pan, po co przyjechała do Australii? - Wyjął trzeci banknot jednofuntowy i dołożył do pozostałych.

- Nie mam pojęcia, proszę pana - powiedział z zalem kelner. - Z nikim przez cały dzień nie rozmawiała. Pewnie nawet pan Sinclair-Smith nie potrafiłby udzielić panu odpowiedzi na to pytanie.

- Pan Sinclair-Smith?

Kelner wskazał nad swoim ramieniem odległy kąt sali, gdzie siedział samotnie siwowłosego mężczyzna z serwetką zatknietą za kołnierzyk i atakował duży kawałek sera.

- Obecny właściciel - wyjaśnił kelner. - Jego ojciec był jedyną osobą, jaką pani Trentham uprzejmie traktowała.

- Dziękuję panu. Okazał mi pan wielką pomoc. - Kelner schował do kieszeni trzy banknoty. - Czy mógłby pan z łaski swojej zawiadomić dyrektora, że chcę zamienić z nim słówko?

- Oczywiście, proszę pana - rzekł kelner, zamknął skrzynkę i pośpiesznie odszedł.

- Dyrektor jest o wiele za młody, żeby pamiętać...

- Proszę mieć oczy otwarte, panie Roberts, a pozna pan kilka trików, których nie zdołali nauczyć pana na zajęciach z biznesu w czasie studiów prawniczych - zgasił go Charlie, obcinając koniec cygara.

Do stolika podszedł dyrektor.

- Chciał się pan ze mną widzieć, sir Charlesie?

- Zastanawiam się właśnie, czy pan Sinclair-Smith nie dotrzymałby mi towarzystwa przy kieliszku likieru? - oznajmił Charlie, podając młodemu człowiekowi swoją wizytówkę.

- Natychmiast z nim porozmawiam, proszę pana - przyrzekł dyrektor i bezzwłocznie skierował się do stolika w kącie sali.

- Sądzę, że będzie lepiej, jeśli zaczeka pan na mnie w hallu, panie Roberts - zasugerował Charlie - gdyż obawiam się, że moje zachowanie w ciągu najbliższej półgodziny może urazić pańskie poczucie etyki zawodowej. - Spojrzał na drugą stronę sali, gdzie starszy mężczyzna badawczo przyglądał się jego wizytówce.

Roberts westchnął, podniósł się z miejsca i wyszedł.

Szeroki uśmiech pojawił się na mięsistych wargach pana Sinclair-Smitha. Dźwignął się z krzesła i kołyszącym krokiem podszedł do angielskiego gościa.

- Sinclair-Smith - przedstawił się z przesadnym angielskim akcentem, podając Charlie'emu pulchną dłoń.

- Jak to miło, że zechciał pan przyłączyć się do mnie, drogi przyjacielu - powiedział Charlie. - Rodaka rozpoznam na pierwszy rzut oka. Czy miałby pan ochotę napić się brandy? - Kelner pośpiesznie odszedł.

- To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, sir Charlesie. Mam nadzieję, że nasza skromna kuchnia zadowoliła pana.

- Jest doskonała - pochwalił Charlie. - Nie bez powodu polecano mi pańską restaurację - dodał, wydmuchując pióropusz dymu z cygara.

- Moją restaurację? - zapytał Sinclair-Smith, starając się ukryć zdziwienie. - A można wiedzieć, kto ją panu polecił?

- Moja stara ciotka, pani Ethel Trentham.

- Pani Trentham? Mój Boże, ostatnio widziałem tę szanowną damę, kiedy żył jeszcze mój ojciec. Charlie zmarszczył brwi, gdy stary kelner wrócił, przynosząc dwie duże brandy.

- Mam nadzieję, że dopisuje jej zdrowie, sir Charlesie.

- Nigdy nie czuła się lepiej - odparł Charlie. - Życzyła sobie, żebym ją panu przypomniał.

To miło z jej strony - zauważył Sinclair-Smith i zawirował dłonią, okręcając płyn w kieliszku. - Co za nadzwyczajna pamięć. Byłem wtedy młodym człowiekiem i zaczynałem dopiero pracować w hotelu. Pani Trentham musi mieć teraz...

- Dziewięćdziesiątkę lat - wyjaśnił Charlie. - Niech pan sobie wyobrazi, że rodzina nadal nie ma pojęcia, po co przyjechała wtedy do Melbourne - dodał.

- Ja też nie wiem - przyznał Sinclair-Smith, sącząc alkohol.

- Nigdy z nią pan nie rozmawiał?

- Nie, nigdy. Chociaż mój ojciec przeprowadził z pańską ciotką wiele długich rozmów, to nigdy nie wyjawiał mi, czego dotyczyły.

Charlie starał się nie okazywać rozczarowania, jakie wywołała ta informacja.

- No cóż, jeśli pan nie wie, jaki cel miała jej wizyta - powiedział - to nie sądzę, żeby znał go ktokolwiek inny.

- Nie byłbym tego pewien. Slade może wiedzieć, jeżeli nie ma jeszcze zupełnej sklerozy.

- Slade?

- Tak. Anglik, który pochodzi z Yorkshire i był zatrudniony w klubie za czasów mojego ojca, gdy mieliśmy jeszcze na stałe szofera. Pani Trentham w czasie pobytu w naszym klubie zawsze nalegała, żeby woził ją Slade. Nie życzyła sobie nikogo innego.

- Czy jeszcze tutaj pracuje? - zapytał Charlie, wydmuchując kolejną chmurę dymu.

- Ależ skąd. Wiele lat temu odszedł na emeryturę. Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje.

- Czy często bywa pan w starym kraju? - podtrzymywał rozmowę Charlie, przekonany, że wydobyl już z tego źródła wszystkie interesujące go informacje.

- Nie, niestety...

Przez następne dwadzieścia minut Charlie siedział wygodnie oparty w fotelu, delektował się cygarem i słuchał właściciela, który mówił o wszystkim, od upadku Imperium po niepewny stan angielskiego krykieta. W końcu Charlie poprosił o rachunek, przy którym Sinclair-Smith się pożegnał i dyskretnie się oddalił.

Stary kelner przybył natychmiast powłócząc nogami, gdy tylko pojawił się na stole nowy banknot jednofuntowy.

- Czy czegoś pan potrzebuje, sir?

Mówi coś panu nazwisko Slade?

- Chodzi o starego Waltera Slade'a, tutejszego szofera?

- Tak, o niego pytam.

- Już całe lata temu odszedł na emeryturę.

- To wiem. Czy jeszcze żyje?

- Nie mam pojęcia. Ostatnio, kiedy o nim słyszałem, mieszkał gdzieś w rejonie Ballarat.

- Dziękuję - powiedział Charlie, rozgniół cygaro w popielniczkę, wyjął kolejny jednofuntowy banknot i wyszedł do Roberta, który czekał na niego w hallu.

- Proszę natychmiast zatelefonować do swojego biura - poinstruował prawnika. - Niech pan poleci odszukać Waltera Slade'a, który prawdopodobnie mieszka gdzieś w rejonie Ballarat Roberts pośpiesznie ruszył do budki telefonicznej, a Charlie chodził tam i z powrotem po korytarzu, modląc się, żeby stary człowiek jeszcze żył. Prawniki wrócił po kilku minutach.

- Czy wolno wiedzieć, jakie ma pan teraz zamiary, sir Charlesie? - zapytał, podając kartkę z wypisanym drukowanymi literami adresem Slade'a.

- Na pewno jak zwykle niecne - odparł Charlie, odbierając kartkę z informacją. - Tym razem nie będę pana potrzebował, młody człowieku. Proszę zostawić mi tylko samochód. Do zobaczenia w biurze... nie wiem, o której. - Skinął dłonią i pchnął wahadłowe drzwi, zostawiając w hallu zdumionego Roberta.

Charlie podał świstek papieru kierowcy, który odczytał adres.

- To prawie sto sześćdziesiąt kilometrów stąd - stwierdził mężczyzna, oglądając się przez ramię.

- Dlatego nie powinniśmy tracić czasu, prawda?

Kierowca zapuścił silnik i samochód prędko odjechał z dziedzińca. Gdy przejeżdżali obok boiska krykietowego miasta Melbourne, Charlie żałował, że podczas swojej pierwszej wizyty w Australii nie będzie mógł obejrzeć żadnego meczu. Podróż na północ trwała półtorej godziny. Charlie miał dosyć czasu, żeby zastanowić się, w jaki sposób najlepiej podejść Slade'a - zakładając, że obawy Sinclair-Smitha były bezpodstawne i były szofer nie ma zupełnej sklerozy. Z dużą prędkością minęli napis Ballarat i kierowca zjechał z drogi na stację benzynową. Pracownik stacji napełnił bak, udzielił kierowcy informacji i po kolejnych piętnastu minutach podjechali pod mały, bardzo zniszczony domek, stojący w szeregu bliźniaczo podobnych zabudowań.

Charlie wyskoczył z samochodu, prędko pokonał krótki, porośnięty chwastami chodnik i zapukał do frontowych drzwi. Po chwili zjawiła się w nich staruszka w fartuchu narzuconym na sięgającą niemal do ziemi suknię o pastelowych barwach.

- Pani Slade? - zapytał Charlie.

- Słucham? - odpowiedziała, przyglądając mu się podejrzliwie.

- Czy mógłbym zamienić słowo z pani mężem?

- W jakiej sprawie? - dociekała staruszka. - Czy jest pan z opieki społecznej?

- Nie, przyjechałem z Anglii - wyjaśnił Charlie. - Przywiozłem pani mężowi niewielki spadek od mojej ciotki, pani Ethel Trentham, która ostatnio zmarła.

- Och, jak to miło z pana strony - rzekła pani Slade. - Proszę wejść do środka. - I wprowadziła Charlie'ego do kuchni, gdzie na krześle przy kominku drzemał stary człowiek. Miał na sobie wełnianą kamizelkę, czystą koszulę w kratę i luźne spodnie.

- Ten pan specjalnie przyjechał z Anglii, żeby się z tobą zobaczyć, Walterze.

- O co chodzi? - zapytał mężczyzna, przecierając oczy kościstymi palcami.

- Ten pan przyjechał z Anglii - powtórzyła żona. - Z prezentem od pani Trentham.
- Jestem już za stary, żeby ją wozić. - Mrugając powiekami, próbował przyjrzeć się Charlie'emu.
- Nie, Walterze, nie rozumiałeś. Pan jest jej krewnym, który przywiózł specjalnie podarunek z Anglii. Pani Trentham umarła.

- Umarła?

Teraz oboje patrzyli pytającym wzrokiem na Charlie'ego, który prędko wydobył portfel, wyjął wszystkie banknoty, jakie miał przy sobie, i podał pieniądze pani Slade.

Zaczęła je powoli przeliczać, a Walter Slade nadal nie odrywał wzroku od Charlie'ego, który nagle poczuł się nieswojo, stojąc tak na samym środku nieskazitelnie czystej kuchennej posadzki.

- Osiemdziesiąt pięć funtów, Walterze - oznajmiła staruszka, przekazując pieniądze mężowi.
- Dlaczego tak dużo? - zapytał. - I po tak długim czasie?
- Wyświadczył jej pan wielką przysługę - tłumaczył Charlie. - Chciała w ten sposób się panu odwdziżyć.

Stary człowiek zmierzył Charlie'ego jeszcze bardziej podejrzliwym wzrokiem.

- Płaciła mi zawsze na czas - stwierdził.
- Wiem doskonale - powiedział Charlie - lecz...
- I trzymałem buzię zamkniętą na kłódkę - dodał starzec.
- To jeszcze jeden powód, który wyjaśnia jej wdzięczność - powiedział Charlie.
- Twierdzi pan, że przyjechał z Anglii tylko po to, żeby mi przywieźć osiemdziesiąt pięć funtów? - zapytał Slade. - To nie ma dla mnie najmniejszego sensu, chłopie. - Nagle wydał się bardziej rozbudzony.

- Ależ, nie - zaprzeczył Charlie, czując, że inicjatywa wymyka mu się z rąk. - Spotkałem się z wieloma innymi spadkobiercami, zanim tutaj dotarłem. Niełatwo było pana odszukać.

- Nic dziwnego. Od dwudziestu lat już nie pracuję.
- Pochodzi pan z Yorkshire, prawda? - zagadnął go Charlie, uśmiechając się szeroko. - Zawsze poznam ten akcent.
- Tak jest, chłopie. Za to pan jest z Londynu. A to znaczy, że nie należy panu ufać. Po co naprawdę chciał się pan ze mną spotkać?

Nigdy nie uwierzę, że po to tylko, żeby mi dać osiemdziesiąt pięć funtów.

- Nie mogę znaleźć dziewczynki, która była z panią Trentham w tamtym czasie - wyjaśnił Charlie, ryzykując wszystko. - Odziedziczyła duży spadek.

- Pomyśleć tylko - zdziwiła się pani Slade.

Twarz Slade'a nie wyrażała żadnych uczuć.

- Moim obowiązkiem jest odnalezienie młodej damy i poinformowanie jej o niespodziewanym uśmiechu losu.

Twarz Slade'a nadal pozostała bierna, gdy Charlie przypuścił atak.

- Myślę, że jest pan jedyną osobą, która mogłaby mi pomóc.
- Ale nie pomogę - odparł Slade. - I niech pan zabiera z powrotem swoje pieniądze - dodał, rzucając banknoty pod nogi Charlie'emu. - Proszę się więcej nie pokazywać w tej okolicy ze swoimi wyssanymi z palca opowieściami o fortunie. Odprowadź pana do drzwi, Elsie.

Pani Slade uklękła, pozbierała rozrzucone banknoty i podała je Charlie'emu. A potem w milczeniu odprowadziła go do frontowych drzwi.

- Proszę mi wybaczyć, pani Slade - rzekł Charlie. - Nie miałem zamiaru obrazić pani męża.

- Wiem, proszę pana - powiedziała starszka. - Walter zawsze był taki dumny. Bóg świadkiem, że bardzo przydałyby się nam te pieniądze. - Charlie uśmiechnął się, wsunął zwitek banknotów do kieszeni fartucha starej kobiety i prędko przyłożył palec do ust. - Nie musi się pani do nich przyznawać. Ja nic nie powiem. - Lekko się skłonił i ruszył w stronę samochodu.

- Nigdy nie widziałam dziewczynki - dobiegł go z tyłu ledwie słyszalny głos. Charlie znieruchomiał. - Wiem jednak, że Walter odwoził kiedyś tę złą kobietę do sierocińca w Park Hill w Melbourne. Dowiedziałam się o tym od ogrodnika, z którym spotykałam się w tamtym czasie.

Charlie odwrócił się, żeby jej podziękować, ale ona zdążyła zamknąć już drzwi i zniknęła w głębi domu.

Wsiadł do samochodu bez grosza, ale za to z jedyną informacją, jakiej mógł się trzymać. Był pewien, że stary człowiek zachował dla siebie całą tajemnicę. W przeciwnym razie powiedziałby: "Nie mogę pomóc panu", zamiast: "Nie pomogę panu".

Podczas długiej drogi powrotnej Charlie wielokrotnie analizował rozmowę i wyrzucał sobie głupotę.

Gdy tylko wszedł do biura prawnika, zapytał:

- Roberts, czy w Melbourne jest jakiś sierociniec?

- Tak. Pod wezwaniem Świętej Hildy - odpowiedział Neil Mitchell, zanim jego partner zdążył zastanowić się nad odpowiedzią. - Znajduje się gdzieś w okolicy Park Hill. Dlaczego pan o to pyta?

- To ten - ucieszył się Charlie, spoglądając na zegarek. - Teraz w Londynie jest siódma rano, dlatego czuję się trochę rozbity.

Pojadę do hotelu i spróbuję się trochę przespać. Tymczasem proszę zdobyć dla mnie kilka informacji. Chciałbym się dowiedzieć możliwie jak najwięcej o sierocińcu Świętej Hildy. Interesują mnie przede wszystkim nazwiska członków personelu, którzy pracowali tam w latach 1921-1927; od dyrektorki po pomywaczkę. A gdy tylko dowiecie się czegoś o jakiejś osobie, odszukajcie ją, ponieważ zamierzam się z nią zobaczyć w ciągu najbliższej doby.

Dwie sekretarki w biurze Mitchella zawzięcie robiły notatki, żeby nie uronić ani jednego słowa sir Charlesa.

- Chcę znać również nazwisko każdego dziecka, które zostało zarejestrowane w sierocińcu pomiędzy 1923 a 1927 rokiem. Pamiętajcie, że szukamy dziewczynki, która nie miała więcej jak dwa lata i mogła się nazywać Margaret Ethel. A gdy już zdobędziecie odpowiedzi na wszystkie pytania, obudźcie mnie bez względu na porę.

ROZDZIAŁ 45

Trevor Roberts przybył następnego dnia rano do hotelu Charlie'ego na kilka minut przed ósmą i zastał swojego klienta przy sutym śniadaniu, na które składały się jajka na bekonie, grzyby i pomidory. Prawnik był nie ogolony i wyglądał na zmęczonego, ale przynosił dobre wieści.

- Skontaktowaliśmy się z dyrektorką sierocińca Świętej Hildy, z panią Culver. Zgodziła się z nami współpracować. - Charlie uśmiechnął się. - W latach pomiędzy 1923-1927 zarejestrowano w sierocińcu dziewiętnaścioro dzieci: ośmiu chłopców i jedenaście dziewczynek, z których dziewięć, jak zdołaliśmy się dowiedzieć, było w tamtym czasie półsierotami. Nawiązaliśmy kontakt z siedmioma kobietami z tej dziewiątki, z których pięć ma krewnych gotowych zaświadczyć, kim byli ich ojcowie. Rodzice jednej zginęli w wypadku, a drugiej okazali się rdzennymi mieszkańcami Australii. Jednakże nie zdołaliśmy odszukać informacji, dotyczących pochodzenia dwóch pozostałych. Sądziłem więc, że może zechciałby się pan wybrać do sierocińca Świętej Hildy i zbadać tę sprawę osobiście.

- A co z personelem sierocińca?

- Z tamtego czasu została już tylko kucharka, która twierdzi, że nigdy nie było tam dziecka o nazwisku Trentham. Ani o innym podobnie brzmiącym. Nie pamięta nawet nikogo o imieniu Margaret albo Ethel. Być może panna Benson okaże się naszą ostatnią deską ratunku.

- Panna Benson?

- Dyrektorka sierocińca w tamtych latach, a obecnie pensjonariuszka ekskluzywnego domu starców "Pod Liściem Klonu", który znajduje się w dzielnicy po drugiej stronie miasta.

Całkiem niezłe, panie Roberts - pochwalił Charlie. - Jak udało się panu nakłonić panią Culver do współpracy po tak krótkiej znajomości?

- Uciekłem się do metody, która, jak przypuszczam, bliższa jest szkole prawa z Whiteehapel niż z Harvardu, sir Charlesie.

Charlie spojrzał pytająco na młodego człowieka.

- Wygląda na to, że kierownictwo sierocińca zamierza ubiegać się o mikrobus.

- Mikrobus?

- Jest pilnie potrzebny do organizowania wycieczek dla wychowanków.

- I wspominał pan, że...

- ...może będzie szansa na udzielenie pomocy w tej sprawie...

- ...jeśli okażą się skłonni...

- ...do współpracy. Dokładnie tak.

- Muszę przyznać, że szybko się pan uczy, Roberts.

- Nie ma czasu do stracenia. Powinniśmy natychmiast jechać, żeby mógł pan przejrzeć akta.

- Naszą największą szansą jest niewątpliwie panna Benson.

- Zgadzam się z panem, sir Charlesie. Zaplanowałem, że złożymy jej wizytę po południu, gdy tylko załatwimy wszystkie sprawy w sierocińcu. A między nami mówiąc, panna Benson nazywana była "Smokiem", i to nie tylko przez podopiecznych, ale i przez personel. Dlatego nie ma powodu oczekiwać, że okaże się bardziej skłonna do współpracy niż Walter Slade.

Gdy Charlie przybył do sierocińca, pani Culver czekała na niego w drzwiach. Miała na sobie elegancką zieloną suknię, która wyglądała na świeżo odprasowaną. Dyrektorka najwyraźniej postanowiła traktować swojego potencjalnego dobroczyńcę jak samego Nelsona Rockefellera. Był przyjmowany z najwyższymi honorami. Brakowało tylko czerwonego dywanu na korytarzu przed gabinetem.

Gdy weszli do biura dyrektorki, dwaj młodzi prawnicy, którzy wytrwale dzień i noc przeglądali akta i dowiedzieli się już wszystkiego na temat regulaminu bursy, punktualności, dyżurów w kuchni i nagan oraz wyróżnień, zerwali się z miejsc.

- Czy jest coś nowego w związku z tymi dwoma nazwiskami? - zapytał Roberts.

- Powoli i to się wyjaśnia - pospieszyła z odpowiedzią pani Culver. - Czy nie jest to frapujące? - Powiedziała, uwijając się po pokoju i usiłując przywrócić ład. - Właśnie zastanawiam się...

- To jeszcze nic pewnego - odezwał się prawnik o przekrwionym wzroku - ale akta jednej z dziewcząt zgadzają się z pańskim opisem.

Nie możemy znaleźć żadnej informacji sprzed drugiego roku jej życia. A co ważniejsze, data przybycia dziecka do sierocińca Świętej Hildy pokrywa się z datą egzekucji kapitana Trenthama.

- Kucharka, która w tamtych czasach była pomywaczką, pamięta - pani Culver przerwała prawnikowi w pół słowa - że dziewczynka przybyła tutaj w środku nocy w towarzystwie dobrze ubranej damy o surowym spojrzeniu, której akcent może sugerować...

- Niewątpliwie ową damą była pani Trentham - nie pozwolił jej dokończyć Charlie. - Tylko że dziewczynka pewnie nie nazywała się tak samo jak ona.

Młody prawnik zajrzał do notatek, które leżały przed nim na stole.

- Nie - przyznał. - Dziewczynka została zarejestrowana jako Cathy Ross.

Charlie'emu nogi odmówiły posłuszeństwa i Roberts z panią Culver pospieszyli z pomocą, podsuwając jedyny fotel, jaki znajdował się w pokoju. Dyrektorka rozluźniła mu krawat i rozpięła kołnierzyk przy koszuli.

- Jak się pan czuje, sir Charlesie? Muszę przyznać, że nie wygląda pan...

- Przez cały czas pod samym nosem - rzekł Charlie. - Daphne zapewne powiedziałaaby, że jestem ślepy jak nietoperz, i miałyby słusność.

- Przepraszam, ale nie zrozumiałem pana, sir Charlesie - stwierdził Roberts.

- Ja też na razie niewiele z tego rozumiem - wyznał Charlie i odwrócił się w stronę zaniepokojonego młodego człowieka, który mu obwieścił nowinę.

- Czy po opuszczeniu sierocińca otrzymała miejsce na Uniwersytecie w Melbourne?

Tym razem prawnik dwukrotnie sprawdził zapiski. - Tak jest, sir.

Rozpoczęła studia w 1942, a ukończyła w 1946 roku.

- Czy studiowała historię sztuki i anglistykę?

Prawn timer ponownie utkwiał wzrok w dokumentach.

Dokładnie tak, sir. - Młody człowiek nie potrafił ukryć zdziwienia.

- A czy przypadkiem nie grała w tenisa?
- Raz reprezentowała uniwersytet w drugiej żeńskiej reprezentacji.
- I potrafi malować? - upewniał się Charlie.

Prawnik nadal wertował akta.

- Ależ tak - wtrąciła się pani Culver. - I to bardzo dobrze, sir Charlesie. Jej praca wciąż wisi w naszej jadalni. Jest to pejzaż leśny, którego inspiracją, jak sądzę, było malarstwo Sisleya. Ośmielę się twierdzić...

- Czy mógłbym zobaczyć ten obraz, pani Culver?

- Oczywiście, sir Charlesie. - Dyrektorka wyjęła klucz z górnej szuflady po prawej stronie biurka. - Proszę za mną.

Charlie stanął niepewnie na nogach i ruszył za panią Culver, która zaprowadziła go do jadalni, mieszczącej się na samym końcu długiego korytarza. Na twarzy Trevora Robertsa, który kroczył za Charlie'm, wciąż malował się wyraz zdumienia, ale adwokat powstrzymywał ciekawość.

Gdy weszli do jadalni, Charlie stanął jak wryty.

- Rozpoznam pędzel Ross na dwadzieścia kroków.

- Słucham, sir Charlesie?

- Nic ważnego, pani Culver - uspokoił ją Charlie, przyglądając się pejzażowi leśnemu o nakrapianych brązach i zieleniach.

- Jest piękny, prawda, sir Charlesie? Dowodzi prawdziwych umiejętności posługiwania się kolorem. Ośmielę się powiedzieć...

- Zastanawiam się, czy zamiana tego obrazu na mikrobus byłaby, pani zdaniem, uczciwą transakcją?

- Bardzo uczciwą - odparła pani Culver bez wahania. - Jestem przekonana, że...

- Czy będę domagał się zbyt wiele, jeśli poproszę o zanotowanie na odwrotnej stronie obrazu nazwiska podopiecznej, która go namalowała, oraz okresu jej pobytu w sierocińcu?

- Z największą przyjemnością. - Pani Culver podeszła do obrazu, zdjęła go z haka i trzymając za ramę, odwróciła na drugą stronę, tak, żeby wszyscy mogli zobaczyć. Na odwrocie widniał napis, dokładnie taki, o jaki prosił Charlie. Był wypłowiały z powodu upływu lat, ale wciąż czytelny gołym okiem.

-

Proszę mi wybaczyć, pani Culvert - zwrócił się do niej Charlie.

Nie doceniłem pani. - Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki portfel, podpisał czek in blanco i wręczył go dyrektorce.

- Ale ile...? - zapytała zaskoczona kobieta.

- Tyle, ile będzie kosztował mikrobus - odparł Charlie, po raz pierwszy znajdując sposób, żeby zdumionej pani Culver zamknąć usta.

W trójkę wrócili do gabinetu, gdzie czekała już na nich herbata.

Jeden z młodszych pomocników Robertsa przystąpił do sporządzenia podwójnej kopii wszystkich dokumentów Cathy, a Roberts telefonicznie uprzedził przełożoną pielęgniarzek z domu starców, w którym mieszkała pani Benson, że w ciągu najbliższej godziny złożą jej z sir Charlesem wizytę. Gdy obydwa zadania zostały wykonane, Charles podziękował pani Culver za okazaną uprzejmość i uklonił się na pożegnanie. Chociaż milczała od pewnego czasu, zdobyła się na słowa:

- Dziękuję, sir Charlesie, bardzo dziękuję.

W drodze do samochodu Charlie kurczowo ścisnął obraz. A potem wręczył go kierowcy i kazał pilnować jak oka w głowie.

- Oczywiście, sir Charlie. Dokąd pojedziemy teraz?

- Do pensjonatu "Pod Liściem Klonu", który znajduje się w północnej części miasta - poinstruował go Roberts, zajmując miejsce obok Charlie'ego na tylnym siedzeniu. - Mam nadzieję, że udzieli mi pan jakichś wyjaśnień, sir Charlesie. Jestem w najwyższym stopniu zdumiony wydarzeniami, jakie przed chwilą miały miejsce.

- Mogę wyjawić panu tylko tyle, ile sam wiem - rzekł Charlie. I opowiedział adwokatowi o tym, jak po raz pierwszy spotkał Cathy ponad piętnaście lat temu na przyjęciu z okazji otwarcia domu na Eaton Square. Mówił nieprzerwanie, aż dotarł do chwili, w której panna Ross została członkiem zarządu firmy Trumper. Poinformował też Roberta, że od czasu samobójstwa Daniela nie jest w stanie powiedzieć wiele na temat swojej przeszłości, gdyż wciąż nic nie pamięta z okresu przed przyjazdem do Anglii. Reakcja prawnika zaskoczyła Charlie'ego.

- To nie był zwykły zbieg okoliczności, że panna Ross wybrała się właśnie do Anglii, podobnie jak i fakt, że podjęła pracę w firmie Trumper.

- Do czego pan zmierza? - zdziwił się Charlie.

Pewnie wyjechała z Australii po to, żeby poznać prawdę o swoim ojcu. Być może wierzyła, że jeszcze żyje, a nawet mieszka w Anglii. Dlatego przyjechała do Londynu, gdzie odkryła powiązanie między waszymi rodzinami. Jeśli potrafi pan znaleźć związek pomiędzy jej ojcem, wyjazdem do Anglii i firmą Trumper, będzie miał pan dowód na to, że Cathy Ross to Margaret Ethel Trentham.

- Ale ja nie mam pojęcia, co to wszystko może mieć ze sobą wspólnego. A teraz, gdy Cathy pamięta tak niewiele ze swojego życia w Australii, chyba nigdy się tego nie dowiem.

- No cóż, miejmy nadzieję, że panna Benson pomoże nam znaleźć właściwy kierunek - pocieszał go Roberts. - Chociaż, jak już wcześniej pana uprzedzałem, nikt, kto ją znał z sierocińca Świętej Hildy, nie powiedział o niej dobrego słowa.

- Nie udało mi się podejść Waltera Slade'a i pewnie nie znajdę wspólnego języka z panną Benson. Pani Trentham rzuciła czary na każdego, kto tylko miał z nią do czynienia. To staje się dla mnie coraz bardziej oczywiste.

- Tak, to prawda - przyznał prawnik. - Dlatego nie wyjawiałem przełożonej z pensjonatu "Pod Liściem Klonu" celu naszej wizyty.

Uważałem, że nie należy uprzedzać panny Benson o naszych odwiedzinach. Miałaby zbyt wiele czasu na przygotowanie odpowiedzi.

Charlie mruknięciem wyraził swoją aprobatę. - Czy ma pan pomysł, jak ją zjednać? Obawiam się, że pokpiłem sprawę z Walterem Slade'em.

- Nie, nie mam. Będziemy musieli kierować się intuicją. Miejmy nadzieję, że panna Benson pomimo wszystko okaże się pomocna.

Chociaż jeden Bóg raczy wiedzieć, jaki akcent byłby tym razem najbardziej pożądanym, sir Charlesie.

Kilka chwil później wjechali pomiędzy potężnymi żelaznymi wrotami na długi podjazd prowadzący do dużej rezydencji z przełomu wieku, która leżała w środku kilkuakrowej posiadłości.

- Pobyt tutaj nie może być tani - zauważył Charlie.

- Zgadza się z tą opinią. Niestety, wygląda na to, że mikrobus nie będzie tutaj kartą przetargową.

Podjechali pod ciężkie dębowe drzwi. Trevor Roberts wyskoczył z samochodu, ale zanim nacisnął dzwonek, zczekał na Charlie'ego.

Po chwili zjawiła się młoda pielęgniarka i niezwłocznie zapro39 - Prosto jak strzelił wadziła ich wypolerowanym na wysoki połysk korytarzem do gabinetu przełożonej.

Pani Campbell miała na sobie typowy dla swojego zawodu wykrochmalony niebieski kitel z białym kołnierzykiem i takimiż mankietami. Przywitała Charlie'ego i Roberta, mówiąc ze szkockim akcentem i niewyraźnie wymawiając słowa. Gdyby nie wpadający oknem ostry strumień światła słonecznego, uzasadnione byłyby podejrzenia Charlie'ego, że pani Campbell wcale nie pamięta, iż kiedykolwiek opuszczała Szkocję.

Po wzajemnej prezentacji przełożona zapytała, w czym może pomóc.

- Mam nadzieję, że pozwoli mi pani zamienić słowo z jedną z waszych pensjonariuszek.

- Ależ oczywiście, sir Charlesie. Mogę spytać, z kim chciałby się pan widzieć?

- Z panną Benson - wyjaśnił Charlie. - Widzi pani...

- Och, sir Charlesie! Nie słyszał pan?

- O czym? - Zapytał Charlie.

- Panna Benson zmarła w zeszłym tygodniu. Pochowaliśmy ją w ubiegły czwartek.

Charlie'emu po raz drugi nogi odmówiły posłuszeństwa. Trevor Roberts prędko musiał chwycić swojego klienta pod ramię i podprowadzić do najbliższego krzesła.

- Tak mi przykro - powiedziała przełożona. - Nie wiedziałam, że byliście aż tak bliskimi przyjaciółmi. - Charlie nie odezwał się. - Przyjechał pan specjalnie z Londynu, żeby się z nią zobaczyć?

- Tak, tylko po to - odparł Roberts. - Czy panią Benson odwiedzali ostatnio inni goście z Anglii?

- Nie - odpowiedziała zdecydowanym tonem przełożona. - Niewiele wizyt składano jej pod koniec życia. Dwukrotnie odwiedzili ją krewni z Adelajdy, ale o ile wiem, nie było nikogo z Anglii - dodała załamującym się głosem.

- Czy wspominała kiedyś o niejkiej Cathy Ross albo o Margaret Trentham?

Pani Campbell przez chwilę głęboko zastanawiała się nad tym pytaniem.

- Nie - powiedziała w końcu. - W każdym razie nie przypominam sobie.

Wobec tego sędzę, że już pójdziemy, sir Charlesie. Nie ma sensu zabierać więcej czasu pani Campbell.

- To prawda - przyznał cichym głosem Charlie. - Dziękuję pani.

- Roberts pomógł mu wstać. Przełożona towarzyszyła im w drodze powrotnej do frontowych drzwi.

- Czy wkrótce wraca pan do Anglii, sir Charlesie? - zapytała.

- Tak, prawdopodobnie jutro.

- Czy narażę pana na wielki kłopot, jeśli poproszę, żeby wysłał pan list po powrocie do Londynu?

- Zrobię to z przyjemnością - rzekł Charlie.

- W normalnych okolicznościach nie zawracałabym panu głowy, korespondencja dotyczy jednak panny Benson - wyznała przełożona.

Obaj mężczyźni stanęli jak wryci i uważnie spojrzeli na sztywną szkocką damę.

- Proszę pana o to nie dlatego, że chcę zaoszczędzić na znaczku.

Wiem, że ludzie zarzucają moim współziomkom skłonności do skapstwa. W tym szczególnym

wypadku jednak sprawa ma się wręcz odwrotnie. Moim jedynym pragnieniem jest szybki zwrot pieniędzy dobroczyńcom panny Benson.

- Dobroczyńcom panny Benson? - zapytali zgodnym chórem.

- Tak - odparła przełożona, prostując się na całe swoje sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. - Nie mamy w zwyczaju "Pod Liściem Klonu" pobierać opłat od pensjonariuszy, którzy umarli, panie Roberts. To byłoby nieuczciwe. Jestem przekonana, że podziela pan moją opinię.

- Oczywiście, pani Campbell.

- Dlatego, choć nalegamy na trzymiesięczną płatność z góry, to zwracamy wszystkie nadpłacone kwoty po śmierci pensjonariusza.

Oczywiście, po uregulowaniu wszystkich pozostałych należności.

- Rozumiem - powiedział Charlie, patrząc na kobietę z nadzieją w oczach.

- Jeśli panowie zechcą chwilę zaczekać, to pójde poszukać listu.

- Odwróciła się i ruszyła z powrotem w stronę swojego gabinetu na końcu korytarza.

- Zacznijmy się modlić - zasugerował Charlie.

- Już to robię - oświadczył Roberts.

Pani Campbell wróciła kilka chwil później z listem, który powierzyła Charlie'emu. Koperta była zaadresowana wyraźnym, kaligraficznym pismem: "Dyrektor, Coutts and Company, The Strand, London WC2".

- Mam nadzieję, że moja prośba naprawdę nie sprawi panu wielkiego kłopotu, sir Charlesie.

- To dla mnie większa przyjemność, niż sobie pani wyobraża - zapewnił ją Charlie i uklonił się na pożegnanie.

Gdy znaleźli się z powrotem w samochodzie, Roberts powiedział:

- Postąpiłbym nieetycznie udzielając panu rady, czy ma pan otworzyć ten list. Jednakże...

Ale Charlie zdążył już rozerwać kopertę i wyciągnąć jej zawartość.

Był to czek opiewający na kwotę dziewięćdziesięciu dwóch funtów. Został dołączony do szczegółowego rozliczenia rachunku za lata 1953-1964, które zamykało w sposób pełny i ostateczny konto Rachel Benson.

- Boże, pobłogosław Szkotów i ich purytańskie wychowanie - westchnął z wdzięcznością Charlie, gdy zobaczył, na kogo czek został wystawiony.

ROZDZIAŁ 46

- Jeśli się pan pospieszy, sir Charlesie, to zdąży pan złapać wcześniejszy samolot - powiedział Trevor Roberts, gdy tylko samochód podjechał pod hotel.

- Postaram się jak najprędzej być z powrotem. Chciałbym niezwłocznie wrócić do domu.

- W porządku. Najpierw wymelduję pana z hotelu, a potem zatelefonuję na lotnisko, żeby dowiedzieć się, czy mogą zmienić panu rezerwację.

- Dziękuję. Chociaż zostało mi jeszcze kilka dni, nie wiem, czy zdołam na czas uporządkować sprawy w Londynie.

I wyskoczył z samochodu, zanim kierowca zdążył się ruszyć, by otworzyć mu drzwi. Wpadł do pokoju i pośpiesznie powrzucał wszystkie rzeczy do walizki. Dwadzieścia minut później był z powrotem w hallu recepcyjnym, gdzie uregulował rachunek, a już w niecały kwadrans potem pędem biegł do wyjścia. Kierowca czekał na niego przy otwartym bagażniku.

Gdy wsiedli do samochodu, szofer natychmiast ruszył spod hotelu i zjechał na pas szybkiego ruchu, kierując się w stronę autostrady.

- Ma pan paszport i bilet? - upewnił się Roberts.

Charlie wyjął jedno i drugie z wewnętrznej kieszeni marynarki, uśmiechając się jak dziecko, które pokazuje odrobione lekcje.

- To dobrze, miejmy nadzieję, że dotrzemy na lotnisko na czas.

- Dokonał pan cudów - pochwalił prawnika Charlie.

- Dziękuję, sir Charlesie - rzekł Roberts. - Musi pan jednak wiedzieć, że pomimo wielu dowodów, które udało się panu zebrać, tylko część z nich zostanie w najlepszym razie uznana za poszlaki.

My obaj możemy być przekonani, że panna Cathy Ross to Margaret Ethel Trentham, ale w sytuacji gdy panna Benson leży w grobie, a panna Ross nie pamięta szczegółów z przeszłości, które mają związek ze sprawą, trudno przewidzieć, czy przekona pan sąd o słuszności swoich racji.

- Rozumiem pański punkt widzenia, ale teraz przynajmniej mam jakąś kartę przetargową. Tydzień temu nie miałem nic.

- To prawda. W ciągu ostatnich kilku dni obserwowałem pana w akcji i dlatego daję panu więcej niż pięćdziesiąt procent szans.

Proszę tylko nie spuszczać obrazu z oka. Jest równie przekonującym dowodem jak odciski palców. I niech pan dopilnuje, żeby list pani Campbell znalazł się w bezpiecznym miejscu, zanim nie będzie miał pan możliwości sporządzenia kopii. A potem proszę nie zapomnieć o wysłaniu oryginału z czekiem do Coutts. Nie chcemy przecież, żeby został pan aresztowany za przywłaszczenie sobie

dziewięćdziesięciu dwóch funtów. Czy jest jeszcze coś, w czym mógłbym panu na koniec pomóc?

- Tak. Niech pan spróbuje zdobyć pisemne oświadczenie Waltera Slade'a, że pani Trentham zawiozła małą dziewczynkę o imieniu Margaret do sierocińca Świętej Hildy oraz że powróciła stamtąd bez swojej podopiecznej. Dobrze by też było, gdyby zdołał pan nakłonić Slade'a, żeby ustalił przybliżoną datę tych wydarzeń.

- To może okazać się niełatwe po wizycie, jaką mu pan złożył - zauważył Roberts.

- No cóż, przynajmniej proszę spróbować. A potem niech pan postara się zdobyć pokwitowanie pieniężnych przekazów, które panna Benson otrzymywała od pani Trentham przed 1953 rokiem, i dowie się, na jakie opiewały kwoty oraz kiedy były wysyłane.

Przypuszczam, że od trzydziestu pięciu lat przychodziły co kwartał.

Tylko dzięki nim pannę Benson stać było na spędzenie ostatnich lat życia w tak wygodnych i luksusowych warunkach.

- Zgoda, ale znowu to tylko domysł. Żaden bank nie udzielił mi informacji dotyczących prywatnego konta klienta.

- To prawda - przyznał Charlie. - Za to pani Culver chętnie poinformuje pana, ile zarabiała panna Benson jako dyrektorka.

Wtedy okaże się, czy nie żyła ponad stan. W sierocińcu Świętej Hildy poza mikrobusem mają na pewno jeszcze inne potrzeby.

Roberts zaczął notować, a Charlie sypał pomysłami jak z rękawa.

- Jeśli powiedzie się panu ze Slade'em i zdoła pan udowodnić, że miały miejsce wcześniejsze płatności na rzecz panny Benson, wtedy będę w o wiele dogodniejszej pozycji, żeby poprosić o wyjaśnienie Nigela Trenthama, dlaczego jego matka wspomagała finansowo osobę, która była dyrektorką sierocińca po drugiej stronie globu.

- Zrobię, co w mojej mocy - obiecał Roberts. - Gdy tylko coś załatwię, skontaktuję się z panem.

- Dziękuję. A czy jest coś, co ja mógłbym zrobić dla pana?

- Owszem, sir Charlesie. Proszę przekazać ode mnie serdeczne pozdrowienia wujowi Ernestowi.

- Wujowi Ernestowi?

- Tak, Ernestowi Baverstockowi.

- Jeszcze czego! Zgłoszę wniosek do Stowarzyszenia Prawników o ukaranie go za nepotyzm.

- Jestem zmuszony odradzić panu ten krok, sir Charlesie. Nepotyzm nie jest jeszcze uważany za zbrodnię, stąd nie ma podstaw do wysuwania oskarżenia. Uczciwie mówiąc, całą winę ponosi za to moja matka. Urodziła trzech synów, samych prawników. Dwaj pozostali reprezentują pana w Brisbane i w Perth.

Samochód podjechał pod krawężnik przed terminalem Qantas.

Kierowca wyskoczył z samochodu i wyjął walizki z bagażnika.

Charlie pobiegł w kierunku kasy biletowej, a Roberts, z obrazem Cathy pod pachą, deptał mu po piętach.

- Tak, może pan jeszcze odlecieć wcześniejszym samolotem do Londynu - zapewniła Charlie'ego dziewczyna w informacji. - Proszę się jednak pospieszyć, gdyż za kilka minut kończymy odprawę.

Charlie odetchnął z ulgą i odwrócił się, żeby pożegnać się z Trevorem Robertsem. W tym czasie przybył kierowca z walizkami i położył je na wadze.

- Niech to diabli - zaklął Charlie. - Czy może mi pan pożyczyć dziesięć funtów?

Roberts wyjął banknoty z portfela, a Charlie szybko podał je kierowcy, który uchylił czapki i

wrócił do samochodu.

- Nie wiem, jak mam panu dziękować - powiedział Charlie, ściskając dłoń prawnikowi.

- Proszę podziękować wujowi Ernestowi, nie mnie. To on kazał mi wszystko rzucić i zająć się tą sprawą.

Dwadzieścia minut później Charlie wchodził na pokład samolotu linii Qantas, rejs numer 102, żeby odbyć powrotną podróż do Londynu.

Gdy wystartowali z dziesięciominutowym opóźnieniem, Charlie usadowił się wygodnie w fotelu i próbował uporządkować informacje, jakie zdobył podczas ostatnich trzech dni. Zgadzał się z teorią Roberta, że Cathy nie przez przypadek podjęła pracę w firmie Trumper. Musiała odkryć powiązania pomiędzy jego rodziną a Trenthamami, choć Charlie nie wiedział, co to mogły być za powiązania ani jaki miała powód, żeby trzymać to przed nimi w ukryciu.

Trzymać w ukryciu...? Czy miał prawo komentować ten fakt? Gdyby powiedział o wszystkim Danielowi, chłopak mógłby żyć do dziś dnia. Jedno było pewne - Cathy nie wiedziała, że Daniel jest jej przyrodnim bratem. Za to pani Trentham musiała odkryć prawdę i wyjawić ją swojemu wnukowi.

- Kobieta z piekła rodem - mruknął do siebie Charlie.

- Słucham? - zdziwiła się dama w średnim wieku, która siedziała po jego lewym boku.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł Charlie. - Nie mówiłem do pani. - I powrócił do swoich rozważań. Pani Trentham musiała poznać prawdę. Ale w jaki sposób? Czy Cathy też poszła do tej kobiety? A może zaalarmowało ją zawiadomienie o zaręczynach w "The Timesie" i zrozumiała, że Daniel i Cathy, decydując się na nielegalny związek, nie mogą wiedzieć o sobie? Bez względu na to, jak dotarła do prawdy, Charlie czuł, że ma niewielkie szanse na odtworzenie całej historii, szczególnie teraz, gdy Daniel i pani Trentham już nie żyją, a Cathy wciąż nie pamięta zbyt wiele z okresu przed przybyciem do Anglii.

Co za ironia losu, pomyślał Charlie, że to wszystko, czego dowiedział się w Australii, znajdowało się przez cały czas w aktach, które leżały na Chelsea Terrace pod numerem pierwszym i były oznaczone: „Cathy Ross, podanie o pracę”. Ale brakowało w nich jednego ogniwa. „Niech pan je znajdzie - radził mu Roberts - a udowodni pan, że istnieje związek pomiędzy Cathy Ross i Guyem Trenthamem”.

Charlie skinął głową. Zgadzał się z tą opinią.

Ostatnio Cathy przypominała sobie kilka szczegółów z przeszłości, ale nie były to sprawy znaczące; nic, co by dotyczyło jej wczesnego dzieciństwa w Australii. Doktor Atkins nadal radził, żeby jej nie ponaglać. Zadowalał go przebieg rekonwalescencji dziewczyny, a szczególnie fakt, że już chętniej mówi o Danielu.

Charlie pomyślał, że chcąc ocalić spółkę, będzie musiał teraz wywrzeć na Cathy nacisk. Postanowił, że jedną z pierwszych rozmów, jakie przeprowadzi, gdy tylko wyląduje na angielskiej ziemi, będzie rozmowa z Atkinsem.

- Mówi kapitan - rozległ się nagle głos. - Z przykrością muszę państwa zawiadomić, że mamy niewielki techniczny problem. Ci z państwa, którzy siedzą po prawej stronie samolotu, zauważą, że wyłączyłem jeden z silników. Mogę państwa zapewnić, że nie ma najmniejszego powodu do obaw, gdyż trzy pozostałe pracują z pełną mocą, a samoloty tej konstrukcji są zdolne pokonać dowolny odcinek lotu nawet na jednym. - Charlie uspokoił się, słysząc te pocieszające informacje. - Jednakże - kontynuował kapitan - zgodnie z polityką spółki, która ma jedynie na względzie państwa bezpieczeństwo, w takiej sytuacji musimy niezwłocznie lądować na najbliższym lotnisku w celu

natychmiastowego usunięcia awarii. - Charlie zmarszył brwi. - Ponieważ nie przebyliśmy jeszcze połowy drogi do Singapuru, otrzymałem polecenie z kontroli ruchu, żeby wracać do Melbourne.

Pasażerowie przyjęli tę decyzję pomrukiem niezadowolenia.

Charlie pospiesznie obliczył, ile mu zostało czasu do wyznaczonego terminu. Przypomniawszy sobie, że samolot, na który początkowo miał zarezerwowany bilet, odlataje dzisiaj o ósmej dwadzieścia wieczorem.

Rozpiął pas, zdjął z półki obraz Cathy i przesiadł się na inne miejsce, znajdujące się najbliżej wyjścia. Gorączkowo zastanawiał się, czy uda mu się zmienić rezerwację na rejs linii BOAC do Londynu.

Samolot Qantas wylądował na lotnisku w Melbourne siedem minut po siódmej. Charlie opuścił pokład jako jeden z pierwszych i pobiegł przed siebie, ile sił w nogach. Ale z obrazem Cathy pod pachą poruszał się wolniej od innych pasażerów, którzy najwidoczniej wpadli na ten sam pomysł. Gdy dotarł do okienka, okazało się, że jest dopiero jedenasty w kolejce. Ogonek powoli skracał się, a dla Charlie'ego zostało już tylko miejsce na liście rezerwowej.

Pomimo rozpaczliwych próśb, urzędnik linii BOAC pozostał nieugięty, twierdząc, że wielu pasażerów musi z równie ważnych powodów pilnie znaleźć się w Londynie.

Charlie powoli wrócił do okienka linii Quantas, gdzie powiadomiono go, że samolot numer rejsu 102 musi zostać na ziemi w celu naprawy silnika i odleci dopiero rano. O ósmej czterdzieści obserwował, jak maszyna linii BOAC, w której miał początkowo zarezerwowane miejsce, unosi się nad pasem startowym i odlataje bez niego.

Wszystkim pasażerom zamieniono bilety na rejs o dziesiątej dwadzieścia nazajutrz przed południem i znaleziono łóżka na nocleg w lokalnym hotelu.

Charlie stawiał się na lotnisku na dwie godziny przed planowanym odlotem i jako pierwszy wszedł na pokład. Jeśli lot przebiegnie zgodnie z planem, rozumował, to wylądują na Heathrow w piątek wczesnym ranem. Zostanie mu półtora dnia do nieprzekraczalnego terminu, jaki wyznaczył sir Raymond.

Po raz pierwszy odetchnął z ulgą, gdy samolot wystartował, po raz drugi, gdy pokonał połowę drogi do Singapuru, i po raz trzeci, gdy wylądował kilka minut przed czasem na lotnisku w Changi.

Wysiadł, żeby rozprostować nogi, ale już godzinę później siedział przypięty pasami i gotowy do startu. Kolejnym etapem podróży był Bangkok, gdzie wylądowali na lotnisku Don Muang z zaledwie półgodzinnym opóźnieniem, ale samolot ugrzązł na godzinę w kolejce na pasie startowym. Później wyjaśniono, że powodem były braki kadrowe w kontroli ruchu powietrznego. Charlie nie martwił się jeszcze zwłoką, chociaż nie mógł opanować odruchu spoglądania na zegarek. Wystartowali godzinę po wyznaczonym terminie.

Następnym postojem na tankowanie zbiorników było lotnisko Palam w New Delhi. Charlie dla zabicia czasu chodził po sklepach wolnocłowych. Nudziło go już oglądanie tych samych perfum, biżuterii i zegarków sprzedawanych nieświadomym pasażerom po cenach z pięćdziesięcioprocentowym narzutem. Po upływie godziny, gdy nie podano żadnego komunikatu, Charlie podszedł do informacji, żeby dowiedzieć się o przyczynę zwłoki.

- Wygląda na to, że będzie problem z wymianą załogi na tym odcinku lotu - powiadomiła go młoda kobieta w okienku. - Załoga nie zakończyła jeszcze dwudziestoczworgodzinnej przerwy, która jest wymagana regulaminem LATA.

- Jak długo trwa już odpoczynek?

- Dwadzieścia godzin - odpowiedziała zakłopotana.

Czy to znaczy, że będziemy tu tkwić jeszcze przez następne cztery godziny?

- Obawiam się, że tak.

- Gdzie jest najbliższy telefon? - Charlie nie ukrywał irytacji.

- W rogu, po drugiej stronie sali - wskazała dziewczyna na prawo.

Charlie ustawił się w następnej kolejce, ale gdy dotarł do aparatu, zdołał dwukrotnie połączyć się z telefonistką, raz z Londynem, ale ani razu z Becky. W końcu, po bezowocnych próbach skontaktowania się z żoną, wrócił wyczerpany do samolotu.

- Mówi kapitan Parkhouse. Przepraszamy za opóźnienie - mówił pilot uspokajającym głosem. - Mam nadzieję, że zwłoka nie sprawiła państwu wielkiego kłopotu. Proszę zapiąć pasy i przygotować się do startu.

Zagrzmiały cztery silniki odrzutowe, maszyna drgnęła, a gdy nabrała odpowiedniej mocy, pognęła przed siebie wzdłuż pasa startowego. Nagle niespodziewane szarpnięcie rzuciło Charlie'em do przodu, a samolot z przeraźliwym piskiem zahamował na kilkaset metrów przed końcem lądowiska.

- Mówi kapitan. Z przykrością muszę państwa poinformować, że lampka kontrolna wskazuje na awarię pompy pneumatycznej, która podnosi i opuszcza podwozie podczas startu i przy lądowaniu.

W tej sytuacji zmuszeni jesteśmy z powrotem wrócić na nasze stanowisko i poprosić miejscowych inżynierów o jak najszybsze usunięcie uszkodzenia. Dziękuję państwu za wyrozumiałość.

Charlie'ego najbardziej zaniepokoiły słowa "miejscowi inżynierowie".

Opuścił pokład samolotu i biegał od okienka do okienka różnych linii lotniczych, starając się dowiedzieć, czy tej nocy nie ma innego połączenia z Europą przez New Delhi. Szybko stwierdził jednak, że jedyny lot w tym dniu był przewidziany do Sydney. Zaczął modlić się o szybkość i efektywność pracy hinduskich inżynierów.

Siedział w zadymionej poczekalni i wertował czasopisma, sącząc jeden napój za drugim oraz czekając na informacje dotyczące rejsu numer 102.

Najpierw dowiedział się, że posłano po głównego inżyniera.

- Posłano? - dociekał Charlie. - Co to znaczy?

- Wysłaliśmy po niego samochód - wyjaśnił uśmiechnięty urzędnik lotniska, który mówiąc urywał końcówki wyrazów.

Wysłaliście samochód? - dopytywał się Charlie. - Dlaczego nie ma go na lotnisku?

- Ma dzisiaj wolne.

- A nie macie innych inżynierów?

- Nie nadają się do tak poważnej roboty - przyznał nękany pytaniami urzędnik.

Charlie uderzył się dłonią w czoło. - A gdzie mieszka ten inżynier?

- Gdzieś w New Delhi - padła prędką odpowiedź. - Niech pan się nie martwi. Do godziny powinien już tu być.

Problem w tym kraju polega na tym, pomyślał Charlie, że mówią ci dokładnie to, co chcesz usłyszeć.

Z jakiegoś powodu ten sam urzędnik nie potrafił wytłumaczyć później, dlaczego znalezienie głównego fachowca trwało aż dwie godziny, przywiezienie go na lotnisko kolejne sześćdziesiąt minut i następny kwadrans odkrycie, że do tej roboty będzie potrzebny zespół trzech wykwalifikowanych mechaników, którzy właśnie zakończyli pracę.

Rozklekotany autobus zawiózł pasażerów rejsu numer 102 do hotelu Taj Mahal w centrum miasta, gdzie Charlie spędził całą noc siedząc na łóżku i ponownie usiłując skontaktować się z Becky. Gdy w końcu udało mu się do niej dodzwonić, rozmowa została przerwana, zanim zdążył powiedzieć, gdzie jest. Nawet nie próbował zasnąć.

Następnego dnia rano wrócił na lotnisko; tam powitał go znajomy urzędnik, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Samolot wystartuje zgodnie z planem - obiecał.

Zgodnie z planem, pomyślał Charlie. W zwykłych okolicznościach pewnie by się roześmiał.

Wystartowali godzinę później. Charlie poprosił stewardesę, żeby podała przybliżony czas przybycia na Heathrow. Został poinformowany, że nastąpi to przed południem w niedzielę. Ale dziewczyna nie umiała podać dokładnej godziny.

Po ponownym nie planowanym lądowaniu w sobotę rano na lotnisku Leonarda da Vinci, Charlie zdołał w końcu telefonicznie złapać Becky. Nie dał jej dojść do słowa.

- Jestem w Rzymie - mówił. - Powiedz Stanowi, żeby wyjechał po mnie na Heathrow. Nie wiem jeszcze dokładnie, o której przylecę, dlatego wyślij go tam natychmiast i każ czekać. Zrozumiałaś?

Tak - odpowiedziała Becky.

- Będę chciał się też spotkać z Baverstockiem w jego biurze.

Jeśli wyjechał poza miasto na weekend, to poproś go, żeby rzucił wszystko i wrócił do Londynu.

- Mam wrażenie, że jesteś niespokojny, kochanie.

- Wybacz. To nie była najłatwiejsza podróż.

Z obrazem pod pachą, ale już bez obaw, że jakaś nieprzewidziana awaria zakłóci mu podróż, Charlie wsiadł na pokład pierwszego europejskiego samolotu, który leciał do Londynu. Podczas lotu co dziesięć minut patrzył na zegarek. Gdy o ósmej wieczorem przeleciał nad kanałem La Manche, uspokoił się. Cztery godziny powinny mu wystarczyć na zarejestrowanie roszczeń Cathy, pod warunkiem, że Becky udało się odnaleźć Baverstocka.

Samolot zatoczył łuk, kierując się w stronę Londynu. Charlie wyjrzał przez małe owalne okienko i zobaczył wijącą się jak wąż Tamizę.

Dopiero po dwudziestu minutach pojawiły się dwie równo oświetlone linie pasa startowego i koła wzbijając kłęby dymu dotknęły ziemi, a już po chwili samolot kołował na przydzielone mu stanowisko. W końcu, o ósmej dwadzieścia dziewięć, drzwi otworzyły się i Charlie mógł zejść na płytę lotniska.

Chwycił obraz i pognął w stronę stanowisk kontroli paszportowej i odprawy celnej.

Zatrzymał się dopiero, gdy zobaczył budkę telefoniczną, a ponieważ nie miał monet, podał telefonistce swoje nazwisko, prosząc o przysłanie rachunku. Chwilę później uzyskał połączenie.

- Becky, telefonuję z Heathrow. Gdzie jest Baverstock?

- W drodze powrotnej z Tewkesbury. Należy spodziewać się go w biurze o dziewiątej trzydzieści, najpóźniej o dziesiątej.

- Dobrze. Wobec tego jadę prosto do domu. Powinienem być za czterdzieści minut. Odłożył słuchawkę, spojrzął na zegarek i stwierdził, że nie ma czasu na to, żeby porozmawiać z Atkinsem. Wybiegł z budynku.

Uderzył go chłodny powiew wiatru. Stan czekał już przy samochodzie. W czasie lat służby były sierżant zdążył przywyknąć do wiecznego pośpiechu szefa i dlatego nie zwracając uwagi na znaki ograniczenia szybkości gładko przewiózł go przez przedmieścia Londynu i dotarł do Chiswick. Dalej

już tylko motorower mógł zostać zatrzymany za nadmierną prędkość. Pomimo ulewnego deszczu podjechali pod dom na Eaton Square o dziewiątej szesnaście.

Charlie zdążył do połowy zrelacjonować milczącej Becky wydarzenia z pobytu w Australii i donieść o dokonanych tam odkryciach, gdy zatelefonował Baverstock, zawiadamiając, że jest już w swoim biurze na High Holborn. Charlie podziękował mu, przekazał pozdrowienia od siostrzeńca i przeprosił, że niepokoi go podczas weekendu.

- Nie mam nic przeciwko temu, jeśli przywozi pan dobre wieści - powiedział Baverstock.

- Guy Trentham miał jeszcze jedno dziecko - oznajmił Charlie.

- Przypuszczam, że nie po to ściągnął mnie pan z Tewkesbury, żeby opowiadać o aktualnych wynikach rozgrywek ligowych w Melbourne. Płci żeńskiej czy męskiej?

- Żeńskiej.

- Ślubne, czy ze związku pozamałżeńskiego?

- Ślubne.

- Musi zatem zgłosić swoje roszczenie do majątku przed upływem północy.

- Osobiście musi zgłosić wniosek?

- Takie jest postanowienie testamentu - wyjaśnił Baverstock. - Jednakże, jeśli ta osoba nadal przebywa w Australii, może skontaktować się z Trevorem Robertsem, którego upoważniłem...

- Nie, jest w Londynie. Przyprowadzę ją do pańskiego biura przed północą.

- Dobrze. Mogłbym wiedzieć, jak się nazywa? - Zapytał Baverstock. - Chciałbym przygotować dokumenty.

- Cathy Ross - oświadczył Charlie. - Niech pan poprosi o wyjaśnienia swojego siostrzeńca, ponieważ ja nie mam chwili do stracenia - dodał i odłożył słuchawkę, zanim Baverstock zdążył się ponownie odezwać. Wybiegł do hallu, szukając Becky.

- Gdzie jest Cathy? - krzyknął, gdy żona zjawiała się na podeście schodów.

- Poszła do Festival Hall ze swoim nowym chłopakiem z centrum finansowego. Na koncert Mozarta, zdaje się.

- Dobrze, idziemy - rzucił Charlie.

- Idziemy?

- Tak - odpowiedział Charlie podniesionym głosem. Dopadł drzwi, a za chwilę siedział już w swoim samochodzie. Wkrótce zorientował się, że nie ma kierowcy.

Pędem pobiegł z powrotem w kierunku domu i wpadł na Becky, która pośpiesznie zmierzała w przeciwną stronę.

- Gdzie jest Stan?

- Pewnie je kolację w kuchni.

- Dobrze - powiedział, podając jej własne kluczyki. - W takim razie poprowadzisz, a ja będę mówił.

- Dokąd jedziemy?

- Do Festival Hall - To zabawne - stwierdziła Becky. - Po tylu latach dopiero teraz dowiedziałam się, że lubisz Mozarta. - Zajęła miejsce za kierownicą, a Charlie obszedł samochód naokoło i usiadł obok niej z przodu.

Pośpiesznie odjechała sprzed domu i zręcznie manewrując, włączyła się do ruchu. Płynnie prześlizgiwała się pomiędzy pojazdami, a Charlie wyjaśniał, dlaczego potrzeba odnalezienia przed północą Cathy jest aż tak paląca. Becky słuchała z uwagą, nie przerywając wywodów męża.

Gdy dojechali do mostu Westminster, Charlie zapytał, czy nie chciałaby się czegoś więcej dowiedzieć, ale Becky milczała.

Odczekał chwilę. - Nie masz nic do powiedzenia? - zdziwił się.

- Tak, mam - odparła Becky. - Nie popełnij tego samego błędu, jakiego nie zdołaliśmy się ustrzec wobec Daniela.

- Mianowicie?

- Wyjaw jej całą prawdę.

- Najpierw będę musiał porozmawiać z Atkinsem - stwierdził Charlie. - Ale naszym największym problemem w tej chwili jest dopilnowanie, żeby zgłosiła roszczenie na czas.

- Jeszcze pilniejszy jest problem, gdzie mam zostawić samochód - zauważyła Becky, gdy skręcili w lewo, w Belvedere Road i zbliżali się do budynku Royal Festival Hall, przed którym wymalowano na jezdni podwójne żółte linie i ustawiono znaki zakazu parkowania.

- Przed wejściem - rzekł Charlie. Becky bez słowa wykonała jego polecenie.

Gdy tylko zatrzymali się, Charlie wyskoczył z samochodu, przebiegł przez chodnik i pchnął oszklone drzwi.

- O której kończy się koncert? - zagadnął portiera.

O dziesiątej trzydzieści pięć, sir, ale nie może pan zostawić tutaj samochodu.

- Gdzie się mieści biuro dyrektora?

- Na piątym piętrze, gdy wysiądzie pan z windy, musi pan skręcić na prawo. Drugie drzwi po lewej stronie. Ale...

- Dziękuję panu! - krzyknął Charlie i pobiegł we wskazanym kierunku. Becky zdążyła dogonić męża w chwili, gdy nad wejściem do windy zapaliło się światło z literą "P".

- Pański samochód, sir - protestował portier, ale drzwi windy zamknęły się tuż przed jego nosem.

Gdy znaleźli się na piątym piętrze, Charlie spojrzał na prawo i znalazł tabliczkę z napisem: "Dyrektor". Zapukał tylko raz i wszedł do środka. W pokoju siedziało dwóch mężczyzn w smokingach, którzy palili cygara i słuchali przez głośniki koncertu. Odwrócili się, żeby zobaczyć, kto im zakłócił spokój.

- Dobry wieczór, sir Charlesie - powiedział wyższy z nich. Wstał, zgasił cygaro i zbliżył się do Charlie'ego. - Nazywam się Jackson.

Jestem dyrektorem Festival Hall. Czy mogę panu w czymś pomóc?

- Mam nadzieję, panie Jackson - odparł Charlie. - Muszę w pilnej sprawie zabrać z koncertu pewną młodą damę.

- Czy może pan wie, gdzie zajmuje miejsce?

- Nie mam pojęcia. - Charlie spojrzał pytająco na żonę, ale Becky bezradnie pokręciła głową.

- Proszę za mną - powiedział dyrektor i wielkimi krokami opuścił pokój. Kiedy drzwi windy otworzyły się, Charlie zobaczył przed sobą mężczyznę w uniformie, na którego się natknął wchodząc do budynku.

- Jakież problemy, Ron?

- Ten oto dżentelmen zaparkował swój pojazd tuż przed głównym wejściem, sir.

- Dobrze pilnuj samochodu, zgoda, Ron? - Dyrektor nacisnął guzik na trzecie piętro i zwrócił się do Becky:

- Jak jest ubrana ta młoda dama?

- Ma na sobie suknię w kolorze ciemnoczerwonego wina i białą pelerynkę - odpowiedziała

pośpiesznie Becky.

- Dziękuję pani. To bardzo przydatna wskazówka - powiedział dyrektor. Wsiadł z windy i prędko wprowadził ich bocznym wejściem do pomieszczenia, które przylegało do łoży honorowej. Gdy znaleźli się w środku, zdjął ze ściany małe zdjęcie, przedstawiające królową dokonującą otwarcia budynku w 1957, i odsunął żaluzję zakrywającą jednostronne lustro, przez które można było obserwować widownię. - Zabezpieczenie na wypadek nieprzewidzianych kłopotów - wyjaśnił. Następnie zdjął dwie lornetki z małego wieszaka pod balkonem i wręczył po jednej Charlie'emu i Becky.

- Gdy tylko zlokalizujecie państwo młodą damę, jeden z moich pracowników dyskretnie poprosi ją do wyjścia. - Odwrócił się i przez kilka sekund słuchał finałowej części koncertu, a potem dodał: - Do końca zostało jeszcze dziesięć minut, najdalej dwanaście. Dzisiaj wieczorem nie przewiduje się bisów.

- Obserwuj parter, Becky, a ja będę szukał jej na balkonie pierwszego piętra - powiedział Charlie, kierując lornetkę na siedzącą poniżej publiczność.

Oboje przebiegli wzrokiem tysiąc dziewięćset miejsc, najpierw prędko, a następnie powoli, rząd za rządem. Ale nigdzie nie było Cathy.

- Proszę sprawdzić łoże po obu stronach, sir Charlesie - poradził dyrektor.

Obie lornetki zostały skierowane w przeciwne strony. Ale po Cathy nie było ani śladu i Charlie z Becky ponownie skupili uwagę na głównej widowni.

Dyrygent opuścił pałeczkę po raz ostatni o dziesiątej trzydzięci dwie. Gdy widownia oklaskiwała orkiestrę, Charlie z Becky obserwowali stojący tłum, dopóki nie zgasły światła i publiczność nie zaczęła wychodzić z sali.

- Rozglądaj się tutaj, Becky, a ja stanę przed budynkiem. Może zauważę ich, gdy będą wychodzić. - Pośpiesznie opuścił pomieszczenie. Gdy schodził po schodach z depczącym mu po piętach Jacksonem, niemal nie przewrócił mężczyzny, który wyłonił się z łoża poniżej. Odwrócił się, żeby go przeprosić.

- Dobry wieczór, Charlie. Nie wiedziałam, że lubisz Mozarta - usłyszał głos.

- Nie zwykłem słuchać jego muzyki, ale niespodziewanie uplasował się na czołowym miejscu listy przebojów - nie potrafił ukryć radości Charlie.

- Oczywiście - powiedział dyrektor. - Łoża poniżej nas była jedynym miejscem, którego nie mógł pan widzieć.

40 - Prosto jak strzełił - Czy mogę przedstawić...

- Nie ma na to czasu - oświadczył Charlie. - Chodź ze mną. - I chwycił Cathy za rękę. - Panie Jackson, czy byłby pan łaskaw poprosić moją żonę, żeby wyjaśniła temu oto dżentelmenowi, dlaczego Cathy jest mi teraz pilnie potrzebna? Oddam ją panu po północy - zwrócił się z uśmiechem do oszołomionego przebiegiem wypadków młodego człowieka. - Dziękuję, panie Jackson.

Spojrzał na zegarek: dziesiąta czterdzieści.

- Jeszcze zdążymy.

- Dokąd mamy zdążyć, Charlie? - zapytała Cathy, gdy wyprowadził ją z foyer na Belvedere Road. Portier pilnował samochodu.

- Dziękuję, Ron - powiedział, próbując otworzyć przednie drzwi. - Niech to diabli. Becky zamknęła je na klucz - stwierdził.

Odwrócił się i zobaczył taksówkę, która podjeżdżała pod postój.

Zatrzymał ją.

- To moja taksówka, szanowny panie - zaprotestował mężczyzna, który stał pierwszy w kolejce.

- Ale ona rodzi - powiedział Charlie, otwierając drzwi i wpychając na tylne siedzenie chudą jak patyk Cathy.

- Życzę szczęścia - wycofał się mężczyzna.

- Dokąd jedziemy, panie gubernatorze? - zapytał taksówkarz.

- High Holborn, numer dziesiąty i niech pan natychmiast rusza.

- Pod tym adresem znajdziemy prędzej adwokata niż ginekologa - zauważyła Cathy. - Mam nadzieję, że wyjaśnisz mi, dlaczego pozbawiłeś mnie możliwości spędzenia wieczoru z mężczyzną, który zaprosił mnie na pierwszą od tygodni randkę.

- Nie teraz - rzekł Charlie. - Musisz przed północą podpisać pewien dokument, a potem obiecuję, że ci wszystko wyjaśnię.

Taksówka podjechała pod biuro prawnika kilka minut po jedenastej. Charlie wysiadł z samochodu i stwierdził, że Baverstock tak jak zwykle czeka na nich w drzwiach.

- Należy się osiem szylingów, gubernatorze.

- O Boże - westchnął Charlie. - Nie mam pieniędzy.

- W ten sposób traktuje wszystkie dziewczyny - uśmiechnęła się Cathy, wręczając taksówkarzowi dziesięcioszylingowy banknot.

Oboje ruszyli za Baverstockiem, który wprowadził ich do gabinetu, gdzie na biurku czekał już przygotowany komplet dokumentów.

- Przeprowadziłem przed chwilą długą rozmowę telefoniczną z moim siostrzeńcem w Australii - oznajmił Baverstock, podnosząc wzrok na Charlie'ego. - Sądzę, że dostatecznie zapoznał mnie ze wszystkimi szczegółami pańskiego tam pobytu.

- To znaczy, że wie pan więcej, niż ja - wyznała zbita z tropu Cathy.

- Wszystko w swoim czasie - uspokoił ją Charlie i zwrócił się do Baverstocka: - Co mamy teraz zrobić?

- Najpierw panna Ross musi podpisać się tutaj, tutaj i tutaj - powiedział prawnik bez dalszych komentarzy, wskazując puste miejsca pomiędzy zaznaczonymi ołówkiem krzyżykami na dole każdej strony. - Ponieważ nie jest pan w żadnym stopniu spokrewniony ze spadkobierczynią ani sam nie otrzymuje spadku, sir Charlesie, może pan wystąpić w charakterze świadka i potwierdzić wiarygodność podpisu panny Ross.

Charlie skinął głową, położył obok kontraktu teatralną lornetkę i wyjął pióro z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Zawsze uczyłeś mnie Charlie, żebym przed podpisaniem uważnie czytała dokumenty.

- Zapomnij o tym wszystkim, czego cię uczyłem, moje dziecko, i podpisz się w miejscach wskazanych przez pana Baverstocka.

Cathy bez słowa wykonała polecenie.

- Dziękuję, panno Ross - powiedział Baverstock. - Jeśli jeszcze przez chwilę zniesiecie moje towarzystwo, to poinformuję pana Birkenshawa o wydarzeniu, które miało przed chwilą miejsce.

- Birkenshawa? - zdziwił się Charlie.

- Prawnika Trenthama. Muszę natychmiast zawiadomić go, że jego klient nie jest jedyną osobą, która rości sobie prawo do majątku Hardcastle.

Jeszcze bardziej oszołomiona Cathy spojrzała pytająco na Charlie'ego.

- Później. Obiecuję.

Baverstock wykręcił siedmiocyfrowy numer w Chelsea.

Długo nikt nie podnosił słuchawki. W końcu Baverstock usłyszał zaspany głos:

- Kensington 7192.

- Dobry wieczór, panie Birkenshaw, mówi Baverstock. Przykro mi, że niepokoję pana o tak późnej porze. Nigdy nie ośmieliłbym się zakłócić panu spokoju, gdybym nie miał po temu ważnych powodów. Czy mogę najpierw zapytać, którą mamy godzinę?

Czy dobrze pana zrozumiałem? - Birkenshaw wzmógł czujność. - Telefonuje pan do mnie w środku nocy, żeby dowiedzieć się, która jest godzina?

- Dokładnie tak - rzekł Baverstock. - Chciałbym, żeby pan potwierdził, że nie minęła jeszcze godzina duchów. A więc odpowie mi pan na moje pytanie?

- Jest jedenasta siedemnaście.

- Jedenasta szesnaście - poprawił go Baverstock. - Ale w sprawach pomiaru czasu chętnie uznaję pana wyższość. Telefonuję - kontynuował - gdyż czuję się w obowiązku zawiadomić pana, że znalazł się spadkobierca i prawowity następca sir Raymonda, który ma pierwszeństwo przed pańskim klientem i rości prawa do majątku Hardcastle.

- Jak ona się nazywa?

- Przypuszczam, że już pan to wie - rzekł stary prawnik i odłożył słuchawkę. - Do diabła - powiedział, patrząc na Charlie'ego. - Powinienem być nagrać tę rozmowę.

- Dlaczego?

- Ponieważ Birkenshaw nigdy się nie przyzna, że powiedział "ona".

ROZDZIAŁ 47

- Twierdzisz, że Guy Trentham był moim ojcem? - pytała Cathy.

- Ale jak...?

Po przeprowadzonej rozmowie z doktorem Atkinsem, który w czasie wieloletniej praktyki przywykł już do telefonów w środku nocy, Charlie czuł się upoważniony, żeby wyjaśnić Cathy, co odkrył podczas swojego pobytu w Australii. Zapoznał ją też z informacjami, które sama przekazała Becky, gdy ubiegała się o pracę w firmie Trumper. Baverstock przysłuchiwał się uważnie jego wyjaśnieniom, od czasu do czasu kiwał głową i zaglądał do notatek, które zrobił po długiej rozmowie ze swoim siostrzeńcem z Sydney.

Cathy wysłuchiwała wszystkiego, co Charlie miał jej do powiedzenia. Przypominała sobie pewne fakty z czasów, gdy mieszkała w Australii, ale wspomnienia z Uniwersytetu w Melbourne były mgliste, a sierocińca Świętej Hildy nie pamiętała prawie wcale.

Nic jej też nie mówiło nazwisko panny Benson.

- Tak bardzo chciałabym, żeby mi wróciła pamięć. Mogę odtworzyć niemal wszystko, co wydarzyło się od chwili, w której przyplłynęłam do Southampton, ale poprzedni okres jest dla mnie białą plamą. Pan Atkins nie ma wielkich nadziei, prawda?

- Bez przerwy mi powtarza, że w tych sprawach nie ma reguł.

Charlie wstał, przeszedł na drugą stronę pokoju i z nadzieją w oczach, pokazał Cathy jej własny obraz. Ale ona tylko bezradnie pokręciła głową na widok leśnego pejzażu.

- Wiem, że kiedyś to namalowałam. Ale nie mam pojęcia, kiedy ani gdzie.

Około czwartej nad ranem Charlie zatelefonował po taksówkę.

Zgodził się z opinią Baverstocka, że spotkanie z drugą stroną należy zorganizować jak najprędzej. Po powrocie do domu Cathy była tak zmęczona, że natychmiast poszła do łóżka, ale Charlie nie mógł zasnąć. Jego wewnętrzny zegar był rozregulowany. Zamknął się w swoim gabinecie i szukał w myślach brakującego ogniwa. Nie miał złudzeń co do czekającej go batalii z prawnikami, nawet gdyby dzisiejsze rozmyślenia zakończyły się pomyślnym rezultatem.

Nazajutrz pojechał razem z Cathy do Cambridge i spędził z nią całe popołudnie w małym gabinecie dra Atkinsa w szpitalu Addenbrooke. Wydawało się, że lekarza o wiele bardziej interesuje kartoteka Cathy, którą przekazała Charlie'emu pani Culver niż jej domniemane pokrewieństwo z panią Trentham i perspektywa odziedziczenia trustu Hardcastle.

Dr Atkins powoli omawiał z Cathy wszystkie dokumenty, które znajdowały się w teczce. Rozmawiał z nią na temat jej próbnych szkiców, wyróżnień, nagan, meczy tenisowych, żeńskiej szkoły podstawowej Melbourne Church of England i Uniwersytetu w Melbourne. Jednak zawsze

spotykał się z tą samą reakcją - z głębokim namysłem i mglistymi wspomnieniami. Próbował pobudzić jej pamięć przez kojarzenie słów. Na hasła: Melbourne, panna Benson, krykiet, statek, hotel - uzyskał odpowiedź: Australia, Hedges, prowadzący zapis, Southampton, długie godziny. Zainteresowało go jedynie sformułowanie "prowadzący zapis".

Dalsze naciski nie przyniosły jednak nic nowego, a wspomnienia Cathy ograniczały się do fragmentarycznego opisu szkoły podstawowej, kilku wyraźniejszych faktów z okresu studiów oraz niejakiego Mela Nichollsa. Kolejnym zapamiętanym wydarzeniem była długa morska podróż. Cathy przypominała sobie nawet imiona dziewcząt, które płynęły razem z nią, ale nie pamiętała, skąd pochodziły.

Potrafiła szczegółowo opowiedzieć o pracy w hotelu Melrose.

Potem Charlie miał okazję przekonać się, czy dokładnie zapamiętała początkowe lata pracy w firmie Trumper.

Wspomnienie pierwszego spotkania z Danielem, który zamienił wizytówki na stole podczas przyjęcia z okazji otwarcia domu, wycisnęło w oczach Charlie'ego łzy. Cathy nie potrafiła jednak nic powiedzieć na temat swojego pochodzenia, imion Margaret Ethel ani nazwiska Benson.

O szóstej wieczorem była całkiem wyczerpana. Lekarz ostrzegł Charlie'ego na osobności, że jego zdaniem jest mało prawdopodobne, żeby przypominała sobie wiele więcej faktów z życia w Australii. Z czasem mogą powrócić wspomnienia drobnych zdarzeń, ale nic o naprawdę istotnym znaczeniu, zaopiniował.

- Ogromnie mi przykro - rzekła Cathy, gdy wracali do Londynu.

- Niewiele mogę pomóc, prawda?

Wziął ją za rękę.

- Jeszcze nie daliśmy za wygraną - powiedział wojowniczo, chociaż przeczuwał, że ocena Trevora Robertsa, który mu dawał pięćdziesiąt procent na udowodnienie zasadności roszczeń Cathy do majątku Hardcastle, była zbyt optymistyczna.

Becky czekała na nich w domu z kolacją. Charlie nie nawiązywał w rozmowie przy stole do wizyty w Cambridge, dopóki Cathy nie pożegnała się i nie odeszła do swojego pokoju. A kiedy Becky dowiedziała się o wynikach testu dra Atkinsa, nalegała, żeby Charlie zostawił dziewczynę w spokoju.

- Straciłam już Daniela przez tę straszną kobietę - powiedziała mężowi. - Nie zamierzam stracić również Cathy. Jeśli nadal chcesz walczyć o firmę Trumper, musisz działać sam. Nie pozwalam ci mieszać jej do tego.

Charlie skinął głową, chociaż miał ochotę krzyknąć: w jaki sposób mogę ocalić to wszystko, co sam zbudowałem, przed zakusami kolejnego Trenthama, jeśli nie będę mógł skorzystać z jej pomocy?

Zanim zdążył zgasić światło w sypialni, zadzwonił telefon. To był Trevor Roberts z Sydney, ale wiadomości, jakie miał do przekazania, nie mogły posunąć sprawy naprzód. Walter Slade odmówił udzielenia nowych informacji o Ethel Trentham, nie zgodził się też pisemnie potwierdzić, że ją znał. Charlie raz jeszcze nie mógł sobie wybaczyć, że w tak beznadziejnie głupi sposób poprowadził rozmowę z byłym mieszkańcem Yorkshire.

- A co z bankiem? - zapytał bez wielkiej nadziei.

- Poinformowano mnie w Banku Handlowym Australii, że nie ujawnię nam żadnych szczegółów dotyczących prywatnego konta panny Benson, dopóki nie udowodnimy, że została popełniona zbrodnia. Sposób, w jaki pani Trentham postąpiła w stosunku do Cathy, może być określony jako

potworny, ale obawiam się, że z punktu widzenia prawa nie podlega karze.

- To nie był dobry dzień dla nikogo z nas.

- Niech pan nie zapomina, że druga strona o tym nie wie.

- To prawda. Chociaż szczerze mówiąc, jestem ciekaw, jak dużo wiedzą.

- Wuj powiedział mi, że prawnikowi Trenthama wyrwało się słowo "ona". Dlatego gotów jestem dać głowę, że wiedzą tyle samo co my.

Lepiej będzie, jeśli przed konfrontacją z nimi przyjmie pan takie założenie. I proszę nie rezygnować z poszukiwań brakującego ogniwa.

Charlie odłożył słuchawkę i leżał, nie mogąc zasnąć, ale nie poruszył się, dopóki nie usłyszał równego oddechu Becky. Dopiero wtedy wstał, włożył szlafrok i na palcach zszedł na dół do swojego gabinetu. Otworzył notatnik i zapisał każdy fakt, jaki się wydarzył w ciągu ostatnich kilku dni, łudząc się, że pobudzi tym pamięć. Gdy nazajutrz Cathy weszła rano do gabinetu, spał mocnym snem z głową na biurku.

- Nie jestem ciebie warta, Charlie - szepnęła, całując go w czoło. Poruszył się i otworzył oczy.

- Zwycięzimy - powiedział zaspanym głosem i nawet zdobył się na uśmiech, ale wyczytał z wyrazu jej twarzy, że mu nie wierzy.

Godzinę później przy śniadaniu dołączyła do nich Becky. Rozmawiali o wszystkim. Omijali tylko temat zaplanowanego na popołudnie spotkania w biurze Baverstocka.

Gdy Charlie wstał od stołu i miał zamiar odejść, niespodziewanie odezwała się Cathy:

- Chcę być obecna w chwili, kiedy zostaną odkryte karty.

- Sądysz, że to jest rozsądne? - zapytała Becky i zaniepokojona spojrzała w stronę męża.

- Może i nie - odparła Cathy. - Ale zdecydowanie wolę być na miejscu, niż miałabym się potem dowiedzieć o wyniku spotkania od osób trzecich.

- Grzeczna dziewczynka - stwierdził Charlie. - Jesteśmy umówieni o trzeciej w biurze Baverstocka, żeby uzgodnić taktykę. O czwartej dołączy do nas prawnik Trenthama. Przyjdę po ciebie o wpół do trzeciej i wcale nie będę zmartwiony, jeśli do tego czasu zmienisz zamiar.

Becky odwróciła się w stronę Cathy z nadzieją, że dziewczyna skorzysta z sugestii Charlie'ego, ale rozczarowała się, widząc jej minę.

Charlie wszedł punktualnie o ósmej trzydzieści do swojego gabinetu. Daphne i Arthur Selwyn już na niego czekali.

Proszę nam podać trzy kawy. I nie ma mnie dla nikogo - zwrócił się do Jessici, rozkładając przed sobą sporządzone w nocy notatki.

- Od czego zaczniemy? - zapytała Daphne. Przez następne półtorej godziny powtarzali pytania, oświadczenia i uzgadniali taktykę, jaka miała być zastosowana wobec Birkenshawa oraz Trenthama. Starali się przewidzieć każdą możliwą ewentualność.

Tuż po dwunastej przysłano im lekki posiłek. Wszyscy byli wyczerpani i przez długą chwilę nikt się nie odzywał.

- Musisz pamiętać, że tym razem masz do czynienia z innym Trenthamem - odezwał się w końcu Arthur Selwyn, wrzucając do kawy kostkę cukru.

- Z tego, co się zdążyłem zorientować, wszyscy są tak samo podli - zauważył Charlie.

- Być może Nigel jest równie zaczepny jak brat, ale nigdy nie uwierzę, żeby miał spryt swojej matki albo żeby potrafił wymyślić odpowiedź na poczekaniu tak jak Guy.

- Do czego zmierzasz, Arthurze? - zapytała Daphne.

- Dzisiaj po południu Charlie musi jak najczęściej prowokować do wypowiedzi Trenthama, który, jak wielokrotnie zauważyłem w czasie obrad zarządu, ma skłonność do powiedzenia jednego zdania za dużo i często sam siebie stawia na pozycji przegranej. Nigdy nie zapomnę, jak kiedyś wystąpił przeciwko stołówce pracowniczej, która jego zdaniem była deficytowa. Cathy udowodniła mu jednak, że do stołówki trafiają wszystkie potrawy, które nie zostały sprzedane w naszej restauracji i zmarnowałyby się, a tak przynoszą jeszcze niewielki zysk.

Charlie głęboko zastanowił się nad tą uwagą, przeżuwaszając kęs kanapki.

- Ciekaw jestem, jakie moje słabe punkty dostrzegli jego doradcy.

- Twoją wybuchowość - stwierdziła Daphne. - Wszyscy wiedzą, że łatwo wpadasz w złość.

Dlatego nie pozwól wyprowadzić się z równowagi.

O pierwszej Daphne i Arthur Selwyn zostawili go samego. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Charlie zdjął marynarkę, położył się na kanapie i mocno zasnął. Godzinę później obudziła go Jessica.

Uśmiechnął się do niej. Czuł się całkiem wypoczęty. Zdolność szybkiego regenerowania sił była jeszcze jedną spuścizną po czasach wojny.

Podszedł do biurka i ponownie przeczytał swoje zapiski. A potem wyszedł z gabinetu i skierował się do biura Cathy, które mieściło się na tym samym piętrze. Idąc po nią, nie wykluczał, że się rozmyśliła. Ale ona czekała na niego już w płaszczu. Razem pojechali do kancelarii Baverstocka. Byli na miejscu na całą godzinę przed planowanym przybyciem Birkenshawa.

Stary prawnik słuchał uważnie, gdy Charlie przytaczał swoje argumenty. Od czasu do czasu kiwał głową albo uzupełniał notatki.

Z jego wyrazu twarzy nie można było niczego wyczytać.

Gdy Charlie doznał końca monologu, Baverstock odłożył na biurko wieczne pióro, oparł się w fotelu i przez chwilę się nie odzywał.

- Jestem pod wrażeniem logiki pańskiej argumentacji, sir Charlesie - wyznał w końcu, pochylając się do przodu i opierając się dłońmi o biurko. - Jak również przytoczonych dowodów. Jednakże muszę pana ostrzec, że w sytuacji, gdy pański główny świadek nie może potwierdzić powyższych zeznań i nie dysponuje pan złożonymi pod przysięgą oświadczeniami na piśmie Waltera Slade'a albo panny Benson, Birkenshaw prędko udowodni nam, że pańskie twierdzenie bazuje na domysłach.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak poczekać i przekonać się, co ma do powiedzenia druga strona. Trudno mi uwierzyć po ostatniej rozmowie z Birkenshawem, że pańskie odkrycie było czymś zupełnie nowym dla jego klienta.

Zegar na kominku cicho wybił godzinę czwartą. Baverstock sprawdził czas na swoim zegarku kopertowym. Ale Trentham nadal nie zjawiał się ze swoim prawnikiem i wkrótce Baverstock zaczął bębnić palcami o blat biurka. Charlie zastanawiał się, czy nie była to celowa taktyka Birkenshawa wymierzona przeciwko jego doradcy.

W końcu przybyli obaj o czwartej dwadzieścia, ale żaden nie poczuwał się do obowiązku przeproszenia za spóźnienie.

Charlie wstał, gdy Baverstock przedstawiał mu Victora Birkenshawa, wysokiego, chudego mężczyznę, który nie miał jeszcze pięćdziesięciu lat i przedwcześnie wyłysiał. Resztki włosów zaczesywał na drugą stronę głowy, tak że łysinę zakrywały rzadkie, siwe kosmyki. Jego podobieństwo do Baverstocka kończyło się na garniturze, który prawdopodobnie pochodził od tego samego krawca. Birkenshaw zajął miejsce na jednym z wolnych krzeseł stojących naprzeciwko biurka i zachowywał się tak, jak gdyby wcale nie zauważał Cathy. Wyjął pióro z górnej kieszeni

marynarki i sięgnął do aktówki po notatnik, który rozłożył sobie na kolanach.

- W myśl postanowień testamentu sir Raymonda - zaczął - mój klient, pan Nigel Trentham, domaga się zaspokojenia roszczeń do majątku Hardcastle, który mu się prawnie należy jako jedynemu legalnemu spadkobiercy.

- Jestem zmuszony przypomnieć panu - oświadczył Baverstock gdy wysłuchał formalnego wystąpienia Birkenshaw - że pański klient nie został wymieniony w testamencie sir Raymonda jako jego główny spadkobierca, a wobec powstałego obecnie sporu, nie wiadomo też, czy jest jego następcą.

- Mój klient - upierał się przy swoim Birkenshaw - jest drugim synem zmarłych Geralda i Margaret Ethel Trentham, oraz wnukiem sir Raymonda Hardcastle'a. Dlatego po śmierci Guya Trenthama, starszego brata mojego klienta, z pewnością właśnie on jest prawowitym następcą.

- Zgodnie z postanowieniami testamentu mam obowiązek uznać roszczenia pańskiego klienta tylko w przypadku, jeśli Guy Trentham nie zostawił dziecka lub dzieci. Wiemy już, że Guy Trentham był ojcem Daniela Trumpera...

- To nigdy nie zostało dowiedzione w sposób, który by zadowolił mojego klienta - powiedział Birkenshaw, pracowicie notując słowa Baverstocka.

- Sir Raymond był jednak o tym przekonany. Do tego stopnia, że nie omieszkał uznać w swoim testamencie jego pierwszeństwa nad pańskim klientem. A spotkanie pani Trentham z jej wnukiem daje nam wszelkie podstawy do przypuszczeń, że ona również nie miała wątpliwości, kim był ojciec Daniela.

- To tylko domysły - upierał się Birkenshaw. - Jedno jest pewne, że dżentelmena, o którym mowa, już nie ma wśród nas i nie zostawił po sobie dzieci. - Wciąż nie patrzył w kierunku Cathy, która w milczeniu przysłuchiwała się dwóm zawodowcom odbijającym argumenty jak piłeczkę ping-pongową.

- Nie sposób panu zaprzeczyć - Charlie po raz pierwszy wmieszał się do rozmowy. - Ostatnio dowiedzieliśmy się jednak, że Guy Trentham miał jeszcze jedno dziecko: Margaret Ethel.

- Czy ma pan jakieś dowody, na potwierdzenie tego absurdalnego stwierdzenia? - zapytał Birkenshaw, prostując się na krześle.

- Dowodem jest wyciąg z konta bankowego, który wysłałem w niedzielę rano na pański adres.

- I który, jak sądzę - zauważył Birkenshaw - miał prawo otworzyć tylko mój klient. - Spojrzał w stronę Nigela Trenthama, ale ten właśnie zajęty był zapalaniem papierosa.

- To prawda - przyznał Charlie. - Lecz tym razem wziąłem przykład z pani Trentham - dodał podniesionym głosem.

Baverstock skrzywił się, obawiając się, żeby przyjaciel nie stracił panowania nad sobą.

- Dziewczyna, której nazwisko znalazło się jakimś sposobem w kartotece policyjnej Guya Trenthama - mówił dalej Charlie - namalowała obraz. Przez ponad dwadzieścia lat wisiał na ścianie jadalni sierocińca w Melbourne. Mogę jedynie dodać, że jest lepszym dowodem niż odciski palców. Czy to również pana zdaniem jest tylko domysł?

- Obraz dowodzi jedynie - odciął się Birkenshaw - że panna Ross przebywała w sierocińcu w Melbourne w latach 1927-1946.

Jednakże, o ile wiem, ona sama nie jest w stanie ustalić żadnych faktów z tamtego okresu życia. Nie pamięta nawet dyrektorki sierocińca. Czy nie mam racji, panno Ross? - Po raz pierwszy zwrócił się bezpośrednio do Cathy.

Niechętnie skinęła głową, ale nie odezwała się.

- Niektórzy utrzymują - ciągnął Birkenshaw, nie próbując ukryć sarkazmu - że nie może nawet podtrzymać historii, którą pan przedstawił w jej imieniu. Wiemy tylko, że nazywa się Cathy Ross, a pańskie wątpliwe dowody nie są świadectwem, że istniało jakiegokolwiek pokrewieństwo pomiędzy nią a sir Raymondem Hardcastle.

- Znajdą się takie osoby, które potwierdzą tę jej "historię", jak to pan określił - powiedział poruszony Charlie. Baverstock ze zdziwieniem uniósł brwi w górę, gdyż choć bardzo by chciał, o nikim takim nie słyszał.

- Fakt, że wychowywała się w australijskim sierocińcu, nie jest żadnym dowodem - zauważył Birkenshaw, odgarniając do tyłu kosmyk włosów, który spadł mu na czoło. - Nawet jeśli uwierzymy w pana dziwną sugestię o rzekomym spotkaniu pani Trentham z panną Benson, to jeszcze z tego nie wynika, że panna Ross jest tej samej krwi co Guy Trentham.

- Może chce pan sprawdzić jej grupę krwi? - zapytał Charlie.

Pan Baverstock zrobił jeszcze większe oczy, gdyż sprawa grupy krwi w ogóle nie była brana pod uwagę we wcześniejszych ustaleniach z jego klientem.

- Pozwolę sobie zauważyć, sir Charlesie, że tę samą grupę krwi może mieć połowa światowej populacji. - Birkenshaw szarpnął kłapy swojej marynarki.

- Ach, więc już pan to sprawdził? - zapytał Charlie z wyrazem triumfu w oczach. - Zatem ma pan wątpliwości.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości, kto jest prawowitym spadkobiercą majątku Hardcastle - stwierdził Birkenshaw i odwrócił się do Baverstocka. - Jak długo jeszcze mamy ciągnąć tę farsę? - przesadnie westchnął.

- Dopóki nie będę przekonany, kto ma prawo dziedziczyć majątek Hardcastle - odparł Baverstock chłodnym i stanowczym tonem.

- Co chciałby pan jeszcze usłyszeć? Mój klient nie ma nic do ukrycia, a panna Ross nic do dodania.

- Proszę w takim razie wytłumaczyć mi, panie Birkenshaw - powiedział Baverstock - dlaczego pani Ethel Trentham regularnie wysyłała czeki pieniężne pannie Benson, dyrektorze sierocińca w Melbourne, tego samego w którym, jak wszyscy wiemy, przebywała panna Ross w latach 1927-1946?

- Nie mam zaszczytu reprezentować pani Trentham ani panny Benson i nie jestem upoważniony do tego, żeby zajmować w tej sprawie stanowisko. Zresztą podobnie jak i pan, sir.

- Być może pański klient zna przyczynę owych płatności i zechce nam je wyjawić - wtrącił się Charlie. Obaj zwrócili się w stronę Nigela Trenthama, który spokojnie gasił papierosa i najwyraźniej nie zamierzał zabierać głosu.

- Mój klient nie musi odpowiadać na żadne bezpodstawne pytania - oświadczył Birkenshaw.

- Jeżeli pański klient nie chce w tej sprawie przedstawić swojego stanowiska, tym trudniej jest mi uwierzyć, że nie ma nic do ukrycia - oburzył się Baverstock.

To niegodne pana, Baverstock - stwierdził Birkenshaw. - Kto ma wiedzieć, jeśli nie pan, że klient, którego reprezentuje prawnik, nie musi nic mówić. Pan Trentham nie miał wcale obowiązku przychodzić na to spotkanie.

- Nie jesteśmy w sądzie - zgasił go Baverstock. - Dziadek pana Trenthama nie pochwalałby takiej taktyki, to pewne.

- Czy odmawia pan mojemu klientowi przysługujących mu praw?

- Oczywiście, że nie. Ale skoro nie chce przedstawić nam swojego stanowiska, nie czuję się na siłach, żeby podjąć w tej sprawie decyzję. Będę zmuszony skierować obie zainteresowane strony do sądu, zgodnie z punktem dwudziestym siódmym testamentu sir Raymonda.

Jeszcze jeden punkt, o którego istnieniu nikt nie wiedział, pomyślał ponuro Charlie.

- Taka sprawa może ciągnąć się latami - zauważył Birkenshaw.

- Co więcej, będzie bardzo kosztowna dla obu stron. Nie sądzę, żeby sir Raymondowi na tym zależało.

- Może i nie - zgodził się Baverstock. - Ale przynajmniej pański klient będzie miał okazję, żeby wyjaśnić sądowi owe kwartalne płatności, jeśli cokolwiek wie na ich temat.

Po raz pierwszy Birkenshaw zawahał się, ale Trentham milczał nadal i zapalał drugiego papierosa.

- Sąd może uznać pannę Ross za zwykłą oszustkę - zasugerował Birkenshaw, zmieniając taktykę - która natknąwszy się na pewną bardzo wiarygodną plotkę, zdecydowała się przyjechać do Anglii i dokładnie dopasować fakty do własnego życiorysu.

- Rzeczywiście zrobiła to bardzo dokładnie - zauważył Charlie.

- W wieku trzech lat zarejestrowała się w sierocińcu Świętej Hildy, dokładnie w tym samym czasie, gdy Guy Trentham znalazł się w miejskim więzieniu.

- Zwykły zbieg okoliczności - uznał Birkenshaw.

- I została tam pozostawiona przez panią Trentham, która potem co kwartał wysyłała pieniądze na konto dyrektorki sierocińca.

Przelewy tajemniczo uległy zawieszeniu z chwilą śmierci panny Benson, która niewątpliwie musiała znać jakiś ważny sekret.

- Kolejny domysł, tylko że tym razem nie do przyjęcia - stwierdził Birkenshaw.

Nigel Trentham pochylił się do przodu i miał zamiar coś powiedzieć, ale jego prawnik położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie damy się nabrać na pańskie brutalne metody, sir Charlesie, które, jak przypuszczam, bardziej byłyby na miejscu na Whitechapel Road niż w gmachu sądu.

Charlie zerwał się na równe nogi, zacisnął pięści i ruszył w stronę Birkenshawa.

- Proszę się uspokoić, sir Charlesie - powiedział Baverstock ostrym tonem.

Charlie niechętnie zatrzymał się na kilka kroków przed Birkenshawem, który nawet nie mrugnął okiem. Po chwili przypomniał sobie radę Daphne i wrócił na swoje miejsce. Prawniki Trenthama nadal patrzyli na niego prowokująco.

- Tak jak już oświadczyłem - rzekł Birkenshaw - mój klient nie ma nic do ukrycia i z pewnością nie musi uciekać się do fizycznej przemocy, żeby udowodnić swoje racje.

Charlie rozluźnił pięści, ale nie obniżył tonu.

- Mam nadzieję, że pański klient zastosuje się do poleceń prawnika, który ma wydać orzeczenie w tej sprawie, i odpowie na jego pytania. Chcemy się dowiedzieć, dlaczego matka pana Trenthama regularnie płaciła pokaźne kwoty komuś, kto mieszkał po drugiej stronie globu i kogo, jak pan twierdzi, wcale nie znała. Może zechce także wyjaśnić, dlaczego niejaki Walter Slade szofer z klubu Victoria Country, zawiózł ją 20 kwietnia 1927 roku do sierocińca Świętej Hildy razem z małą dziewczynką w wieku Cathy, o imieniu Margaret, którą tam zostawiła. Założę się, że jeśli zwrócimy się do sądu o zbadanie konta panny Benson, to okaże się, że pieniądze zaczęły napływać od dnia

zarejestrowania panny Ross w sierocińcu. Wiemy już, że polecenia przelewu zostały wstrzymane w tym samym tygodniu, w którym dyrektorka zmarła.

Baverstocka przeraziło nierozważne wystąpienie Charlie'ego.

Podniósł dłoń, w nadziei, że powstrzyma jego dalsze wywody.

Za to Birkenshaw uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Ponieważ nie reprezentuje pana tutaj żaden prawnik, czuję się w obowiązku przypomnieć panu dwa podstawowe fakty. Pozwoli pan, że na początek jasno postawię jedną sprawę: mój klient zapewnił mnie, że wczoraj po raz pierwszy usłyszał nazwisko Benson. Wykluczone jest też, żeby angielski sąd miał prawo szperac w australijskim rachunku bankowym, dopóki nie będzie podstaw, by sądzić, że została dokonana zbrodnia, w którą są zamieszani obywatele z obu krajów. A co więcej, sir Charlesie, dwaj pana koronni świadkowie spoczywają w grobach, a trzeci, pan Walter Slade, nie wybierze się w podróż do Londynu. Poza tym, nie zmusi go pan do złożenia zeznań.

A teraz odpowiem na pańskie stwierdzenie, sir Charlesie, że sąd będzie zdziwiony, gdy mój klient nie stawi się, żeby odpowiadać w imieniu swojej matki. Otóż jeszcze bardziej zdumiewający będzie dla niego fakt, gdy odmówi zeznań główny świadek w sprawie, strona, która wnosi roszczenie do spadku, gdyż nie pamięta ze swojego życia wydarzeń, które mają związek ze sprawą. Wątpię, czy znajdzie pan jakiegoś prawnika w tym kraju, który zechce narazić ją na tak ciężką próbę, żeby stojąc w miejscu dla świadków mogła udzielać jednej i tej samej odpowiedzi: "Przykro mi, ale nie przypominam sobie". Nie sądzę, żeby jej przesłuchanie wniosło do sprawy coś nowego. Zapewniam pana, sir Charlesie, że z największą przyjemnością spotkamy się z panem w sądzie, ponieważ moim zdaniem zostanie tam pan po prostu wyśmiany.

Charlie wyczytał z miny Baverstocka, że przegrał. Spojrzał ze smutkiem w stronę Cathy, która od godziny miała ten sam wyraz twarzy.

Baverstock zdjął okulary i z wielkim namaszczeniem zaczął je czyścić chustką, którą wyjął z górnej kieszeni marynarki.

- Muszę przyznać, sir Charlesie - odezwał się w końcu - że nie widzę uzasadnionego powodu, żeby kierować tę sprawę do sądu.

Byłaby to duża nieodpowiedzialność z mojej strony, chyba że panna Ross jest w stanie dostarczyć nam nowego dowodu potwierdzającego jej tożsamość albo przynajmniej wszystkie pańskie oświadczenia, jakie złożył pan w jej imieniu. Panno Ross, czy w tych okolicznościach zechciałaby pani coś powiedzieć?

Wszyscy czterej mężczyźni skierowali uwagę na Cathy, która siedziała cicho i pocierała kciukiem o palec wskazujący tuż pod brodą.

- Proszę wybaczyć, panno Ross. Nie zauważyłem wcześniej, że chce pani zabrać głos.

- Nie, to ja powinnam pana przeprosić, panie Baverstock - powiedziała Cathy. - Zawsze to robię, kiedy jestem zdenerwowana.

To mi przypomina o pewnym drobiazgu, który otrzymałam od ojca, gdy byłam dzieckiem.

- O drobiazgu, który otrzymała pani od ojca? - powtórzył Baverstock, żeby się upewnić, czy się nie przesłyszał.

- Tak - potwierdziła Cathy. Rozpięła górny guzik w bluzce i wyjęła miniaturę medalu, który wisiał na złotym łańcuszku.

- Dostałaś to od ojca? - zapytał Charlie.

- Tak. To jedyna pamiątka, jaka mi po nim została.

- Czy mógłbym zobaczyć ten wisiołek? - zwrócił się do niej Baverstock.

- Oczywiście - rzekła Cathy. Przecisnęła cienki łańcuszek przez głowę i podała medal Charlie'emu. Przez chwilę badawczo mu się przyglądał, a potem wręczył go Baverstockowi.

- Nie jestem co prawda ekspertem od odznaczeń, ale sądzę, że to miniatura Krzyża Wojennego - stwierdził Charlie.

- Czy Guy Trentham nie zdobył czasem tego odznaczenia? - zapytał Baverstock.

- Tak, zdobył - przyznał Birkenshaw - a także uczęszczał do Harrow, ale fakt, że nosił krawat tej szkoły, nie dowodzi jeszcze, że mój klient jest jego bratem. Prawdę mówiąc, to nie dowodzi zupełnie niczego i na pewno nie zostanie uznane przez sąd jako dowód.

Poza tym przyznano setki takich odznaczeń. Panna Ross mogła kupić ten medal w sklepie ze starociami, gdy postanowiła dopasować fakty związane z osobą Guya Trenthama do własnej przeszłości. Niech pan nie spodziewa się, sir Charlesie, że damy się nabrać na tę starą sztuczkę.

- Mogę pana zapewnić, panie Birkenshaw, że otrzymałam ten medal od ojca - powiedziała Cathy, patrząc prawnikowi prosto w oczy. - Być może nie jemu został przyznany, ale nigdy nie zapomnę, jak mi go sam wieszał na szyi.

- To nie może być medal mojego brata - odezwał się po raz pierwszy Nigel Trentham. - Co więcej, mogę to udowodnić.

- Może pan to udowodnić? - zdziwił się Baverstock.

- Czy jest pan pewien... - zaczął Birkenshaw, ale tym razem Trentham przytrzymał go mocno za ramię.

- Przekonam pana, panie Baverstock, że medal, który ma pan przed sobą, nie należał do mojego brata.

- W jaki sposób zamierza pan tego dokonać? - zapytał Baverstock.

41 - Prosto jak strzelił - Medal Guya był unikalny. Gdy mój brat zdobył to odznaczenie, matka wysłała je do Spinks i zażądała, żeby wygrawerowano inicjały Guya na jednym z ramion krzyża. Są widoczne tylko przez szkło powiększające. Wiem o tym, ponieważ oryginał Krzyża Wojennego, który brat zdobył w bitwie pod Marną, wciąż stoi na kominku w moim domu na Chester Square. Jeśli kiedykolwiek istniała miniatura, to na pewno matka poleciła również i na niej wygrawerować inicjały.

Nikt się nie odzywał, gdy Baverstock otwierał szufladę i wyjmował z niej szkło powiększające w oprawie z kości słoniowej, które zwykle służyło mu do odszyfrowywania nieczytelnego charakteru pisma. Podniósł medal i przysuwając go bliżej światła, po kolei przyglądał się uważnie każdemu ze srebrnych ramion.

- Ma pan rację. Oto dowód - stwierdził i patrząc na Trenthama, podał medal i szkło powiększające jego prawnikowi. Teraz z kolei Birkenshaw oglądał odznaczenie i po chwili lekko kłaniając się, oddał je Cathy. A potem odwrócił się do swojego klienta i zapytał:

- Czy G. F. T. to inicjały pańskiego brata?

- Tak. Nazywał się Guy Francis Trentham.

- W takim razie mogę jedynie wyrazić ubolewanie, że nie trzymał pan języka za zębami.

BECKY 1964-1970

ROZDZIAŁ 48

Gdy Charlie wybuchnął śmiechem w salonie tego wieczoru, po raz pierwszy uwierzyłam, że Guy Trentham naprawdę nie żyje.

Siedziałam i nie odzywałam się, a mój mąż spacerował wielkimi krokami po pokoju i delektował się każdym szczegółem niedawnego spotkania w biurze Baverstocka.

Kochałam w swoim życiu czterech mężczyzn. Uczucie to charakteryzowało się zróżnicowaną gamą odcieni - od fascynacji do przywiązania, lecz tylko miłość do Charlie'ego obejmowała całe spektrum. Ale w tamtej chwili triumfu wiedziałam, że na mnie spocznie ciężar odebrania mu tego, co najbardziej sobie ceni.

W ciągu dwóch tygodni po owym przełomowym spotkaniu Nigel Trentham zgodził się sprzedać swoje udziały po cenie rynkowej.

Teraz, kiedy stopa procentowa wzrosła do ośmiu, było wielce zaskakujące, że zrezygnował z przewlekłych i nieprzyjemnych sporów o prawo do majątku Hardcastle.

Pan Baverstock kupił w imieniu trustu wszystkie jego udziały za ponad siedem milionów funtów. Ten doświadczony prawnik poradził Charlie'emu, żeby zwołał nadzwyczajne posiedzenie zarządu i poinformował go o wydarzeniach, które ostatnio miały miejsce. Przypomniawszy też Charlie'emu, że ma obowiązek w ciągu najbliższych dwóch tygodni zapoznać wszystkich akcjonariuszy ze szczegółami transakcji.

Od dawna nie czekałam z takim zniecierpliwieniem na dzień obrad.

Jako jedna z pierwszych zajęłam miejsce tego ranka za stołem w sali konferencyjnej, ale wszyscy moi koledzy z zarządu też przybyli na długo przed wyznaczoną godziną rozpoczęcia zebrania.

Czy ktoś jest nieobecny? - zapytał prezes punktualnie o dziesiątej.

- Nigel Trentham, Roger Gibbs i Hugh Folland - oświadczyła Jessica, starając się zachować obojętny ton.

- Dziękuję. A teraz protokół z ostatniego posiedzenia - powiedział Charlie. - Czy wszyscy wyrażają zgodę, żeby go podpisać?

Rozejrzałam się po twarzach zgromadzonych osób. Daphne, ubrana w jaskrawożółty kostium, zamasyżowała rysowała coś na swojej kopii sprawozdania. Jak zwykle uprzejmy Tim Newman skinął tylko głową, a Simon upił łyk wody ze szklanki, która stała przed nim na stole. Gdy spotkał mój wzrok, żartobliwie wznosił toast. Ned Denning szepnął coś na ucho Bobowi Makinsowi, a Cathy odfajkowała punkt drugi porządku obrad. Tylko Paul Merrick nie wyglądał na zadowolonego. Skierowałam z powrotem uwagę na Charlie'ego.

Ponieważ nikt nie wyrażał sprzeciwu, Jessica podsunęła mu do podpisu ostatnią stronę protokołu.

Zauważyłam, że Charlie się uśmiechnął, czytając końcową instrukcję, której udzielił mu zarząd podczas ostatniego spotkania.”Zaleca się prezesowi, żeby podjął próbę porozumienia się z panem Nigelem Trenthamem w celu zapewnienia spokojnej atmosfery w chwili przejęcia firmy Trumper”.

- Czy są jakieś pytania w związku z protokołem? - zapytał Charlie. Ponieważ i tym razem nikt się nie odezwał, Charlie przeszedł do następnego punktu obrad. - Punkt czwarty, przyszłość... - zdążył tylko zapowiedzieć, a wszyscy naraz chcieli zabrać głos.

Gdy porządek został w miarę przywrócony, Charlie zasugerował, że rozsądniej będzie, jeśli z najnowszą sytuacją zapozna wszystkich dyrektor wykonawczy. Skinęłam głową, przystając tak jak wszyscy na tę propozycję.

- Dziękuję, panie prezesie - powiedział Arthur Selwyn i wyjął dokumenty z aktówki, która stała obok jego krzesła. Pozostali członkowie zarządu cierpliwie czekali. - Chciałbym wszystkich zawiadomić - zaczął tonem wyższego urzędnika państwowego, którym kiedyś był - że po oświadczeniu pana Trenthama, iż rezygnuje z ubiegania się o przejęcie kontroli nad spółką Trumper, ceny akcji spadły z dwóch funtów czterech szylingów do jednego funta dziewiętnastu szylingów. Na tym poziomie kształtuje się ich obecny kurs.

- Wszyscy obserwowaliśmy nienormalną sytuację na rynku akcji - przerwała mu Daphne. - Chciałabym się natomiast dowiedzieć, co się stało z prywatnymi akcjami Trenthama?

Nie przyłączyłam się do aplauzu, jaki zerwał się po jej pytaniu, gdyż znałam w najdrobniejszych szczegółach interesującą wszystkich umowę.

- Udziały pana Trenthama - mówił dalej Arthur Selwyn, jak gdyby nikt mu nie przeszkadzał - zostały, w myśl porozumienia zawartego pomiędzy jego prawnikami a panną Ross, zakupione dwa tygodnie temu przez pana Baverstocka w imieniu trustu Hardcastle, po kursie dwa funty jeden szyling za akcję.

- Czy członkowie zarządu zostaną wtajemniczeni, co skłoniło pana Trenthama do zajęcia tak przyjaznej postawy i do podpisania powyższej umowy? - zapytała Daphne.

- Ostatnio wyszło na jaw - odparł Selwyn - że większość udziałów pan Trentham zgromadził w ubiegłym roku za pożyczone pieniądze. Poinformowano mnie, że znacznie przekroczył kredyt bankowy. W obawie przed utratą zabezpieczenia był zmuszony sprzedać według bieżącego kursu trustowi Hardcastle wszystkie swoje akcje, które stanowią około dwudziestu ośmiu procent kapitału akcyjnego spółki.

- Naprawdę to zrobił? - nie mogła uwierzyć Daphne.

- Tak - potwierdził Charlie. - Może również zainteresuje członków zarządu informacja, że w ubiegłym tygodniu trzy osoby listownie złożyły swoją rezygnację, które pozwoliłem sobie w imieniu państwa przyjąć.

- Co za nierozważna decyzja - powiedziała ostrym tonem Daphne.

- Nie powinienem był ich przyjmować?

- Oczywiście, że nie, panie prezesie.

- Czy mógłbym zapytać o powody, lady Wiltshire?

- Są czysto egoistyczne, panie prezesie. - Dosłyszałam jej stłumiony chichot, gdy czekała, żeby wszyscy zebrani zwrócili na nią uwagę. - Odebrał mi pan przyjemność wystąpienia z propozycją wyrzucenia ich z zarządu.

Po tym stwierdzeniu prawie nikt nie zdołał zachować powagi.

- Proszę tego nie protokołować - zwrócił się Charlie do Jessici.

- Dziękuję panu Selwynowi za wspaniałe podsumowanie bieżącej sytuacji. A teraz, gdy dalsze roztrząsanie sprawy jest moim zdaniem bezcelowe, przystąpmy do piątego punktu obrad: do sprawy działalności banku.

I Charlie usiadł zadowolony, a Cathy poinformowała nas o comiesięcznym pokaźnym zwrocie zainwestowanych pieniędzy na nowe usługi. Powiedziała też, że nie ma powodu, dla którego kwoty te miałyby nie ulec dalszemu powiększeniu w najbliższej przyszłości. - Uważam nawet - mówiła - że już najwyższy czas, żebyśmy zaoferowali karty kredytowe regularnym klientom firmy Trumper...

Spojrzałam na zawieszoną na jej szyi miniaturę Krzyża Wojennego - brakujące ogniwo, w którego istnienie pan Roberts ani przez chwilę nie wątpił. Cathy nadal nie pamiętała wielu szczegółów ze swojego życia przed przyjazdem do Anglii, ale podzielałam opinię dra Atkinsa, że nie powinniśmy już dłużej tracić czasu na przeszłość, tylko pozwolić jej skoncentrować się na przyszłości.

Nikt z nas nie miał wątpliwości, że gdy nadejdzie czas wyboru nowego prezesa, nie będziemy musieli daleko szukać. Jedynym problemem, z jakim musiałam się zmierzyć, była konieczność przekonania Charlie'ego, że najwyższa pora ustąpić miejsca młodszemu.

- Czy pańskim zdaniem należy określić górny limit kredytu, panie prezesie? - zapytała Cathy.

- Nie, nie widzę takiej potrzeby - powiedział Charlie wymijająco.

- Obawiam się, że nie mogę zgodzić się w tej kwestii z panem, prezesie - sprzeciwiła się Daphne.

- Z jakiego to powodu, lady Wiltshire? - zdziwił się Charlie, uśmiechając się życzliwie.

- Głównie dlatego, że od dziesięciu minut nie słyszał pan jednego słowa, które tu padło - oświadczyła Daphne. - Skąd zatem może pan wiedzieć, jakie należy zająć stanowisko?

- To prawda - przyznał Charlie. - Błądziłem właśnie myślami po drugiej stronie globu. Jednakże - mówił dalej - czytałem raport Cathy w tej sprawie. Uważam, że górna granica kredytu powinna być dla klientów zróżnicowana w zależności od oceny ich finansowych możliwości. W przyszłości będziemy musieli zatrudnić personel przeszkolony w centrum finansowym Londynu. W każdym razie, jeśli poważnie bierzemy pod uwagę wprowadzenie tego projektu w życie, będę wymagał zaprezentowania na następnym posiedzeniu zarządu szczegółowego planu proponowanych zmian. Czy będzie to możliwe, panno Ross? - zapytał zdecydowanym tonem, nie wątpiąc, że umiejętność "wymyślenia na poczekaniu odpowiedzi", z której był znany, raz jeszcze uwolniła go ze szponów Daphne.

- Najpóźniej na tydzień przed terminem kolejnego posiedzenia zarządu przygotuję szczegółowe opracowanie, żeby wszyscy zdążyli się z nim zapoznać - obiecała Cathy.

- Dziękuję. Przechodzimy zatem do punktu szóstego porządku obrad, który poświęcony jest problemom rachunkowości.

Przysłuchiwałam się z wyteżoną uwagą, gdy Arthur Selwyn przedstawiał najnowsze cyfry, omawiając dział po dziale. Cathy zadawała dociekliwe pytania, gdy tylko nie zadowalały jej wyjaśnienia dotyczące strat lub wprowadzanych zmian. Nie po raz pierwszy pomyślałam, że jest lepiej poinformowaną i bardziej profesjonalną wersją Daphne.

- Jaki jest przewidywany zysk w 1965 roku od proponowanych inwestycji? - zapytała.

- W przybliżeniu powinien wynieść dziewięćset dwadzieścia tysięcy funtów - odparł Selwyn, gdy przesunął palcem wzdłuż kolumny cyfr.

To był moment, kiedy zrozumiałam, do czego najpierw należy zmierzać, zanim zacznę namawiać

Charlie'ego do rezygnacji.

- Dziękuję panu, panie Selwyn. Czy możemy przejść do następnego punktu porządku obrad? - ponownie zabrał głos Charlie. - Punkt siódmy przewiduje wybór panny Ross na wiceprezesa zarządu. - Zdjął okulary i dodał. - Nie sędzę, żebym długo musiał wyjaśniać, dlaczego...

- To prawda - przerwała mu Daphne. - Mam ogromną przyjemność poprzeć oficjalny wniosek w sprawie wyboru panny Ross na stanowisko wiceprezesa firmy Trumper.

- Chciałbym jako drugi poprzeć tę kandydaturę - odezwał się Arthur Selwyn. Uśmiechnęłam się na widok otwartych ze zdumienia ust Charlie'ego.

- Kto jest za? - zdołał tylko zapytać. Podniosłam rękę w górę tak jak inni członkowie zarządu, z jednym wyjątkiem.

Cathy wstała i przyjmując proponowane stanowisko, wygłosiła krótką mowę. Podziękowała zarządowi za zaufanie i zapewniła o swoim bezgranicznym zaangażowaniu i trosce o przyszłość firmy Trumper.

Czy są jakieś inne sprawy? - zapytał Charlie, porządkując dokumenty.

- Tak - odparła Daphne. - Wybór panny Ross na stanowisko wiceprezesa nie tylko sprawił mi radość, ale i uzmysłowił, że czas złożyć własną rezygnację z funkcji członka zarządu.

- Dlaczego? - spytał zaskoczony Charlie.

- Ponieważ w przyszłym miesiącu kończę sześćdziesiąt pięć lat, panie prezesie, i uważam, że najwyższy czas ustąpić miejsca młodszym.

- Wobec tego mogę jedynie podziękować... - westchnął Charlie.

Tym razem nikt z nas nie przerwał długiego i płynącego prosto z serca wywodu. Gdy skończył, wszyscy zaczęliśmy uderzać dłońmi w blat stołu.

Po chwili porządek został przywrócony.

- Dziękuję - powiedziała po prostu Daphne. - Nie spodziewałam się, że sześćdziesięciofuntowa inwestycja przyniesie mi aż takie dywidendy.

Charlie przyznał mi się, że jeszcze długo potem, gdy Daphne opuściła zarząd, ilekroć w czasie obrad poddawany był pod dyskusję jakiś drażliwy temat, zawsze brakowało mu jej szalonego i specyficznego poczucia zdrowego rozsądku.

- Ciekawa jestem, czy tak samo będziesz odczuwał brak mojego ciętego języka, gdy złożę swoją rezygnację - powiedziałam.

- O czym ty mówisz, Becky?

- O tym, że za dwa lata również skończę sześćdziesiąt pięć lat i pójdę w ślady Daphne.

- Ale...

- Żadnych ale, Charlie - przerwałam stanowczym tonem. - Od czasu gdy wykradłam Richarda Cartwrighta z domu aukcyjnego Christie's, doskonale radzą sobie beze mnie na Chelsea Terrace pod numerem pierwszym. Uważam, że Richard powinien zająć moje miejsce w zarządzie, gdyż przejął prawie całą odpowiedzialność, a z naszej strony nie otrzymał w zamian żadnego dowodu zaufania.

- No cóż, powiem ci jedno - odciął się wojowniczo Charlie. - Ja nie zrezygnuję nawet po siedemdziesiątce.

W1965 roku utworzyliśmy trzy nowe działy: "Dla nastolatków" - z odzieżą, płytami i kawiarnią dla młodzieży, biuro podróży, w związku z coraz większym zainteresowaniem wakacjami za granicą, oraz dział z upominkami "Dla tych, którzy już wszystko mają".

Cathy zwróciła uwagę zarządu na konieczność zabiegu plastycznego, jakiemu powinien zostać

poddany cały stragan po prawie dwudziestu latach funkcjonowania. Charlie powiedział mi, że nie jest przekonany o potrzebie takiego wstrząsu, przypominając mi teorię Fordiana, że nie należy inwestować w nic, co się zużywa albo wymaga odnowy. Ale gdy Arthur Selwyn i inni członkowie zarządu wyrazili opinię, że program modernizacji jest i tak znacznie spóźniony, zrezygnował z jawnego oporu.

Dotrzymałam obietnicy albo groźby, jak określił to Charlie, i zrezygnowałam trzy miesiące po ukończeniu sześćdziesiątego piątego roku życia. Charlie został jedynym członkiem zarządu, który był w jego składzie od samego początku.

Po raz pierwszy, jak sięgałam pamięcią, Charlie się przyznał, że zaczyna odczuwać swój wiek. Powiedział mi też, że ilekroć zwraca się o odczytanie protokołu z ostatniego posiedzenia, rozgląda się wokół stołu obrad i myśli o tym, jak niewiele łączy go z większością obecnych osób. "Błyskotliwi strojnisi", jak nazywała ich Daphne, byli finansistami oraz specjalistami od zarządzania i marketingu.

Zdaniem Charlie'ego niewielką wagę przywiązywali do elementu, który dla niego zawsze liczył się najbardziej - dobra klienta.

Rozprawiali o deficycie finansowym, o wyborze wierzyciela i o potrzebie komputeryzacji, często nie prosząc nawet Charlie'ego o wyrażenie opinii.

- Jak powinienem się w takiej sytuacji zachować? - zapytał mnie kiedyś po jednym z posiedzeń, podczas którego nie otworzył nawet ust.

Zachmurzył się, gdy usłyszał moją radę.

Miesiąc później na dorocznym walnym zgromadzeniu Arthur Selwyn ogłosił, że zysk brutto w 1966 roku wyniesie milion siedemdziesiąt osiem tysięcy sześćset funtów. Charlie spojrzał w moją stronę. Skinęłam zdecydowanym ruchem głowy. Zaczekał do końca obrad, a potem wstał i powiedział zgromadzonym akcjonariuszom, że postanowił złożyć swoją rezygnację. Kto inny musi popchnąć stragan w lata siedemdziesiąte, dodał.

Wszyscy na sali oniemieli ze zdumienia. A potem mówili o końcu ery, o tym że "jest niezastąpiony", i że nigdy nie będzie już tak jak dawniej. Ale nikt nie namawiał go, żeby jeszcze raz przemyślał swoją decyzję.

Dwadzieścia minut później Charlie zamknął walne zgromadzenie.

ROZDZIAŁ 49

To Jessica Allen zawiadomiła nową prezes, że pan Corcan telefonował z Galerii Lefevre, przystając na propozycję stu dziesięciu tysięcy funtów.

Cathy uśmiechnęła się.

- Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak ustalić datę i rozesłać zaproszenia. Czy możesz połączyć mnie z Becky, Jessico?

Pierwszą propozycją, jaką wysunęła Cathy na forum zarządu, gdy została wybrana w anonimowych wyborach na trzeciego z kolei prezesa spółki Trumper, było przyznanie Charlie'emu tytułu dożywotniego prezesa i wydanie na jego cześć kolacji w hotelu Grosvenor House. W uroczystości wzięli udział wszyscy pracownicy firmy ze współmałżonkami oraz przyjaciele, jakich Charlie i Becky zdobyli sobie w ciągu prawie siedemdziesięciu lat. Tego wieczoru Charlie zajął miejsce u szczytu stołu na sali balowej jako honorowy gość pośród tysiąca siedmiuset siedemdziesięciu innych zaproszonych osób.

Po kolacji składającej się z pięciu dań, którym nawet Percy nie mógł nic zarzucić, Charlie z kieliszkiem brandy w jednej dłoni i zapalonym cygarem w drugiej pochylił się w stronę Becky.

- Szkoda, że twój ojciec nie może zobaczyć tej uczty - westchnął.

- Oczywiście nie przyszedłby na nią, gdyby osobiście wszystkiego nie dostarczył, począwszy od bez i hiszpańskich lodów po rogaliki.

- Żałuję też, że nie możemy razem z Danielem cieszyć się tym dniem - rzekła cicho Becky. Chwilę później wstała Cathy i wygłosiła mowę, ostatecznie wszystkich przekonując, że wybrali odpowiednią osobę na następcę Charlie'ego. Na koniec zaprosiła zebranych gości do wspólnego toastu za zdrowie założyciela i pierwszego dożywotniego prezesa. Gdy umilkł aplauz, nachyliła się i wyjęła coś spod krzesła.

- Charlie - powiedziała - przyjmij ten skromny upominek jako wyraz wdzięczności nas wszystkich za twoje poświęcenie, które uratowało kiedyś firmę Trumper. - I wręczyła Charlie'emu olejne płótno. Rozpromieniony Charlie palił się z niecierpliwości, żeby obejrzeć prezent. A gdy zobaczył, co przedstawia, cygaro wypadło mu z ust i z niedowierzaniem patrzył na obraz van Gogha "Jedzący kartofle". Dopiero po długiej chwili wypuścił go z rąk i wstał, żeby spełnić prośbę gości, którzy czekali na jego przemówienie.

Zaczął, przypominając raz jeszcze słuchaczom, że wszystko zaczęło się od straganu na Whitechapel, który odziedziczył po dziadku i który zajmuje teraz honorowe miejsce w dziale spożywczym firmy Trumper. Oddał hołd pułkownikowi, który już nie żył od wielu lat, pionierom spółki, panom Crowtherowi i Hadlowi, oraz dwóm pierwszym pracownikom, panom Bobowi

Makinsowi i Nedowi Denningowi, którzy tylko kilka tygodni przed nim opuścili zarząd i odeszli na emeryturę. Zakończył dziękując Daphne, lady Wiltshire, która dzięki swojej sześćdziesięciofuntowej pożyczce umożliwiła im start.

- Chciałbym mieć znowu czternaście lat - wyznał ze smutkiem - pchać swój stragan i kierować się zasadami, które obowiązywały na Whitechapel Road. To były moje najszczęśliwsze dni w życiu, gdyż w głębi duszy jestem tylko prostym straganiarzem. - Wszyscy roześmieli się, oprócz Becky, która spojrzała na męża i przypomniała sobie ośmioletniego chłopca w krótkich spodenkach z czapką w dłoni, który stał przed sklepem jej ojca z nadzieją, że otrzyma za darmo słodką bułkę z rodzynkami.

- Jestem dumny z tego, że wybudowałem największy stragan świata i że dzisiaj mogę przebywać pośród tych, którzy pomogli mi go przepchać z East Endu na Chelsea Terrace. Będzie mi was wszystkich bardzo brakowało. Mam nadzieję, że pozwolicie mi zajrzeć od czasu do czasu do domów handlowych firmy Trumper.

Gdy Charlie usiadł, wszyscy pracownicy podnieśli się z miejsc i zgotowali mu prawdziwą owację. Charlie nachylił się w stronę Becky i wziął ją za rękę.

- Wybacz mi, ale zapomniałem im powiedzieć, że to ty jesteś prawdziwym założycielem firmy.

Becky, która nigdy w życiu nie była na meczu piłki nożnej, musiała teraz godzinami wysłuchiwać wywodów męża na temat pucharu świata i tego, że przynajmniej trzech graczy West Ham znajdzie się w angielskiej reprezentacji.

Przez pierwsze cztery tygodnie emerytury Charlie sprawiał wrażenie człowieka zadowolonego z życia. Pozwolił wozić się Stanowi z Sheffield do Manchester i z Liverpoolu do Leeds, gdzie wspólnie oglądali rozgrywki ligowe.

Gdy Anglia doszła do półfinału, Charlie wykorzystał wszystkie swoje znajomości, żeby zdobyć dwa bilety na miejsca stojące. Jego wysiłki zostały nagrodzone, gdyż rodacy wywalczyli udział w finale.

Jednakże pomimo wszystkich kontaktów, chęci przepłacenia ceny wejścia, a nawet listu do Alfa Ramsaya, trenera brytyjskiej reprezentacji, Charlie'emu nie udało się zdobyć biletów na finał.

Zrezygowany oświadczył Becky, że będą zmuszeni zadowolić się ze Stanem transmisją telewizyjną.

Rano w dniu finałowej rozgrywki Charlie zszedł na dół na śniadanie i znalazł w koszyku z pieczywem dwa bilety na mecz. Z podniecenia nie mógł przełknąć jajek na bekonie.

- Jest pani geniuszem, pani Trumper - powtarzał w kółko na przemian z pytaniem. - W jaki sposób zdołałaś je zdobyć?

- Kontakty - stwierdziła krótko Becky, zdecydowana nie przyznawać się Charlie'emu, że pani Ramsay jest klientką firmy Trumper, co wykazał komputer, i za namową Becky znalazła się w wybranej grupie klientów, którzy otrzymują dziesięcioprocentowy rabat.

Zwycięstwo cztery do dwóch nad drużyną Zachodnich Niemiec i trzy bramki strzelone przez Geoffa Hursta z West Ham nie tylko doprowadziły Charlie'ego do granicy obłędu, ale na krótką chwilę wzbudziły nadzieję w Becky, że mąż stracił zainteresowanie firmą Trumper i pozwoli działać Cathy na własną rękę.

Cały tydzień po sukcesie na stadionie Wembley Charlie ochoczo krzątał się po domu. Jednakże w czasie dalszych dni Becky zrozumiała, że coś musi postanowić, jeśli nie chce oszaleć ani pozbyć się całej domowej służby na Eaton Square. W następny poniedziałek wstąpiła do biura podróży Trumper i spotkała się z dyrektorem. W ciągu tygodnia dostarczono jej do domu bilety na wycieczkę do

Nowego Jorku na pokładzie "Queen Mary" i na długą podróż po Stanach.

Mam nadzieję, że Cathy potrafi poprowadzić stragan beze mnie - niepokoił się Charlie w drodze do Southampton.

- Z pewnością sobie poradzi - uspokajała Becky. Uznała, że powinni przebywać za granicą co najmniej trzy miesiące, żeby Cathy miała czas na zrealizowanie programu modernizacji. Obie obawiały się, że Charlie będzie robił, co w jego mocy, żeby wstrzymać wprowadzenie zmian.

Jeszcze bardziej umocniła się w słuszności własnego sądu, gdy Charlie zaczął narzekać w domach towarowych Bloomingdale'a na brak dostatecznej przestrzeni w ekspozycji towarów. W sklepach firmy Macy nie podobała mu się samoobsługa, a po przybyciu do Chicago zarzucił Josephowi Fieldowi, że nie dba o wystawy, którymi kiedyś chlubiły się wielkie magazyny.

- Są zbyt krzykliwe nawet jak na Amerykę - zganił właściciela.

Becky miała ochotę przypomnieć mu o "takcie" i o "delikatności", ale Joseph Field całkowicie zgodził się z opinią przyjaciela i obarczył całą winą za stan rzeczy nowego dyrektora, który wierzył w "potęgę kwiatów".

W Dallas, San Francisco i Los Angeles nie było lepiej, a gdy trzy miesiące później oboje weszli w Nowym Jorku na pokład wielkiego liniowca, nazwa Trumper znowu nie schodziła Charlie'emu z ust.

Becky z przerażeniem myślała o tym, co może się wydarzyć, gdy staną na angielskiej ziemi.

Łudziła się, że pięciodniowa podróż po spokojnym morzu i ciepłe podmuchy atlantyckiej bryzy pozwolą im się odprężyć, a Charlie'emu na chwilę zapomnieć o firmie. Tymczasem mąż nadal dzielił się z nią swoimi nowymi pomysłami, które miały zrewolucjonizować spółkę i które zamierzał wcielić w życie, gdy tylko dotrą do Londynu. Wtedy właśnie Becky postanowiła, że musi stanąć w obronie samodzielności Cathy.

- Nie zapominaj, że nie jesteś już nawet członkiem zarządu - przypomniła Charlie'emu, gdy opalali się na pokładzie.

- Jestem dożywotnim prezesem - obstawał przy swoim. Skończył jej właśnie opowiadać o swoim najnowszym pomysle doczepiania etykietek do odzieży w celu zapobieżenia kradzieżom.

- To honorowe stanowisko.

- Nonsens. Mam zamiar zrealizować mój zamiar, gdy tylko...

- To jest nieuczciwe w stosunku do Cathy, która nie stoi na czele rodzinnego interesu, Charlie, ale jest prezesem olbrzymiej spółki akcyjnej. Najwyższy czas, żebyś trzymał się z dala od firmy Trumper i pozwolił jej samej dalej pchać stragan.

- Co mam w takim razie robić?

- Nie wiem. Ale czymkolwiek się zajmiesz, musisz to robić z dala od Chelsea Terrace. Czy wyraziłam się jasno?

Charlie nie zdążył jej odpowiedzieć, gdyż podszedł do nich oficer dyżurny.

- Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam, sir.

- W niczym mi pan nie przeszkadza - zapewnił Charlie. - O co chodzi? Mam wszcząć bunt czy wyłudzić pieniądze od pasażerów pod pretekstem turnieju tenisa pokładowego?

- Obie sprawy zainteresowałyby prokuratora, sir Charlesie - powiedział młody człowiek. - Kapitan prosi, żeby zechciał pan przyjść do niego na mostek. Otrzymał radiotelegram z Londynu i chce, żeby jak najprędzej zapoznał się pan z jego treścią.

- Mam nadzieję, że to nie są żadne złe wieści - zaniepokoiła się Becky, gwałtownie prostując się

i odkładając książkę, którą usiłowała czytać. - Niepozwoiliłam nikomu kontaktować się z nami bez potrzeby.

- Bzdura - zachnął się Charlie. - Jesteś straszną pesymistką.

Przy tobie można się tylko upić z rozpaczy. - Wstał, przeciągnął się i ruszył za młodym człowiekiem w stronę mostka, wyjaśniając mu po drodze, w jaki sposób zorganizuje rewoltę. Becky szła kilka kroków za nimi, nie odzywając się więcej.

Gdy oficer wprowadził ich na mostek, kapitan odwrócił się, żeby się z nimi przywitać.

- Właśnie otrzymaliśmy drogą radiową wiadomość, z którą, jak sędzę, natychmiast chciałby się pan zapoznać, sir Charlesie - powiedział, wręczając mu depeszę.

- Niech to diabli! Zostawiłem okulary na pokładzie - mruknął Charlie. - Becky, przeczytaj. - I podał żonie kartkę papieru.

Becky otworzyła telegram drżącymi palcami i najpierw sama zapoznała się z jego treścią. Charlie badał wyraz jej twarzy.

- O co chodzi? Czy powinienem już zacząć pić?

- To wiadomość z Buckingham Palace - odparła Becky.

- A nie mówiłem? - zawołał Charlie. - Niczego nie można im powierzyć. Pierwszego każdego miesiąca mydło lawendowe dla 42 - Prosto jak strzelił niej, pasta Colgate dla niego, oraz papier toaletowy... ostrzegalem Cathy...

- Nie sędzę, żeby Jej Wysokość miała tym razem na uwadze papier toaletowy - powiedziała Becky.

- O co wobec tego chodzi? - zdziwił się Charlie.

- Chcą wiedzieć, jaki przyjmiesz tytuł.

- Tytuł?

- Tak - odparła Becky, odwracając się do męża. - Lord Trumper... czego?

Becky była zdziwiona, a Cathy odetchnęła z ulgą, gdy stwierdziły, jak prędko lorda Trumpera Whitechapel pochłoneły nowe obowiązki w Izbie Lordów. Obawy Becky, że będzie mieszał się w codzienne sprawy spółki, rozwiały się z chwilą, gdy Charlie wdział swoją czerwoną togę z gronostajami. Dzień powszedni przypominał teraz jego żonie czasy wojny, gdy Charlie służył pod dowództwem lorda Wooltona w Ministerstwie Apropowizacji, i nigdy nie była pewna, o której wróci do domu.

W sześć miesięcy potem, gdy Becky zabroniła mu zbliżać się do firmy Trumper, Charlie oświadczył, że zaproponowano mu członkostwo w komitecie rolnictwa, żeby dzielił się z innymi własnymi doświadczeniami. Zaczął tak jak dawniej wstawać o czwartej trzydzieści, by zapoznać się z tymi dokumentami, które zawsze należało przeczytać przed ważnymi obradami parlamentu.

Gdy wracał do domu na kolację wieczorem, zawsze miał jej do przekazania mnóstwo wiadomości. Opowiadał o klauzuli, z której propozycją wystąpił na forum komitetu tego dnia, albo o tym, jak jakiś cymbał zabierał po południu czas zebraniem, wprowadzając niezliczone poprawki do projektu ustawy.

W 1970 roku, gdy Wielka Brytania zaczęła ubiegać się o wejście do Wspólnego Rynku, Charlie powiedział swojej żonie, że zaproponowano mu stanowisko przewodniczącego w podkomisji do spraw dystrybucji żywności na Europę i uznał za swój obowiązek je przyjąć. Od tej pory Becky schodząc rano na śniadanie znajdowała wszędzie porozrzucone niezliczone ilości zarządzeń i egzemplarzy "Hansard" - codziennej gazety Izby Lordów, które znaczyły drogę od gabinetu

Charlie'ego do kuchni. Zwykle zastawała też kartkę z wyjaśnieniami, że musi uczestniczyć w porannym posiedzeniu podkomisji albo być na odprawie z jednym ze zwolenników wejścia Wielkiej Brytanii do Europy, który przejazdem przebywa w Londynie. Nigdy nie przypuszczała, że członkowie wyższej izby parlamentu muszą tak ciężko pracować.

Becky utrzymywała stały kontakt z firmą Trumper, składając regularnie wizyty w poniedziałki rano na Chelsea Terrace. Przychodziła zwykle o takiej porze, kiedy ruch był jeszcze niewielki. Ku swojemu zdziwieniu była głównym źródłem informacji dla Charlie'ego o sytuacji w domach handlowych.

Zawsze z przyjemnością spędzała kilka godzin spacerując po różnych działach. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Cathy potrafi wyprzedzić konkurencję w wymogach bardzo kapryśnej mody, jednocześnie nie dając powodu klientom o tradycyjnych gustach do narzekań z powodu wprowadzania niepotrzebnych zmian.

Ostatnie kroki Becky kierowała nieodmiennie do domu aukcyjnego, żeby dowiedzieć się, czyje płótna mają pójść pod młotek.

Minęło już sporo czasu, gdy przekazała swoje obowiązki Richardowi Cartwrightowi, byłemu licytatorowi. Pomimo to zawsze z ochotą oprowadzał ją po wystawie obrazów, które miały być sprzedawane na aukcji.

- Tym razem mamy malarstwo postimpresjonistów - poinformował ją.

- Które, jak widzę, osiąga poważne ceny - zauważyła Becky, oglądając prace Pissaro, Bonnarda i Vuillarda. - Musimy dopilnować, żeby Charlie nie dowiedział się o tej ekspozycji.

- Już o niej wie - uprzedził Richard Becky. - Wpadł do nas w ubiegły czwartek w drodze do parlamentu, zarezerwował trzy obrazy i nawet znalazł czas, żeby ponarzekać na naszą wycenę.

Powiedział, że kilka lat temu kupił tutaj duży obraz Renoira "Uhomme a la peche" za cenę, jakiej teraz żądamy od niego za małą pastele Pissarro, która jest zaledwie studium do większego dzieła.

- Mógł mieć rację - przyznała Becky, przerzucając katalog i sprawdzając szacunkowe wyceny płócien. - Niech bogowie mają w opiece wasz bilans, gdy Charlie dowie się, że nie uzyskaliście minimalnej ceny za któryś z interesujących go obrazów. Gdy prowadziłam ten dom aukcyjny, Charlie był znany jako "lider naszych strat".

Nagle podszedł do nich jeden z pracowników, uklonił się z uszanowaniem lady Trumper i wręczył Richardowi kartkę. Dyrektor domu aukcyjnego przeczytał wiadomość i zwrócił się do Becky.

- Pani prezes pyta, czy przed wyjściem nie zechciałaby pani spotkać się z nią w jakiejś pilnej sprawie.

Gdy odprowadzał ją do windy na parterze, Becky raz jeszcze podziękowała mu za to, że znalazł czas, żeby spełnić kaprysy starej kobiety.

Winda, której modernizacja była również przewidziana w planie Cathy, niemrawo pięła się w górę, a Becky zastanawiała się, dlaczego Cathy chce się z nią widzieć. Miała nadzieję, że nie zamierza odwołać wspólnej kolacji wieczorem, na której mieli być również obecni Barbara i Joseph Fieldowie.

Chociaż Cathy przeprowadziła się półtora roku temu do własnego przestronnego mieszkania na Chelsea Cloisters, Becky i Charlie starali się spotykać z nią przynajmniej raz w miesiącu. Zawsze zapraszali ją też do siebie, ilekroć Bloomingdale'owie albo Fieldowie byli w mieście. Becky wiedziała, że Joseph Field, który nadal zasiadał w zarządzie spółki chicagowskich domów

towarowych, byłby rozczarowany z powodu nieobecności Cathy, tym bardziej że oboje z żoną musieli wracać nazajutrz do Ameryki.

Jessica zaprowadziła Becky prosto do gabinetu Cathy, która siedziała ze zmarszczonymi brwiami i rozmawiała przez telefon.

Becky czekając, aż Cathy będzie wolna, wyjrzała przez okno. Pomyślała o Charlie'em, widząc na drugim końcu ulicy pustą drewnianą ławkę, którą ochoczo zamienił na wyściełane czerwoną skórą siedzenie w Izbie Lordów.

Cathy odłożyła słuchawkę i natychmiast zapytała:

- Czy u Charlie'ego wszystko w porządku?

- Mogę zapytać cię o to samo - odparła Becky. - Widuję go tylko czasami na kolacji w ciągu tygodnia i na śniadaniu w niedzielę. Czy był tu ostatnio?

- Nieczęsto tu zagląda. Uczciwie mówiąc, wciąż czuję się winna, że wygryzłam go ze stanowiska.

- Zupełnie niepotrzebnie - stwierdziła Becky. - Jeszcze nigdy nie był tak szczęśliwy jak teraz.

- Uspokoiłaś mnie. Muszę poradzić się Charlie'ego w pilnej sprawie.

O co chodzi?

- O cygara. Rozmawiałam dzisiaj przez telefon z Davidem Fieldem. Powiedział mi, że jego ojciec prosi o tuzin pudełek cygar tego gatunku co zwykle. Mówił też, żeby nie wysyłać ich na adres Connaught, ponieważ zabierze je od was, gdy przyjdzie wieczorem na kolację.

- Jaki masz problem?

- Ani młody Field, ani pracownicy działu tytoniowego nie mają najmniejszego pojęcia, jaki gatunek cygar pali ojciec Davida. Wygląda na to, że Charlie zawsze osobiście realizował to zamówienie.

- Powinnaś sprawdzić stare faktury.

- To była pierwsza rzecz, jaką zrobiłam - zapewniła Cathy. - Nie ma jednak żadnych dokumentów na to, że takie transakcje w ogóle miały miejsce. Zdziwiłam się, gdyż pamiętam, że regularnie wysyłaliśmy panu Fieldowi dwanaście pudełek do Connaught, ile razy przyjeżdżał do Londynu. - Cathy ponownie zmarszczyła brwi. - Zawsze mi się to wydawało trochę dziwne. Przecież pan Field na pewno ma dział tytoniowy we własnej sieci domów handlowych.

- Z pewnością - przyznała Becky - ale nie wolno mu sprzedawać kubańskich cygar.

- Kubańskich cygar? Nie rozumiem.

- W latach pięćdziesiątych Stany Zjednoczone wprowadziły embargo na dostawy cygar z Kuby. Ojciec Davida, który palił hawańskie cygara na długo przedtem, zanim ktokolwiek słyszał o Fidelu Castro, nie widział powodu, żeby zmieniać przyzwyczajenia i pozwolić pozbawić się należnego mu "cholernego prawa".

- W jaki sposób Charlie zdołał obejść ten przepis?

- Schodził do naszego działu tytoniowego, brał tuzin pudełek ulubionego gatunku cygar pana Fielda, wracał z nimi do biura, zmieniał opaskę wokół każdego cygara, zastępował ją holenderską i układał w pudełkach własnej firmy. Zawsze pamiętał o tym, żeby mieć pod ręką zapas cygar dla pana Fielda, na wypadek gdyby mu się skończyły. Charlie uważał, że przynajmniej w ten sposób może mu się odwdziaczyć za jego wielką gościnność, jakiej doświadczyliśmy w ciągu lat naszej znajomości.

Cathy skinęła głową ze zrozumieniem.

- Ale nadal nie wiem, do jakiego gatunku kubańskich cygar pan Field rości sobie "cholernie prawo".

Ja też nie mam pojęcia - wyznała Becky. - Tak jak powiedziałaś, Charlie nie pozwolił nikomu realizować tego zamówienia.

- W takim razie ktoś musi go zapytać o gatunek, z powodu którego pan Field padł ofiarą nałogu. Chyba że Charlie sam przyjdzie i zrealizuje to zamówienie. Gdzie mogę zastać dożywotniego prezesa o jedenastej trzydzięci w poniedziałek?

- Założę się, że ukrywa się w jednej z sal obrad Izby Lordów.

- Nie, nie ma go tam - oznajmiła Cathy. - Telefonowałam do Izby Lordów i zapewniono mnie, że nikt nie widział go dzisiaj rano ani nie spodziewają się go w tym tygodniu.

- Ależ to niemożliwe - zawołała Becky. - On prawie tam mieszka.

- Ja też tak myślałam - stwierdziła Cathy. - Dlatego zatelefonowałam pod numer pierwszy, żeby prosić cię o pomoc.

- Natychmiast to sprawdzę - obiecała Becky. - Jeśli Jessica połączy mnie z Izbą Lordów, to wiem dokładnie, do kogo mam się zwrócić.

Jessica wróciła do swojego biura, odszukała numer i przełączyła rozmowę do gabinetu Cathy. Słuchawkę podniosła Becky.

- Izba Lordów? - zapytała. - Z działem informacji proszę. Czy zastałam pana Ansona? Nie? Chciałam zostawić pilną wiadomość dla lorda Trumpera Whitechapel. Sądzę, że od rana jest na posiedzeniu podkomisji rolnictwa... Jest pani pewna?... To niemożliwe...

Zna pani mojego męża?... Co za ulga... Jest?... To ciekawe... Nie, dziękuję. Postanowiłam nie zostawiać wiadomości i proszę nie niepokoić pana Ansona. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę, podniosła wzrok i spotkała zaciekawione twarze Cathy i Jessici. Obie patrzyły na nią jak dzieci, które przed pójściem spać nie mogą się doczekać zakończenia bajki.

- Charlie'ego nie było dzisiaj rano w Izbie Lordów. Podkomisja rolnictwa w ogóle nie istnieje, a on nie jest nawet członkiem zwykłej komisji. Co więcej, nikt go od trzech miesięcy nie widział na oczy.

- Nie rozumiem - powiedziała Cathy. - To w jaki sposób ostatnio się z nim kontaktowałaś?

- Korzystałam ze specjalnego numeru, który mi podał i który zostawiłam przy telefonie w hallu na Eaton Square. Kontaktowałam się z posłańcem w Izbie Lordów, niejakim panem Ansonem. O każdej porze dnia i nocy dokładnie wiedział, gdzie można znaleźć Charlie'ego.

Czy ten pan Anson w ogóle istnieje? - zapytała Cathy.

- Och tak - rzekła Becky. - Wygląda jednak na to, że pracuje na innym piętrze parlamentu, a ja tym razem zostałam połączona z działem informacji centralnej.

- A co się dzieje, gdy uzyskujesz połączenie z panem Ansonem?

- Charlie przed upływem godziny telefonuje do mnie.

- A więc możesz zaraz zadzwonić do pana Ansona?

- Nie w tej chwili. Najpierw zamierzam się dowiedzieć, co Charlie robił przez ostatnie dwa lata. A pan Anson na pewno mi tego nie powie.

- Pan Anson nie jest jedyną osobą, która to wie - zauważyła Cathy. - Charlie nie żyje w próżni. - Obie odwróciły się i spojrzały na Jessicę.

- Nie patrzcie na mnie - zaprotestowała Jessica. - Charlie nie kontaktował się z tym biurem od dnia, kiedy go przegnałaś z Chelsea Terrace, Cathy. Gdyby Stan od czasu do czasu nie przychodził do stołówki na obiad, nie wiedziałabym, czy Charlie jeszcze żyje.

- Oczywiście - powiedziała Becky, strzelając palcami. - Stan musi wiedzieć, co się dzieje. Nadal

przyjeżdża po Charlie'ego wcześniej rano i późnym wieczorem odwozi go do domu. Charlie niczego by nie zdziałał, gdyby szofer nie został dopuszczony do tajemnicy.

- Racja - przyznała Cathy i zajrzała do rozkładu dnia. - Jessico, odwołaj mój obiad z dyrektorem generalnym z Moss Bros. A potem poproś sekretarkę, żeby nie łączyła zadanych rozmów. Nikt nie może nam przeszkadzać, dopóki nie dowiemy się, co wymyślił dożywotni prezes. A gdy już to zrobisz, zejdź do stołówki i sprawdź, czy nie ma Stana. Jeśli go tam zastaniesz, natychmiast do mnie zatelefonuj.

Jessica niemal wybiegła z pokoju, a Cathy skierowała uwagę z powrotem na Becky.

- Sądziś, że może mieć kochankę? - zapytała cicho Becky.

- Dzień i noc przez dwa lata w wieku siedemdziesięciu lat? Jeśli ma, to powinniśmy go zaprezentować jako ogiera roku na Królewskiej Wystawie Rolnej.

- Co mógł, w takim razie, wymyślić?

- Założę się, że robi dyplom na Uniwersytecie Londyńskim - zasugerowała Cathy. - Zawsze drażniło go, gdy wytykałaś mu brak wykształcenia.

A te wszystkie książki i dokumenty porozrzucane po całym domu?

- Chciał, żebyś je widziała. Nie zapominaj, ile wykazał sprytu, gdy robił maturę. Zwodził cię przez osiem lat.

- A może podjął pracę u jednego z naszych rywali?

- To nie w jego stylu - zachnęła się Cathy. - Charlie jest człowiekiem lojalnym. Poza tym gdyby tak było, nowina prędko by się rozniosła. Kierownictwo i pracownicy firmy konkurencyjnej z radością by nas o tym powiadomili. Nie, rozwiązanie musi być bardziej proste. - Na biurku Cathy zadzwonił prywatny telefon.

Chwyciła słuchawkę i przez chwilę uważnie słuchała. - Dziękuję ci, Jessico. Już schodzimy.

Idziemy - zawołała, odkładając słuchawkę i podrywając się zza biurka. - Stan kończy jeść obiad.

- Ruszyła w stronę drzwi, a Becky za nią. Bez słowa wsiadły do windy i zjechały na parter. Joe, główny portier, był bardzo zdziwiony widząc, że pani prezes i lady Trumper zatrzymują taksówkę, gdy kilka metrów dalej czekają w samochodach ich kierowcy.

Kilka minut później w tych samych drzwiach pojawił się Stan.

Usiadł za kierownicą Rollsa Charlie'ego i włączył się spokojnie do ruchu. Skierował się w stronę Hyde Park Corner, nie zwracając uwagi na jadącą z tyłu taksówkę.

Rolls sunął wzdłuż Piccadilly, minął Trafalgar Square i skręcił w lewo, zmierzając w kierunku Strand.

- Jedzie do King's College - powiedziała Cathy. - Widzisz, miałam rację. Postanowił zdobyć dyplom.

- Nie zatrzymał się - zauważyła Becky, gdy samochód Charlie'ego minął wejście do uczelni i wjechał na Fleet Street.

- Nie wierzę, żeby kupił wydawnictwo prasowe - oświadczyła Cathy.

- Albo podjął pracę w centrum finansowym Londynu - dodała Becky, gdy samochód przed nimi zmierzał w stronę Mansion House.

- Już wiem - zawołała z tryumfem Becky, gdy Rolls skierował się w stronę East Endu. - Opracowuje jakiś projekt w "Klubie Chłopców" z Whitechapel.

Stan wciąż zmierzał na wschód, aż w końcu zatrzymał się przed Centrum Dana Salmona.

- Ale to nie ma sensu - stwierdziła Cathy. - Gdyby w ten sposób postanowił spędzać swój wolny

czas, to dlaczego miałby ci o tym nie powiedzieć? Dlaczego uciekałby się do tak wymyślnej szarady?

- Też nie mogę tego pojąć - wyznała Becky. - Z każdą chwilą wiem coraz mniej.

- Możemy pójść i przekonać się, co wymyślił.

- Nie - powiedziała Becky, kładąc rękę na ramieniu Cathy. - Muszę zastanowić się przez chwilę, zanim podejmę decyzję, co mam dalej robić. Jeśli Charlie szykuje jakąś niespodziankę, nie chcę mu popsuć przyjemności. Szczególnie, że to ja przepędziłam go z firmy Trumper.

- W porządku - zgodziła się Cathy. - Wobec tego wracajmy do mojego biura i nic nie mówmy nikomu o naszym odkryciu. Zawsze możemy przecież skontaktować się z panem Ansonem z Izby Lordów, który już dopilnuje, żeby Charlie zatelefonował do nas w ciągu godziny. Spokojnie zdążę poradzić sobie na czas z panem Fieldem oraz z problemem jego cygar.

Becky skinęła głową i kazała zdeorientowanemu kierowcy jechać z powrotem na Chelsea Terrace. Gdy taksówka zawróciła, by ruszyć w drogę powrotną na West End, Becky obejrzała się na centrum nazwane imieniem jej ojca.

- Proszę się zatrzymać - zawołała bez uprzedzenia. Taksówkarz nacisnął hamulec i samochód gwałtownie stanął w miejscu.

- O co chodzi? - zdziwiła się Cathy.

Becky wskazała jej przez tylną szybę mężczyznę schodzącego po schodach, ubranego w brudny zniszczony garnitur oraz czapkę, który wyszedł z Centrum Dana Salmona.

- Nie wierzę własnym oczom - zawołała Cathy.

Becky prędko zapłaciła taksówkarzowi, a Cathy wyskoczyła z samochodu i zaczęła śledzić Stana, który przeszedł na drugą stronę Whitechapel Road.

- Dokąd on może iść? - pytała Cathy, nie tracąc Stana z oczu.

Nędznie ubrany szofer szedł dalej przed siebie. Każdy byłby żołnierz na jego widok nie miałby wątpliwości co do jego poprzedniej profesji. Dwie śledzące go damy musiały dobrze wyciągać nogi, a co jakiś czas niemal biec.

- Pewnie idzie do zakładu krawieckiego Cohena - snuła domysły Becky. - Nikt, widząc go w tym ubraniu, nie może mieć wątpliwości, że przydałby mu się nowy garnitur.

Ale Stan zatrzymał się kilka metrów przed zakładem krawca.

Wtedy po raz pierwszy spostrzegły innego mężczyznę, ubranego również w zniszczony garnitur i czapkę. Stał przy całkiem nowym straganie, na którym widniał napis: "Stragan uczciwego kupca, Charlie'ego Salmona. Rok otwarcia 1969".

- Nie chcę za to dwóch funtów, drogie panie - rozległ się głos, równie donośny jak piski dokazujących w pobliżu dzieciaków - ani funta, ani nawet pięćdziesięciu pensów. Oddam wam to za dwadzieścia pensów.

Cathy i Becky patrzyły w osłupieniu, jak Stan dotknął czapki na widok Charlie'ego i zaczął napełniać koszyk kobiecie, żeby jego szef mógł obsłużyć inną klientkę.

- Co kupujemy dzisiaj, pani Bates? Mam cudowne banany prosto z Indii Zachodnich. Powinienem je sprzedawać dziewięćdziesiąt pensów za pęk, ale, jak dla pani, sprzedam je za pięćdziesiąt pensów. Tylko proszę nie wygadać się przed sąsiadami.

- A co z ziemniakami, Charlie? - zapytała kobieta w średnim wieku o ostrym makijażu, wskazując podejrzliwie na skrzynkę wystawioną przed straganem.

- Jak pragnę być zdrowy, pani Bates, są dzisiaj sprowadzone z Jersey. A wie pani, co zrobię? Sprzedam je pani za tę samą cenę, za jaką moi konkurenci sprzedają stary towar. Kto postąpiłby

bardziej ucziwie niż ja, jeśli wolno spytać?

- Wezmę dwa kilo, panie Salmon.

- Dziękuję pani. Obsłuż tę damę, Stan, a ja zajmę się następną klientką. - Charlie przeszedł na drugi koniec straganu.

- Miło panią widzieć w tak uroczy dzień jak dzisiaj, pani Singh.

Kilogram fig, orzechów i rodzynek, jeśli mnie pamięć nie myli. A jak się miewa doktor?

- Jest bardzo zapracowany, panie Salmon, bardzo zapracowany.

- Tym bardziej musimy dbać, żeby się dobrze odżywiał, prawda?

Gdy pogoda zmieni się na gorsze, pewnie będę musiał udać się do niego z moimi zatokami. A co słyhać u małej Suziki?

- Skończyła właśnie liceum, panie Salmon, i od września wybiera się na Uniwersytet Londyński, gdzie będzie kształcić się na inżyniera.

- Osobiście nie widzę w tym sensu - stwierdził Charlie, wybierając figi. - Na inżyniera, mówi pani. Ciekawe, co ci młodzi jeszcze wymyślą? Znałem kiedyś dziewczynę z tej dzielnicy, która też poszła na uniwersytet. I rzeczywiście na wiele się jej to zdało! Przez resztę życia była utrzymywana przez męża. Mój stary dziadek zwykł mówić...

Becky wybuchnęła śmiechem. - Co teraz zrobimy? - zapytała.

- Wrócimy z powrotem na Eaton Square, odszukasz numer telefonu do pana Ansona z Izby Lordów i zatelefonujesz do niego.

W ten sposób będziemy przynajmniej mieć pewność, że Charlie do godziny skontaktuje się z tobą.

Becky skinęła głową, ale obie nie mogły oderwać wzroku od najstarszego sprzedawcy na rynku.

- Nie chcę za niego dwóch funtów - oświadczył Charlie, podnosząc w obu dłoniach kabaczek. - Nie chcę nawet funta ani nawet pięćdziesięciu pensów.

- Oddam go wam za dwadzieścia pensów - mruknęła pod nosem Becky.

- Oddam wam go za dwadzieścia pensów - zawołał donośnym głosem Charlie.

- Czy wiesz o tym - powiedziała Becky, gdy dyskretnie wycofały się z targu - że dziadek Charlie'ego wykonywał to zajęcie do sędziwego wieku. Dożył osiemdziesiątki. Umarł kilka metrów od miejsca, w którym stoi teraz jego lordowska mość.

- Charlie od tamtego czasu przeszedł daleką drogę - zauważyła Cathy, zatrzymując taksówkę.

- Czy ja wiem? - zastanowiła się Becky. - Zaledwie kilka kilometrów; prosto jak strzełił.

Koniec